



**KAREN KINGSBURY**



**W**  
**PEWIEN WRZEŚNIOWY**  
**PORANEK**  
**CZ.1**

## Rozdział 1

2 września 2001

„Zbyt wiele tych pogrzebów”. Z tą myślą Jamie Bryan utkwiała oczy w trumnie umocowanej na dachu specjalnego, wolnobieżnego samochodu nowojorskiej straży pożarnej. Ta jedna myśl przepełniała jej głowę. Zbyt wiele pogrzebów. Tak wiele, że już obrosły tradycją. Natrętne refreny pięćdziesięciu kobz, saluty białych rękawiczek, głos samotnej trąbki i helikopter ponad głowami. Jamie dobrze знаła cały ten rytuał. Setki dygnitarzy i kilka tysięcy umundurowanych strażaków wzdłuż Piątej Alei przed katedrą św. Patryka - już szósty raz tego roku.

Smutną melodię kobz unosił wrześnieowy wiatr.

- Nienawidzę tego - szepnęła.

Jej mąż, wysoki i dumnie wyprostowany, w nieskazitelnym odprasowanym mundurze, stał o krok od niej, na baczność, salutując ręką uniesioną do czoła. Bez słowa ścisnął jej dłoń. Cóż mógłby odpowiedzieć? Pogrzeby stanowiły część jego pracy. Czasem było ich dziesięć w roku, czasem dwadzieścia. Ten rok był jak na razie najspokojniejszy - dotychczas jedynie sześć pogrzebów. Sześciu ludzi, takich jak Jake, którzy pewnego ranka poszli do pracy, by już nie wrócić.

Pogrzebowa muzyka narastała i Jamie Bryan poczuła, jak rośnie w niej mur, którego pierwsze cegły zostały położone wraz z pierwszą myślą, że mogłaby wyjść za nowojorskiego strażaka.

Oboje z Jakiem mieli wtedy po dwanaście lat.

- Nigdy nie wyjadę z Nowego Jorku - powiedział. Był letni dzień, bawili się właśnie z dziećmi z sąsiedztwa w berka koło jego domu i wszyscy oprócz nich poszli już na obiad. - Będę strażakiem, jak mój tata - pewność biła mu z oczu, gdy kroczył po trawniku przed frontem domu. - Będę gasił pożary i ratował ludzi.

- Świetnie - Jamie opadła na trawę, opierając się na łokciach. Wpatrywała się w zamglone niebo nad miastem. - Ja, gdy dorosnę, będę mieszkała we Francji. Artyści mieszkają we Francji.

- Tak? - Jake rzucił się na trawnik tuż obok niej. - Zanim za mnie wyjdiesz, czy potem?

Jamie opuściła podbródek i uniosła brwi.

- Dlaczego myślisz, że za ciebie wyjadę?

- Bo... - przekręcił sobie bejsbolówkę na głowie i posłał jej szeroki uśmiech - bo mnie kochasz. I nigdy nie przestaniesz.

Tak w istocie było. Zaczęli ze sobą chodzić dopiero w liceum, ale i tak od owego lata Jake Bryan był dla niej jedynym chłopakiem na świecie.

- Co ty w nim widzisz? - zapytał ojciec w dniu osiemnastych urodzin Jamie, wpatrując się w nią badawczo sponad gazety. - Ten chłopak do niczego w życiu nie dojdzie.

Jamie przewróciła oczami.

- Pieniądze to nie wszystko, tato.

- Ale bezpieczeństwo tak - ojciec upuścił gazetę na stół. - Jake nie da ci ani jednego, ani drugiego.

Błyskawica gniewu przemknęła przez serce dziewczyny.

- Jak możesz tak mówić?

- Mogę, mogę - ojciec oparł łokcie o stół, a jego spojrzenie wyraźnie złagodniało. - Gaszenie pożarów w Nowym Jorku to ciężka robota. A niebezpieczeństwo czai się za każdym alarmem. Spójrz na jego matkę - ojciec machnął ręką w kierunku domu Jake'a. - Ona z tym żyje na co dzień. Ma to niebezpieczeństwo w oczach, ono jest jej częścią. Tak samo będzie z tobą, jeśli kiedyś wyjdiesz za Jake'a Bryana.

Ojcowie Jamie i Jake'a pochodzili ze Staten Island - ciężko harujący nowojorczyki codziennie dojeżdżający do pracy na Manhattan. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Jim, ojciec Jake'a, był strażakiem i cywilnym kapłanem, który zawsze miał coś do powiedzenia o Bogu i o znaczeniu wiary.

- Co dobrego uczynił dziś Pan dla ciebie, Jamie? - zwykł pytać, szczerząc w uśmiechu zęby, a przeszywające spojrzenie jego niebieskich oczu rozjaśniało pokój.

Jamie nigdy nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Nie miała doświadczenia w przypisywaniu Bogu dobrych rzeczy, które ją w życiu spotykały. I nic dziwnego. Jej ojciec, Henry Steele, był bankierem inwestycyjnym, który zbudował małe imperium finansowe wyłącznie przy pomocy własnej inteligencji, zapału i wiary w siebie. Tak to przynajmniej tłumaczył.

Rodzina Steele'ow mieszkała w tym samym domu, w którym obecnie Jamie żyła z Jakiem i ich córeczką Sierrą: w elitarniej dzielnicy Westerleigh niedaleko od Staten Island Expressway i przystani promu. Rozległy budynek w stylu kolonialnym miał solidne podpiwniczenie i basen na tyłach. Wtedy

jeszcze Jamie i jej siostrę łączyła przyjaźń i beztrioskie życie od letnich imprez na plaży do zimowych ferii na Florida Keys.

A wszystko dzięki ciężkiej pracy i pomysłowości Henry'ego Steele'a.

Bóg nie miał w tym żadnej zasługi.

- Człowiek nie potrzebuje nikogo prócz samego siebie - mawiał ojciec do Jamie i jej siostry. - Religijność jest oznaką słabości.

Po czym, posyłając swej starszej córce sarkastyczne spojrzenie, dodawał:

- Oczywiście, jak ktoś gasi pożary w Nowym Jorku, wiara może być dla niego prostą koniecznością.

I tak Jamie miesiąc po miesiącu czekała, aż coś strasznego przydarzy się ojcu Jake'a. W końcu jednak to nie on, a jej własny ojciec zginął tragicznie. Pewnego wieczoru, gdy wracał z matką z promu do domu, stracił panowanie nad samochodem, który wypadł z szosy prosto na słup telefoniczny. Gdy nadjechała karetka, oboje rodzice już nie żyli. Jamie miała wówczas dwadzieścia lat, jej siostra osiemnaście.

Ubezpieczenie każdego z rodziców opiewało na milion dolarów, prawnik zaś dopomógł dziewczętom dojść do porozumienia. Jamie odziedziczyła dom, Kara otrzymała pełne chesne na Uniwersytecie Stanowym Florydy i akcje. Oszczędności, które znalazły się w ich rękach, wystarczyłyby im do końca życia, jednak żadna kwota nie była w stanie położyć końca kłótniom rozpętanym w ciągu następnych kilku lat. Teraz dzielił je prawdziwy ocean różnic - od pięciu lat nie zamieniły ze sobą słowa.

Trzy lata po śmierci rodziców Jamie przypominała sobie ostrzeżenia ojca dotyczące pracy Jake'a - patrzyła właśnie, jak ten odbiera dyplom szkoły pożarniczej. Kilka tygodni później Jake został zatrudniony w nowojorskiej straży pożarnej. Następnego lata pobrali się, a miesiąc miodowy spędzili na Karaibach. Od owego czasu Jamie nie oddaliła się o więcej niż sto mil od Wschodniego Wybrzeża.

Ale już nie chciała podróżować po świecie. Widoki egzotycznych miejsc nie były w stanie konkurować z miłością, jaką dawał jej Jake Bryan.

- Nie musisz pracować, wiesz? - napomknęła mu o tym tylko raz, miesiąc przed jego pierwszym dniem służby. - Pieniądzy mamy dość.

Obruszył się w sposób, jakiego nie widziała u niego nigdy wcześniej ani nigdy potem.

- Słuchaj, Jamie, gaszenie pożarów to część mnie samego, głęboka część - w jego oczach błyszczała stanowczość. - Tu nie chodzi o pieniądze.

Kobzy umilkły i smutna cisza zawisła w powietrzu.

Zawodzący głos samotnej trąbki przeszył spokojny poranek, ulicę wypełniły dźwięki capstrzyku. Jamie jeszcze raz popatrzyła na trumnę. Zmarły był stażystą, dopiero co rozpoczął służbę w straży. I nie zabójczy dym, nie walący się sufit, nie śmiercionośne płomienie stały się przyczyną jego śmierci.

Załoga, w skład której wchodził, ruszyła do pospolitego pożaru w salonie samochodowym. Przez kilka minut chłopak nawijał wąż na masywną szpulę z boku samochodu, po czym wspiał się do kabiny. Po chwili koledzy znaleźli go leżącego bezwładnie - zabił go atak serca. Młody strażak miał dwadzieścia siedem lat. Pięć miesięcy wcześniej wzorowo ukończył studia.

To już czwarty strażak w ciągu dziesięciu miesięcy, któremu przytrafił się zawał serca.

Trąbka wyśpiewała ostatnią nutę, po krótkiej chwili niebo zaczęło się przejaśniać. Jamie i Jake, trzymając się za ręce, ruszyli do pikapa, by wreszcie wrócić do domu, do Sierry.

Sierra...

Obraz czteroletniej córeczki wypełnił serce Jamie i na chwilę przytłumił goszczący tam głęboki ból. Sierra miała niebieskie oczy Jake'a i jej charakterystyczne dołeczki. Nikt nie wiedział, skąd wzięła jedwabiste blond włosy, ale tak czy inaczej była piękna - ciałem i duchem. W takie dni jak dzisiaj Jamie nie mogła się doczekać, kiedy ją przytuli, by nasiąknąć ciepłem i nadzieją płynącą z jej cudownego śmiechu. Już w chwili urodzenia dziewczynka zawojowała serca obojga rodziców.

Jamie wyjrzała przez okno samochodu.

Manhattan pachniał spalinami i ciepłym bistro. Życie biegło pełną parą. Chodniki zatłoczone były ludźmi tak samo jak w dzień powszedni. Uwagę Jamie przykuła para mniej więcej w tym samym wieku, co ona i Jake. Ubrani jak to zwykle biznesmeni, kroczyli żwawo w kierunku dolnego Manhattanu. Uśmiechnęli się do siebie, a przez głowę Jamie przemknęła myśl: „Czy oni wiedzą, że zginął strażak? Czy zdarza im się zastanowić nad tym, że ludzie tacy jak Jake chcą ginąć dla ich bezpieczeństwa?”.

Odwróciła się i wsunęła swoją dłoń w dłoń męża. „Oczywiście, że nie. Jeżeli nie znają jakiegoś strażaka albo policjanta, jeżeli nie chodzą regularnie na pogrzeby, to skąd i dlaczego mieliby wiedzieć?”.

Oparła się o fotel i spojrzała na Jake'a. Zapanowała zupełna cisza; aż do wjazdu na prom nie padło ani jedno słowo.

- Kiedy ostatni raz robiłeś badania serca? Jake popatrzył na nią.

- Co?

- Serce - przełknęła ślinę, usiłując przybrać neutralny ton. - Kiedy ostatni raz badałeś sobie serce?

- Jamie... - w oczach Jake'a pojawiło się zrozumienie. - Czuję się świetnie. Z moim sercem wszystko jest w porządku.

- Wolałabym jednak, żeby to orzekł lekarz.

- Kochanie, zawały są częścią życia - nie odwracając wzroku od drogi, mocniej splótł palce z palcami żony. - Występują nie tylko u strażaków.

Jamie ponownie wyjrzała przez okno, wypuszczając cały zapas powietrza z płuc. Czy on zawsze musi czytać w jej myślach? Czy nie wolno jej zachować odrobinki strachu? Obawiała się, że nigdy nie będzie z nią szczery, wiedząc, że się boi. Za każdym razem, kiedy wyczuwał jej obawy, miał gotową tę samą odpowiedź: „Nie ja. Jamie... będę uważał... mnie się nic nie stanie”. A teraz znowu to: „Z moim sercem wszystko jest w porządku...”.

Wjechali do kolejki przy terminalu Whitehol i pomalutku posuwali się ku promowi. Dojechawszy najdalej, jak się dało, Jake zatrzymał wóz i obrócił się twarzą do żony. Jego głos brzmiał pieszczotliwie:

- Przepraszam.

Jamie obróciła się ku niemu:

- Za co?

- Za pogrzeb - przygryzł wargę. - Wiem przecież, jak bardzo ich nie cierpisz.

Poczuła w sobie bezmiar smutku, ale się nie rozpląkała. Nigdy nie płakała, a w każdym razie nie przy nim.

- To nic...

- Następnym razem zostaniesz w domu - wyciągnął rękę i lekko ścisnął jej kolano. - Wiele żon zostaje w domach.

- Nie - potrząsnęła szybko głową. - Wolę pójść.

- Jamie...

Prom lekko szarpnął i ruszył ku drugiemu brzegowi zatoki.

- Wolę pójść - powtórzyła przez zaciśnięte zęby. - To mi nie pozwala zapomnieć, z czym muszę się mierzyć.

- Daj spokój, kochanie - w gardle zabrzmiał mu zdławiony, pełen empatii chichot. - Kiedy wreszcie przestaniesz czekać, aż stanie się coś złego?

- Kiedy wrócisz ze swej ostatniej zmiany - ich oczy spotkały się i obudziło się w niej pożądanie. Byli małżeństwem od prawie dziesięciu lat, a jednak

wciąż ją pociągał. Za każdym razem, gdy się do siebie zbliżyli, pragnęła przytulić się do niego o minutę czy dwie dłużej.

Pochylił się i złożył na jej ustach namiętny, niespieszny pocałunek pełen miłości, która nie wybucha nagłymi zrywami, lecz spokojnie ubarwia każdą stronicę wspólnie zapisywanego życia. Przesunął ustami po jej policzku w stronę ucha.

- Dziesięć lat to zbyt długo, by się tak zamartwiać.

- Dziewięć.

- Dziewięć? - odchylił się do tyłu, przyprawiając ją o śmiech swoim wyrazem twarzy jak u małego chłopczyka.

- Tak. Masz prawie trzydzieści sześć lat, Jake. Sam mówiłeś, że przejdiesz na emeryturę w wieku czterdziestu pięciu lat, jak twój ojciec. To jeszcze dziewięć lat.

- OK, dziewięć. To i tak zbyt długo, by się zamartwiać. Poza tym... uwielbiam moją robotę - nie czekając na odpowiedź, wpakował jej dłonie pod bluzkę i oparł się kciukami o jej żebra. - Prawie tak jak ciebie.

Skręciła się, nie mogąc powstrzymać chichotu:

- Przestań!

- Martwisz się nie o to, co trzeba - jeszcze raz ją połaskotał, po czym, gdy mu się wywinęła, uniósł ręce do góry w geście kapitulacji.

- Tak? - złapała oddech i poprawiła bluzkę.

- A o co mam się martwić?

- O to, żeby wygrać ze mną w tenisa.

- OK - zmusiła się do sarkastycznego śmiechu.

- Spróbuję się o to pomartwić.

- A cóż to? Czyżbym słyszał arogancję w głosie mej milej damy? - Jake zdławił śmiech. - Skoro w zeszłym tygodniu pokonałaś mnie w trzech setach, to już nie jestem dla ciebie groźnym przeciwnikiem, tak?

Odchyliła ze śmiechem głowę na fotel:

- No dobra... martwi mnie to bardzo.

- Dobrze. I nie zapomnij, że Sierra ma dziś pierwszą lekcję tenisa.

- No, masz... - Jamie poczuła, że iskrzą jej oczy.

- Jake, ona ma cztery lata.

- Martina Hingis też prawdopodobnie miała cztery lata, kiedy pierwszy raz wzięła raketę do ręki.

Śmiech Jamie wypełniał całą kabinę.

- Zwariowałaś.

- Na punkcie Sierry tak! - uśmiech Jake'a nieco przygasł. - Nie wiem, co bym bez niej zrobił - ujął Jamie za rękę. - Albo bez ciebie.

- Ja też - usadowiła się wygodnie plecami do drzwiczek samochodu, przodem do Jake'a. - Sierra jest bezbłędna, prawda?

Jake zapatrzył się na wody zatoki.

- Ojcostwo wyzwoliło we mnie takie uczucia... - przechylił głowę na bok. - Miłość, której nie da się opisać.

Na twarz Jamie wypłynął spokojny uśmiech. Zawrodość kobz powoli blakło w jej pamięci, a chmury strachu jedna po drugiej unosiły się coraz wyżej, jak poranne mgły nad wodą. Jake ma rację. Zamartwianie się nic nie da. Zwłaszcza, gdy każdy dzień wnosi do ich małego kręgu tyle życia.

- Chodź! - Jake otworzył drzwiczki i skinął na Jamie, żeby zrobiła to samo. Poszli na dziób promu i, znalazłszy sobie spokojne miejsce przy relingu, zwrócili twarze ku panoramie Nowego Jorku.

- Zapiera dech... zawsze - przesunęła wzrok za Statuę Wolności ku World Trade Center górującemu nad całym Manhattanem. - Byłeś na każdym piętrze, prawda?

- Dwóch wież? - Jake zerknął z ukosa na potężny budynek. - Chyba tak. Zatłoczone windy, ból w klatce piersiowej, zepsuta instalacja w ekspresie do kawy...

- I bomba - Jamie uniosła podbródek i uważnie wpatrywała się w twarz męża. - Nie zapominaj o bombie.

- Taaa - wzruszył lekko ramionami. - Ale pożar został ugaszony, zanim przyjechaliśmy.

- Mimo wszystko... to było straszne. Pamiętam, jakby to było wczoraj.

- Jamie, wieże są bezpieczne. Z trzech stron są klatki schodowe - przymrużył oczy i znowu spojrzął na World Trade Center. - Naprawdę straszne są stare magazyny i opuszczone fabryki.

- Wiem - ścisnęła reling i ponownie zapatrzyła się w panoramę miasta, by jednak po chwili obrócić wzrok na Jake'a. - Postaram się tak nie zamartwiać, dobrze?

Objął ją ramieniem i pocałował w głowę.

- Dobrze. Poza tym: któż z was przy całej swej trosce może choćby chwilę dołożyć do wieku swego życia? - zawiesił głos. - To z Biblii.

Jamie puściła to mimo uszu. Jake mógł nakłaniać ją, by próbowała pozbyć się strachu, ale nie mógł od niej oczekiwać, by szukała pomocy i zrozumienia w starej, oprawionej w skórę księdze pełnej starożytnej literatury.



Jednak takie słowa płynące z jej ust sprawiłyby mu przykrość. A dzień był na to zbyt piękny, ich wspólny czas zbyt krótki.

- Kocham cię, Jake'u Bryanie - zarzuciła mu ręce na szyję i utonęła w jego objęciach. - Przepraszam, że się bałam.

- Już dobrze - znowu ją pocałował, tym razem jeszcze dłużej i wolniej. Na promie było mniej tłoczno niż zazwyczaj, mieli więc sporo prywatności. Odśuwając się, Jake poszukał wzrokiem oczu żony.

- Nigdzie się nie wybieram. Jamie. Mam taki tajemny układzik z Bogiem.

- Czyżby? - przechyliła głowę i zatrzepotała rzęsami. - I mam rozumieć, że mi tej tajemnicy nie zdradzicie.

- Nie! Ale mogę ci powiedzieć tyle, że Bóg czegoś jeszcze ode mnie oczekuje - ponownie zbliżył usta do jej ust. - I od ciebie też.

Trzymając się za ręce, wrócili do samochodu. Po piętnastu minutach zatrzymali się przy wysadzanej drzewami ulicy, gdzie oboje dorastali. Tu był ich dom. Znali tu każde podwórko, każdą rodzinę zamieszkałą w tej części Westerleigh.

Stary dom nieco poszarzał, ale był wciąż taki sam, jak za dziecięcych lat Jamie. Właśnie wchodzili do środka, gdy wybiegła im na spotkanie roześmiana Sierra.

- Już jesteście! - wyciągnęła ręce ku Jamie. - Och, mamusiu, jak ty ślicznie wyglądasz!

- Dziękuję, kochanie - Jamie zamknęła dziecko w uścisku i otarła swój policzek o policzek córki. Przyjemnie pachniała pudrem i syropem klonowym.

Jake zapłacił opiekunce, a kiedy ta już poszła, cała trójka ruszyła do salonu.

- Czy byliście z tatusiem w kościele? Pytanie to zburzyło nieco dobre samopoczucie

Jamie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, zjawił się Jake.

- Cześć, dziewczynko - chwycił Sierrę w ramiona. - Jak minął ranek?

- Jedliśmy naleśniki - dziewczynka potarła noskiem o nos ojca. - Czy byliście z mamusią w kościele?

- Tak jakby - Jake okręcił sobie jeden z loków córki wokół palca. - Byliśmy w kościele na takim specjalnym spotkaniu w sprawie jednego z kolegów tatusia z pracy.

- Aha - Sierra poszukała wzrokiem ojcowskich oczu. Jej blond włosy lśniły złotem na tle niebieskiej bluzeczki. - Zrobił coś dobrego?

Jake pochylił głowę i zawahał się przez chwilę, na tyle jednak długo, by Jamie odczytała, co dzieje się w jego sercu.

- Tak, kochanie - Jake zacisnął usta i pokiwał głową. - Zrobił coś naprawdę dobrego.

Sierra opuściła brodę i obiema rączkami ujęła twarz ojca.

- Czy mamusia pójdzie z nami do kościoła w przyszłą niedzielę?

Jake rzucił Jamie przelotny uśmiech. Nigdy jej do tego nie nakłaniał. Po prostu zostawił kwestię otwartą, na wypadek, gdyby zmieniła zdanie.

Jamie odchrząknęła.

- Mamusia ma w niedzielę kurs malowania, rybko.

- Och - Sierra mrugnęła do Jake'a. - Ale mnie zabierzesz ze sobą prawda, tatusiu? Dwa razy w miesiącu, prawda?

- Prawda, serduszeko.

- Bo pani Ritchie czeka na mnie w dwie niedziele.

- Tak jest. Pani Ritchie się nie zawiedzie. W przyszłym tygodniu na pewno się pojawisz.

- Super! - Sierra zeskoczyła na podłogę i szybko pomachała matce. - Lecę sprawdzić, co u Brownie. Spała dziś rano w moim łóżeczku.

Brownie, jej wierny labrador, miała osiem lat i siwiały jej policzki. Świetnie się z Sierrą rozumiały. Brownie nie miała nic przeciwko noszeniu dziecięcych czepków. Były najlepszymi przyjaciółkami. Jamie patrzyła, jak jej córka czmycha, a gdzieś na obrzeżach jej duszy poczynała się snuć smużka winy. Spojrzała na Jake'a z krzywym uśmiechem.

- Dzięki.

- Za co? - leniwym grymas rozciągnął mu usta, gdy szedł do kuchni nalać sobie wody do szklanki.

Ruszyła za nim, mrużąc cicho:

- Za to, że nie zrobiłaś wielkiej sprawy z tym kościołem.

- Nie zamierzam cię naciskać, Jamie - pociągnął spory łyk. - Wiesz o tym przecież.

- A jednak... - czuła niezrozumiałe zażenowanie - a jednak to ważne...

- Nie ma sprawy - Jake odłożył szklankę. - Idę się przebrać. Tenis za pół godziny?

Oparta o stół Jamie czuła, jak jej spojrzenie łagodnieje.

- Dobrze.

- Już po strachu? Zdobyła się na uśmiech:

- Na razie...

Zanim Jake zdążył wejść na górę, Jamie niespodziewanie uchwyciła wzrokiem swe odbicie w lustrze i stanęła jak wryta. Kogo chciała oszukać? Zmartwienie wcale nie przeszło i nie przejdzie, dopóki strażacy będą ginąć na służbie. Mieli Sierrę, mieli siebie samych, mieli życie miłsze niż kiedykolwiek śmiała sobie wyobrazać. Jedyne problem stanowiła praca Jake'a. Zawarta w niej groźba wisiała nad wszystkim, co ważne.

Czasami, myśląc o Jake'u i Sierrze, Jamie czuła się znów jak mała dziewczynka budująca na plaży zamki z piasku, która rozpaczliwie pragnie wydłużyć dzień, zatrzymać słoneczne godziny, by trwały jak najdłużej. Jamie wciąż widziała siebie taką: dziecko biegające ze śmiechem po piasku, goniące fale w nadziei, że uda się je powstrzymać od zagarnięcia cennej budowli.

Ale fale w końcu nadchodziły. Zawsze. I zabierały z sobą wszystko, co zbudowała. Niczego nie udawało się przed nimi uchronić.

Nagle wróciły ojcowskie słowa: „Spójrz na matkę Jake'a. Ona z tym żyje na co dzień. Ma to niebezpieczeństwo w oczach, ono jest jej częścią. Tak samo będzie z tobą, jeśli kiedyś wyjdiesz za Jake'a Bryana”.

Jamie zbliżyła twarz do lustra i zajrzała samej sobie głęboko w oczy. Ojciec miał zupełną rację. Kiedy jej spojrzenie przestało być jasne i beztroskie, w dzieciństwie błyszczące nakrapianym brązem tęczówek? Teraz było ciemne i głębokie; jej oczy nabrały nowej barwy, która przydała im przedziwnego podobieństwa do oczu matki Jake'a. Ten sam kolor dostrzegła Jamie w oczach dziesiątek innych żon strażaków. Kolor strachu.

## Rozdział 2

4 września 2001

Laura Michaels odwróciła się gwałtownie i wpadła wprost na gigantyczną mysz. Wrzasnęła głośno, ale jej krzyk utonął w ryku setki rozradowanych dzieciaków. Cofając się o krok, przesunęła rękoma po futrzanych ramionach maskotkowej myszy. Spojrzała w obie strony, by upewnić się, czy żadne z dzieci jej nie widzi, nachyliła się i z bliska zapytała głośnym szeptem:

- Nic ci się nie stało?

Mysz pokręciła zbyt wielką głową w prawo i w lewo, po czym uniosła łapę i wskazała na roztapiający się na pobliskim stole tort lodowy. Laura głośno wciągnęła powietrze:

- Tort!

Przeczesała palcami swe proste blond włosy i spojrzała na zegarek. Siódma. Erie powinien być przyjść już godzinę temu. Zdobyła się na uśmiech i powiedziała prosto w wielki pysk myszy, tak by ktoś, kto siedział tam w środku, dobrze ją usłyszał:

- Zaraz wracam, tylko przyprowadzę chłopców. Mysz skinęła głową i poczłapała do innego stolika.

Josh chciał obchodzić ósme urodziny w centrum rozrywki Chuck E. Cheese, na co Laura z Ericem chętnie przystali. Laura miała postarać się o tort lodowy, a restauracja Chuck E. Cheese dostarczyć pizzę i napoje. Josh i jego koledzy spędzą kilka godzin na świetnej zabawie i nie trzeba będzie po nich sprzątać.

- Bądź tam o wpół do szóstej, a ja przyjadę zaraz po tobie, nie później niż o szóstej - obiecał Erie wczesnym popołudniem.

Wydawało się to wykonalne. Restauracja stała na zachodnim końcu San Fernando Valley, tylko dziesięć minut od jego biura w Warner Center.

Początkowo popołudnie przebiegało zgodnie z planem. Sześcioro gości przybyło do domu Michaelsów w Westlake Village, skąd Laura w pół godziny zawiozła ich przez Ventura Freeway do centrum rozrywki.

Ale z wpół do szóstej zaraz zrobiła się szósta, a Erica - ani śladu. Josh i jego koledzy skończyli jeść i rozbiegli się po sali zabaw. Laura rzuciła ukradkowe spojrzenie na drzwi wejściowe. Minęła godzina. Bez Erica trudno jej będzie zebrać chłopców. Stała teraz na straży roztapiającego się tortu lodowego, a resztki pizzy chwiejnie balansowały na szczycie sterty prezentów urodzinowych.

„Co się dzieje... - myślała. - Gdzież on jest?”.

Była to jednak tylko cichutka myśl, zaledwie modlitwa - Laura nie oczekiwała odpowiedzi. W kłębiącym się wokół gąszczu dzieci wypatrywała Josha i jego kolegów. Zostawiła tort i prezenty - nic im się bez niej przez tę chwilę nie stanie. Ruszyła spieszenie w kierunku sali zabaw, gdy nagle poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Odwróciła się gwałtownie.

- Dzięki Bogu, nareszcie... - zaczęła, ale natychmiast umilkła na widok brata Erica.

- Gdzie Erie? - Clay Michaels oparł się o stół i utkwiał w Laurze pytające spojrzenie. Kilka miesięcy temu wrócił z Missouri, gdzie studiował na niewielkiej uczelni. Był teraz oficerem policji, wciąż jednak, jak w dzieciństwie, całkowicie zapatrzonym w swego starszego brata.

- Masz wszystko, Erie - powiedział mu kilka tygodni wcześniej. Mówił tonem lekkim i nie całkiem poważnym, ale z jego słów przebijał absolutny podziw dla brata. - Jesteś wspaniałym mężem, super ojcem... po prostu świetny facet i jego świetna rodzina.

Laura nie miała sumienia uświadomić Clayowi, jak naprawdę sprawy się mają. Poza tym myślała, że niedługo sam się przekona, jaki naprawdę jest Erie, wystarczy, że trochę z nimi pożyje. Sytuacje takie jak dzisiejsza pokażą wkrótce prawdziwe oblicze Erica: ambitnego pracownika wielkiej korporacji, którego oczy utkwione były w jeden tylko cel - szczyt piramidy sukcesu.

Zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

- Spóźnia się... trochę...

- Na urodziny własnego syna? - brwi Claya uniosły się wysoko w górę. - A co go zatrzymuje?

„To samo, co zawsze” - pomyślała Laura, głośno jednak odpowiedziała:

- Praca. Pewnie już jedzie.

- Gdzie Josh? - skubnął z patelni kawałek pizzy, po czym zdjął ją z góry prezentów. - Wygląda na to, że z tortu za chwilę nic nie będzie.

- Gdzieś tam - Laura przeniosła spojrzenie na dzieci kłębiące się w sali zabaw, by zaraz ponownie popatrzeć na szwagra. - Bawi się z sześcioro kolegami. Mógłbyś ich tu przyprowadzić?

- Jasne - Clay odłożył pizzę na talerz, chwycił serwetkę i ruszył do drugiej sali. - Zaraz wracam!

Laura patrzyła, jak odchodzi. Żywiła wobec niego mieszane uczucia jeszcze od czasu, gdy chodzili razem do podstawówki. Clay był miły i

delikatny, miał blond włosy i nieco kwadratowe czoło, co sprawiało, iż ludzie często zastanawiali się, czy on i Erie rzeczywiście są braćmi. Jej uczucia do tych dwóch mężczyzn były równie odmienne, jak ich wygląd. Laura zakochała się w Ericu od pierwszego wejrzenia. Spodobały jej się jego ambicja i pewność siebie emanujące z całej jego sylwetki. Clay był jej przyjacielem, Erie - pierwszą miłością, jedyną miłością.

Ale od powrotu Claya do Południowej Kalifornii Laura zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem wtedy, wiele lat temu, nie wybrała niewłaściwego z braci. Myśl ta - w rzeczy samej głupia - wciąż czaiła się gdzieś na progu jej serca. Laura patrzyła, jak Clay przemierza salę zabaw, szukając Josha. Nie odniósł takiego sukcesu finansowego jak Erie, nie był też tak przystojny... Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Clay potrafił wywołać uśmiech na jej twarzy równie łatwo, jak zarzucić sobie Josha na ramię. Uczył w szkółce niedzielnej, do której chodzili, śpiewał w chórze i chociaż dopiero niedawno przyjechał, już zdążył zaangażować się w pracę ośrodka dla bezdomnych.

Dlaczego Erie nie jest taki, jak on? I dlaczego nie zajmuje się Joshem z taką troską, jak Clay w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

Laura nie chciała się dłużej nad tym zastanawiać. Być może znowu nadszedł czas, by udać się wraz z Ericem do terapeuty? Chodzili tam co kilka lat w ciągu ostatniej dekady, pewnie więc przyszła pora na kolejne spotkanie z psychologiem. Ale sesje terapeutyczne nie przynosiły trwałych rezultatów. Podczas terapii Laura mówiła, jak bardzo czuje się odsunięta na dalszy plan, niekochana i ignorowana. Erie wyjaśniał, jak bardzo potrzebny jest w pracy, jeśli ma w ogóle coś w życiu osiągnąć. W ciągu dziesięciu czy dwunastu tygodni udawało im się przy pomocy psychologa wyciszyć problem i złożyć obietnice zmiany zachowań. Laura obiecywała, że będzie bardziej wyrozumiała, Erie - że spróbuje znaleźć sposób, by spędzać więcej czasu w domu. Zmiany te jednak nigdy nie trwały dłużej niż kilka miesięcy.

Przyszedł Clay, holując za sobą Josha i jego kumpli. Josh wyprzedził innych, uściskał Laurę i wbił spojrzenie w tort urodzinowy.

- Czemu nie powiedziałaś nam, że się topi?

- Nie chciałam zostawiać...

- A gdzie tata? - syn przerwał jej, spoglądając to w kierunku drzwi, to z powrotem na matkę. W kącikach jego oczu pojawiło się rozczarowanie. - Nie przyszedł, prawda?

Clay stał z kolegami Josha kilka kroków dalej. Laura dostrzegła zmieszanie w jego oczach. Fakt, iż Erie nie przyszedł na urodziny własnego dziecka, był dla Claya szokiem. Laura zagryzła wargi i przeniosła spojrzenie na syna.

- Na pewno zaraz przyjdzie, synku. Po prostu się trochę spóźnia.

- Jestem głodny! - jeden z kolegów Josha przecisnął się do przodu. - Ooo, to mój ulubiony tort!

- Dobra, chłopaki - Laura zdobyła się na uśmiech - usiadźmy i zaśpiewajmy!

Clay usadowił się obok niej i wspólnie z dziećmi zaśpiewali wesoło, choć mocno fałszując, „Sto lat”. Gdy skończyli, trącił ją w łokieć, pochylając się ku niej, by tylko ona usłyszała jego słowa.

- Martwię się o Erica.

Sięgnął do jej torebki, wyciągnął stamtąd komórkę i wręczył jej.

- Ja pokroję tort, a ty do niego zadzwoń.

Eric Michaels siedział w siedzibie firmy Koppel&Grant w otoczeniu najlepszych doradców finansowych. Czterech mężczyzn i dwie kobiety tworzyło zespół codziennie aranżujący multimilionowe transakcje dla wielkich udziałowców i największych korporacji na świecie. Doradcy pobierali prowizje od przeprowadzonych transakcji i każde z nich zarobiło już w tym roku sześciocyfrową premię. Właśnie trwała burza mózgów dotycząca firm farmaceutycznych; chodziło o to, która z nich zapowiadała potencjalne zarobki przewyższające ryzyko inwestycji przy obecnym stanie rynku.

Byli już dwie godziny spóźnieni, ale wciąż jednakowo dalecy od jakiegokolwiek porozumienia.

- Intuicja podpowiada mi, żeby postawić na Artigen - Paul Murphy wstał i podszedł do okna. Zachodziło właśnie słońce i niebo nad San Fernando Valier przecinały pomarańczowe smugi. - Pracują obecnie nad tym lekiem Lou Gheriga. Osoby dobrze poinformowane twierdzą, że udoskonalają właśnie genetyczną odpowiedź na wiele odmian raka. Amgen to właściwy trop.

- Jeśli już bierzemy pod uwagę intuicję, to moim zdaniem lepszym wyborem byłby Chiron. Ich akcje stoją od kilku tygodni wysoko, a lekarstwo na raka mają już właściwie gotowe.

- Posłuchajcie - Erie odchylił się na krześle i postukał ołówkiem w notes. - Nasi klienci nie płacą nam za kierowanie się głosem intuicji - gwałtowne

westchnienie wyrwało mu się z piersi. - Nowy Jork chce mieć naszą decyzję rano - spojrzął po obecnych - i nie możemy sobie pozwolić na pomyłkę.

- W ostatnim okresie mamy rację w trzech przypadkach na cztery - Murphy obrócił się i podszedł z powrotem do stołu. Był przysadzistym facetem, a żyły na jego skroni tworzyły wyraźne błękitne linie po obu stronach czoła. - Czego oni od nas chcą? Nie jesteśmy wrózkami!

- Gdy w grę wchodzi dziesięć milionów... - wszyscy spojrzeli na Erica - lepiej żebyśmy byli. - Zawahał się. - Allen powiedział, że jeszcze jedna pomyłka i zaczną się zastanawiać nad zamknięciem naszego oddziału.

- Zamknięciem oddziału w Los Angeles? - Murphy'emu opadła szczęka. - Allen chyba zwariował.

- Murphy ma rację - jedna z dwóch siedzących przy stole kobiet nachyliła się, marszcząc brwi. - Inwestorzy nie będą chcieli pracować z doradcą, który ma biuro tylko w Nowym Jorku.

- Wiem. I Allen też to wie. Ale pamiętajmy o jednym... - Erie na chwilę zagapił się w sufit. Uwielbiał to. Uwielbiał wytwarzać atmosferę suspense, uwielbiał pełne napięcia oczekiwanie klientów na jego decyzję. Wynik dzisiejszego zebrania przesądzi o losach niejednej fortuny. Tego rodzaju władza uderza do głowy i nigdy nie przestaje urzekać. Jeszcze raz spojrzął na swoich kolegów.

- ... w tej branży nie ma ludzi niezastąpionych.

W wewnętrznej kieszonce jego skórzanej aktówki zadzwonił telefon. Popatrzył na teczkę i nagle przypomniał sobie: urodziny Josha!

To chyba dziś! Tak, 4 września... zgadza się. Chłopak kończy dziś osiem lat. Erie rzucił spojrzenie na ścienny zegar i skrzywił się. Wpół do ósmej! Powiedział Laurze, że będzie tam o której? O szóstej czy o wpół do siódmej? Wszystko jedno, i tak już za późno... Telefon zadzwonił ponownie i Erie powiódł spojrzeniem po pokoju: wszyscy intensywnie się w niego wpatrywali. Sięgnął do torby, złapał komórkę, wstał i, unosząc w górę palec, bezgłośnie wyszeptał:

- Zaraz wracam.

Potem, trzymając dzwoniący telefon w dłoni, przeszedł szybko przez pokój i wysliznął się na korytarz. Jednym ruchem otworzył klapkę i zbliżył aparat do ucha.

- Słucham?

- Erie?



- Lauro? - hałas w tle był tak głośny, że ledwo ją słyszał. Przygotowywał się na to, co go czeka. - Jesteś w restauracji? - nastąpiła chwila ciszy i Erie zawahał się. Może go nie usłyszała? - Lauro?

- Jestem - odpowiedziała z głębokim westchnieniem, nie kryjąc rozczarowania. - Oczywiście, że jestem w restauracji. Jesteśmy tu od dwóch godzin. Pizza zjedzona, żetony się skończyły, a Clay pomaga Joshowi kroić tort urodzinowy.

- Clay? - Erie przełknął ślinę, desperacko próbując zyskać na czasie. Przynajmniej jego brat pamiętał, więc Laura nie musi sama dbać o wszystko na imprezie. A jednak... w końcu to on był ojcem Josha i przecież mieli tylko jego. Erie nerwowo potarł skronie kciukiem i palcem wskazującym. Jak mógł zapomnieć?!

- Clay ci pomaga?

- Tak - Laura zamilkła na dłuższą chwilę. - Clay cieszy się, że może uczestniczyć w życiu Josha.

Erie otarł pot z czoła i zaklął pod nosem.

- Będę za piętnaście minut. Laura nie odpowiedziała.

- Za piętnaście minut, Lauro, naprawdę!

- Co cię zatrzymało tym razem? - sarkazm przebijał z każdego jej słowa. - Czy może po prostu zapomniałeś?

- Oczywiście, że nie - odpowiedział szybko, co nawet w jego własnych uszach zabrzmiało jak kłamstwo. - Musieliśmy podjąć ważną decyzję. Było zebranie, któremu przewodniczyłem. Nie mogłem ot tak sobie wyjść. W Nowym Jorku czekają jutro na naszą odpowiedź.

- Powiedz to Joshowi.

- Posłuchaj, Lauro... - czuł się schwyty w pułapkę i serce zaczęło mu bić szybciej. Jego współpracownicy siedzieli zaledwie parę metrów dalej za zamkniętymi drzwiami, więc starał się mówić jak najciszej. - Tracimy tylko czas. Będę za kwadrans, przysięgam.

- Nie, Erie, nie ma mowy.

- Dlaczego? - wysilił się nieco, by jego głos zabrzmiał jak głos oburzenia.

- Przecież będziecie tam jeszcze jakieś pół godziny. Mógłbym przynajmniej zdążyć na sam koniec.

- Nie zdążysz.

- Piętnaście minut, Lauro, obiecuję. Będę tam za...

- Przestań! - Laura podniosła głos, lecz równie nagle go obniżyła. - Oboje dobrze wiemy, że nie przyjdiesz za piętnaście minut - głos jej się załamał i

zawahała się na chwilę. - Wymyślę jakąś bajeczkę dla Josha. Powiem mu, że wypadło ci coś, na co nie miałeś wpływu.

- Bo tak faktycznie jest, Lauro. Taka jest prawda.

- Daruj sobie, proszę. Nie ma takich zebrań, których nie można przełożyć - zrezygnowała z sarkazmu i jej głos napełnił się pełnym zmęczenia smutkiem. - Przecież to jego urodziny.

Erie z trudem przełknął ślinę. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że dopóki nie zadzwoniła, w ogóle nie pamiętał o urodzinach syna.

- Masz rację - starał się mówić spokojnie. - Nawaliłem. Powiedz Joshowi, że wynagrodzę mu to w ten weekend.

- W jaki sposób?

- Na przykład... - gorączkowo szukał jakiegoś pomysłu. - Wspólny wypad na plażę. Powiedz mu, że mam dla niego coś specjalnego, coś, czym można się bawić tylko w wodzie.

- Na plażę? - powątpiewała Laura - W ten weekend?

- Albo w przyszły, w najgorszym wypadku.

- Przecież w ten weekend jedziesz do Nowego Jorku.

- Faktycznie... - zwinął dłoń w pięść i uderzył nią kilkanaście razy we framugę drzwi. - No to w takim razie w przyszły. Powiedz mu, że na pewno w przyszły weekend.

- Dobrze - ton Laury powiedział mu więcej niż słowa. Miała dosyć jego wymówek, jego ciągłej nieobecności w domu. Miała dosyć jego pracy, która tak często czyniła z niej samotną matkę. Uczucia te, odzywające się w niej od czasu do czasu, niekiedy skłaniały ich do wizyty u terapeuty. Ale bez względu na to, jak idiotyczny był jego rozkład zajęć, bez względu na to, jak często umawiali się z terapeutą, efekt był zawsze taki sam.

Laura starała się to zrozumieć.

Nie czuła się szczególnie szczęśliwa z tego powodu, ale starała się zrozumieć, gdyż - ostatecznie - cóż innego mogła zrobić. Praca Erica stanowiła jedyne źródło ich dochodu, a utrzymanie takiego domu jak ich sporo kosztowało. Mogli twierdzić, że najważniejsza w życiu jest rodzina czy wiara, ale tak naprawdę wszystko kręciło się wokół jego pracy. I tak będzie aż do chwili, gdy zostanie prezesem firmy.

Gdy już ów dzień nadejdzie, Erie nadrobi życiowe zaległości we wszystkich możliwych urodzinach. Taki przynajmniej miał plan. A Laura nie miała innego wyboru, jak tylko pogodzić się z rzeczywistością - przynajmniej aż do tamtej chwili.

Cisza, która nagle zapadła, za bardzo się przedłużała, aby mogło to być dziełem przypadku. Erie przewrócił oczyma i całą uwagę skupił na przewodzie wentylacyjnym biegnącym pod sufitem.

- Laura?

- Co? - jej głos był cichszy niż przedtem, jakby przygnębiony.

- Przepraszam - Erie zrobił krok w kierunku pokoju zebrań. - Przekaż to ode mnie Joshowi.

- Do widzenia.

- Słuchaj... - nagła myśl zaświtała mu w głowie: jeśli nie musi iść na przyjęcie Josha, to mogą dokończyć dyskusję nad Amgenem i Chironem, a nie zapowiadało się, że szybko skończą. - Nie czekajcie na mnie.

- Co takiego? - głos Laury natychmiast nabrzmiał gniewem.

Erie wstrzymał oddech i mówił cicho:

- Zebranie może się przeciągnąć do późna, nawet po dziesiątej. Jeżeli dziś skończę wszystko, jutro mogę iść później i może uda nam się zjeść we trójkę śniadanie - zamilkł na chwilę, dając jej czas na odpowiedź, ale Laura milczała. - Zresztą gdy przyjdę, Josh i tak będzie już spał...

- Dobrze. Do widzenia.

- Ale wszystko w porządku, prawda? Lepiej przecież skończyć zebranie...

Ale w telefonie dał się słyszeć tylko cichy klik i urządzenie wyłączyło się. Erie zamknął aparat i przez chwilę bezmyślnie się w niego wpatrywał. Łatwiej mu było pracować, gdy żona wściekała się na niego. Dawało mu to jeszcze jeden powód do pozostawania w biurze do późna. Opanował się i wrócił do pokoju narad. Toczyła się tam dyskusja na temat odkryć Chirona w dziedzinie walki z rakiem. Zanim przyłączył się do obrad, odłożył komórkę do teczki, a wyciągnął stamtąd notes elektroniczny. W dziale notatek zapisał: „kupić Joshowi deskę surfingową”.

Następnie zajrzał do kalendarza. Pierwszą rzeczą, jaką miał zaplanowaną na sobotni poranek, był wylot do Nowego Jorku. Dzięki temu będzie miał czas spotkać się z Allenem i kilkoma dyrektorami w niedzielę przy śniadaniu i podczas lunchu. Poniedziałek i wtorek natomiast będą szczelnie wypełnione spotkaniami w biurze na sześćdziesiątym czwartym piętrze World Trade Center - jednego z centrów finansowych wszechświata.

Najlepiej byłoby kupić Joshowi tę deskę dziś wieczorem. W ten sposób mógłby mu ją wręczyć przy śniadaniu. Gdzieś takie ostatnio widział - ale gdzie? Erie wpatrywał się w palmtopa i usilnie próbował sobie przypomnieć. Nagle go oświeciło: Albertson w pobliżu autostrady! Od czasu do czasu

supermarkety spożywcze miały dostawy sprzętu plażowego, nawet desek surfingowych. W ubiegłym tygodniu Erie wstąpił tam, żeby napić się soku pomarańczowego, i widział całą ich piramidę przed sklepem. Na szczęście w dni powszednie zamykali dopiero o jedenastej.

Erie odłożył palmtopa do teczki. Doskonale! Zatrzyma się u Albertsona po drodze do domu, kupi deskę i jutro z samego rana zrobi Joshowi niespodziankę. To powinno mu wynagrodzić nieobecność ojca na przyjęciu urodzinowym. Poza tym jest tam przecież Clay - on pomoże Laurze spakować prezenty do samochodu i sprawi, że dla Josha ten dzień będzie wyjątkowy. Tylko o to chodziło.

Obecnie dyskusja toczyła się wokół Amgenu - Erie przez chwilę przysłuchiwał się, zanim zabrał głos.

- Jest jeszcze pięć innych firm farmaceutycznych, które należy wziąć pod uwagę - otworzył leżącą przed nim teczkę. - Przeczytam wam niektóre dane...

Zebranie zakończyło się dopiero o wpół do jedenastej. Po wysłuchaniu wszystkich argumentów jednogłośnie doszli do wniosku, iż Amgen będzie najlepszy. Postaw na Amgen, a nie stracisz! Tym razem nie mylili się, Eric to czuł.

Gdy tylko zamknęli tę sprawę, Murphy wyciągnął jakiś papier.

- Byłbym zapomniał. Allen chce, żebyśmy podzielili się nowymi inwestorami, zanim jutro zadzwonimy do niego.

Odpowiedział mu zbiorowy jęk.

- Powinniśmy byli zająć się tym dzisiaj po południu - Erie założył ręce i zmarszczył brwi.

- Tak, a teraz już za późno - Murphy odłożył kartkę na miejsce. - Spotkajmy się więc jutro przy śniadaniu w kafejce na dole o siódmej - spojrzął po kolei na wszystkich swych współpracowników. - Pasuje?

Wszyscy przytaknęli, sięgając po palmtopy i kalendarze, by zapisać informację o jutrzejszym porannym spotkaniu. Chwilę później rozeszli się do swoich prywatnych gabinetów, gdzie niektórzy mieli spędzić jeszcze przynajmniej godzinę przy komputerze.

Erie szedł na parking z Trish O'Reilly, która dopiero niedawno dołączyła do ich zespołu. W połowie drogi Trish zwolniła i spojrzała na niego.

- Z kim rozmawiałeś przez telefon? Pytanie zaskoczyło Erica. Starał się w żaden sposób nie łączyć pracy i życia prywatnego. Ale coś usposabiało go teraz do rozmowy - czy to późna pora, czy może ulga po zakończonym

pomyślnie zebraniu, a może po prostu to, że zupełnie nie chciało mu się wracać do domu i spotkać z Laurą. Spojrzał na niebo rysujące się poza światłami parkingu.

- Z żoną.

Trish zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersiach. Erie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jaka jest młoda. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia siedem lat, wyglądała też całkiem niczego sobie.

Zmrużyła oczy i powiedziała:

- Jak ty to robisz? Jak to możliwe, że twoja żona jest zadowolona, chociaż ty spędzasz tu tyle czasu?

- Cóż... - Erie przypomniał sobie ton głosu Laury podczas ich wcześniejszej rozmowy. - Nie jest łatwo.

- Wiem - Trish spuściła na chwilę wzrok na asfalt parkingu. Gdy znów podniosła oczy, w jej spojrzeniu była jakaś bezradność. - Wczoraj mój mąż złożył wniosek o rozwód.

- Ooo - Erie postawił aktówkę na ziemi i wsunął ręce do kieszeni. - Przykro mi.

Trish otarła pojedynczą łzę, która nagle popłynęła jej po policzku.

- Hej, wszystko będzie dobrze - Erie nagle poczuł się niezręcznie. - Znajdziesz sobie kogoś innego.

Nie wiedząc nawet, dlaczego właściwie to robi, przybliżył się i objął ją. Nie było to przytulenie pełne czułości; raczej rodzaj lekkiego uścisku, jakim ludzie obdarzali się na pogrzebach, niespecjalnie wiedząc, co w takiej sytuacji powiedzieć.

Przez kilka sekund Trish stała przytulona do niego, a potem cofnęła się.

- Przepraszam - pociągnęła nosem. - Nie chciałam ci się wyżalać - ich oczy spotkały się ponownie.

- Uwielbiam tę pracę, naprawdę. Ale czasami zastanawiam się, jak można to wszystko pogodzić: wymarzoną pracę i idealne życie rodzinne.

- To kwestia ponoszenia niezbędnych ofiar

- Erie zrobił krok w tył i sięgnął po swoją teczkę.

- Moja żona lubi życie, jakie prowadzimy, dom, wycieczki, samochody. Nie narzeka zbyt często - wyobraził sobie Josha i jego kolegów bawiących się w pizzerii. - Ale czasami zdarza mi się przegapić coś z życia rodziny.

- Zdaje się, że znalazłeś dobrą metodę.

- Taak - gdzieś na peryferiach sumienia Erica zamajaczyły wątpliwości. - Chyba tak.

W głębi duszy zastanawiał się, czy Trish jest nim zainteresowana, czy tylko szuka przyjaciela, któremu mogłaby się zwierzyć. Jakkolwiek by nie było, on nie był zainteresowany. Nie miał czasu dla Laury i Josha, a co dopiero dla Trish. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Erie skinął głową w kierunku samochodu.

- Muszę już iść.

- No tak - Trish uśmiechnęła się smutno. - Ja też. Do zobaczenia jutro na śniadaniu.

- Jutro... - Erie zamilkł. Przecież obiecał Laurze, że jutro wyjdzie później i że zjedzą razem śniadanie. Teraz okazuje się, że będzie musiał wyjść jeszcze wcześniej niż zwykle. Czemu nie przyszło mu to do głowy, gdy Murphy ustalał spotkanie? Mógł nalegać, żeby raczej dziś zostali dłużej, a nie spotykali się tak wcześnie rano. - O siódmej, prawda?

- Aha - Trish ruszyła w kierunku swojego samochodu. - Hej, Erie! Dzięki za wysłuchanie!

- Nie ma sprawy - podszedł do swojego czarnego, najnowszego modelu mercedesa. - Zawsze do usług.

Pięć minut później, mijając supermarket Albert-sona, nacisnął gwałtownie hamulec. Deska! Cofnął i wjechał na parking, rzucając pospieszne spojrzenie na zegarek. Dwie po jedenastej. "Niech będzie otwarte, błagam!". Pędem wjechał na miejsce w pobliżu wejścia do sklepu, przełączył skrzynię biegów na tryb parkowania i pobiegł do podwójnych drzwi. Wewnątrz jakiś nastolatek w białej koszuli mył mopem podłogę.

- Halo! - Erie zastukał w szybę, czekając, aż chłopak na niego popatrzy. - Proszę otworzyć! Muszę coś kupić.

- Niestety, przykro mi - chłopak potrząsnął głową. Przestał sprzątać i podszedł bliżej do drzwi. - Już zamknięte.

Erie zastukał ponownie.

- To pilne! - nie będzie mu się tu jakiś pryszczaty młokos wymądrzał. - Proszę zawołać kierownika!

Chłopiec zniknął i po krótkiej chwili wrócił z niskim, zmęczonym facetem w wymiętej koszuli i krawacie. Mężczyzna podszedł do drzwi i krzyknął do Erica:

- Na dziś mamy już zamkniętą kasę. Otwieramy jutro o siódmej.

Erica ogarnęła rozpacz. Nie mógł wrócić do domu z pustymi rękami. Na pewno nie po tym, jak nie przyszedł na przyjęcie urodzinowe Josha. Trzęsącymi się rękami sięgnął do kieszeni i wyciągnął portfel. Walcząc z

zatrząskami, otworzył go, wyszarpnął studolarowy banknot i pomachał nim w kierunku kierownika.

- To bardzo pilne! Proszę!

Facet przyjrzał się banknotowi i rozejrzał dokoła. Nastolatka nie było. Pewnie sprzątał w innej części sklepu. Szybkim ruchem wsunął klucz do drzwi i otworzył na tyle szeroko, by Erie mógł się przecisnąć. Wziął studolarówkę i wyraźnie poirytowany potrząsnął głową.

- Ma pan dwie minuty.

Erie spiorunował go wzrokiem - dwie minuty za sto dolców?!

Wszedł do sklepu, klnąc pod nosem. Jeśli będzie potrzebował więcej czasu, to na pewno zostanie dłużej. Przeszedł przez sklep i ruszył w kierunku miejsca, gdzie niedawno widział wystawione deski. W niespełna trzydzieści sekund zdał sobie sprawę, że już ich nie ma.

- Halo! - rzucił gniewnie, a jego słowo odbiło się echem od pustych kas.

Pojawił się kierownik zdradzający oznaki zniecierpliwienia.

- Już?

- Gdzie są deski surfingowe? W zeszłym tygodniu mieliście ich ze sto.

- To była promocja. Wczoraj odesłałem ostatnie. Erie zacisnął zęby i rozejrzał się po sklepie. Cóż można znaleźć dla ośmioletniego chłopca w supermarkecie?! Szybko przeszedł przez sklep i wziął dużą, czerwoną kartkę urodzinową oraz gigantyczną tabliczkę czekolady. Zapłacił kierownikowi i po chwili znowu siedział w samochodzie.

Sto cztery dolary za kartkę i czekoladę!

Gdy pół godziny później wjeżdżał do garażu, dom pogrążony był w ciemności. Wszedł po cichu i zaświecił lampkę nad kuchenką. W przyciemnionym świetle znalazł pióro i otworzył kartkę urodzinową.

„Kochany synku! Przepraszam, że nie przyszedłem na Twoje przyjęcie, ale wiesz co, musisz mi pomóc wybrać dla Ciebie prezent. Może w następnym weekend, po moim powrocie z Nowego Jorku. Myślałem o desce surfingowej - świetny pomysł, prawda? Nauczę Cię wszystkiego, co sam umiem.

Będziemy się świetnie bawić! Wszystkiego najlepszego, Josh! Trzymaj się! Tata”.

Włożył kartkę do koperty, zakleił ją i napisał na niej imię syna. Potem oparł ją o barek ze słodyczami, gdzie Josh odkryje ją jutro rano.

Laura już spała, więc Erie, woląc jej nie budzić, położył się w pokoju gościnnym. Przez większą część nocy wiercił się i kręcił w pościeli, zasta-

nawiając się, czy jednak nie powinni byli wybrać Chirona zamiast Amgenu, oraz czy kierownictwo którejkolwiek z tych firm naprawdę miało w ręku lekarstwo na raka.

Jeszcze przed wpół do siódmej następnego ranka znów był na drodze, pędząc na robocze spotkanie przy śniadaniu.

RS



## Rozdział 3

7 września 2001

Skuter wodny niemal unosił się nad wodami zatoki, pędząc z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Cały tydzień czekali na ten dzień. Raz w miesiącu Jake miał wolny piątek i, jeżeli tylko pogoda na to pozwalała, wybierali się nad wodę niedaleko South Beach. Przez ostatnie lata zazwyczaj rezygnowali ze skutera. Ale nie tego września - Jake nie pamiętał piękniejszej jesieni.

Tym razem pojechali z nimi Sue i Larry Henningowie - obie pary na zmianę pilnowały dzieci pluskających się przy brzegu. Katy, córka Henningów, była najlepszą towarzyszką zabaw Sierry. Były rówieśniczkami - obie za rok miały pójść do przedszkola. Larry i Sue mieli jeszcze sześciomiesięcznego synka, ale zostawili go z dziadkami.

Dobry, stary Larry - od szkoły średniej najlepszy kumpel Jake'a. Obaj przeszli szkolenie ogniowe i w tym samym miesiącu wstąpili do straży. Sporo czasu minęło, zanim wylądowali w tej samej remizie, jednak już od sześciu lat należeli do załogi Wozu Gaśniczego 57 z centralnego Manhattanu.

Larry miał kłopoty z kolanami - za dużo futbolu: najpierw w szkole, potem w strażackiej reprezentacji - ale nigdy nie przepuszczał okazji pośmigania na skuterze z Jakiem.

- Godzina na skuterze - mawiał - warta jest tygodnia bólu w kolanach.

Jake, prowadząc skuter po łuku, poczuł, jak Jamie pochyła głowę na bok, pozwalając chłodnej wodzie pryskać na twarz. Wiedział, o czym myśli. Powiedziała mu to wszak już sto razy. Uwielbiała spędzać z nim czas nad wodą, uwielbiała prędkość i poczucie jedności z maszyną.

Zbliżyła twarz do ucha męża:

- Moja kolej!

Jake kiwnął głową, wyłączył silnik i wykręcił ciasne kółko. Lekko i z gracją przesiadł się do tyłu, a Jamie jednocześnie wśliznęła się za kierownicę. Żartobliwie ukłuł żonę palcami pod żebra:

- Hej, nie zabij nas.

- Spoko, cykorze - zaśmiała się Jamie, rzucając mężowi spojrzenie przez ramię. - Odrobina szybkości jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Jakże lubił ten kpiący ton, ten roztańczony wzrok! Podniósł ręce i zasłonił dłońmi oczy.

- Powiedz mi, kiedy już będę mógł patrzeć.

Odchyliła głowę w tył, wrzucając bieg. W pracy Jake stykał się ze znacznie niebezpieczniejszymi sytuacjami. Ona była tylko domową mamuszką. Najniebezpieczniejszym jej zadaniem było gotowanie obiadu. Gdy jednak zaczynała się zabawa, żądza emocji u Jamie nie miała granic.

Jake oparł policzek na jej ramieniu, obserwując, jak zabiera się do wyprzedzania odległego o sto metrów wielkiego ślizgacza.

- Trzymaj się - jej głos utonął w ryku silnika, gdy otworzywszy przepustnicę skierowała się wprost na szeroki kilwater motorówki. Spoglądał przez ramię żony na licznik: osiemdziesiąt kilometrów na godzinę... dziewięćdziesiąt... dziewięćdziesiąt pięć...

To była cała Jamie - w głębi duszy przerażona na samą myśl o tym, że coś mogłoby mu się stać podczas gaszenia pożaru, za to niewahająca się ryzykować życia ich obojga dla chwili zabawy. Jake objął dłońmi jej wąską talię. Od zawsze miała w sobie tę dziką żyłkę - od dzieciństwa.

Chłopakom z drużyny futbolowej nawet nie przyszło do głowy, że można by było chodzić z Jamie Steel.

- Jest śliczna, nie zrozum mnie źle - powiedział kiedyś Larry pod koniec drugiej klasy liceum - ale ta dziewczyna potrafiłaby wykonać zagranie bezpieczne lepiej niż połowa chłopaków z drużyny. Gdybym ją wkurzył, wykopałaby mnie po tyłku.

Najprawdopodobniej miał rację.

Jamie była rozgrywającą drużyny koszykówki, łapaczką w drużynie softballu i mistrzynią stanu w rzucie oszczepem. Rekordu ustanowionego przez nią pod koniec lat osiemdziesiątych do dziś - o ile Jake się orientował - nikt jeszcze nie pobił.

Po ukończeniu szkoły średniej, gdy ich chodzenie ze sobą zaczęło się przekształcać w coś poważniejszego, Jake zabierał Jamie na spacer po parku Wolfe's Pond. Gdy po kilku minutach marszu zaczynała się przed nimi rozciągać szara, piaszczysta droga. Jamie zwykle klepała go w ramię z okrzykiem: „Kto pierwszy?!” i ruszała z kopyta.

Jake biegał jak zawodowy sprinter, jednak Jamie niejedną raz zdarzało się być pierwszą na mecie.

Bez żadnych forów. Po biegu padali zdyszani pod rosnącym nieopodal drzewem.

Kiedyś, gdy tak leżeli, przyglądał się jej chwilę, po czym, potrząsając głową, zapytał:

- Przed czym uciekasz, Jamie?

Obróciła się na brzuch i zaczęła się bawić żdźbłem trawy.

- Przed tobą.

Jeszcze raz potrząsnął głową, uznawszy, iż nie zrozumiała pytania.

- Nie chodzi mi o wyścigi, głuptasku. W życiu. Dlaczego zawsze tak pędzisz? Wyraźnie przed czymś uciekasz.

Przez długą chwilę patrzyła mu w oczy spojrzeniem głębszym niż Zatoka Nowojorska.

- Powiedziałaś mi, głuptasku. Przed tobą...

- Przede mną?! - aż zadarł głowę do góry. - Uciekasz przede mną?

- Tak - oparła łokcie na ziemi i brodę na dłoniach. - Mam coś takiego... nie wiem... coś takiego w sercu. Te wszystkie uczucia i emocje... taką energię... o wiele więcej niż powinnam - uśmiechnęła się krzywo. - Im więcej jej zużywam na sport, tym mniej mam jej dla ciebie.

Oparł się o pień, czując, że się w niej zakochuje.

- Czyżby?

- Tak - Jamie zabłysły oczy. - Dlatego, jeżeli coś ci się stanie, ja sama nie zginę.

Wielokrotnie później, zwłaszcza w pierwszym roku ich małżeństwa, Jake próbował przypomnieć Jamie tę rozmowę. Zawsze jednak udawała, że jej nie pamięta.

- Traktujesz mnie z rezerwą, Jamie. Jak to możliwe?

- Nieprawda - odpowiadała zdziwiona, wręcz dotknięta. - Wszystko, co mogę ofiarować, jest twoje, Jake. Wiesz o tym.

Przyglądał się jej, próbując zrozumieć.

- Pamiętasz, jak kiedyś w Wolfe's Pond powiedziałeś, że nie możesz mi ofiarować wszystkiego, bo boisz się, że nie dasz sobie rady, gdyby coś mi się stało? Pamiętasz? Tak, jakbyś się bała za bardzo mnie kochać.

Potrząsała burzą ciemnych włosów.

- Może i jestem ambitna. I martwię się o ciebie, gdy jesteś w pracy. Ale nie boję się ciebie kochać, Jake - koniuszkami palców obrysowywała twarz męża, zwracając się jakby wprost do jego duszy. - Nie traktuję cię z rezerwą, kochanie. Nie ciebie. Nigdy.

A jednak to robiła. Wciąż traktowała go z rezerwą.

To było oczywiste, choćby tylko w takich chwilach, jak ta, kiedy z rozwianymi włosami pędziła jak szalona po zatoce, gorączkowo próbując

uciec przed jakimś niewidzialnym zagrożeniem, które mogłoby ją dopaść. Jake objął ją mocniej, żeby nie spaść.

Jeżeli nie uciekała przed nim, to może uciekała przed Bogiem. Jake rozpaczliwie próbował jakoś zwrócić na Niego jej uwagę. Codziennie się o to modlił, jednak Jamie nie wykazywała żadnego zainteresowania w tym kierunku.

Cokolwiek by to zresztą było, Jake nie miał najmniejszych wątpliwości, że Jamie przed czymś ucieka.

Dogonili motorówkę.

- Trzymaj się mocno - krzyknęła.

Zderzyli się z falą, która wyrzuciła skuter w górę, pozwalając im złapać oddech przed spotkaniem z kolejną falą. Ta prawie ich zmyła.

- Zwolnij, Jamie - Jake lekko ścisnął ramiona żony. - Nie szalej.

Ujęła nieco gazu, wchodząc w szeroki łuk.

- O której godzinie mamy być z powrotem? Jake spojrzał na zegarek:

- Za pięć minut.

- W porządku - znowu skierowała się na ślizgacz i, dodawszy nagle gazu, wyprzedziła go, by po chwili ostro skręcić z kierunku brzegu. - Będziemy za trzy.

Z pochyloną głową pędziła z maksymalną prędkością w poprzek zatoki. Jake nie bał się. Oboje umieli pływać. Jamie zaś była zbyt dobrą kierowcą, żeby cokolwiek mogło im się stać na otwartych wodach. Jednak gdy się o nią oparł, czując jej nagie plecy pod swą pierś, zdał sobie sprawę, że nigdy nie złączy się z nią tak ściśle, jak by chciał i jak był w stanie to uczynić. Nie, dopóki Jamie będzie uciekać.

Zapatrzył się w kontur miasta na horyzoncie i rozwichrzone strzępiaste chmury nad nim. „Boże, jeśli ona ucieka przed Tobą, proszę, złap ją. Ona się tak boi... tak boi się straty, zmiany, śmierci. Ona boi się Ciebie. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić, Boże. Pomóż jej się zatrzymać... za wszelką cenę...”.

Mewa przemknęła o kilkanaście centymetrów od nich, gdy Jamie wyłączyła silnik i wolno zbliżała się do brzegu. Sierra i Katy podbiegły z zapiaszczonymi kostkami i kolanami.

Jake pocałował Jamie w kark.

- Miło się jechało.

- Dzięki - odparła zdyszana i zaczerwieniona na policzkach. - Mogłabym tak jechać bez końca.

Jake uśmiechnął się, ale na te słowa ścisnęło go w dołku. Przed czymkolwiek ucieka, to wciąż ją trapi, jak zawsze, od dawna. Zaparkowali skuter i skierowali się ku Larry'emu i Sue.

Po drodze Jake wciąż rozmyślał o żonie. Zawsze tak będzie uciekać? Czy okaże się dość odważna, by pozwolić mu się złapać? Nie tylko jemu, również Bogu.

\* \* \*

Jamie i Sue zostały z dziećmi, aby tym razem ich mężowie mogli spokojnie poszaleć na wodzie. Przysunęły leżaki w pobliże nadpływających fal, bliżej Sierry i Katy.

- Przysięgłabym, że Katy urosła parę centymetrów od czasu, gdy ostatni raz tu byliśmy - Jamie przysłoniła oczy dłonią, by lepiej widzieć bawiące się dziewczynki.

- Jest podobna do mojej rodziny - Sue sięgnęła po dietetyczną colę. - Moja matka ma prawie metr osiemdziesiąt.

- Szczęściara. Wybiorą ją do drużyny koszykówki. Nie to co my, konusy, musiałyśmy ciężko zapracować na każdą minutę na boisku.

Zamilkły, a Sue rozejrzała się po zatoce, szukając wzrokiem ich mężów.

- Lubię widzieć ich razem - przeniosła spojrzenie na Jamie. - Są do siebie tacy podobni. Prawie jak bracia.

Jamie podniosła buteleczkę balsamu do opalania, wylała sobie sporo ciepłego, białego płynu na dłonie i poczęła wcierać go w przedramiona. Cudownie rozgrzewał skórę, usuwając z niej całe zimno nagromadzone podczas jazdy po zatoce.

- Lubię, jak pracują na jednej zmianie - zerknęła na Sue. - Uważają na siebie nawzajem.

- Larry mówi, że Jake nie pozwoliłby, żeby mu się coś stało na służbie - zachichotała Sue. - Jakby Jake był mocniejszy od losu.

- Jake to samo myśli o Larrym - Jamie położyła buteleczkę na piasku. - Niezła z nich para.

- Jak bliźniacy rozdzieleni po urodzeniu - Sue posłała leniwy uśmiech w stronę skutera, który właśnie nabierał prędkości, kierując się ku głębszej wodzie. - Chociaż wcale nie są podobni.

Jamie opuściła ręce na podłokietniki i wpatrzyła się w horyzont. Sue miała rację. Ci mężczyźni byli skrajnym przeciwieństwem. Mierzący metr dziewięćdziesiąt Jake był szczupły i proporcjonalnie zbudowany. Miał krótkie ciemne włosy i niebieskie oczy. Larry poruszał się jak czołg - sto kilo

przy wzroście ledwie metr siedemdziesiąt. Cała skórę pokrytą miał tym rodzajem piegów, który zazwyczaj towarzyszy rudzielcom.

Jamie potrząsnęła głową.

- Szkoda, że ich nie widziałas w szkole. Wypisz wymaluj Flip i Flap.

- Wyobrażam sobie.

- Larry - szalony, Jake - głos rozsądku - Jamie poszperała w torbie, znalazła biały daszek i założyła go na głowę. Wdychała owiewającą ją bryzę.

- Nie uwierzysz, jakie zwariowane rzeczy wtedy wyczyniali.

- Na przykład?

Jamie zamknęła oczy i wygrzebała z pamięci jedno z setek wspomnień.

- Na przykład Larry namówił swoją drużynę, żeby ćwiczyć biegi tu, na plaży, o północy.

- O północy?

- Tak - Jamie uniosła brew. - Do tego w zimie - zachichotała na samo wspomnienie. - Chłopakom sople zwisały z włosów, zanim Jake uznał, że dali z siebie wszystko i kazał im z samego rana stawić się w szkole.

- Hmm - Sue spojrzała na morze, a Jamie powiodła oczyma za jej spojrzeniem. Ich mężowie byli tylko maleńkimi kropeczkami na horyzoncie.

- Szkoda, że mnie tu wtedy nie było.

- Mam wrażenie, że zawsze tu byłaś. Siedząca kilka kroków dalej Sierra przerwała

zabawę i pomachała wesoło. Jamie odpowiedziała tym samym.

- Poznałaś Larry'ego na studiach?

- Tak, na pierwszym roku. Na trzecim spotkaniu akademikowego koła biblijnego.

Było w tych słowach coś, co zwarzyło nastrój Jamie. Zamilkła na kilka minut. Zazwyczaj ignorowała wszelkie wypowiedzi na temat religii padające z ust Larry'ego, Sue czy nawet Jake'a, ale tym razem poczuła nagłą potrzebą zapytania.

- Czy to naprawdę takie wspaniałe? - rzuciła, przekrzywiając głowę.

- Co? - Sue spojrzała na nią obojętnie.

- No wiesz, Kościół, czytanie Biblii, Bóg i tego typu sprawy... - Jamie mówiła powoli, z zastanowieniem. - Tyle lat się tym zajmujesz. Po co? Co w tym takiego wspaniałego?

- A co? - Sue zmarszczyła nos. - Jake cię naciska?

- Nie - Jamie roześmiała się, choć narastało w niej napięcie. - Nigdy tego nie robił. Wie, że to nie ma sensu.

Przyjęła poważny ton:

- Tak się zastanawiam... po co to? Spędzamy razem tak mało czasu. Po co dodatkowo tracić niedzielny poranek na śpiewanie pieśni w jakimś starym budynku?

Twarz Sue rozpogodziła się.

- Nie chodzi o śpiewanie pieśni w starym budynku - w jej głosie nie było najmniejszego tonu krytyki. - Chodzi o zbieranie się razem, by wspólnie wyznawać wiarę, by pokazać, jak bardzo potrzebujemy Zbawiciela. Gdybyśmy tego nie zrobili, cały tydzień wyglądałby inaczej.

Wątpliwość przemknęła przez jałowe obszary serca Jamie.

- Ty... lubisz tam chodzić?

Sue spojrzała na nią współczująco.

- Ty też powinnaś kiedyś spróbować, Jamie. Nic ci się nie stanie, jak raz pójdziesz do kościoła.

Jamie aż się zjeżyła na samą myśl.

- Chodziłabym, gdybym wierzyła w Boga.

- Och... - Sue zawahała się przez chwilę - więc ty wciąż nie wierzysz? - spojrzała na bawiące się dziewczynki: właśnie skończyły budować zamek i teraz kopały wokół niego fosę. - Nawet teraz, gdy masz Sierę?

- Co to znaczy? - Jamie wydawała się nie widzieć żadnego związku.

- Dziecko to prawdziwy cud. Cud życia - wzruszyła ramionami Sue. - Nic tak nie przekonało mnie o istnieniu Boga, jak pierwsze przytulenie maleńkiej Katy. Patrząc na nią, pomyślałam: to część mnie i część Larry'ego połączone w jedną doskonałą całość. Tylko Bóg może uczynić coś takiego.

Jamie zdawała się rozumieć. Miała takie samo odczucie, gdy pierwszy raz tuliła Sierę. Prawdę mówiąc, to za każdym razem, gdy trzymała ją w ramionach. Ale to nie obecność Boga odczuwała, tylko po prostu - jak powiedziała Sue - cud życia. Strząsając piach z kostek, napotkała wzrok przyjaciółki.

- Jeśli Bóg istnieje, to dlaczego nie gasi pożarów, tylko muszą to robić nasi chłopcy?

Z ust Sue wyrwało się ciche westchnienie.

- Nie jesteśmy w niebie, Jamie. Tu nic nie będzie doskonałe. A mimo to Bóg tym kieruje.

- A skąd to wiesz? - Jamie machnęła ręką w kierunku morza. - I ty, i Larry, i Jake mówicie o niebie tak, jakbyście tam byli. A przecież nie ma żadnej

pewności, że istnieje. Poza tym, skoro Bóg pozwala nam cierpieć tu, na ziemi, to dlaczego mamy wierzyć, że ma dla nas coś lepszego po śmierci?

Sue złożyła dłonie na sercu i mówiła niewiele głośniej od powiewającej znad oceanu bryzy:

- To się wie. Jamie. To jest pewność. Wierzę w Boga całą sobą i jestem absolutnie przekonana, że nasze obecne życie jest jedynie cieniem tego, co ma dopiero przyjść. Ziemia to wielka poczekalnia. Tam - wskazała palcem w górę - zacznie się prawdziwe życie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Nagle Jamie podniosła się i przeciągnęła.

- Przepraszam, że poruszyłam ten temat - rzuciła z uśmiechem. - To niezbyt plażowa rozmowa.

Sue ściągnęła brwi. Przez moment Jamie wydawało się, że spróbuje jakoś odeprzeć jej słowa. Ale nie: jej twarz wyrażała spokój. Sięgnęła po dietetyczną colę.

- Kiedy tylko zechcesz, Jamie, kiedy tylko będziesz miała ochotę porozmawiać o Bogu, jestem do dyspozycji, OK?

- OK - Jamie skrzyżowała ręce i wpatrywała się w wodę w poszukiwaniu odległego skutera. - Nie widziałam cię na pogrzebie w niedzielę.

- Nie byłam - Sue wciągnęła głęboko powietrze. - Nie lubię pogrzebów.

- Ale Bóg i tak wszystkim kieruje, co? Nawet tym, że dwudziestosiedmioletni stażysta pada trupem na zawał, nawijając wąż na szpulę?

Sue spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma i Jamie natychmiast skarciła się w duchu. Nie chciała, by jej słowa zabrzmiały chłodno, niemal zjadliwie. Nie chciała się sprzeczać, tylko podać argument.

- Przepraszam cię - wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia przyjaciółki. - Nie musisz odpowiadać.

- Nie, nie - Sue odchrząknęła. - Chcę odpowiedzieć.

Pochyliła się i przycisnęła kolana do piersi.

- Tak jest... Bóg i tak wszystkim kieruje, nawet śmiercią stażysty. We wszystkim jest Boży zamysł, Boży plan, chociaż nie jesteśmy w stanie tego teraz pojąć.

- Aha, Bóg nad wszystkim czuwa... a ty Mu całkowicie ufasz, tak? - Jamie wydawała się zbита z tropu. Tu leżał powód jej zmagania z pojęciem Boga. Jeśli bowiem istniał, nie był sprawiedliwy. Niektórzy ludzie dożywali w spokoju osiemdziesiątki, dziewięćdziesiątki, gdy tymczasem inni - jak jej



rodzice czy ten stażysta - ginęli tragicznie, zostawiając dzieci i inne kochające je osoby. - Nawet śmiercią... kieruje?

- Tak - w głosie Sue brzmiała pewność, wręcz pasja. - Nawet śmiercią.

- OK - Jamie ostatecznie porzuciła kłótniwy ton. Jego miejsce zajęło pytanie płynące z samej głębi duszy. - To dlaczego nie widuję cię na pogrzebach?

- Bo... - Sue wbiła oczy w plażę, w miejscu, gdzie bawiły się Katy i Sierra - bo nie mogę znieść myśli, że któregoś dnia w Bożym planie może znaleźć się pogrzeb Larry'ego.

RS

## Rozdział 4

7 września 2001

Laura ruszyła sprzed domu i skręciła w kierunku zachodzącego słońca. Do kościoła jechało się piętnaście minut - cieszyła się tą chwilą, którą miała tylko dla siebie. Miała się spotkać z kilkoma kobietami, żeby spakować uprzednio zebrane dary dla sierocińca na Haiti. Za kilka tygodni grupa studentów jechała do Portau-Prince, żeby pomalować tamtejszy sierociniec, dary natomiast miały wyruszyć wcześniej, jako część programu pomocy dla potrzebujących. Laura była w komitecie organizacyjnym.

Temperatura w San Fernando Valley znowu zaszalała i tego wieczoru, gdy Laura zjeżdżała ze wzgórza w kierunku Thousand Oaks Boulevard, było trzydzieści pięć stopni. Opuściła szybę w oknie samochodu i oparła na nim ramię.

Początkowo Erie zgodził się zająć tą sprawą razem z nią, ale aż dotąd ani razu nie znalazł na to czasu, a dzisiejsze spotkanie było już ostatnim przed wysyłką. Przedtem zdarzało się, że Laura jeździła do kościoła wściekła, zaciskając ręce na kierownicy, i przez cały wieczór zastanawiała się, dlaczego nie ma z nią jej męża.

Ale nie tym razem.

Od czasu pamiętnych urodzin Josha ledwo się do siebie odzywali. Dzisiejszego wieczoru po raz pierwszy w tym tygodniu Erie został z synem w domu. Laura cieszyła się z chwili samotności. Skręciła w prawo i oparła się wygodnie w fotelu.

Wiedziała, co powinna zrobić: iść do kościoła, pomóc pakować dary dla Haiti, potem wrócić do domu i porozmawiać z Ericem - powiedzieć mu, że już czas, by poszli do terapeuty. Tym razem jednak to wszystko wydało jej się męczące i pozbawione sensu. Przede wszystkim jednak nie miało sensu oszukiwanie kogokolwiek - ludzi ze wspólnoty kościelnej, Josha, Boga. Ani siebie nawzajem. Po co umawiać się z terapeutą, skoro to i tak niczego nie zmieni?

Laura zmrużyła oczy ukryte za ciemnymi okularami i opuściła osłonę przeciwsłoneczną. Gdyby tylko miała w sobie dosyć odwagi, aby przyznać się do porażki, zawrócić samochód, jak burza podjechać pod dom, znaleźć Erica i zażądać rozwodu! Było to jednak jedyne rozwiązanie, które w tej sytuacji uwolniłoby jedno z nich.

„Boże, pomóż mi” - pomyślała. Z głębi duszy wydarł jej się cichy szloch i zapiekły kąciki oczu.

„Córko, jestem z tobą, świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do ciebie, zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić ci przyszłość, jakiej oczekujesz” - słowa Pisma Świętego przysły jej na myśl równie łatwo, jak następny oddech. Jak zawsze, zresztą. Odkąd jako nastolatka została adoptowana, uparcie trwała przy obietnicy, iż Bóg ma wobec niej swój plan. Wierzyła, że jest to plan dobry. Jakie jednak zastosowanie miały te słowa w jej obecnym życiu? Dobry plan i nadzieja? Przyszłość? Przecież nie jest nią pozbawiona miłości codzienna rutyna, którą dzieliła z Ericem! I jakież dobro mogło wyniknąć z ich dalszego wspólnego życia?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast, jak błyskawica przecinająca letnie niebo: Josh! On jest dobrem, które wynika ze związku ich dwojga; jeszcze z tych odległych czasów, gdy ona i Erie kochali się nad życie. I to właśnie Josh zapłaciłby największą cenę za ich rozwód.

Skreśliła na parking przed kościołem, zatrzymała się i wyłączyła silnik. Przez chwilę siedziała w aucie z głową opartą o kierownicę. Nie, absolutnie nie może się rozwieść z Ericem. Nie zrobił wszak nic złego. Nigdy jej nie oszukiwał, nigdy jej nie uderzył, nie wyzywał. Rzadko kiedy odezwał się do niej w niemiły sposób.

Znane pieczenie w oczach stawało się coraz mocniejsze. Szybkim ruchem zdjęła okulary przeciwsłoneczne i rzuciła je na sąsiednie siedzenie. Pojedyncza łza spadła na jej dzinsowe krótkie spodenki i zrobiła na nich małeńkie, mokre kółeczko. Cieszyła się na chwilę samotności, ale przecież nie po to, żeby się rozklejać! Nie był to właściwy czas na płacz. Za pięć minut zbierze się komitet, a następnych kilka godzin miało przynieść zwieńczenie długich miesięcy planowania i gromadzenia darów. Ich wysiłek pomoże wielu dzieciakom na Haiti: dostaną jedzenie, lekarstwa i przybory szkolne.

W czym więc był problem? Dlaczego czuła się tak, jakby jej świat rozpadał się na kawałeczki, jakby jakaś część jej serca nie miała już nigdy zaczerpnąć oddechu?

Laura otarła oczy i kilkakrotnie pociągnęła nosem. Odpowiedź była oczywista: przyczyną jej smutku było nie to, co Erie robił, ale to, czego nie robił. To wszystko, co gdzieś po drodze, na przestrzeni lat przestał robić - dotrzymywać obietnic, zabierać ją na randki czy bawić się z Joshem.

Obecnie z Ericem łączył ją układ przypominający relacje współników w dobrze prosperującej firmie. Nie pozostało nic z miłości i namiętności; nic z magii, która iskrzyła pomiędzy nimi przez pierwsze kilka lat. Nie dawało to jednak żadnej podstawy do rozwodu.

Ścisnęła mocno kierownicę. „Boże... nie widzę wyjścia. Daj mi jakiś znak, coś, co pozwoli mi wierzyć, że kiedyś będzie lepiej”. Tkwiła w więzieniu pozorów i obietnic, i o ile serce Erica nie odmieni się, ten wyrok będzie dożywotni. Bo przecież ani osiągnięcie tytułu prezesa Koppel&Grant, ani zarobienie miliona dolarów mu nie wystarczy. Zawsze będzie jeszcze jeden interes do zrobienia, jeszcze jedno zebranie, jeszcze jeden problem do rozwiązania w korporacji. I zawsze te rzeczy będą ważniejsze niż ona i Josh.

Otarła oczy i uniosła głowę, usłyszawszy kroki zbliżające się do samochodu.

- Laura?

Gwałtownie podniosła głowę i zobaczyła stojącego przy drzwiach auta Claya.

- O, cześć - najszybciej jak mogła, chwyciła okulary przeciwsłoneczne i założyła je. - Przestraszyłeś mnie - uśmiechnęła się z wysiłkiem.

Clay nachylił się i oparł o dach jej samochodu.

- Ty płaczesz?

- Nie - zaśmiała się nieco sztucznie. - Po prostu ciężki dzień.

Przekrzywił głowę i przyjrzał jej się uważnie.

- Na pewno?

- Tak - pociągnęła nosem. - A co ty tu robisz? Clay skinął głową w stronę budynku kościelnego:

- Biorę materiały dla szkółki niedzielnej - uśmiechnął się łagodnie. - Klasa druga zaczyna w tę niedzielę nowy rozdział - zawahał się przez chwilę, po czym zapytał: - Przyszłaś na zebranie w sprawie misji?

Laura skinęła głową. Skorzystała z okazji, by pozbierać się wewnętrznie. Clay zbyt dobrze ją znał, by dać się nabrać, a ona nie chciała, żeby właśnie w tej chwili odkrył prawdę o jej małżeństwie.

Clay cofnął się o krok i oparł o zaparkowanego obok vana.

- Czy Erie nie powinien być tu z tobą?

- Jest zbyt zajęty, nie dałby rady chodzić na zebrania.

- Aha ... - Clay zawahał się. - A co z Joshem?

- Erie z nim został - zmusiła się do uśmiechu. - Spędzają miło czas, tylko we dwóch.

- To dobrze.

Laura powoli wciągnęła powietrze w płuca.

- A jak tam w pracy?

- Przez cały tydzień ani jednego pościgu - Clay wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chyba jakiś rekord!

Laura opuściła wzrok na swoje dłonie. Nie widziała się z Clayem od czasu przyjęcia urodzinowego Joshua i chciała mu podziękować.

- Słuchaj, w urodziny Joshua... - wysiadła z auta, zamknęła drzwi i oparła się o nie tak, że patrzyła prosto w twarz szwagra. - Dzięki, że przyszedłeś. Dla Joshua to było bardzo ważne.

- Powinien tam być jego ojciec! - cień gniewu pojawił się na twarzy Claya. Popatrzył uważnie w oczy Laury przez chwilę dłużej niż wymagała tego sytuacja. - Tak jest zawsze, prawda?

Przez krótką chwilę Laura chciała koniecznie bronić Erica - przecież to w końcu jej mąż, a pracował dokładnie tyle samo już na długo przed urodzeniem Joshua. Ale nie mogła. Clay miał rację: Erie nie poświęcał im wystarczająco dużo czasu, to przecież oczywiste.

- Tak, od jakiegoś czasu - patrzyła na plamkę oleju na asfalcie obok swoich stóp. „Tylko bez płaczu, Boże, proszę! Nie teraz, nie tutaj”. - Erie i Josh właściwie w ogóle się nie znają.

- Idiota! - Clay warknął przez zęby i ze świstem wypuścił powietrze. - Tyle pracuje, że nie wie nawet, co traci!

Laura popatrzyła na niego i próbowała zrozumieć, co też ostatnie zdanie miało oznaczać. Chciała zapytać go wprost, co miał na myśli: czy mówił o Joshu, czy o niej. Ale za dobrze wiedziała, że pewnych granic nie należy przekraczać, nawet gdy się kogoś dobrze zna i przyjaźni z nim od lat. Ponownie spojrzała Clayowi w oczy.

- Nie jest tak źle...

- No, jasne... - głębokie spojrzenie Claya stało się nagle jeszcze bardziej wyraziste. - Erie to dobry facet, ale... cóż, może po prostu musi sobie nieco uporządkować priorytety - wzruszył ramionami. - Powinien był przyjść na to przyjęcie.

Potaknęła, a Clay chyba wyczuł, że ciężko jej o tym rozmawiać. Odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się na różowo-pomarańczowe niebo nad nimi.

- Najważniejsze, że Josh dobrze się bawił.

Laurze przemknął przez myśl obraz Erica, który wraz z kolegami z Koppel&Grant akurat podnosił wartość jednych akcji ponad inne, podczas

gdy Clay grał z Joshem w walkę powietrzną w Chuck E. Cheese. Nie czyniło to jeszcze z niego bardzo złego człowieka. Przecież wielu ojców zbyt wiele czasu poświęcało pracy i Laura powinna być wdzięczna, że Josh miał kogoś takiego jak Clay. Ale zamiast odczuwać wdzięczność, Laura czuła jedynie ból na myśl o niemożliwej do przyjęcia sytuacji, w jakiej się znalazła.

Clay nachylił się, by lepiej widzieć jej oczy.

- Pogadaj z nim, dobrze?

- Dobrze.

Potem, nie mówiąc już ani słowa, pociągnął ją ku sobie i przytulił - tak, jak robił to wiele razy wcześniej. Ten uścisk był czymś, czego potrzebowała bardziej niż powietrza.

- Jestem przy tobie, Lauro. Przy was obojgu. Nie pozwólcie, żeby stało się coś głupiego.

Laura wsunęła koniuszki palców pod okulary i otarła łzę.

- Nie, nie pozwolimy.

- To dobrze - cofnął się i pogłaskał ją po policzku. - Kocham was najbardziej na świecie.

Pociągnęła nosem i sięgnęła do samochodu po torebkę.

- Wiem.

- Chodź - Clay ruszył w stronę kościoła. - Wszystko się ułoży.

Trzy godziny później Laura zaparkowała na podjeździe przed domem. Spotkanie z Clayem i jego optymizm rozпалиły w jej sercu iskierkę nadziei. Może nie jest za późno? Może uda się jeszcze raz przejść wspólnie terapię i wprowadzić do ich życia zmiany - tym razem już na dobre? Skoro kochali się niegdyś, to przecież w jakiś sobie wiadomy sposób Bóg doprowadzi ich z powrotem do tego punktu, prawda?

Właśnie miała wysiadać z auta, gdy zauważyła coś dziwnego: na ich podjeździe stał obcy samochód. Zdezorientowana przez chwilę wpatrywała się w niego. Piątkowy wieczór, prawie dziesiąta - kto o tej porze składał im wizytę? Szybko chwyciła torebkę i ruszyła do środka. Josh siedział przy stole w jadalni i coś pisał, obok niego zaś przycupnęła Jenna, ich opiekunka do dziecka.

Laura zamarła w bezruchu, próbując zrozumieć to, co zobaczyła.

- Witaj, Jenno - zawahała się. - Spodziewałam się zastać tu mojego męża.

Nastolatka uśmiechnęła się i podała Joshowi gumkę do mazania.

- Musiał pojechać do pracy - wskazała na stertę kartek. - Ćwiczyliśmy z Joshem mnożenie.

Laura odłożyła torebkę na stolik w holu i powoli weszła do jadalni. Gdy zobaczyła zapuchnięte oczy synka, wiedziała już, co zaszło: Erie znów tak postąpił - obiecał coś, a potem tego nie dotrzymał, nie zastanawiając się nawet, jak jego syn to odbierze. Gniew przyćmił cały optymizm Laury, ale ugryzła się w język: nie będzie przecież rozmawiać o ich problemach z Jenną. Sięgnęła po portfel.

- O której przyszłaś?

- Tuż przed siódmą - Jenna potargała czuprynkę Josha i rzuciła Laurze porozumiewawcze spojrzenie. - Ma za sobą ciężki wieczór.

Tuż przed siódmą? Laura miała ochotę udusić Erica. Wyszła do kościoła za piętnaście siódma, a to oznaczało, że nie minęło dziesięć minut, gdy zadzwonił po Jennę i popędził do pracy. Laura starała się zachować spokój.

- Czy mój mąż mówił, o której wróci?

- Właściwie to... - twarz Jenny wyrażała zażenowanie - gdy przyszłam, już go nie było. Przez telefon powiedział, że to bardzo pilna sprawa.

- Chcesz powiedzieć, że... - Laura zamarła na moment - zostawił Josha samego?

- Tylko na chwilę. Powiedziałam, że zaraz przyjdę, więc włączył mu bajkę na wideo.

Następne zdanie skierowane było do Josha:

- Wszystko było w porządku, co, stary? Josh pokiwał głową i rzucił matce spojrzenie, w którym gniew mieszał się z niewymownym żalem. Uśmiechnęła się do niego słabo.

- Zaraz porozmawiamy, dobrze?

Zwiesił głowę i wlepił wzrok w swoją kartkę.

Laura dała znak Jennie, by ta poszła za nią, i obydwie ruszyły w kierunku drzwi wejściowych. Gdy znalazły się same w holu, Laura westchnęła.

- Czy Josh płakał, gdy tu przyszłaś? Jenna ściszyła głos:

- Szlochał - zmarszczyła brwi. - Biedny mały. Nie mógł się uspokoić przez dobre pół godziny.

W Laurze zawrzała krew. Zapłaciła dziewczynie i po jej wyjściu wciąż stała w przedpokoju, gapiąc się na płytki ułożone przy wejściu. Była tak wściekła, że aż nie mogła się poruszyć. Jak on śmiał?! Po tym, co zrobił w urodziny Josha, i w dodatku mając w perspektywie jutrzejszy wyjazd do Nowego Jorku. Jej gniew przerodził się w prawdziwą wściekłość.

A może powinna pojechać do biura Koppel&Grant i powiedzieć Ericowi, że tego już za wiele? Separacja - oto jedyny sposób, by chronić Josha. Ale

nie było to możliwe, przynajmniej na razie. W sąsiednim pokoju Josh siedział zgębniony i załamany.

Laura powoli wypuściła powietrze. „Boże... pomóż mi przez to przejść. Jak to możliwe, że Kocham Erica i jednocześnie go nienawidzę?”. Wróciła do jadalni i zastała synka wciąż przy stole.

- Josh? - bezszelestnie usiadła obok i wzięła chłopca za rękę. - Co ci powiedział tata?

Wielkie łzy wypełniły mu oczy; wzruszył lekko ramieniem.

- Że ma jakieś ważnościowe zebranie - Josh pociągnął nosem i przetarł oczy wierzchem dłoni. Bez wątpienia chciał być przy niej dzielny, ale smutek i rozczarowanie były po prostu zbyt wielkie. - Powiedział, że mi to wynagrodzi, jak wróci z Nowego Jorku.

- No, cóż... - Laura zagryzła wargi. Erie zawsze tak mówił. - Tata ma dodatkowe zajęcia przed tym wyjazdem - powiedziała to tylko ze względu na Josha, żeby nie znienawidził własnego ojca. - Na pewno bardzo chciał z tobą zostać.

- Czasami myślę... - chłopiec wykrzywił twarz, a z głębi piersi wyrwał mu się cichy szloch - myślę, że on mnie wcale nie lubi, mamo.

- Josh! - przytuliła go mocno, w myślach przeklinając Erica za to, kim nigdy dla swojego synka nie był. - To nieprawda! Twój tata jest człowiekiem bardzo zapracowanym. To, że często nie ma go w domu, wcale nie znaczy, że cię nie lubi - głaskając dziecko po plecach, czuła, jak małe ciało drży wstrząsane dreszczami płaczu. - On cię kocha, naprawdę.

- Jeżeli... jeżeli mnie kocha, to dlaczego nie przyszedł na moje przyjęcie urodzinowe? - Josh zaczerpnął haust powietrza. - I dlaczego dzisiaj zostawił mnie całkiem samego?

Serce Laury zabiło gwałtownie. Nie potrafiła odpowiedzieć. Chciała mu wytłumaczyć, że źle zrozumiał zachowanie ojca, że przecież nie zawsze był taki i że w przyszłym tygodniu wszystko wróci do normalności. Ale odkąd pamiętała, jedyną normalną rzeczą, jaką oboje znali, były właśnie złamane obietnice i przegapione chwile.

- W przyszłym tygodniu... - urwała. Co w przyszłym tygodniu? Czy Erie w ogóle będzie pamiętał o obiecanej wyprawie na plażę, o kupnie deski surfingowej i o tym, że miał cały dzień spędzić na zabawie z synem nad brzegiem morza? Dlaczego właściwie miałby o tym pamiętać? Z pewnością po jego powrocie z Nowego Jorku odbędzie się mnóstwo ważnych zebrań, a sytuacja czyichś akcji na giełdzie znów wpędzi pracowników Koppel&Grant



w wir pracy. Tak było za każdym razem. Może Erie miał jeszcze czelność składać dziecku kolejne obietnice, ale Laura nie mogła sobie pozwolić na powtarzanie jego błędu.

Synek wpatrywał się w nią czerwonymi, zapuchniętymi oczyma.

- Co w przyszłym tygodniu? Laura wyprostowała się na krześle.

- Myślałam o wyprawie na plażę.

- Wiesz co? - Josh podciągnął jedną nogę na krzesło i oparł brodę na kolanie. - Nie lubię plaży. Chcę pograć w kosza, żeby tata wziął mnie do parku, żebyśmy sobie razem porzucali. Tak jak robią to inni ojcowie.

Zeszłego lata Josh kilkakrotnie był w parku z kolegami i ich ojcami, a raz nawet z Clayem. Sala gimnastyczna, otwarta w soboty przez cały dzień, była cały czas zajęta przez miejscowych chłopców i ich ojców. Josh kilkakrotnie wspominał o tym Ericowi, ale ten był albo zajęty pracą przy komputerze, albo przeglądał dokumenty, albo właśnie miał wykonać jakiś niezmiernie ważny telefon. Za każdym razem kiwał więc szybko głową, odsyłając go gestem ręki: „Jasne, synu, pewnie... Kiedyś pójdziemy do parku porzucać do kosza”. Ale nigdy się tak nie stało.

Minęła minuta i łkanie Josha nieco ucichło. Jeszcze raz otarł oczy, wstał i ucałował matkę.

- Idę spać. Powiedz tacie, że zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

- Kocham cię, Josh.

- Ja ciebie też - po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił do Laury. - Szkoda, że to nie wujek Clay jest moim tatą. To by było super!

Resztki opanowania Laury pękły jak bańka mydlana. Łzy polały się strumieniem.

- Przepraszam, Josh.

- W porządku - zgarbił się nieco, brodą nieomal dotykając piersi. - Dobranoc.

Nasłuchiwała, jak wychodził po schodach i szedł do swojego pokoju. Gdy tylko za Joshem zamknęły się drzwi sypialni, Laura chwyciła słuchawkę telefonu i wystukała numer biura Erica. Po trzecim sygnale odezwała się młoda kobieta.

- Halo? - rzuciła dziarskim głosem. Laura miała ochotę wrzeszczeć.

- Z Ericem Michaelsem poproszę.

- Z Ericem... chwileczkę - nakryła ręką słuchawkę, by stłumić nieco swój głos. - Powiedźcie Ericowi, że ktoś do niego dzwoni.

„Ericowi?" Kim jest ta dziewczyna i co tam robi w piątkowy wieczór po dziesiątej?

Minęła chwila zanim Erie podniósł słuchawkę:

- Halo?

- Zostawiłeś Josha samego? - głos Laury tchnął mieszaniną zdumienia i kontrolowanej wściekłości.

- Wszystko ci wytłumaczę, Lauro - Erie zawiesił na moment głos.

- Nie - warknęła - już za późno! Twój syn poszedł spać zapłakany.

- Słuchaj, nie potrzebuję twoich wyrzutów. I tak czuję się podle.

- O, zapewne - podniosła głos. - Co też było tak ważne, że zostawiłeś dziecko samo w domu?! No co?!

- Telekonferencja z Nowym Jorkiem - zawahał się. - Gdy tylko wyszłaś, zadzwonił Murphy. Rozmowa była zaplanowana na siódmą trzydzieści.

- Czyli na dziesiątą trzydzieści według czasu nowojorskiego - Laura zaśmiała się krótko. - Nawet ktoś taki jak Allen Koppel nie pracuje o tej porze.

- O co ci chodzi?

- O to, że znam już na pamięć te twoje historyjki! - przeszła z telefonem do salonu i opadła na skraj skórzanej kanapy. - Kto odebrał telefon?

- Tutaj?

- Tak. Zawołała cię po imieniu. Myślałam, że sekretarki mają więcej taktu.

- Ma na imię Vicky i nie jest sekretarką tylko asystentką Murphy'ego, a do tego szczęśliwą mężatką. Wszyscy tutaj jesteśmy po imieniu z asystentkami - przybrał protekcyjny ton. - Czy to wyczerpująca odpowiedź na twoje pytanie?

- Posłuchaj, Erie... - ta rozmowa zmierzała donikąd. - Nie obchodzi mnie, czy to sam prezydent Bush do ciebie dzwonił. Murphy dałby sobie radę bez ciebie - sapnęła ze złością. - A Josh potrzebował twojej obecności. Jenna uspokajała go przez pół godziny.

- To śmieszne! Jest już na tyle duży, żeby... - Erie zamilkł. - Minąłem się z Jenną tuż koło domu, więc był sam nie dłużej jak trzy minuty.

- No, dobrze, więc odbyłeś tę swoją telekonferencję i potem mogłeś wrócić do domu.

- Tak, ale nabrało się różnych spraw... - westchnął przeciągle. - Wiesz, jak to jest przed wyjazdem. Proszę cię, Lauro, nie teraz.

Niespodziewanie przypomniała sobie uścisk Claya, jego przestrogi, żeby nie zrobili niczego głupiego, i zapewnienia, że wszystko się wkrótce ułoży.

Ale niestety, Clay się mylił: wszystko jest do niczego. Co się z nią dzieje? Kiedy ostatni raz czytała Biblię albo kiedy modliła się za swój związek z Ericem? Wszystko, na czym kiedykolwiek jej zależało, rozlatywało się jak domek z kart, a ona nie potrafiła znaleźć najprostszego sposobu, by temu zapobiec. Co gorsza, wcale nie chciała takiego sposobu znaleźć.

Gdy ponownie się odezwała, w jej głosie nie było już zapalczowości.

- Idę spać. Musimy porozmawiać, jak wrócisz z Nowego Jorku.

- Porozmawiać? - po raz pierwszy podczas tej rozmowy w tonie jego głosu pojawił się lekki odcień obawy. - Nie przesadzaj, Lauro. Wiesz przecież, jaki byłem ostatnio zajęty.

- Tak, wiem. Josh też wie - zamknęła oczy. - Dlatego właśnie musimy porozmawiać - głos Laury załamywał się, ale robiła wszystko, by to ukryć.

- Dłużej tak nie można. Przynajmniej ja nie mogę.

Zapadła cisza, a potem w słuchawce dało się słyszeć westchnienie Erica.

- Masz rację. Wracam we czwartek wczesnym popołudniem - jego głos stał się nieco miłszy.

- Przyjadę prosto do domu i zabiorę cię na obiad. Obiecuję. Muszę trochę zwolnić... Wynagrodzę wszystko tobie i Joshowi, tylko daj mi szansę.

Zwykle obietnice Erica zmiękczały jej serce, pomimo że rzadko kiedy ich dotrzymywał. Ale dziś była zbyt zmęczona i zbyt dotknięta, by na nie zważać.

- Dobranoc, Erie. Zawahał się.

- Pamiętaj o obiedzie, dobrze?

- Zobaczymy. Muszę kończyć!

Rozłączyli się bez zapewnień o wzajemnej miłości i tęsknocie. Laura odłożyła słuchawkę na miejsce i próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio Erie powiedział jej, że ją kocha. Dwa miesiące temu? Może trzy? Czy to ten sam człowiek, o którym myślała, że uwolni ją od wspomnień o smutnym i samotnym dzieciństwie? Ten, z którym - jak sądziła - będzie dzielić marzenia o szczęściu do końca ich dni?

A co z Joshem? Erie nigdy nie powiedział synowi, że go kocha. Nawet wtedy, gdy zwróciła mu na to uwagę, kiedy Josh miał cztery lata. Ani jeden raz.

- Przecież go kochasz, prawda? - kończyli właśnie obiad, a ich syn wyszedł pobawić się na dworze.

- Josha? - Erie spojrzał na nią zdziwiony.

- Oczywiście.

- Więc mu to powiedz. Powinien to słyszeć od własnego ojca.

Erie zbył ją machnięciem ręki.

- To śmieszne. Mój ojciec nigdy mi tego nie mówił.

- Twój ojciec nie był chrześcijaninem.

- Może ja też nie jestem? - skrzywił się, powiedziawszy to. - Nie o to mi chodziło.

Ale tak naprawdę chodziło właśnie o to. Od czasu, gdy rok po ślubie ich córeczka urodziła się martwa, Erie nie chodził z żoną do kościoła. Laurze wydawało się wówczas, że to ją nieskończenie bardziej niż jego dotknęła utrata dziecka. Aż do chwili, gdy pewnego popołudnia po powrocie do ich małego mieszkania znalazła Erica w dziecięcym pokoju, siedzącego w bujanym fotelu, który wspólnie kupili na wyprzedazy.

Jeden jedyny raz widziała wówczas, jak płacze.

- Dlaczego? - był kompletnie załamany, nie zostało nic z jego zwykłej pewności siebie. - Dlaczego Bóg nam ją zabrał?

- Nie zabrał - Laura uklękła przy nim, chwytając go mocno za nadgarstki i z całych sił próbując mu pomóc zrozumieć. - To się po prostu zdarza.

- Nieprawda! - zacisnął powieki. - Stało się tak dlatego, że jeszcze jestem na studiach. Bóg nam wcale nie pomaga i nikt nie zapewni nam przyzwoitej opieki medycznej! Żyłaby, gdyby nie to!

Poniekąd miał rację. Pielęgniarka w szpitalu powiedziała im, że śmierci ich dziecka można było uniknąć. Zastosowawszy badanie USG, można je było zoperować jeszcze przed narodzeniem. Niestety bez odpowiedniego ubezpieczenia takie badanie w ogóle nie wchodziło w grę.

Nawet teraz - choć minęło już tyle lat - Laura jasno widziała, że był to moment przełomowy w ich życiu.

Przedtem wiara Erica była silniejsza od Gór San Gabriel - pewna i niewzruszona. Jednakże owego wieczoru, gdy Erie opłakiwał śmierć swojego dziecka, jego serce stwardniało. Wkrótce przestał chodzić do kościoła, czytać Biblię i mówić o woli Bożej. Laura kilka razy z nim o tym rozmawiała.

- To wszystko z powodu dziecka, prawda? - pytała, ale jej mąż tylko potrząsał głową i ucinał krótko:

- Temu dziecku i tak nie było pisane żyć.

- No, to dlaczego, Erie? Co się stało? Dopiero za którymś z kolei razem wbił w nią wzrok i przez chwilę milczał.

- Straciliśmy naszą maleńką córeczkę, ponieważ ja nie byłem w stanie zapewnić wam najlepszej możliwej opieki medycznej - zagryzł wargi. - W życiu o wszystko trzeba się starać samemu. Tak zrobię, Lauro, uwierz mi, nie zostawię tego Bogu. Nigdy więcej nie będziesz musiała martwić się o opiekę medyczną.

Erie dotrzymał słowa. Zanim na świat przyszedł Josh, mieli już najlepsze ubezpieczenie i najlepszych lekarzy w całej Południowej Kalifornii. Ale od tamtej pory Erie stał się pracoholikiem, który nie podzielał poglądów własnej rodziny i nie potrafił zdobyć się, by powiedzieć swojemu synowi, że go kocha.

Laura rozebrała się, założyła koszulę nocną i wśliznęła pod kołdrę. Erie wstanie o świcie, będzie się pakował, sprawdzał ostatnie szczegóły przed odlotem. Bez wątpienia będzie spał w pokoju gościnnym, więc nie zobaczą się aż do następnego czwartku.

Zasypiając, próbowała myśleć o sobie ze współczuciem, ale nie potrafiła. Jej małżeństwo rozpadało się, a winę za ten stan rzeczy ponosili oboje. To prawda. niełatwo było kochać Erica, ale czy próbowała wystarczająco mocno? Dlaczego nie odezwała się, gdy po raz pierwszy spał w pokoju gościnnym? A ile lat minęło od czasu, gdy robiła mu małe niespodzianki - wypad na weekend albo miły wieczór we dwoje?

Jak to mówi Biblia? Małe lisy pustoszą winnice. Ile takich lisów ona wpuściła do ich związku, odkąd urodził się Josh?

Przewróciła się na drugi bok. Jedno wspomnienie przesłaniało wszystkie zaprzepaszczone okazje tłoczące się w jej pamięci. Wspomnienie Erica Michaela z tych jakże odległych czasów, gdy niecierpliwie czekał na koniec zajęć na uczelni, aby jak najszybciej znaleźć się w domu, przy niej. Niegdyś - wydaje się, że całe wieki temu - kochali się przecież. Ale teraz niespodziewanie ich zielona miłość całkiem zwiędła. A na horyzoncie nie widać wiosny...

## Rozdział 5

9 września 2001

Sierra wyglądała jak królowna. Jake zagwizdał z uznaniem i aż oparł się o ścianę holu.

- Jejku! - pochylił się z uśmiechem ku córce. - Jesteś najpiękniejszą panną w całym Nowym Jorku!

Oczy dziewczynki zabłyśły.

- Naprawdę, tatusiu? - zakręciła się na pięcie, a różowo-biała sukienka zawirowała wokół jej kolan. - Mamusia kupiła mi ją do kościoła.

- Świetną wybrałyście - bawił się kosmykiem jej włosów. - Dzisiaj loki?

- Poproszę - zatrzepotała rzęsami. - Tata Susie nigdy nie kręci jej włosów.

- Susie? - Jake kucnął, by znaleźć się na poziomie oczu córki. - Ze szkółki niedzielnej?

- Tak. Jej mamusia mieszka w New Jersey, więc przyprowadza ją tatuś - Sierra potarła noskiem o nos ojca. - Tak jak ty mnie!

- Aha - Jake pokiwał powoli głową w zamyśleniu. - Ale nie kręci jej włosów, zgadza się?

- Zgadza się!

Jake wypiął pierś i podparł się rękami pod boki.

- Więc ja jestem supertatą!

- A mamusia jest supermamą! - śmiała się Sierra. - Wiesz dlaczego?

Jake poczuł, jak serce mu się rozplywa. Zawsze to czuł w obecności swej małej, ukochanej córeczki.

- Dlaczego, kochanie?

- Bo - Sierra zadarła podbródek w górę - kupiła mi sukienkę do kościoła. Mama Susie by jej nie kupiła.

- A... to w porządku. Mamusia jest supermamą! Sierra zbliżyła się do ojca i dotknęła koniuszka jego nosa swoim.

- Motylkowe całuski?

- Dla mojej najpiękniejszej panny! - Jake potarł nosem o nosek dziecka, po czym przybliżyli twarze jeszcze bardziej i poczuli mrugać, tak by ich rzęsami muskać sobie nawzajem policzki. Motylkowe całuski stanowiły żelazny element porannego rytuału. Jake wstał i jeszcze raz ujął w palce pukiel włosów Sierry.

- Idź się jeszcze pobawić. Zawołam cię, gdy będę gotów do kręcenia, dobrze?

Sierra wzniosła ku ojcu błękitne oczy niewiniątka:

- Na koniku...?

Mogła go poprosić o gwiazdkę z nieba, a on złamałby sobie kark, żeby jej dosięgnąć. Nie mógł się oprzeć tej słodczy i tej uroczej świeżości. Nie obrażał siebie, jak przeżyje jej ślub.

- Dobrze, moje serce... - obrócił się i zgiął w pół. - Wskakuj.

Perlisty śmiech dziecka rozległ się w całym domu niczym najpiękniejsza dlań muzyka. Mała wskoczyła ojcu na plecy, po czym delikatnie ścisnęła mu boki piętami.

- Wio!

Jake odrzucił głowę do tyłu i parsknął kilka razy jak prawdziwy koń.

- Dokąd jedziemy, królowno Sierro? - mówił grubym głosem, którego zawsze używał, odgrywając rolę rumaka.

- Do mojego pałacu! - zakomenderowała Sierra, głaszcząc go po głowie. - Powinieneś zapuścić długie włosy, tatusiu. Konie mają długie grzywy.

- Niestety, ten konik musi mieć krótką grzywę - odrzekł Jake, po czym zarżał i pogalopował przez hol ku pokojowi dziecięcemu.

- To nic nie szkodzi, tatusiu - Sierra przytuliła się do jego pleców i pocałowała go w kark. - I tak cię kocham.

Jake zahamował nagle przy łóżeczku córki.

- Twój pałac, królowno!

Sierra zsunęła mu się z pleców i dwornie dygnęła.

- Dziękuję - jeszcze raz pogłaskała ojca po głowie. - Podoba ci się moja śliczna sukienka, koniku?

Podskakując i grzebiąc kopytem w ziemi niczym najdzikszy ogier, Jake potaknął trzema głębokimi skłonami.

- Kto uczynił cię tak piękną, królowno Sierro? Nagle zniknęła królewska poza. Dziewczynka przechyliła głowę i prostolinijnie odpowiedziała:

- Pan Jezus.

Zniżywszy głos do szeptu, dodała:

- Poczytam trochę moją Biblię, tatusiu. Do zobaczenia za chwilę.

Jake odwrócił się i tanecznym krokiem podążył do małżeńskiej sypialni. Wziął prysznic, ubrał się i wyciągnął golarkę z szuflady pod umywalką. Podczas golenia ogarnął go smutek. Dlaczego Jamie nie może choć raz opuścić kursu malowania, żeby pójść z nimi do kościoła? Jeden raz!

Wodził golarką po policzkach i podbródku. „Boże... jak długo tak będzie? Kiedy Jamie dostrzeże światło i zapragnie tego, co my z Sierrą już mamy?”.

„Mój synu, już zapoczątkowałem w niej dobre dzieło i - bądź pewny - dokończę je”.

Jake zamarł z golarką przy prawym policzku. Od miesiąca zdarzały mu się podobne rzeczy - odpowiedzi dochodzące z jego wnętrza, wszystkie o podobnej treści, a tak wyraźne, jakby je słyszał. Wszystkie te wewnętrzne szepty przywoływały to samo wspomnienie. W wakacje po ukończeniu szkoły średniej byli z Jamie na letnim obozie ewangelizacyjnym stowarzyszenia Young Life. Nie pamiętał dokładnie, czego się wtedy uczyli, ale cokolwiek to było, Jamie to zrozumiała, pojęła całą duszą. Na komendę, by wystąpili ci, którzy chcą odtąd żyć dla Jezusa, pierwsza zerwała się na nogi.

Wy tłumaczyła to Jake'owi jeszcze przed powrotem do domu.

- Po raz pierwszy czuję, że życie ma sens. Nie muszę się martwić, że stanie się coś złego, bo Bóg o wszystkim pomyślał.

Jake był wówczas pewny, że to przełomowa decyzja, na całe życie. Sam podjął taką w wieku ośmiu lat. Niestety, Jamie od początku wiele kwestionowała. Wątpliwości skłoniły ją do powrotu do dawnej, pełnej niechęci postawy wobec Boga i Kościoła. Ten sceptycyzm znacznie wzrósł po śmierci jej rodziców i dalej rósł - po kolejnych pogrzebach strażaków.

Niezmierzona przepaść dzieliła w Jamie wiarę od niewiary. Nie istniał most, który mógłby połączyć oba brzegi. Jedynie sam Bóg byłby w stanie taki most wznieść. Tylko że w miarę upływu czasu Jamie chciała mieć z Bogiem coraz mniej do czynienia.

Ta sprawa stała się centralnym punktem modlitw Jake'a za żonę: aby Pan doprowadził do wypełnienia tamtej obietnicy, której echo wciąż do niego powracało, i wzbudził w Jamie tę wiarę, która rozbłysła podczas letniego obozu wiele lat temu.

Jake z uwagą wodził golarką po policzkach. Za każdym razem, gdy modlił się za Jamie, doznawał otuchy, jakby z nieba zsyłanego zapewnienia. Nie żywił najmniejszych wątpliwości, że Bóg nie tylko słyszał jego modlitwy, ale zamierzał na nie odpowiedzieć. I to wkrótce.

To go przekonywało, iż zawarł z Bogiem układ. Nie opuści teraz świata, jego ciało nie przedefiluje przed szeregiem pięciu tysięcy umundurowanych strażaków. Nie teraz, kiedy Bóg był tak blisko wykorzystania go do przemiany życiowych wątpliwości Jamie w pełne, świadome i dobrowolne oddanie. Już się zaczęła zmieniać. Przecież pomyślała, by kupić Sierrze nową sukienkę do kościoła.



Jake wygładził dłonią skórę twarzy, szukając niedogolonych miejsc. Tak, Jamie się starała. Choć nie na tyle, by pójść z nimi do kościoła. Wychodziła o godzinę wcześniej na śniadanie i zajęcia z malowania wraz z grupą żon innych strażaków. Spotykały się dwa razy w miesiącu, co dawało Jamie wymówkę na dwie niedziele. O pozostałych dwóch zdecydowała, iż mają być dniami spędzonymi w gronie rodziny - czasem wspólnej zabawy, rowerowych wycieczek czy jazdy na skuterze wodnym.

- Bóg chyba nie spodziewa się, że będziesz spędzał każdy weekend w kościele, no nie? - żartowała wielokrotnie. Ale sprawa przedstawiała się jasno

- Jamie nie chciała chodzić do kościoła. Nie chciała mieć wcale do czynienia z Bogiem.

A jednak kupiła Sierrze sukienkę do kościoła.

I tak już było lepiej niż przed rokiem, kiedy Jake zaczął zabierać córkę ze sobą na nabożeństwa. Do dziś niemal słyszy tę irytację w głosie Jamie, gdy po raz pierwszy poruszył tę sprawę.

- Nie trzeba jej nabijać głowy bajkami - zniżyła głos do szeptu, by mała nie mogła usłyszeć. - Nie potrzeba jej zmyślonych historyjek o Bogu, który - zamachała rękami - może wcale nie istnieje.

Jake, ani na chwilę nie tracąc spokoju, odpowiedział równie cichym głosem:

- A co to szkodzi? Trochę porysuje, pośpiewa, nauczy się modlić - delikatnie ujął żonę za ramiona.

- Czy to aż takie złe, Jamie?

- Tak - cofnęła się o krok i podparła pod boki.

- Przeżyje tylko rozczarowanie, gdy spotka ją prawdziwa tragedia, a Bóg... okaże się tylko iluzją!

- A jeśli On nie jest iluzją? - Jake utrzymał ten dystans, pragnąc, by jego słowa jak najpełniej dotarły do żony. - A co, jeśli Bóg naprawdę istnieje, Jamie? Naprawdę zabronisz Sierrze Go poznać? Nie pozwolisz jej pójść do Niego dwa razy w miesiącu?

W końcu Jamie zgodziła się, ale pod jednym warunkiem:

- Mnie na to nie namawiaj, Jake! Ja sobie znajdę coś do roboty w te dwie niedziele, tylko mnie w to nie mieszaj!

Wciąż bolały go te słowa, ale od tamtego dnia Jamie zrobiła ogromny postęp. Od kilku miesięcy pytała Sierrę, jak było w szkółce niedzielnej, i słuchała relacjonowanych przez nią opowieści biblijnych. W zeszłym miesiącu

nawet dwukrotnie napomknęła, że właściwie w tym roku mogłaby się wybrać z nimi do kościoła w Boże Narodzenie. No i teraz ta sukienka...

Przy włączaniu lokówki spojrzenie Jake'a padło na prostą ślubną obrączkę, którą zawsze nosił na palcu. Kochał żonę bardziej, niż da się to wyrazić słowami. Tak, zbliża się dzień, w którym Jamie pogodzi się z Bogiem. O ile nie myli się w rozeznaniu Bożych planów, to dzień ten nadejdzie wkrótce. Włożył nowe dżinsy i koszulkę polo.

- Sierra - zawołał, wychylając się z sypialni - salon piękności otwarty!

- Super! - przybiegła cała rozchichotana, potrząsając gęstymi złotymi włosami.

Nigdy go nie męczyła. Nigdy też Jake nie przestawał zdumiewać się nad cudem, którym było samo jej istnienie. Miała zaledwie jeden dzień, gdy po raz pierwszy jej mała rączka kurczowo uchwyciła jego palec...

A teraz objęła go ramionami za nogi i przytuliła się.

- Myślałam, że już nigdy nie otworzysz. Jake pogładził główkę dziecka.

- Przecież my, spece od urody, sami musimy się od czasu do czasu ogolić, prawda?

Sierra wyciągnęła dłonie i ujęła w nie twarz ojca.

- Mmmm. Gładziutkie i milutkie. Mamusia to lubi.

- I o to chodzi - uśmiechnął się promiennie.

- No - potaknęła Sierra. - Mamusia mówi, że lubi panów ładnie ogołconych.

Jake słumił śmiech.

- Chyba ogolonych? Chwila zastanowienia.

- Tak..., no tak.

- A więc, młoda damo, proszę się odwrócić! Sierra posłusznie obróciła się twarzą do lustra.

Jake ujął lokówkę i z wprawą prawdziwego eksperta zabrał się za kręcenie kolejnych loków. Kątem oka uchwycił wpatrzony w niego wzrok córki. Twarz dziecka nieco przygasła, jakby coś popsuło jej nastrój.

- Co się stało, kochanie? Nieznacznie zmarszczyła brwi.

- Myślę, że powinniśmy się pomodlić za mamusię.

- Dobrze - Jake otworzył lokówkę i złoty pukiel kaskadą spłynął po plecach dziewczynki. - A dlaczego?

- Bo, kiedy mamusia kupiła mi tę śliczną sukienkę, pytała mnie później o kościół.

- Naprawdę? - nadzieja zaświtała w sercu Jake'a. Ujął w palce następny kosmyk. - Co powiedziała?

- Pytała mnie, czy w kościele jest fajnie, a ja jej powiedziałam, że tak. Kościół jest najfajniejszym miejscem na świecie - Sierra starała się nie poruszać. - Potem zdradziła mi sekret. To tylko nasza tajemnica.

- Tak? Tajemnica? - Jake starał się nie wyglądać na nadmiernie zainteresowanego. Wypuścił z lokówki kolejny skręcony pukiel. - A czy ty możesz zdradzić ją mnie?

Sierra lekko się wzdrygnęła.

- Chyba tak...

- To świetnie - Jake zakręcił kolejne pasmo włosów. - Co ci mamusia powiedziała?

- Powiedziała mi... - oczy ojca i córki spotkały się w lustrze. - Powiedziała, że czasami jej szkoda, że nie chodzi z nami do kościoła.

- Naprawdę? - Jake przełknął ślinę, zmuszając się do lekkiego tonu. - To dlaczego z nami nie pójdzie?

- Mamusia mówi, że nie jest jeszcze gotowa - Sierra przygryzła wargę. - Dlatego musimy się za nią modlić, żeby już była gotowa.

Jake potaknął z powagą. W ciszy dokończył układanie włosów, po czym wyłączył lokówkę i zaprowadził Sierrę do sypialni.

- Chodź do mnie, kochanie - usiadł na krześle stojącym obok łóżka i posadził sobie dziewczynkę na kolanach. - Pomodlimy się teraz za mamusię, dobrze? W kościele pomodlimy się za nią jeszcze raz.

- Dobrze - Sierra posłała ojcu uśmiech i potarła noskiem o jego nos. Potem nagle spoważniała. Zamknęła oczy, lekko pochylając główkę. Jake też zamknął oczy: słuchał.

- Panie Boże - głosik dziecka był cichy, lecz mocny - ja z tatusiem bardzo szybko byliśmy gotowi, żeby chodzić do kościoła. Ale mamusia wciąż nie jest gotowa.

Zawahała się.

- Proszę Cię, Panie Boże, pomóż mojej mamusi, żeby szybko była gotowa... żebyśmy mogli chodzić do kościoła... całą rodziną - dokończyła szybko.

Ostatnie słowa dziecka mocno chwyciły Jake'a za serce. Wziął Sierrę w ramiona i z całej siły przytulił, czekając, aż zniknie wielka gula, która nagle urosła mu w gardle. W końcu pocałował córkę w policzek.

- Świetnie, kotku.

Postawił Sierrę na podłodze, sam wstał i wziął ją za rączkę.

- Założę się, że Pan Bóg właśnie zaczął nad tym pracować.

Sierra przyjrzała się swoim lokom spadającym na ramiona.

- Za mało pokręcone, tatusiu!

- Musi wystarczyć. Jeśli będziemy dalej kręcić, to spóźnimy się do kościoła.

- OK - spojrzała zezem za siebie. - A z tyłu? Wyglądają jak sprężynki?

- No pewnie! W życiu nie widziałem bardziej sprężyniastych loków! Ale chodźmy już, chodźmy. Nie chcę, żebyśmy się spóźnili.

Zeszli po schodach. Tuż za rogiem Sierra zatrzymała się raptownie.

- Musimy machać rękami, tatusiu! Nie pamiętasz? Przecież zawsze machamy rękami!

- Racja - Jake przewrócił oczami - prawie zapomniałem.

Sierra zaśmiała się, a potem przez całą drogę do garażu ściskali się za ręce, machając zawzięcie. Wsiadając do samochodu, Sierra spojrzała Jake'owi w oczy i uśmiechnęła się szeroko.

- Jezus mnie kocha, prawda?

- Prawda!

Do kościoła przybyli na czas i jak zwykle włączyli się w śpiew, który każdego kierownika chóru przyprawiłby o dreszcze. Dla Jake'a jednak była to najpiękniejsza melodia, której się nigdy nie zapomina. Choćby się żyło sto lat.

Po powrocie do domu Sierra była zmęczona. Wtulona w ramiona taty szybko zasnęła na sofie w salonie.

Jake zaniósł ją do pokoju dziecięcego, po czym cichutko zszedł na dół i wykrecił numer swojego ojca. Starał się dzwonić do niego co niedzielę.

- Słucham? - zabrzmiało w słuchawce.

- Cześć, tato... tu Jake.

- Aaa, czołem, synu! - głos ojca był mocny i tryskający jak zawsze energią. - Byłeś w kościele?

- Tak. Sierra była w nowej sukience. Potem rysowała Mojżesza - Jake przeszedł przez pokój i zagłębił się w starym fotelu. Brownie, ich labrador, poczłapał za nim i zwinął się w kłębek u jego stóp.

- Dzisiaj modliła się za Jamie.

- Tak? - w głosie ojca zadźwięczała troska.

- Wszystko u was w porządku?

- W porządku. Sierra modliła się, żeby Jamie była wreszcie gotowa chodzić z nami do kościoła.

Ojciec milczał przez chwilę.

- Jestem pewny, że niedługo zaczniesz z nami chodzić. W Jamie jest coś z przerażonego ptaka, nie uważasz?

- Masz rację - Jake uśmiechnął się. - Boi się zbyt wystawić głowę z gniazda.

- Boi się, że wypadnie, jeśli naprawdę... ale przecież, jeżeli tylko spróbuje, to polecą. Jak każdy z nas, zresztą.

Jake spróbował to sobie wyobrazić: cała jego rodzina unosi się na skrzydłach wiary.

- To się zdarza.

Jake usłyszał w słuchawce powolny głęboki wdech. Niemal widział swego ojca, jak zapatrzony w okno siedzi w kuchni na stołku barowym, trzymając kabel telefoniczny nad blatem. Jego słowa tchnęły spokojem.

- Jak tam w pracy?

- Dobrze. Znowu pogrzeb.

- Hmm. Przykra sprawa. Ktoś znajomy?

- Nie. Stażysta, młody chłopak. Padł na zawał przy zwijaniu węża.

- Dużo w tym roku zawałów.

- Cztery.

- To kapelan ma sporo roboty. Pogrzeby, które organizowałem, zawsze były porządne. A w niektórych latach było ciężko. Po dwudziestu, trzydziestu ludzi ginęło w kilku pożarach. Zawałów tyle nie bywało.

- Jamie martwi się o moje zdrowie.

- Eee, ty się świetnie czujesz - Jim Bryan był jednym z najtwardszych strażaków, którzy kiedykolwiek pracowali w nowojorskim departamencie. A w jego głosie słyhać było mieszankę wiary i delikatności. - Poza tym, nikt nie odchodzi, dopóki Bóg go nie zawoła - zaśmiał się melancholijnie.

Jake rozparł się wygodniej w fotelu.

- A jak twoje konie?

- Niecierpliwie czekają na jesień. Lato było gorące.

- Tak, skuter wodny miał dużo pracy.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwał ją ojciec.

- Kiedy przyjedziecie?

- Może w następny weekend. Jamie chce się wyrwać z miasta na parę dni.

- Bardzo chciałbym was tu gościć. Przez cały ranek jeździlibyśmy na koniach, a potem: nasze wspaniałe kurczaki z grilla z salsą.

- Nie zapominaj o futbolu.

- Nigdy! Rozgrywki zaczynają się już w ten poniedziałek wieczorem, prawda?

- Mhm, w Denver.

- Więc zaplanujmy sobie sobotni poranek.

- Jeszcze nie, zadzwonię do ciebie, jak będę pewny. Drzwi frontowe otworzyły się, wpuszczając do

środku Jamie. Małżonkowie spojrzeli na siebie, wymienili uśmiechy.

- Muszę kończyć, tato. Dzięki za pogawędkę.

- Daj mi znać co do weekendu.

- OK - Jake wstał i ruszył do kuchni. - Kocham cię, tato. Trzymaj się.

- I ja cię kocham, synu.

Jake odłożył słuchawkę i pochylił się ku żonie. I znowu ich oczy się spotkały.

- Cześć.

- Cześć - Jamie podeszła do niego z jedną ręką za plecami. Twarz miała opaloną, wyglądała tak pięknie jak w dniu ślubu. - Jak tam w kościele?

- Świetnie - Jake, ciekawy co tam chowa, usiłował zajrzeć jej za plecy, ale ona obracała się, by nie mógł niczego dostrzec. Po raz kolejny spojrzeli sobie w oczy. - Sierra rysowała dziś Mojżesza.

- O, to ładnie. Portretów Mojżesza nigdy za dużo - Jamie aprobująco uniosła brwi, a figlarny uśmiech podniósł ku górze kąciki jej ust.

Jake nie musiał sprawdzać, co jego żona chowa za plecami, żeby być pewnym, że coś knuje. Podeszła tak blisko, że czubki ich wielkich palców u nóg zetknęły się.

- Mam coś dla ciebie.

- Naprawdę? - Jake uczynił ku niej nieznaczny ruch, ale odsunęła się o krok i, opuściwszy podbródek, zerkała na niego kokieteryjnie.

- Zaraz, zaraz. Nie podglądaj.

Jake pomyślał, czy by jeszcze raz nie spróbować pochwycić prezent ukryty za plecami Jamie. Uwielbiał takie chwile, kiedy tak beztrosko się bawili. Ostatecznie jednak powiedział:

- Dobrze - i zamknął oczy, wyciągając przed siebie prawą rękę.

Niemal w tej samej chwili poczuł na niej chłodny przedmiot.

- Mogę zobaczyć?

- Oczywiście, głuptasku - wybuchnęła radosnym śmiechem. - Możesz.

Otworzył oczy i ujrzał na swej dłoni kilkunastocentymetrowej wysokości ceramiczną figurkę strażaka z aniołem stróżem tuż za plecami. Była miśtarnie wykonana i pomalowana. Nic dziwnego, że Jamie wróciła dziś później.

- Jamie... to jest przepiękne! Sama malowałaś? Przyglądała się mężowi wyraźnie zadowolona z jego reakcji.

- Trochę mi ciebie przypominał, więc zrobiłam mu ciemne włosy i niebieskie oczy.

- A to mój anioł stróż. Opiekuje się mną!

- Tak. Postawmy strażaka tam, gdzie będę mogła go widzieć, dobrze?

Jake przesunął dłonią po nasadzie karku Jamie i wplótł palce w jej włosy.

- Dziękuję - przyciągnął jej twarz ku swojej i pocałował. Po chwili puścił żonę i podszedł do kuchennego zlewozmywaka, nad którym wisały niewielkie półeczki stanowiące część zabudowy. Jamie trzymała na nich zgromadzone przez lata drobiazgi.

Jake postawił figurkę na najniższej półce, po prawej stronie zlewu.

- O, tu - cofnął się o krok. - Tu go będzie widać, jak tylko się wejdzie do kuchni.

Jamie wtuliła się pod ramię męża. Uważnie przyglądała się figurce.

- Myślisz, że to prawda?

- Co? - Jake głąskał jej ramię wystające z bluzeczki bez rękawów.

- To o aniele stróżu - Jamie popatrzyła na niego. - Uważasz, że to możliwe?

- Oczywiście - Jake posłał jej uśmiech i tym razem pocałował w czoło. - Ile razy wychodzę z domu, jest ze mną anioł i to o wiele większy niż ten.

- Mam nadzieję, że to prawda - Jamie łzy napłynęły do oczu. - Bo muszę ci wyznać, że coś trzymałam przed tobą w tajemnicy.

- W tajemnicy?

Czyżby zamierzała mu powiedzieć, że zacznie z nim chodzić o kościoła, że jest już gotowa - to o czym Sierra mówiła mu dziś rano? Cały chłonał ją oczyma.

- Co to za tajemnica?

- Taka, że bardzo cię potrzebuję, Jake'u Bryanie - głos jej ucichł do zdławionego szeptu. - Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało.

- Oh, Jamie - Jake otoczył żonę ramionami, zamykając ją w uścisku. Podobna sytuacja powtarzała się po każdym strażackim pogrzebie. Z jakiejś

przyczyny jednak ten ostatni pogrzeb zaniepokoił Jamie bardziej niż wszystkie poprzednie. - Nic mi się nie stanie, najdroższa.

- Lepiej, żeby nie - wymamrotała mu w kark. Łzy moczyły mu koszulkę.

- Na pewno nie - odsunął się lekko i jeszcze raz ją pocałował, tym razem wolniej i dłużej. - Obiecuję ci.

Pozostali tak przez chwilę, delectując się pocałunkiem. Tuląc żonę w ramionach, Jake święcie wierzył w prawdę swych słów powiedzianych jej przed chwilą. Bezsprzecznie, gaszenie pożarów w Nowym Jorku niosło ze sobą wielkie niebezpieczeństwo. Ale czyż podobnie niebezpieczna nie była jazda samochodem, chodzenie piechotą, a nawet oddychanie? A jemu żadne niebezpieczeństwo nie groziło - tego był pewien. W końcu miał układ z Bogiem.

RS



## Rozdział 6

10 września 2001

Od chwili, gdy w sobotnie popołudnie Erie Michaels wysiadł na lotnisku La Guardia, wszystko nabrało szalonego tempa.

Wielu klientów Koppel&Grant wyczuwało, iż niedawna tendencja zniżkowa na rynku mogła stanowić wstęp do czegoś znacznie większego, dlatego spora ich część domagała się teraz raportów na temat aktualnych notowań, bezpieczniejszych akcji, sposobów ochrony rynku farmaceutyków i usług.

Gdyby opinie Erica bywały błędne, nie zajmowałby on teraz tak wysokiej pozycji w swej branży - w praktyce nikt nie dorównywał mu w rozeznaniu sektora inwestycyjnego. Ale też Erie pracował po piętnaście godzin na dobę, czy to przeprowadzając badania rynku, czy też wsłuchując się w swój nieomylny instykt. Weekendy nie stanowiły wyjątku od reguły.

Był poniedziałek i jak do tej pory dzień ten nie różnił się niczym od innych, spędzanych przez niego na Manhattanie. Pobudka o wpół do szóstej, potem trzy mile na bieżni w siłowni hotelowej, podnoszenie ciężarów przez kolejne dwadzieścia

minut, a następnie szybki prysznic i lekkie śniadanie. Przez cały ten czas obliczał w myśli, które sektory którego portfela można by poszerzyć albo sprzedać w celu zakupu danych akcji.

Myśli o Laurze i Joshu odłożył na czwartek, do czasu powrotu do domu.

Biuro firmy Koppel&Grant mieściło się na sześćdziesiątym czwartym piętrze Południowej Wieży World Trade Center. Wynajmowali pomieszczenia od firmy ubezpieczeniowej i zatrudniali jedynie pięćdziesięciu sześciu pracowników. Im mniejsze koszty, tym większy zysk - oto cała filozofia Allena Koppela, niekwestionowanego jedynowładcy w Koppel&Grant. Robert Grant III zmarł przed dwoma laty - jego nazwisko zostało na papierze firmowym, ale nikt dotąd nie zajął jego miejsca.

Erie żywił nadzieję, iż to on kiedyś zajmie to miejsce. Koppel&Grant&Michaels. A może nawet Koppel&Michaels? Miał pewne podstawy, by przypuszczać, że tak może się stać, i to właśnie kazało mu ślepczeć do późna w nocy, nawet jeśli następnego dnia musiał zjawić się w biurze wczesnym rankiem. Tak, Koppel dyrygował orkiestrą, ale od śmierci Granta Erie stawał się coraz ważniejszą osobą w firmie. Decyzje, które mieli podjąć w tym tygodniu, wiązały się z większymi pieniędzmi, niż

kiedykolwiek zarobili w tak krótkim czasie. Dlatego właśnie Erie był w Nowym Jorku - Koppel go potrzebował. Świadomość tego niezmiernie poprawiała mu samopoczucie.

Punktualnie o ósmej wysiadł z windy na sześćdziesiątym czwartym piętrze - korytarz kilkakrotnie skręcał, zanim doprowadził go do ciężkich, orzechowych drzwi z mosięzną tabliczką: „Koppelf&Grant”. Erie wpatrywał się przez chwilę w swoje odbicie w wypolerowanym metalu: „Tak, teraz jestem we właściwym miejscu. To moja firma... i pewnego dnia będzie o tym mówić podobna tabliczka”.

Pewnym siebie krokiem wszedł do środka i minął sekretarkę, która rzuciła tylko:

- Pan Koppel jest w swoim biurze.
- Dzięki.

Dziewczyna była tu nowa, a Erie nigdy nie spoufalał się z personelem. Sekretarki w Koppel&Grant zarabiały przyzwoicie i oczekiwano od nich zajmowania się wyłącznie pracą. Godziny nadliczbowe nie należały tu do rzadkości, były wręcz częścią ich obowiązków. Wszystkie, którym warunki pracy nie odpowiadały, natychmiast wymieniano na nowe. Erie odwiedzał nowojorskie biuro przynajmniej raz na pół roku i rzadko zdarzało mu się dwukrotnie zobaczyć tę samą sekretarkę.

Resztę dnia spędził z Allenem Koppem, sprawnie żonglując liczbami i podejmując decyzje dotyczące dwunastu najważniejszych klientów. Około ósmej wieczorem Allen wstał z za biurka.

- Na dziś wystarczy - po jego wąskiej twarzy przemknął uśmiech. - Chodźmy poszukać jakichś kobiet.

Allen miał pięćdziesiąt trzy lata i był niewielkim, szczupłym, żyłastym mężczyzną, który mało jadł, a jeszcze mniej pił. Erie myślał nieraz, że razem ze swoim markowym garniturem, modnymi butami i skórzaną aktówką ten facet waży nie więcej niż sześćdziesiąt kilo. Był tak szczupły, że jego ramiona i łokcie - nawet okryte ubraniem - robiły wrażenie sterczących. Trzy żony, z którymi rozwiódł się dosyć szybko, były dla niego tylko chwilowymi kochankami. Najważniejszą wszak miłością Allena pozostawała nieustannie firma Koppel&Grant.

Każda z owych żon jednakże sporo go kosztowała, dlatego też nie miał zamiaru popełnić podobnego błędu po raz czwarty. Kilka razy w tygodniu Allen i Erie rozmawiali telefonicznie i z tychże rozmów Erie wnioskował, że Allen aktywnie uczestniczył w nocnym życiu Manhattanu. Koppel miał

świadomość, że generalnie rzecz biorąc, kobiety spotykają się z nim wyłącznie dla jego milionów. Większość z nich wycofywała się ze znajomości, zdawszy sobie sprawę, że nie zamierza on dzielić z nimi swego nazwiska. Ostatnio nawet skarżył się, że nie umówił się z żadną kobietą od sierpnia.

- Idziesz ze mną, Michaels? - wstał i wsunął kilka teczek do swojej aktówki.

- Poważnie mówisz? - Erie wpatrywał się w szefa przez chwilę. - Moglibyśmy jeszcze przynajmniej przez godzinę popracować.

- Neeee - Allen machnął ręką na papiery rozłożone na biurku pomiędzy nimi. - Zrobiliśmy więcej, niż myślałem - uśmiechnął się ponownie. - A poza tym, praca nie zajac...

Od czasu do czasu Allen zaskakiwał Erica, ukazując zupełnie inne oblicze, nieomal ludzkie. Erie wzruszył ramionami.

- OK, idę - uniósł jedną brew. - Ale żadnych kobiet, Allen. Jestem żonaty, pamiętasz?

Allen niedbale machnął ręką i zmarszczył brwi.

- Małżeństwo rzecz nietrwała. A poza tym, z twoją aparycją powodzenie masz gwarantowane.

- Żadnych kobiet, psze pana - Erie spojrzał na szefa z krzywym uśmiechem. - Ale kolacja bardzo chętnie.

Allen pomyślał chwilę.

- Dobrze - westchnął. - Namówię cię jeszcze podczas obiadu. To gdzie idziemy?

- Ty wybierz.

- To może... do Windows on the World, drogi chłopcze. Cóż innego pozostaje, gdy się pracuje w Word Trade Center?

Restauracja mieściła się na samym szczycie północnej Wieży World Trade Center, ponad sto pięter nad ziemią. Obaj panowie dokładali starań, by przynajmniej raz spotkać się przy biznesowym lanczu lub obiedzie z klientem w tym właśnie miejscu za każdym razem, gdy Erie był w mieście. Tym razem miało być nieco inaczej, bez klientów.

Zjechali windą na parter, gdzie weszli do sąsiednich drzwi i znów windą wjechali na górę. Kierownik sali poprowadził ich do stolika przy oszklonej ścianie. Erie przysunął swoje krzesło tak blisko szyby, jak tylko się dało. Miasto spowijała już ciemność, rozświetlona milionem migoczących świateł. Widok był piękny, nieomal jak z okien samolotu.

- Niewiarygodne, prawda? - podziwiając ten widok, Erie po raz kolejny zdał sobie sprawę z niesłychanej wysokości bliźniaczych wież. Dwa budynki stały obok siebie jak para gigantów, dwie sekwoje w gąszczu młodych drzewek.

Allen zamówił grzyby saute i butelkę Chardonnay za dwieście dolarów. Zanim odezwał się ponownie, poczekał aż kelnerka naleje każdemu z nich kieliszek wina.

- Dobrze wyglądasz, Erie. Dbasz o siebie.

- Staram się - Erie oparł się wygodnie i pociągnął łyk. Pił tylko dla zachowania pozorów, na przykład przy okazji takiej jak ta, nigdy z innych powodów. Nie mógł sobie pozwolić, by jego umysł choć na chwilę stracił bystrość. Odłożył kieliszek. - Biegam i podnoszę ciężary.

- To dobrze - Allen pochylił się w jego kierunku. - Musisz utrzymać dobrą kondycję, Erie. Pewnego dnia to ty będziesz szefem tej firmy.

Erie poczuł nagły skok adrenaliny.

- Mam taką nadzieję... - nie mógł wykrztusić nic więcej. Zawsze miał nadzieję, że kiedyś osiągnie tę pozycję, lecz nigdy wcześniej Allen nie wyraził tego tak dobitnie. Powoli, z rozmysłem przełknął łyk wina i zdołał się uśmiechnąć. - Bardzo bym tego pragnął.

Allen mrugnął do niego:

- Tylko nie zrozum mnie źle: mam jeszcze trochę życia przed sobą - oparł łokcie na stole. - Ale pewnego dnia ty przejmiesz po mnie firmę. Nie widzę innego kandydata.

Erie nie wiedział, co powiedzieć. Pojawiła się kelnerka z zamówionymi grzybami i każdemu z nich podała mały talerzyk. Jej uśmiech wyrażał coś więcej niż tylko profesjonalne zainteresowanie ich przyjemnością płynącą z obiadu i Erie zauważył, że krząta się wokół niego troszeczkę dłużej niż to konieczne. Wymienili kilka uprzejmych zdań, po czym dziewczyna przyjęła zamówienie i odeszła do kuchni.

Gdy tylko trochę się oddaliła, Allen uniósł znacząco brew:

- Szaleje za tobą - wyszeptał. - Podaj jej numer swojego pokoju, gdy będziemy wychodzić.

- Posłuchaj... - Erie zaśmiał się i potrząsnął głową. Jego wieloletnie małżeństwo z Laurą naprawdę wprawiało jego szefa w zdumienie. Erie poczęstował się trzema grzybkami i błysnął Allenowi przed oczyma swoją obrączką. - Laurze by się to nie spodobało.

- Aaa... Laura wcale by o tym nie wiedziała - Allen odsunął krzesło i założył nogę na nogę. - Spójrz tylko na siebie: przystojny, wysportowany. Zawsze, gdy gdzieś wychodzimy, kobiety lecą na ciebie.

Erie roześmiał się znacząco.

- Na ciebie też.

- Chcą tylko moich pieniędzy, niczego więcej.

- I dostają je, a przynajmniej całkiem sporą ich część, jeśli się nie mylę. Nieprawdaż?

Tym razem zaśmiał się Allen.

- Zdemaskowałeś mnie! Ale kobiety takie, jak ta - wskazał na kuchnię - zadowolą się jedną miłą nocą, drogi Ericu. Jesteś tak daleko od domu, o całe tysiące mil - wziął dwa grzybki i rozkroił jednego. - Kto by się o tym dowiedział?

Erie właśnie zastanawiał się nad odpowiedzią, gdy coś przykuło jego wzrok.

Przy sąsiednim stoliku siadała rodzina: jakiś biznesman, kobieta - zapewne żona - i dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka mniej więcej w wieku Josha. Kobieta pomogła im usiąść, a następnie przywiązała pęk czerwono-białych baloników wypełnionych helem do oparcia krzesła dziewczynki. Przyjęcie urodzinowe. Takie jak to Josha, na które nie poszedł tydzień temu.

Allen mówił coś o firmach związanych z przemysłem naftowym oraz o wpływie, jaki embargo mogło wywrzeć na raporty z następnego kwartału, ale Erie w ogóle go nie słuchał. Zaabsorbowany był sceną rozgrywającą się przy sąsiednim stoliku, tuż za plecami Allena.

Małżonkowie siedzieli obok siebie z łokciami na lnianym obrusie, trzymając się za ręce w taki sposób, że widać było obrączkę na palcu kobiety. Dzieci zajęły się wybieraniem dań, a mężczyzna wyszeptał coś wprost do ucha żony. Ona zachichotała i pocałowała go w usta.

Właśnie wtedy dziewczynka podniosła wzrok i cmoknęła językiem. Erie ledwo usłyszał jej słowa:

- Mamo, zachowujecie się oboje jak nastolatki!

Kobieta nie wyglądała jednak na zawstydzoną, wręcz przeciwnie - ponownie pocałowała męża i powiedziała coś, czego Erie już nie dosłyszał.

- Erie? Słuchasz mnie? - Allen wypił pierwszy kieliszek wina i właśnie nalewał następny.

Jeśli dzisiejsze spotkanie miało być podobne do innych, Erie wątpił, czy go wypije do dna. Półtora kieliszka to była jego norma podczas tych rzadkich okazji, gdy pił.

- Oczywiście - Erie włączył uwagę. - Słyszałem każde słowo.

- Więc, jak mówiłem, być może widoki na embargo są niewielkie, ale te kraje arabskie to wybredna grupa. Jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy...

Erie znów się wyłączył. Ludzie przy sąsiednim stole siedzieli teraz z pochylonymi głowami i zamkniętymi oczyma, trzymając się za ręce. Mała solenizantka prowadziła modlitwę. Erie nastawił uszu, by coś usłyszeć.

- Panie, dziękujemy za wszystko, co mamy. Za mamę i tatę, i za nas samych. Proszę, spraw, byśmy w tym roku bawili się równie dobrze jak w ubiegłym - umilkła na chwilę. - Aha, i dziękujemy Ci za jedzenie.

Erie odwrócił wzrok, żeby go nie przyłapali na przyglądaniu się. Pokiwał głową na znak, że całkowicie zgadza się z Allenem, i ponownie całą uwagę skupił na tamtej rodzinie. Zazwyczaj nic nie zakłócało jego rozmów zawodowych. Ale od więzi łączącej tych ludzi nie mógł oderwać oczu, zupełnie jakby oglądał ich w filmie.

Mężczyzna wyciągnął rękę przez stół i uścisnął palce dziewczynki.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie! - pogłaskał ją po rękę i uśmiechnął się do siedzącego obok niej chłopca. Mały wypiął pierś i nieco głośniejszym głosem powiedział:

- Nie martw się, tato. Może i jestem młodszy, ale i tak będę się nią opiekował. Jak pojawią się jakieś chłopaki... będę w pogotowiu!

- Proszę bardzo - wróciła kelnerka i Erie aż drgnął na krześle. Postawiła przed nim talerz z pieczonym kurczakiem i warzywami, a przed Allenem krewetki. Potem zrobiła krok w tył i, patrząc Ericowi w oczy, dodała: - Jeśli mogę służyć czymś jeszcze, proszę dać znać.

Gdy odeszła, Allen skierował swój widelec w stronę Erica:

- Widzisz... mówiłem ci. Zrobi wszystko, co zechcesz. Już jest twoja. Widziałeś jej nogi? Byłbyś głupi, gdybyś nie skorzystał z takiej okazji.

Erie wziął sztucce i po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o modlitwie. Może nie głośniejszą, jaką odmówiła rodzina przy stole obok, ale cichej, w głębi serca, w podziękowaniu za wszystko, co Bóg dla niego uczynił; za wszystko, za co Erie nie dziękował Mu przez wszystkie lata od śmierci ich córki.

Ale myśl przeminęła równie szybko, jak się pojawiła.

Za późno na pogaduszki z Bogiem, nawet na podziękowania. Ich drogi rozeszły się wiele lat temu i Erie wątpił, by kiedykolwiek jeszcze się spotkali. A poza tym, świetnie sobie radził bez Boga. Pełni obowiązki wiceprezesa w jednej z najpotężniejszych grup finansowych na Manhattanie, z widokami na rychłe objęcie prezesury za kilka lat. Ma lepszy samochód, dom i większe oszczędności na koncie, niż niejeden w jego wieku mógłby sobie wymarzyć. A wszystko to dzięki własnej ciężkiej pracy. Jeśli więc ktoś tu zasługiwał na wdzięczność, to raczej on, a nie Bóg.

Rodzina przy sąsiednim stoliku skończyła jeść, wstała i wyszła, natomiast Allen i Erie siedzieli jeszcze jakieś pół godziny. Gdy wreszcie skończyli posiłek, Allen zapłacił rachunek, a Erie dokończył trzeci kieliszek wina. Było to więcej niż wypił w sumie w ciągu ostatnich miesięcy, ba, nawet lat. Szumiało mu w głowie, a po całym cieple rozchodziło się miłe ciepło. Wstali od stołu.

Wychodząc, Erie starał się nie patrzeć na kelnerkę. Nie chciał, żeby opacznie go zrozumiała, gdyż naprawdę nie był nią ani trochę zainteresowany. Miał żonę i nie chciał jej oszukiwać, umawiając się za jej plecami z innymi. Być może nie najlepiej im się układało, ale nie miał zamiaru dodatkowo komplikować sobie życia, wikłając się w romanse. Taki pomysł nie uśmiechał mu się absolutnie. Kilka miesięcy wcześniej tłumaczył to Murphy'emu w biurze w Los Angeles:

- Zauważyłeś, jak rzeczy, których pragniemy, zmieniają się, gdy się ma pracę taką jak my? - był późny wieczór, czekali razem na windę.

- Mhm - mruknął Murphy. - Masz rację.

- Kiedyś pragnęliśmy miłości i seksu - Erie zmrużył oczy - a teraz władzy i pieniędzy. Sukcesu. I wiesz, co?

- Wolisz to ostatnie?

- Tak - Erie sam nie dowierzał własnym słowom. - Dzięki temu życie jest ekscytujące i to ja mam wszystko pod kontrolą - ja, nikt inny. I tak jest lepiej.

Ericowi przypomniała się tamta rozmowa, gdy zjeżdżali z Allenem na parter ponad stupiętrowego budynku. Na zewnątrz Allen machnął na taksówkę i uśmiechnął się do Erica:

- Może odrobina nocnego życia?

Było już po dziesiątej i Erie czuł znużenie. Być może to z powodu wypitego wina, jednak nie mógł przestać myśleć o rodzinie, którą tego wieczoru obserwował w restauracji.

- Nie, dziękuję. Idę spać.

Podjechała taksówka, a Erie zatrzymał następną, jadącą kilkanaście metrów za nią.

- No, dobrze, mamy dwie taksówki - Allen wszedł na tylne siedzenie. - Do zobaczenia jutro o ósmej.

- Tak jest! - taksówka Erica zatrzymała się w chwili, gdy Allen zamykał drzwi swojej.

W hotelu w pierwszym odruchu Erie chciał włączyć telewizor, ale natychmiast zrezygnował z tego zamiaru. Nie znosił telewizji, nie znosił marnowania czasu. Ale dziś wieczorem i tak nie mógłby się skupić, nawet gdyby bardzo tego chciał. Nie przez wino, lecz z powodu nieustannie powracającego w pamięci obrazu tamtej rodziny. Przypominał sobie, jak błyszczały oczy kobiety, gdy całowała swojego męża; jak delikatnie mężczyzna pogłaskał rączkę córki. Przypominał sobie ich dobry humor, widoczną bliskość i chęć modlitwy - nawet w miejscu publicznym.

Czy on, Laura i Josh kiedykolwiek byli w takiej sytuacji? Czy tworzyli kochającą się, zgraną rodzinę? Czy Laura pocałowała go kiedyś w taki sposób - z oczyma rozpromienionymi czystą radością bycia z nim? Erie zachodził w głowę, próbując przypomnieć sobie takie chwile. Przecież kiedyś z pewnością tak się kochali...

Powiesił płaszcz w szafie i wygładził go ręką, by się nie zmiał przez noc. Piętnaście minut później zgasił światło i usiadł na łóżku. Nie był na tyle zmęczony, by kłaść się spać. Odblask świateł miasta prześwitywał przez szparę w zasłonach. Poczł, jak oczy mu się zamykają. Napłynęły wspomnienia: on i Laura w początkach ich znajomości, gdy byli jeszcze na studiach. Oboje głośno wyrażali swoją wiarę, byli oddani Bogu, zdecydowani zachować czystość aż do dnia ślubu.

Dlatego właśnie pobrali się, gdy Laura miała zaledwie osiemnaście lat i dopiero co skończyła szkołę średnią. Erie pisał wówczas pracę magisterską, pieniędzy mieli niewiele. Ucieszyli się, gdy rodzice Erica pomogli im urządzić się w domku gościnnym jego ciotki. Był malutki: niewiele ponad dwadzieścia metrów kwadratowych. Czuł w nim było starość i stęchlizną, nazwali go więc bunkrem. Gdy tylko nie spali albo nie byli na zajęciach, większość czasu spędzali, siedząc na zewnątrz przy omszałym stole piknikowym. Erie grał na gitarze, razem śpiewali i rozmawiali o przyszłości.

Życie było wtedy o wiele prostsze. Przypominał sobie pewien wieczór, gdy w oddali przygrywały im świerszcze, a nad nimi błyszczał baldachim



gwiazd. Gdy skończył śpiewać jakąś piosenkę, odłożył gitarę i nachylił się do Laury.

- Uwielbiam śpiewać - przysunął twarz do jej twarzy.

- Mhmmm... - zamknęła oczy - a ja uwielbiam cię słuchać.

- Wiesz, co jeszcze uwielbiam? - przysunął się jeszcze bliżej i obrysował kontur jej ust swoim palcem.

- Może bunkier? - zachichotała, marszcząc nos w sposób, w jaki nigdy potem tego nie robiła.

Począł, aż przestanie się śmiać. Potem ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją - długo i niespiesznie. Potem oparł swoje czoło o jej czoło.

- Nie, szalona dziewczyno. Uwielbiam być z tobą. I wszystko, co się z tobą wiąże - cofnął się nieco, by ich spojrzenia mogły się spotkać. - Kocham cię, Lauro.

Nagle wspomnienie tej sceny stało się tak żywe, jak widziane wcześniej tego wieczoru sceny w restauracji. Ależ tak... oczy Laury naprawdę błyszczały - jak gwiazdy ponad nimi, jak oczy tej kobiety. Wspomnienie nieco przyblakło i Erie zmusił się do myślenia. Co się stało potem? Coś ważnego, prawda? Coś, o czym często rozmyślał po owym wieczorze, aż do czasu, gdy... umarła ich małeńka córeczka i życie przestało mieć sens.

Otworzył oczy i wpatrywał się w ciemny sufit hotelowego pokoju. Stopniowo przypominał sobie dalsze wydarzenia. Ponownie zamknął oczy. Zobaczył Laurę, która wstała i powoli okręciła się, patrząc na wszystko dokoła - na Erica, jego gitarę, stół piknikowy, bunkier, nawet na popękane betonowe patio, na którym spędzali tak wiele wieczorów.

- Co robisz? - rozbawiły go jej poczynania.

- Chłonę - odchyliła głowę do tyłu i wciągnęła głęboko powietrze - każdy najmniejszy nawet szczegół.

- Tego? - zaśmiał się krótko - Przecież to nic takiego - wstał i objął ją. - Ale obiecuję ci, że pewnego dnia... pewnego dnia dam ci wszystko - przyjrzał jej się uważnie. - Będiesz żyła jak królowa, tak jak na to zasługujesz.

Laura tylko uśmiechnęła się do niego.

- Wcale nie rozumiesz.

- Czego? - uważnie patrzył jej w oczy.

- Ja już wszystko mam. Bez względu na to, jak wiele kiedyś będziemy zarabiać, nie potrzebuję nic innego tylko ciebie. Ciebie i Boga - jeszcze raz powoli wciągnęła powietrze, jakby próbowała zamknąć w sobie tę chwilę. - Nic na świecie nie uczyniłoby mnie szczęśliwszą, niż jestem teraz.

Obrazy zbladły. Znow otworzył oczy. Instynktownie spojrzął na stojący na nocnym stoliku budzik. Było już po północy. Jeśli nie prześpi się choć trochę, będzie jutro ledwo żywy. Ale wspomnienia wciąż go nachodziły. Znowu przypomniła mu się rozmowa z Murphym. Ta o władzy, pieniądzach i sukcesie.

Jak to się stało, że zastąpiły one to wszystko, co łączyło go z Laurą owego wieczoru przed bunkrem? I dlaczego właściwie przestał grać na gitarze? Łagodna muzyka mieszała się wówczas z wieczorną bryzą, dodając mu otuchy i przymnażając poczucia, iż wszystko na świecie ma swój sens. To właśnie dzięki grze na gitarze potrafił się wyciszyć, skupić na Bogu i ludziach ważnych w jego życiu, a nie wyłącznie na tym kuszącym a pochłaniającym bez reszty pragnieniu nieustannego parcia do przodu.

Dzisiaj tylko to się dla niego liczyło. Erie zamrugął i przewrócił się na drugi bok. Ale czy jest w tym coś złego? W tym, że myśli i zachowuje się inaczej niż dziesięć lat temu?

Nie chodzi o to, że chciałby naprawdę zapomnieć o miłości - zarówno duchowej, jak i fizycznej. Po prostu nie było czasu na te rzeczy. Kiedy się pobrali, on i Laura mieli mnóstwo czasu. To się jednak zmieniło i życie nie jest z tego powodu ani lepsze, ani gorsze. Jest po prostu inne. Zresztą, miłość może poczekać. Laura nigdzie się przecież nie wybiera. Zarówno ona, jak i Josh będą gdzieś w pobliżu, gdy już osiągnie szczyt kariery i będzie mógł nieco zwolnić. Czyli kiedy przejmie kierownictwo po Grancie, a może nawet wcześniej, jeśli interesy będą szły tak pomyślnie jak dotychczas.

A na razie przecież niczego Laurze nie brakuje. Gdyby teraz, podobnie jak tamtego wieczoru przed bunkrem, zatrzymała się i rozejrzała, dostrzegłaby, że uczynił nawet więcej, niż obiecał. Elegancka terenówka Cadillaca w garażu, dom o powierzchni bez mała pięciuset metrów kwadratowych w przepięknej okolicy Westlake Village, przy domu basen, a w domu służba, członkostwo we wszystkich ważniejszych klubach, a dla Josha - zarezerwowane miejsce w Westmont Academy, elitarniej prywatnej szkole chrześcijańskiej.

Być może Laura nie jest absolutnie szczęśliwa, ale jedno jest pewne: żyje jak królowa. Uświadomienie sobie tego faktu uspokoiło Erica. W ciągu kilku sekund oczy mu się zamknęły i poczuł, jak odpływa w sen. Zanim całkiem zasnął, pocieszył się jeszcze jedną myślą: przecież czas, który spędzał w pracy, był dla Laury i dla Josha. A miłość? Na miłość będzie jeszcze czas. Mają však przed sobą wieczność.

## Rozdział 7

10 września 2001

Laura próbowała się czymś zająć. Razem z Jos-hem spędziła sobotę u znajomych, a w niedzielę byli w kościele. Rano zgłosiła się na ochotnika w szkółce niedzielnej, do której uczęszczał Josh: pomagała podczas kiermaszu książek, potem zjadła obiad z zaprzyjaźnioną rodziną z Westmont. Dopóki była czymś zajęta, nie miała czasu zamartwiać się swoim życiem i tym, że jej małżeństwo wisiało na włosku.

Ale teraz, o dziesiątej w nocy, gdy Josh spał już w swoim pokoju, leżała w ciemności kompletnie rozbudzona, a jej myśli kłębiły się niespokojnie. Gdzieś tam, pod tym samym wrześniowym niebem, Erie spał sobie smacznie w Nowym Jorku. Ale czy sam? Z roku na rok spędzał coraz więcej czasu poza domem, co sprawiało, że Laura zaczynała poważnie się zastanawiać. Ich zbliżenia od lat były niezbyt częste, za to pospieszne; nastawione bardziej na zaspokojenie niż przejaw uczucia. Nawet jego zapewnienia o miłości wydawały się płytkie i sztuczne. Nie było w nich tego uczucia, które towarzyszy przeciągłym spojrzeniom czy cicho szeptanym, namiętym słowom.

Laura zastanowiła się. Właśnie, namiętność - tego w jej życiu brakowało. To dlatego rozwód wydawał się tak kuszący. Towarzyszyła mu myśl, że gdzieś jest ktoś, kto mógłby obdarzyć ją namiętym uczuciem, do czego tak bardzo tęskniła. Serce Laury poczęło bić szybciej. W ciągu ostatnich ośmiu lat od czasu do czasu coś takiego jej się zdarzało, ale ostatnio było coraz gorzej i nieodłącznie wiązało się z bezsennością.

Usiadła i zaświeciła światło. W takich chwilach znajdowała ukojenie tylko w jeden sposób. Sięgnęła do szuflady nocnej szafki i wyciągnęła swój zaczytany egzemplarz Biblii w niebieskiej skórce. Dostała go od Erica jako prezent ślubny. Laura starała się nie dostrzec w tym ironii. Minęło dziesięć lat, od czasu gdy Erie sięgał po Pismo Święte; było to jeszcze przed jej pierwszą ciążą.

Stronice były miękkie i cienkie, niektóre bardziej wytarte od częstego używania, na przykład cały rozdział czwarty w Liście do Filipian. Laura znalazła tekst, którego szukała, i skupiła wzrok na czwartym wersie: „Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko! O nic się już nie martwcie, ale w każdej sprawie wasze prośby

przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem! A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie".

Laura kilkakrotnie przeczytała ten fragment. Ze szczególnym upodobaniem powracała do słów o pokoju Bożym mającym strzec jej serca i myśli. Czuła wtedy, jak powoli opada w niej napięcie.

W końcu nawet ucisk w żołądku, który towarzyszył jej od zeszłego tygodnia, od feralnych urodzin Josha, zelżał, po czym ostatecznie zniknął.

Zamiast jednak spokojnie zasnąć, Laura rozmyślała o namiętym uczuciu, którego tak w jej życiu brakowało. Erie okazywał jej niegdyś namiętność, to prawda. Czyż nie to przede wszystkim tak ją w nim pociągało? W jej pamięci przewijały się obrazy z pierwszych lat ich znajomości, jak dawno nieoglądany film. Czy była po prostu młoda i naiwna? A może Erie naprawdę ją kochał, naprawdę obiecywał, że będzie kochać zawsze?

Wspomnienia wypływały na powierzchnię świadomości z najgłębszych zakamarków serca. Niemal pogrzebała je w niepamięci, odkąd Erie zrobił doktorat i zaczął pracować w Koppel&Grant.

Po raz pierwszy od wielu lat Laura pozwoliła przeszłości swobodnie powrócić. Odłożyła Biblię do szuflady, zgasiła światło i siedziała po ciemku, przywołując wspomnienia o Ericu Michaelsie i wielkiej miłości, która zaczęła się pewnej jesieni, gdy Laura była w przedostatniej klasie liceum w Canoga Park.

Zatrzymała się na krótką chwilę. Jak już wspominać, to wszystko, od samego początku: od owego lata w roku 1974, gdy miała zaledwie trzy lata. Wtedy właśnie odebrano ją rodzicom i umieszczono w rodzinie zastępczej. Nie rozumiała wówczas, co się dzieje. Dopiero później pokazano jej kopie dokumentów sądowych.

Jej rodzice chałupniczo produkowali metamfetaminę na podwórzu swojego domu w Topanga Canzon i byli czterokrotnie aresztowani za wytwarzanie i sprzedaż narkotyków. Zawsze wynajmowali wygadanych adwokatów i kończyło się tylko na surowych grzywnach oraz kolejnej szansie poprawy. Ale za piątym razem sędzia postanowił z tym skończyć. Oboje dostali dwudziestoletnie wyroki i trafili do oddzielnych zakładów karnych. Odebrano im prawa rodzicielskie, a Laura - zgodnie z kalifornijskim prawem o opiece społecznej - została oddana do adopcji.

Szybko zgłosili się ludzie, którzy chcieli ją adoptować, ale rok później rozwiedli się i zmienili zdanie. Mieszkała więc po kolei w kilku domach

dziecka, aż w wieku siedmiu lat pewna rodzina z Canoga Park zdecydowała się na adopcję.

Rodzina Paige'ów była duża i wielokulturowa. Małżeństwo miało czwórkę własnych dzieci i czworo adoptowanych - dwoje Latynosów i dwójkę dzieci z Rumunii. Laura została więc ich dziewiątym dzieckiem, co nie pozwalało na zbyt częste i bliskie relacje z przybranymi rodzicami. Okazali się oni miłymi chrześcijanami, lecz nie sposób było oprzeć się wrażeniu, iż ich dom to właściwie jedno wielkie obozowisko.

Mijały lata - Laura Paige została świeżo upieczoną uczennicą liceum w Canoga Park. Pewnego dnia weszła na lekcję higieny i usiadła przy jedynym wolnym stoliku w klasie. Obok niej, na wpół schowany za stertą podręczników, siedział jakiś blondyn w okularach.

Wystawił głowę zza piramidy książek i uśmiechnął się do niej.

- Cześć! Pamiętasz mnie?

Laura poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz i szyję. Znała chłopaka z widzenia, ale nigdy wcześniej nie zamienili ze sobą słowa. Nauczyciel właśnie zaczął lekcję.

Nie odpowiedziała, więc chłopak ciągnął dalej:

- Nazywam się Clay Michaels. Jesteśmy razem w Klubie Liderów, przypominasz sobie? Spotkaliśmy się kiedyś podczas lunchu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, podszedł do nich nauczyciel. Miał oczy zmrużone ze złości.

- Nie ma gadania na lekcjach! Ani teraz, ani w ogóle, do końca roku szkolnego! - zagrzmiął i spojrzał wprost na Claya. - Zrozumiano?

Clay zaczerwienił się, schował za stertą książek i utkwiał wzrok w katedrze. Kilku chłopaków z sąsiednich ławek posłało mu znaczące uśmieшки. Laura zignorowała całe wydarzenie. Była nieśmiałą, pilną uczennicą, która wraz z innymi zdolnymi uczniami udzielała się w Towarzystwie Honorowym i brała udział w zajęciach pozalekcyjnych. Nie interesowała się chłopcami, nawet tymi z Klubu Liderów.

Niemniej na niektóre zajęcia Laura i Clay chodzili razem i zanim rok szkolny dobiegł końca, zaprzyjaźnili się. Czasem mijali się na korytarzu i machali do siebie, ale poza tym Clay nie próbował się z nią umawiać czy przekształcić ich przyjaźń w coś więcej. I to właśnie bardzo Laurze odpowiadało. Wiedziała, że nie ma w niej nic szczególnego. Nie włączyła się po szkole, chichocząc na temat piątkowego meczu piłki nożnej, i nie miała najmniejszej ochoty zostać cheerleaderką. Za główny cel życia postawiła sobie

ciężką pracę, która w przyszłości mogłaby jej umożliwić zdobycie stypendium na miejscowym uniwersytecie. Potem może dyplom nauczycielski i praca z dziećmi...

Chłopcy, randki, związki - to wszystko mogło poczekać. A gdy już przyjdzie na nie czas, Laura szczerze wątpiła, by mogła zakochać się w kimś takim jak Clay Michaels - w nieśmiałym i niezdarnym chłopcu, na którego widok jej serce ani razu nie zaczęło bić mocniej. Nie, znajdzie kogoś, kto ją namiętnie pokocha, kto oszaleje na jej punkcie, kto będzie ją hołubił i tylko do niej należał. Kogoś, na czyj widok zamrze w niej serce. Ale tym kimś zdecydowanie nie był Clay Michaels.

Jednak jesienią, w przedostatniej klasie liceum, sprawy przybrały zupełnie inny obrót.

Było to podczas lekcji matematyki, na którą Laura i Clay uczęszczali razem. Do Laury zaczęło docierać, że coś się dzieje - zachowanie Claya zmieniło się. Nosił teraz szkła kontaktowe i nie tylko wyrósł, ale i nabrał ciała. Nigdy wcześniej nie był atletycznej budowy, ale tamtego roku wyglądał, jakby ćwiczył podnoszenie ciężarów. Było też coś nowego w jego sposobie poruszania się - jakaś pewność siebie, której wcześniej w nim nie dostrzegała.

Pod koniec pierwszego tygodnia szkoły, gdy Clay zaproponował, by się razem uczyli, serce Laury zabiło nieco żywiej. Zastanowiła się przez chwilę.

- Tutaj? Po szkole?

- Nie - spojrzenie Claya stało się jakby głębsze. - Miałem na myśli u mnie - wzruszył ramionami. - Mam samochód. Moglibyśmy raz w tygodniu uczyć się razem, potem odwoziłbym cię do domu.

- A jaki będę miała z tego pożytek? - Laura drażniła się z nim, ale tylko troszeczkę. Po raz pierwszy, odkąd się znali, myśl, że spędzą razem nieco więcej czasu, wydała jej się przyjemna. Uczyć się we dwoje będzie chyba milej niż samotnie.

- Ty? - Clay otworzył usta ze zdziwienia. - Eee... - szybko się uśmiechnął. - Będę cię rozśmieszał... będę tańczył i śpiewał dla ciebie... - jego uśmiech zgasł, wyrzucił ręce w górę. - No, daj spokój, Lauro. Lepiej nam będzie razem.

Laure rozśmieszył żaloszny wyraz jego twarzy.

- No, dobra.

Przez osiem tygodni spędzała poniedziałkowe popołudnia w domu Claya, ucząc się matematyki, i ani razu nie przyszło jej nawet do głowy, że ma on

starszego brata. Dom był skromnie urządzone. Matka Claya była dla Laury uprzejma, lecz nieco chłodna. Laura domyślała się, że w jego rodzinie nie wszystko układa się, jak należy, ale nie znali się na tyle dobrze, by wypadało jej go o to zapytać.

Ojca Claya spotkała tylko raz i uderzyły ją wtedy dwa szczegóły. Po pierwsze, facet był niesłychanie przystojny; po drugie, był tak samo mało-mówny jak jego żona. Laura i Clay kończyli właśnie powtórkę z algebry, gdy drzwi wejściowe otworzyły się. Ojciec Claya wszedł, powiesił płaszcz w szafie i zwrócił się do nich:

- Clay - skinął głową w kierunku Laury - to pewnie ta koleżanka z którą się uczysz?

- Tak, tato - Clay wstał i rzucił Laurze nerwowe spojrzenie. - To jest Laura.

- Miło cię poznać, Lauro - ojciec Claya ponownie skinął głową.

- Mnie pana również - Laura nie wstawiała ze swego krzesła. Czekala aż ojciec podejdzie do Claya, uściska go, zapyta, jak minął dzień. Ale mężczyzna nie uczynił żadnej z tych rzeczy.

- Czy jest na ciebie zły? - szeptem zapytała Claya, gdy jego ojciec wyszedł z pokoju i udał się na górę.

- Kto? - twarz Claya wyrażała obojętność. - Ojciec? Nie - zawahał się - moi rodzice są bardzo zajęci.

- I wszystko w porządku? - nie znośła pytać o takie sprawy.

Clay zniżył głos nieomal do szeptu.

- Rozwodzą się - zamrugał, a jego oczy wypełniły się nieskrywanym bólem, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała. - Za miesiąc będzie po wszystkim.

- Och... - Laura zagryzła wargi - przepraszam. Clay wzruszył ramionami:

- W porządku - wykrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. - Wszyscy są zdania, że lepiej będzie, jak się to wszystko już skończy.

W następnym tygodniu Laura poznała Erica.

Pracowała razem z Clayem nad zagadnieniem słowotwórstwa, gdy w drzwiach pojawiła się młodsza, nie mniej przystojna kopia ojca Claya. Laurze, która dobrze go widziała ze swojego miejsca przy stole w jadalni, zaparło dech w piersiach. Młodzieniec - kimkolwiek był - pomachał w ich stronę ręką i skierował się do kuchni.

Clay zauważył wyraz twarzy Laury i jego uśmiech nieco przygasł.

- Dziewczyny zawsze tak reagują na widok Erica - oparł się łokciem o stół i potrząsnął głową. - Jak to się dzieje, że nie robisz takiej miny, gdy ja wchodzę do pokoju?

- To Erie?

- Tak - Clay odłożył ołówek. - Właśnie kończy Cal State Northridge, jest rozgrywającym w drużynie koszykówki, zamierza kontynuować studia ekonomiczne na uniwersytecie stanowym. Jest także jednym z najlepszych graczy w golfa i na pewno zrobi doktorat przed dwudziestką piątą, oczywiście mając dobre stypendium - Clay zachichotał. - Odkąd pamiętam, zawsze go podziwiałem.

Po chwili, gdy zmagali się z ostatnim zadaniem matematycznym, Erie wszedł niespiesznie do pokoju i przystanął obok nich.

- Dwie ostatnie liczby trzeba oddzielić od reszty i potraktować jako część złożonego zadania. Jak już będziecie mieli odpowiedzi do poszczególnych części, to podzielcie pierwszą część przez drugą.

- Wprost przeciwnie - Laura odsunęła krzesło, żeby na niego spojrzeć - gdy już ma się rozwiązać obydwu części, trzeba je pomnożyć. Rozwiązaniem każdego zadania zakładającego dzielenie ułamków jest zawsze mnożenie, nawet we wzorach algebraicznych.

Erie raz jeszcze rzucił okiem na tekst zadania, po czym przeniósł spojrzenie na Laurę.

- Erie - przedstawił się z uśmiechem, wyciągając do niej dłoń. - Chyba się jeszcze nie poznaliśmy...

Laurze nagle zabrakło słów.

- Jestem... jestem Laura Paige.

- No, no - Erie żartobliwie klepnął brata w łopatkę. - Jeśli jesteś dziewczyną mojego brata, to lepiej bądź dla niego dobra!

Laura potrząsała właśnie przecząco głową, gdy Clay objął ją ramieniem.

- Tak właśnie jest - odsunął się nieco, by zajrzeć jej w oczy. - Jest wspaniała!

- To dobrze - Erie mówił do Claya, ale nie odrywał spojrzenia od Laury. - Opiekuj się nią... to świetna dziewczyna.

Obecność Erica odbierała Laurze wszelką zdolność skupienia się na rozsądnej konwersacji. W głowie czuła pustkę - uśmiechała się tylko jak te głupiutkie dziewczyny ze szkoły. Po wyjściu Erica przysunęła krzesło z powrotem do stołu. Czuła, że czerwieni się aż po koniuszki palców u stóp. Nagle coś sobie uświadomiła i przez krótką chwilę jej serce przestało bić.



Clay zdjął rękę z jej ramienia i przyglądał jej się uważnie:

- Podoba ci się, nie?

Laura prychnęła i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości:

- O co ci chodzi?

- Tylko o to - Clay pozornie skupił całą uwagę na zadaniu matematycznym - że on ci się podoba.

- Noo... powiedzmy. A tak w ogóle, to o co chodzi z tym naszym chodzeniem?

- No, wiesz... - Clay podniósł wzrok na Laurę - właściwie moglibyśmy...

Wtedy Laura zrobiła coś, czego nie pamiętała przez całe lata, aż do teraz, gdy owa chwila z całą wyrazistością stanęła jej przed oczyma: roześmiała się.

Nie był to śmiech złośliwy czy szyderczy, ale w jednej chwili przekreślił wszelkie szanse ich ewentualnych randek, jeszcze zanim w ogóle zaistniały w rzeczywistości. W pamięci powrócił wyraz bólu, jaki na krótki moment pojawił się w oczach Claya; bólu, który ją zaskoczył i sprawił, że gorączkowo zaczęła szukać jakichś słów.

- Clay... chyba nie mówiłeś serio... Spotykamy się od tylu tygodni... - potrząsnęła głową. - Nigdy nie mówiłeś czegoś takiego. Myślałam... myślałam, że żartujesz.

Popatrzyła na niego. j\_ zrozumiała, że wprost przeciwnie: mówił całkiem poważnie; że gdzieś po drodze, w czasie ich cotygodniowych poniedziałkowych spotkań zakochał się w niej. Ale Clay natychmiast się opanował i wlepił wzrok w podręcznik.

- Jasne... - wzruszył ramionami. - Tak sobie tylko zażartowałem.

Przed wyjściem do domu Laura poszła jeszcze do kuchni napić się wody i zobaczyła Erica siedzącego na sofie w salonie. On również ją dostrzegł i zamachał do niej ręką, wołając do siebie. Laura podeszła, choć czuła się tak, jakby w jakiś sposób zdradzała Claya. Serce biło jej mocno, a w głowie trochę się kręciło. Gdy była już dosyć blisko, Eric pochylił się ku niej:

- Wcale nie chodzisz z Clayem, prawda?

- Nie - uśmiechnęła się. - On tylko żartował. Eric spojrzał jej w oczy.

- A ja nie - wyprostował się nagle. - Umów się ze mną, Lauro. Przyjdź na nasz mecz w ten piątek.

Laura poczuła, jak ścisną ją w żołądku. Właściwie czemu nie? Przecież ona i Clay tylko uczą się razem... W najlepszym wypadku można

powiedzieć, że są przyjaciółmi. Ale nie chciała ułatwiać Ericowi sprawy: ani Ericowi, ani żadnemu innemu chłopakowi.

- Jestem zajęta.

- A co robisz?

- W piątek wieczorem się uczę - zawahała się na moment - a w sobotę jest koncert w kościele.

- Pójdę z tobą! - Erie skoczył na równe nogi. - Uwielbiam kościelne koncerty.

Laura zaśmiała się cicho.

- Zgoda - zrobiła krok do tyłu i podała mu swój adres. - Przyjedź po mnie o siódmej.

- A możemy potem gdzieś pójść? Przyglądała mu się przez chwilę, modląc się w duchu, żeby nie było widać, jak bardzo jej się podoba.

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia, a ty?

- Szesnaście - uśmiechnęła się ponownie. - Lepiej nastaw się tylko na koncert. Mój tata będzie chciał cię poznać, zanim będziemy mogli pójść gdziekolwiek indziej.

Po tamtym weekendzie nie było już odwrotu. Chodziła z Ericem od chwili, gdy przyjechał po nią przed koncertem. Jej przybrany ojciec nie miał absolutnie nic przeciwko temu i następne dwa lata szkoły spędzili razem. Jeździli do Muzeum Los Angeles i dyskutowali na temat braku wystarczających dowodów na poparcie teorii ewolucji. W weekendy spacerowali bospo po plażach Malibu lub Zuma, trzymając się za ręce, dzieląc się najskrytszymi myślami i ciesząc się wspólnie spędzonym czasem.

- Kocham cię - mówił Erie. - Nie mogę się doczekać dnia, kiedy będę mógł cię uszczęśliwić i dzielić z tobą życie. Lepsze życie niż to, które oboje znaliśmy.

Chodzenie z Ericem dostarczyło Laurze wspaniałych przeżyć: wydawało jej się, że umarła i jest w niebie. Jako narzeczoney Erie spełniał wszelkie jej oczekiwania i kiedy w ostatnim roku szkoły oświadczył jej się w Wigilię, ani przez moment się nie wahała. Wszystkie jej marzenia o studiach i nauczaniu zbladły w porównaniu z perspektywą zostania panią Michaels. Dla niektórych dziewcząt osiemnaście lat to stanowczo zbyt wcześnie na małżeństwo, ale nie dla Laury. Po latach życia z ciągłym pragnieniem miłości była pewna, że właśnie w Ericu Michaelsie odnalazła wymarzonego męża.

Clay zniósł wiadomość o ich ślubie nadspodziewanie dobrze. Gratulował im i zapewniał Erica, że bardzo się cieszy jego szczęściem. Jednak gdy zwrócił się do Laury, by ją uściskać, cień smutku przemknął przez jego spojrzenie. Dopiero teraz, po tylu latach, Laura dostrzegła to wyraźnie.

Nigdy nie zwracała sobie głowy przelotnym zainteresowaniem, którym obdarzała Claya, zanim jeszcze poznała Erica. Pobrali się owego lata. Ceremonia była skromna, zaproszono tylko pięćdziesiąt osób - wyłącznie członków rodziny i przyjaciół. Wyraźnie jednak czuli, że jest to dzień, w którym Bóg im szczególnie błogosławi. Laura wybiegła z kościoła jak na skrzydłach, potem wszyscy udali się do hotelu na przyjęcie weselne.

- Teraz nie mogę ci wiele dać, Lauro - powiedział Erie tego wieczoru, gdy zostali już sami. - Ale pewnego dnia... pewnego dnia dam ci wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłaś, obiecuję!

Laura pocałowała męża, po czym zajrzała mu głęboko w oczy.

- Ja już wszystko mam, Ericu. Mam ciebie! Obrazy z przeszłości zbladły. Laura położyła się wygodniej na poduszce. Przywołane w myśli dawne chwile sprawiły, że poczuła się trochę lepiej. Pomogły zapomnieć - choćby na jedną noc - że Erie znalazł sobie inną miłość: firmę Koppel&Grant.

Przypomniała sobie też ich miodowy miesiąc - wszystkie pocałunki, wszystkie intymne chwile...

Gdy zbudziła się następnego dnia, w ciągu kilku sekund powróciła jednak do rzeczywistości: nie ma już osiemnastu lat i nie jest już zakochana w najwspanialszym facecie pod słońcem. Ma trzydzieści dwa lata, a jej mąż prawie się do niej nie odzywa. W rzeczy samej, nie był to dzień, który miała spędzić, figlując na meksykańskiej plaży i rozkoszując się czułym uściskiem Erica Michaela. Miała go spędzić samotnie w swoim pięknym domu w Westlake Village, otoczona wspomnieniami i umierającymi marzeniami, po raz setny zastanawiając się, czy przypadkiem nie wybrała niewłaściwego brata.

Ciężko wraca się do takiej rzeczywistości po nocy spędzonej na rozkosznych wspomnieniach. Ale co do jednego Laura nie żywiła żadnych wątpliwości: nie był to pierwszy dzień jej miesiąca miodowego, lecz po prostu kolejny dzień, niczym nie różniący się od innych, odmierzających jedynie upływ czasu. Kolejny wtorkowy poranek w samotnym życiu Laury Michaels.

## Rozdział 8

11 września 2001, godz. 6.00

Na dziś przypadał fragment z Księgi Przysłów: „Z całego serca Bogu zaufaj, nie polegaj na własnym rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze, a On twe ścieżki wyrówna”.

Jake przeczytał te słowa, podkreślił je, po czym przeczytał jeszcze raz. Czyż nie jest to dokładnie taka sama sytuacja, w jakiej znajduje się Jamie? Gdyby tylko potrafiła przestać polegać na własnym rozsądku i zaczęła polegać na Bogu! Pan wyrównałby jej ścieżki. Odsunąłby od niej strach i pomógłby jej poczuć się bezpiecznie w swej miłości do niego, Jake'a. Ludzie błędnie ją oceniali - jako nieugiętą i chłodną. Jako osobę, która nie ma zbyt wiele miłości do ofiarowania.

Myślał tak o Jamie kuzyn Jake'a.

- Ona jest taka ambitna, Jake. Nie ma w niej odrobiny delikatności.

O, nie mógł się bardziej mylić! W Jamie drzemał wszechświat miłości. Być może nawet miała jej zbyt wiele. Tak wiele, że ją samą to przerażało i wpędzało w obawę, iż coś kiedyś przyjdzie, aby jej tę miłość ukraść. Nie, miłość Jamie nie znała granic.

Znacznie trudniejszą dla niej rzeczą było poczuć się wystarczająco bezpieczną, by tę miłość dawać; wystarczająco bezpieczną, by przestać uciekać.

W rzeczy samej wszystko sprowadzało się do tego jednego wersetu z Księgi Przysłów. Gdyby tylko Jamie oparła się na Bogu, On zadbałby o jej spokój. Na marginesie stronicy Jake nagryzmolił maleńkimi literkami: „Jamie... to o tobie, kochanie”.

Często tak robił, choć nigdy nie pokazywał jej tego, co napisał. Pierwsza godzina każdego poranka była dla Pana. Czytał wtedy Biblię, podkreślał najważniejsze wersety i notował uwagi na marginesach. Potem pisał stronę czy dwie w swoim dzienniku.

Pewnego dnia, może nawet w niezbyt odległej przyszłości, kiedy Jamie wykaże choćby odrobinę zainteresowania, Jake da jej do przeczytania tę Biblię i swój dziennik. Nie miał wszak nic do ukrycia. Relacjonował tylko swoją drogę z Bogiem, odkąd pobrali się z Jamie siedem lat temu. Potrzebował tego, by od czasu do czasu spojrzeć wstecz i zorientować się, jak daleko już zaszedł, by przypomnieć sobie, co jest naprawdę ważne.

Spojrzał na skuloną obok Jamie pogrążoną jeszcze w głębokim śnie. Wyglądała tak młodo i delikatnie bez tej zbroi, którą zazwyczaj nakładała zaraz po obudzeniu. Podobieństwo między nią a Sierrą wprost uderzało.

Jake westchnął i przez chwilę zapatrzył się w nią. Bez wątplenia jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ma piękną żonę, która - tak się składa - jest też jego najlepszym przyjacielem, i córkę - przynajmniej w połowie anioła. „Dziękuję Ci, Panie... każdy ^ień z nimi to prawdziwy cud”.

Cyfry na stojącym przy łóżku zegarze zmieniły się z cichym kłapnięciem. Jake oderwał wzrok od śpiącej. Musiał kończyć, inaczej spóźni się do pracy. Zmiana zaczynała się o dziewiątej, nie mógł jednak przyjechać później niż o ósmej. Zazwyczaj około godziny zajmowało sprawozdanie nocnej zmiany o wszystkim, co wydarzyło się na uśpionym Manhattanie.

Jake otworzył dziennik i zaczął szybko pisać. Ogarnął go dziwny, nieokreślony niepokój. Tym razem nie notował refleksji z biblijnej lektury. Pisał list do Jamie.

„Najdroższa Jamie,

w głębi serca czuję, że coś się u nas zmieni. Może to z powodu pytań o Kościół, które mi zadajesz. Może dlatego, że ostatnio bardziej interesowałaś się opowieściami biblijnymi Sierry. Bez względu na przyczynę, proszę Boga, by dotknął Twojego serca, najdroższa. Bóg jest dla mnie wszystkim i wiem, że pewnego dnia stanie się wszystkim również dla Ciebie. Tego dnia przestaniesz się bać, bo będziesz mogła wesprzeć się na wszechmogącym Panu. Chcę, żebyś wiedziała, kochanie, że gdy odnajdziesz tę cudowną wiarę, będę się uśmiechał szerzej niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ bardziej nawet niż Twojej miłości pragnę pewności, iż w wieczności będziemy razem. Po prostu nie mogę znieść myśli, że mógłbym trafić do nieba bez Ciebie. Za mocno Cię kocham, żeby móc Cię stracić...”.

Nie skończył, dopóki nie zapełnił niemal w całości dwóch stron. Potem zamknął dziennik, zamknął Biblię i wsunął oba tomy pod łóżko. Nachylił się nad Jamie i przytulił policzek do jej policzka.

- Kocham cię - wyszeptał.

- Mmmm - poruszyła się i wyciągnęła ramię spod kołdry. Objęła Jake'a za szyję: - Chodź tu. Jake uśmiechnął się:

- Z przyjemnością.

ponownie ją pocałował, tym razem mocniej. Gdy się odsuwał, w oczach obojga zapaliło się pożądanie.

- Jesteś cudowna, wiesz?

- Nie tak jak ty - całowała go, wygrzebując się i pościeli. - Wracaj do łóżka.

- Nie kuś mnie - Jake czuł, że jego ciało odpowiada na jej zachętę i przez chwilę zastanawiał się nad taką możliwością. Jednak raz jeszcze pocałował żonę, usiadł na łóżku. - Muszę wziąć prysznic. Za godzinę zaczyna się zmiana.

- Och, Jake, daj spokój - Jamie też usiadła i poczęła wodzić palcami po jego nagim torsie. - Zadzwoń, że jesteś chory. Taki piękny dzień. Pobawimy się trochę pod kołderką, a potem zabierzemy Sierę do ZOO.

Nie mógł tych słów zignorować, w większości dni bowiem Jamie ledwie otwierała na pożegnanie jedno oko. Obsypał żonę pocałunkami, po czym zmusił się do wstania.

- Jeden z chłopaków jest chory w tym tygodniu - odsunął jej z czoła kosmyk włosów. - Gdyby nie to, zostałbym.

Spojrzał w okno.

- Poza tym ładna pogoda jeszcze potrwa.

- To w przyszłym tygodniu? Przeciągnął się z uśmiechem.

- Dobrze, w przyszłym tygodniu. Chyba że ktoś inny zachoruje.

Ruszył do łazienki wciąż jeszcze pełen namiętności, którą wzbudziła w nim Jamie.

- Lepiej wezmę prysznic.

- OK - Jamie westchnęła z niezadowoleniem. - Ale wiesz co?

Zatrzymał się.

- Co?

Twarz Jamie wypełnił figlarny uśmiech:

- Lepiej weź zimny.

Po pół godzinie Jake był już ubrany w mundur codzienny: czarne spodnie, biały podkoszulek, zapinaną na guziki koszulę z krótkimi rękawami, czarne skarpetki i wygodne buty. Bojowy kombinezon, w którym jeździł do pożarów, czekał na niego w remizie wraz z całym sprzętem, gotowy do założenia natychmiast po wezwaniu.

Pocałował Jamie ostatni raz.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Chińszczyzna?

- Mmmm - już zaczął się uśmiechać, lecz nagle spoważniał. - Zaraz... ty ugotujesz?

Zaśmiała się i oparła dłońmi o jego szeroką pierś, jakby chciała go od siebie odepchnąć.

- Jedź już do pracy, gamoniu. Przygotuję ci świetne chińskie danie.

- OK... - zrobił krok ku drzwiom, unosząc brwi. - Ale na wszelki wypadek miej pod ręką numer restauracji na wynos.

Śmiech Jamie zgasł.

- Jake.

- Hm? - odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Uważaj na siebie. Mrugnął ku niej.

- Jamie... przecież wiesz, że zawsze uważam-Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Przed wyjściem z domu zatrzymał się jeszcze w drzwiach pokoju Sierry.

Już nie spała. Kręciła się koło szafy z ubraniami. W wieku pięciu lat ubierała się sama, co było oznaką samodzielności i niewątpliwym dowodem, iż była nieodrodną córką Jamie. Zdażyła już włożyć różowe leginsy i bluzeczkę w niebiesko-czerwone paski.

Spostrzegła Jake'a i podbiegła do niego. Gdy przytuliła się mocno do jego nóg, przez myśl przemknęło mu, że dzień w ZOO byłby jednak wspaniałą rzeczą.

Zagarnął córkę w objęcia.

- Ładnie, tatusiu? - zaczęła. - Mamusia mówi, że muszę dobierać kolory, żeby do siebie pasowały. Różowy pasuje do niebieskiego i czerwonego, prawda?

Jake przygryzł dolną wargę.

- Pewnie, słoneczko. Świetnie pasuje. Potarli się nosami.

- Kochanie, tatuś musi już iść, bo się spóźni. Do zobaczenia po pracy, dobrze?

- Najpierw motylkowe całuski - przybliżyła twarz, tak że ich nosy znowu się zetknęły, po czym obróciła ją o kilka centymetrów. Mrugając, pomuskali sobie nawzajem rzesami policzki. Po chwili Sierra odsunęła twarz.

- No, teraz możesz już iść.

- Bądź grzeczna - jeszcze raz ją przytulił. - Nie zapomnij się pomodlić.

- Dobrze, tatusiu. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, skarbie.

Jake wstał i zdmuchnął z dłoni całusa w stronę córki.

Zrobiła ruch ręką, jakby go złapała i złożyła sobie na sercu. Posłała całusa ojcu, który natychmiast chwycił garść powietrza.

- Mam go! - krzyknął i przycisnął pięść do piersi. - Na zawsze.
- Na zawsze - Sierra podskoczyła, klaszcząc w dłonie. - Pa, tatusiu!
- Pa, kochanie! Pobawimy się w konika, jak wrócę.

Drogę do pracy mógłby przebyć z zamkniętymi oczami. Dziesięć minut samochodem do parkingu przy promie. W niektóre dni, zależnie od zmiany, Jake jeździł autem do samej remizy strażackiej i parkował przed budynkiem. Ostatnio jednak pracował głównie za dnia, a o tej porze znalezienie miejsca do parkowania było prawie niemożliwe. Zostawił więc samochód na parkingu i stanął w kolejce po bilet.

Zwykle wolał miejsca wewnątrz promu ze względu na mgłę i chłód. Dzisiejszy ranek był jednak wyjątkowo piękny. Na tle czystego błękitu nieba odległy kontur miasta rozciągał się przed nim niczym surrealistyczna pocztówka. Jake lubił prom. Na jego pokładzie dojeżdżanie do pracy wydawało się mniej gorączkowe. Zajął miejsce z przodu.

W takie dni jak dzisiaj łatwo było zrozumieć, dlaczego jego ojciec zamieszkał z rodziną w samym centrum Nowego Jorku, dlaczego wybrał tak szalenie zagonione miejsce pracy jak nowojorska straż pożarna. Manhattan pulsował życiem i energią. Tu każdy budynek stał na baczność, wewnątrz każdego ludzka aktywność wrzała niby ukrop. Cały finansowy świat z zapartym tchem i wręcz nabożną uwagą śledził życie City.

Ojciec Jake'a mógł wybrać jedno z tysięcy małych miast w całej Ameryce, jedno z miejsc, gdzie pożar należał do większych lokalnych sensacji, codzienność zaś wypełniało zdejmowanie kotów z drzew i ćwiczenia. Jake był wdzięczny ojcu za to, że zdecydował się na największe wyzwanie dla każdego strażaka - walkę z żywiołem na Manhattanie.

Prom dopłynął na miejsce. Teraz należało dotrzeć metrem do przystanku o pół przecznicy od remizy. Wóz numer 57 kwaterował w tym samym budynku od siedemdziesięciu lat. Ojciec Jake'a nigdy nie jeździł „siedemdziesiątką piątką”, pracował w dwóch pobliskich remizach strażackich.

Natychmiast po przekroczeniu frontowych drzwi Jake dostrzegł Larry'ego. Uśmiechał się do niego od jednego ze stolików przy ścianie jadalni.

- Spóźniłeś się JB!

Chłopaki z posterunku nigdy nie nazywali go Jake Bryan. Dla nich był JB.

Jake spojrzął na zegar wiszący nad kuchennym zlewem.

- Minuta po ósmej to żadne spóźnienie, kolego. To w dobrym stylu.

- Zwykle przychodzisz wcześniej.



- I co z tego?

- Jamie cię zatrzymała - Larry puścił znaczący uśmieszek, pakując sobie do ust pół babeczki z jagodami, którą popił potężnym haustem kawy.

- A co w tym złego, chłopie? - Jake odwzajemnił uśmiech, siadając naprzeciw przyjaciela. - Tobie i Sue też by dobrze zrobiło kilka takich poranków w dobrym stylu.

- A tobie dobrze zrobi kubek kawy - Larry wstał, podszedł do ekspresu i napełnił papierowy kubek czarnym płynem. - Masz! - postawił kawę przed Jakiem. - Ostrożnie. Weź łyżeczkę.

- Dzięki - Jake podniósł kubek do nosa i wdychał parę.

Larry usiadł z powrotem przy stoliku.

- Nie wygląda na to, żeby nocna zmiana miała wiele roboty.

Jeden za drugim strażacy z nocnej zmiany przysiadali się do stolików, z kawą i babeczkami, czasem z jakimś owocem. Dziś dowodził Maxwell. Stał oparty o porysowany kuchenny blat i usiłował przywołać całe zgromadzenie do porządku.

- Trzeba przejrzeć kilka wezwań - spojrzał na trzymaną w rękę podkładkę z klipsem. - Trzeba się zająć pożarem samochodu na rogu Czterdziestej Drugiej. Właściciel mówi, że to podpalenie.

Maxwell wspomniał jeszcze o kilku sprawach, po czym nastawił w ekspresie nowy dzbanek kawy.

- Coś jeszcze? - rzucił w kierunku nocnej załogi. Kilku strażaków odezwało się z sugestiami, inni przypominali o niezakończonych sprawach z ostatniego weekendu. Następne pół godziny wypełniła swobodna, przyjemna rozmowa, jak zwykle przy zmianie załóg. W remizie służyło dwóch stażystów, poza nimi jednak wszyscy pracowali razem na tyle długo, by czuć się rodziną. W skład całej załogi wchodziło trzydziestu sześciu ludzi - w sam raz na trzy zmiany - a każdy z nich traktował remizę jak drugi dom. W spokojnym czasie oczekiwania na wezwanie smażyli steki, sprząтали kuchnię i udzielali sobie wzajemnie rad, pomagając rozwiązać każdy problem, z jakim którykolwiek z nich zmagał się w domu.

Na służbie byli sobie bliżsi niż bracia.

- Jesteś tu z nami, JB? - Maxwell skierował wzrok na Jake'a. - Pytałem, kto z dziennej załogi zajmie się pożarem w hurtowni, tym z weekendu.

Jake wyprostował się i spróbował skupić myśli. Maxwell nie był zły - po prostu wymagał odpowiedzi. Zanim jednak Jake zdążył cokolwiek powiedzieć, wtrącił się Larry:

- JB jest dzisiaj rozkojarzony - zarżał, trącając łokciem w bok sąsiada. - Za długo rano przebywał ze swą śliczną żoną.

- Albo za mało - odpowiedział w duchu Jake, kierując jednocześnie całą uwagę na Maxwella. Facet był weteranem z dwudziestoletnim doświadczeniem. Jake odchrząknął i zaczął meldować:

- Przygotowałem raport, kapitanie. Żadnych niespodzianek. Wykonam dziś jeszcze kilka telefonów i sprawę można będzie zamknąć.

Każde wezwanie wymagało sporządzenia osobnego raportu. Niektóre przypadki były proste - można je było zamknąć w kilka minut po powrocie z akcji. Inne jednak wymagały więcej zachodu: ich zakończenie zależało od dochodzenia w sprawie przyczyn pożaru, przesłuchania świadków, a nawet ewentualnego aresztowania sprawców.

Maxwell już miał coś powiedzieć, gdy nagle na zewnątrz dał się słyszeć potężny huk przelatującego samolotu. Z powodu wysokości wież World Trade Center odrzutowce musiały stosować się do surowych przepisów wykluczających loty nad Manhattanem. Wszyscy jak jeden mąż spojrzeli w górę.

- Co on tak nisko leci... - mruknął Jake.

Ale zanim ktokolwiek zdołał cokolwiek odpowiedzieć, powietrzem wstrząsnął stłumiony wybuch, wprawiając w drżenie podłogę pod ich stopami.

Maxwell rzucił się ku drzwiom. Jake i pozostali natychmiast skoczyli za nim. Scena, jaką ujrzeli, wmurowała ich w chodnik przed drzwiami. Eksplozje potężnych płomieni raz po raz tryskały z górnych pięter World Trade Center. Jake szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w upiorne kłęby czarnego dymu.

„Boże... nie... to nie może być...”. Wydawało się, że cały Nowy Jork na ułamek sekundy wstrzymał oddech. Koszmar, którego stali się świadkami, był zbyt straszny, by w niego od razu uwierzyć.

Samochody skręcały pod najdziwniejszymi kątami, przechodnie zamierali bez ruchu z szeroko otwartymi ustami. W jednej chwili powietrze wypełnił krzyk i pisk. Po drugiej stronie ulicy dwie starsze kobiety chwyciły się kurczowo w objęcia i wybuchnęły płaczem.

Jakiś mężczyzna oderwał wzrok od płonącego budynku i krzyknął ku zmarłym ze zgrozy strażakom:

- Samolot... uderzył w dwie wieże!

I rzucił się do ucieczki, nie zwracając najmniejszej uwagi na papiery sypiące mu się z aktówki.

Jake poczuł, jak wali mu serce. Samolot uderzył w World Trade Center?! To niemożliwe! Obraz zniszczeń był przytłaczający. Piętnastometrowa kula ognia i dymu wystrzeliła z najwyższych pięter wieżowca. Czegoś równie przerażającego Jake nie widział w całym swoim życiu.

Nowojorscy strażacy lubili marzyć o wielkim pożarze, o „pożarze pożarów” przewyższającym wszystkie dotychczasowe, o pożarze, który postawiłby na: nogi wszystkie bez wyjątku jednostki straży. „Do zobaczenia przy wielkim ogniu” - powtarzano sobie lekko na wszystkich nowojorskich posterunkach. Jake nie stanowił w tym względzie wyjątku. Zmrużył oczy, nie mogąc wprost uwierzyć w potęgę buchających płomieni. Jak, u licha, pilot mógł popełnić podobny błąd?! Nie próbował wylądować na jakiejś pustej przestrzeni albo, w najgorszym razie, nie zaryzykował upadku do zatoki?!

Jak ugaszą taki ogień, tyle pięter nad ziemią?!

Okropna myśl błysnęła w głowie Jake'a. A jeśli to był samolot pasażerski?! Z setką ludzi na pokładzie?! Wzdrygnął się, nagle bowiem uświadomił sobie coś innego. Nieważne czy samolot był pasażerski, czy nie - tak czy inaczej będą mieli do czynienia z wypadkiem masowym. Z pożarem, którego intensywność oznacza śmierć wszystkich pasażerów samolotu, a ponadto kilkuset osób pracujących w budynku. A może nawet więcej...

Wszystkie te myśli przemknęły Jake'owi przez głowę w mgnieniu oka. Skoczyła adrenalina. Tysiącom ludzi groziło niebezpieczeństwo. Każda komórka jego ciała rwała się, by chwycić uniform, przebrać się i gnać do pożaru. Zanim jednak zdążył wykonać najmniejszy ruch, nad wstrząśniętą do głębi grupą zapanował spokojny i zdecydowany głos Maxwella:

- Uwaga, chłopcy! Przebierać się! Nie muszą nas wezwać jako pierwszych, ale na pewno jesteśmy w kolejce.

Bez słowa pospieszyli do garażu. W połowie drogi Maxwell zatrzymał się nagle i odwrócił ku nim.

- Osobiście nie za bardzo umiem się modlić..., ale to chyba czas, kiedy każdy powinien odmówić modlitwę.

Jeszcze raz spojrzął ku spowitym płomieniami wieżom World Trade Center.

- Wielu ludzi dzisiaj zginie.

## Rozdział 9

11 września 2001, godz. 8.47

„Terrorysty!” - była to pierwsza myśl Erica Michaela po usłyszeniu wybuchu. Znajdował się właśnie w gabinecie Allena i rozmyślał o ich wczorajszej rozmowie, gdy budynkiem targnął pierwszy wstrząs, a zaraz po nim następny. Ten drugi był głośniejszy i dłuższy. Ericowi wydawało się, że podłoga pod jego stopami za chwilę się zapadnie.

Przez mgnienie oka patrzyli z Allenem na siebie, po czym rzucili się do okna. Wychodziło ono dokładnie na południe i z ich punktu obserwacyjnego miasto wyglądało tak samo, jak każdego innego pięknego wrześniowego poranka. Niebo było przejrzyste błękitne, w zatoce kołysały się żaglówki. Ani smugi dymu, ani znaku jakichkolwiek kłopotów, wszystko na swoim miejscu. Ale budynek wciąż jeszcze drżał od drugiego wybuchu. Erie ruszył w stronę drzwi. „Oddychaj spokojnie - mówił do siebie - wszystko będzie dobrze”. Nikt nie wiedział, co się stało, ale Erie był pewien jednego: zniszczenia będą ogromne.

- Sprawdźmy resztę biura.

Allen skinął głową i poszedł za Ericem. Obydwaj wypadli przez podwójne dębowe drzwi do eleganckiego holu. Za drzwiami gabinetu wszyty wydawali się trwać w szoku: niektórzy siedzieli przy biurkach z rękoma zamartwionymi w bezruchu nad klawiaturami komputerów, inni stali przy oknach i patrzyli na miasto rozciągające się pod nimi. Trzy minuty po wybuchu w oddali odezwały się syreny strażackie. Było ich więcej niż Erie słyszał w całym życiu. Cokolwiek się stało, sytuacja musiała być poważna. Erie domyślił się, że prawdopodobnie są w niebezpieczeństwie. Ale co im zagraża? I skąd? Erie szedł przed Allenem w kierunku wejścia do biura.

- Sprawdźmy drugą stronę budynku.

Wielu pracowników zgromadziło się przy wejściu do firmy. Ruszyli teraz wszyscy za Ericem i Allenem wzdłuż kilku korytarzy do przestronnej sali konferencyjnej i skupili się po północnej stronie budynku. Ludzie tłoczyli się przy oknach, kilkoro z nich zakryło usta dłońmi. Erie znalazł wolne miejsce i wcisnął się pomiędzy dwóch urzędników.

To, co zobaczył, sprawiło, że nogi się pod nim ugięły.

Nie miał pewności, czy nie ucierpiała Południowa Wieża, gdzie mieściły się biura Koppel&Grant, ale okna Północnej Wieży, na wysokości około

trzydziestu pięter od miejsca, gdzie stał, tworzyły jedną ogromną ścianę ognia.

Ktoś krzyknął za jego plecami:

- Pokazują to w telewizji!

Erie, Allen i kilkadziesiąt innych osób stłoczyło się wokół telewizora, którego dziewiętnastocalowy ekran wypełniał obraz płonącego World Trade Center. Dziennikarz w studio załamującym się głosem nerwowo komentował sytuację, podczas gdy na wizji Pojawiały się coraz to nowsze, przerażające widoki.

- Powtarzam, samolot pasażerski uderzył w Północną Wieżę World Trade Center. W chwili obecnej przyjmuje się, iż katastrofa spowodowana została awarią samolotu, choć kontrola naziemna nie otrzymała przed wypadkiem żadnych meldunków.

Erie cofnął się o krok i ponownie spojrzął w stronę okna. Samolot pasażerski? Jak to się mogło stać? A jeśli to nie żaden wypadek? Zaszokowany przeszedł kilka metrów dzielących go od okna i wpatrywał się w płomień wciąż wydobywające się z sąsiedniego budynku. Musiały tam zginąć setki ludzi. A co z tymi na wyższych piętrach? Jak przejdą przez piekło, które teraz oddziela ich od ziemi?

Na chwilę pochylił głowę i zamknął oczy. „Boże... tam musi być koszmar. Pomóż tym ludziom... proszę Cię”. Gdy otworzył oczy i znów zobaczył płonąca wieżę, uderzyła go pewna myśl: oto przed chwilą mówił do Boga tak, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie! Myśl owa pociągnęła za sobą natychmiast mnóstwo pytań. Dlaczego przez tak długi czas nie rozmawiał z Bogiem? A przede wszystkim, dlaczego przestał się modlić? Zdarza się przecież, że dzieci umierają, prawda? Czy więc przez to, że obraził się na Boga, było mu łatwiej? I czy teraz, po tylu latach, Bóg go w ogóle słyszy?

Nie było jednak czasu odpowiadać na te wszystkie pytania. W tej chwili miasto zostało dotknięte sytuacją kryzysową, a on musiał się zastanowić, co robić. O kilka metrów dalej Allen rozmawiał z jakimś mężczyzną. Erie ruszył z powrotem do biur Koppel&Grant. Prawie połowa ludzi z sześćdziesiątego czwartego piętra zmierzała do wind. Wokół rozbrzmiewały nerwowe rozmowy, których fragmenty docierały do niego.

- ... na dół teraz, zanim tutaj się coś stanie!

- ... żadnego sensu zostawać. Wkrótce odetną całą ulicę, jeśli stąd nie wyjdziemy.

- ... nie mogę pracować, gdy obok się pali...

Powietrze na zewnątrz wypełniały dźwięki odległych syren strażackich. Na sześćdziesiątym czwartym piętrze panował chaos, ale nie panika. Przynajmniej na razie. Na pewno na innych piętrach jest tak samo.

Erie rozejrzał się po eleganckiej sali, przez którą przechodził. Większość ludzi z tego piętra pracowała w firmie ubezpieczeniowej. Ze swojego miejsca widział przynajmniej kilkaset komputerów. Zauważył, że najwyraźniej nie wszyscy zamierzali opuścić swoje stanowiska.

Nadszedł Allen i przez kilka minut razem oglądali telewizję. Wokół nich ci, którzy nie schwycili swych rzeczy i nie wyszli, tworzyli trzy-czterooosobowe grupki i powoli w ciszy wracali do swoich biur.

- Tu jesteśmy z dala od pożaru - tłumaczył starszy mężczyzna kilku kobietom wpatrzonym w niego szeroko otwartymi oczyma. - Nie ma się czym martwić.

- A jeśli ogień się rozprzestrzeni? Mężczyzna potrząsnął głową:

- Nie, to są zbyt bezpieczne budynki. Wiercie mi, lepiej wrócić do pracy. Można oglądać wiadomości, siedząc przy swoim biurku. Na ulicach na pewno teraz jest koszmar, mnóstwo wozów strażackich...

Wszystkie telewizory na piętrze zostały włączone, wszystkie nastawiono na wiadomości o katastrofie. Erie rzucił okiem na zegarek i obliczył, że na Zachodnim Wybrzeżu dochodzi szósta. Laura jeszcze śpi, ale gdy zobaczy wiadomości, przerazi się.

Musiał do niej zadzwonić. Był to jedyny sposób, żeby osłabić szok. Odwrócił się do Allena:

- Muszę zadzwonić do Laury.

- Dobry pomysł - twarz Allena była blada, ale głos miał spokojny. - Pójdę z tobą. Trzeba dać znać do biura w Los Angeles, że nic nam się nie stało.

Szybko przeszli przez siedzibę firmy ubezpieczeniowej, a potem korytarzem z powrotem do biura Koppel&Grant. Sekretarki nie było przy biurku. Allen zamaszystym krokiem ruszył w stronę swojego gabinetu, a Eric, opadł na krzesło sekretarki, podniósł słuchawkę i wykręcił numer do domu.

Słuchał właśnie pierwszego sygnału, gdy nagle wyobraził sobie niewiarygodny koszmar rozgrywający się w sąsiednim budynku: ludzie płoną tam żywcem, giną okropną śmiercią. W słuchawce zabrzmiał drugi sygnał i Erie zamknął oczy, próbując pozbyć się potwornych obrazów

pojawiających się w jego umyśle. A potem po raz drugi w ciągu tych kilku minut uczynił coś, co mu się nie zdarzyło od lat. Zaczął się modlić.

\* \* \*

Laura nie spała od wpół do szóstej. Nie była w stanie zasnąć ponownie po dręczących ją koszmarach. Gdy zadzwonił telefon, spojrzała na budzik, zastanawiając się, czy aby nie zasnęła. Sięgając po słuchawkę, zauważyła, iż nie ma jej na swoim miejscu, i przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru zostawiła ją w pokoju na górze.

Jak na poranek w Los Angeles było dość chłodno. Laura wyskoczyła z łóżka, założyła szlafrok i biegiem ruszyła po schodach. Josh spał obok, więc starała się biec jak najciszej. Znalazła telefon na biurku i odebrała, gdy właśnie dzwonił po raz trzeci.

- Halo? - nie mogąc złapać tchu, opadła na skórzaną kanapkę pod oknem.

- Cześć, to ja...

Przez chwilę myślała, że to Clay. Głosy obydwu braci były prawie identyczne, ale przecież Clay nigdy nie dzwoniłby do niej o tej porze. Jednak Erie też nie...

- Erie?

Był zdyszany, w jego głosie brzmiał nagły ton, jakiego wcześniej nie słyszała.

- Lauro, coś się stało... Posłuchaj uważnie. W World Trade Center uderzył samolot, w sąsiednią wieżę... pasażerski... Pali się cała górna część budynku... - przerwał na chwilę - W tej wieży, w której jestem, wszystko jest w porządku - z wyraźnym drżeniem nabrał powietrza. - Chciałem, żebyś wiedziała, że nic mi nie jest.

- Gdzie... gdzie jesteś? Na dole?

- Nie. Jeszcze jestem na sześćdziesiątym czwartym piętrze. Nikt nam nie kazał wychodzić - zawahał się. - Myślałem, że to bomba, i to w naszym budynku: tak było głośno.

- Nie możesz tam zostać - serce Laury na moment przestało bić, po czym ruszyło ze zdwojoną prędkością. Chwyciła leżący w pobliżu pilot, włączyła telewizor i natychmiast zobaczyła, o czym mówi Erie. Z drapacza chmur buchał czarny dym i ogromne płomienie. Odruchowo zakryła usta wolną ręką. - Och, Erie... to straszne! Nigdy... nigdy czegoś takiego nie widziałam... I to zrobił pasażerski samolot?

- Tak - Erie oddychał szybko. Musiał być bardziej zaniepokojony, niż chciał to okazać. - W telewizji mówili, że wygląda to na wypadek, tak jakby pilot stracił kontrolę nad maszyną.

Laura nie mogła oderwać oczu od obrazu płonącej wieży.

- Wypadek?! Pilot nie mógł znaleźć żadnego sposobu, żeby ominąć World Trade Center, nawet jeśli stracił panowanie nad samolotem? Ale ty tam nie zostaniesz, prawda?

- Jeszcze przez chwilę zostanę. Większość ludzi uważa, że lepiej nie schodzić na dół i nie plątać się strażakom pod nogami.

Nagle Laura zobaczyła, jak z jednego z wyższych, ogarniętych pożarem pięter coś spada. Kilka sekund później dwa następne przedmioty wypadły gwałtownie z płonącego okna.

- Nie! To straszne! - w głosie dziennikarza zabrzmiał rozpaczliwy ton. - Wydaje mi się, że spadające z budynku obiekty, które państwo przed chwilą widzieli, to ludzie - zamilkł na chwilę. - Spadają lub... skaczą... - jeszcze raz się zawahał. - Tak, właśnie dostałem potwierdzenie: to byli ludzie wyskakujący z wieży World Trade Center - ściszył głos. - Można sobie tylko wyobrazić, jaki horror rozgrywa się w tej chwili wewnątrz budynku.

Laura zamknęła na moment oczy. Co to znaczy? Oszalali ludzie rzucają się z okien na pewną śmierć? Była to najgorsza rzecz, jaką Laura mogła sobie wyobrazić.

- Boże wszechmogący, pomóż im - wymamrotała, próbując złapać normalny oddech.

- Lauro, co się dzieje? Nie mam tu w gabinecie telewizora.

- Ludzie wyskakują... - mówiła cicho, wstrząśnięta. Oderwała wzrok od telewizora. - Nie mogę na to patrzeć.

- Nie patrz; zostaw telewizor włączony, ale nie patrz - po raz pierwszy od wielu lat w jego głosie pojawiła się troska o nią. - Może jednak wyjdę. Wrócę do hotelu i tam poczekam na odlot samolotu. W ten sposób...

Ale Laura już go nie słuchała. W rogu ekranu dostrzegła bowiem ogromny samolot - ustawiony nieco pod kątem kierował się wprost na wieżę, w której znajdował się Erie. Laura podskoczyła, serce podeszło jej do gardła.

- Erie!!! - wykrzyknęła, ściskając kurczowo słuchawkę. - Uważaj!!!

Samolot uderzył prosto w wieżowiec. Płomienie natychmiast przecięły budynek i rozlały się na przestrzeni przynajmniej czterech pięter.



- Erie! Słyszysz mnie? - krzyknęła przenikliwie do telefonu. Drżała na całym ciele i czuła, jak zaczyna się jej kręcić w głowie. Dlaczego nic nie mówi? - Erie, odezwij się!!!

Z całych sił przyciskała słuchawkę do ucha, desperacko pragnąc usłyszeć najcichszy choćby dźwięk. Ale odpowiadała jej tylko cisza. Minęły dwie sekundy, usłyszała cichy trzask gdzieś na linii, a potem sygnał przerywany. Trzymając telefon przed sobą, odszukała funkcję identyfikacji rozmówcy. Palce drżały jej tak bardzo, że ledwo zdołała wcisnąć guziczek. Telefon automatycznie wybrał numer, z którego dzwonił Erie.

Laura czekała bez tchu. Ale w słuchawce odzywał się tylko sygnał zajętości. „Nie, nie... Boże, nie!” - szeptała cicho, upuszczając pilota od telewizora, szybko łapiąc oddech i wybierając numer ponownie. „Tylko nie Erie. Proszę... Panie, wyciągnij go stamtąd”.

Znowu krótki sygnał. Przysunęła się bliżej telewizora i opadła na podłogę z oczyma utkwionymi w płonąca Południową Wieżę.

- Nie, Panie Boże, nie...! - powtarzała słabo, prawie bezgłośnie, ledwie chwytając oddech. Chciała krzyczeć, ale nie miała siły. Przed oczyma tańczyły jej ciemne plamki - pochyliła głowę aż do kolan. Nie, nie może teraz zemdleć. Musi się dowiedzieć, które piętra ucierpiały przy tym uderzeniu. Możliwe, że Ericowi nic się nie stało. Tak, na pewno istniała taka możliwość.

Wzięła trzy głębokie oddechy i spróbowała się opanować. W telewizji dziennikarz wykrzykiwał nowe wiadomości:

- Drugi samolot, powtarzam, drugi samolot uderzył w Południową Wieżę World Trade Center. Otrzymujemy doniesienia, że być może Stany Zjednoczone stały się obiektem ataku terrorystycznego.

Laura uniosła głowę i zacisnęła usta. Oddychać! Musi oddychać: krótki wdech i wydech.

- Które piętro? - krzyknęła w stronę telewizora i przysunęła się jeszcze bliżej. - Powiedz, które to piętro!

- ... być może terroryści uprowadzili samoloty i celowo uderzyli nimi w World Trade Center. Mamy już potwierdzenie, że jeden z samolotów należał do American Airlines, był to lot nr 11 z Bostonu, natomiast drugi...

Pokazywane na ekranie obrazy przyprowadzały Laurę o zawrót głowy. Całe fragmenty obydwu budynków były kompletnie pogrążone w ogniu. A gdzie jest Erie? Podnosiła właśnie słuchawkę do ucha, gdy wpadła na lepszy

pomysł: komórka! Dlaczego Erie nie zadzwonił właśnie z komórki? Zawsze przecież miał ją przy sobie. Szybko wystukała numer.

- Odbierz... proszę, odbierz telefon, Erie! - szeptała przez zaciśnięte wargi, pewna, że tym razem usłyszy właściwy sygnał. Zamiast tego jednak odezwał się mechaniczny głos: „Abonent jest chwilowo niedostępny. Proszę spróbować ponownie...”.

Upuściła słuchawkę i klepnęła telewizor:

- Powiedz, które to piętro! - znów mówiła podniesionym głosem, niemal krzyczała. - Gdzie jest pożar? No, dalej, mówże!

Aha, za bardzo przyciszyła. Trzeba nastawić głośniej, na wypadek gdyby podawali, na których piętrach wybuchł pożar. Pomacała dywan za plecami w poszukiwaniu pilota. Znalazła. Ręce drżały jej jeszcze bardziej niż przedtem, ale jakoś udało się pogłośnić telewizor.

- ... jeszcze wzrasta, z powodu nieznannej ilości paliwa w samolotach - reporter zawahał się. - Samolot, który uderzył w Południową Wieżę, odbywał lot nr 175 z Bostonu. Na pokładzie każdego z samolotów mogło znajdować się stu lub więcej pasażerów.

Kamera pokazywała teraz nieco szersze ujęcie i Laura widziała obie wieże. Przyszło jej coś do głowy: mogła policzyć piętra, zaczynając od góry Południowej Wieży, i w ten sposób dowiedzieć się, na którym piętrze szaleje pożar. Znowu przed jej oczami pojawiły się mroczki, ale nie zwracała na nie uwagi. Przysunęła się na kolanach do odbiornika, przystawiła palec do najwyższego piętra płonącej wieży i zaczęła liczyć.

- Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

Obraz zmienił się i Laura patrzyła teraz na dziesiątki wozów strażackich podjeżdżających pod World Trade Center.

- Nie! Nie rób mi tego! - jej krzyk odbił się od ścian pokoju. - Pokażcie budynek!

Odczuwała mdłości. Energicznie potrząsnęła głową, desperacko usiłując nie zemdleć. Trzy krótkie oddechy... Ponownie zacisnęła usta. „Wdech, wydech... Boże, pomóż mi oddychać... Muszę się skoncentrować”.

Obraz znowu się zmienił i tym razem Laura zobaczyła część południową wieży. Nieomal przyciskając nos do ekranu zaczęła płakać.

- Erie! Gdzie jesteś...? Zadzwoni i powiedz, że nic ci się nie stało!

Coś poruszyło się w przedpokoju. Obejrzała się i przez łzy dostrzegła Josha, który stał tam, wpatrując się w nią z otwartą buzią. Był jeszcze w piżamie i miał zapuchnięte od snu oczy.

- Mamo, co się stało? - wszedł do pokoju, patrząc na nią uważnie. Widocznie go obudziła.

Laura otarła łzy i usiadła na piętach. Coś w wyglądzie chłopca natychmiast przywołało ją do porządku.

- Josh, kochanie, chodź do mnie - wyciągnęła ręce i czekała, aż podejdzie.

Przytulił się mocno, obejmując ramionami jej szyję. Potem nieco się odsunął i spojrzał w telewizor.

- Ja cię! - ponownie pokazywano wieże World Trade Center, z których wydobywały się kłęby dymu i ognia. Josh przez chwilę wpatrywał się w ekran, a Laura wstrzymywała oddech. Tak często widział wcześniej zdjęcia Manhattanu, że bez trudu rozpoznał to miejsce. Przeniósł spojrzenie na Laurę. - Mamo, czy to Nowy Jork?

Przełknęła z trudem ślinę i spojrzała synkowi w oczy. Musiała mu powiedzieć, nie było sensu tego ukrywać. Poza tym telewizja właśnie zaczęła ponownie pokazywać, jak samolot uderza w Południową Wieżę.

- Tak - ujęła jego małą rączkę w swoją dłoń. ~ Samoloty uderzyły w budynki.

Ponownie spojrzał na telewizor.

- Czy tam jest tata?

- Mhm... - wydawało się jej, że nie zdoła nabrać wystarczająco dużo powietrza, aby się odezwać, ale zebrała wszystkie siły i odpowiedziała: - Tak, kotku. Gdzieś tam jest.

- W... - twarz chłopca nagle zbladła. Szybko zamrugał powiekami, a potem spojrzał na Laurę. - W pożarze? Tam jest tata?

- Nie - Laura jak najszybciej potrząsnęła głową krótkimi energicznymi ruchami, jakby w ten sposób mogła poprawić sytuację Erica. - Nie, tata nie jest tam, gdzie pożar. Jego biuro jest o wiele niżej - słowa te brzmiały nienaturalnie, jak gdyby wypowiadał je ktoś inny. Trudno było stwierdzić, czy mówi synowi prawdę, czy nie. „Gdzie on jest, Boże... Dlaczego oni nie mówią, na którym piętrze jest pożar?”

Josh usiadł po turecku obok niej.

- To największy pożar, jaki kiedykolwiek widziałem.

- Tak, ja też nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Laura miała ochotę krzyczeć. Chciała biegać po całym pokoju i walić pięściami w ściany albo zadzwonić do kogoś w Nowym Jorku i zapytać, czy z Ericem wszystko w porządku. Ale musiała przecież myśleć o Joshu. Kolejny raz przygryzła wargi i zaczerpnęła dwa głębokie wdechy. Nagle

przyszło jej do głowy, że może przecież zadzwonić do Murphy'ego z biura na Woodland Hills i zapytać, czy czegoś o Ericu nie wie. Jej mąż był człowiekiem doskonale zorganizowanym, numer Murphy'ego na pewno jest w jego notesie, w szufladzie biurka.

Zerwała się na równe nogi, chwyciła słuchawkę i zaczęła przeszukiwać szufladę. Musi gdzieś tu być! Ręce mniej już się jej trzęsły, gdy przewracała kartki, by dotrzeć do litery „M”. Gdzież on jest? No, szybciej... Murphy... Murphy... Murphy... jest. Trzy numery - jeden do pracy, drugi na komórkę i trzeci do domu.

- Co robisz? - Josh przyglądał się matce, a na jego twarzy malowało się zdenerwowanie.

- Dzwonię do kolegi taty - Laurze udało się zapanować nad głosem. - Może on wie, gdzie jest tata.

Błyskawicznie wystukała numer i podniosła słuchawkę do ucha. Murphy odebrał po drugim sygnale.

- Halo?

- Dzień dobry... mówi Laura Michaels. Chwila ciszy.

- Widziałaś wiadomości?

- Tak - Laura z trudem walczyła z zawrotami głowy. - Właśnie rozmawiałam z Ericem, gdy... gdy samolot uderzył.

- Tak mi przykro, Lauro - głos Murphy'ego brzmiał nienaturalnie. Zresztą cała ta rozmowa, sceny w telewizji... Wydawało jej się, że to wszystko przytrafia się komuś innemu.

- Czy miałeś od niego jakieś wieści? To znaczy... po tym, jak to się stało? - zaledwie wypowiedziała te słowa na głos, zdała sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie zabrzmiały. Oczywiście, że Murphy nie miał żadnych wieści od Erica: wszystkie telefony wysiadły w momencie uderzenia samolotu w wieżę. Mimo to czekała na odpowiedź Murphy'ego, mając nadzieję, że jednak okaże się, iż wie on coś, o czym ona nie wiedziała.

- Nie, nie dzwonił - Murphy zamilkł na moment. - Ale na pewno nic mu się nie stało, Lauro. Trzeba w to wierzyć.

W sercu Laury zabłysło maleńkie światełko nadziei.

- Jak... jak to?

- W wiadomościach mówili, że samolot uderzył mniej więcej w okolicy siedemdziesiątego ósmego piętra. Koppel&Grant mieści się na sześćdziesiątym czwartym. Domyślam się, że ogień rozprzestrzenił się

poniżej miejsca uderzenia, ale nasi ludzie byli wystarczająco daleko. Na pewno udało im się wyjść.

Laura wyobraziła sobie, jak Erie, Allen i inni pracownicy firmy biegną do windy. A może winda nie działa? Jeśli tak, to pewnie przepychają się nerwowo w kierunku klatki schodowej, żeby zejść nią na dół. To jakiś absurd: sześćdziesiąt cztery piętra! Erie poradzi sobie ze schodzeniem, ale co z pracującymi tam starszymi ludźmi?

- Erie wie, że się martwię. Jak myślisz, długo zajmie mu wydostanie się stamtąd?

- W telewizji mówili, że ewakuacja posuwa się w tempie jednego piętra na minutę, więc nie wiem... przynajmniej godzinę...

- A jak długo to już trwa? - Laura oparła się o biurko, żeby nie upaść. Czowała, że kolana uginają się pod nią, a podłoga zamienia się w miękką galaretkę, podobnie jak podczas ostatniego niewielkiego trzęsienia ziemi, które nawiedziło ich okolicę. Zamknęła oczy, żeby powstrzymać mdłości.

- Samolot uderzył zaraz po dziewiątej - Murphy umilkł na chwilę. - Teraz jest piętnaście po.

Laura otworzyła oczy i wzięła Josha za rękę, w myśli dokonując szybkich obliczeń.

- Więc powinien zadzwonić do mnie gdzieś około dziesiątej, zgadza się? Murphy przez chwilę się nie odzywał.

- Wiesz, Lauro, tam jest teraz istne szaleństwo. Dałbym mu więcej czasu. Kto wie, być może cały system łączności szlag trafił...

- Ale mówiłeś, że ma przy sobie komórkę? Zawsze ją przy sobie nosi.

- Próboweś się dodzwonić? - Murphy zdawał się być znużony.

- Tak - Laura czuła, że cały pokój wiruje, ale nic nie mogła na to poradzić. Josh wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczyma. Wolną rękę zwinęła w pięść i przycisnęła do żołądka, byle tylko odpędzić uczucie mdłości. Niemożliwe, żeby to się działo naprawdę! Wszystko to wydawało jej się jakimś koszmarnym snem: na pewno zaraz się obudzi i okaże się, że nic się nie stało. Przypomniała sobie o Murphym czekającym na odpowiedź po drugiej stronie. - O co pytałeś?

- O komórkę Erica.

- A, tak... Próboweś się dodzwonić, ale nic z tego.

- Więc może spróbuj jeszcze raz, bliżej dziesiątej.

- Tak... to dobry pomysł... Dzięki, Murphy - Laura spojrzała na Josha. Wpatrywał się w straszne obrazy na ekranie telewizora. - Muszę kończyć.

- Nic mu się nie stało, Lauro.

- Oby, Murphy. Pomódl się za niego, dobrze? - Laura nie wiedziała, czy Murphy był wierzący, ale nie miało to żadnego znaczenia. Była przekonana, że w tej chwili nieomal wszyscy w całych Stanach wierzyli w siłę modlitwy.

- Będę się modlił. Daj znać, jak się czegoś dowiesz.

Laura rozłączyła się i wróciła do Josha. Jej samopoczucie nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Musiała jakoś odciągnąć małego od telewizora. Obrazy, które pojawiały się na ekranie, mogły mocno go wystraszyć i na zawsze utkwąć w jego pamięci. Zwłaszcza, jeśli by Erie... - natychmiast odepchnęła od siebie tę myśl.

- Może byś tak poszedł się ubrać, kolego? Skinął nieuważnie głową, nie odwracając spojrzenia od telewizora.

- Kiedy zgaszą pożar?

- Prawdopodobnie już gaszą. Spojrzał na nią.

- Od środka?

- Mhmmm... - żołądek znowu wykonywał swoje ewolucje. Niemożliwe, żeby strażacy dostali się tak szybko na górne piętra. Było oczywiste, że w obu wieżach ogień wymyka się spod kontroli. A jeśli nie zgaszą go wystarczająco szybko, rozprzestrzeni się na...

- Ale w końcu go zgaszą, prawda, mam? Strażacy zawsze potrafią ugasić ogień, prawda?

Dopiero teraz Laura zastanowiła się nad tym. Źródła wody, z których korzystają strażacy, znajdują się na parterze, a siedemdziesiąt pięter nad ziemią? Albo osiemdziesiąt czy nawet dziewięćdziesiąt? Cóż mogą zrobić, by zgasić tak olbrzymi pożar tak wysoko? Josh czekał na odpowiedź. Laura nadal trzymała go za rękę. Uścisnęła ją leciutko.

- Tak, synku. Zgaszą go na pewno - pochyliła się, by wbrew sobie wyłączyć telewizor. - Tata zadzwoni mniej więcej za godzinę i wszystko nam opowie.

Zaprowadziła Josha do jego pokoju i pomogła mu znaleźć krótkie spodnie i podkoszulek. Przez cały czas pytał o strażaków i ich kilometrowe węże i niebotyczne drabiny. Laura starała się odpowiadać, ale nieustannie prześladowała ją okropna myśl: a jeśli ogień rozprzestrzenił się na klatce schodowej?! Jeśli Erie i inni zostali uwięzieni i nie mogą się wydostać? Albo jeżeli płomienie opanowały niższe piętra - nawet sześćdziesiąte czwarte? I co, jeśli minie godzina, a ona nadal nie będzie miała wiadomości od męża?

„Boże, powstrzymaj te straszne myśli. Proszę, pomóż mi wierzyć, że z Ericem wszystko w porządku. Bądź z nim, sprowadź go po schodach i z powrotem do domu. Panie. Błagam Cię!”

I wtedy gdzieś w głębi duszy usłyszała ciche słowa: „Nie polegaj na własnym rozsądku, córko...”.

Ale słowa te zginęły w gąszczu panicznych pytań. A jeśli nie zdołają dostarczyć wody tak wysoko? A jeżeli...

Cała litania takich pytań kłębiła się jej w głowie, co chwilę pojawiały się nowe. A jeżeli ogień rozprzestrzenił się po klatce schodowej? Jeżeli Erie i inni zostali uwięzieni i nie mogą się wydostać? Uparcie powracało najgorsze ze wszystkich pytań. A jeśli już nigdy nie zobaczy Erica?

RS

## Rozdział 10

11 września 2001, godz. 9.17

Rozkazy wydano, jeszcze zanim uderzył drugi samolot. Wszystkie jednostki - pod World Trade Center, z wyjątkiem Wozu Gaśniczego 57 i Drabiny 96, które miały pozostać w gotowości na wypadek, gdyby w innej części miasta wybuchł pożar. Cała załoga remizy, włącznie z Jakiem, była rozczarowana.

Kapitan Maxwell nie krył oburzenia. Natychmiast połączył się z komendanturą straży.

- W dupie mam taki rozkaz! To głupota, żeby nas tu trzymać! - wrzeszczał do słuchawki, biegając po całym posterunku. - Przecież jeżeli mamy uratować tych ludzi, to potrzeba tam każdego dostępnego strażaka!

Po uderzeniu w Południową Wieżę Maxwell wpadł w prawdziwą furję. Jake obserwował, jak się miota między kuchnią i jadalnią, drzwiami frontowymi i zapleczem.

Jake Bryan w pełni podzielał zdanie kapitana. Nie potrafił beczynnie obserwować pożaru z daleka - było to dla niego równie niemożliwe jak życie bez oddychania.

Usiadł sztywno obok Larry'ego i zaczął wystukiwać stopami nerwowy rytm. Oto najpaskudniejszy pożar, jaki kiedykolwiek widział Nowy Jork; nie, jeszcze paskudniejszy. Jake gapił się w ekran telewizora, wpatrywał się w gęste kłęby czarnego dymu buchające z budynków World Trade Center. To chyba jedna z największych katastrof w historii całego kraju. Jake znał liczby; wszyscy je znali. W każdej dowolnej chwili wewnątrz World Trade Center mogło przebywać nawet dwadzieścia tysięcy ludzi. Nawet gdyby przybyli tam wszyscy strażacy stacjonujący w promieniu trzydziestu kilometrów, wciąż brakowałoby rąk do pomocy.

Musieli jednak słuchać rozkazów: mieli czekać na wezwanie i to właśnie robili. Jake, Larry i pozostali - zarówno ci z nocnej, jak i dziennej zmiany - siedzieli przy stołach i oglądali horror rozgrywający się na telewizyjnym ekranie.

Maxwell wciąż przemierzał pomieszczenia ze słuchawką przy uchu, wydzierając się na kogoś z centrali. Nie przebierał w słowach.

- Słuchaj, pieprzę to! Jeśli ktoś natychmiast nas nie wezwie, sam wyślę ludzi. Przecież to najgorszy wypadek w mie...



Jake wyłączył się. Dwukrotnie już dzwonił do Jamie, ale nie zastał jej w domu. Za każdym razem zostawiał wiadomość, że zadzwoni za chwilę. Jamie prawdopodobnie pojechała z Sierrą na siłownię, jednak o tej porze już powinna być z powrotem. Wymknął się od stołu, otworzył komórkę i nacisnął przycisk „redial”.

Dwa dzwonki... trzeci... czwarty... Usłyszał sygnał sekretarki, a po nim nagrany głos Jamie. Odchrząknął.

- Cześć, to znowu ja. Wygląda na to, kochanie, że zaraz nas wezwą. Wszystko będzie dobrze, Jamie. Kocham cię. Obiecuję, że wrócę na kolację. Bóg będzie mnie miał w swojej opiece. Ach, no i przecież mój anioł stróż... nie zapominajmy o nim - przerwał w nadziei, że w tej chwili Jamie wejdzie do domu, usłyszy go i odbierze. Ścisnęło go w gardle, jednak starał się utrzymać lekki, pewny siebie ton. - To do zobaczenia wieczorem, OK? Aha, i oczywiście powiedz Sierrze, że ją kocham.

Zatrzasnął komórkę i włożył ją do kieszeni spodni, po czym wrócił na swoje miejsce obok Larry'ego. Telewizor wciąż pokazywał sytuację: ogień się rozprzestrzeniał. Jake przysunął się do przyjaciela i szepnął:

- Powinniśmy tam być.
- Pewnie - Larry zerknął na niego. - Złapałeś Jamie?
- Nie - Jake z trudem przełknął ślinę. - Ale tym razem zostawiłem lepszą wiadomość - zabębnił palcami po blacie stołu.
- A ty dzwoniłeś do Sue?
- Tak. Ogląda to wszystko w telewizji - Jake zezował w stronę odbiornika.
- Jest przerażona.
- Jamie, gdzie by nie była, też na pewno nieźle panikuje. Teraz prawdopodobnie pędzi do domu. Zawsze się bała pożarów, a ten..: - tym razem Jake rzucił krótkie spojrzenie na ekran - ten na pewno śmiertelnie ją przerazi.

Larry milczał przez chwilę.

- Wiesz co, JB? - przymrużył oczy i wpatrzył się intensywnie w obraz na ekranie. - Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jak się pali paliwo do odrzutowca?

- Tak - cały ekran wypełniło zbliżenie szalejących płomieni. Jake pociągnął spory łyk kawy i skrzywił się. - Chyba ze sto razy, odkąd uderzył pierwszy samolot.

- Jaką temperaturę mogą wytrzymać te budynki? Jake obrócił się ku Larry'emu.

- Staram się o tym nie myśleć. W naszej rodzinie od martwienia się jest Jamie.

- No, nie wiem - Larry potrząsnął głową. - W życiu nie widziałem takiego ognia. Nie martwisz się, to nie żyjesz... - ponownie spojrzął na Jake'a. - A ty, JB... czy ty się kiedyś choć trochę bałeś?

- Nie - Jake zacisnął zęby. Odpowiedź był szybka, automatyczna. - Moja rodzina od pokoleń gasi pożary. Nie ma tu miejsca na strach.

- Trzy razy w ciągu pięciu minut dzwoniłeś do Jamie - Larry pochylił głowę, aby inni nie mogli go usłyszeć. - Daj spokój, Jake, bądź ze mną szczerzy. Ja też chcę tam być i gasić. Ale teraz jakoś dziwnie mnie to nurtuje.

Minęła chyba minuta zanim do Jake'a w pełni dotarło, o co chodzi przyjacielowi. To, co sam odczuwał, nie było strachem. Ale z drugiej strony nikt z trzech pokoleń strażaków noszących nazwisko Bryan nigdy nie stanął oko w oko z takim ogniem. Z piersi Jake'a wyrwało się westchnienie.

- Dobrze - splótł palce tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie. Ręce miał zimne i lepkie od potu. - Też się boję. I wciąż pytam samego siebie, dlaczego ten pożar tak mnie przeraża. Śmierci się nie obawiam, więc co jest? - odrobinę drżącą ręką sięgnął do kieszeni po portfel. Otworzył go i wyjął zdjęcie. Sierra sprzed kilku miesięcy i on z Jamie w zeszłe wakacje. Delikatnie obrysował palcem twarz żony i dziecka. - To właśnie to. To mnie przeraża.

- Tak - Larry powoli, z namysłem pokiwał głową - Wiem.

- Kiedy się zaciągaliśmy do służby, nie myślałem ani o wielkości pożaru, ani o niebezpieczeństwie. Ty też nie. Ale wtedy nie mieliśmy żon i córek - Jake schował portfel i spojrzął przyjacielowi głęboko w oczy. - A teraz mamy tyle do stracenia.

Larry nie odpowiedział. Przez chwilę milczeli. Nagle Jake coś sobie przypomniał. Pół roku temu Sierra przykleiła swoje zdjęcie na kartonik, a pod spodem drukowanymi kulfonami napisała swoje imię. „To dla ciebie, tatusiu - powiedziała, wręczając mu je. - Na twoje biurko w pracy”.

Ale Jake nie miał w pracy biurka. Przykleiła więc to podpisane zdjęcie wewnątrz jego hełmu. W ten sposób miał ją tuż przy sobie, przy każdym wezwaniu, jakby przypomnienie, dlaczego wciąż ma być ostrożny, dlaczego nie wolno mu popełnić żadnego błędu. Jak przed chwilą powiedział Larry'emu, miał zbyt wiele do stracenia.

Dziwny nastrój przysł. Larry wbił łokieć pod żebro Jake'a.

- Przepraszam, JB. Dajmy już temu spokój - zmusił się do krzywego, stanowczego uśmiechu. - Tak, dość zmartwień na dziś, stary. Uważaj na mój tyłek, a ja będę uważał na twój. I spoko! Gasimy ogień, ratujemy ludzi i wracamy do domu na kolację.

To była ich dewiza. Powtarzali sobie te słowa przy każdym wezwaniu: „Gasimy ogień... ratujemy ludzi... i wracamy do domu na kolację”.

Jake odwzajemnił uśmiech i utkwiał spojrzenie w telewizorze.

Na ekranie znękany reporter przekrzykiwał wycie syren, a wokół niego cały dolny Manhattan z wolna pogrążał się w chaosie. Władze portowe zamknęły wszystkie mosty i tunele prowadzące do City.

- Z ostatnich doniesień wynika, że uderzenia samolotów w budynki World Trade Center były celowym atakiem - spojrzenie dziennikarza pomknęło ku trzymanej w ręku gazecie. - Prezydent Bush nazywa je bezprecedensowym aktem terroryzmu i...

Nagle do jadalni wpadł rozgorączkowany Maxwell.

- No, chłopaki, nasza kolej! Do Południowej Wieży. Punkt kontrolny w dolnym holu. Tam się zameldujmy i przydzielą nam piętro.

Przerwał na chwilę.

- Windy nie działają, będziemy musieli ganiać po schodach. Wszyscy znajdujący się powyżej siedemdziesiątego ósmego piętra są uwięzieni.

Umilkł, a w tej samej chwili Jake oraz siedemnastu pozostałych strażaków zerwało się od stołów i ruszyło do wozów, chwytając po drodze hełmy. Siadali po dwóch na jedno siedzenie, aby zmieściły się załogi obu zmian. Jake przez krótką chwilę patrzył na zdjęcie Sierry przyklejone wewnątrz hełmu, po czym włożył go na głowę i wcisnął się pomiędzy Larry'ego a kolegę z nocnej zmiany.

„Boże, bądź z nami. Przeprowadź nas bezpiecznie z powrotem”.

„Jestem z tobą, synu, przez wszystkie dni, aż do samego końca”.

Słowa te, chyba z jakiegoś zapamiętanego przed laty biblijnego wersetu, przemknęły mu przez głowę jak syreny ich wozów, które w tej samej chwili przeszyły powietrze, łącząc się z innymi, rozbrzmiewającymi w całym mieście. Jake całą uwagę skupił na stojącym przed nim zadaniu: przygotowywał się na widok koszmaru, który niewątpliwie za chwilę zobaczy.

„To wielki ogień, Panie. Będziemy Cię bardzo potrzebować”.

„Cały czas, synu. Jestem z tobą przez wszystkie dni - aż do końca”.

Jake zacisnął pięści i wbił wzrok w płonące budynki. Zawsze modlił się kiedy jechali gasić pożar. Ta modlitwa była czymś tak naturalnym jak ubieranie kombinezonu czy wsiadanie do wozu. Stanowiła po prostu część przygotowania do akcji. I zawsze wówczas spływał na niego spokój oraz siła i pewność, jakby na jego kombinezon nakładano niewidzialną zbroję. Jednak rzadko kiedy pojawiały się w jego głowie słowa Pisma.

Skrećili za róg. Ulice opustoszały, jeździły tylko karetki, więc szybko przybyli na miejsce. Jake na chwilę zamknął oczy. To był werset ze świętego Mateusza - Jake od kilku tygodni co rano rozważał ten fragment Ewangelii. Słowa pociechy, słowa wypełnione obietnicą. Jezus będzie z nim przez wszystkie dni, aż do skończenia świata. Głębokie słowa. Pan będzie z nim do samego końca.

Jake otworzył oczy i popatrzył na przednią szybę wozu. A może nie tylko głębokie, ale i prorocze?

Wóz pędził przez skrzyżowanie. Jake otrząsnął się z tych dziwnych myśli. Tylko sam siebie niepotrzebnie straszy, wyobrażając sobie niestworzone rzeczy. To, owszem, okropny pożar, ale przecież tylko pożar. A gaszenie pożarów to jego codzienne zajęcie. Niebezpieczeństwo jest dokładnie takie samo, jak w przypadku innych wezwań, czyż nie? Spojrzał w bok, na Larry'ego, ale oczy przyjaciela wyglądały jak szklane. Zawsze tak było, gdy przygotowywał się wewnętrznie do walki z żywiołem.

Co to Larry powiedział na temat temperatury spalania paliwa do odrzutowców i o wytrzymałości budynków World Trade Center? Jake zamrugał i wszelkie wątpliwości zniknęły. Nie ma sensu się martwić. Ma zadanie do wykonania. Na samą myśl o tym ciało zaczęło pulsować adrenaliną. Już nie mógł się doczekać przybycia na miejsce. Jeszcze dwie przecznice. Maxwell siedzący obok kierowcy odwrócił się i zaczął pokrótce wprowadzać ich w sytuację.

- Paliwo samolotu wytrysnęło przez szyb windy kilka sekund po zderzeniu - zawahał się na chwilę, po czym ciągnął dalej: - Niektórych ludzi wybuch wyrzucił na zewnątrz, inni wyskoczyli, wielu w płomieniach. Spadające ciała zabiły kilku naszych, więc uważajcie.

Jake z trudem przełknął ślinę i ledwie powstrzymał się od pytania, kto zginął. Nieważne. W straży panowały stosunki braterskie, wielu strażaków łączyły rozmaite więzi. Trudno sobie wyobrazić rozmiar strat, jakie jeszcze poniosą tego dnia. Zwłaszcza, że ogień wciąż nie został opanowany.

Migiem przemknęli resztę drogi i, skręciwszy w West Street, zatrzymali się obok innego wozu. Słowa Maxwella nie były w stanie przygotować Jake'a na sceny rozgrywające się u stóp Południowej Wieży. Ciała wciąż spadały z górnych pięter. Zauważył wyraz skrajnego przerażenia na twarzy lecącej w dół kobiety. Odwrócił wzrok w chwili, gdy ulica rozbrzmiała głuchym łoskotem; głuchym łoskotem ludzkiego ciała zderzającego się z płytami chodnika.

„Boże... to koszmar. Proszę Cię, Panie, pomóż tym ludziom!“. Jake rozglądał się wokół, zaciskając szczęki aż do bólu. Ulica wyglądała jak pobojuwisko: porozrzucane zwłoki, strażacy miotający się we wszystkich kierunkach, poparzeni niesieni na noszach ku niekończącemu się wężowi karetek pogotowia.

Do klębiących się w duszy Jake'a uczuć dołączył gniew. Co za potwór urządził taką masakrę?! Jak śmiał wziąć na cel samo serce Nowego Jorku?! Cała załoga wysypała się wreszcie z wozu i, chwyciwszy butle z tlenem, pobiegła w kierunku dolnego holu w Południowej Wieży.

- Uważać, czy coś nie leci z góry! - krzyknął Maxwell przez ramię do biegnących za nim.

Mężczyźni spojrzeli w górę, a Jake'a uderzyła makabryczność tej chwili. Potworne niebezpieczeństwo czyhające na nich wewnątrz budynku na zewnątrz zwiększają skaczący z okien. W żaden sposób nie mogąc im pomóc, cały wysiłek skierował na unikanie lecących ciał. I wciąż zaciskając zęby, biegł z innymi.

O mało nie potknął się o okazałych rozmiarów bryłę, którą w pierwszej chwili wziął za oderwany gdzieś z góry kawałek budynku. Minawszy ją, zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć jeszcze raz. Ta bryła nie była jednak kawałkiem ściany czy parapetu. Były to ludzkie zwłoki całkowicie spalone. Jake przystanął na ułamek sekundy i szybko się rozejrzał. Całą ulicę zaścielały niezliczone ciała.

- Pospiesz się, JB. Robota czeka - Larry był o kilka kroków przed nim.

- Jestem tuż za tobą - Jake wciągnął gwałtownie powietrze przez nos i ruszył dalej.

Larry z pewnością też widział to samo, co on. Ale miał rację: martwymi zajmą się później. Na razie mieli robotę w budynku, nie na zewnątrz. Weszli do dolnego holu, gdzie dowodzący akcją obsadzali poszczególne piętra, zaznaczając rozmieszczenie jednostek kredą na tablicach.

Maxwell wystąpił przed swoich ludzi i zameldował:

- Wóz Gaśniczy 57 i Drabina 96. Co mamy robić?

- Trzeba zorganizować punkt zborny na sześćdziesiątym pierwszym piętrze - padła odpowiedź. - Zdaje się, że jedna z wind tam działa, dlatego chcemy jej użyć do transportu rannych na dół. Inne jednostki zbliżają się do miejsca zderzenia, więc wy obsadźcie sześćdziesiąte pierwsze piętro. Windy nie jadą w górę, musicie maszerować.

- Tak jest - Maxwell skinął głową i skierował swą grupę przez hol ku klatce schodowej. W powietrzu krzyżowało się tyle rozkazów, że Jake musiał do ostatka napiąć uwagę, by słyszeć swego kapitana.

- Wszyscy mają tlen?

Jake spojrzał szybko na stojących przed nim. Wszyscy mieli obowiązkową butlę z tlenem, niektórzy nawet dwie. Drugiej nie wymagał regulamin: waga dwóch butli utrudniała wspinanie się, ale za to dodatkowy zbiornik tlenu mógł uratować strażakowi życie.

Jake miał dwie butle.

- Rozdzielamy się. Będzie łatwiej trzymać się razem, jak coś się stanie. Ruchem ręki wskazał na drugiego kapitana w ich gronie. - Hisel, ty dowodzisz „dziewięćdziesiątką szóstką”. Po drodze szukajcie rannych i znoście ich do karetek. Ja biorę „pięćdziesiątkę siódemkę” - spojrzał na Jake'a i Larry'ego. - Za mną! - ruszył biegiem ku głównej klatce schodowej.

Po wąskich schodach, które miały zaprowadzić ich na sześćdziesiąte pierwsze piętro, płynął w dół strumień ludzi o twarzach zastygłych w wyrazie grozy i szoku. Prezesi firm i praktykanci obok siebie, zrównani ze sobą tym samym rozpaczliwym pragnieniem ucieczki z płonącego gmachu.

Maxwell odwrócił głowę ku swoim ludziom. - Mamy pokonywać jedno piętro w minutę - zmierzył wszystkich intensywnym spojrzeniem.

- A pokonamy dwa!

Wbiegli na schody, Jake i Larry tuż za kapitanem. Większość strażaków była w znakomitej formie. Nawet z ciężkim sprzętem dadzą radę przebiec piętro w trzydzieści sekund. Przynajmniej pierwsze dwadzieścia pięter.

Na pierwszym podejściu Jake uświadomił sobie coś, czego wcześniej nie zauważył: cały budynek wibrował. Nie bardzo, ale jednak trochę się ruszał, jakby ta stupiętrowa konstrukcja drżała przerażona piekłem rozgrywającym się wysoko nad nimi. Jake kilkakrotnie bywał w jednej z wież World Trade Center, ale wtedy budynek się nie trząsał. Zamrugał oczyma i skupił się na pracy stóp. Chyba konstrukcja wytrzyma, prawda? Biegł wytrwale.

Drugie piętro... trzecie... czwarte... szóste... ósme...

Zaczął się w duchu zastanawiać. W pewnym momencie stał traci wytrzymałość. Tylko przy jakiej temperaturze to zachodzi, tego nie mógł sobie za nic przypomnieć w panującym na schodach zamieszaniu. Dwa i pół tysiąca stopni? Pięć tysięcy? I jaką temperaturę wytwarza płonące paliwo do odrzutowców? Czy konstruktorzy kiedykolwiek pomyśleli o konieczności ochrony budynku przed tego typu pożarem?

Po raz kolejny Jake odrzucił natrętną myśl i całą uwagę skierował na mijanych po drodze ludzi. Chciał być pomocny, gdyby się okazało, że któryś z nich ma kłopoty z oddychaniem czy potrzebuje innej pomocy. Dolatywały do niego fragmenty rozmów.

- Frank... trzymaj się, już prawie jesteśmy na miejscu - mówiła jakaś kobieta z wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma do drepczącego przed nią grubasa o czerwonej twarzy.

Maxwell usłyszał tę rozmowę.

- Państwo z którego piętra?

- Z pięćdziesiątego drugiego - kobieta zatrzymała się przy kapitanie. Dotknęła dłonią pleców schodzącego przed nią mężczyzny i zmarszczyła brwi. - Martwię się o Franka. Ma kłopoty z sercem.

- Świetnie się czuję! - mężczyźni brakowało tchu, ale nie przestawali schodzić. Pomachał ręką Maxwellowi i pozostałym strażakom. - Niech was Bóg błogosławi, panowie... Tam, na górze, są setki ludzi. Nie martwcie się o mnie.

Z góry dobiegł ich krzyk:

- Ludzie, ruszajcie się, nie zatrzymujcie! Zmartwiona kobieta i gruby mężczyzna ruszyli dalej w dół. Do Maxwella doleciało rzucone przez ramię pytanie:

- Ile jeszcze pięter?

- Osiem - kapitan ruszył w górę. - Nie zatrzymujcie się.

Jake usiłował sobie wyobrazić, co znajdą na sześćdziesiątym pierwszym piętrze. Budynek płonął już od ponad pół godziny. Dla ludzi w stanie krytycznym liczyły się sekundy. A jeżeli na siedemdziesiątym ósmym piętrze schody zostały zerwane? W takim wypadku wszyscy powyżej znaleźli się w pułapce.

Jeszcze raz Jake zmusił się do skupienia na bieżącej chwili. Dziesiąte piętro... jedenaste... dwunaste... trzynaste... Posuwali się w rekordowym tempie, w minutę pokonując trzy piętra. Jednak butle coraz bardziej ciążyły, wspinaczka coraz mocniej dawała się we znaki. „Boże, pozwól nam dotrzeć

na czas i uratować tych ludzi... proszę Cię. Chroń nas, panie. Tak nam potrzeba Twojej opieki". Przypomniało mu się zdanie, które zawsze wypowiadali z Larrym, jadąc do pożaru: „Spoko. Gasimy ogień, ratujemy ludzi i wracamy do domu na kolację". I było tak po każdym dotychczasowym wezwaniu. Jake modlił się, by stało się tak również dzisiaj.

RS



## Rozdział 11

11 września 2001, godz. 9.22

Erie Michaels czuł, że cały budynek wibruje. Zaczęło się od eksplozji gdzieś ponad nimi. Wybuch rzucił na kolana jego i wszystkich ludzi w zewnętrznym korytarzu. Równocześnie jego telefon zamilkł i niemal w tej samej chwili podbiegł do niego Allen. Razem popędzili do głównego holu, gdzie kilkadziesiąt osób przekrzykiwało się nawzajem. Ich wcześniejszy niepokój zaczął się teraz przeradzać w panikę.

- Uderzył w nas! Uderzył...

- Samolot... drugi samolot! Samolot wleciał w...

- Leciał prosto na nas, a potem znikł... Wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego tak, że nie można było nic zrozumieć. Jednak strzępki słów docierające do Erica i Allena nie pozostawiały wątpliwości co do jednego: uderzył drugi samolot, tym razem w ich budynek, i trzeba było brać nogi za pas.

- Windy nie działają! - ktoś obwieścił krzykiem i masa ludzkich ciał ruszyła w stronę schodów. W budynku były trzy klatki schodowe, z których każda prowadziła do holu na parterze. Erie chciał dołączyć do reszty. Akurat rozładowała mu się bateria w komórce, a Laura czeka na telefon od niego.

Prawdopodobnie już jest cała w nerwach. W wiadomościach telewizyjnych podadzą, że drugi samolot uderzył w Południową Wieżę, a ona zaraz pomyśli, że jej mąż znalazł się w samym centrum tej jatk.

Jednak gdy tylko skierował się ku schodom, Allen złapał go za rękaw.

- Nie ma się co spieszyć, Erie. Schody będą zapchane ludźmi - rzucił szybkie spojrzenie w kierunku biura firmy Koppel&Grant. - Mam trzy międzynarodowe transakcje, które muszą zostać natychmiast zrealizowane, jeszcze przed południem.

Erie obrócił się i popatrzył zdumiony na Allena. Ten facet oszalał!

- Nie czujesz tego? - wyrzucił z siebie, z trudem powstrzymując się od wyrwania się z uchwytu i puszczania biegiem w stronę schodów. - Cały budynek się trzęsie, Allenie! Musimy stąd uciekać!

- Posłuchaj - w oczach Allena błysnął gniew. - Ci obłąkani terroryści narobili już wystarczająco dużo bajzlu. Nie pozwolę, by na dodatek zrujnowali kilka transakcji wartych setki tysięcy dolarów.

Serce Erica zaczęło bić mocniej. Przeniósł wzrok z Allena na ludzi tłoczących się przy klatce schodowej, a następnie z powrotem na swojego

szefa. Potrzeba było co najmniej pięciu, może nawet dziesięciu minut, żeby cały ten tłum wcisnął się na schody.

- W porządku - ruszył w stronę biura, a Allen podążał o krok za nim. - Ale uwińmy się z tym szybko!

Skęcili za rogiem, przeszli przez drzwi z napisem Koppel&Grant i truchtem wbiegli do biura Allena. Allen usiadł przy klawiaturze, a Erie dyktował mu dane z kilku leżących na biurku teczek. Po jakichś dziesięciu minutach w drzwiach pojawiła się głowa

Hanka Waldena, jednego z ich najlepszych menedżerów finansowych.

- Chłopaki, co wy? Zarządzili ewakuację - patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, zdyszany i w potarganym ubraniu. - Wszyscy mają opuścić budynek!

Erie już miał coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie Allen podniósł rękę.

- Popatrz, na tym piętrze nie ma ani śladu dymu - wzrok miał wciąż wlepiony w monitor. - Skończymy za pół godziny, góra czterdzieści minut. Jeśli będziemy z tym zwlekać, popłyniemy na tysiące dolarów.

Walden wzruszył ramionami, po czym wymienił rozpaczliwe spojrzenia z Ericem.

- Nie mamy wyboru, szefie. Budynek jest zagrożony.

Allen machnął na niego ręką, nie podnosząc oczu znad klawiatury.

- Budynkowi nic nie będzie - oznajmił, omiatając Waldena pospiesznym spojrzeniem. - Idź już! Zaraz cię dogonimy.

Pożegnawszy wzrokiem Erica, Walden zniknął za drzwiami. Słyszeli tylko, jak jego kroki oddalają się i cichną w głównym korytarzu. Erie wpatrywał się w Allena.

- Szefie, czy to nie może poczekać? W tej chwili w Nowym Jorku nie pracuje chyba nikt oprócz nas.

Allen, nie przestając stukać w klawisze, wskazał tylko na teczki w dłoniach Erica. Minęło kolejnych dziesięć minut i nagle Erie poczuł, że w drganiach budynku zaszła jakaś zmiana. Może był to tylko wytwór jego wyobraźni, ale drgania jakby się nasiliły, zaczęły być bardziej zauważalne. Erie spojrzął przez okno na chaos panujący sześćset stóp poniżej. Budynki takie jak ten ustawione są na rolkach? To mogłoby tłumaczyć ten ruch, zwłaszcza że ponad ich głowami szalał pożar. Ale co, jeśli budynek trzęsie się z innego powodu? Sześćdziesiąt cztery piętra to cholerny kawał drogi...

Erie wzdygnął się na samą myśl o tym.

- Szefie... - odłożył teczki na biurko i wstał. - Ja idę. Mam rodzinę.

- Wiesz co, Erie... - Allen przestał pisać i obdarzył go smutnym spojrzeniem, z wyraźnym rozczarowaniem. - Myślałem, że ci zależy.

Erie nie znosił takich komentarzy. Sprawiały one, że czuł się słaby. Pokręcił głową i odpowiedział:

- Ależ szefie, zależy mi. Uważam po prostu, że obaj powinniśmy iść. Z budynkiem jest coś nie tak...

Allen oparł się na krześle, skrzyżował ręce na piersi i intensywnie wpatrzył się w twarz Erica.

- Nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię uważałem. Wymamrotał coś pod nosem i z powrotem wbił wzrok w monitor. Następnie, nie podnosząc już oczu, machnął ręką.

- Idź... dołącz do pozostałych. Sam to skończę. Erie nie czekał na dalsze jego słowa. Obrócił się i popędził do wyjścia przez labirynt biurów i ścianek działowych. Po drodze zauważył młodego dwudziestoparoletniego mężczyznę szaleńczo stukającego w klawiaturę.

- Co ty wyprawiasz? Mamy się ewakuować!

- Nikt nie zarządził ewakuacji - facet nie przestawał przebierać palcami po klawiszach. - Mam terminową robotę.

- Słuchaj no, kolego - Erie rzucił zdenerwowanym tonem. - W dniu takim jak ten nikt nie musi zarządzać ewakuacji. Kilka pięter nad nami w budynek walnął samolot i za chwilę dotrze tu ogień

- spojrzał na ścianę, jakby szukając gniazdka, do którego podłączony był komputer. - Uciekaj stąd!

Mężczyzna przerwał pisanie, posyłając Ericowi nienawistne spojrzenie.

- To moje życie, człowieku. Zostaw mnie w spokoju! Jeśli to dziś skończę, dostanę premię - wycedził przez zaciśnięte usta. - Nie pozwolę, by jakiś pożar dwadzieścia pięter nad nami mi w tym przeszkodził, rozumiesz?!

Erie skrzywił się, obrócił na pięcie i ruszył biegiem w stronę schodów. Jeśli gość chciał zostać, to cóż go to w gruncie rzeczy obchodziło?! W niecałą minutę był już przy drzwiach do klatki schodowej. Na schodach nie było nikogo. Zaczął zbiegać w dół, przeskakując po kilka stopni. Na pięćdziesiątym trzecim piętrze napotkał strażaków mozolnie pnących się w górę.

- Ktoś został na górze? - zapytał jeden z nich.

- Mój szef... ma parę transakcji do dokończenia

- Erie skrzywił się, próbując złapać oddech. - No i jakiś wariat z terminową robotą. Nie chce odejść od biurka.

Strażacy pokiwali głowami i ruszyli dalej. Oddychali ciężko, ale nie zwalniali ani na moment. Każdy z nich dźwigał, tak na oko, jakieś pięćdziesiąt funtów ekwipunku. Erie ponownie przyspieszył kroku i na czterdziestym trzecim piętrze dogonił sznur ludzi jednostajnym tempem schodzących po schodach. Wtedy też coś zwróciło jego uwagę.

Drżenie budynku stawało się coraz silniejsze. I nie było to wytworem jego wyobraźni.

Słyszał, jak w oknach trzęsą się szyby. Czuł delikatne kołysanie konstrukcji gmachu. W myślach poganiał ludzi do szybszego ruchu. Co oznacza to drżenie? Czy to śmigłowce zrzucają wodę na ogień? A może siła samych płomieni powoduje drżenie setek tysięcy ton betonu i stali? Niezależnie od przyczyny takiego stanu, Erie wolał o tym nie myśleć. I tak nic na to nie poradzi, ani on, ani nikt inny. Mogli jedynie schodzić w dół. Krok po kroku.

Ewakuujący się z budynku ludzie zachowywali spokój i porządek. „Pewnie są w szoku” - pomyślał Erie. Nie znał nikogo z nich, pracownicy firmy Koppel&Grant prawdopodobnie byli już ze dwadzieścia pięter niżej. Na każdym piętrze Erie szukał spojrzeniem numeru na drzwiach.

Trzydzieste pierwsze... trzydzieste... dwudzieste dziewiąte... dwudzieste ósme...

Sześć kolejnych pięter i stało się! Erie potknął się na porzuconej przez kogoś na schodach aktówce i poleciał pięć stopni w dół, głową naprzód. Gdy próbował wstać, poczuł przeszywający ból w kostce. W tej samej chwili ktoś go złapał pod ramię. Erie chwycił pomocną dłoń, dźwigając się na nogi, a na jego pierś zsunął się strażacki hełm.

Schodzący po schodach ludzie ocierali się o Erica, któremu strażak pomógł powoli usiąść. Erie podniósł hełm leżący u jego stóp, chcąc oddać go swojemu wybawcy. Już miał to uczynić, gdy jego uwagę zwróciło coś wewnątrz hełmu. Erie przyjrzał się dokładniej i serce zabiło mu mocniej.

Była to fotografia małej dziewczynki, cztero-lub pięcioletniej. Pod zdjęciem, napisane dziecięcą ręką, widniało imię Sierra. Fotografia i karteczka z imieniem były przymocowane samoprzylepną taśmą do wewnętrznej strony hełmu. Oddając go właścicielowi, Erie poczuł uścisk w gardle. Ale gdy na niego spojrział, serce zamarło mu w piersi.

Strażak też wpatrywał się w niego. Teraz, widząc go wyraźnie, Erie zrozumiał dlaczego. Mogli być bliźniakami. Erie z niedowierzaniem zamknął oczy i powtórnie je otworzył. Czyżby miał przywidzenia? Słyszał o obcych sobie ludziach zadziwiająco do siebie podobnych, ale nigdy nie widział kogoś, kto wyglądałby zupełnie tak samo jak on! Dokładnie tak samo. Krótkie ciemne włosy, mocno zarysowana szczeka, wysokie kości policzkowe, niebieskie oczy. Byli nawet podobnej budowy.

Patrząc na tego strażaka, Erie miał wrażenie, że spogląda w lustro. Siedział z otwartymi ustami, nie mogąc oderwać wzroku od swojego sobowtóra. Całe zdarzenie nie trwało dłużej niż pięć sekund. Erie podniósł się, nie przestając patrzeć w oczy strażakowi.

- Dziękuję - powiedział, podając mu hełm.

- A to... to moja mała córeczka - strażak wziął hełm od Erica i włożył go na głowę. - Lepiej niech pan nie zwleka i nie zatrzymuje się.

- Dzięki... - Erie chciał powiedzieć coś więcej. Chciał podziękować temu człowiekowi nie tylko za to, że pomógł mu wstać po upadku, ale też za narażanie życia, bo będąc tu ryzykował, że jego ukochana mała Sierra, której zdjęcie przykleił sobie wewnątrz hełmu, może już nigdy więcej go nie zobaczy.

Nie zdążył jednak powiedzieć nic więcej. Strażak skinął głową na pożegnanie i ruszył w górę po schodach. Erie zaś, posypany bólem, włączył się w strumień ludzi zmierzających w dół. Skręcona kostka poważnie mu dokuczwała, ale nie mógł na to nic poradzić. Trzeba było jak najszybciej wydostać się z budynku.

Piętnaste piętro... czternaste... trzynaste...

Schodząc po stopniach, wciąż widział twarz tamtego strażaka oraz fotografię małej Sierry. Nie dawało mu to spokoju. Wiedział, że do końca życia nie zapomni twarzy tego dziecka ani tego uśmiechu, którym obdarzyła go z wnętrza strażackiego hełmu.

Tymczasem dotarli już na dwunaste piętro... jedenaste... dziesiąte...

Jak tu określić to, co zobaczył w oczach owego mężczyzny? Świadomość, a może przecucie, że tylko jeden z nich wyjdzie stąd żywy. Poza tym, w spojrzeniu strażaka dostrzegł wyraźny spokój ducha. Spokój, którego Erie nie znał.

Dziewiąte... ósme... siódme...

Erie nie czuł już bólu kostki, a serce łomotało mu w piersi ze strachu i zmęczenia. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Jego myśli koncen-

trowały się tylko wokół Sierry i jej ojca, strażaka. Przez moment chciał się pomodlić w jego intencji. Ale co by to dało? Strażak podążał w górę, w kierunku miejsca katastrofy, a budynek trząsł się jeszcze bardziej niż przedtem.

„Boże, on z tego nie wyjdzie, prawda? Zginie, a Sierra już nigdy nie zobaczy swojego tatusia. I po co to wszystko? Ludzie na górnych piętrach i tak prawdopodobnie już nie żyją. Dym, temperatura, opary... Kto mógłby przeżyć piekło, które rozszalało się powyżej miejsca, w które uderzył samolot?”

Erie zawahał się przez chwilę. Może powinien puścić się biegiem z powrotem, znaleźć strażaka, chwycić go za rękę i przekonać, by zszedł na dół jak inni rozsądni ludzie. Mogliby porozmawiać o swoim podobieństwie, porównać swoje doświadczenia. Może są jakoś spokrewnieni? Może ten mężczyzna jest jego dalekim kuzynem, który przyszedł na świat z takimi samymi rysami twarzy jak Erie? Skoro ów strażak poszedł na górę, Erie był niemal pewny, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

Jednak w klatce schodowej było zbyt tłoczno, nie miał więc innego wyjścia, jak podążać w dół wraz z innymi. Jeszcze tylko sześć pięter, jeszcze pięć... Wstrząsy nasilały się, wyginając klatkę schodową, jakby była zrobiona z gumy.

- Wydostańcie nas stąd! - krzyknął jakiś mężczyzna trzy piętra wyżej. - Zaraz wszystko runie.

„Wszystko?!”. Pomimo drżenia murów taka myśl nie przeszła Ericowi przez głowę. Czy World Trade Center mogłoby się rzeczywiście zawalić? Gdy Erie znalazł się na zakręcie schodów wiodących na kolejne piętro, gdzieś z wnętrza budynku dało się słyszeć złowrogie skrzypienie. „Panie Boże, pomóż mi! Jeszcze tylko cztery odcinki schodów i wydostanę się stąd!”

Ruszył tak szybko, jak na to pozwalał kłębiący się przed nim tłum, ale nawet w tym momencie jego myśli jeszcze raz skierowały się ku spotkanemu wcześniej strażakowi i małej dziewczynce, która najwyraźniej wiele dla niego znaczyła. Niemal równocześnie uderzyła go inna myśl. Dlaczego on nie przejmował się losem swojego dziecka, Josha - małego chłopca, dla którego nigdy nie miał czasu? A co z Laurą? Jeśli World Trade Center teraz runie, on zginie, nie powiedziawszy im prawdy, że bardzo ich kocha, nawet jeśli nigdy dotąd tego nie okazywał i nigdy im tego nie powiedział.

Gdy tak stopień za stopniem schodził po schodach, jego serce przepełnił ogromny żal. Cóż on najlepszego zrobił? Przedkładał sukces, stanowisko i

pieniądze ponad najbliższych: Laure - kobietę, którą pokochał od pierwszego wejrzenia; Josha - chłopca, który tak bardzo ją przypominał. Tak naprawdę nawet go dobrze nie znał...

Kiedy się tak zmienił? Czy rzeczywiście przyczyniła się do tego utrata córeczki? Czy to wtedy wszystkie wysiłki zaczął wkładać w pracę, zaniebując życie rodzinne? Gdy z mozołem schodził na kolejne półpiętro, nagle doznał olśnienia. Oczywiście, że to się stało wtedy! W najgłębszym zakątku duszy postanowił, że już nigdy nie będzie liczyć na Boga lub kogokolwiek innego. Bóg go zawiedzie, a ludzie prędzej czy później umrą. Mógł liczyć tylko na siebie. Od tego czasu kierował się w życiu jedynie tą zasadą.

Powietrze wokół zgęstniało, stało się nieznośnie ciężkie. Budynek trząsał się tak, jakby lada moment miał runąć. Erie starał się przywołać w pamięci swoją ostatnią rozmowę z Laurą. Za żadne skarby nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz powiedział jej, że ją kocha.

Ludzie wokół niego zaczęli krzyczeć, rozpychać się bardziej niż przedtem, rozpaczliwie próbując wydostać się z budynku. Erie schodził po schodach najszybciej, jak potrafił, ale nie mógł wyzbyć się odczucia, że porusza się jak w zwolnionym tempie. Jeden stopień... następny... i następny...

Lada chwila budynek mógł zwalić mu się na głowę i pogrzebać go żywcem. Wszystko, co osiągnął w pogoni za sukcesem, obróci się wniwecz, bo on sam teraz umrze, a Laura i Josh nigdy nie dowiedzą się, co tak naprawdę czuł i jak bardzo było mu przykro z powodu tego, czego im od siebie nie dał.

Jeszcze jeden stopień... i jeszcze jeden...

Budynek jęknął i zachwiał się - w tej samej chwili przez głowę Erica przemknęła pewna myśl: pomysł, który pojawił się niejako samoistnie, nie wiadomo skąd. Przecież póki mu starczy tchu, wciąż może się modlić! Gdzieś z góry dobiegł go straszliwy huk, ale Erie nawet się nie obejrzał. Pokonując kolejne schody, błagał Boga o coś, o co przed tragicznymi wydarzeniami tego poranka nigdy nie przysłoby mu do głowy prosić: o jeszcze jedną szansę.

\* \* \*

Jake, Larry i Maxwell ostatnich trzydzieści kondygnacji pokonali biegiem. Wdrapując się na sześćdziesiąte pierwsze piętro, gdzie kazano im ustanowić punkt zborny, z trudem łapali oddech. Przy windach zastali dwunastu innych strażaków udzielających pomocy rannym leżącym na podłodze. Niektórzy z

ratowników - w tym jeden, z którym Jake kiedyś już pracował - podawali ofiarom dożylnie płyny infuzyjne lub zastrzyki morfiny.

- W czym możemy pomóc? - zapytał Maxwell, za którym krok w krok podążali Jake i Larry.

- Mówili nam, że windy działają - jeden ze strażaków obrócił w ich stronę zmęczoną twarz. - Osiem minut temu wysłaliśmy na dół pięcioro rannych w asyście dwóch naszych ludzi. Jak do tej pory, nie wrócili.

- Chcesz przez to powiedzieć, że kabina zatrzymała się między piętrami? - Jake uklęknął przy kobiecie, której ramiona i tułów spalone były niemal do kości. Sprawdził jej puls na szyi: był słabo wyczuwalny i nierówny. Niebrzydka dwudziestoparoletnia kobieta z obrączką ślubną na palcu. Prawdopodobnie jej mąż gdzieś tam zamartwiał się teraz o nią, zupełnie tak samo, jak Jamie z pewnością martwiła się o Jake'a.

- Popatrz na nią - Larry przykucnął przy nim. - Nie przeżyje.

- Wiem - Jake poczuł narastającą w nim bezsilność. Najwyraźniej mieli dziś do czynienia z wypadkiem masowym wiążącym się z tak dużą liczbą ofiar, że wszystkie wysiłki i energię należy poświęcić tylko tym poszkodowanym, którzy mają jeszcze szansę na przeżycie. W takim przypadku ratownicy mieli zostawić wszystkich śmiertelnie rannych i zająć się innymi ofiarami.

Jake jeszcze raz spojrzął na umierającą kobietę, nabrał powietrza i wstrzymał oddech. Szkolono ich do wykonywania tego rodzaju zadań, ale ta katastrofa przekraczała swoim ogromem wszystko, na co ich przygotowywano. Wspinaczka na sześćdziesiąte pierwsze piętro sprawiła, iż Jake był wykończony, a teraz, po przybyciu na miejsce, okazuje się, że tak niewiele mógł zrobić...

Tymczasem kapitan Maxwell wciąż dopytywał się o windę.

- Budynek za bardzo się trzęsie, żeby windy mogły normalnie jeździć - odpowiedział jeden ze strażaków. - Podejrzewam, że czekamy na darmo. Będziemy musieli znieść tych ludzi.

- A co z miejscem uderzenia samolotu? - Maxwell, podobnie jak inni, zajął się udzielaniem pierwszej pomocy jednej z ofiar.

- „Siedemdziesiątka ósemka” wysłała tam część ludzi. Mamy z nimi kontakt radiowy. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli.

Jake wstał i policzył ofiary. Osiemnaście osób, a tylko piętnastu strażaków.



- Nadchodzą tu kolejni. Bierzmy na plecy tych, którym możemy pomóc, i wracajmy na dół.

- Dobrze powiedziane - Larry wyprostował się i stanął obok Jake'a. - Zanim wszystkich załadujemy, dotrze tu ktoś z naszych.

Potwornie poparzona kobieta leżąca u stóp Jake'a wydała z siebie jęk.

- Proszę... niech mi ktoś pomoże.

Jake natychmiast uklęknął przy niej. Tym razem budynek trząsnął się tak bardzo, że nawet wypowiedziane przez niego słowa wibrowały w powietrzu.

- Jestem tuż obok. Postaramy się jak najszybciej sprowadzić pomoc.

Kobieta uspokoiła się na moment, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Jednak po chwili znów zaczęła jęczeć.

- Chcę się pomodlić. Czy ktoś mógłby się ze mną pomodlić... proszę.

Jake chwycił kobietę za palce - jedyną niepoparzoną część jej rąk.

- No dalej, Larry. Pomożesz mi?

Larry upadł na kolana z drugiej strony, kładąc dłoń na kolanie konającej.

- Zaczynaj.

Dokoła strażacy zarzucali sobie rannych na plecy, a konstrukcja wieży trzeszczała i skrzypiała coraz głośniejsze. Jake podniósł wzrok, przebiegając oczami tam i z powrotem po suficie i ścianach. Wiedział, co oznacza ten dźwięk. Stalowe podpory topiły się, słabnąc z każdą sekundą.

Nagle ogłuszający huk przeszył powietrze jak wystrzał z karabinu, tak że aż wszyscy podskoczyli. Po nim rozległ się drugi, a potem jeszcze jeden. Jake skierował spojrzenie w stronę źródła dźwięku. To pękały szyby, wyskakując z ram okiennych pod wpływem olbrzymiej siły skręcającej budynek.

Jake popatrzył na pozostałych strażaków. Każdy z nich zdawał sobie sprawę z nieuchronności tego, co miało zaraz nastąpić. Budynek zaczynał się walić! Znajdowali się sześćdziesiąt jeden pięter nad ziemią i lada moment mieli zostać pogrzebani pod setkami ton betonu, stali i płonącej benzyny lotniczej.

- Larry... - Jake pochwycił spojrzenie przyjaciela. Wciąż klęczeli na podłodze po obu stronach śmiertelnie poparzonej młodej kobiety. - Nie wyjdziemy z tego żywi, stary. Nie tym razem.

- Na to wygląda - bladej jak ściana Larry nerwowo przygryzł wargę i zdławionym głosem wyszeptał:

- Kocham cię, JB. Byłeś mi jak brat.

- Ty też. Nigdy nie sądziłem... - głos Jake'a załamał się. - Będzie... będzie mi brakowało moich dziewczyn.

- Nie możemy tak myśleć. Niedługo znowu będą z nami, co nie? - oczy Larry'ego wypełniły się łzami.

- A do tego czasu wciąż będę osłaniać ci tyły.

- Fajnie - Jake usiłował uporządkować odczucia. Strach, niepokój, a przede wszystkim głęboki smutek. Już nie będzie mu dane zasmakować pocałunków Jamie, głęboko spojrzeć w jej oczy. Już nie posadzi sobie Sierry na kolanach i nie będą się bawić w konika. Na myśl o tym spuścił głowę, niemal całkiem przybity. „A co z twoją obietnicą, Panie? Co z duszą Jamie? - przemknęło mu przez myśl. - Ach, gdybym mógł być z nimi choć jeszcze jeden dzień”.

Budynek zadrżał w posadach. Jake przebiegł wzrokiem po twarzach pozostałych strażaków. Wszyscy mieli szeroko otwarte oczy, ale nadal wypełniali swoje obowiązki. Mówili spokojnymi głosami, jak gdyby działali automatycznie. Tak byli wyszkoleni, by nieść pomoc dopóki starczy im tchu. Ale żaden z nich - tak jak Jake - nie miał u boku swojego najlepszego przyjaciela.

Gdzieś w górze dał się słyszeć kolejny trzask.

- Hej - Larry wyciągnął rękę nad leżącą kobietą i złapał Jake'a za ramię. - Spotkamy się po drugiej stronie - ręce mu się trzęsły. - Poszukasz mnie, dobrze?

- Pewnie! - serce Jake'a zabiło gwałtowniej, ale siłą woli zmusił się, by nie rzucić się do ucieczki. Zresztą teraz nie miałoby to już sensu. Jeśli już miał umrzeć, chciał umrzeć tutaj, pochylony nad ofiarą wypadku, mając u boku najlepszego kumpla.

Kobieta na podłodze między nimi ponownie zajęczała:

- Módlmy się. M-m-módlmy...

Modlitwa! Tak, właśnie tego potrzebowali. Budynek kołysał się coraz mocniej. Zostały im sekundy, może minuta. Jake zacisnął dłoń na ramieniu Larry'ego tak, że z jednej strony byli ze sobą złączeni, tworząc jakby most nad poparzoną kobietą.

- Boże, w godzinie trwogi prosimy Cię, zmiłuj się nad nami i okaż nam swą łaskę. Zaprowadź nas bezpiecznie do Twego domu, gdzie będziemy żyć z Tobą na wieki.

- Jake... - Maxwell zbliżył się do nich i przykucnął u stop kobiety. - Ja... ja nie wiem zbyt wiele o Jezusie.

Jake otworzył oczy i popatrzył na swojego dowódcę, zaprawionego w akcjach ratunkowych i szorstkiego w obejściu weterana o manierach ulicznego zabijaki z nieodłącznym grymasem na twarzy. Nigdy nie przyszło mu na myśl, by zaprosić kapitana do kościoła czy porozmawiać z nim o modlitwie, nie mówiąc już o Jezusie.

Ale teraz potrzeba modlitwy boleśnie dała o sobie znać i Maxwell chciał szybko dowiedzieć się jak najwięcej.

- Jezus jest Synem Bożym - głos Jake'a brzmiał mocno i pewnie. - Umarł za twoje grzechy, za moje też, a teraz żyje w niebie - Jake i Larry popatrzyli sobie głęboko w oczy - przygotowując miejsce dla każdego, kto w Niego wierzy.

Maxwell przytaknął:

- Tego właśnie pragnę. Co mam robić? Mów szybko!

- Módl się razem ze mną - Jake rozejrzał się wokoło. - Niech każdy, kto pragnie Jezusa, pomodli się ze mną!

Zamknął oczy, starając się nie myśleć o smutku, nie przywoływać obrazów Jamie i Sierry oraz domu, w którym razem mieszkali. Zamiast tego skupił się na modlitwie... ostatniej modlitwie, którą miał odmówić po tej stronie.

- Panie, żałuję za wszystkie moje grzechy, które oddalały mnie od Ciebie.

Chór rozgorączkowanych głosów przyłączył się do Maxwella, który powtarzał wszystkie słowa modlitwy Jake'a. Ten zaś mówił dalej, a z każdym słowem głos jego rozbrzmiewał mocniej:

- Wierzę, że jesteś Synem Bożym i chcę daru Twojego zbawienia. Potrzebuję Zbawiciela.

Strażacy i ci spośród rannych, którzy wciąż pozostawali przytomni, zgodnie powtarzali za Jakiem. Niektórzy byli chrześcijanami, niektórych Jake przez lata widywał w kościele lub na spotkaniach modlitewnych. W tych ostatnich chwilach nie było słów, które bardziej pragnęliby wypowiedzieć.

Chcąc, by go słyszeli w hałasie dobiegającym z wnętrza budynku, Jake musiał już krzyknąć:

- Wierzę, że przygotowujesz dla mnie miejsce...

Nad ich głowami zaczął narastać potworny łoskot, jak gdyby tysiąc pociągów towarowych pędziło wprost na nich. Jake ścisnął Larry'ego za ramię, mając nadzieję, że w przyszłym życiu będzie miał wgląd w to, co dzieje się tu, na ziemi; że przynajmniej będzie mógł zobaczyć Jamie i Sierę,

modlić się za nie i patrzeć, jak im się żyje, nawet jeśli nie będzie już mu dane ich przytulić.

Hałas całkowicie zagłuszał jego słowa, ale Jake nie przerywał:

- ... miejsce w niebie, gdzie spotkamy się może jeszcze dzi... - sufit runął im na głowy i Jake zaczął koziółkować wciąż złączony uściskiem z Larrym. Otuliła go miazdząca siła, wysysając z niego powietrze. Nadal jednak czuł przy sobie Larry'ego, wyczuwał obok siebie jego obecność. Huk walącego się wieżowca stał się już wszechpotężny. Po chwili otoczyła ich ciemność.

Ale chwilę później - powoli, stopniowo - ciemność ustąpiła światłu. Pięknemu, niosącemu ukojenie światłu, jakiego Jake nigdy wcześniej nie widział. Jego ostatnia myśl wolna była od smutku, przerażenia, poczucia straty. Przypominała raczej modlitwę o to, by pewnego dnia Jamie uwierzyła. Bo on już przeczuwał, jakie będzie to miejsce, do którego zmierzał, poniekąd już je zobaczył. Była to cudowna kraina, pełna miłości, dobra i piękna, do której Jamie chciałaby pojechać, choćby jutro, gdyby tylko o niej wiedziała.

Tak, musi uwierzyć! Czyż zresztą Bóg nie zapewnił go o tym? I to ostateczne przekonanie wystarczyło, by Jake pozwolił się unieść otaczającej go światłości. Wystarczy uwierzyć, że pewnego dnia to długie rozstanie dobiegnie końca i znowu będą razem. Nie tylko przez jeden dzień, jeden rok czy nawet przez całe życie, ale już na zawsze.

## Rozdział 12

11 września 2001, godz. 9.56

Jamie nie miała pojęcia, że jej kraj został zaatakowany. Pojechała na zajęcia aerobiku o dziewiątej rano do klubu fitness na Staten Island i minutę po dziesiątej z ręcznikiem wokół szyi szła już korytarzem w stronę schodów wiodących do holu recepcyjnego. To był jej rutynowy porządek dnia. Ćwiczenia od dziewiątej do dziesiątej, potem do przebieralni, szybki prysznic. Odbierała Sierrę, a potem razem jechały do parku: godzina zabawy i do domu na lunch.

Jednak tego ranka, zaledwie wkroczyła do recepcji, natychmiast stanęła jak wryta. W pomieszczeniu było pełno ludzi, którzy tłoczyli się wokół telewizora zawieszzonego na ścianie obok bufetu. Z miejsca, w którym stała, Jamie nie widziała ekranu.

Jakaś kobieta z parą tenisówek w ręku odłączyła się od gromady gapiów i ruszyła w stronę umywalni. Oczy miała wilgotne od łez.

- Przepraszam... - Jamie zastąpiła jej drogę. Potworny strach ścisnął ją za gardło i z trudem zebrała się, by zadać pytanie, próbując jednocześnie wyczytać cokolwiek z twarzy kobiety.

- Co się dzieje?

Kobieta popatrzyła na nią zdumiona, a na jej czole malowało się niedowierzanie:

- Pani nic nie wie?

- Czego nie wiem?

- Zaatakowali nas terroryści. Godzinę temu. Pałą się obie wieże World Trade Center. Pentagon też.

Jamie poczuła, że kręci jej się w głowie. Dlaczego nikt nie przerwał zajęć aerobiku? Skoro World Trade Center się pali, to Jake... - Jamie próbowała uporządkować myśli.

- Terroryści? Czy to był zamach bombowy?

- Nie - kobieta sprawiała wrażenie zbyt przerażonej, by podać Jamie wszystkie szczegóły. - Porwali trzy samoloty. Dwa z nich uderzyły w World Trade Center, a trzeci w Pentagon. - kobieta skinęła w stronę telewizora. - Wszystko pokazują na żywo.

Potem potrząsnęła głową i dodała:

- Muszę jechać do domu. Mój mąż pracuje na piętnastym piętrze Północnej Wieży, a ja nie rozmawiałam z nim od...

Ale Jamie już jej nie słuchała. Puściła się biegiem przez hol i stanęła na obrzeżu tłumu oblegającego telewizor. Wystarczyło krótkie spojrzenie, by uświadomić sobie całą grozę sytuacji. Obydwie bliźniacze wieże paliły się. Górne piętra obu budynków spowijały gęste kłęby dymu.

Czy to skutek uderzenia samolotów? Czyżby terroryści wlecieli nimi w wieżowce celowo? Opanowali maszyny i uderzyli nimi w budynki? Jamie objęła się w pasie i poczuła, że całe pomieszczenie zaczyna wirować. Chciała usiąść, zanim zemdleje, ale nie mogła się ruszyć. Wzrok miała wlepiony w płonące wieże na ekranie: wodziła po nich oczami, jak gdyby przez któreś z malutkich okienek mogła zobaczyć Jake'a.

On gdzieś tam był. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Remiza Jakea znajdowała się praktycznie w cieniu World Trade Center. Na pewno zjawili się na miejscu katastrofy. Jake, Larry i pozostali z załogi Wozu Gaśniczego 57 i Drabiny 96. Jamie poczuła klucie w piersiach, tak mocne, że nie mogła złapać głębszego oddechu.

Pożar był zbyt wielki, zbyt rozległy, by dało się go ugasić. Żadna liczba strażaków nie była w stanie poradzić sobie z takim ogniem. Jamie zacisnęła pięści, nie zważając, że paznokcie wbijają jej się w skórę dłoni. „Uciekaj, Jake! Uciekaj stamtąd! Dalej, kochanie, bierz nogi za pas. Pomagaj ludziom na dole...”.

Na ekranie telewizora pojawił się wyraźnie wstrząśnięty ciemnowłosy prezenter wiadomości:

- Otrzymaliśmy informacje, że w Pentagonie szaleje pożar po tym, jak szesnaście minut temu w budynek wbił się trzeci uprowadzony samolot pasażerski - lot nr 77 linii American Airlines. Prezydent Bush wydał oświadczenie, z którego wynika, że wypadki w Nowym Jorku i Waszyngtonie są skutkiem ataku terrorystycznego.

Tymczasem realizator transmisji zaczął pokazywać nadawany na żywo obraz płonącego World Trade Center, a głos zza ekranu kontynuował:

- Czas na krótkie podsumowanie najnowszych wiadomości. Przestrzeń powietrzna nad Stanami Zjednoczonymi została zamknięta po raz pierwszy w historii. Dziś rano dwa samoloty pasażerskie uderzyły w World Trade Center o godzinie ósmej czterdzieści pięć i dziewiętej dwie czasu nowojorskiego. Według wstępnych szacunków, śmierć mogło ponieść kilkaset osób, przy czym liczba ofiar śmiertelnych może być o wiele większa. W biurach mieszczących się w bliźniaczych wieżach pracuje ponad...

Reporter przerwał w pół zdania.

Nagle z płonącej części Południowej Wieży buchnęły potężne kłęby dymu. Jamie otworzyła usta z wrażenia, widząc, jak dach budynku znika i cały stupiętrowy budynek składa się jak domek z kart w gigantycznej chmurze pyłu.

Przez dłuższą chwilę nikt nie odezwał się słowem, nikt się nie poruszył. W tłumie ludzi otaczających Jamie tu i ówdzie ktoś cichutko westchnął, ale nic ponad to. Nikt nie mógł uwierzyć w to, czego właśnie byli świadkami. W końcu drżącym, pełnym niedowierzania głosem telewizyjny prezenter powiedział to, czego zgromadzeni nie mieli odwagi wyrazić słowami:

- Wygląda... wygląda na to, że runęła Południowa Wieża World Trade Center. Powtarzam... Południowa Wieża World Trade Center zawaliła się. Może to oznaczać tysiące ofiar... budynek był pełen pracowników firm mających tam swoje siedziby oraz strażaków desperacko próbujących...

Jamie zakryła sobie uszy rękoma i obróciła się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. To niemożliwe! To musiała być jakaś pomyłka, jakiś trik! World Trade Center nie mogło się zawalić, było zbyt solidnie zbudowane! A jednak to, co widziała w telewizji, było porażająco prawdziwe. Nie była w stanie dłużej na to patrzeć, nie chciała wysłuchiwać komunikatów o walących się budynkach i ofiarach w ludziach. Jake'owi nic się nie stało. Nie dopuszczała do siebie innej myśli.

Zrobiła parę kroków. Gdzie jest przebieralnia? Dlaczego nic już nie jest na swoim miejscu? Dlaczego wszyscy stoją tutaj, gapiąc się w telewizor? To kłamstwo, to jakaś mistyfikacja! World Trade Center wcale się nie pali, to niemożliwe. Gdyby tylko mogła wrócić do domu i porozmawiać z Jakiem...

Telewizor zdawał się krzyczeć do niej z każdego rogu pomieszczenia. Przyciskając pięści do uszu, w końcu znalazła drzwi do przebieralni i puściła się biegiem w ich stronę. Błyskawicznie porwała swoje rzeczy i popędziła do świetlicy dla dzieci. W rogu na małym telewizorku widać było powtórkę ujęcia ukazującego zawalenie się Południowej Wieży World Trade Center. Jamie spojrzała na opiekunki i zobaczyła, że mają podkrążone oczy. Wiedziały dobrze, co się stało.

„To kłamstwo! - chciała wykrzyknąć. - Wszystko jest w porządku!“. Zamiast tego podbiegła do niej Sierra, błyskając niebieskimi oczkami: niewinna i całkowicie nieświadoma.

- Mamusiu! - przytuliła się do nóg matki, po czym wyciągnęła w górę rączki. - Weź mnie na ręce!

- Cześć, kochanie - Jamie próbowała się uśmiechnąć, ale kąciki jej ust były jak sparaliżowane. - Pojedziemy do domu, dobrze?

- A nie pójdziemy do parku?

Trzy pracownice świetlicy unikały jej spojrzenia, odwracając oczy i szepcząc coś między sobą. Jedna z nich płakała. Jamie w lot zrozumiała, o co chodzi. Dziewczyny z klubu fitness wiedziały, że mąż Jamie jest strażakiem. Poznały Jake'a, bo w lecie był tu z nią kilka razy.

Jamie zmierzyła je wzrokiem i powiedziała:

- Wszystko w porządku.

Wrzuciła ręcznik do torby, zarzuciła ją na ramię, a drugą ręką podniosła Sierę.

- Nie martwcie się. Jake'a tam nie było.

Na kilka długich sekund zapadła cisza. Wreszcie jedna z pracownic zdobyła się na smutny, nerwowy uśmiech.

- To całe szczęście - rzekła, krzyżując ręce. - Obawiam się, że wielu tam zostało.

- No tak, ale nie Jake.

Chciała im powiedzieć, że Południowa Wieża tak naprawdę wcale się nie zawaliła, ale nie miała ochoty na dalszą rozmowę. Nie mówiąc już ani słowa, obróciła się na pięcie i pospiesznym krokiem ruszyła do samochodu. Przecież musi mieć rację. Jeśli Jake walczył z ogniem, na pewno był w Północnej Wieży, która została zaatakowana jako pierwsza. Jego jednostka musiała być jedną z pierwszych wezwanych do pożaru, prawda?

Zapięła Sierę w foteliku i odgarnęła jej grzywkę z czoła. Po co tu przyszła? Na parkingu było pełno samochodów, ale ani żywego ducha. Wszyscy zostali w środku, śledząc telewizyjne relacje. W końcu sobie przypomniała: ma pojechać do domu, żeby zadzwonić do Jake'a i w ten sposób dowiedzieć się, że nic mu nie jest.

- Mamusiu, co się stało?

Jamie usiadła za kierownicą, włączyła silnik i wrzuciła wsteczny bieg. W tej samej chwili zorientowała się, że zostawiła torbę na zewnątrz.

- Chwileczkę, kochanie.

Wyskoczyła z samochodu, ale w tej samej chwili wóz ruszył do tyłu, potracając ją tak, że nieomal wpadła pod przednie koła. Auto jechało na wstecznym bez niej! Chwyciła oparcie fotela i wciągnęła się z powrotem do środka. Niewiele brakowało, by jej van wjechał w samochód zaparkowany z



tyłu. W ostatniej chwili zdążyła nacisnąć hamulec. Siedząca z tyłu Sierra zaczęła płakać.

- Mamusiu, co się stało? Odjeżdżałam bez ciebie. Jamie mocno zacisnęła obie dłonie na kierownicy i wzięła głęboki oddech.

- Już dobrze. Mamusia... przepraszam cię, maleńka. Nie bój się.

Serce chciało wyskoczyć jej z piersi, biło jak oszalałe, a po twarzy ściekały strużki potu. Zdecydowanym ruchem zaciągnęła hamulec ręczny, wyszła z wozu, podniosła torbę i rzuciła ją na tylne siedzenie.

Klub fitness znajdował się zaledwie pięć minut jazdy samochodem od ich domu. Mniej więcej w połowie drogi Jamie spojrzała na Sierrę we wstecznym lusterku.

- Mamusia trochę źle się dzisiaj czuje. Zobaczmy, czy Billy chce się z tobą pobawić, dobrze?

- Dobrze - w głosie Sierry wciąż pobrzmiwała troska. - Boli cię brzuszki?

- Tak - Jamie jeszcze mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy. Wcale nie skłamała. - Sądzę, że dobrze mi zrobi, jeśli się przez chwilę zdrzemnę.

Zatrzymały się na podjeździe i szybkim krokiem weszły do domu. Sierra kręciła się przy niej, gdy ta wybierała numer sąsiadki, niepracującej matki trojga dzieci. Kobieta sama zaproponowała, że zaopiekuje się Sierrą. Jamie potwierdziła, że owszem, widziała telewizyjne wiadomości, ale nie wie, co słyhać u Jake'a.

- Potrzebuję kilku godzin.... - powiedziała drżącym głosem - żeby się upewnić, że nic mu nie jest.

- Och, Jamie, oczywiście - sąsiadka wiedziała, o co chodzi. - Przeprowadź tutaj Sierrę.

Dwie minuty później Jamie była z powrotem w domu. Nie chciała patrzeć na potworne sceny w telewizji, ale było to jedyne źródło informacji, dzięki któremu mogła uzyskać szczegóły dotyczące losu i liczby rannych strażaków. Już zamierzała włączyć odbiornik, gdy kątem oka zobaczyła migającą lampkę automatycznej sekretarki.

Jake musiał do niej dzwonić. Pewnie nic mu nie jest i przebywa gdzieś z dala od World Trade Center, pomagając innym potrzebującym. Podbiegła do urządzenia. Na obudowie mrugała czerwona trójka. Trzy wiadomości. Wstrzymując oddech, Jamie włączyła odtwarzanie.

Wszystkie trzy wiadomości zostawił Jake, dzwoniąc z telefonu komórkowego. W pierwszych dwóch zawiadamiał, że za parę minut

zadzwoń ponownie. Gdy włączyła się trzecia, Jamie odruchowo zacisnęła palce na oparciu krzesła.

- Cześć, to znowu ja - Jake mówił pogodnym głosem. - Wygląda na to, kochanie, że zaraz nas wezwą. Wszystko będzie dobrze, Jamie. Kocham cię. Obiecuję, że wrócę na kolację. Bóg będzie mnie miał w swojej opiece. Ach, no i przecież mój anioł stróż... nie zapominajmy o nim. - przez chwilę jakby się zawahał i w dalszej części nagrania jego głos wydawał się brzmieć poważniej. - To do zobaczenia wieczorem, OK? Aha, i oczywiście powiedz Sierrze, że ją kocham.

Jamie spojrzała na automatyczną sekretarkę i cały pokój wokół niej zawirował. Wcisnęła przycisk jeszcze raz i ponownie odsłuchiwała wiadomość, szukając w głosie męża śladów zmartwienia czy jakiegoś przeczucia niebezpieczeństwa. Nic z tego. Bicie serca znowu zagłuszyło pozostałe zmysły i przez chwilę chciała wypaść przez drzwi i biec przed siebie jak najszybciej, byle tylko upewnić się, że to nie dzieje się naprawdę. World Trade Center nie zostało zaatakowane i nie zaważyło się. Jednostka Jake'a nie otrzymała wezwania z bliźniaczych wież. Ale teraz bieganie nie zdałoby się na nic.

Jamie przeszukała kuchnię, rozpaczliwie zastanawiając się, do kogo by tu zadzwonić. Jej wzrok padł na figurkę, którą trzy dni wcześniej pomalowała specjalnie dla Jake'a. Ceramiczną figurkę strażaka z aniołem stróżem. Ale aniołów w rzeczywistości nie ma, a sposób przekonania się, czy Jake żyje, był tylko jeden. Musiała osobiście pojechać na miejsce tragedii.

Jamie porwała ze stołu torebkę i klucze i biegiem ruszyła do samochodu. Osiem minut później utknęła w olbrzymim korku na ulicy prowadzącej do przystani promu. Policjanci gestami nakazywali kierowcom zawracać, mówiąc przy tym coś, czego Jamie nie mogła w pełni zrozumieć. Opuściła boczną szybę i wtedy niespodziewanie to zobaczyła: jednej z wież World Trade Center nie było! To nie był żart ani mistyfikacja. To zdarzyło się naprawdę. Okrutnie zeszpecona panorama miasta sprawiała groteskowe wrażenie.

Południowa Wieża World Trade Center całkowicie zniknęła. W jej miejscu wznosił się na wysokość dwudziestu kilku pięter potężny słup dymu i popiołu. Drugą wieżę wciąż trawił pożar.

Do Jamie podszedł policjant:

- Niestety, musi pani stąd odjechać.

- Muszę odszukać męża! Jest strażakiem na Manhattanie.

- Przykro mi - twarz funkcjonariusza była ściągnięta i blada. - Nikomu nie wolno wjeżdżać do miasta. Zarząd Portów zamknął wszystkie drogi dojazdowe. Jedyne czynny prom odpływa z Manhattanu, ale nie zabiera pasażerów w drugą stronę.

- Ale mój mąż nie pojechał tam dziś samochodem - Jamie przeniosła wzrok z policjanta na wciąż stojącą i spowitą dymem Północną Wieżę. - Przy tym całym zamieszaniu wokół World Trade Center nie uda mu się dostać na przystań promową, a co jeśli...

- Proszę pani... - policjant uniósł rękę i czekał aż Jamie na niego spojrzy. Jego głos brzmiał stanowczo: - Nikogo nie wpuszczamy do miasta. Nikogo!

Nagle wyraz jego twarzy złagodniał.

- Proszę wrócić do domu i spróbować zadzwonić do remizy męża. Może tam coś wiedzą.

Jamie zastanawiała się, co by było, gdyby nie posłuchała policjanta, staranowała szlaban i wjechała na prom. Myśl ta jednak uleciała równie szybko, jak się pojawiła. Łamanie prawa nie pomoże Jake'owi. Poza tym policjant miał rację. Powinna wrócić do domu i zadzwonić do remizy. Może Jake i Larry wciąż tam byli, czekając na wezwanie. Może zostali na miejscu jako obsada remizy.

Nie powiedziała już nic. Zamiast tego rzuciła ostatnie spojrzenie na miejsce tragedii po drugiej stronie zatoki i pospiesznie wróciła do domu. Ledwie weszła, zadzwoniła do remizy.

Usłyszała nagraną na taśmę wiadomość: „Połączenie nie może zostać zrealizowane. Proszę spróbować później”.

- Nie! - Jamie krzyknęła do słuchawki i z trzaskiem odłożyła ją na widełki. A może Jake wziął ze sobą komórkę? Strażacy, jadąc na akcję, zazwyczaj nie brali ich ze sobą, ale może akurat tym razem... Jamie jeszcze raz złapała za słuchawkę i wystukała numer.

„Abonent jest chwilowo niedostępny”. Komputerowy głos brzmiał dziwnie radośnie, jak gdyby należał do jedynej szczęśliwej osoby w całym Nowym Jorku, całkowicie nieświadomej tego, co wydarzyło się dzisiejszego poranka.

Nagle Jamie przypomniała sobie o Sue. Jeżeli ktoś się czegoś dowiedział, to na pewno żona Larry'ego. Jamie знаła ich numer na pamięć, więc wystukała go błyskawicznie. Sue odebrała po pierwszym dzwonku.

- Halo? - w jej głosie w równym stopniu pobrzmiwały nadzieja i panika.  
- Kto mówi?

- Sue, to ja, Jamie.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Zadzwoiłam na informację straży. Nic tam nie wiedzą - Sue zawiesiła głos i pociągnęła nosem. - Mamy... czuwać przy telefonie i czekać na wiadomość. Ktoś się z nami skontaktuje, gdy tylko czegoś się dowiedzą.

Brownie podbiegł do Jamie i polizał ją po palcach. Jamie odruchowo przeczesła dłonią jedwabistą sierść psa i skierowała się w stronę najbliższego krzesła. Zamknęła oczy, bojąc się zadać pytanie, które przecież musiało paść. Śmiertelnie przerażała ją sama myśl o tym, że Sue może znać odpowiedź.

- Sue...

- Och, Jamie... czuję się, jakby to był koniec świata.

- Sue... - pokój znowu zawirował. - Czy nasi chłopcy tam pojechali?

- Tak.

W słuchawce słychać było szloch.

- Wóz Gaśniczy 57 pojechał na wezwanie do... południowej Wieży...

- Południowej Wieży?! - Jamie zacisnęła mocno powieki. Nawet siedząc na sofie, z trudem utrzymywała równowagę. Brownie zaczął skomleć. - Jesteś pewna?

- Tak, ale to... to nie znaczy, że zginęli w rumowisku. Wielu zdołało się uratować - Sue wzięła trzy szybkie oddechy. - Musimy wierzyć, że wyszli z tego cało.

- Ale co mamy robić? - Jamie otworzyła oczy, ale wciąż widziała tylko Południową Wieżę World Trade Center znikającą w gigantycznej chmurze pyłu. Wciąż ten sam powtarzający się obraz.

- Rozłącz się teraz i czekaj cierpliwie. Ktoś do nas zadzwoni, gdy tylko ich znajdą.

Jamie wplotła palce we włosy. Musiała wziąć się w garść.

- OK.

Sue miała rację. Chłopakom nic się nie stało. Na pewno. Przez szcękające zęby ledwie zdołała powiedzieć:

- D-d-dobry pomysł...

Odłożyła słuchawkę i powolnym, sztywnym krokiem jak robot podeszła do telewizora. Patrzyła teraz na obraz, który widziała, stojąc przy przystani promowej. Jedna wieża wciąż się paliła, drugiej nie było.

Telewizyjny reporter znajdował się na miejscu tragedii, zaledwie kilka przecznic od World Trade Center. Twarz miał pobrudzoną, a jego marynarkę pokrywała gruba warstwa pyłu.

- ... według doniesień w chwili zawalenia budynku ponad stu strażaków mogło wciąż przebywać w Południowej Wieży - dziennikarz usiłował przekrzyczeć hałas panujący na ulicy. - Najwyraźniej nie zostali ostrzeżeni, że budynek może zaraz runąć...

Jamie zamrugła oczami, a dźwięk dochodzący z telewizora przycichł. Ponad stu strażaków? Ponad stu?! To niemożliwe. Z jednostki Jake'a mogło tam pojechać aż osiemnastu ludzi, w tym Jake i Larry. Zarówno dzienna, jak i nocna zmiana. Jamie poczuła wzbierającą falę mdłości i złapała się za żołądek. Stu strażaków! To było nie do pomyślenia, to wprost nie mieściło się w głowie.

Wyobrazila sobie Jake'a i Larry'ego spieszących po schodach na ratunek wszystkim potrzebującym pomocy. Jeśli ktoś został w budynku, to z pewnością oni! A to może oznaczać tylko jedno... Jamie podniosła się i ruszyło w poprzek pokoju ku telewizorowi. Niemożliwe, żeby Jake tam był, na pewno zdołał się wydostać tak jak zawsze. Ale z drugiej strony, jeśli w budynku było stu strażaków...

Położyła dłoń na zakurzonej ekranie, nakrywając rozmyty obraz dymu i pyłu unoszącego się nad rumowiskiem.

- Jake! - zawołała, a jej krzyk odbił się od ścian pokoju. - Jake... nie! Nie!!!

Po czym, wciąż trzymając dłoń na zimnym szkle ekranu i delikatnie dotykając miejsca, w którym mógł być Jake, powoli osunęła się na podłogę. Po raz pierwszy tego poranka Jamie rozplakała się.

\* \* \*

W Los Angeles Laura Michaels była na granicy wytrzymałości. Posłuchała Murphy'ego i czekała ponad godzinę na telefon od Erica. Gdy zawałiła się Południowa Wieża tuż po dziesiątej czasu nowojorskiego, szybko obliczyła: zakładając, że na przejście jednego piętra potrzeba minutę, Ericowi ledwie starczyło czasu na ucieczkę z budynku. Teraz było już wpół do jedenastej, siódma trzydzieści na Zachodnim Wybrzeżu, a Eric ciągle nie dzwonił.

Dla zabicia czasu Laura skupiła całą energię na pomaganiu Joshowi w przygotowaniach do wyjścia do szkoły. Chciał iść na zajęcia i nie było sensu, żeby zostawał w domu. Gdyby wieści o Ericu okazały się

niepomyślne, Laura wolałaby przekazać je synowi dopiero po tym, jak sama oswoi się z wiadomościami. Poza tym szkoła dobrze mu zrobi; lepiej, żeby tam poszedł, niż miałby przez cały dzień siedzieć przed telewizorem, słuchając relacji reporterów i oglądając pokazywane na okrągło przerażające obrazy z Nowego Jorku.

Laura wyciągnęła z lodówki bochenek białego chleba, kawałek żółtego sera i kartonik soku. Obracając go w dłoniach, poczuła mdłości. Zerknęła na zegar na kuchence mikrofalowej. Siódma trzydzieści trzy. Rozpakowawszy chleb, wyjęła dwie kromki i położyła je na papierowym ręczniku. „Oddychaj, Lauro... oddychaj”. Jedną kromkę posmarowała masłem orzechowym, a drugą dżemem borówkowym.

Josh stał tuż obok ubrany w niebieski podkoszulek i spodnie od dresu. Włosy miał starannie uczesane. Odkąd zobaczył pożary w telewizji, ani razu nie zapytał o Erica.

- Mamo, boisz się?

Przeszedł na drugą stronę kuchni, wziął z szafki paczkę krakersów serowych i rzucił je na ladę kuchenną obok kanapek. Laura ponownie popatrzyła na zegar. Siódma trzydzieści pięć. Obróciła się i spojrzała na syna. O co ją właśnie zapytał? Aha, czy się boi.

- Tak - odpowiedziała, wsuwając kanapkę do plastikowej torebki. Ręce jej się nie trzęsły, ale serce ścisnął niepokój, który sprawiał, że czuła się jak ktoś stojący nad krawędzią przepaści. Oparła się o ladę i dodała: - Chyba się boję.

- Tata jeszcze nie dzwonił? - Josh otworzył pudełko na drugie śniadanie i zaczął wkładać do niego kanapki.

- Nie - sięgając po serwetkę i kładąc ją obok pojemnika, Laura próbowała odczytać uczucia dziecka. - Jeszcze nie - powiedziała, odwracając oczy. Siódma trzydzieści siedem.

„Boże... dlaczego on nie dzwoni? Panie, pomóż mu się do mnie dodzwonić...”.

Josh zamknął pudełko i wyjrzał przez okno. Laurze zrobiło się żal syna. Musi myśleć o wydarzeniach w Nowym Jorku, inaczej o nic by nie pytał. Ale jego oczy były pozbawione wyrazu. Czyżby nie dopuszczał do siebie myśli, że jego ojcu mogło się coś stać? A może tak naprawdę wcale nie był z tego powodu zmartwiony albo, co gorsza, taki brak reakcji świadczył o tym, że Josh nie odczuwał żadnej więzi z ojcem.

Laura odeszła od lady i przeszła na drugą stronę kuchni, po czym położyła ręce na ramionach syna.

- Zadzwoń. Lada chwila, zobaczysz. Josh zamrugał oczami.

- A jeśli nie zadzwoni, czy to znaczy, że nie żyje?

- Josh! - powiedziała to głośniej niż chciała. Spuściła ręce i stała tak z ustami otwartymi ze zdumienia. - Nie mów tak! Jestem pewna, że się uratował. Po prostu chwilowo może nie mieć możliwości skontaktowania się z nami.

Syn przyglądał się jej przez kilka sekund, po czym z całkowicie wyczutym z emocji wyrazem twarzy wziął pudełko ze śniadaniem, przeszedł do frontowego pokoju i usiadł przy oknie.

- Co robisz? - Laura poszła za nim.

- Czekam na autobus - w tonie głosu Josha pobrzmiwała teraz złość i Laura poczuła, że coś ją ściska za serce.

Usiadła tuż przy synu i powiedziała:

- Josh, przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam. To tylko... - głos załamał jej się w gardle i po raz pierwszy tego ranka do oczu napłynęły łzy. - Muszę wierzyć, że zadzwoni. Rozumiesz mnie, prawda?

Josh obrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- A kogo to obchodzi? - podbródek chłopca trząsał się, ale jego oczy były suche i zdeterminowane. - Nawet się ze mną nie pożegnał.

Słowa te zaboląły Laurę bardziej niż wszystko, co usłyszała tego dnia, bardziej niż poranny telefon od Erica, bardziej niż wieści o uderzeniu samolotu w budynek, w którym pracował. Oto potwierdziły się jej podejrzenia. Lata milczenia i zmarnowanych szans, długa lista niedotrzymanych obietnic i miesiące nieobecności zniweczyły wszelkie nadzieje na jakąkolwiek więź między jej mężem a ich synem. Niezależnie od tego, czy Erie wróci do domu, czy nie, Josh nie miał ojca. A winę za to ponosił wyłącznie Erie.

Laura pozwoliła, by cały żal wylał się z jej serca. Przytuliła syna i zanurzyła twarz w jego włosach tak, że łzy spływające z jej oczu wsiąkały w blond czuprynę chłopca.

- Josh... tak mi przykro. Tata cię kocha. Czują, jak z Josha ulatuje gniew, ale gdy go puściła, jego oczy nadal były suche.

- Wiem, mamo. Nie chciałbym, żeby tacie coś się stało. Przepraszam, że cię zdenerwowałem - powiedział, posyłając jej smutny, skrzywiony

uśmiech, który pasował raczej do kogoś o wiele starszego. - Za chwilę zadzwoni.

Przed domem zatrzymał się szkolny autobus i Laura westchnęła.

- No, wsiadaj.

Oboje wstali i Josh pocałował ją w policzek.

- Kocham cię, mamó. Do zobaczenia po szkole.

- Też cię kocham, pa.

Patrzyła, jak wychodzi, prosząc Boga, by gdy Erie wróci do domu - a przecież wróci - udało im się porozmawiać o ich problemach i znaleźć sposób ich rozwiązania. Josh potrzebował ojca, który znajdzie dla niego czas, zainteresuje się jego treningami piłki nożnej i wynikami w szkole. A przede wszystkim potrzebował, by Erie powiedział mu, że go kocha.

Laura wróciła do kuchni i po raz kolejny zerknęła na zegar. Siódma czterdzieści jeden. Usiadła przy telefonie i wpatrywała się w słuchawkę. „No, Erie... zadzwoń. Boże, każ mu do mnie zadzwonić. Proszę...”.

Nagły dzwonek przerwał cichą modlitwę. Zaskoczona Laura aż podskoczyła i przez chwilę gapiła się na aparat. Zadzwonił dwa razy, zanim podniosła słuchawkę.

- Halo?

Wstrzymała oddech, pewna, że za moment usłyszy głos Erica.

- Lauro, to ja.

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, tak wielka była jej ulga. „To Erie! Wyszedł z tego żywy!”. Zaledwie jednak myśl ta przemknęła jej przez głowę, pojawiły się wątpliwości. Jeśli to Erie, dlaczego w tle jest tak cicho? Przecież wciąż musiał być w samym centrum Man...

- Lauro, tu Clay. Jesteś tam? Laura zdławiła szloch.

- Ja... myślałam, że to Erie.

- Właśnie się obudziłem. Lauro... oglądasz telewizję? - Clay miał głos spięty i niespokojny. - Erie tam był, prawda? W Word Trade Center?

- Tak. Dzwonił do mnie tuż przed... - Laura straciła panowanie nad sobą i załkała do telefonu - ... tuż przed uderzeniem drugiego samolotu.

- A od tego czasu? Miałaś od niego jakieś wiadomości?

- Nie - wzięła kilka szybkich wdechów i mroczki zatańczyły jej przed oczami. Musiała wypuścić powietrze. Zmuszała się, by zachować spokój.

- Lauro... dobrze się czujesz?

Dwoma palcami złapała się za nasadę nosa.

- Czekam... czekam na telefon od Erica.



Clay głośno nabrał powietrza. W jego głosie wyraźnie dało się wyczuć strach.

- Nie powinnaś teraz być sama. Zaraz przyjadę. Clay miał rację. Potrzebowała kogoś, kto by ją

przytulił i zapewnił, że wszystko będzie dobrze; kogoś, kto kochał Erica równie mocno jak ona.

- Tak, Clay. Proszę, przyjedź jak najszybciej. To czekanie mnie wykańcza.

\* \* \*

Jamie siedziała nieruchomo przed telewizorem przekonana, że lada moment zadzwoni do niej ktoś ze straży pożarnej i powie, że wszystko jest w porządku. Nagle na ekranie pojawił się nadawany na żywo obraz płonącej Północnej Wieży. Jamie słyszała dobiegające z oddali krzyki i wycie syren, i wtedy - niemal surrealistycznie, w zwolnionym tempie - zewnętrzne ściany budynku rozchyliły się i cały gmach zaczął się walić. W ciągu kilku sekund wieżowiec zniknął w chmurze dymu i popiołu, która błyskawicznie rozprzestrzeniła się po ulicach Manhattanu, zmuszając kamerzystę do ucieczki.

Jamie poczuła wszechogarniające przerażenie. Jeżeli pod gruzami Południowej Wieży zginęła setka strażaków, to...

Zerwała się na nogi, wiedząc, że ma tylko kilka sekund. Puściła się pędem przez pokój, gwałtownym ruchem otworzyła drzwi do łazienki i pochyliła nad muszlą klozetową. Wraz z każdym skurczem żołądka, modliła się tylko o jedno: „Boże, proszę... tylko nie Jake!”.

Skończyła wymiotować, wytarła usta i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Twarz miała bladą i ściągniętą, jakby wykutą w kamieniu. Jak gdyby przez tych kilkadziesiąt minut postarzała się o kilkanaście lat. W tym samym momencie zdała sobie sprawę ze zmiany, która zaszła w jej wewnętrznej postawie. Ustąpiło podenerwowanie, które odczuwała do chwili zawalenia się Północnej Wieży. Nie było już pożaru do ugaszenia ani ludzi, których trzeba ewakuować. Zostały dwie możliwości: albo Jake był w jednym z budynków, albo go tam nie było. Jeśli zdołał pozo stać na zewnątrz, z pewnością się uratował. Jeśli jednak był w którymś z bliźniaczych wieżowców...

Strach położył swe zimne palce na gardle Jamie i zacisnął je.

- Nie - wyszeptwała, wzdrygając się na myśl, która właśnie zrodziła się w jej głowie. - Tylko nie Jake. Proszę, tylko nie on.

Nie miała na nic wpływu, mogła tylko siedzieć przy telefonie i czekać. Nie była w stanie oddychać pełną piersią, nie mogła też zmusić serca, by zwolniło. Powłócząc nogami, wyszła z łazienki i przysunęła krzesło jak najbliżej aparatu telefonicznego. Gdzieś w tle słychać było włączony telewizor, a Brownie od czasu do czasu skomlał cichutko. Jednak do Jamie nic nie docierało. Liczył się dla niej tylko jeden dźwięk, który pozwoli jej wyrzucić z siebie strach: dzwonek telefonu i głos w słuchawce informujący ją, że Jake'owi nic się nie stało.

Wpatrywała się w słuchawkę, niezdolna do skupienia się na niczym innym, niezdolna nawet poruszyć powieką. Doczeka się tego telefonu, musi tak być. Jake z pewnością znalazł jakiś sposób, by uratować siebie samego i Larry'ego też. Telefon zadzwoni lada moment i wieczorem będą sobie opowiadać o wszystkim, co im się przydarzyło. Zamówią chińszczyznę na wynos, a Jake będzie mógł godzinami wozić Sierę na koniku, jeśli tylko będzie miała na to ochotę. Potem będą się kochać i przytulać, wdzięczni za to, że nic mu się nie stało. Wszystko będzie dobrze. Musi być dobrze! Przecież Jake jej obiecał, a jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby Jake Bryan złamał raz daną obietnicę.

RS

## Rozdział 13

11 września 2001, godz. 10.33

W powietrzu wciąż unosił się gęsty pył, ale kapitan Aaron Hisel nie zważał na to.

Był pięćdziesięciodwuletnim weteranem, cierpiał na łagodną astmę, ale zupełnie się tym nie przejmując, zamierzał powrócić na miejsce wybuchu, choćby nawet miało go to zabić. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że pod stertą ruin uwieczonych zostało mnóstwo strażaków i cywili. Większość z nich zapewne już nie żyła, ale - pomimo rozmiarów katastrofy - ktoś jednak mógł się uratować. Liczyła się każda sekunda i kapitan Hisel zdecydowany był dotrzeć na miejsce, w którym jeszcze przed godziną stały budynki World Trade Center.

Ostatnie sześćdziesiąt minut składało się z serii koszmarnych wydarzeń, z których żadne jeszcze do niedawna nie wydawało się - choćby w przybliżeniu - prawdopodobne.

Przybywszy na miejsce, kapitan Hisel wbiegł ze strażakami z Drabiny 96 na dwunaste piętro, gdzie napotkali grupę niepełnosprawnych pracowników oczekujących pomocy w jakimś pomieszczeniu biurowym. Udało im się wynieść inwalidów na plecach do stojącego na zewnątrz autobusu, który miał ich odtransportować na bezpieczną odległość od World Trade Center. Właśnie umieszczali ludzi w autobusie, gdy Południowa Wieża runęła.

- Uciekać! - wrzasnął z całych sił Hisel i cały jego oddział wtoczył się do pobliskiej kafejki.

- W tym budynku są nasi ludzie! - krzyknął jeden ze strażaków, gdy rzucili się pod stoły. - Cała jednostka!

Ogłuszający huk przeszył Hisela na wskroś. Gdy wreszcie umilkł, kapitan policzył w myśli swoich ludzi: doliczył się każdego z ośmiu strażaków z Drabiny 96. Pomoc, którą przynieśli niepełnosprawnym pracownikom, ocaliła im życie.

- Dobrze - rzucił krótko - chodźmy poszukać naszych chłopaków.

Zakrywając usta uniesioną w górę koszulą, poprowadził oddział do szturm na ruiny Południowej Wieży. Wszędzie panował jednak taki chaos, że niepodobna było się tam przedrzeć. Minęło dwadzieścia minut, zanim dotarli do West Street. Właśnie wtedy rozległo się ostrzeżenie: zaraz runie Północna Wieża!

Kapitan Hisel i jego ludzie znów rzucili się do ucieczki, tym razem znajdując schronienie w małej kwiaciarni. Chwilę później poczuli, jak ziemia drży, i usłyszeli ten sam, trudny do zapomnienia huk. Impetu walącego się gruzu i odłamków nie dało się porównać do czegokolwiek, co Hisel widział w całej swej długiej karierze strażaka. Przypomniało mu to oglądaną kiedyś w telewizji relację z przejścia huraganu Andrew. Tyle, że to, co się działo tutaj, było jeszcze gorsze, bardziej podobne do wybuchu bomby atomowej: w powietrzu latały masy pokruszonego betonu, kawałki szkła, fragmenty ścian oraz samochody. Nawet wewnątrz sklepu, w którym się schronili, siła wybuchu przygniotła ich do ziemi. W pewnej chwili przeleciało obok nich ludzkie ciało...

Potem powoli powietrze oczyściło się na tyle, że można było dostrzec drugą stronę ulicy. Hisel, jeszcze raz zliczywszy swoich ludzi, polecił im dobrać się parami.

- Jest tak ciemno, że można się pogubić - Hisel nigdy nie warczał na ludzi jak Maxwell, ale teraz bardzo chciał, by jego polecenia brzmiały stanowczo. Zakaszał dwa razy. - Gruz jest niestabilny. Mogą w nim być ukryte dziury, niektóre głębokie na pięć, dziesięć metrów albo nawet i więcej. Pamiętajcie też, że nadal płonie paliwo z samolotów.

Nie musiał mówić im rzeczy oczywistych. Liczba ofiar śmiertelnych wśród strażaków na pewno była ogromna.

Ponownie zmierzali teraz w kierunku West Street, gdzie godzinę temu zaparkowali swoje wozy. Hisel starał się nie patrzeć poprzez kłęby dymu w miejsce, gdzie kiedyś rysowały się wieże World Trade Center. Patrząc pod nogi, pewnie prowadził swój oddział poprzez labirynt ruin i zdewastowanych samochodów. Wszystko wokół, nawet ludzkie ciała, pokrywała gruba na jakieś pięć centymetrów warstwa szarobiałego popiołu podobnego do szlamu. Jeśli Maxwell i jego ludzie z „pięćdziesiątki siódemki” przeżyli, to zdarzył się prawdziwy cud.

Dotarli wreszcie do stóp góry gruzu. Powietrze było zamglone, dookoła leżały pogniecione auta... Hisel nie miał najmniejszych wątpliwości: ta sterta pokruszonego betonu i szkła oraz pogniecionej stali to jedyne, co pozostało z Południowej Wieży World

Trade Center. Wydał ludziom polecenie, by rozproszyć się parami.

- Pamiętajcie, co mówiłem - skinął ku nim głową i odkaszlnął. - Bądźcie ostrożni, uważajcie na siebie nawzajem. Mamy tam wejść, znaleźć naszych i wrócić do remizy. Wszyscy, co do jednego!

Wyruszyli. Hisel pomyślał przez chwilę o tym, co powiedział. Bez względu na to, co widzieli przed sobą, musiał wierzyć, musiał mieć nadzieję...

Skinał na jednego ze stażystów, Joego Landersa, i we dwóch ruszyli wzdłuż West Street.

- Trzeba odnaleźć wozy - znowu się rozkaszał - na wypadek, gdyby ktoś z chłopaków zdołał tam wrócić.

Landers skinął głową, patrzył uważnie pod nogi. Hisel kaszłał coraz bardziej. Gryzący dym rozsadzał mu płuca, w ustach czuł smak popiołu. Zatrzymał się i zgiął wpół, z trudem łapiąc oddech. Jeśli nie znajdzie jakiegoś sposobu, by filtrować powietrze, będzie musiał zawrócić.

- Wszystko w porządku, kapitanie? - Landers okrywał usta koszulą.

- Tak... - Hisel ponownie tak mocno zaczął kaszleć, że aż poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. - Zwolnijmy trochę.

Dlaczego wcześniej nie pomyślał, żeby przykryć czymś usta? Jednym ruchem rozdarł koszulę i naciągnął sobie na nos i usta podkoszulek. Wreszcie mógł oddychać. Ruszyli dalej.

Szli w gęstym, zadymionym powietrzu. Wzdłuż ulicy widzieli pojazdy strażackie, w większości nienadające się już do użytku. Żaden z nich jednakże nie należał do Wozu Gaśniczego 57 lub Drabiny 96. Po jakimś czasie Hisel zauważył w oddali dwa wozy. Jeden był zgnieciony na placek, ale drugi stał nietknięty!

- To nasz sprzęt, nie? - przyspieszył kroku.

- Tak! - Landers podążył za nim podekscytowany. - Na to wygląda.

Hisel już miał krzyknąć na całe gardło, by przekonać się, czy ktoś go usłyszy, gdy spostrzegł, jak pod mniej zniszczonym samochodem coś się porusza.

- Widział pan? - Landers zatrzymał się i wpatrywał w miejsce, gdzie widać było nieznaczny ruch.

Byli jeszcze o jakieś trzydzieści metrów od wozu, gdy wyczołgał się spod niego mężczyzna i usiłował się podnieść na kolana.

Hisel i Anders podbiegli do niego, usilnie próbując rozpoznać jego twarz. Już o jakieś pięć metrów od mężczyzny kapitan na chwilę się zatrzymał.

- Jake Bryan? - kapitan Hisel odchylił głowę i wykrzyknął z radością - Tak, Jake Bryan!!! Żyjesz!!!

Mężczyzna zamrugał powiekami i zachwiał się na nogach. Cały pokryty był popiołem, głowa mu krwawiła, a większą część twarzy pokrywały po-

parzenia i podrapania. W dodatku nie miał butów. Kombinezonu też nie, ale Hisel i tak był pewien, że to Jake.

- Hej, JB! - Anders podbiegł do niego pierwszy. - Gdzie inni?

- Co...? - Jake potoczył wokół nieprzytomnym spojrzeniem. Usiłował stać, więc Hisel chwycił go mocno za ramię.

- Spokojnie, JB... powoli...

Jake chciał zrobić krok, ale natychmiast ugięły się pod nim kolana i omal nie upadł. Hisel delikatnie ułożył go na ziemi i zbadał mu puls - był słaby i szybki.

- Potrzebuje lekarza.

- Uraz głowy - Landers nachylił się nad Jakiem.

- Jeśli nie więcej - Hisel wskazał Landersowi na stojącą nieopodal maszynę. - Sprawdź wóz. Zobacz, czy nie ma jeszcze kogoś pod spodem albo w kabinie. Brakuje nam ośmiu ludzi.

Landers pobiegł w stronę wozu strażackiego, a Hisel uniósł powieki Jake'a i zbadał jego źrenice. Były jednakowej wielkości, ale zbyt rozszerzone, nawet jeśli wziąć pod uwagę kłęby dymu, w których się znajdowali.

- JB, słyszysz mnie?

Jake nie poruszył się, był nieprzytomny. Jego obrażenia były na tyle poważne, że mógłby nie przeżyć, nie otrzymawszy szybko pomocy.

Powrócił Landers i spojrzał na Hisela.

- Nie ma tam już nikogo, panie kapitanie. Ani jednej osoby - zameldował bez tchu, rzucając spojrzenie na Jake'a. - Co z nim?

- Kiepsko. Pomóż mi - Hisel przykucnął i uniósł rannego tak, by móc go nieść wraz z Landerssem w pozycji „na krzeselku”. Landers szybko zajął miejsce po drugiej stronie rannego.

Wolną ręką Hisel podtrzymał podkoszulek osłaniający mu twarz. Gdy przedzierali się z powrotem wzdłuż West Street zakaszlał tylko dwa razy. Wreszcie znaleźli wolną karetkę. Dostrzegło ich dwóch sanitariuszy, którzy natychmiast podbiegli z noszami.

- Gdzie go znaleźliście? - zapytał jeden z nich, pomagając Hiselowi i Andersowi umieścić Jake'a na noszach.

- To strażak, Jake Bryan z Wozu Gaśniczego 57 - Hisela kłuło w boku, ale w życiu nie czuł się lepiej. Był pewien, że jeśli JB szybko otrzyma pomoc, uda mu się przeżyć.

Z zawodową sprawnością sanitariusze przypięli Jake'a do noszy i założyli mu kroplówkę.

- Znam go, byliśmy razem w wielu akcjach - sanitariusz spojrzał na Hisela. - A gdzie jego kumpel, Larry?

- Nie znaleźliśmy go. Reszta załogi Wozu Gaśniczego 57 nie... - Hisel urwał i wsunął ręce do kieszeni. Nagle do niego dotarło, że jeśli ludzie, których wysłał na poszukiwania, nie odnaleźli nikogo, mogło to oznaczać, że tamci nie żyją. Ośmiu strażaków z tej samej remizy... Jeszcze bardziej przygnębiało przypuszczenie, że podobnych strat musiały doświadczyć także inne remizy na Manhattanie. Hisel nie chciał na razie myśleć o ogromie strat, jakie poniosła straż pożarna. Odchrząknął, ale i tak nie był w stanie wydobyć głosu.

Podszedł Landers i dokończył jego myśl:

- Reszta się nie odnalazła. Szukają ich inne jednostki straży. W ten sposób znaleźliśmy JB.

Sanitariusze umieścili nosze z Jakiem w karetkce. Jeden wsiadł z tyłu obok pacjenta, drugi - zamknąwszy drzwi - zajął miejsce za kierownicą.

- Będzie w Mount Sinai Medical Center - zawołał, wsiadając. - Niech ktoś zawiadomi jego żonę.

Hisel i Landers przez chwilę patrzyli za oddalającym się z rykiem syreny ambulansem. Gdy dźwięk syreny ucichł w oddali, Landers westchnął głęboko.

- Zna pan jego żonę?

- Jamie? - Hisel miał zdławiony głos. Wydarzenia całego dnia zaczynały do niego docierać z całą wyrazistością, a jego serce coraz mocniej ścisnęło zimne jak lód kleszcze. Nie był człowiekiem łatwo się roztkliwiającym, nie posiadał też łatwości wyrażania uczuć, ale tutaj, stojąc w popiołach World

Trade Center, w obliczu śmierci setek strażaków odczuwał dziwne pragnienie, by zaszyć się w jakimś kącie i po prostu gorzko się rozplakać. Było to, rzecz jasna, niemożliwe: akcja ratownicza nadal trwała. Powoli wypuścił powietrze z płuc, próbując się uspokoić. - Jasne, że ją znam.

- No, tak... - przez chwilę wyglądało na to, że Landers też ma ochotę się rozplakać. Nie zrobił tego jednak. Podobnie jak kapitan odetchnął tylko głęboko i potrząsnął głową. - Dziś w nocy, gdy nie będę mógł usnąć, rozmyślając o wszystkich tych ludziach, którzy tutaj zginęli, pomyślę o Jamie Bryan. Trzeba będzie zadzwonić do wielu żon i powiedzieć im, że ich mężowie zginęli. Ale nie do Jamie.



Landers miał rację. Trzeba natychmiast skontaktować się z centralą. Ludzie na pewno szaleją z niepokoju, próbując się dowiedzieć, kto przeżył, a kto zaginął. Kapitan wyciągnął z tylnej kieszeni radio i nacisnął kilka guzików.

- Mówi kapitan Aaron Hisel z Drabiny 96. Wszyscy nasi ludzie żyją i przetrzysają teraz ruiny w poszukiwaniu tych, którym udało się przeżyć - zawiesił głos. - Trzeba zawiadomić ich żony, że nic im się nie stało.

Na linii pojawiły się zakłócenia i Hisel musiał zasłonić drugie ucho ręką, żeby usłyszeć słowa dyspozytora.

- Przepraszam, nie dosłyszałem... Zadzwońmy do nich - tym razem głos zabrzmiał wyraźnie. - A co z Wozem Gaśniczym 57 z waszej remizy? Przydzielili im sześćdziesiąte pierwsze piętro w Południowej Wieży, zgadza się?

- Tak - Hisela aż ścisnęło w żołądku. Ośmiu ludzi, wszyscy jego koledzy byli na wysokości ponad sześćdziesięciu pięter w chwili wybuchu. Ciężko to sobie wyobrazić. - Większości brak, ale właśnie znaleźliśmy Jake'a Bryana w pobliżu wozu strażackiego na West Street. Był sam, więc nie wiemy, co się stało z pozostałymi.

- Dzwonią do nas setki ludzi. Dajcie znać, jak tylko dowiecie się czegokolwiek.

- Jasne. A na razie mam prośbę...

- Dawaj! - szybko odpowiedział dyspozytor.

- Sprawdź dane Jake'a Bryana i dopisz numer jego żony do listy ludzi, do których trzeba zadzwonić - Hisel zastanowił się przez chwilę. - Albo nawet zadzwoń do niej w pierwszej kolejności. Musi przyjechać do szpitala.

- Zaraz to zrobię.

W głosie mężczyzny kapitan słyszał radość. Tego ranka dobre wieści były na wagę złota, a ta wiadomość była bardzo dobra. Kiedy się rozłączyli, pojedynczy promień światła przedarł się przez ciemną chmurę dymu i popiołu, i przez ciemność spowijającą większą część Manhattanu. Za kilka minut Jamie Bryan dowie się... Dowie się, że chociaż świat dotknął dziś potężny cios, jej część pozostała nienaruszona.

\* \* \*

Dźwięk syren wdzierał się w najdalszy zakątek mózgu. Jake otworzył szeroko oczy i rozejrzał się. Znajdował się wewnątrz jakiegoś szybko poruszającego się pojazdu, obok siedział mężczyzna w kitlu.

- Słyszysz mnie, JB? Jak się czujesz? - mężczyzna pochylił się nad nim i zajrzał mu do jednego, a potem do drugiego oka. - Wygląda na to, że nieźle oberwałeś. Zamrugaj.

„JB? Kto to jest JB? I gdzie ja jestem?” - zastanawiał się, dlaczego go wiozą tym szybkim samochodem i kim jest człowiek siedzący obok? Ponownie zamknął oczy, usilnie próbując coś sobie przypomnieć.

- Jake, jesteśmy w karetce. Wieziemy cię do szpitala - głos mężczyzny był miły, lecz stanowczy. - Trzymaj się, chłopie!

Żołądek ścisnął mu się ze strachu i otworzył oczy. Kto to jest Jake? I dlaczego temu facetowi wydaje się, że są kolegami? Spróbował usiąść, ale ostry ból przeszył mu głowę, aż krzyknął.

- Spokojnie, JB. Odpręż się. Wszystko będzie dobrze.

Głowa opadła mu na nosze. Prawie w tym samym momencie samochód zatrzymał się i drzwi nagle otwarto. Natychmiast otoczyła go rozmazana plama ludzi i został przeniesiony z karetki do szpitala.

Setki myśli cisnęły mu się do głowy, ale nie był w stanie wydobyć ani słowa. Gdy tylko weszli do środka, u jego boku pojawiła się pielęgniarka i wzięła go za rękę.

- Jake... wszyscy bardzo się cieszymy, że ci się udało - szła dalej obok noszy popychanych przez sanitariusza. - A co z Larrym? Czy wyszedł z budynku razem z tobą?

O czym ona mówi? Z jakiego budynku? Był przecież w samochodzie, nie w budynku. Próbował otworzyć usta, ale zbyt bolała go cała twarz. Wreszcie, ignorując palący ból na policzkach, zdołał wyszeptać:

- Kto... kto to jest Larry?

Nosze wwieziono do dużej sali, gdzie oczekiwało jeszcze więcej ludzi, ale pielęgniarka nie opuszczała go.

- Larry Henning. Jest z tobą w załodze Wozu Gaśniczego 57.

- Jakiego wozu? - sala rozmazywała się mu coraz bardziej, nie mógł rozróżnić otaczających go twarzy. Skóra na twarzy tak go bolała, że chciał krzyżeć, ale nie był w stanie otworzyć ust. To wszystko nie miało żadnego sensu. Czyżby śnił? Czy może obudził się właśnie w jakimś innym, zupełnie nieznanym świecie? Ledwo słyszał swój własny głos. Czuł, że siły go opuszczają:

- Ja... ja nie wiem, co... nie wiem...

Na twarzy pielęgniarki pojawił się niepokój, chwyciła go mocniej za rękę.

- Zaraz wracam.

Wyszła i prawie natychmiast powróciła w towarzystwie mężczyzny w białym fartuchu.

- To jest doktor Adam Sonney. Kiedyś się poznaliście. Poznajesz go, Jake?

Zrobił zęza, próbując dostrzec wyraźnie twarz lekarza. Głowa pękała mu z bólu, który rozlewał się też po całym ciele. Pragnął tylko zasnąć. Skrzywił się, próbując ponownie otworzyć usta.

- N-n-nie...

Pielęgniarka szepnęła coś do lekarza, a ten odpowiedział ściszym głosem.

Leżąc na noszach, nie słyszał, co mówili, ale zauważył, że pielęgniarka ma łzy w oczach. Całym jego ciałem wstrząsnął przeszywający ból, rozchodzący się gdzieś z okolic lewej stopy.

Doktor Sonney podszedł bliżej i nachylił się nad nim:

- Jake, czy wiesz, gdzie jesteś?

Dlaczego nie dadzą mu spokoju? I dlaczego mówią do niego „Jake”?

- Moja głowa...

- Jesteś w szpitalu. Zrobimy ci badania i ustalimy, co dalej. Potem zadzwonimy do twojej żony.

Ból stawał się nie do zniesienia, widok przed oczyma się rozmazywał. Słowa doktora rwały się, słyszał tylko niektóre z nich. Mówił coś o dzwonieniu do żony, ale to przecież niemożliwe, przecież on nie jest żonaty. Przynajmniej nic mu o tym nie wiadomo. Poczuł, że robi mu się niedobrze, przestał się skupiać na głosie lekarza. Dlaczego wszyscy zmówili się, żeby mu mieszać w głowie?

- Moja głowa...

Głos doktora zabrzmiał tym razem jak przez megafon. Słowa brzmiały donośnie i zlewały się ze sobą.

- Masz uraz głowy, Jake. Zbadamy to i zobaczymy, co się da zrobić, dobrze?

- Jake? - w polu widzenia ponownie pojawiła się twarz pielęgniarki. - Zadzwonię do Jamie, dobrze?

Powoli odwrócił głowę. Miał ochotę oderwać ją od reszty tułowia i potrząsać, dopóki ból nie minie. Ktoś ukłuł go igłą. Skrzywił się. Prawie natychmiast po całym ciele rozlało się miłe ciepło, usuwając powoli ból.

- Jake, słyszysz mnie?

Czuł, że odpływa, ale musiał zadać jeszcze jedno, ostatnie pytanie - teraz, natychmiast! Powieki opadały mu ciężko, zmusił się jednak, by je podnieść i wodził wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi, aż odnalazł twarz pielęgniarki.

- Kto... kto to jest Jake?

Kobieta wyglądała na mocno przestraszona.

- Nie wiesz, kim jesteś?

Zacząła mówić coś jeszcze, ale było już za późno. Uczucie ciepła dotarło do mózgu i nie mógł już zrobić nic więcej, jak tylko mu się poddać. Nie miał pojęcia, dlaczego ludzie zwracają się do niego „Jake”, ale najbardziej przeraziło go ostatnie pytanie pielęgniarki.

Jeśli nie jest Jakiem, to kim jest?

Pomimo szybkiego odpływania w nieświadomość, zdołał skupić się na tyle, by zastanowić się nad tym pytaniem. Niestety, nie znajdował na nie żadnej odpowiedzi. Co innego nie znać ludzi ze szpitala czy nazwisk, o które go pytali, ale nie znać swojego własnego imienia?! Tak naprawdę, to w ogóle nie mógł sobie przypomnieć, kim jest, czym się zajmuje ani dlaczego przywieziono go do tego szpitala z raną głowy.

Oczy same mu się zamknęły. Słyszał w pobliżu kilka głosów, ale wszystkie się mieszały i z wolna wszystko ucichło. Wtedy, z najgłębszych zakamarków umysłu wypłynęło imię, jedyne, które miało jakikolwiek sens. Otworzył usta i zebrał całą resztkę energii, by je wypowiedzieć na głos:

- S... Sierra...

Usłyszał swój głos i poczuł, że coś wreszcie ma sens. Wyobrażenie ślicznej małej dziewczynki błysnęło w jego sercu i tym razem już był pewny. Kimkolwiek była, znał ją już wcześniej, więc powiedział raz jeszcze:

- Sierra!

Ból minął i poczuł, jak pogrąża się w najgłębszym śnie, jakiego kiedykolwiek doświadczył.

Chciał jeszcze raz wypowiedzieć to imię, ale nie był w stanie skoordynować myśli i słów. Ostatnią myślą, która przemknęła mu przez głowę, było, iż mała dziewczynka, Sierra, z pewnością jest częścią tej zagadki. Gdy tylko się ocknie, ona pomoże mu odpowiedzieć na tamto pytanie?

Któż to jest Larry? Co to jest Wóz Gaśniczy 57? Od jak dawna jest żonaty i z kim? I jak to możliwe, że wcale tego nie pamięta? No i, oczywiście, najistotniejsze pytanie: kimże, u licha, jest on sam?!

RS

## Rozdział 14

11 września 2001, godz. 11.04

Przez trzydzieści sześć minut Jamie trzymała w ręce słuchawkę telefonu i intensywnie się w nią wpatrywała.

Przez ten czas usiłowała tylko pamiętać o oddychaniu i telepatycznie nakłonić kogokolwiek, by zadzwonił i poinformował ją o Jake'u. Kiedy więc wreszcie rozległ się dzwonek, z wrażenia upuściła słuchawkę i byłaby spadła z krzesła, usiłując ją podnieść i wcisnąć właściwy klawisz.

- Halo? Kto mówi?

- Sierżant Riker, Nowojorska Straż Pożarna. Czy rozmawiam z Jamie Bryan?

- Tak - podniosła rękę do twarzy i opuszkami palców poczuła, że jest zimna i lepka. Miała wrażenie, że cała unosi się gdzieś w powietrzu. Nie-możliwe przecież, żeby miała jakikolwiek związek z kobietą siedzącą w kuchni i czekającą na wiadomości, które na zawsze odmienia jej życie. Z całej siły ścisnęła słuchawkę i starała się mówić normalnym tonem. - Przy telefonie...

- Pani Bryan, pani mąż został odnaleziony, żyje. Jest...

- Jake! - krzyknęła. Słuchawka upadła jej na kolana. Żyje! Ulga - jakby do dusznego pomieszczenia wpadł powiew świeżego powietrza. Nie był w Południowej Wieży. Żyje! Dokładnie tak, jak obiecał!

Przypomniała sobie o sierżancie Rikerze i gwałtownym ruchem podniosła słuchawkę do ucha.

- Przepraszam, nie dosłyszałam, co pan mówił. Mężczyzna zawahał się.

- Mówiłem, że pani mąż jest ranny, pani Bryan. Jest w szpitalu, w Mount Sinai Medical Center. Obiecałem, że zadzwonię do pani.

Nagle znowu Jamie zabrakło tchu i w jej głosie ponownie zabrzmiał paraliżujący strach:

- Co... co mu jest?

- Najlepiej powiedzą to pani lekarze.

- Nie chcę rozmawiać z lekarzami, panie sierżancie! - Jamie zerwała się z krzesła i krzyczała, spacerując nerwowo po kuchni. - Na pewno dostał pan jakiś raport w tej sprawie! Proszę... - zmusiła się do opanowania - proszę mi powiedzieć, co pan wie.

Mężczyzna zamilkł i przez krótką chwilę Jamie pomyślała o nim ze współczuciem: ile takich telefonów musiał już dziś wykonać?

- Mam tu raport sporządzony przez kapitana Hisela. Napisał w nim, że pani mąż jest poparzony i ma uraz głowy. Ale, według kapitana, powinien przeżyć.

Odczuła ulgę, chociaż niezbyt wielką. Jeśli Jake ma uraz głowy, to jeszcze wszystko jest możliwe. Musi natychmiast jechać do szpitala, być przy nim, mówić do niego... zapewnić go, że lekarze robią, co tylko w ich mocy, żeby go wyleczyć.

- Dziękuję, panie sierżancie. To dla mnie bardzo ważne - już miała się rozłączyć, kiedy przypomniała sobie prośbę Sue, żeby zadzwonić do niej, gdy tylko dowie się czegokolwiek. - A co z Larrym Henningiem? Też jest w szpitalu?

- Larry z Wozu Gaśniczego 57, tak?

- Tak, z tej samej załogi co Jake.

- Niestety... - westchnął sierżant - nie mamy żadnych wiadomości o pozostałych członkach tego oddziału.

Huśtawka emocjonalna, jaką Jamie odczuwała w ciągu ostatnich kilku minut, coraz mocniej dawała się jej we znaki. Opadła na krzesło i zwiesiła głowę.

- Żadnych wiadomości?

- Pani mąż jest jedynym członkiem Wozu Gaśniczego 57, jakiego odnaleziono - sierżant zamilkł, a gdy odezwał się ponownie, w jego głosie zabrzmiało przygnębienie. - Zmierzali na sześćdziesiąte pierwsze piętro Południowej Wieży akurat, gdy budynek się zawalił.

Jamie przycisnęła rękę w okolice żołądka i zagryzła wargi. Cały ten dzień to jeden wielki koszmar. Udało jej się go przetrwać tylko dlatego, że cały czas miała nadzieję, że Jake jednak jakimś cudem przeżył. Ale teraz, co ma powiedzieć Sue? I jak Jake będzie żył ze świadomością, że cała jego załoga zginęła? Odzyskała wreszcie głos.

- Dzię-dziękuję za telefon...

Rozłączyła się i zagapiła na słuchawkę. Powinna zadzwonić do Sue, przecież to jej przyjaciółka. Siedzi teraz pewnie przy telefonie i czeka - tak samo, jak Jamie przed chwilą. Ale co ma jej powiedzieć? Że Larry został uwięziony gdzieś pośród stu pięter walącego się budynku? Że nie odnaleziono nikogo z Wozu Gaśniczego 57 oprócz Jake'a?

Zresztą, może jeszcze go znajdą. Nie ma sensu jej martwić, zwłaszcza jeśliby informacje sierżanta nie były prawdziwe. Nie, z telefonem do Sue można poczekać. Teraz musi pojechać do szpitala i odnaleźć Jake'a, który

ranny i samotny najbardziej potrzebuje jej obecności. Szybko zadzwoniła do sąsiadki:

- Znaleźli go! - łzy wdzięczności popłynęły jej z oczu, zaszlochała, ale zaraz zdołała się opanować

- Jake... on żyje!

- Jamie! Tak się cieszę! - głos kobiety drżał.

- Nie martw się o Sierrę, ogląda film razem z dziećmi - umilkła na chwilę. - Mam jej powiedzieć?

- Nie! - odpowiedziała szybko Jamie. - Sierra o niczym nie wie - poczuła kolejną falę mdłości. - Jake jest ranny, ale wyjdzie z tego. Jeśli Sierra może jeszcze trochę u ciebie zostać, pojedę do niego do szpitala.

- Nie spiesz się, jesteśmy cały czas w domu.

Jamie podziękowała, odłożyła słuchawkę i złapała klucze. Zanim jednak wyszła, telefon odezwał się ponownie. Tym razem dzwonił ze szpitala. Pielęgniarka potwierdziła wszystko, co powiedział sierżant Riker: Jake ma uraz głowy i jest nieprzytomny. Jamie powinna przyjechać jak najszybciej.

- A jeśli policja nie wpuści mnie na prom?

- Wpuszczają tylko ograniczając liczbę osób - pielęgniarka zdawała się wiedzieć to na pewno. - Proszę wyjaśnić, o co chodzi. Na pewno panią wpuszczą.

Nie myliła się. Tym razem, gdy Jamie podjechała do nabrzeża, przedstawiła dyżurującemu oficerowi informacje tak przekonujące, że wpuścił ją bez problemu: jej mąż, strażak, przebywa właśnie w Mount Sinai Medical Center; lekarze prosili, żeby natychmiast tam przybyła.

Zaparkowała, weszła na pokład, przeszła na drugą stronę promu i znalazła ustronne miejsce w pobliżu barierki. Po kilku minutach prom odbił od brzegu, a Jamie zapatrzyła się na linię dachów Manhattanu. Miała wrażenie, że patrzy na koniec świata. Im była bliżej, tym straszniejsze dostrzegała zniszczenia. Nie było już bliźniaczych wież, ale wielka góra gruzu, która wciąż dymiała, pobłyskując na czerwono od nadal tłących się w jej wnętrzu płomieni. Paliły się również inne budynki stanowiące wcześniej część World Trade Center. We wszystkie strony pędziły karetki.

Minęła prawie godzina, zanim Jamie udało się dotrzeć taksówką na zatłoczony parking przed szpitalem. Zastanawiała się, ile jeszcze szpitali przyjęło rannych po zamachu.



Wbiegła do izby przyjęć i zaczęła się przepychać przez tłum. Dotarła wreszcie do recepcji i podała swoje nazwisko kobiecie siedzącej za biurkiem.

- Przyszłam do Jake'a Bryana, to mój mąż.

- Proszę tam poczekać - na biurku leżała sterta kart. - Zaraz ktoś do pani podejdzie.

Jamie zrobiła, co jej kazano. Po chwili pojawiła się przed nią starsza pielęgniarka.

- Pani Bryan?

- Tak? - Jamie rzuciła się do przodu.

- Proszę tędy.

- Jak... jak on się czuje? - ^firnie z trudem łapała oddech i czuła, że nogi ma jak z waty. Szła szybko obok pielęgniarki.

- Stan jest ciężki, ale stabilny - odpowiedziała oficjalnym tonem. Przeszły korytarzem do pomieszczenia, które wyglądało jak szpital polowy poprzedzielany prowizorycznymi przepierzeniami i parawanami. Pielęgniarka szła dalej. - Wszystkiego dowie się pani od lekarza.

Jamie skinęła głową. Pielęgniarka zatrzymała się i wskazała salę po prawej stronie.

- Jest tutaj. Może pani zostać tak długo, jak tylko pani zechce. Proszę mówić do niego spokojnie, głaskać po rękę. Może też pani oglądać telewizję. Jeśli zacznie się ruszać, proszę nacisnąć guzik i przywołać pielęgniarkę. Pani mąż musi unikać wszelkiego zdenerwowania. Dostał środek uspokajający, a nadmiar bodźców mógłby spowodować obrzęk mózgu.

- Dobrze - Jamie czuła, że uginają się pod nią nogi. Obrzęk mózgu? Widocznie Jake jest o wiele ciężej ranny niż sądziła. A może to tylko środki ostrożności? Skoro kapitan Hisel mówił, że nic mu nie będzie, to dlaczego obawiają się opuchlizny mózgu? Weszła do sali i na moment zatrzymała się, zakrywając usta ręką, żeby nie krzyknąć.

- Jake, kochanie... nie! - z jej ust wyrwał się stłumiony okrzyk.

Pielęgniarka dyskretnie wyszła z pokoju, zostawiając ich samych.

Jake wyglądał okropnie. Z całkowicie obandażowanej głowy wyglądały tylko oczy. Jeszcze więcej bandaży pokrywało jego ramiona, zaś dolna część lewej nogi unieruchomiona została w szynie. Przykryty był prześcieradłem, stąd jedynymi widocznymi częściami ciała były szyja i palce u rąk. Na lewej ręce połyskiwała prosta, złota obrączka, którą nie-

ustannie nosił od dnia ślubu. Poza tym jednak nic w nim nie przypominało tego silnego, pełnego życia mężczyzny, którego pożegnała na progu dziś rano. Z ust i nosa wystawały mu jakieś rurki, do obu rąk podłączone były kroplówki, stojące przy łóżku monitory cicho dźwięczały i szumiały. Jake natomiast nie poruszał się ani nie wydał żadnego odgłosu.

Podeszła bliżej i uchwyciła się ramy łóżka. Serce waliło jej jak szalone - prędko i mocno. Bała się, że obudzi Jake'a albo że - co gorsza - jej obecność będzie dla niego zbyt wielkim przeżyciem i wywoła opuchliznę mózgu. Przełknęła ślinę najciszej, jak tylko potrafiła. „Uspokój się, Jamie, uspokój. Jake jest tutaj... i żyje. Nie jest przecież wątłą roślinką... wszystko będzie dobrze”.

Wpatrywała się w zabandażowaną twarz męża i modliła się, żeby oddychał, żeby przeżył. „Jake, kochanie. To ja”. Sama ledwie śmiała oddychać. „Kochanie, nie umieraj... błagam”.

Jake wciąż leżał bez ruchu. Pochylając się nad nim, uważnie przyglądała się, jak jego klatka piersiowa ledwo dostrzegalnie unosi się i opada. Oddycha... tak, na pewno! Wciągał powietrze i wypuszczał je, ale Jamie nie słyszała jego oddechu. Monitory wokół łóżka zdawały się brzęczeć wraz z każdym uderzeniem serca coraz głośniejsze. Rzuciła na nie okiem i zacisnęła zęby. „Ciszej!”. Chciała tylko usłyszeć Jake'a. Czy naprawdę prosi o zbyt wiele? Dziesięć sekund ciszy, żeby mogła usłyszeć powolny, delikatny wdech i tak dobrze znany odgłos wydechu będący dowodem, że pod grubą warstwą gazy i bandażu tli się życie. Ale maszyny pracowały niestrudzenie. Wyprostowała się i ponownie wbiła wzrok w klatkę piersiową leżącego: poruszała się. Oczywiście, że się poruszała.

Gdyby przestał oddychać, monitory natychmiast dałyby o tym znać. Zrobiła krok do tyłu, potem następny, pomalutku posuwając się w kierunku krzesła i nie odrywając przy tym wzroku od Jake'a. Po cichu je podniosła i, przeszedłszy przez całą salę, postawiła w pobliżu łóżka. Gdy Jake się obudzi, bez względu na to, kiedy to nastąpi, od razu ją zobaczy. Usiadła i delikatnie ujęła w dłonie koniuszki jego palców. Już sam ich dotyk był tak znajomy i upajający. Stanowił namacalny dowód na to, że Jake żyje, że w jakiś przedziwny sposób udało mu się w ostatniej chwili wymknąć z zaatakowanego budynku. Wpatrując się w jego palce. Jamie zauważyła, że spaliły mu się włosy na rękach. Palce były podrapane i trochę poparzone, ale ciepłe i żywe. W tej chwili nie potrzebowała niczego więcej.

Odnalazła telewizor umieszczony na ścianie w nogach łóżka. Nie miała ochoty na oglądanie relacji z dzisiejszej tragedii, ale musiała się przecież dowiedzieć czegoś o pozostałych członkach załogi Jake'a. Gdzie są? Czy w zgliszcach odnaleziono jeszcze jakichś żywych strażaków?

Pilot od telewizora leżał na stoliku przy łóżku. Jamie nacisnęła włącznik i natychmiast zmniejszyła głośność. Trwała relacja na żywo z Manhattanu. Ostrożnie, tak żeby nie przeszkadzać Jake'owi, nastawiła dźwięk nieco głośniej, aby móc cokolwiek usłyszeć.

Nadawano właśnie powtórzenie wydarzeń dnia. Przez chwilę Jamie zaczęła się obawiać o swoje zdrowie psychiczne, ale obecność Jake'a u boku dodawała jej odwagi, by wysłuchać najnowszych doniesień. Z ust prezentera płynął nieprzerwany strumień słów. Ewakuowano pracowników wszystkich budynków biur federalnych. Kolejny samolot - lot 93 z Newark - zmierzający prawdopodobnie ku Białemu Domowi, rozbił się w wiejskiej okolicy w Pensylwanii. W sumie, jak szacowano, w czterech atakach z udziałem porwanych samolotów śmierć poniosło około trzystu osób.

- Co więcej, burmistrz Nowego Jorku Rudy Giuliani zalecił, aby wszyscy nowojorczyccy pozostali w domach, a wszyscy zamieszkujący okolice położone na południe od Canal Street udali się do specjalnie w tym celu utworzonych centrów kryzysowych.

Lista niepojętych zdarzeń wydłużała się.

Zamknięto lotniska w Los Angeles i San Francisco. Eksperti z Centrum Kontroli i Prewencji Chorób w ramach działań zapobiegawczych wysłali do Nowego Jorku zespół interwencyjny. W przestrzeni powietrznej USA pozostawało w tej chwili pięćdziesiąt samolotów, żaden z nich jednakże nie zgłaszał jakichkolwiek problemów.

Po zakończeniu serwisu z tak już znanymi wiadomościami ponownie rozpoczęto relację na żywo z Manhattanu i z Waszyngtonu. W obydwu tych miejscach jeszcze było widać płomienie. Wszelki komentarz wydawał się zbędny. Uderzenie terrorystów było precyzyjnie wymierzone i niezwykle skuteczne.

- Według wciąż napływających doniesień niewiele żywych osób udało się znaleźć w zgliszcach bliźniaczych wież, w miejscu, które władze i strażacy określają teraz mianem Strefy Zero.

„Strefa Zero?” - Jamie mocniej zacisnęła dłoń na palcach Jake'a. Czy nie takiego terminu używa się na określenie miejsca, w którym wybuchła bomba atomowa? Jamie wpatrywała się w ekran i po raz kolejny przyszło jej

do głowy, że może cały ten dzień to tylko jakiś koszmarny sen. Jak to możliwe, że terroryści porwali cztery samoloty pasażerskie tego samego ranka?

Ponownie skupiła uwagę na wiadomościach. „No, dalej... powiedzcież coś o strażakach! Gdzie są? Kto pomaga im się wydostać ze zgliszczy? Ilu zginęło?”.

Na ekranie pojawił się prezydent Bush. Przemawiał z Bazy Sił Powietrznych w Barksdale. Wyjaśnił, że kraj został zaatakowany przez terrorystów. Przedsięwzięto stosowne środki bezpieczeństwa w celu zapobieżenia ewentualnym dalszym atakom, zaś wojsko Stanów Zjednoczonych na całym świecie postawiono w stan najwyższej gotowości. Prezydent poprosił o modlitwę w intencji wszystkich zabitych lub rannych, a potem zagryzł wargi. Przez chwilę Jamie wydawało się, że prezydent się załamał.

Tak się jednak nie stało. Zacisnąwszy zęby, Bush powiedział:

- Bądźcie pewni, że Stany Zjednoczone dopadną i ukarzą wszystkich odpowiedzialnych za tę tchórzliwą napaść.

Kamera pokazała następnie obraz ze studia. Prawą część ekranu zajęło ujęcie tłących się wciąż zgliszczy.

- Także wiadomości napływające z dowództwa straży pożarnej są dziś tragiczne. Szacuje się, iż spośród setek strażaków, którzy ruszyli na pomoc World Trade Center, prawie dwustu poniosło śmierć. Powtarzam: jak się w tej chwili przyjmuje, zginęło dwustu funkcjonariuszy nowojorskiej straży pożarnej. Istnieje poważna obawa, że prawdziwa liczba ofiar wśród strażaków jest o wiele większa.

Pokazano teraz zastępcę komendanta straży, Boba Atwella, z którym Jamie rozmawiała w czerwcu podczas rozgrywek softballu. W tej chwili oczy komendanta - głęboko osadzone w pokrytej popiołem, zmęczonej twarzy - wyrażały bezbrzeżny smutek.

- W obecnej chwili na zgliszczach pracują ekipy ratunkowe z psami, które pomagają przekopywać tę górę gruzu - przetarł czoło wierzchem dłoni.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zlokalizować wszystkich, którzy przeżyli zawalenie się budynków, i wyciągnąć ich spod ruin. Dziennikarz w studio wstał:

- Czy wasz oddział zdołał kogoś odnaleźć?

- Kilka osób - Bob westchnął, mięśnie jego szczęk napięły się. - Nie tyłu, ilu chcielibyśmy odnaleźć.

Dziennikarz był uparty:

- Ilu ludzi zginęło?

- Cóż... - Bob zagryzł wargi i opuścił wzrok, po chwili jednak podniósł oczy - nie mogę podać dokładnych liczb, ale, jak szacujemy, zginęło ponad trzystu ludzi...

- Czy w chwili katastrofy wszyscy oni znajdowali się w budynkach World Trade Center?

Bob ciężko odetchnął. Jamie miała ochotę go uściskać. Był uprzejmy i cierpliwy, choć z pewnością były to najtrudniejsze pytania, na jakie przyszło mu w życiu odpowiadać.

- Większość z nich znajdowała się w Południowej Wieży, która zawaliła się pierwsza, zupełnie niespodziewanie. Nieco mniej strażaków było w Północnej Wieży lub w jej pobliżu, ponieważ wielu naszych zdążyło ewakuować stamtąd ludzi, spodziewając się, że budynek runie.

Obraz zmienił się. Ekran wypełnił teraz obraz płonącego Pentagonu. Jamie uniosła pilota i wyłączyła telewizor. Nie wytrzymałaby ani chwili dłużej. Bob Atwell powiedział już wszystko. Znaleziono tylko kilku strażaków. Kilku spośród trzech setek, które ruszyły do World Trade Center.

Jamie spojrzała na Jake'a. Przyszły jej do głowy dwie całkowicie-sprzeczne myśli. Jej mąż żyje i w związku z tym odczuwała bezmierną ulgę i wdzięczność. Ale z drugiej strony nurtował ją niepokój, jak - doszedłszy już do siebie - przyjmie on wiadomość o śmierci swoich kolegów? Jeśli los ośmiu ludzi z jego załogi dotąd jest nieznan, to całkiem prawdopodobne, że wszyscy nie żyją... A co z Larrym?

Przed oczyma Jamie stanął obraz najlepszego przyjaciela jej męża, wszystkie te chwile, kiedy urządzali razem grilla albo wyjeżdżali pod namiot na północ. Przypomniała sobie przejażdżkę skuterem wodnym sprzed kilku dni. Larry i Jake trzymali się zawsze razem, jak bracia. Jeśli Larry nie żyje, jak Jake przyjmie ten fakt? Czy będzie się obwiniał, że go nie dopilnował? A co z Sue?

Jamie ścisnęła mocniej palce Jake'a: co z niej za przyjaciółka, skoro do niej nie zadzwoniła? Nie dając sobie czasu na zmianę zdania, podniosła słuchawkę telefonu stojącego na stoliku obok łóżka i wykręciła dziewiątkę - połączenie zewnętrzne - po czym wystukała numer Sue i Larry'ego.

Po drugim sygnale odebrała jakaś starsza kobieta.

- Halo? - jej głos był matowy, jak gdyby przed chwilą płakała.

- Dzień dobry, mówi Jamie Bryan. Czy zastałam Sue?

- Dzień dobry, Jamie. Jestem mamą Larry'ego.

- Och... witam... - Jamie zakryła twarz dłońmi. No, oczywiście. Matka Larry'ego mieszkała samotnie w Bronxie i bardzo często przesiadywała u syna i synowej, miała bowiem prawdziwego bzika na punkcie małej Katy. Na pewno ciężko przeżywała dzisiejsze wydarzenia, podobnie jak Sue. - Czy... czy dowiedziała się pani czegoś?

- Tak... dzwonili ze straży - głos kobiety załamał się, zaczęła płakać. - Przepraszam, ciągle jestem w szoku.

- Nic nie szkodzi - w oczach Jamie także pojawiły się łzy. - Wszyscy jesteśmy w szoku.

Starsza pani pociągnęła nosem i dokończyła zdanie:

- Człowiek, który zadzwonił powiedział, że Larry zaginął. On i wszyscy chłopcy z „pięćdziesiątki siódemki”.

- Nie wszyscy... - Jamie niemal żałowała, że musi to powiedzieć. Czy to w porządku, że Jake żyje, leży tutaj na szpitalnym łóżku obok niej, podczas gdy Larry i reszta chłopaków została pogrzebana pod czterdziestoma piętrami betonu i stali? - Jake żyje. Jestem z nim teraz w szpitalu.

Matka Larry'ego wydała cichy okrzyk.

- Jamie, to wspaniale! Zaraz powiem o tym Sue.

- Czy Sue jest w domu? Chciałabym sama jej o tym powiedzieć.

- Jest z Katy w jej pokoju - kobieta zawahała się - zobaczę, czy będzie chciała rozmawiać.

Minęła cała minuta... Jamie zmuszała się, żeby nie myśleć o niczym oprócz dotyku palców Jake'a, które czuła w swej dłoni. Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę i Jamie usłyszała głos Sue:

- Halo, Jamie?

- Och, Sue... na pewno go znajdą. Po prostu muszą...

Obie rozpląkały się. W słuchawce słychać było tylko ich zduszone wybuchy coraz to nowych łkań. Gdy wreszcie Jamie była w stanie przemówić ponownie, głos miała wysoki, naznaczony żalem, który narastał w jej krtani:

- Tak mi przykro, Sue... tak bardzo mi przykro...

- Znajdą go. Muszę... muszę w to wierzyć...

- Sue zaczerpnęła szybko powietrza i wydobyła z siebie dziwny dźwięk: ni to śmiech, ni to szloch. - Mama Larry'ego mówi, że znaleźli Jake'a.

- Tak... - Jamie ujęła swoje skronie między kciuk i palec wskazujący. - Był pod wozem strażackim. Ma uraz głowy i jest poparzony. Jesteśmy teraz w szpitalu.

- Czy wyzdrowieje? - w głosie Sue nadal słychać było łkanie, ale zdołała się już opanować.

- Tak sądzę. Nie widziałam się jeszcze z lekarzami. Mają tu zatręśnienie rannych.

- To wszystko nie ma sensu, prawda?

Jamie wyczuwała, o co chodzi Sue. Jeśli Jake'a znaleziono na parterze, to dlaczego nie było przy nim Larry'ego? Nigdy przecież nie rozstawali się w akcji.

- Chodzi ci o to, dlaczego nie byli razem?

- No, właśnie... - westchnęła ciężko. - Czy sprawdzono pod wozem? Wewnątrz? Może Larry wciąż gdzieś tam leży?

Taka myśl nie przyszła wcześniej Jamie do głowy.

- Powinnaś zadzwonić do kapitana Hisela. To on znalazł Jake'a.

- Tak zrobię - po raz pierwszy w głosie Sue zabrzmiała nadzieja. - Jeśli tylko dowiem się czegoś, zadzwonię do ciebie.

- Będę tutaj. Nie trać nadziei.

W podobnej chwili większość ludzi zapewniłaby Sue o swojej modlitwie w jej intencji, ale Jamie nie mogła zmusić się do wypowiedzenia tych słów. Obie wiedziały, że nie była wierząca. A po tym, co zaszło dziś w World Trade Center, nie chciała budzić w przyjaciółce nadziei, proponując jej coś, co przecież i tak nie mogłoby w żaden sposób jej pomóc.

- Dobrze. Jamie, gdy tylko Jake się obudzi, powiedz mu, że wszyscy go kochamy.

RS



## Rozdział 15

11 września 2001, wieczór

Laura mogła tylko czekać.

Clay przyszedł przed południem i oboje usiedli przy telewizorze, by bez chwili przerwy oglądać wiadomości i czekać na telefon. Los tysięcy ludzi wciąż pozostawał nieznany, obawiano się najgorszego. Najprawdopodobniej cały personel wszystkich firm zajmujących biura na najwyższych piętrach bliźniaczych wież zginął na miejscu.

Laura sześć razy dzwoniła do Murphy'ego, teraz jednak na Zachodnim Wybrzeżu zapadał już zmierzch, a w Nowym Jorku dochodziła dwudziesta druga. Od dwunastu godzin powtarzała sobie wciąż jedno i to samo: Erie jest bezpieczny. Musi być! Przecież Koppel&Grant mieli biura na piętrze, które był czas ewakuować. Erie i jego koledzy na pewno znaleźli się wśród osób, które zdążyły opuścić budynek. Ale skoro tak było, to dlaczego nie dzwoni?

Laura sama próbowała dodzwonić się do męża: mniej więcej co dziesięć minut od przybycia Claya wystukiwała numer jego komórki. Za każdym razem słyszała ten sam komunikat: abonent niedostępny. Z podkulonymi pod siebie nogami siedziała więc

przed telewizorem, niezdolna choćby na chwilę oderwać wzroku od ekranu. Gdzieś w tle słyszała, jak Clay pomaga Joshowi w zadaniu domowym.

Laura nie miała pojęcia, co by bez niego zrobiła. Kiedy nie zajmował się Joshem, siadał na drugim końcu sofy i tylko odpowiadał na jej ciągłe pytania.

- Wydostał się, prawda?

- Oczywiście. Ludzie wydostawali się z wyższych pięter niż sześćdziesiąte czwarte. Wszystko będzie dobrze, mówię ci, Lauro.

- Może nie mógł znaleźć komórki?

- Może!

Przez chwilę siedziała cicho, dzwoniła do Murphy'ego i do Erica. Potem znowu zaczynała pytać.

- Mógł zejść po schodach z sześćdziesiątego czwartego piętra?

- Jasne, co to dla niego!

- Jak długo to mogło trwać?

Clay odpowiedział bez zastanowienia:

- Dwadzieścia minut... no, może pół godziny. Zależy, ile osób było w klatce schodowej.

- Ale ludzie zbiegali szybko po schodach, tak mówili, prawda?

- Tak. Nie było paniki, po prostu zdyscyplinowana ewakuacja.

- Tak właśnie myślałam.

I znowu wpatrywała się w ekran telewizora. Tak spędziła cały dzień. W jakiś niewytłumaczalny sposób obecność Claya czyniła ów dzień bardziej normalnym, jak gdyby Erie po prostu był w podróży służbowej, a Clay po prostu po coś wpadł.

Gdy Josh wrócił ze szkoły, natychmiast podszedł do matki i przytulił się.

- Tata dzwonił?

Laura poczuła, jak serce jej zamiera. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

- Jeszcze nie - łzy napłynęły jej do oczu. - Ale zadzwoni. Jak tylko dostanie się do telefonu.

Z wyrazu jej twarzy Clay wywnioskował, że za chwilę się załamie.

- Mama musi trochę odpocząć - otoczył Josha ramieniem. - Chodź, stary.

- OK - chłopiec nachylił się i pocałował Laurę w policzek.

- Tacie nic się nie stanie, zobaczysz, mamó. Naprawdę!

Laura tylko skinęła głową i natychmiast przeniosła wzrok na ekran telewizora. Co chwila rozmawiano tam z ocalałymi, ze wszystkimi, którym udało się opuścić dwie wieże. Może widzieli Erica, może ktoś z nim rozmawiał, może ktoś powie, że się wydostał. Laura nie mogła sobie pozwolić na opuszczenie choćby kawałka transmisji. Wpatrywała się w telewizor, prawie nie mrugając.

Mijały godziny. Josh i Clay grali w kosza na podwórku, potem z kuchni doleciał zapach gotowania. Nie chciała jeść, nie chciała ani na chwilę odrywać się od ekranu.

Clay wszedł do pokoju i usiadł obok niej. Położył jej rękę na kolanie, czekając aż zwróci na niego uwagę.

- Musisz odpocząć. Potrząsnęła głową:

- Muszę go znaleźć!

- Lauro, tysiące ludzi się uratowało. Bez sensu myśleć, że podejną właśnie do Erica, żeby z nim pogadać przed kamerą. Poza tym Erie nie będzie się włączył po Manhattanie, tylko szukał telefonu, nie sądzisz?

Głos Claya był miękki, a zarazem stanowczy. Opór Laury zaczynał słabnąć.

- Muszę porozmawiać z Murphym.

Clay przez chwilę przyglądał się jej twarzy, kąciom ust uniesionym w smutnym uśmiechu.

- Murphy powiedział, że sam zadzwoni - skinął głową w kierunku kuchni. - Chodź coś zjeść. Zrobiłem spaghetti.

- Nie jestem głodna.

- To chociaż usiądź z nami. Napij się wody

- Clay przemawiał jeszcze delikatniej. - Ja też się martwię. Ale ty musisz przez chwilę odpocząć. Siedzeniem tutaj nie przyspieszysz telefonu.

Laura spojrzała na Claya.

- Ale myślisz, że nic mu się nie stało, prawda?

- Oczywiście! - w jego spojrzeniu było tyle pewności, że nadzieja mocniej rozżarzyła się w sercu Laury. Miała sucho w ustach - uświadomiła sobie, że od śniadania nie wypła ani kropli płynu.

- Dobrze.

Zmusiła się, by podejść do stołu. Trzy razy łyknęła wody ze szklanki i pokiwała głową.

- Wszystko w porządku. Jestem tylko zmęczona. Spojrzała na Claya.

- Musi zadzwonić!

- Zadzwoni! - Clay odwzajemnił spojrzenie.

- Wiem na pewno, że zadzwoni.

Zjedli w milczeniu, po czym Lura wróciła przed telewizor. Clay pomógł Joshowi przy kąpieli i po chwili z daleka dobiegło głośnie czytanie. Laura zamknęła oczy i słuchała. Clay miał głos tak podobny do Erica, że mogła wprost udawać, że jej mąż jest w domu, bezpieczny, że siedzi przy łóżku syna i czyta mu do snu.

Nagle zamrugła, uświadomiwszy sobie oczywistą nierealność takiego obrazka. Erie nigdy nie czytał Joshowi, dlatego podobna scena z udziałem jej męża nie mogła rozgrywać się w pokoju na górze. Nawet w jej wyobraźni.

O ósmej Josh przebrany w piżamę przyszedł pocałować matkę na dobranoc. Clay zmywał naczynia w kuchni.

- Mamo... ty ciągle się martwisz, prawda? Laura oderwała oczy od telewizora i spojrzała na chłopca.

- Tak, kochanie - oczy piekły ją od płaczu i długiego oglądania telewizji.

- Martwię się.

- Dlaczego tata nie dzwoni?

- Może tam nie działają telefony - Laura przytuliła synka i pogłaskała go po plecach. - Wiele złych rzeczy dzieje się w tej chwili w Nowym Jorku. To może i to?

Clay wszedł do pokoju i usiadł w kącie.

- No stary, gotowy do łóżka?

- Zaraz! - Josh gwałtownie się wyprostował, a oczy mu rozbłyły. - Może tata pracuje! - chłopiec mówił to z absolutną pewnością. - Może ma jakąś dodatkową pracę do zrobienia. Przecież nigdy do nas nie dzwoni z podróży.

W chwili, gdy Josh wypowiadał te słowa, Laura popatrzyła na Claya. Odkąd go znała, idealizował starszego brata. Była ciekawa, jak Clay to odbierze. W odpowiedzi na jego pytające spojrzenie skinęła lekko głową, potwierdzając, że wszystko, co mówi jej syn, jest prawdą. Erie nigdy nie dzwonił do domu ze swych wyjazdów.

Laura na powrót skupiła spojrzenie na Joshu. Wyraz jego twarzy sprawił, że zachciało jej się płakać. Ale nie mogła tego zrobić. Chłopiec mówił tak poważnie. Uważał on, że podróże służbowe znaczący dla jego ojca o wiele więcej niż wszystko, co działo się w domu, i nie przeszkadzało mu to, że przez kilka dni nie miał kontaktu z rodziną.

- Tak, kochanie - Laura poklepała syna po kolanie. - Może i tak.

- Dobranoc, mamó - Josh nachylił się i pocałował matkę w policzek. - Tata wróci w czwartek. Wtedy nam opowie o pożarze.

Jeszcze raz przytuliła dziecko.

- Tak, synku.

Clay wyciągnął rękę i zaprowadził chłopca na górę. Wrócił po dziesięciu minutach i usiadł na sofie obok Laury.

- Śpi.

- Dziękuję ci - podniosła pilota i wyłączyła telewizor. - Już nie mogę. Nie dzisiaj - spojrzała na Claya. - Wielu rzeczy o nas nie wiesz.

- Erie nigdy nie dzwoni z podróży? Laura westchnęła głęboko.

- On nawet w domu rzadko z nami rozmawia.

- Zaraz po przyjeździe zorientowałem się, że między wami coś się nie układa, ale nie przypuszczałem, że aż tak - Clay potrząsnął głową z wyrazem rozczarowania na twarzy. - Przecież Erie to świetny facet. Taki był w tobie zakochany...

Laurze łzy zakręciły się w oczach.

- Od tego czasu wiele się zmieniło.

- Wiele?

- Więcej niż ci się wydaje - odparła przyciszonym głosem.

- Opowiedz mi - poprosił, pochylając się do przodu i opierając łokcie na kolanach. - Mamy na to całą noc.

Opowiedziała mu. Wszystko od początku. Od owej wiosny, gdy w wieku dwudziestu jeden lat urodziła śliczną dziewczynkę, która nigdy nie otworzyła oczu, nigdy nie zaczerpnęła pierwszego haustu powietrza.

- Erie obwiniał siebie - Laura wytarła szybko palcami oczy i pociągnęła nosem. - Powiedział, że już nigdy nie zabraknie mi dobrej opieki medycznej.

- Przykro mi, Lauro - Clay na chwilę wbił wzrok w podłogę, a gdy podniósł oczy, był w nich smutek głębszy niż ocean. - Nic o tym nie wiedziałem.

Laura schowała głowę w ramionach i zdusiła szloch.

- Nigdy o tym nikomu nie mówiliśmy.

- A potem urodził się Josh?

- Tak... - zapatrzyła się w podłogę między stopami. - Ale między nami było coraz gorzej.

Opowiadała dalej: o urodzeniu syna i o tym, jak któregoś dnia Erie zaczął pracować w firmie Koppel&Grant.

- Wiesz, bardziej cieszył się pracą, niż tym, że został ojcem.

Clay zastygł w osłupieniu, na jego twarzy odmalował się wyraz niedowierzania.

- Zawsze uważałem was za idealną rodzinę... Pieniądze, sukces, zdrowie i miłość, której niewielu zaznaje.

- Akurat... - odpowiedziała Laura, uśmiechając się ze smutkiem. - Czasami wydaje mi się, że się nigdy nie kochaliśmy.

Clay chciał coś powiedzieć, ale zanim wydobył z siebie głos, zadzwonił telefon. Laura chwyciła słuchawkę leżącą tuż obok niej na sofie.

- Słucham!

- Laura? Tu Murphy. Ulga wypełniła jej serce.

- Dzięki Bogu, Murphy! Erie dzwonił do ciebie? W słuchawce zadźwięczała cisza.

- Nie - w odpowiedź Murphy'ego wdarło się drżące westchnienie - dzwonił do mnie pracownik naszego nowojorskiego biura, Hank Walden.

Clay z uwagą obserwował Laure, starając się z jej twarzy wyczytać, jaką wiadomość odebrała. Ona zaś niecierpliwym potrząsaniem głową pokazywała, jak bardzo chce, by Murphy przeszedł już do rzeczy.

- Dobra, gdzie Erie? Tylko to mnie interesuje.

- Lauro, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Zawahał się, a Laura miała ochotę wrzeszczeć:

„Wyduś to z siebie, Murphy! Cały dzień czekam na jakąś wiadomość, gadajże!”. Ręce jej się trzęsły, nie patrzyła już na Claya. Nagły przestrah w jego spojrzeniu uczynił chwilę jeszcze bardziej przerażającą. Laura spuściła wzrok i poprosiła krótko:

- Mów.

- Bardzo mi przykro, Lauro. Nie wiemy, co się stało z Ericem. Erie i Allen Koppel nie znaleźli się. Wszyscy pozostali pracownicy firmy wydostali się z budynku.

Laura poczuła, że za chwilę zemdleje. Pochyliła się głęboko do przodu, zwieszając głowę między kolanami.

- To... to niemożliwe. Pewnie są gdzieś razem. Erie mówił, że ma dzisiaj spotkanie, więc może... - przypomniały jej się słowa Josha - może załatwiali jakieś interesy gdzie indziej. Może...

- Lauro, posłuchaj... - przerwał jej Murphy. Głos miał przepełniony żalem. - Hank widział Eri-ca i Allena w biurze już po opuszczeniu piętra przez cały personel. Nie chcieli wyjść... Pracowali... pracowali nad ważną transakcją - Murphy jęknął cicho. - Wszyscy pracownicy firmy zeszli po schodach i przez kilka minut czekali na nich przed drzwiami, aż policja ich stamtąd usunęła - zawiesił na chwilę głos. - Lauro, Erie i Allen nie pojawili się, a potem nikt już ich nie widział.

Laura poczuła, jak jej świat wali się w gruzy. Miała ochotę zaprzeczać słowom Murphy'ego, powiedzieć mu, że się myli, że Erie i Allen byli gdzie indziej - zupełnie bezpieczni. Musieli być! Jednak temu, co mówił Murphy, trudno było zaprzeczyć. Wyprostowała się i energicznie potrząsnęła głową.

- Dobrze, Murphy. Dzięki za telefon.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i upuściła słuchawkę na podłogę. Huczało jej w uszach, ściany pokoju zdawały się ją zgniatać. Co ten Erie zrobił najlepszego?! Został z Allenem w biurze?! Pracowali nad transakcją? Wydarzyła się największa katastrofa w całej historii kraju, a dla niego nie było ważniejszej rzeczy niż spełnianie zachcianek klientów?!

Z ust Laury wydobył się okrzyk cichej rozpacz:

- Nie, Erie... dlaczego?

Z głębi serca płynął jęk bez słów. Dopiero teraz w pełni dotarła do niej groza sytuacji.

- Boże, pomóż mi!

Narastał w niej desperacki krzyk. Clay przysunął się i położył jej dłoń na plecach. Ten dotyk otrzeźwił Laurę. Obróciła się ku niemu i po chwili wstrząsana głębokim łkaniem utonęła w jego objęciach. Minęło dwadzieścia minut, potem pół godziny. Wreszcie Laura oderwała się od Claya i skoczyła na równe nogi. Wstrząs i smutek poczęły przeradzać się w gniew, jakiego nigdy do tej pory nie czuła.

- Jak on śmiał?! - krzyczała, przemierzając na sztywnych nogach pokój tam i z powrotem. - Nawet dzisiaj praca była dla niego najważniejsza!

Clay w dalszym ciągu nie wiedział, co jej przekazał Murphy. Skrzyżował ręce na piersiach, balansując na krawędzi sofy, niepewny, czy powinien dalej siedzieć, czy wstać i podejść do Laury.

- Znaleźli go?

- Nie - Laura zatrzymała się i odrzuciła z czoła zabłąkany kosmyk włosów. - On i Allen nie zeszli razem z innymi. Zostali w biurze, Clay, a wiesz, dlaczego?

Wyraz twarzy Claya zmienił się, odmalowało się na niej zrozumienie.

- Chyba nie z powodu pracy?

- Właśnie tak! - kroczyła dalej, tym razem szybciej, z rosnącą wściekłością. - Pracowali, kiedy wszyscy inni opuszczali biura!

Zatrzymała się i wsparta pod boki szukała jakiejś odpowiedzi w twarzy Claya.

- Czy nie zasługujemy na więcej?! Nie zdawał sobie sprawy, że nas zostawia, że Josh może zostać bez ojca?!

Clay przygryzł wargi i Laura odgadła, że powstrzymuje się od wypowiedzenia tego, co było oczywiste: że Josh praktycznie nigdy nie miał ojca.

Nie odezwał się jednak ani słowem. Wstał, podszedł do Jamie, objął ją ramionami i przytulił, dokładnie tak, jak tego w tej chwili potrzebowała. Tak, by wygasł w niej gniew, a jego miejsce zastąpił nieogarniony smutek.

- Dlaczego, Clay? Dlaczego to zrobił?

- Jeszcze go odnajdą. Lauro, nie możesz się poddawać. . . .

- Wiem - pociągnęła nosem i odsunęła się na tyle, by móc na niego spojrzeć. Łzy znowu popłynęły jej po policzkach.

- Jestem wściekła, ale wciąż sobie powtarzam, że Erie żyje. Może on i Allen zeszli po kilku minutach? Może poszli inną klatką schodową i minęli się z resztą pracowników firmy? Może teraz znajdują się w jakimś

bezpiecznym miejscu i czekają, aż będzie można wydostać się z miasta i będą mogli zadzwonić do domu?

Clay uważnie spojrzał na Laurę i zaczął mówić cichym, spokojnym głosem:

- Jeżeli do jutra nie będzie żadnych wiadomości, to może tam polecimy. Sprawdzimy w szpitalach. Erie może nie mieć przy sobie żadnych dokumentów. I jeśli leży nieprzytomny w szpitalu, to nie ma żadnego sposobu, żeby cię o tym powiadomić.

Mięśnie twarzy Laury nieco się rozluźniły, na tyle, by złapała swobodny oddech.

- Nie pomyślałam o tym.

- No, widzisz... jest mnóstwo możliwości - lekko ścisnął ją za ramiona. - Znajdziemy go, Lauro! Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Pomysł udania się do Nowego Jorku wydawał się dosyć szalony. Zwłaszcza teraz. Agencja Ruchu Lotniczego poinformowała, że lotniska mogą pozostać zamknięte przez dłuższy czas. To jednak może być jedyna nadzieja...

Wtem przyszedł jej do głowy inny pomysł.

- Może najpierw zadzwoimy, żeby się dowiedzieć, czy są jacyś niezidentyfikowani pacjenci?

- Słusznie!

- Przecież musi gdzieś być.

Wyobraziła sobie Erica i Allena pochylonych nad pracą na sześćdziesiątym czwartym piętrze w chwili zawalenia się budynku. Jeśli nie zadzwoni do jutra, może to oznaczać, że jest w szpitalu albo na przykład ranny w głowę błąka się gdzieś po Nowym Jorku, nie mogąc sobie przypomnieć własnego numeru telefonu. Możliwe też jednak, że obaj zostali żywcem pogrzebani pod gruzami. Ramię w ramię, do ostatnich chwil życia oddani pracy.

Na nowo zaszlochała. Kogo chcą oszukać? Skoro Erie do tej pory nie zadzwonił, to znaczy, że nie żyje. To przecież proste. Razem z Allenem chciał wykorzystać ostatnie minuty na zawojowanie rynku i przyplacił to życiu.

Znowu porwała ją burza emocji. Tym razem nie była w stanie się przed nimi bronić. Nogi się pod nią ugięły.

- Trzymaj mnie, Clay. Dłużej tego nie zniosę... nie mogę.



- Lauro, tak mi przykro - głaszcząc łagodnie tył jej głowy, znowu przyciągnął ją ku sobie. W bezpiecznym kręgu jego ramion poczuła, że może jednak jakoś sobie poradzi. Było to uczucie zupełnie inne od tego, którego doświadczyła w ramionach Claya przed kilkoma dniami. Zniknęły wszystkie pytania, wszystkie wątpliwości, czy aby nie poślubiła niewłaściwego brata. Pozostała tylko serdeczna przyjaźń i pocieszenie. Bez względu na to, jak źle działo się w jej małżeństwie, bez względu na to, jak czuła się w towarzystwie Claya kilka dni temu, ostatnie kilkanaście godzin przyniosło ogromną zmianę. Nie tylko dla Laury i Claya, dla całego kraju.

RS

RS

## Rozdział 16

13 września 2001

Jamie chciała być przy tym, jak Jake się obudzi.

Przez ostatnie dni nieustannie czuwała przy jego łóżku, starając się nie myśleć o tym, co dzieje się w Nowym Jorku i w szeregach straży pożarnej. Na wieść o tragedii ojciec Jake'a niezwłocznie przyjechał do miasta i spotkał się z nią w szpitalu.

- Zostanę ze Sierrą - powiedział, odchodząc. - Zostanę tu tak długo, jak będziesz mnie potrzebować, Jamie.

Rzuciwszy kolejne spojrzenie na Jake'a, dodał:

- Wyjdzie z tego. Czuję to.

Jamie uściśnęła go w podziękowaniu, że swoją obecnością dał jej siłę i cień nadziei, których tak bardzo potrzebowała. Im dłużej Jake był nieprzytomny, tym większy ogarniał ją strach. Optymizm jego ojca dodawał jej otuchy.

- Głowa do góry - ojciec Jake'a pocałował ją w czoło na pożegnanie. - Jake cię potrzebuje. Będzie dobrze.

Jamie nie potrafiła sobie poradzić z uczuciami.

- Tylu zabitych... nie mogę przestać o tym myśleć. Twarz Jima Bryana spowił cień:

- W najczarniejszych snach nie przypuszczaliśmy, że może dojść do czegoś takiego.

Kolejne godziny i dni zdawały się zlewać w jednostajną rutynę. Siedzenie przy Jake'u, krótka drzemka, pobudka, umycie twarzy w malutkiej umywalce w szpitalnej sali, telefon do Sierry, rozmowa z ojcem Jake'a i znowu czuwanie przy łóżku męża.

W środę wieczorem zrobili mu kolejną tomografię, która wykazała gromadzenie się płynu mózgowo-rdzeniowego w stłuczonej części mózgu. Natychmiast przewieziono go na salę operacyjną i odprowadzono nadmiar płynu. Operacja się udała i uchroniła mózg Jake'a przed uszkodzeniem w wyniku wzrostu ciśnienia śródczaszkowego. Tej nocy Jamie ani przez chwilę nie zmrużyła oka, przez cały czas czuwając przy mężu i próbując zrozumieć, co się stało.

Znano już wtedy liczbę ofiar wśród strażaków. Pod gruzami World Trade Center znalazło się ich trzystu czterdziestu trzech. Ekipy ratownicze dwadzieścia cztery godziny na dobę gorączkowo przeczesywały gruzowisko

w nadziei, że pod jego powierzchnią mogły się utworzyć kieszenie powietrzne, w których ludzie wciąż czekali na ratunek. Jednakże z każdą mijającą godziną malały szanse na znalezienie kogokolwiek żywego.

Śmierć pojedynczego strażaka już dawno przestała robić wrażenie na Jamie. Co roku ginęło ich dziesięciu, dwudziestu. Ale te liczby wydawały się niczym w porównaniu z hekatombą 11 września. Przez większą część czasu Jamie potrafiła się skoncentrować wyłącznie na doraźnych sprawach - rozmowach z lekarzami i pielęgniarkami, zachęcaniu Jake'a, by się obudził, zmuszaniu się do zjedzenia czegokolwiek. Ale wystarczyła choćby krótka chwila wytchnienia, by przed jej oczami pojawiał się straszliwy obraz setek strażaków wspinających się po schodach wież World Trade Center. Czy podejrzewali, co się stanie? Czy zdawali sobie sprawę, że każdy krok przybliży ich ku śmierci?

Od wtorku po południu nie miała żadnych wiadomości od Sue, ale wiedziała, że pozostali strażacy z załogi Wozu Gaśniczego 57 nie zostali odnalezieni. Kapitan Hisel odwiedził ją dwukrotnie, we wtorek wieczorem i ponownie we środę. Za jednym i za drugim razem usłyszała od niego dokładnie to, czego się obawiała: nadal figurowali na liście zaginionych, pogrzebani gdzieś pod setkami ton gruzu.

- Jeśli tylko żyją, sądzę, że im się uda - pocieszał ją Hisel. - To twarde chłopy, co do jednego. Silni i wytrzymali. Ratownicy mówią, że mogą tam być miejsca, w których ludzie wciąż czekają na pomoc. Może dotarło do nich trochę wody, którą wciąż polewane jest tłące się rumowisko. Może dzięki niej przeżyją.

Jamie pozwoliła mu mówić, ale go nie słuchała. Kogo próbował oszukać? Jeśli w chwili zawalenia się budynku załoga wozu 57 znajdowała się w okolicach sześćdziesiątego pierwszego piętra, to ciała Larry'ego i pozostałych były teraz gdzieś w połowie głębokości rumowiska. Nie mieli najmniejszej szansy na przeżycie. Mimo to Jamie potakiwała i udawała zainteresowanie. Cóż im pozostawało poza nadzieją.

Po ostatniej wizycie Hisela Jamie opierała się pokusie poznania dodatkowych szczegółów zamachu. Cały ten koszmar był zbyt potworny i im więcej o nim rozmyślała, tym mniej mogła się skupić na innych rzeczach. Był tylko jeden sposób na wyrzucenie z umysłu tych przerażających obrazów - myśli o strażakach rozproszonych wewnątrz bliźniaczych wież na sekundy przed katastrofą.

Siedziała w bezruchu i patrzyła, jak Jake oddycha.

Trzymała go za palce, kciukiem gładziła jego zabandażowaną rękę i szeptała mu do ucha, co tylko przyszło jej do głowy. Czasami mówiła o dawnych czasach, gdy byli jeszcze dziećmi z tej samej okolicy Staten Island, albo o tym, jaki cud w ich życiu sprawiło pojawienie się małej Sierry. Wpatrywanie się w Jake'a pozwalało jej upewnić się, że to wszystko prawda, że faktycznie wyszedł żywy ze straszliwej tragedii, jaką było zniszczenie World Trade Center; że choć rodziny setek poległych strażaków pogrążone były teraz w żałobie, ona miała szczęście. Jej mąż przeżył.

Dwóch lekarzy przyszło porozmawiać z Jamie. Dobre wrażenie zrobił na niej doktor Cleary, sympatyczny mężczyzna o miłym głosie, chętnie udzielający wyczerpujących informacji o stanie zdrowia pacjenta. Nie było najmniejszych wątpliwości, że jej mąż doznał poważnego urazu głowy. Ale Cleary podał jej także inne szczegóły pozwalające lepiej zrozumieć proces rekonwalescencji, któremu Jake zostanie poddany natychmiast po przebudzeniu.

Doktor wyjaśnił, że zdiagnozowano u Jake'a wstrząs mózgu, złamanie lewej kostki oraz oparzenia drugiego stopnia na twarzy i ramionach. Najprawdopodobniej stał gdzieś przy wozie strażackim w chwili, gdy Południowa Wieża World Trade Center runęła. Nie było wiadomo, dlaczego przebywał właśnie tam, a nie z resztą swojej załogi w połowie wysokości budynku. Tak czy owak, gdy wieżowiec się zawalił, spowodowany tym podmuch rzucił go pod samochód.

- Nie miał na sobie kombinezonu i mogło tak być z kilku powodów - powiedział doktor Cleary. Przysunął krzesło i spojrzał Jamie prosto w oczy, zdecydowany pomóc jej przetrwać tę ciężką próbę. Skrzyżował ręce i ciągnął dalej:

- Wiemy, że podmuch zerwał mu buty. Już samo to nam mówi, że możemy mieć do czynienia z dość poważnym urazem głowy. Gdy go przywieźli, podaliśmy mu silną dawkę leków zapobiegających obrzękowi mózgu. Niebezpieczeństwo już minęło. Leki i operacja prawdopodobnie uratowały mu życie.

Doktor przygryzł wargę i zawahał się przez chwilę.

- Niestety, w następstwie urazu pani mąż zapadł w śpiączkę.

- Ale... on z tego wyjdzie, prawda? - Jamie nie dopuszczała do siebie innej możliwości: że nie wybudzi się ze śpiączki lub być może przez resztę życia będzie przykuty do szpitalnego łóżka i karmiony przez rurkę.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, jednocześnie powstrzymując nadciągającą falę mdłości.

- Mózg pani męża wykazuje silną aktywność, a niewielki obrzęk, który u niego stwierdziliśmy, ustępuje - doktor Cleary zdobył się na uśmiech. - Spodziewam się, że w tym tygodniu powinien się obudzić.

Najgorsze wieści lekarz zostawił na środowe popołudnie. Sprawdziwszy parametry życiowe Jake'a, usiadł naprzeciwko Jamie i oznajmił:

- Pani Bryan, martwi nas trochę pamięć Jake'a. Zmarszczył brwi i sprawdził notatki.

- Na oddziale nagłych wypadków powiedziano mi, że kiedy przywieziono do nich pani męża, nie pamiętał, gdzie się znajdował tuż przed utratą przytomności.

Jamie nic wcześniej o tym nie wiedziała i teraz jej serce zamarło.

- To znaczy, że... stracił pamięć? Zaraz, jak to się nazywa?

- Amnezja. Tak jest, to właśnie nas martwi - westchnął lekarz. - Nie da się ukryć, że urazy głowy mogą powodować utratę pamięci. Pytanie: jak dużą i na jak długo.

Zerknął ponownie do notatnika.

- Wygląda na to, że nie pamiętał swojego przyjaciela Larry'ego, ani też nic mu nie mówiła nazwa Wóz Gaśniczy 57.

Jamie poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, objęła się za ramiona i pochyliła, próbując opanować ogarniające ją przerażenie. Jake nie pamiętał Larry'ego?! Ani nikogo ze swojej załogi? Słabym głosem, jakby coś pozbawiło ją tchu, zapytała:

- Jest pan tego pewien?

- Niestety tak - w głosie lekarza dała się słyszeć nutka empatii. - Notatki mówią o tym wyraźnie. Mamy jednak nadzieję, że to tylko krótkotrwała utrata pamięci i że, gdy się obudzi, wszystko sobie przypomni. To nic nadzwyczajnego w przypadku wstrząsu mózgu. Musimy jednak liczyć się z ewentualnością dłuższej amnezji. Uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć.

Doktor Cleary nachylił się lekko w jej stronę:

- Więc sądzi pani, że powinien pamiętać Larry'ego i Wóz Gaśniczy 57?

Jamie zamknęła oczy. Serce jej znowu było jak szalone i nie mogła swobodnie oddychać. Przyglądając się jej uważnie, doktor czekał na odpowiedź.

- Oczywiście, że tak. Bycie strażakiem miał we krwi, panie doktorze. Jego ojciec był strażakiem, a Jake poszedł w jego ślady. To było całe jego życie...

Spróbowała nabrać powietrza, ale wysiłek ten tylko pogłębił jej niepokój.

- Larry to jego... jego najlepszy przyjaciel. Razem są w załodze wozu 57. Jake powinien... wyrwany z najgłębszego snu powinien go od razu skojarzyć.

Doktor Cleary przeniósł spojrzenie na Jake'a i wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Jest jednak coś, co można uznać za dobry znak; coś, co może świadczyć, że utrata pamięci nie będzie całkowita ani nawet długoterminowa.

Dłonie Jamie zaczęły drżeć. Poczekała, aż doktor znajdzie właściwą kartkę.

- O, mam! - Cleary zaczął czytać prosto z notatek. - Pacjent, zanim stracił przytomność, kilkakrotnie wymówił imię „Sierra”.

Serce aż podskoczyło Jamie w piersi, a łzy napłynęły jej do oczu. Jake pamiętał Sierrę! Doktor patrzył na nią, czekając na odpowiedź, ale ona ledwie go dostrzegала. Jake może i zapomniał Larry'ego i kolegów z zastępu, ale pamiętał o swojej najdroższej córeczce!

- Sierra to... nasza córka.

- Świetnie - uśmiech rozjaśnił oblicze lekarza. Cleary przekrzywił głowę i ponownie spojrzał na Jake'a.

- Tak na dobrą sprawę, możliwe, że po ustąpieniu obrzęku, gdy już się obudzi, nie stwierdzimy u niego żadnych objawów utraty pamięci. Poczekaamy, zobaczymy. W końcu porządnie oberwał w głowę. Wszystko jest możliwe.

Teraz był czwartek rano i Jamie nie spała już od pół godziny, wystarczająco długo, by zorientować się, że stan Jake'a nie uległ zmianie. Przeszła na drugi koniec sali i spojrzała przez okno. Inny budynek całkowicie zasłaniał widok. Patrząc przez szybę, można było jedynie stwierdzić, czy jest dzień lub noc. Jamie wróciła do Jake'a i zacisnęła dłonie na metalowych prętach łóżka.

- Obudź się, kochanie. Proszę.

Czekała na jakąś jego reakcję, uważnie mu się przypatrując. Ale nic się nie zmieniło, nic nie wskazywało na to, że Jake kiedykolwiek wyjdzie ze śpiączki.

Nagle jej spojrzenie padło na wiszący na ścianie zegar. Podeszła do telefonu. Sierra pewnie już się obudziła, a Jamie bardzo tęskniła za córką. Usiadła na krześle przy łóżku Jake'a i wybrała numer.

Sierra odebrała po drugim sygnale. Jamie zamknęła oczy i poczuła, jak kąci jej ust unoszą się lekko.

- Cześć maleńka, jak ci tam z dziadziem?

- Dobrze - odpowiedziała dziewczynka, ale słysząc było, że jest zmartwiona.

- Kiedy wrócić z tatusiem do domu?

- Już niedługo, kochanie. Gdy tylko tatuś się obudzi, zaraz przyjedziemy, dobrze?

- Modłę się za tatusia, mamusiu. Dziadziu mówi, że Pan Bóg pomoże tatusiowi wyzdrowieć.

Jamie puściła mimo uszu te słowa. Jeśli Jake wyjdzie ze szpitala, to wcale nie z woli Boga. A co z Larrym? Larry kochał Boga, nieprawdaż? Dlaczego tamtego dnia Bóg go nie uratował? A ta ogromna masa innych ludzi, którzy znaleźli się w podobnej sytuacji? Wielu z nich było głęboko wierzących, ufnie modlących się do Boga. I niby o co? O losowo rozdawane szanse na życie lub śmierć, w zależności od tego, gdzie kto był o dziewiątej rano w ten wtorkowy poranek?

- Mamusiu?

- Tak, słoneczko, jestem - Jamie skupiła uwagę na głosie córeczki. - Byłaś grzeczna?

- Mmmhmm. Dziadzio powiedział, że weźmie mnie dziś wieczorem na lody, dobrze? Takie waniliowe...

- Dobrze, myszko. Idź na lody z dziadziem. Już niedługo wrócimy z tatusiem do domu.

Do telefonu podszedł ojciec Jake'a i przez chwilę rozmawiali o dziewczynce. Gdy skończyli mówić o niej, Jamie zamilkła. Pewne szczegóły wypadku Jake'a nie trzymały się kupy.

- Dobrze... - powoli nabrała powietrza - mam dwa pytania.

- Nie ma sprawy - Jim Bryan musiał siedzieć obok Sierry, bo w tle słysząc było chichot dziewczynki. - Pytaj, o co chcesz.

- Dlaczego Jake miałyby odłączyć się od reszty załogi i zejść na dół do wozu? - lekko westchnęła, dając wyraz swojemu przygnębieniu. - To zupełnie do niego niepodobne...

- A drugie pytanie?



- Dlaczego nie miał na sobie kombinezonu? Przyjechali gasić bodaj najgorszy z możliwych pożarów, a Jake był bez kombinezonu? To bez sensu.

Jamie usłyszała, jak ojciec Jake'a wychodzi z pokoju, w którym był do tej pory, i przenosi się w spokojniejsze miejsce.

- Myślałem o tym. Znam Jake'a jak mało kogo. Nie zapominaj, że przez lata służyliśmy razem i pewne rzeczy po prostu się wie, a w przypadku Jake'a dochodzi jeszcze to, że jest moim synem, częścią mnie samego. Tu już nie chodzi o jego umiejętności i doświadczenie, ale o sposób myślenia, zachowanie podczas akcji.

- Wy tłumacz mi - Jamie skupiła się na słowach Jima. Jak by nie patrzyła na całą tę sytuację, brakowało w niej sensu.

- OK, po kolei... Wiemy, że Jake wchodził na górę głównymi schodami, klatką schodową B. To jedyna z trzech klatek schodowych w budynku wiodąca na sam jego szczyt.

- Zgadza się. Kapitan Hisel mówił mi o tym. Najwyraźniej ojciec Jake'a wszystko dokładnie przemyślał. Bez chwili wahania ciągnął dalej:

- Tak, jak ja to widzę, załoga wozu 57 była w połowie drogi na sześćdziesiąte pierwsze piętro, gdy komuś ze schodzących schodami coś się stało. Zasląbnienie, może wyczerpanie, panika... Co by to nie było, ten ktoś nie mógł iść dalej o własnych siłach.

- A Jake jako pierwszy przyszedł mu z pomocą - Jamie zaczynała wszystko rozumieć. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślała, bo w głowie jej się nie mieściło, że Jake mógłby zostawić Larry'ego. Nigdy jeszcze tego nie zrobił.

- Zgadza się. Larry niewątpliwie też. Ale w tamtym momencie Jake, choć wiedział, że budynek jest w niebezpieczeństwie, powiedział Larry'emu, żeby szedł dalej bez niego.

- Ale dlaczego? Oni zawsze trzymali się razem.

- Ponieważ Jake zamierzał sprowadzić poszkodowanego na dół, a potem dołączyć do reszty. Zmuszanie Larry'ego do schodzenia i dodatkowej wspinaczki nie miało sensu, skoro była tylko jedna ofiara wymagająca zniesienia po schodach.

Na twarzy Jamie odmalował się błysk olśnienia. Oto doskonałe wytłumaczenie! Ojciec Jake'a miał całkowitą rację - oczywiście, że Jake tak właśnie by postąpił. Jeszcze nie dotarli do pożaru. Dopiero wchodzili na górę. Gdyby walczyli z pożarem, Jake nigdy nie zostawiłby Larry'ego. Ale

skoro do zniesienia ofiary na dół potrzebny był tylko jeden strażak, Jake pierwszy zgłosił się na ochotnika. W życiu nie przyszłoby mu do głowy prosić Larry'ego, by mu towarzyszył. Czemu by to miało służyć? Do wykonania tego zadania wystarczył przecież jeden człowiek. Jamie przełknęła ślinę i mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Ale co... co z jego kombinezonem? Gdy go znaleźli, nie miał go na sobie.

- Też mi to nie dawało spokoju - Jim Bryan zaśmiał się cichutko. - I wtedy przypomniałem sobie coś, co zdarzyło się w 1993 roku. Jake i ja byliśmy jednymi z ostatnich strażaków, którzy przyjechali na miejsce zamachu bombowego w World Trade Center. Pożar został już ugaszony, ale na wszelki wypadek skierowano nas na wyższe piętra, żeby zapewnić sprawny przebieg ewakuacji. Wdrapaliśmy się bodaj na pięćdziesiąte piętro, starannie sprawdzając każdą klatkę schodową, poszukując ludzi, którzy albo zasłabli, albo ociągali się z wyjściem. W drodze powrotnej na dół Jake powiedział coś, co sobie przypomniałem dopiero dziś rano...

Jamie niecierpliwie czekała na dalszy ciąg. Spojrzała na leżącego na łóżku męża. Nic się nie zmieniło, nadal leżał nieruchomo. Jego klatka piersiowa unosiła się miarowo, ale nic nie wskazywało, że może się obudzić.

W słuchawce Jim Bryan zaśmiał się.

- W drodze na dół Jake ciągle powtarzał, że najchętniej zrzuciłby z siebie kombinezon.

- Dlaczego? - Jamie wciąż nie rozumiała.

- Bo po pokonaniu dwudziestu pięter w ciężkim kombinezonie człowiek jest wykończony. Schodząc na dół, wiedzieliśmy już, że niebezpieczeństwo minęło. Jedyne, o czym marzył Jake, to zdjąć kombinezon i gnać w dół po dwa stopnie. W kombinezonach musieliśmy schodzić wolnym tempem.

- Więc sądzisz, że...

- Sądzę, że Jake miał poszkodowanego na plecach i po paru piętrach uznał, że można schodzić znacznie sprawniej i szybciej. Prawdopodobnie na którejś kondygnacji na moment zszedł z klatki schodowej, położył tego kogoś na podłodze i zdjął kombinezon. Następnie zarzucił sobie człowieka ponownie na plecy i popędził z nim na dół.

To brzmiało naprawdę sensownie!

- Wracając na górę, zamierzał odszukać swój kombinezon, włożyć go i znowu być gotowym do gaszenia ognia - dopowiedziała Jamie.

- No właśnie - ton Jima się zmienił. - Tyle, że już nie miał ku temu okazji. Zapewne był gdzieś przy samochodzie, udzielając pomocy poszkodowanemu, gdy budynek się zawalił.

- Więc... jeśli to jest wytłumaczenie, to ciekawe, co się stało z człowiekiem, którego uratował?

- Może zabrała go karetka - Jim Bryan zrobił krótką pauzę. - A może zginął pod gruzami. Przypuszczam, że gdyby Jake nie udał się z powrotem do wozu, on też zostałby pogrzebany pod rumowiskiem. Tylko on sam może nam powiedzieć, jak było naprawdę.

- O ile będzie pamiętał - Jamie już wcześniej przekazała Jimowi wszystko, co usłyszała od lekarza.

- Tak... Podejrzewam, że dowiemy się tego dopiero, gdy się obudzi.

Skończyli rozmowę i Jamie znowu zaczęła przyglądać się Jake'owi. Już od godziny do sali nikt nie wchodził i chciało jej się spać. Ciągle jednak wpatrywała się w nieprzytomnego męża, szepcząc do niego, próbując go zachęcić, by wyszedł z ciemnej otchłani snu, i cały czas ściskając koniuszki palców jego prawej dłoni.

- Wiesz co? Właśnie rozmawiałam z Sierrą. Nie może się doczekać twojego powrotu do domu. Teraz jest z nią twój tata, ale doktor mówi, że to już niedługo. Jest z tobą coraz lepiej - powiedziała, uważnie obserwując leżącego. Twarz wciąż miał zabandażowaną z powodu oparzeń. Tyle, że teraz w związku z operacją zgolono mu jego krótko przystrzyżone ciemne włosy, a obwiązana bandażami głowa wydawała się jeszcze większa niż przedtem. Musnęła ustami jego dolną wargę.

- Trzymamy za ciebie kciuki, Jake.

Ledwie wypowiedziała jego imię, gdy poczuła, że jego palce się poruszają.

- Jake! - tym razem nie szeptała. Ryzyko, że nadmiar bodźców może spowodować obrzęk mózgu, już dawno minęło, więc nie musiała ściszać głosu. - Jake, mój kochany, słyszysz mnie?

Gdzieś z głębi jego piersi wydobył się jęk, po czym zapadła cisza. Fałszywy alarm - powiedziała do siebie Jamie. - A jeśli nie?

- Jake... obudź się, kochanie. To ja, Jamie. Jestem tu, czekam na ciebie.

Jake ponownie wydał cichy jęk, przy czym lekko poruszył głową w prawo i w lewo. Jamie zerwała się na nogi. To się działo naprawdę! Jake się budził! Wybiegła na korytarz i gestem przywołała pielęgniarkę.

- Szybko... proszę zawołać doktora Cleary'ego. Mój mąż odzyskuje przytomność!

Jamie w euforii, niemal frunąc w powietrzu, wbiegła z powrotem do sali. Jeśli Jake się teraz obudzi, odzyska pamięć i zdrowie, lekarze chyba będą musieli odklejać ją od sufitu.

Podeszła do leżącego i ponownie wzięła go za rękę. Wciąż pojękiwał, wciąż się poruszał. Najpierw głowa i ramiona, potem nogi i stopy. Kontuzjowaną lewą kostkę miał teraz w gipsie, który mu założyli na sześć tygodni. Ale poza tym był w zasadzie zdrowy. Doktor Cleary zapewnił ją, że oparzenia szybko się zagoją.

Jedynie wątpliwości dotyczyły mózgu Jake'a.

- Jake... słyszysz mnie?

Zamrugnął, ledwo otwierając oczy. Wyglądał jak człowiek, który pierwszy raz widzi światło po tygodniu spędzonym w podziemiach.

- Mmmmmmm - jęk było teraz głośniejszy i wyraźniejszy. Serce Jamie zabiło szybciej. Jake próbował coś powiedzieć!

- Jestem tutaj, Jake - wciąż stała bez ruchu, trzymając prawą dłoń na jego kolanie, a lewą ściskając jego palce. - Świetnie ci idzie. Słyszysz mnie, kochanie?

Znowu mrugnął. Przymrużonymi oczyma rozglądał się po pokoju aż w końcu jego wzrok padł na nią. Wtedy też Jamie z przerażeniem uświadomiła sobie, że Jake, owszem, patrzy na nią, ale w ogóle jej nie poznaje!

To były jego oczy, bez wątplenia. Ten sam odcień błękitu, te same rzęsy. Od dzieciństwa oczy Jake'a rozświeślały się na jej widok za każdym razem, gdy się spotykali. Aż do teraz.

Bo teraz w jego oczach nie było miłości, nie błyskała w nich najmniejsza iskierka, nie odbijały się żadne wspomnienia. Zupełna pustka. Jakie skutki mogło mieć to uderzenie w głowę? A jeśli Jake się zmienił i nie jest już taki jak dawniej? Odpędziła tę myśl, zanim na dobre zdążyła się ukształtować. Nie zmienił się! Po prostu jest oszołomiony i ranny, potrzebuje czasu, by dojść do siebie. W końcu przecież doznał urazu głowy. Czego się spodziewała?

- Jake, najdroższy, słyszysz mnie?

Za drzwiami w korytarzu rozległy się kroki i słychać było gwar, nad którym unosił się głos doktora Cleary'ego. Nadchodzili lekarze. Musieli go zobaczyć, oczywiście, ale jeszcze nie teraz. Jamie chciała najpierw sama się

przekonać, co dokładnie jej mąż pamięta, a co zapomniał, gdy podmuch walącej się Południowej Wieży cisnął nim pod wóz strażacki.

Jake nadal na nią patrzył, a jego pozbawione wyrazu spojrzenie sprawiało jej niewymowny ból. Spróbowała jeszcze raz.

- Jake, słyszysz mnie?

Usta chorego rozchyliły się lekko i na powrót zamknęły. Wreszcie ogromnym wysiłkiem woli otworzył je nieco szerzej i zapytał o coś, co musiało nie dawać mu spokoju, odkąd się przebudził; coś, co sprawiło, że świat Jamie zachwiało się w posadach, i kazało się zastanowić, czy ich wspólne życie kiedykolwiek będzie jeszcze takie jak dawniej.

- Kto... - wykrztusił przez spierzchnięte wargi. - Kto to jest Jake?

RS

## Rozdział 17

13 września 2001

Praktycznie nic tu nie miało sensu. Jake, jeśli rzeczywiście tak miał na imię, zorientował się, że jest w szpitalu. Ale od kilku godzin do jego uszu dobiegał jedynie nieznamy kobiecy głos. Miły głos, którego nigdy wcześniej nie słyszał.

Przemawiała do niego bez przerwy, mimo że oczy miał zamknięte i nie mógł się poruszyć. Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta martwi się o niego, no ale to łatwo było zrozumieć. Sam martwił się o siebie. Dziwne jednak było to, że mówiła do niego „Jake”, opowiadała mu o ich wspólnym domu, o jego ojcu i córce.

Z wszystkiego, co powiedziała do tej pory, tylko jedno imię przywoływało w jego umyśle czyjąś twarz: Sierra. Potrafił wyobrazić ją sobie wyraźnie, jak... jak nigdy.

I właśnie świadomość tego podpowiadała mu, że coś tu jest nie tak. Gdy wreszcie poczuł, że może poruszać ustami, zadał stojącej przy nim ciemnowłosej kobiecie to budzące w nim strach pytanie. Kto to jest Jake? Na twarzy kobiety nadzieja ustąpiła miejsca przerażeniu. Ale to nie była odpowiedź na jego pytanie, więc spróbował jeszcze raz.

- Kto to jest Jake?

Do pokoju weszło dwóch lekarzy i kobieta odwróciła się w ich stronę. Jake nie słyszał, co mówiła, ale cokolwiek to było, sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Chciał do nich krzyknąć: „Hej, a co ze mną?”. Nie miał pojęcia kim jest, ale to oni byli zdenerwowani. Czuł się jak wariat, jak gdyby obudził się na jakiejś obcej planecie.

Potwornie bolała go głowa, ale poza tym wszystko zdawało się być w porządku. Na lewej kostce miał gips, a na rękach bandaże. Podniósł obie ręce ponad głowę i wolnymi palcami pomacał się po twarzy i głowie. Też były zabandażowane. Musiał mieć jakiś wypadek, może samochodowy. Tak właśnie musiało być. Ale dlaczego nie pamiętał, jak się nazywa? Dlaczego nikt nie chciał odpowiedzieć na jego pytanie o tego całego Jake'a? Czy to niby miał być on? W ogóle nie kojarzył tego imienia.

Trio przy drzwiach wciąż coś między sobą szeptało. Podniósł głos i powiedział wyraźnie, tak żeby go usłyszeli:

- Czy ktoś... odpowie na moje pytanie? Kto to jest Jake?

Wymawianie słów przychodziło mu łatwiej, ale wciąż wypowiadał je powoli, chrapliwym głosem:

- Czy... to szpital?

Jeden z lekarzy spojrział na niego ponad ramieniem kobiety i uśmiechnął się, po czym skinął na kolegę i obaj podeszli do łóżka. Kobieta odsunęła się na bok i oparła o ścianę. Twarz miała bladą, a oczy zaczerwienione i pełne łez.

- Tak, to szpital - młodszy z lekarzy przysunął się najbliżej, jak mógł. - Jestem doktor Cleary, a to jest mój kolega, doktor Hammond. Miał pan...

- Co się stało? - jego głos zabrzmiał nieoczekiwanie głośno i niegrzecznie, ale Jake się tym nie przejął. Początkowo sądził, że to sen, jak gdyby po prostu miał kłopoty z obudzeniem się. Ale teraz cała sytuacja zaczynała być niepokojąca. Nie wiedział, jak ma na imię, nie znał żadnego Jake'a i nigdy wcześniej nie widział tej kobiety stojącej przy drzwiach. Jednak najwyraźniej ona znała jego. To wszystko sprawiało, że odczuwał nieznaną wcześniej niepokój.

Doktor Cleary zawahał się przez moment.

- Miał pan wypadek.

- Taak... to wiem - potarł się po głowie, krzywiąc się przy tym z bólu. Cały był obolały, jakby stratowało go stado dzikich koni. Pulsujący ból w głowie mącił mu jasność myślenia. Mówienie wymagało wielkiego wysiłku.

- Czy... miałem operację?

- Tak. Ale wszystko ładnie się goi.

- Jak długo? - Jake rozejrzał się po sali i napotkał spojrzenie kobiety. Jak najszybciej odwrócił wzrok. - Jak długo... tu jestem?

Doktor wymienił spojrzenia ze swoim kolegą i Jake odniósł wrażenie, że nie mówią mu wszystkiego.

- Trzy dni. Znaleźli pana pod pańskim wozem strażackim. Miał pan rozbitą głowę i poparzoną twarz i rękę.

- Poparzone? - był zbyt wstrząśnięty, by wykrztusić z siebie coś więcej, chociaż setki pytań kłębiły się w jego głowie.

- Miał pan szczęście. Nic poważniejszego niż oparzenia drugiego stopnia. Za jakieś sześć miesięcy nie powinno być po nich śladu.

Informacje docierały do niego zbyt szybko. Jake zmrużył oczy, czując nagły przypływ mdłości. Co powiedział ten lekarz?

- Czy ja mam jakiś wóz strażacki? Doktor Cleary uśmiechnął się.

- Niekoniecznie pan jest jego właścicielem. To wóz, w którym wraz kolegami z jednostki jeździ pan gasić pożary.

- Ten doktor najwyraźniej zwariował, no bo jak inaczej to nazwać? - pomyślał Jake, a głośno powiedział: - To znaczy, że jestem strażakiem?

- Tak.

Tym razem uśmiech zniknął z twarzy doktora i w pokoju zapanowała cisza. Wciąż stojąca przy ścianie kobieta już nie patrzyła na Jake'a. Zwiesiła głowę i najwyraźniej wpatrywała się w coś na podłodze. Lekarz odwrócił się do niej i o coś zapytał. Jake domyślił się, że wszystkie informacje o nim pochodziły od niej. Doktor skierował spojrzenie z powrotem na pacjenta.

- Od zawsze był pan strażakiem. Niczym innym się pan nie zajmował.

Jake'owi ze zdumienia opadła szczęka.

- Nie jestem strażakiem i... nie mam na imię Jake - zasłoniwszy oczy ręką, starannie cedził słowa. Głos miał zachrypnięty i ledwo było słyhać, co mówi. Odczuwał coraz większe napięcie. Dlaczego nie mógł sobie niczego przypomnieć? Cała ta scena była jak żywcem wyjęta z oddziału psychiatrycznego. - Nie jestem żaden Jake.

Kobieta zasłoniła sobie usta rękami, wydała zdławiony szloch i wybiegła z pokoju. Doktor Cleary wykonał ruch, jakby chciał ją zatrzymać, ale potem zmienił zdanie. Obrócił się znów do Jake'a, ale tym razem pierwszy odezwał się doktor Hammond:

- W porządku. Jeśli nie jest pan Jakiem, to w takim razie, kim pan jest? Proszę nam powiedzieć, jak się pan nazywa, a my spróbujemy panu pomóc.

Zastanowił się nad usłyszonym właśnie pytaniem, ale po raz pierwszy, od kiedy się obudził, nie znał odpowiedzi. Wiedział, że nie jest Jakiem i z pewnością nigdy nie gasił pożarów. Ale kim w takim razie był?

- Nie... nie jestem pewien.

Doktor Hammond powoli skinął głową.

- Może jest pan biznesmenem? Pracuje pan na Manhattanie?

- Manhattanie? - nazwa wydała się znajoma, ale nie był biznesmenem. Pojęcie to było mu całkowicie obce.

- Gdzie jest Manhattan?

Lekarze wymienili szybkie spojrzenia i ponownie przemówił doktor Cleary:

- W Nowym Jorku. To dzielnica finansowa.



- Nie - Jake potrząsnął głową. - Nie pracuję tam. Doktor Cleary trącił łokciem kolegę i gestem wskazał na drzwi. Zniżył głos do szeptu, ale Jake i tak go usłyszał.

- Upewnij się, czy wszystko z nią w porządku.

Drugi lekarz przytaknął i wyszedł z pokoju. Doktor Cleary zwrócił się ponownie w stronę Jake'a, spoglądając na niego ze zrozumieniem w oczach.

- Wiem, że to dla pana ciężkie chwile. Uraz mózgu może w znaczący sposób wpłynąć na zdolność zapamiętywania. Spróbujemy odpowiedzieć na jeszcze parę pytań, dobrze?

- Nie - Jake chciał wcisnąć głowę w poduszkę i zapaść w sen. Może dzięki temu jego mózg zacznie znowu normalnie pracować. - Ja tylko chcę... być normalny.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Robimy, co tylko w naszej mocy, by panu pomóc - Cleary zawiesił na chwilę głos. - Tylko parę dodatkowych pytań.

Jake zacisnął mięśnie szczęki tak, że aż poczuł ból w całej twarzy.

- Dobrze - skrzywił się zrezygnowany. - Niech pan pyta.

- Jest pan żonaty?

Nie było to podchwytliwe pytanie, ale - usłyszawszy je - poczuł w głowie pustkę. Zerknął na swoją lewą rękę i podniósł ją do góry.

- Mam obrączkę - stwierdził.

- No tak, dobrze. Ale czy pamięta pan coś, co wiąże się z żoną, małżeństwem?

- A więc mam żonę? - Jake'owi zrobiło się zimno. Przeszedł go dreszcz i zęby zaczęły mu szczekać. - Czy... czy ta kobieta, która tu... czy to właśnie moja żona?

Doktor Cleary przytaknął.

- Ona naprawdę chce panu pomóc. Bardzo pana kocha.

Skóra na twarzy Jake'a piekła niemiłosiernie, a głowę rozsadzał przenikliwy ból, który nie ustępował mimo podania leków uśmierzających. Musiał jednak dowiedzieć się, kim naprawdę jest. Nawet jeśli miało to pochłonąć całą energię, jaka w nim pozostała. Nie mógł uwierzyć, że padające pytania dotyczą właśnie jego. Miał na imię Jake. Był strażakiem wiodącym szczęśliwe życie u boku kobiety, której nawet nie poznawał. Nie było innego wyjścia, musiał przetrwać ból i próbować znaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

Jake obliznął wargi i zorientował się, że są opuchnięte i popękane.

- Czy nasze małżeństwo było szczęśliwe?

- Pańska żona mówi, że tak. Każdą wolną chwilę spędzaliście razem.
- W jaki sposób? - Jake dzwonił zębami i trząsł się cały.
- Przynieść panu koc? - zapytał doktor.
- Tak, proszę.

Cleary zniknął za drzwiami, ale nie minęła minuta i już był z powrotem. Przyniesionym kocem otulił Jake'a, któremu od razu zrobiło się cieplej. Lekarz spojrział na niego i zadał kolejne pytanie:

- Pamięta pan, gdzie pan mieszka?

Głos doktora brzmiał teraz poważnie, jak gdyby to pytanie było niezwykle istotne, a on tak naprawdę nie spodziewał się usłyszeć na nie odpowiedzi.

Serce Jake'a łomotało jak opętane. Gdzie mieszkał? W Nowym Jorku? Na Florydzie? A może w Michigan lub w San Francisco? Pieczenie twarzy i ból głowy stawały się nie do zniesienia. Jak do cholery miał odpowiadać na pytania, skoro ledwo mógł oddychać?

- Przepraszam... - powiedział doktor Cleary, nie mogąc się doczekać na odpowiedź. - Może rzeczywiście to za dużo jak na pierwszy raz. Możemy spróbować później.

- Czy mógłby... - Jake przerwał mu, krzywiąc się z wysiłku, jaki sprawiało mu mówienie. - Czy mógłby mi pan dać jakiś wybór?

- Ma pan na myśli miasta? Jake nieznacznie skinął głową.

- Być może... - znowu mówił zniecierpliwionym tonem. Ach, gdyby tylko pozbył się tego bólu głowy. - Może któreś... wyda mi się znajome.

- Dobrze - rzekł doktor Cleary. Przycisnął do piersi swój notatnik i z przekrzywioną głową powiedział:

- Nowy Jork?

Jake w ledwie zauważalny sposób pokręcił głową.

- Nie, nie Nowy Jork.

- Los Angeles?

- Nie.

- Wie pan co? Będę wymieniał miasta po kolei. Gdy usłyszysz pan coś znajomego, proszę mi przerwać.

Jake nie mógł się z tym pogodzić. Co się stało z jego mózgiem, że nie pamiętał nawet, jak się nazywa i gdzie mieszka? A co, jeśli nigdy się tego nie dowie? Poczuli, jak narasta w nim panika, i przez moment chciał stamtąd uciec, puścić się biegiem przed siebie i znaleźć sobie jakieś zaciszne

miejsce. Mógłby wtedy usiąść i poczekać, aż wszystko ułoży się w sensowną całość.

Niestety, był podłączony do kilku monitorów i plątaniny rurek, miał gips na nodze, zatem bieganie raczej nie wchodziło w rachubę. Zresztą i tak nic by to nie dało.

- Dobrze - w jego głosie wyraźnie pobrzmiwała nutka frustracji. Poza tym miał sucho w ustach i chciało mu się pić. - Proszę... niech pan mówi.

- Boston, Detroit, Santa Fe, Colorado Springs, phoenix... - doktor Cleary zrobił pauzę i uniósł brwi.

- Któreś z nich?

- Nic... zupełnie nic - czekał na kolejne nazwy, a jego czoło zrosił pot.

- Staten Island, Seattle, Portland, Oklahoma City... - lekarz zawahał się. - Nic się panu nie skojarzyło, gdy powiedziałem Staten Island?

- Wody - jęknął Jake, opuszczając powieki. Doktor zamrugał.

- Chce pan wody?

- Tak, poproszę.

Cleary sięgnął po stojący na stoliku plastikowy kubek i przytknął słomkę do ust pacjenta. Jake pociągnął łyk wody, a jego twarz skrzywił grymas bólu. Wziął jeszcze dwa łyki, po czym opadł na poduszkę. Doktor odstawił kubek na miejsce.

- Staten Island. Czy to wywołało jakieś wspomnienia?

- Nie... nic. Nie mam pojęcia, skąd jestem - Jake powoli wciągnął powietrze. - Ani też kim jestem.

Zamknął oczy i siłą woli zmusił się do zachowania spokoju. Gdy ponownie je otworzył, skierował wzrok za okno.

- To jakiś koszmar, panie doktorze - mówienie przychodziło mu jakby nieco łatwiej. - Czy może mi pan coś przepisać? Jakies lekarstwo... coś, co pomoże mi odzyskać pamięć. Ja chyba zwariuję!

- Nie ma na to lekarstwa. Potrzeba tylko czasu - doktor spojrział na Jake'a z troską. - Czy jest coś... czy przypomina pan sobie jakieś szczegóły ze swojego życia z okresu przed utratą pamięci?

Jake zamknął oczy i wyteżył umysł, jakby próbował przebić się przez gęstą ścianę mgły. Niczego nie mógł zobaczyć, absolutnie niczego. Spróbował jeszcze raz, aż w końcu...

W rozległej pustce coś jakby zaczęło nabierać kształtu, choć początkowo nie był w stanie stwierdzić, czy to osoba, czy kwiat. Ale coś tam było i po chwili zobaczył twarz małej dziewczynki z długimi kręconymi włosami.

Wraz z obrazem dziewczynki Jake ujrzał wyraźnie jej imię, jak gdyby miał je Wypisane pod powiekami.

- Tak - otworzył oczy i popatrzył na doktora.

- Gdy się mocno skoncentruję, widzę małą dziewczynkę z długimi kręconymi włosami.

Przygryzł wewnętrzną stronę dolnej wargi, aby zapomnieć o piękającej twarzy.

- Nie widzę... nie widzę dokładnie, jakie ma oczy. To mała dziewczynka... nie ma chyba więcej niż cztery albo pięć lat.

Ta ostatnia informacja wyraźnie ucieszyła lekarza. Ale jego entuzjazm nie udzielił się Jake'owi, który nadal nie wiedział, co to za dziecko. Wiedział tylko, że skądś je zna.

- Nie jestem pewien, jak ona ma na imię - Jake wskazał głową na kubek i doktor pozwolił mu wypić parę łyków wody. Nie miał już kropli potu na czole, ale jego świat wciąż był wywrócony do góry nogami. - Ciągłe jednak mam przed oczami imię „Sierra”. Widzę je, ilekroć ją sobie wyobrażam.

- Bardzo dobrze. W pańskim przypadku utrata pamięci nie jest całkowita.

- Czy ja ją znam?

- Tak - doktor pozwolił sobie na półuśmiech.

- To pańska córka.

Jake mrugnął dwa razy. Jego córka? To on ma córkę? Od kiedy? A kto jest jej matką? Dlaczego nie pamięta nic prócz twarzy i imienia tej dziewczynki? Na powrót ogarnęła go złość.

- To jakiś obłąd - wyszeptał, a łzy napłynęły mu do oczu. Zaciśnął usta, ignorując spowodowany tym ból.

- Muszę się dowiedzieć, kim jestem.

- Przekonamy się, czy to pomoże - doktor Cleary starannie i powoli wypowiadał słowa. - Nazywa się pan Jake Bryan i ma pan żonę Jamie. Znacie się jeszcze ze szkoły średniej i dorastaliście w tej samej okolicy na Staten Island - lekarz zerknął do swoich notatek i ciągnął dalej: - Pański ojciec był strażakiem i cywilnym kapelanem, pan również od najmłodszych lat chciał zostać strażakiem. Tak też się stało. Zaraz po maturze wstąpił pan do nowojorskiej straży pożarnej, a rok później ożenił się pan z Jamie. Mieszkacie w domu odziedziczonym po rodzicach Jamie, którzy jakiś czas potem zginęli tragicznie w wypadku samochodowym. Cztery lata temu urodziła wam się córeczka, której daliście na imię Sierra Jane.

Doktor Cleary zrobił pauzę, a kąciki jego ust uniosły się lekko.

- Jesteście sobie bardzo bliscy. Przynajmniej tak twierdzi Jamie.

Jake'owi zakręciło się w głowie. Nie dość, że pogrążył się w oceanie bólu i strachu, to jeszcze teraz poczuł się jak jakiś tajny agent. Jak ktoś, dla kogo spreparowano nową tożsamość, i któremu znajoma wydawała się tylko twarz dziewczynki o imieniu Sierra. Nic z tego, co właśnie powiedział mu lekarz, nie poruszyło żadnej struny w jego pamięci. A może po prostu nie miał pamięci... Może zdolny był jakoś funkcjonować i rozmawiać, ale zupełnie niezdolny zapamiętać cokolwiek na dłużej?

Ale przecież to nie wina doktora. Nic, co ten mógł mu powiedzieć, nie ułatwi mu poznania prawdy, której i tak sam będzie musiał stawić czoło. Jake podniósł wzrok na Cleary'ego i powiedział:

- Dziękuję panu, doktorze. Chciałbym na chwilę zostać sam, jeśli można. Za jakieś dziesięć minut proszę przysłać tę kobietę... - zawiesił głos na trzy sekundy i odchrząknął. Na nic się to zdało, nadal mówił chrapliwym szeptem. - Moją... moją żonę. Proszę jej powiedzieć, żeby tu później przyszła, dobrze?

Gniew powoli zniknął. Nie było sensu wściekać się na lekarzy lub na tę ładną brunetkę. Przecież chcieli mu tylko pomóc.

- Tak zrobię - doktor przytaknął i wyszedł. Zostawszy sam, Jake zacisnął dłonie w pięści i przyłożył je do oczu. Czuł napływające łzy, ale powstrzymywał płacz. Tu potrzeba czasu, a nie łez. Dużo czasu spędzonego w samotności, by w spokoju mógł dojść do tego, kim naprawdę jest. Został pozbawiony swojego „ja” i potrzebował godzin, a może dni, by przekonać się, co stracił, by zrobić swoisty remanent pustych miejsc w mózgu. Przydarzyło mu się coś strasznego: wszystkie wspomnienia, wszystkie zapamiętane osoby, miejsca, zdarzenia, z których utkane było jego życie, zostały mu ukradzione. Wszystkie wspomnienia, co do jednego.

Aby zyskać pewność, spróbował dokonać jeszcze jednego remanentu pamięci. Przez niemal pięć minut usiłował przywołać wspomnienia z dzieciństwa, ze szkoły, ze służby w straży pożarnej, z życia rodzinnego u boku tej... tej całej Jamie, swoje doświadczenia jako ojca. Ale jakby się nie starał, wynik zawsze był ten sam. Skarbnica jego wspomnień została całkowicie obrabowana.

Dreńczyły go też inne pytania - na przykład, jakie miał szanse na to, że w cudowny sposób wróci mu pamięć? Bo jak niby miał wykonywać pracę, na temat której nic teraz nie wiedział? Jednak te pytania mogły poczekać. Ponad nimi unosiło się jedno o wiele ważniejsze pytanie, które zadał na

początku rozmowy z lekarzem, ale na które jak do tej pory nie otrzymał odpowiedzi.

Co było tego przyczyną? Może ta kobieta, jego żona, mu to powie. Cokolwiek to było, musiała wiązać się z tym wielka trauma, zbyt wielka, by o niej mówić. Lekarze wyraźnie nie chcieli wdawać się w szczegóły. Co jeśli, na przykład, siedział za kierownicą tego wozu strażackiego i kogoś śmiertelnie potrafił? Przerazających możliwości było całe mnóstwo.

Dobiegł go odgłos otwieranych drzwi. Rozluźnił ręce i ułożył je wzdłuż ciała. Weszła ta kobieta. Nie była wysoka, ale miała długie nogi i wyglądała rewelacyjnie w wytartych džinsach i czerwonym podkoszulku. Miała kremową cerę i duże brązowe oczy. Co miał jej powiedzieć? Jeszcze niecały tydzień temu byli przyjaciółmi lub kochankami znającymi się od lat szkolnych. Czyż nie coś takiego powiedział ten lekarz?

Wolnym krokiem kobieta przeszła przez pokój i położyła drżące dłonie na prętach łóżka.

- Jake, wiem, że mnie nie pamiętasz. Przełknął ślinę, usiłując utrzymać z nią kontakt wzrokowy. Niezmierzona głębia jej spojrzenia czyniła tę chwilę jeszcze trudniejszą. Nie mógł patrzeć na nią w ten sam sposób, nie potrafił. Bez wspólnych wspomnień było to niemożliwe. Czekał więc na kolejne jej słowa.

- Zresztą...

Mówiła zdławionym głosem i Jake domyślił się, że wysiłkiem woli powstrzymywała się, by nie wybuchnąć płaczem. Na jej widok zmiękło mu serce. Gdyby tylko zdołał wydobyć z pamięci choćby pojedyncze wspomnienie na jej temat. Może wtedy lawiną wróciłyby pozostałe. Mógłby wziąć ją wówczas w ramiona i swoją miłością ukoić jej smutek. Jednakże niezależnie od tego, co mu powiedzieli, jak na razie owa Jamie była dla niego tylko nieznaną.

Potrząsnęła głową tak, jakby ze wszystkich sił starała się opanować.

- To znaczy, chciałam powiedzieć, że będę tu z tobą, Jake - uśmiechnęła się, choć drżał jej podbródek. - Nieważne, ile czasu to zajmie. Pomogę ci przypomnieć sobie, kim jesteś i co nas łączy. Obiecałam ci to dawno temu, w czasie naszego ślubu, i ta obietnica wciąż jest aktualna.

Chwyciła jego dłoń, podniosła ją do ust i pocałowała.

- Kocham cię, Jake. Zawsze będę cię kochać. Jej pocałunek coś w nim poruszył, ale nie było to żadne wspomnienie. Delikatnie cofnął dłoń i pozwolił jej opaść na prześcieradło.

- Dziękuję.

- Czy... czy chciałbyś, żebym wieczorem przyprowadziła Sierę? - Jamie poczuła się nagle niezręcznie i zrobiła krok do tyłu. - Ona bardzo chce cię zobaczyć.

Brzmienie imienia dziewczynki przyniosło mu ukojenie, którego tak bardzo teraz pragnął.

- Tak, proszę.

Ton jego głosu złagodniał, a on sam zdobył się nawet na coś w rodzaju uśmiechu. Ta kobieta, ta Jamie, która rzekomo była jego żoną, zasługiwała na to. Jej dotyk mógł go wprowadzić w zakłopotanie, ale widział, jak się o niego troszczy i że nie spotka go z jej strony nic złego. Poza tym za parę dni bez wątplenia i tak wróci z nią do domu, którego nie umiał sobie wyobrazić; do domu pełnego wspomnień, które dla niego już nie istniały. Jeśli miał je odzyskać, to tylko z jej pomocą.

- Jamie - jej imię jakoś obco zabrzmiało w jego ustach - dziękuję.

Jej oczy wypełniły się łzami i znowu zrobiła krok do tyłu.

- Doktor Cleary mówi, że potrzebujesz snu. Przytaknął. Głowa bolała go teraz jeszcze bardziej niż po przebudzeniu.

- Tak.

- Dobrze. W takim razie... - Jamie uniosła rękę i pomachała mu ze smutną miną - do zobaczenia za parę godzin.

Gdy już wyszła, coś sobie uświadomił. Przecież musiała siedzieć przy nim, czekając aż się obudzi, przez ostatnie trzy dni. Cokolwiek mu się przydarzyło, prawdopodobnie cieszyła się z tego, że on żyje, i bardzo chciała z nim porozmawiać. A on nawet jej nie pamiętał. Nic dziwnego, że płakała.

Poczuł ogarniającą go senność i - powoli odpływając - zdał sobie sprawę, że w końcu nie zapytał Jamie o wypadek. Gdzie to się stało i kto w nim uczestniczył? Czy jeszcze ktoś został ranny? Powieki ciążyły mu coraz bardziej, aż wreszcie opadły, zbyt ciężkie, by mógł je podnieść. Zapyta ją wieczorem. Przynajmniej czegoś się od niej dowie. Wieczorem pozna odpowiedzi na dręczące go pytania i nie tylko... może pozna jeszcze kogoś - osobę, którą będzie mógł zobaczyć, objąć i przytulić; osobę, której imię i twarz pamiętał: małą Sierę.

RS



## Rozdział 18

13 września 2001

Clay Michaels obawiał się, że długo tego nie wytrzyma. Był czwartek wieczorem, a on i Laura pomagali Joshowi w odrabianiu zadania domowego. Clay ani na chwilę nie odstępował bratowej i bratanka od czasu zaginięcia Erica. Tak właśnie o tym mówili - zaginięcie. Ratownicy przeszukujący miejsce tragedii nie tracili nadziei i Laura też się jej nie wyzbyła, ale Clay już dawno przestał się łudzić, że jego brat po prostu zniknął.

Ten, na którym od najmłodszych lat się wzorował, którego podziwiał i całym sercem kochał, odszedł na zawsze. Zresztą nie chodziło tylko o to. Małżeństwo Erica znalazło się w kryzysie, a Clay nic nie zrobił, by temu zapobiec. Nawet nie miał odwagi przyznać, jak daleko zaszły sprawy. Prawda o życiu Erica stanowiła temat, na który rozpaczliwie chciał porozmawiać, ale nie licząc rozmowy odbytej wieczorem w dniu ataku, Laura wcale go nie poruszała. Zbyt mocno wierzyła, że Erie lada chwila do niej zadzwoni. Udawanie, że tak się stanie, ciążyło Clayowi prawie tak samo jak Laurze. Ale nic nie mógł zrobić, nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości i zacząć opłakiwać brata. Bo jeśli on straci nadzieję, Laura utraci ją także, a przecież liczyła na to, że on nie tylko będzie oparciem dla niej i dla Josha, ale też że będzie tę nadzieję w nich umacniał.

Jeszcze w dniu zamachu Clay załatwił sobie wolne. Wyjaśnił swoją sytuację komendantowi, a ten bez wahania udzielił mu bezterminowego urlopu.

- Jeśli tylko mogę w czymś pomóc, daj mi znać - usłyszał od szefa. - Cały kraj jest w szoku.

- Dziękuję. Mój brat... - głos Claya załamał się i musiała minąć chwila, zanim był w stanie mówić dalej. - Byliśmy bardzo zżyci.

Zarówno we środę, jaki i w czwartek Josh normalnie poszedł do szkoły, ale Laura była na granicy załamania. Odwiedził ich pastor i jeszcze kilka osób z parafii. Wszyscy ich pocieszali, obiecując wszelką potrzebną pomoc. W środę wieczorem przewodnicząca rady parafialnej przyniosła im zrobioną przez siebie potrawkę, a dwoje członków komitetu misyjnego dziś po południu przywiozło dla nich pizzę.

Do czwartku wieczorem Clay obdzwonił wszystkie szpitale, Centrum Czerwonego Krzyża i punkty medyczne w Nowym Jorku i New Jersey.

- Dzwonię z Los Angeles - mówił. - Mój brat pracował w Południowej Wieży World Trade Center i nie mamy od niego żadnych wiadomości. Czy przywieziono do was jakieś ofiary, które do tej pory nie zostały zidentyfikowane?

Za każdym razem podawał rysopis Erica: metr dziewięćdziesiąt wzrostu, waga - dziewięćdziesiąt pięć kilo, krótkie ciemne włosy, przyjemna twarz, oczy niebieskie. Za każdym razem odpowiedź była taka sama: „Przykro nam, ale wszystkie przywiezione do nas ofiary zostały zidentyfikowane”.

Po każdym telefonie Clay zdawał Laurze relację ze wszystkiego, czego się dowiedział. Przez większą część czasu siedziała na krześle, patrząc przez okno na świat, który oszalał, kiwając tylko głową - zupełnie, jak gdyby mężczyzna podawał jej prognozę pogody. Czasami otepienie będące wynikiem szoku zdawało się ustępować, ale wtedy jego miejsce zajmował gniew.

- Co on chciał przez to udowodnić? - krzyczała tego dnia rano, gdy Josh był w szkole. - Że jest oddany pracy tak samo jak Allen? Że klienci są dla niego najważniejsi?

Clay obserwował, jak Laura chodzi tam i z powrotem po pokoju. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie znajdował słów na obronę brata, jeśli ten rzeczywiście został w budynku z powodu pracy, podczas gdy tysiące innych ludzi miało na tyle rozsądku, by stamtąd uciec. I to wszystko dla sfinalizowania jakiejś transakcji?

- Dlaczego nie starałam się nim wstrząsnąć? Już dawno powinnam mu powiedzieć, co czułam. Troszczył się o pracę bardziej niż o nas. Próbowalam go powstrzymać, powiedzieć mu, że rujnuje wszystko, co ma - jej oczy wyrażały przeogromny żal. - Nie mogę przestać myśleć, że mogłam zrobić coś więcej, jakoś go zatrzymać w domu.

Jej ramiona trzęsły się, a Claya ogarnęło pragnienie, by do niej podejść i ukoić jej smutek.

- Nie mogłaś tego przewidzieć.

- Ale może by tam nie pojechał, może uczyniłby wszystko, co w jego mocy, by zostać tu z nami.

Po każdej takiej nabrzmiałej emocjami próbie rozliczenia się z dręczącym ją poczuciem winy w przedziwny sposób wracała do normy. Krzątała się po domu, rozmawiała z gosposią, sprawdzała pocztę elektroniczną lub słuchała płyt. Ilekroć wychodziła z domu choćby na moment, by sprawdzić skrzynkę

pocztową lub podlać kwiatki w ogrodzie, po powrocie natychmiast pytała Claya:

- Dzwonił?

Clay zauważył, że taka poprawa nastroju nigdy nie trwała dłużej niż godzinę. Gdy tego dnia jej pozorny spokój prysł około trzeciej po południu, przez kolejną godzinę popłakiwała cicho w swoim pokoju, patrząc przez okno na podjazd przed domem, jakby lada moment miał się tam zjawić Erie.

- Dziś miał wrócić z Nowego Jorku, wiesz... - w ciągu całego popołudnia kilkakrotnie powtórzyła to zdanie. Niechęć do stawienia czoła faktom była u niej tak wielka, że Clay w gruncie rzeczy bał się o nią, zupełnie nie wiedząc, czy powinien zabrać ją do psychologa, czy może pozwolić jej samej z tym walczyć.

Obserwował teraz, jak ze skupioną miną pomagała Joshowi rozwiązywać matematyczne zadania przy stole w kuchni. „Ona wciąż czeka na telefon. Boże drogi, jak długo to jeszcze potrwa?”. Modlił się w jej intencji nieustannie, ale Laura ciągle nie była sobą.

Clayowi wydawało się, że rozumie dlaczego. Utrata Erica może okazać się ponad jej siły. Przypomniawszy sobie parę szczegółów z przeszłości, którymi podzieliła się z nim, gdy jeszcze chodzili razem do szkoły. Zwłaszcza jedno wspomnienie wybijało się ponad inne: pewna rozmowa, w trakcie której Laura otworzyła przed nim swoje serce, i słowa, których nigdy nie zapomniał.

- Przez całe życie, od kiedy zabrano mnie od rodziców, czułam się szczęśliwa, mogąc mieć dom.

Tego pamiętnego dnia po lunchu szli korytarzem, rozmawiając o swoich najbliższych:

- Moi adopcyjni rodzice są cudowni, ale jednak wzięli mnie do siebie, kiedy byłam już duża, i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tylko wyświadczają mi przysługę. Czuję się, jakbym była tylko stałym gościem w ich domu.

- Daj spokój - szturchnął ją lekko, mając nadzieję, że się roześmieje i powie mu, że tylko żartowała. - Twój rodzice cię kochają.

Ale Laura nawet się nie uśmiechnęła.

- Wiem o tym. Ja też ich kocham. To nie ich wina, że tak się czuję. Wiesz co? - przystanąła i spojrzała mu w oczy. - Nie mogę się doczekać, kiedy będę dorosła.

- Dlaczego?

Na twarzy Laury pojawił się rozmarzony uśmiech.

- Bo wyjdę za mąż i będę mieć rodzinę. Moją własną. Już nigdy więcej nie będę się w niej czuła jak gość.

Wspomnienie uleciało i Clay odchylił się na krześle, jego wzrok wciąż był utkwiony w Laurze. Wszystko, czego pragnęła, to znaleźć swojej miejsce na ziemi. Miejsce, którego byłaby częścią. Ale pech chciał, że zakochała się w jego starszym bracie - w człowieku, któremu na tym nie zależało, nie, jeśli miał wybierać pomiędzy sukcesem zawodowym i władzą a oddaniem rodzinie, byciem mężem i ojcem, którego Laura i Josh tak bardzo potrzebowali. Przed przeprowadzką do południowej Kalifornii Clay nie miał pojęcia, że między Ericem i Laurą coś się nie układa. Jednak będąc na miejscu, nie mógł tego nie zauważyć: zdarzenie w pizzerii, niektóre komentarze Josha, pełne bólu oczy Laury. Nie ulegało wątpliwości, że Eric zaniedbał najważniejsze rzeczy w swoim życiu. A przy okazji Laura znalazła się w sytuacji, której tak bardzo chciała uniknąć. Mieszkała w domu, w którym czuła się niepotrzebna i niechciana. Żyła w związku małżeńskim, który na zawsze skazywał ją na pozostawanie w cieniu pracy zawodowej Erica. Clay pluł sobie w brodę, że nic wtedy nie powiedział. Wtedy, gdy jeszcze był na to czas.

Pieniądze Erica pozwoliły Laurze mieć pomoc domową i żyć w luksusie, ale jej małżeństwo nie było w istocie takie, jak Clay sobie to wyobrażał. I nie było też spełnieniem marzeń, którymi Laura podzieliła się z nim wtedy w szkole. W rzeczywistości, gdy dzień wcześniej w rozmowie z nim Laura wylała wszystkie swoje żale, Clay doszedł do smutnej konstatacji. Będąc żoną Erica, odgrywała ona dokładnie taką samą rolę, od jakiej tak bardzo chciała uciec jako nastolatka: rolę gościa we własnym domu.

Clay rozejrzał się dookoła, obserwując luksusowy wystrój domu brata. Dekoracyjne posadzki z naturalnego kamienia, eleganckie wykończenia ścian i okien, modne lampy. Nic z tego nie mogło jednak zastąpić miłości i przyjaźni. Clay pokręcił głową, jednak nie na tyle wyraźnie, by zwrócić uwagę Laury. Jego brat musiał być szalony. Tyle dni i godzin, całe tygodnie spędzał w pracy, podczas gdy Laura i Josh byli tutaj. Cóż takiego ważnego trzymało go z dala od nich?

Jego wzrok padł na oprawioną fotografię przedstawiającą Laurę i Erica. „Myślałem, że masz świat u swoich stóp, braciszku. A ty przez cały ten czas uważałeś, że szczęście znajdziesz na szczycie jakiejś drabiny. Jednak go tam nie było. Nigdy”. Zauważył, że Laura na niego patrzy. Z przekrzywioną

głową siedziała tuż obok Josha, pomagając mu w zadaniu. Clay zacisnął zęby, zmagając się z targającymi nim emocjami. „Wszystko, czego szukałeś, było tutaj, Ericu. Właśnie tutaj, u ich boku, przez cały czas”.

Laura podniosła oczy znad stołu i posłała mu lekki uśmiech pełen wdzięczności:

- Może wujek Clay potrafi rozwiązać to ostatnie zadanie - poczochnęła Josha po czuprynie. - Jak dla mnie jest za trudne.

- Nie ma sprawy, kolego - Clay chrząknął i wykonał zachęcający gest dłonią. - Dawaj!

Josh poderwał się ze swojego miejsca przy stole i wcisnął pomiędzy mamę i wujka.

- Mama mówi, że to dość trudne jak na trzecią klasę - dodał wzruszając ramionami.

- No... - Clay podniósł wzrok i dostrzegł spojrzenie Laury. - Mamy przeważnie mają rację.

Przysunął bliżej książkę z zadaniami i powiedział:

- Zobaczmy, co da się zrobić.

Clay pomógł bratankowi zrozumieć, o co chodzi w zadaniu, i właśnie skończyli je rozwiązywać, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Na ułamek sekundy oczy Laury rozszerzyły się. Szybko zerwała się, po czym równie szybko opanowała emocje i wolnym krokiem ruszyła w ich stronę. Clay i Josh wymienili spojrzenia. Wzruszając ramionami, chłopiec zapytał:

- Czy to tata?

Jego słowa niczym noże wbiły się w serce Claya.

- Nie, kolego. Podejrzewam... podejrzewam, że tata sam by sobie otworzył kluczem.

- No tak - chłopiec trochę posmutniał. - Racja. Podążyli za Laurą przez salon do przedpokoju. Laura otworzyła podwójne drzwi. Sądząc z wyrazu jej twarzy, postawy i ruchów, można było odnieść wrażenie, że to kobieta pozbawiona trosk. Obserwując ją, nikt by nie zgadł, że tragedia 11 września w jakikolwiek sposób dotknęła ją bezpośrednio.

- Czy Josh może wyjść na dwór? - na werandzie stał rudowłosy chłopiec mniej więcej wzrostu Josha. - Pogramy w piłkę.

Twarz Josha natychmiast się rozjaśniła.

- Mogę, mamó? Proszę...

- Pewnie - pocałowała syna w czubek głowy. - Tylko bawcie się tak, żebym was widziała.

Clay stał obok niej, przyglądając się, jak Laura zamyka drzwi. Gdy obróciła się do niego i ich oczy się spotkały, jego serce napełnił smutek. Chciał do niej podejść, wziąć ją w ramiona i uwolnić od pozorów. Chciał jej powiedzieć, że nie ma co wstrzymywać łez, że w gruncie rzeczy powinni płakać, bo prawdopodobnie - wciąż jeszcze tylko prawdopodobnie - Erie już do nich nie wróci, uświadomić jej, że w rozpaczy nie ma nic złego, że z czasem ból minie.

Chyba wiedziała, jakie myśli kłębią mu się w głowie, bo uśmiech zniknął z jej twarzy, a oczy znowu się zaszklily, jak gdyby przestała zaprzeczać faktom i nagle zdała sobie sprawę z najgorszego, co mogło ją spotkać. Skurczyła się w sobie i wsparła o zamknięte przed chwilą drzwi.

- Czytam w twoich myślach, Clay.

Zrobił krok do przodu i oparł się ramieniem o ścianę blisko niej.

- No i co tam wyczytałaś?

Laura pochyliła czoło i na moment zapadła między nimi cisza. Słysząc było tylko cichy szum wiatru wpadającego do salonu przez otwarte okna. W powietrzu unosił się zapach jakichś kwiatów mieszający się z głosami dzieci bawiących się przed domem.

Gdy podniosła wzrok, jej oczy były pełne łez.

- Uważasz, że on nie wróci.

Clay czuł jej ból. Czuł, jak oplata on jego serce i odbiera mu oddech. Nic nie odpowiedział nie dlatego, że gardło miał zbyt ściśnięte, ale dlatego, że każde szczerze wypowiedziane przezeń słowo tylko spotęgowałoby jej cierpienie.

Patrzyła mu prosto w oczy z determinacją; tym razem chciała usłyszeć odpowiedź.

- Sądzisz, że Erie nie żyje, prawda?

- No cóż... - otworzył usta, ale nic nie powiedział. „Boże, podsuń mi właściwe słowa. Podpowiedz mi, jak jej pomóc”. - A jak sądzisz, Lauro? - zapytał łagodnym, ledwie słyszalnym tonem. - Czy naprawdę wierzysz, że on do nas wróci?

Po raz pierwszy spróbował ją przekonać, uświadomić jej, że jej nadzieje są daremne. Jego pytanie zdawało się docierać do niej etapami, które kolejno odmalowywały się na jej twarzy. Szok, wściekłość, przygnębienie i wreszcie przeogromny smutek oraz poczucie bezradności. Świadomość, że przed faktami nie da się uciec.

- Nie...

Zrobiła krok do tyłu i powoli osunęła się na podłogę, jednym ramieniem cały czas opierając się o ścianę. Z jej piersi wyrwał się pełen bóleści jęk, przejmujący i chwytający za serce. Załkała i zanosła się płaczem, jakiego Clay nigdy wcześniej nie słyszał. Jako policjant często był tym, który przynosi złe wieści; tym, który — dzwoniąc do drzwi - potrafił na zawsze odmienić czyjeś życie. Wielokrotnie musiał pocieszać zdruzgotanych przyjaciół i najbliższych krewnych na miejscach wypadków.

Ale rozpacz tych ludzi zawsze wyglądała inaczej, a w płaczu Laury słyhać było coś więcej niż tylko nagłe uświadomienie sobie faktu, że Erie mógł zginąć. To z pewnością też, ale było w nim coś jeszcze. Clay odnosił wrażenie, że nie tylko opłakiwała utratę Erica, ale także wszystkiego, co składało się na jej dotychczasowe życie: utratę małżeństwa rodziny oraz tego, czego ona i Erie nie zdołali razem stworzyć.

Podszedł do niej, wziął ją pod pachy, pomógł się podnieść i objął ramionami.

- Lauro... przepraszam.

Wtuliła głowę w jego tors, kurczowo wczepiona w rękawy jego koszuli. Stała tak ze dwadzieścia minut, szlochając i wyrzucając z siebie żal, który nosiła w sobie o wiele za długo. Gdy wreszcie poczuł, że przestała szlochać, niespodziewanie zapytała go łamiącym się głosem:

- On... on nie wróci do domu, prawda? Ponownie mocno ją objął i, przytykając usta do jej włosów, powiedział łagodnym tonem:

- Obawiam się, że nie.

Odsunęła się od niego i koniuszkami palców otarła resztki łez. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Była blada i wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć.

- Miałam nadzieję, że to będzie dzisiaj; że nie mógł się dodzwonić, ale znajdzie sposób, by wrócić do domu na czas. Autobusem, pociągiem... obojętnie jak - powoli wciągnęła powietrze. - Jeśli jednak Erie i Allen byli na sześćdziesiątym czwartym piętrze... Ciagle jeszcze szukają zaginionych, prawda?

Clay przyglądał się jej uważnie, ale twarz, którą widział, nie należała do zmęczonej, przerażonej kobiety, która w tragicznych okolicznościach straciła męża. Miał przed sobą dziewczynę, którą poznał w pierwszej klasie szkoły średniej.

- Od wczorajszego popołudnia nie znaleźli pod gruzami nikogo żywego.

- Wiem. Tak tylko pomyślałam... - pociągnęła nosem. - Pomyślałam, że może Bóg sprawi jakiś cud; że wbrew przemawiającym przeciwko temu faktom, Erie wyszedł z tego żywy.

Clay przejechał dłońmi wzdłuż własnych ramion.

- Też chcę w to wierzyć.

Pomyślał o informacji podanej w porannych wiadomościach, gdy Laura była w łazience. Gdzieś głęboko pod gruzami podobno dzwoniły telefony komórkowe. Nie powiedział jej o tym. W telewizyjnej relacji nie wspomniano o tym, żeby ktoś taki telefon odebrał.

Laura cofnęła się o parę kroków i popatrzyła przez okno na Josha i jego kolegów.

- Jak wiele on stracił przez te wszystkie lata... Clay zagryzł zęby.

- Powinien był mi powiedzieć. Zawahał się, po czym dodał:

- Ty też powinnaś mi była powiedzieć. Może jakoś zdołałbym przemówić mu do rozumu.

- Nie, Clay - Laura przycisnęła ręce do klatki piersiowej i smutno się uśmiechnęła. - Skoro nie posłuchał mnie, nie posłuchałby też ciebie.

- Ale czy próbowałaś... czy oboje próbowaliście? Ten nowy wizerunek Erica wciąż nie wydawał mu się prawdziwy. Odnosił wrażenie, że rozmawiają o kimś innym, nie o jego bracie, którego przez całe życie tak bardzo podziwiał.

- Tak - Laura znów obróciła się w jego stronę. - Po stracie dziecka nic już nie było takie, jak przedtem. Później próbowaliśmy jeszcze trzykrotnie. Narastało między nami napięcie, starałam się wymusić na nim zmianę i przez sześć, może osiem tygodni chodziliśmy regularnie do poradni. Przez moment wydawało się, że będzie dobrze, ale zawsze kończyło się na jego pierwszej miłości.

Ten ostatni zwrot zaskoczył Claya. Gdy ich rodzice się rozwodzili, Erie poszedł do pokoju mamy i próbował odwieść ją od tego zamiaru.

- Mamo, jeśli Bóg jest twoją pierwszą miłością, powinniście przynajmniej spróbować. Ty i tata jesteście to sobie winni.

Słowa te odbijały się teraz echem w umyśle Claya. „Jeśli Bóg jest twoją pierwszą miłością...”. Szybko odgonił od siebie wspomnienie z przeszłości, próbując wyczytać coś z oczu Laury.

- Jego pierwszej miłości?

Wypuściła powietrze nosem i wzruszyła lekko ramionami.



- Koppel&Grant, Clay. Ciagle tylko Koppel&Grant. Laura dotknęła ramienia Claya, wskazując głową na chłopców bawiących się przed domem.

- Idź, pobaw się z nim, dobrze? Potrzebuję kilku minut dla siebie.

- Dobrze - powiedział, a ich spojrzenia spotkały się ponownie. - Na pewno wszystko w porządku?

Przytaknęła:

- Po prostu potrzebuję paru minut sam na sam z Bogiem.

- Chcesz pomodlić się za Erica?

- Nie - posłała mu uśmiech, ale w jej oczach był smutek - żeby zapytać Go, dlaczego zabrał mi męża, zanim zdołaliśmy wyjaśnić sobie pewne sprawy.

Clay czule uściskał jej dłoń, wyszedł frontowymi drzwiami i potruchtał w stronę chłopców bawiących się na chodniku

- Hej, Josh, znajdzie się miejsce dla jeszcze jednego gracza?

- Wujek Clay! - twarz chłopca rozpromieniła się. Podbiegł do mężczyzny, rzucił mu się w ramiona, po czym błyskawicznie zeskoczył na ziemię i popędził do kolegów. - Mój wujek z nami zagra. Niezły jest, mówię wam!

\* \* \*

Laura słyszała entuzjastyczne okrzyki syna dochodzące z podwórka i widziała wyraz jego twarzy, gdy ścisnął się z Clayem i przedstawiał go kolegom. Przestała już płakać. Oczy miała suche, rozważając ostateczną ewentualność. Czy to prawda? Czy Erie naprawdę odszedł, pogrzebany pod ruinami World Trade Center, nie odnalazłszy na powrót uczucia, które kiedyś ich łączyło?

Laura przełknęła ślinę, czując coraz silniejszej pulsowanie w skroniach. Po wypłakaniu tyłu łez ból głowy tylko się nasilił. Zwiesiła głowę i zamknęła oczy. Do tej pory dla dobra samej siebie i Josha zachowywała pozory. Wmawiała sobie, że Erie zadzwoni lub wsiądzie do pierwszego pociągu i znajdzie drogę do domu, ale teraz nie miała już na to siły. Dotarła do niej brutalna prawda. O ile wkrótce go nie znajdą, już nigdy go nie zobaczy.

Skoro Erica nie było w żadnym ze szpitali lub punktów medycznych, skoro nie zadzwonił do niej ani nie przesłał jej żadnej wiadomości, istniało tylko jedno wytłumaczenie. Był gdzieś pod tą masą gruzu. Wprawdzie od wtorku Laura nie oglądała relacji telewizyjnych, ale też nie była całkiem niezorientowana. W końcu widziała, jak wali się Południowa Wieża. Wyglądało to, jakby wybuchła tam bomba i to bomba atomowa taka, jak ta, którą pod koniec drugiej wojny światowej zrzucono na Hiroszimę.

Prawda była taka, że nikt nie mógł wyjść stamtąd cało. Zwłaszcza ktoś wciśnięty w sam środek tego kataklizmu.

Laura podeszła do swojego ulubionego krzesła, tego, które stało naprzeciwko frontowych okien i z którego mogła patrzeć na niebo i rozmyślać. Usiadła, odchyliła głowę i błędziła wzrokiem po głębokim, bezchmurnym błękitnie nieba. Cóż mogła teraz powiedzieć Bogu? Jeśli Erie zginął, było już za późno na prośby o pomoc lub cud. Poza tym, dlaczego Bóg miałby wysłuchać jej teraz, skoro nie wysłuchał jej modlitw w tamten wtorkowy poranek. Zamrugła oczami, zastanawiając się nad tym przez chwilę. Dla wszechmocnego Boga nie stanowiłoby przecież problemu zmienić kurs tych samolotów lub sprawić, by Erie ewakuował się z budynku wraz z innymi. Erie mógł pojechać tam w interesach tydzień wcześniej lub tydzień później. Bóg mógłby przecież pokrzyżować plany porywaczy lub własnoręcznie podtrzymać budynki, by je uchronić przed zawaleniem, ale tego nie uczynił.

Patrzyła, jak nad porośniętymi niskimi krzewami wzgórzami graniczącymi z ich osiedlem krąży jastrząb. Kąciki jej ust uniosły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Erie tak bardzo lubił orły. „Boże, czy on umarł? Czy zabrałeś go do siebie?”. Znowu zamrugła, ale jej oczy pozostawały suche.

W tych dniach modlitwa nie przychodziła jej naturalnie, westchnęła więc tylko i przeniosła wzrok na Claya oraz chłopców grających w bejsbol na ulicy. Zaciśnęła zęby i odchyliła się na krześle. Na nic zdały się wizyty w poradni małżeńskiej i oklepane recepty na problemy trapiące ich związek. Powinna była na Erica porządnie nakrzyczeć, potrząsnąć nim, zażądać, by kochał ją i Josha tak, jak tego potrzebowali. Powinna była ubłagać go, by nie wyjeżdżał do Nowego Jorku. Raz jeszcze spojrzała w górę. Jastrząb ponad jej głową zataczał w powietrzu kolejne koło, tym razem bliżej ich domu.

Dawniej Laura często czuła, że jej modlitwy nie pozostają bez odpowiedzi, przypominał jej się jakiś cytat z Pisma Świętego lub z głębi duszy napływały jakieś słowa otuchy. Tym razem - zupełnie nic. Żadnych najdrobniejszych nawet wskazówek ani odczucia, że Bóg wysłuchał jej prośb. Tylko ta straszliwa pewność, że po tylu zmarnowanych okazjach, by jakoś wpłynąć na Erica, skończył jej się czas. Nie zadzwoni do niej, nie stanie w drzwiach wejściowych - ani teraz, ani już nigdy. Laura poczuła znajome pieczenie w oczach i już sama nie wiedziała, co sprawia jej

wiekszy ból: tragedia związana z tym, co najwyraźniej przydarzyło się Ericowi, czy utrata tego, co mogli ze sobą dzielić w przyszłości, gdyby tylko dostała jeszcze jedną szansę.

RS

## Rozdział 19

13 września 2001

Zabranie Sierry wieczorem do szpitala kosztowało Jamie wiele wysiłku. W końcu poprosiła Jima, by jej towarzyszył. Ojciec Jake'a zamierzał wybrać się z wizytą dopiero następnego dnia, żeby Jamie i Sierra mogły chwilę побыć z Jakiem sam na sam, ale Jamie bała się kolejnego spotkania.

- On mnie, tato, w ogóle nie poznał - ręce jej się trzęsły i ledwie mogła zebrać myśli. Trawił ją wewnętrzny niepokój. - Chodź ze mną, proszę cię. Nie mogę tam iść sama. Może przynajmniej ciebie będzie pamiętał.

Jim Bryan przystał na jej prośbę i właśnie przygotowywał się do wyjścia. Sierra włożyła nową sukienkę, tę, z której Jake tak się ucieszył w niedzielę. Dziewczynka bawiła się teraz lalkami w salonie. Jamie obserwowała ją z kuchni i nawet chciała do niej dołączyć, usiąść przy niej i powiedzieć jej, że z tatusiem wszystko będzie dobrze. Czowała jednak, że nie zdoła wykrztusić z siebie choćby jednego zdania, żeby głos jej się od razu nie załamał. Nie ulegało wątpliwości, że Jake doznał urazu mózgu, że przytrafiło mu się coś okropnego.

Zdawałoby się, że znali się tak długo. Służba w straży pożarnej odbywała się w systemie zmianowym: dwanaście godzin na dwanaście. Niemal od samego początku Jake brał dzienne dyżury, więc nigdy nie rozstawali się na dłużej niż jedną noc. „Jak to możliwe, że mnie nie poznał?”

W ustach miała sucho, a w głowie kłębiły się jej setki myśli. Nalała sobie szklankę wody i opróżniła ją trzema łykami. A co, jeśli pamięć nigdy mu nie wróci? Jak ma go nauczyć kochać ją, tak jak zawsze to czynił, od kiedy tylko pamiętała? Przygryzła wargę i kurczowo ścisnęła brzeg kuchennego blatu, wyglądając przez okno wychodzące na ich mały ogródek za domem. Wydawało jej się, że na miłość Jake'a może liczyć zawsze i wszędzie, że kochałby ją, dopóki starczyłoby mu tchu w piersi. Przez wszystkie te długie godziny, gdy zamartwiała się, że mogło mu się przydarzyć coś złego, ani przez chwilę nie przyszło jej na myśl, że uraz głowy może pozbawić go wspomnień z życia, które razem zbudowali.

Sierra zeskoczyła z kanapy i w podskokach podbiegła do niej.

- Idziemy już? - przekrzywiła główkę i, uśmiechając się, dodała: - Chcę zobaczyć tatusia.

- Gdy tylko dziadzio będzie gotowy - Jamie odetchnęła i poczuła, że trochę się uspokoiła. Przejechała palcami po czole córki i nagle zdała sobie

sprawę, że musi jakoś przygotować ją na to, co miała niebawem zobaczyć. - Słonko, tatuś jest w szpitalu, bo został ranny. Wiesz o tym, prawda?

- Dziadzius mówił, że tatuś ma chorą główkę.

- Zgadza się - Jamie przytaknęła i spojrzała dziecku głęboko w oczy. Sierra nic nie wiedziała.

- Bo wiesz, kochanie, lekarze założyli tatusiowi bardzo dużo bandażu na głowę i buzię. Nie będzie wyglądał... - głos Jamie się załamał i wydała z siebie cichy szloch. - Nie będzie wyglądał tak jak dawniej.

- Czy to znaczy, że buzię też ma chorą?

- Tak, maleńka - Jamie przyciągnęła Sierrę do siebie i mocno ją przytuliła. - Ale lekarze sprawią, że wyzdrowieje. - Zrobiła krok do tyłu i ponownie popatrzyła córeczce w oczy. - Dobrze?

- Dobrze - oczy Sierry rozszerzyły się. - A czy pozwolą mu wrócić z nami do domu?

- Przez jakiś czas jeszcze nie.

W sąsiednim pokoju dały się słyszeć kroki i za moment w drzwiach pojawił się Jim Bryan. Oczy miał zwężone, a na jego twarzy malowało się niecierpliwe oczekiwanie. Jake wyglądał tak samo, gdy opowiadał o jakiejś trudnej akcji; pewnie obaj tak wyglądali przy gaszeniu pożaru. Wyciągnął rękę i delikatnie ścisnął ramię synowej:

- Chodźmy.

Brakowało jej słów, by wyrazić wdzięczność za jego obecność. Dzięki temu mogła przemyśleć całą sytuację, wyobrazić sobie, jak przez nią przejdą. Wyszli z domu i po czterdziestu minutach wkroczyli we trójkę do szpitalnej sali, w której leżał Jake. Głowę miał całkowicie zabandażowaną i leżał nieruchomo. Trudno było stwierdzić, czy śpi. Weszli do środka gęsiego.

- Tatuś? - Sierra zatrzymała się nagle z szeroko otwartymi oczami.

- Jake... - Jamie wzięła córeczkę za rączkę i podeszła z nią bliżej łóżka. - Jest tu ze mną Sierra.

Na dźwięk tego imienia oczy Jake'a otworzyły się. Powoli, z wysiłkiem obrócił głowę i przyglądał im się badawczo. Tam, gdzie powinny być jego usta, widać było tylko wąski otwór w opatrunku z gazy, więc nie było wiadomo, czy się uśmiechnął, o ile w ogóle widok córki wywarł na nim jakiegokolwiek wrażenie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dziewczynkę, aż wreszcie zdołał wykrztusić z siebie jedno słowo.

- Sierra...

Sierra ścisnęła dłoń Jamie i schowała się za mamą. Jamie spojrzała na nią i przeraziło ją to, co zobaczyła. Dziecko było śmiertelnie przestraszone. Do tej pory zawsze widziała Jake'a jako muskularnego, pełnego energii, zdrowego mężczyznę, a ten człowiek leżący na szpitalnym łóżku cały w bandażach był kimś, kogo nie tylko nie poznawała, ale też bała się.

- Mamusiu... - szepnęła - co mu jest?

Jim Bryan cofnął się o kilka kroków, pozwalając, by ta chwila należała niepodzielnie do ich trojga. Jamie usiłowała znaleźć właściwe słowa.

- Tatuś został ranny podczas pracy.

Oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe jak spodki:

- W pożarze.

- Tak, maleńka - Jamie spojrzała na Jima, szukając u niego pomocy, ale ten wpatrywał się w Jake'a, prawdopodobnie nie mniej niż Sierra wstrząśnięty tym, co zobaczył.

- Tatuś został ranny podczas gaszenia pożaru.

- To ja... - Sierra przeniosła spojrzenie na Jake'a i głośno przełknęła ślinę.

- To ja się pomodłę, żeby szybko wyzdrowiał.

- Tak zrobimy, ale za chwilę, dobrze? - Jamie zrobiła krok do przodu i, spoglądając na męża, zapytała:

- Jak się czujesz?

Ich oczy spotkały się, ale nie sposób było odgadnąć wyrazu jego twarzy.

- Cała twarz mnie piecze.

- Tak mi przykro.

Sekundy ciągnęły się jak godziny, a Jamie gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. W końcu odchyliła rękę do tyłu i gestem pokazała ojcu Jake'a, aby stanął obok niej. Jim przez chwilę się wahał, ale w końcu zajął miejsce po drugiej stronie Sierry.

Jamie ponownie spojrzała na Jake'a:

- Przeprowadziłam twojego tatę.

Jake zamrugał i obrócił głowę na tyle, żeby Wybaczyć Jima Bryana.

- Jesteś... moim tatą?

- Czołem, synu - Jim wziął Jake'a za rękę, a oczy mu błyszczały. - Wszystko będzie dobrze.

- Jestem twoim synem? - Jake ciągle wpatrywał się w Jima.

Sprawiał wrażenie nie mniej wystraszonego jak Sierra. Jamie chciała się uszczypnąć, obudzić się z koszmaru, w sam środek którego tak nagle zostali

rzuceni. To się nie dzieje naprawdę. Niemożliwe, żeby Jake jej nie poznawał... ani własnego ojca. To nie może być prawda.

- Tak, Jake - Jim Bryan przytaknął, a po jego policzku spłynęła pojedyncza łza. - Jestem twoim tatą.

- Och - Jake przyglądał mu się badawczo jeszcze przez kilka sekund, a następnie przeniósł wzrok z powrotem na Sierrę.

Gdy tylko się zorientowała, że Jake na nią patrzy, najwyraźniej postanowiła być dzielna. Wyjrzała zza matki i paluszkami dotknęła jego dłoni.

- Cześć, tatusiu.

- Cześć - oczy Jake'a pozbawione były wyrazu.

- Czy Pan Jezus sprawi, że lepiej się poczujesz? Rzucił szybkie spojrzenie na Jamie i swojego ojca, po czym odpowiedział:

- Mam taką nadzieję.

Jamie poczuła, że nogi się pod nią uginają. Jak musi się czuć Jake, leżąc tu i nie rozpoznając nikogo z nich z wyjątkiem Sierry? Dlaczego poznaje tylko Sierrę? Dlaczego nie ją, Jamie, skoro mówił jej, że zawsze będzie ją kochać? Dlaczego pamięta jedną z dziewczyn jego życia, ale drugiej już nie? Cała ta scena była pozbawiona sensu i wyrwana z kontekstu, jakby stanowiła fragment marnie napisanego scenariusza.

Ojciec Jake'a odchrząknął i miał właśnie coś powiedzieć, gdy Jamie usłyszała za plecami kroki. Obróciła się i zobaczyła kapitana Hisela z remizy. Ubrany był w spodnie od kombinezonu i koszulę, a twarz miał tak wymizerowaną, jakby nie spał od tygodni. Jamie mogła sobie tylko wyobrażać ogrom tragedii, z którą stykał się w remizie i mieście.

Na myśl o zatrważającej liczbie poległych strażaków z jednostki Jake'a Jamie przypomniała sobie o Sue i o tym, że wciąż jeszcze nie zdobyła się na odwagę, by z nią porozmawiać. Nie odzywała się do niej od wtorku, kiedy po raz pierwszy dowiedzieli się, że Larry zaginął.

Na widok ojca Jake'a kapitan skinął głową i wolnym krokiem wszedł do sali.

- Musiałem sprawdzić, co u niego - powiedział. Gdy jego oczy napotkały spojrzenie Jamie, zdobył się na słaby uśmiech.

- Wszyscy trzymamy za niego kciuki i modlimy się, by sobie przypomniał, kim jest.

Wszyscy, którzy przeżyli - chciała dodać Jamie. Ale nie miała śmiałości. Jake nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach został ranny. Nie pamiętał

nawet, że był strażakiem, nie mówiąc już o imionach swoich przyjaciół i kolegów z pracy. Powaga i ogrom tragedii nie dotarłyby w pełni do niego, co najwyżej bardziej by go tylko przestraszyły.

Ojciec Jake'a cofnął się o dwa kroki, robiąc przy łóżku miejsce dla kapitana Hisela.

- JB... jak się czujesz?

- Głowa mnie boli - nic w jego spojrzeniu nie wskazywało, że poznaje swojego rozmówcę.

Hisel zerknął w dół i pogłaskał Sierę po głowie.

- Widzę, że twoje ukochane dziewczyny przyszły cię odwiedzić.

Jakie popatrzył na córkę i odrzekł.

- Pamiętam Sierę.

- I bardzo dobrze. To musi być dobry znak - kapitan Hisel zawahał się, nie wiedząc, co powiedzieć dalej.

Na widok skrępowania kapitana Jamie ogarnęło współczucie. Co można powiedzieć do kogoś, kto nic nie pamięta ze wspólnych przeżyć?

- Muszę... się czegoś dowiedzieć - głos Jake'a nadal był słaby i zachrypnięty, a mówienie wyraźnie przychodziło mu z trudem. Starał się patrzeć na nich wszystkich, przenosząc wzrok z kapitana na Jamie i dalej na swojego ojca.

- Co mi się przydarzyło? - skrzywił się, jak gdyby nagle coś go mocno zabolowało. - Powiedźcie mi o tym wypadku.

Jamie przejęła inicjatywę. Lekarze powiedzieli, że lepiej będzie poczekać i dopiero za parę tygodni pozwolić mu się dowiedzieć, co się stało - wtedy, gdy być może częściowo odzyska już pamięć.

- Gasiłś pożar - odpowiedziała Jamie, posyłając pozostałym szybkie spojrzenie zawierające milczącą prośbę o powstrzymanie się od podawania szczegółów. - Zostałeś uderzony w głowę, gdy część budynku się zawaliła.

- Czy ktoś jeszcze ucierpiał? - Jake powoli podniósł rękę, jakby chcąc dotknąć twarzy, ale zmienił zamiar i pozwolił jej opaść.

- To nieistotne, Jake - odparła Jamie zdecydowanym tonem, ucinając wszelkie dodatkowe pytania. - Skoncentrujmy się raczej na twoim powrocie do zdrowia.

Kapitan Hisel chrząknął i powiedział:

- Brakuje nam ciebie w remizie. Jake zamrugał:

- Jakiej remizie?



Hisel rozejrzał się po pozostałych, po czym ponownie skierował wzrok na Jake'a.

- W remizie strażackiej - brwi kapitana zbiegły się. - Nie pamiętasz?

- Posłuchajcie... - Jake, krzywiąc się z bólu, pokręcił głową i głośno westchnął. - Nie wiem czy to jest... jakiś pokręcony sen czy... czy straciłem rozum - w jego głosie pobrzmiwało zniechęcenie - ale nie pamiętam żadnej remizy... ani pana...

Przeniósł wzrok na Jamie i ojca. Cedząc słowa powoli, jak automat, mówił dalej ochrypłym szeptem:

- Ani was... ani nic w związku z moją służbą w straży.

Dopiero, gdy skierował wzrok na Sierę, jego oczy jakby złagodniały.

- Jediną osobą, którą pamiętam, jest Sierra. Świat wokół Jamie zawirował i musiała się chwycić łóżka, żeby nie upaść. Posłała kapitanowi szybki spójrzenie, prosząc gestem, by wyszedł z nią na korytarz. Hisel skinął głową i skierował się w stronę drzwi, podczas gdy Jamie nachyliła się nad mężem ze słowami:

- Wyjdziemy na chwilę, a ty sobie odpocznij, Jake. Biorąc Sierę za rękę, Jamie ruszyła w ślad za

kapitanem i swoim teściem. Gdy upewnili się, że Jake ich nie usłyszy, kapitan Hisel popatrzył na Jamie i otworzył usta. Kapitan pierwszy raz widział Jake'a od czasu, gdy ten odzyskał przytomność.

- On naprawdę nic nie pamięta.

- Tak - Jamie przygryzła wargę, z trudem powstrzymując łzy. W głowie kręciło jej się coraz bardziej, a przed oczami pojawiły się mroczki. W uszach jej dzwoniło. - Nawet mnie.

Towarzyszący jej mężczyźni musieli zauważyć, że Jamie lada moment może upaść, że przewróci się pod ciężarem tego, co się stało. Ojciec Jake'a stanął obok niej z jednej strony, a kapitan Hisel z drugiej. Spleceni ramionami, ze zwieszonymi głowami utworzyli koło z małą Sierrą w środku. Przez dłuższą chwilę stali tak w milczeniu.

Słowa Jake'a wyraziły wszystko, co można było powiedzieć.

\* \* \*

Pewne rzeczy nie dawały Jake'owi spokoju, od kiedy odzyskał przytomność, i jak najszybciej chciał usłyszeć odpowiedzi na dręczące go pytania.

Z dobiegających czasem z korytarza strzępków rozmów zdążył już wywnioskować, że w Nowym Jorku wydarzyło się coś poważnego, jakaś

katastrofa, w której ucierpiał nie tylko on. Jeśli faktycznie był strażakiem, podejrzewał, że nie on jeden odniósł rany w tym bliżej nieokreślonym zdarzeniu.

Sięgnął po pilota od telewizora i nacisnął przycisk „ON”. Było to dziwne, że pomimo urazu mózgu potrafił mówić, a nawet pamiętał, jak się obsługuje pilota. Potrafił też wyobrazić sobie, jak wygląda Nowy Jork. Ale choćby zależało od tego jego życie, nie potrafił sobie przypomnieć, jak się nazywa, podobnie jak nie poznawał kobiety, która najwyraźniej była jego żoną.

Ekran telewizora rozjaśnił się i w dolnym jego rogu ukazały się litery CNN. Kanał informacyjny - Jake przypominał sobie kolejną rzecz. W telewizorze jakiś mężczyzna stał na podwyższeniu i coś mówił. Jake rzucił spojrzenie w stronę drzwi, mając nadzieję, że ludzie, których rzekomo miał znać, nie wejdą teraz do pokoju. Jeszcze nie teraz. Jeśli nie chcieli mu powiedzieć, co się stało, sam się wszystkiego dowie.

- W najbliższy weekend nie odbędą się zaplanowane mecze ligi NFL. Chcemy w ten sposób uczcić pamięć ofiar zamachów z 11 września. Przy najmniej tyle możemy zrobić, żeby okazać nasz szacunek dla nich.

NFL? To chodzi o National Football League. Ale dlaczego odwołują najbliższą kolejną spotkanie? Co takiego wydarzyło się 11 września, że odwołują wszystkie mecze? Chcą uczcić pamięć ofiar czego? O czym mówi ten człowiek? Nagle doznał olśnienia. Zaraz, zaraz... kiedy został ranny? Nie był pewien, ale wydawało mu się, że w szpitalu spędził tylko dwa dni. Może on też był jednym z poszkodowanych 11 września?

Obraz w telewizorze zmienił się i pośpiesznie wyglądający prezenter zapowiedział podsumowanie najważniejszych wydarzeń z ostatnich dwóch dni. W migawkach pokazano najpierw dwa wysokie budynki: ze szczytu jednego z nich unosiły się kłęby dymu i widać było płomienie. Zanim Jake zdołał sobie przypomnieć, gdzie już widział te wieżowce, nadleciał samolot i wbił się w drugi budynek.

Jake poczuł nagle suchość w ustach. Telewizyjny reporter mówił coś o terrorystach i samobójczych atakach, ale nic z tego nie miało sensu. Terrorysty? Samoloty uderzające w budynki? Czy to wszystko stało się, gdy leżał nieprzytomny? A może był w jednym z tych budynków, a nawet gasił tam pożar? Ręce zaczęły mu się trząść i wypuścił z nich pilota.

Kolejne ujęcia ukazywały zawalenie się najpierw jednego, a potem drugiego wieżowca. Następnie pokazano jakąś inną płonąca budowlę, a potem migawki z jakiegoś pola lub łąki z dymiącym kraterem pośrodku.

Na ekranie pojawiła plansza z biegnącym u góry napisem: „Atak na Stany Zjednoczone”. Podano na niej informacje o rozbiciu się czterech samolotów pasażerskich, zniszczeniu wielu budynków w Nowym Jorku i Waszyngtonie oraz śmierci około trzech tysięcy ludzi, w tym ponad czterystu strażaków i pracowników służb ratowniczych.

Trzy tysiące zabitych? W tym setki strażaków? Jake wyłączył telewizor i nagle coś mu się przypomniało; wspomnienie było wyraźne i szczegółowe. Te wysokie budynki stanowiły część World Trade Center - to słynne bliźniacze wieże na dolnym Manhattanie w samym sercu Nowego Jorku.

Wspomnienie dotyczące wieżowców World Trade Center było zaskakująco wyraźne. Jake oparł się plecami o poduszki. Mógł być tylko jeden powód, dla którego tak dobrze je zapamiętał. Musiał tam kiedyś być, a to znaczyło, że ci ludzie na korytarzu mówili mu prawdę. Był strażakiem, prawdopodobnie w którejś z jednostek stacjonujących nieopodal World Trade Center. Wraz z kolegami z tej samej remizy prawdopodobnie niejedną raz wchodził do tych budynków.

Jeśli to było prawdą, musiał zostać ranny w zamachach terrorystycznych, o których właśnie usłyszał. Mało tego, prawdopodobnie był jednym ze szczęśliwców, którzy wyszli z tego cało. Przed oczami znowu mignęła mu liczba ofiar. Tysiące zabitych, setki pracowników służb ratowniczych. Jak jemu udało się przeżyć? Ilu z jego przyjaciół i kolegów straciło życie, gdy te budynki runęły?

Spróbował sobie przypomnieć nazwisko tego kapitana. Hiser czy Hisen... Kimkolwiek był, nic dziwnego, że wyglądał na przybitego. Jego jednostka nie pojechała do jakiegoś tam pożaru. Zostali wezwani, bo zdarzyła się katastrofa o niewyobrażalnych wprost rozmiarach, tragedia, jakiej Ameryka jeszcze nie widziała, a on znalazł się w samym jej centrum.

Musiała minąć chwila zanim oswoił się z faktami. A więc miał na imię Jake i rzeczywiście był strażakiem. Musiał nim być, przecież znaleźli go pod wozem strażackim, a kapitan go rozpoznał. Jake zacisnął zęby i spróbował wyobrazić sobie siebie samego gaszącego pożary, ubranego w ciężki kombinezon, trzymającego w rękach wąż gaśniczy pośród szalejących wokół płomieni. Nawet mu się to udało, ale żadna z tych wymyślonych scen nie wydała mu się znajoma. Gdy próbował przywołać w myślach remizę, o której wspomnieli kapitan, w głowie miał pustkę.

Zamknął oczy i skoncentrował się tak mocno, że aż rozboleła go pod bandażami twarz. Niewątpliwie co miesiąc spędzał w remizie setki godzin, i

to przez tyle lat, dlaczego więc nic nie pamiętał? Skoro potrafił przywołać w pamięci budynki World Trade Center, dlaczego nie udawało mu się to w przypadku remizy?

No i co z tą kobietą? Początkowo fakt, że jej nie pamiętał, wydał mu się tak dziwny, że nie zaprzętał sobie nim głowy. Nie mógł być jej mężem, bo w przeciwnym razie wiązałyby się z nią jakieś wspomnienia. Dlatego założył, że to ona bierze go za kogoś innego, i utwierdził się w przekonaniu, że cała ta sytuacja to jakaś ogromna pomyłka.

Ale najwyraźniej się mylił. Wszystko, co mu powiedzieli ci ludzie czekający teraz na korytarzu, było prawdą. Był strażakiem i mężem Jamie. Służył w nowojorskiej straży pożarnej, a jego jednostka została zdziesiątkowana w wyniku ataków terrorystycznych 11 września. Brał udział w gaszeniu największego pożaru w historii Stanów Zjednoczonych i jakimś cudem wyszedł z tego żywy. Wprawdzie stracił pamięć, ale być może lekarze coś na to poradzą. Najważniejsze, że przeżył.

W ciemnych zakamarkach jego splątanego umysłu pojawił się kolejny błysk. Jeśli kiedykolwiek dane mu będzie odzyskać utraconą osobowość, nie uda mu się to bez pomocy tych osób na korytarzu, a zwłaszcza Jamie i Sierry.

Najświeższe wspomnienia cisnęły mu się do głowy: strach malujący się na twarzy tej kobiety za każdym razem, gdy wchodziła do pokoju, w którym leżał; niepokój w oczach dwóch mężczyzn, z których jeden najwyraźniej był jego ojcem, a drugi dowódcą jednostki, w której służył. Nie poznawał ich, nie zdobył się na przyjazny uśmiech. A przecież niezależnie od tego, jak ciężkiej próbie on sam był poddany, oni przechodzili przez coś nie mniej okropnego. Jeszcze do niedawna łączyły ich bliskie relacje, przyjaźń, a teraz był do tego stopnia dezorientowany, że nawet nie okazał im cienia życzliwości.

Jednak najważniejsze, że żył. Miał kochającą rodzinę i przyjaciół. Jake przywołał w myślach twarze: Jamie, jego ojciec, kapitan. Nie miał jednak żadnych wspomnień z nimi związanych. Fakt ten wpędziłby go w skrajne przygnębienie, gdyby nie jeden wyjątek - pamiętał Sierrę. Jego mała córeczka stanowiła dla niego punkt wyjścia - skałę, dzięki której mógł rozpocząć najważniejszą wspinaczkę w całym swoim życiu, wyruszyć w drogę powrotną do rzeczywistości sprzed 11 września.

Ale jeśli miał rozpocząć tę podróż, jeśli miał to uczynić z uśmiechem na twarzy, potrzebował jakiegoś punktu zaczepienia. To oznaczało, że nie da

sobie rady bez Sierry u swojego boku, że musi powiedzieć jej coś, co powinien powiedzieć, gdy tylko ją zobaczył, nawet jeśli nie pamiętał, czy kiedykolwiek wcześniej to powiedział.

- Sierro... - zawołał cichym, chropawym głosem, który ginął w szumie szpitalnej aparatury wokoło. Na korytarzu z pewnością nikt go nie usłyszał. Napiął mięśnie brzucha i spróbował jeszcze raz. Tym razem jego chrapliwe słowa zabrzmiały głośniej.

- Sierro... chodź... tu.

Włosy spływały małej po ramionach kaskadą loków, gdy wchodziła do pokoju, ciągle mocno ściskając rękę matki, a jej różowa sukieneczka kołysała jej się nad kolanami.

- Tatusiu...?

- Tak... - Jake z trudem przełknął ślinę. Bolało go gardło i wypowiedane przez niego słowa brzmiały nienaturalnie. A może to był jego normalny głos, tylko on po prostu go nie poznawał. Jake odpędził od siebie tę myśl. - Chodź do mnie. Sierro.

Na twarzy dziewczynki pojawił się uśmiech. Leciutko otworzyła buzię, baczenie mu się przypatrując. Jamie nachyliła się nad córką i powiedziała:

- Zostań tu na chwilę, kochanie. Muszę najpierw zamienić parę słów z tatusiem.

Sierra zrobiła, jak jej Jamie kazała, i zaczekała przy drzwiach. Obaj mężczyźni zostali na korytarzu i Jake był nawet z tego zadowolony. Prawdopodobnie rozmawiali o tym, jakie to straszne, że ich nie pamięta. A może uznali, że lepiej będzie, jeśli te chwile spędzi tylko z najbliższymi mu osobami.

Jamie podeszła do łóżka. W jej oczach wciąż czaił się lęk, ale tym razem Jake zmusił swoją zabandażowaną twarz do grymasu, który - miał nadzieję - choć trochę przypominał uśmiech.

- Jake... - przygryzła górną wargę, by powstrzymać jej drżenie. Mówiła ledwo słyszalnym tonem: - Wiem, że mnie nie pamiętasz, i nie jestem pewna, na ile pamiętasz Sierre...

Zrobiła pauzę i ponownie mocno chwyciła pręty łóżka.

- Ale proszę cię o jedno... jeśli nie pamiętasz, przynajmniej udawaj dla dobra Sierry.

Otworzyła usta, z których wydobył się śmiech zmieszany z płaczem. Na moment przysłoniła usta wierzchem dłoni.

- W zeszłą niedzielę zakręciłeś jej włosy i zabrałeś ją do kościoła. Przynajmniej zachowuj się tak, jakbyś ją znał, dobrze?

Przez dłuższą chwilę ich spojrzenia spotkały się.

- Dobrze - głos miał tak zachrypnięty, że ledwo mógł mówić. - Przepraszam, Jamie. Dałbym wszystko, żeby... żeby sobie ciebie przypomnieć.

Oczy Jamie zabłyśły. Pociągnęła nosem i wyprostowała się, jak gdyby za wszelką cenę chciała opanować emocje. Skinęła głową i wróciła do Sierry.

- W porządku, kochanie. Tatuś chce z tobą porozmawiać.

Omijając wzrokiem matkę, Sierra popatrzyła na Jake'a, który tym razem zdołał pomachać ku niej palcami. Podeszła w ślad za Jamie do łóżka, a nawet zebrała się na odwagę, by wysunąć się przed nią. Przysuwając twarzyczkę do twarzy ojca, powiedziała:

- Cześć, tatusiu.

Jake poczuł rosnącą w gardle gulę. Za każdym razem, gdy patrzył na dziewczynkę lub myślał o niej, ogarniały go silne emocje.

- Cześć, Sierry.

Rzucił szybkie spojrzenie na Jamie, po czym ponownie skierował wzrok na córkę.

- Dziękuję, że przyszłaś.

Sierra przekrzywiła główkę, cały czas mając szeroko otwarte oczy.

- Tatusiu, czy ty straciłeś głos?

- Tak, maleńka - tym razem uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, nie był wymuszony. - Chyba też został ranny podczas gaszenia pożaru.

- Ojej! - pokiwała głową.

Znowu zapadła niezręczna cisza. Jake gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć. Musiał znaleźć jakiś wspólny temat, nawet jeśli takiego nie było. Wsunął zabandażowane ręce między pręty łóżka i chwycił małe paluszki Sierry. Znowu miał gulę w gardle i ledwie mógł wydobyć z siebie głos.

- Tatuś potrzebuje cię, żebyś pomogła mu wyzdrowieć. Dobrze, maleńka?

- Dobrze - rozpromieniła się na myśl o tym. - Kiedy wrócisz do domu, będę ci przynosić wodę, grzanki i lody do łóżka.

- Doskonale - kątem oka Jake zauważył, jak Jamie wyciera spływającą po policzku łzę. Ale całą uwagę skupiał teraz na córce.

- Cieszę się, że już się lepiej czujesz, tatusiu. Przybliżyła buzię do jego dłoni i delikatnie ucałowała każdy palec.

- Nie możesz jeszcze robić motylkowych całusków, ale ja mogę. Dobrze?

- Dobrze - ostatnią resztką sił Jake wyciągnął palce jeszcze trochę i pogładził dziewczynkę po jej aksamitnym policzku. I wtedy powiedział jedyną rzecz, jaką mógł w tej chwili powiedzieć; jedyne słowa, jakie mogły utworzyć pomost pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Chociaż nie pamiętał, czy mówił to wcześniej, chociaż nie był pewien, czy stanowi to prawdziwe odzwierciedlenie jego uczuć, była to jedyna rzecz, której mógł się uchwycić.

- Kocham cię. Sierro. Zawsze będę cię kochać.

RS

## Rozdział 20

17 września 2001

Jamie musiała się zastanowić nad tym, co usłyszała od lekarza. Ale gdy minął weekend pełen emocji zbyt zagmatwanych, by się przez nie spokojnie przedrzeć, miała pewność co do jednego: tylko spotkanie z doktorem Clearym mogło im pomóc.

Teraz już wszyscy wiedzieli, że Jake zdaje sobie sprawę, jak doszło do wypadku. Tak więc oprócz fizycznego bólu oraz frustracji wywołanej utratą pamięci musiał jeszcze zmierzyć się z całym okropieństwem tego, co jemu i jego kolegom przydarzyło się 11 września.

Jamie usiadła przy jego łóżku i położyła ręce na kolanach. Odkąd się obudził, nie miała odwagi trzymać go za rękę. Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch dni Jake wyteżał siły, by rzucić jej miłe spojrzenie lub cień uśmiechu. Ale z tego, co mówił - a i z tego, czego nie powiedział - wynikało jasno, że nadal widzi w niej obcą kobietę. Doktor Cleary już wcześniej wyjaśniał im, jakiego typu uraz musiał wywołać u Jake'a utratę pamięci, teraz jednak mógł podać bardziej szczegółowe informacje.

- Porozmawiajmy o amnezji - wodził spojrzeniem od jamie do Jake'a. - W ciągu tych kilku dni mogła się pani zorientować, w jakim stanie jest umysł męża i co pamięta - zamilkł na chwilę. - Jestem pewien, że macie oboje wiele pytań.

Jake siedział podparty na łóżku. Skinął obandażowaną głową.

- Mnóstwo - lekarze usunęli już większość bandażu z jego ramion i zastąpili je małymi gazikami. Głos jednak miał nadal chropowaty. - Wszystko, co pamiętam i czego nie pamiętam, jest tak przypadkowe.

- Z pewnością - doktor Cleary pochylił się do przodu. - Mózg kategoryzuje wszystkie informacje, także pamięć. Część pana mózgu zawiera pamięć zachowań wyuczonych, takich jak siedzenie, stanie, chodzenie, jedzenie, a nawet słownictwo. Inna natomiast jego część zawiera pamięć funkcjonalną: język, znaczenie różnych zwrotów i wyrażań, pamięć miejsc i nawyków.

- Jake pamięta te rzeczy - Jamie spojrzała na męża przez ramię. - Przynajmniej wydaje mi się, że pamiętasz. Nie mylę się?

- Nie, rzeczywiście tak jest. Pamiętam też wszystko, co się wydarzyło, odkąd się obudziłem.



- No, właśnie. Jedna trzecia puli pamięci mózgu jest poświęcona tego typu zapamiętywaniu. Nazywa się to pamięcią krótkotrwałą - zacisnął usta i popatrzył uważnie na Jake'a. - Problem, z którym się w pańskim przypadku zmagamy, to pamięć długotrwałą, czyli ten obszar mózgu, który najczęściej ulega zniszczeniu podczas urazów głowy, takich jak u pana.

- Nie rozumiem - Jamie zamknęła oczy i uszczypnęła się w koniuszek nosa. W żołądku miała twardą gulę. Opuściła ręce i spojrzała na lekarza. - Jeśli uszkodzeniu uległa pamięć długotrwałą, to jak to możliwe, że Jake pamięta, jak się je, albo fakt, że pracował w Nowym Jorku?

Doktor Cleary poprawił się na krześle i pokiwał głową, jakby spodziewał się usłyszeć to pytanie.

- Rzecz w tym, że mózg postrzega tego typu pamięć raczej jako zachowanie wyuczone lub informację funkcjonalną. Zdarza się niekiedy, że osoba z urazem głowy traci również tę część pamięci. Ale utrata pamięci długotrwałej to coś zupełnie innego - zamilkł i wziął głęboki oddech. - Proszę sobie wyobrazić magazyn wypełniony informacjami dotyczącymi konkretnych ludzi i związanymi z nimi doświadczeniami. To jest właśnie pamięć długotrwałą.

- I to właśnie straciłem? - Jake usadowił się lepiej. Leżał teraz częściowo na boku, zwrócony twarzą do lekarza.

Jamie dostrzegła, że nadal przy najmniejszym ruchu krzywi się z bólu.

- Ależ nie! Wszystko, co tylko kiedykolwiek pan zapamiętał, nadal się w tym magazynie znajduje! - doktor Cleary uśmiechnął się smutno. - Tyle, że w tej chwili drzwi są zamknięte i nikt z nas nie potrafi odnaleźć do nich klucza...

Jamie zacisnęła mocno pięści. Wszystko to było bardzo ciekawe, ale nie dawało odpowiedzi, na którą czekała, którą po prostu musiała usłyszeć: kiedy Jake ją rozpozna? Odchrząknęła i spróbowała wyrazić swoje uczucia:

- Czy to znaczy... że kiedyś Jake odzyska pamięć?

- Dzieje się tak prawie we wszystkich przypadkach - tym razem doktor uśmiechnął się szerzej. - Utrata pamięci długotrwałej zazwyczaj nie trwa dłużej niż sześć miesięcy. Trudno określić bardziej precyzyjnie, różnie to bywa u różnych pacjentów, ale większość osób cierpiących na tego typu amnezję już w drugim lub trzecim miesiącu rekonwalescencji miewa przebłyski pamięci.

- Przebłyski pamięci? - Jake przeciągnął palcami po prawym przedramieniu. Choć zdjęto mu bandaż, poparzenia na tej ręce były najgorsze.

Serce Jamie wyrywało się ku niemu. Podeszła bliżej, chciała położyć mu dłoń na ramieniu, żeby go pocieszyć i dać mu do zrozumienia, jak jej jest przykro, że cierpi. Ale w ostatniej chwili powstrzymała się; najmniejsze nawet oznaki uczucia mogły go tylko zdenerwować.

Doktor Cleary wstał i podszedł do łóżka pacjenta. Stamtąd spojrzął na Jamie.

- Przebłyski pamięci są absolutną oznaką procesu zdrowienia. W ten sposób mózg pozwala choremu zajrzeć przez okno do owego zamkniętego magazynu pamięci, o którym przed chwilą mówiłem - przeniósł spojrzenie na Jake'a. - Te momenty mogą być straszne.

„Straszne?” - Jamie poczuła, jak serce bije jej szybciej. Czy może być coś straszniejszego niż patrzenie w oczy własnego męża, dla którego teraz była kimś obcym?

- W jaki sposób straszne?

- Jako pierwsze powracają te wspomnienia, które dotyczą chwil bezpośrednio poprzedzających moment utraty pamięci - Cleary chwycił poręcz łóżka Jake'a. - A to oznacza wspomnienia z wypadku.

Czegokolwiek Jake doświadczył w tamtych ostatnich sekundach, musiało to być potworne. Doktor spojrzął na Jamie.

- Początkowo przebłyski pojawiają się tuż przed zaśnięciem albo zaraz po przebudzeniu. Mąż może nagle usiąść na łóżku lub zacząć krzyczeć w środku nocy - zawahał się. - Będzie mu pani musiała pomóc przez to przejść.

Skinęła głową.

- Jasne.

Doktor Cleary przeszedł w nogi łóżka i wziął kartę Jake'a.

- I to by było mniej więcej na tyle, jeśli chodzi o amnezję - rzucił Jamie szybkie spojrzenie. - Później jeszcze o tym porozmawiamy. A teraz przyjrzyjmy się oparzeniom.

Jamie była tak zaaferowana utratą pamięci Jake'a, że ledwo pamiętała o jego oparzeniach. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że na pewno były bolesne, ale poza tym nie poświęcała im zbyt wielkiej uwagi. Przymrużyła oczy, wdzięczna za zmianę tematu.

- Jak skóra na twarzy? - lekarz patrzył w kartę, zbliżając się ponownie do łóżka.

Jake uniósł lewą rękę i delikatnie dotknął zabandażowanych policzków i czoła.

- Piecze.

- Sądząc po wyglądzie oparzeń, musiał pan stać zwrócony twarzą do budynku w chwili, gdy się zawalił - lekarz nachylił się nad Jakiem i ostrożnie uniósł koniuszek jednego z opatrunków na jego prawym ramieniu.

- Podmuchi gorącego powietrza musiał pana przewrócić na plecy i wepchnąć pod wóz strażacki. W efekcie poparzył pana ramiona i twarz.

Doktor podniósł róg kolejnego opatrunku i popatrzył na oparzone miejsce.

- Ramiona ładnie się goją. Oparzenia drugiego stopnia oznaczają, że na skórze będzie trochę blizn i duże zaczerwienienie przez jakieś sześć miesięcy, ale większość z tych symptomów zniknie już po roku.

Zajrzał pod górną część bandaża na twarzy Jake'a.

- Miał pan szczęście, jeśli chodzi o twarz. Skóra na policzkach i czole najbardziej ucierpiała od gorąca i niewiele brakowało, a doszłoby do poparzeń trzeciego stopnia - wyprostował się i ponownie spojrzął na kartę. - Opatrunek bardzo tutaj pomaga. Sądzę, że będzie można uniknąć przeszczepu skóry.

- A co z bliznami? - Jamie nie chciała o to pytać, ale musiała. To właśnie z powodu twarzy Jake'a zakochała się w nim, gdy byli jeszcze dziećmi. Nie miało to wielkiego znaczenia - kochałyby go bez względu na wygląd, ale i tak musiała to wiedzieć.

- Pozostanie ich trochę, ale nie będą szczególnie drastyczne. Za jakiś rok będzie się pani musiała uważnie przyjrzeć, żeby w ogóle je dostrzec. Oczywiście uszkodzeniu uległo też gardło i płuca. Poparzył je ten sam podmuch gorącego powietrza.

- Dlatego tak mówię? - Jake przyłożył dłoń do gardła. - I dlatego nie mogę normalnie oddychać?

- Tak, ale to minie - lekarz pokiwał głową. - Podajemy panu wilgotne powietrze do wdychania. Będziemy kontynuować tę terapię w przyszłym tygodniu, a może jeszcze dłużej. Poczuj się pan po niej o wiele lepiej. Dopiero wówczas będzie można stwierdzić, czy uszkodzenie głosu ma charakter trwały. Nie wpłynie to jednak na datę wypisu ze szpitala - cofnął się o krok i spojrzął na Jamie. - Rany głowy goją się dobrze, a rozmiary

mózgu powróciły do normy - wsunął ręce w kieszenie białej marynarki. - Jeśli nic się nie zmieni, pani mąż będzie mógł wrócić do domu w poniedziałek lub wtorek.

Jamie poczuła przyływ paniki. Mocniej objęła się rękami. Jak ma go zabrać do domu, skoro on jej nie pamięta?

- Tak... tak szybko? - dostrzegła spojrzenie Jake'a i zrozumiała, że on też ma podobne obawy.

- Tak - doktor Cleary spojrzał ostrzej na Jake'a. - Im szybciej zostanie pan umieszczony w znanym sobie środowisku, nawet jeżeli w tej chwili nie wydaje się ono panu znajome, tym szybciej wróci panu pamięć - uśmiechnął się i odłożył kartę na stół. - Niech się pan trochę prześpi. Porozmawiam chwilę z pańską żoną.

Jamie wyszła na korytarz za doktorem. Czuła, że kręci jej się w głowie i nie może zebrać myśli. Tak jakby wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się w jej życiu. Jake, miłość jej życia, nie pamięta jej?! Brzmiało to jak jakiś kiepski żart.

Odeszli kilka kroków od sali Jake'a. Doktor Cleary odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Muszę porozmawiać z panią szczerze. Powrót do zdrowia pani męża w dużej mierze zależy od pani.

- Ode mnie? - wyszeptała cicho.

- Tak. Musi pani być cierpliwa. Trzeba mu pozwolić powracać do formy w jego własnym tempie. Przebłyski pamięci pojawią się szybciej, jeśli będzie się czuł bezpiecznie.

Jamie zakręciło się w głowie. Przegarnęła włosy palcami obu dłoni.

- Nie jestem pewna, czy dobrze ro zumiem...

- On nie pamięta, że jest pani mężem - lekarz popatrzył jej w oczy. - Przez kilka następnych miesięcy proszę go traktować jak dobrego przyjaciela. Niech pani będzie dla niego miła, cierpliwa, taktowna; niech pani odpowiada na jego pytania, zmienia mu opatrunki... Proszę jednak nie oczekiwać niczego więcej.

- To znaczy... - Jamie opadły ręce i zmiękły kolana - ... mam z nim nie rozmawiać tak, jakby był moim mężem?

- Proszę się nie zachowywać, jakbyście byli małżeństwem - doktor Cleary przekrzywił nieco głowę i przyglądał się Jamie ze współczuciem. - Czy mają państwo pokój gościnny?

- Pokój gościnny?

Mówił teraz o zorganizowaniu dla Jake'a miejsca do spania. Jamie w ogóle o tym nie pomyślała, odkąd dowiedziała się o utracie pamięci Jake'a. Poczwała, że się czerwieni.

- Tak... Teraz sypia tam ojciec Jake'a.

- Niech pojedzie do domu. Jake musi teraz odpoczywać i wracać do zdrowia. Im mniej będzie wokół niego ludzi, tym lepiej. W ten sposób szybciej powróci mu pamięć.

- I... - Jamie nie mogła pojąć, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. - I ma spać w pokoju gościnnym?

- Chwilowo - Cleary położył jej dłoń na ramieniu. - Proszę pamiętać, że on pani nie zna. Nie będzie się więc spodziewał żadnych kontaktów fizycznych z panią. Muszę też prosić, by ich pani nie inicjowała. Nawet tych najprostszych form, takich jak przytulenie czy pocałunek. To musi wyjść od niego.

Na policzkach Jamie pojawił się pełnokrwisty rumieniec, który objął następnie jej szyję i dekolt. Czwała się jak mała dziewczynka pouczana przez ojca.

- Czy to nie pomogłoby mu przypomnieć sobie...?

- Wszystko mu się wówczas pomiesza - lekarz wcisnął ręce w kieszenie fartucha. - Za to gdy on sam zainicjuje tego typu zachowania, pozna pani, że jego pamięć powraca.

Jamie zgarbiła się nieco. Poczwała, jakby ktoś włożył jej na ramiona wielki ciężar. Ma udawać, że nie jest żoną Jake'a Bryana? To jakieś chore. Ma wziąć Jake'a do domu, zadbać o niego, ale nie być dla niego niczym więcej jak tylko przyjacielem? A wszystko to w nadziei, że może kiedyś jakoś jego pamięć powróci?

- Dobrze... - odetchnęła i podniosła wzrok na lekarza. - Powiedział mi pan, czego nie wolno mi robić... Ale co mogę zrobić... jak mu pomóc przypomnieć sobie wszystko?

- Proszę przypomnieć sobie czas, kiedy się zakochaliście, zanim jeszcze zaczęliście się umawiać na randki. Jeśli potrafi pani nawiązać z nim tego typu kontakt, to go uspokoi i przyspieszy rekonwalescencję.

Jamie zamrugała szybko oczami, żeby odpędzić napływające łzy, i oparła się o ścianę, by nie upaść.

- Miałam dwanaście lat, gdy zakochałam się w Jake'u Bryanie, panie doktorze. Dwanaście lat... - mówiła głosem pełnym napięcia i bólu od hamowanego z trudem płaczu. - W jaki sposób takie zachowanie pomoże mu

przypomnieć sobie uczucie, które żywiliśmy do siebie jeszcze w zeszłym miesiącu? Jaki proces zdrowienia może to spowodować?

- Najlepszy z możliwych, pani Bryan - doktor przemawiał teraz wprost do jej serca. - Gdy ktoś traci pamięć zachowań wyuczonych, trzeba go ponownie nauczyć podstawowych umiejętności. Tak, w końcu sobie przypomni, ale na razie trzeba go uczyć. Uczyć, jak siedzieć, jak stać, jak jeść i jak chodzić...

Jamie słuchała, bardzo pragnąc go zrozumieć. Chłoneła każde słowo.

- Ale każe mi pan być tylko jego przyjacielem, nikiem więcej. Czego to ma go nauczyć?

- To bardzo proste, pani Bryan - doktor przymrużył oczy. - To go nauczy panią kochać.

Była to kropla, która przepełniła czarę. Jamie miała ochotę załamać się, rzucić doktorowi w ramiona i zapłakać z powodu piętrzącej się przed nią góry problemów. Jake zawsze był jej oparciem, miłość do niej przychodziła mu z równą łatwością jak oddychanie. A teraz, zamiast leżeć nocą w jego ramionach, kochać się z nim i zatracać w jego objęciach, ma być jego przyjacielem... i mieć nadzieję, że uda im się odnaleźć ową więź, która łączyła ich całe wieki temu, kiedy byli jeszcze dziećmi. Ta właśnie więź miała ich przeprowadzić przez wszystkie problemy, przynajmniej dopóki Jake nie zacznie odzyskiwać pamięci.

Jamie przygotowała się na czekające ją ciężkie chwile i podziękowała doktorowi. Następnie odwróciła się i noga za nogą powlokła do sali Jake'a.

Sierra została w domu z ojcem Jake'a, który w roli dziadka sprawował się wspaniale, ale teraz - jeśli miała zastosować się do wskazówek lekarza - będzie musiała go odesłać. Myśl, iż ma zabrać Jake'a do domu i sama zająć się jego rekonwalescencją, przerażała ją, ale przynajmniej miała jeszcze tydzień, zanim to nastąpi.

Powoli odetchnęła i wzięła się w garść. Ma się zachowywać, jakby znów miała dwanaście lat? Jak ma to zrobić, skoro Jake nie okazał ani odrobiny zainteresowania jej osobą, odkąd wybudził się ze śpiączki? Jamie powstrzymała łzy i weszła do sali. Nie musi znać wszystkich odpowiedzi już dziś.

Salę wypełniało ciche brzęczenie sprzętu medycznego. Zbliżając się do łóżka męża, Jamie poczuła silny zapach środka odkażającego. Jake spał, leżąc na boku, twarzą do okna. Jego twarz i ciało pozostawały w absolutnym bezruchu pod warstwą bandażu i kołdrą.

Jamie usiadła i westchnęła ciężko. Po chwili jej spojrzenie padło na stół stojący w pobliżu i leżącą na nim kartę Jake'a. Może jest tam coś, czego lekarz jej nie powiedział? Sięgnęła po kartę i szybko przebiegła wzrokiem po danych osobowych, by na dłużej zatrzymać się przy notatkach doktora Cleary'ego dotyczących diagnozy Jake'a. Amnezja, oparzenia drugiego stopnia, złamana kostka.

Nagle dostrzegła krótką uwagę, iż transfuzja krwi okazała się niepotrzebna. Obok doktor zanotował grupę krwi Jake'a: Zero Rh minus. W głowie usłyszała sygnał ostrzegawczy: Zero Rh minus - to nie była grupa krwi Jake'a! Jake miał AB Rh plus - jedną z najrzadziej występujących grup krwi, na którą było największe zapotrzebowanie w krwiodawstwie. Upuściła tabliczkę z kartą i ostrożnie cofnęła się o cztery kroki do tyłu. Usłyszała w myślach słowa Jake'a: „Oczywiście, że mam rzadko spotykaną krew”. Mówił to setki razy, unosząc dumnie podbródek, dłoń zwijał w pięść i przykładał ją do piersi: „Bóg stworzył mnie i zaraz potem zniszczył wzór”.

Temat ten powracał często w ich rozmowach, gdy tylko Jake oddawał krew dla Czerwonego Krzyża. „Co tu dużo mówić - oznajmiał po powrocie do domu - jestem cennym towarem”.

Była to prawda. Czerwony Krzyż często zwracał się do niego z prośbą, przypominając, iż grupa AB Rh plus jest bardzo rzadka, i błagając, by przyjechał i oddał krew. Ale teraz...

Jamie z trudem łapała powietrze i czuła, że zaraz zemdleje. Uchwyciła się najbliższego krzesła i opadła na nie, opuszczając głowę między kolana, by zapobiec kompletnej katastrofie. Cóż to ma znaczyć?! Jeśli człowiek śpiący spokojnie o kilka kroków od niej ma krew Zero Rh minus, to nie jest on Jakiem! To by tłumaczyło, dlaczego jej nie rozpoznał, dlaczego oczy nie rozbłysły mu z miłością na jej widok, tak jak było to zawsze, odkąd tylko pamiętała.

Czoło pokryła jej warstwa potu, a przez głowę przemykały setki możliwych wyjaśnień. Może kapitan Hisel albo ktoś inny powiedział temu człowiekowi coś na temat Sierry, może dlatego pamiętał jej imię? A może po prostu napięcie towarzyszące jej od wtorku sprawiało, że ma urojenia? Może właściwie wcale nie zobaczyła napisu „Zero Rh minus” na karcie? Miała ochotę wstać, podnieść kartę i przekonać się, czy tak rzeczywiście jest. Chciała, by jej spojrzenie raz jeszcze na nią padło i by raz na zawsze przekonała się, że napisano tam prawdę: że grupa krwi Jake'a to AB Rh plus.

Ale nagle poraziła ją pewna myśl: jeżeli ten człowiek leżący na szpitalnym łóżku nie jest Jakiem, jeżeli jest kimś zupełnie innym - mężczyzną, który ma grupę krwi Zero Rh minus i który jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności zna imię Sierry, to może oznaczać tylko jedno, a mianowicie, że Jake nie żyje! A tej myśli Jamie po prostu nie była w stanie przyjąć.

Zamiast więc sięgnąć po kartę, wstała i chwiejnym krokiem ruszyła do pokoju pielęgniarek. Musi się dowiedzieć prawdy - bez względu na to, jaka ona będzie. A ponieważ nie chce nawet patrzeć na kartę, poprosi pielęgniarkę, by zrobiła to za nią.

Gdy stanęła w drzwiach, pielęgniarka podniosła na nią wzrok.

- Czy dobrze się pani czuje?

Jamie otworzyła usta, ale z początku nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Miała ściśnięte gardło, nie była w stanie nic powiedzieć. Ale wreszcie bardzo powoli słowa zaczęły płynąć. Była to najtrudniejsza wypowiedź w całym jej życiu.

- Sądzę... - oparła się o biurko, by nie upaść - ... możliwe, że mężczyzna leżący w tamtej sali nie jest moim mężem.



RS

## Rozdział 21

17 września 2001

Pielęgniarka dziwnie popatrzyła na Jamie, ale szybko pokryła konsternację uśmiechem.

- Nie jestem pewna, czy dobrze panią rozumiem.

- Chodzi mi o to... - słowa z trudem przechodziły Jamie przez gardło - że czuję się, jakbym traciła rozum.

Serce jej waliło, gdy wskazywała ręką przez korytarz ku sali, w której leżał mężczyzna.

- Trzeba... Proszę sprawdzić kartę - niemal wy-szlochała ostatnie słowo. Na twarzy pielęgniarki odmalowało się współczucie.

- Przede wszystkim - zapytała - czy pani dobrze się czuje?

- Nie! - Jamie znów podniosła głos. - Nie czuję się dobrze! Chcę, żeby mi pani powiedziała, czy tamten człowiek jest moim mężem - głos się jej załamał, chwyciła się mocno pulpitu, żeby nie upaść. - Proszę...

Tym razem pielęgniarka nie wahała się ani przez chwilę. Ruszyła do wskazanej sali, pociągając Jamie za sobą.

- Skąd pani przyszło do głowy, że to nie pani mąż?

- Tu, na karcie, jest inna grupa krwi - wykrztusiła Jamie. Podążała za pielęgniarką, cała trzęsąc się ze strachu przed tym, co ją czeka.

Pielęgniarka wzięła do ręki kartę, a Jamie utkwiała wzrok w mężczyźnie leżącym na łóżku. Kobieta ściągnęła brwi, z uwagą odczytując informacje z karty. A jeśli wskutek pomyłki od kilku dni leżał tu jakiś obcy człowiek... a Jake wciąż jest gdzieś wewnątrz budynku z Larrym i innymi strażakami? Wstrzymała oddech, gdy pielęgniarka w milczeniu przebiegała wzrokiem wydruk. To, co za chwilę powie, na zawsze zmieni życie Jamie.

Kobieta podniosła wzrok. Konsternacja zniknęła z jej twarzy. Wskazała na jakieś miejsce na pierwszej stronie karty pacjenta.

- Chodzi pani o to? O słowa: „Zero Rh minus”? Jamie nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Ledwie oddychała. Oparła się o ramę łóżka i tylko twierdząco skinęła głową.

Twarz pielęgniarki przybrała miły wyraz.

- Po każdym większym wypadku od razu na izbie przyjęć robi się badanie krwi i wpisuje grupę, jaką dany pacjent ma otrzymać przy transfuzji. Zero Rh minus można podać pacjentowi z każdą inną grupą krwi.

- Ale... - Jamie dzwoniły zęby i aż musiała objąć się w pół rękoma, by powstrzymać przeszywające ją zimne dreszcze - ale mój mąż ma grupę AB Rh plus...

- No, właśnie - odparła z uśmiechem pielęgniarka - to wszystko wyjaśnia.

Jamie, choć wciąż zbита z tropu, poczuła się trochę lepiej. Istnienie racjonalnego wytłumaczenia zwiększało szanse, iż nic złego się nie stało.

- Nie całkiem rozumiem.

- AB Rh plus to bardzo rzadka grupa.

- Tak - nikle światełko zajaśniało w ciemnościach duszy Jamie.

- Pewnie po pobraniu mężowi krwi w izbie przyjęć zorientowali się, że to rzadka grupa. Ktoś napisał po prostu „Zero Rh minus”, co miało znaczyć, że jeżeli potrzebna będzie transfuzja, należy mu podać uniwersalną grupę krwi, ponieważ jego własna grupa jest zbyt rzadka.

Jamie patrzyła w pielęgniarkę jak w obraz, a bicie jej serca powoli wracało do normalnego rytmu.

- Więc pani nie sądzi, że zaszła jakaś pomyłka?

- Oczywiście, że nie! Nigdy nie słyszałam, żeby pomyłono pacjentów - kobieta zerknęła przez ramię na Jake'a, po czym przeniosła spojrzenie z powrotem na Jamie. - Ale przecież pani najlepiej wie, kto to jest.

Jamie potaknęła, a pielęgniarka posłała jej jeszcze jeden pokrzepiający uśmiech, odwieszając ramkę z kartą z powrotem na ramę łóżka.

Po jej odejściu Jamie usiadła wyprostowana i bez ruchu, za to z jakąś wielką, nieznaną jej wcześniej niepewnością wpatrywała się w Jake'a. Czyż nie będzie końca tym wszystkim emocjom, które targały nią od chwili ataku terrorystycznego? Była przekonana, że Jake zginął, a tu nagle telefon, że jest w szpitalu. Pędziła, by być u jego boku, a tymczasem on - przebudziwszy się - nie poznaje jej i nie pamięta ani chwili swego dotychczasowego życia. W całym tym wirze wydarzeń, tragedii i smutku nie przyszło jej nawet do głowy, że mogło dojść do pomyłki; że człowiek spoczywający na szpitalnym łóżku, tuż obok, może być kimś obcym.

Przyglądała mu się, próbując odtworzyć w pamięci obraz wielkiego, jowialnego mężczyzny, który wyszedł z ich wspólnej sypialni rankiem w ubiegły wtorek. Człowiek na łóżku był - z tego, co dało się zauważyć - wzrostu i postury Jake'a. Tak samo jak Jake miał szerokie bary, umięśnione ramiona i wąskie stopy. Miał oczy Jake'a, chociaż - pewnie przez brak pamięci - nie było w nich znajomego blasku.

Przez myśl przebiegły jej słowa pielęgniarki: „Oczywiście, że nie pomyłono pacjentów... nic podobnego nigdy się nie wydarzyło". Ale czy nie mogło?!

Nagle Jamie przypomniała sobie scenę widzianą w telewizji tego ranka, gdy wybierała się do szpitala. Pograżone w smutku rodziny przybywały tłumnie do Szpitala Weteranów przy Pierwszej Alei, by na jego ceglanej ścianie przyklejać ulotki ze zdjęciami swych bliskich. Codziennie przybywały ich setki - zrozpaczeni ludzie chwyтали się choćby cienia nadziei, że może ich syn czy córka, mąż albo żona nie znaleźli się wśród tysięcy zabitych.

Zaginiony... zaginiona... zaginiony... - głośiły ulotki. Gdyby na przykład ktoś z tych wszystkich ludzi, którzy we wtorek rano wyszli do pracy w World Trade Center, uszedł z życiem i teraz leżał niezidentyfikowany w szpitalu albo błąkał się po ulicach Nowego Jorku z urazem głowy. Albo gdyby wzięto go za kogoś innego...

Nagły dreszcz przemknął po plecach Jamie. Istniał tylko jeden sposób przekonania się na pewno, czy jakaś zrozpaczona dusza nie przemierza Manhattanu w poszukiwaniu człowieka o wyglądzie i budowie Jake'a. Wysła bez pożegnania, złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Pierwszą Aleję, pod szpitalną ścianę obwieszoną ulotkami. Gdyby umiała się modlić, w tej chwili najgoręcej błagałaby Boga, aby jej chęć upewnienia się, czy ktokolwiek z osób widniejących na ulotkach choćby odrobinę nie przypomina Jake'a, okazała się najgłupszym odruchem w jej życiu. Ale nie umiała się modlić i wcale nie zamierzała teraz się tego uczyć. Zwłaszcza w obliczu wszystkiego, co ją ostatnio spotkało.

Zapłaciła kierowcy i wygramoliła się z taksówki. Nagle jej stopy i głowa zaczęły się poruszać w szaleńczym, choć niejednolitym tempie. Oglądała kiedyś film o kobiecie, która zgubiła dziecko. Aktorka miotała się na wszystkie strony z oczyma jarzącymi się zwierzęcym strachem. W tej chwili Jamie czuła się dokładnie tak samo.

Ubrana w brązowe mokasyny szyte na miarę spodnie, golf i granatowy pulower, czyli strój, jaki poważne kobiety ze Staten Island wkładają na zakupy w mieście, bynajmniej nie zachowywała się, jak przystało na poważną mieszkankę dobrej dzielnicy. Nerwowo przepychała się przez tłum w kierunku największego skupiska ulotek.

Dotarwszy w końcu do ściany, zatrzymała się jak wryta. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie całą grozę sytuacji. Ze ściany uśmiechały się do

niej setki twarzy, ściśnięte jedna obok drugiej. Ładne dziewczyny w objęciach swych ukochanych, dumni ojcowie z maleństwami na rękach, mężczyźni i kobiety o posrebrzonych skroniach ujęci przy rodzinnym grillu.

Zwykli ludzie, których największym życiowym szaleństwem okazało się pójście pewnego wrześnieowego dnia do pracy. Wszyscy przepadli. Bezsprzecznie większość z nich nie żyła. Ale gdzieś w mieście był ktoś, kto kochał ich na tyle, by wydrukować ulotkę i przykleić ją do ściany; ktoś, kto tak za nimi tęsknił, by wbrew podszeptom rozsądku żywić nadzieję, że może jednak gdzieś się odnajdą.

Niemal bez tchu Jamie przeciskała się przez tłum wzdłuż ściany, dokładnie oglądając twarz po twarzy. Większość ulotek zawierała imię i nazwisko, wzrost i wagę oraz piętro i nazwę firmy, w której pracowała dana osoba. Każdy krok przynosił kilkadziesiąt nowych zdjęć. W końcu, po mniej więcej godzinie, wszystkie te fotografie zlały się jej w jedną nieprzebraną masę. I żadne z nich nie przedstawiało nikogo choćby odrobinę podobnego do Jake'a.

Postanowiła wezwać taksówkę, ale nie była w stanie się ruszyć. Opadła ciężko na pobliską ławkę. Nigdy, czy to po długim biegu, czy po meczu koszykówki, czy po całodziennym jeździe na skuterze wodnym nie czuła się tak wyczerpana. Trzęsły się jej ręce i nogi, w skroniach waliło jak młotem. Ale pomimo skrajnego zmęczenia, pomimo okropnego widoku, jakim poraziła ją szpitalna ściana, jedna myśl dodawała jej sił.

Jake żyje. Na pewno! Przecież to jego znalazł kapitan Hisel pod wozem i natychmiast rozpoznał. Nie może być żadnych wątpliwości, wszak było to, zanim zabandażowali mu twarz. Ten mężczyzna w szpitalu to na pewno Jake - ma jego oczy i włosy, jego sylwetkę. W przeciwnym razie kapitan by go nie poznał. No i był jeszcze jeden niepodważalny dowód - ten człowiek znał Sierę, jej twarz i imię.

Jamie przyglądała się skłębionej ludzkiej masie. Manhattan nie przypominał siebie sprzed ataku terrorystów. W powietrzu wciąż unosił się dym, wciąż wirował popiół. Ludzie stali w grupach przy ścianie i na pobliskim chodniku. Większość z nich płakała.

Obserwowała wszystko, dopóki nie poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Ukryła twarz w dłoniach, zamknęła oczy. Krótki, urywany oddech poruszał jej piersią. Chyba zwariowała - przyjeżdżać tutaj, żeby się upewnić, czytając ulotki na ścianie?! Przecież Jake leży w Sinai - ten człowiek na łóżku to on!

Wszystko na to wskazuje. Pielęgniarka wyjaśniła wątpliwości co do grupy krwi. Wszystkie fakty układają się w logiczną całość.

Jamie uniosła głowę i spojrzała przez zakrywające jej twarz palce. Jakaś kobieta w jej wieku stała przed ścianą z opuszczoną nisko głową, a cichy szloch wstrząsał całym jej ciałem. Jedną rękę zagłębiła w kieszeni długiego żakietu, drugą przykrywała twarz na ulotce, jakby spodziewała się, że nawiąże kontakt z zaginioną osobą.

Jamie nagle zapragnęła podejść do tej kobiety, objąć ją ramieniem i pocieszyć: zapewnić, obiecać, że wszystko będzie dobrze. Ale przecież nie jest dobrze - wiedzą to i ci, którzy czytają ulotki, i ci, którzy przyklejają je do cegieł. Ciężko odetchnęła, wstała z ławki, odwróciła się od płaczących i zamachała na taksówkę.

Nie miała nic do powiedzenia tamtej kobiecie, nie znalazłaby ani słowa pociechy. Bez względu na to, jak jej współczuła, nie miały ze sobą nic wspólnego. Jamie należała do szczęśliwców, choć już doznała cierpienia i jeszcze będzie cierpieć, nie straciła nikogo na zawsze. Nie, nie powinna ani minuty dłużej pozostawać w tym morzu smutku i żałoby, walcząc z falą, która przynosi tylko śmierć. Przecież jej mąż żyje, jest w szpitalu o kilka kilometrów stąd! Musi tam wracać i uczynić wszystko, co tylko w jej mocy, by nauczyć Jake'a Bryana na nowo z nią żyć. I kochać ją.

Tej nocy, kiedy Jim i Sierra już spali, Jamie - leżąc w łóżku - zaczęła wyobrażać sobie nadchodzące tygodnie po powrocie Jake'a do domu. Jak mu pomoże przypomnieć sobie, kim jest, i odnaleźć świat, w którym tak łatwo przychodziła mu radość i śmiech; świat, w którym być konikiem Sierry znaczyło być sobą.

Coś jeszcze przyszło jej do głowy - coś, o czym nie pomyślała od chwili zamachu. Zaświeciła lampkę i usiadła na brzegu łóżka. Przez cały czas ich wspólnego życia Jake spędzał poranki na czytaniu Biblii i notowaniu czegoś w grubym zeszycie.

Raz czy dwa kusilo ją, żeby tam zajrzeć i sprawdzić, jakie myśli kłębią się w głowie człowieka, którego kochała nad życie. Jednak zagłębienie w czyjeś prywatne zapiski nigdy nie leżało w naturze Jamie, dlatego natychmiast odrzuciła pokusę.

Tylko teraz... teraz było inaczej. Skoro ma nauczyć Jake'a bycia znowu sobą, potrzebna jej wszelka dostępna pomoc. A cóż może okazać się bardziej przydatne, niż wgląd w jego najgłębsze przemyślenia, w słowa, które mogą spowodować całkowity powrót pamięci?

Wyskoczyła z łóżka i obeszła je. Po stronie Jake'a przykucnęła i, sięgnąwszy niezbyt głęboko, wyjęła dwa tomy - te same, które jej mąż wsunął tam we wtorek rano przed wyjściem do pracy.

Na skórzanej oprawie jednej z nich, w prawym dolnym rogu widniało wytłoczone i wyzłocone imię i nazwisko Jake'a. Była to Biblia, którą podarował mu ojciec pierwszego dnia pracy w straży pożarnej.

Złocenia częściowo już się wytarły, wyraźne pozostały jedynie inicjały: J i B.

„Słusznie” - pomyślała Jamie. Tak go nazywali inni strażacy - JB. Otworzyła księgę i na pierwszej stronie cieniutkiego, niemal przezroczystego papieru znalazła dedykację: „Dla Jake'a. Bez względu na to, co się stanie, słowa tej Księgi ocalą cię. Kochający ojciec”.

Czy Jim Bryan wie, że jego syn wciąż ma tę książkę, że wciąż, co rano przed wyjściem do pracy ją czyta? Jak to się stało, że ona sama nigdy nie przejawiała najmniejszego zainteresowania, że nigdy nie zechciała choćby do niej zajrzeć, choćby przeczytać dedykacji? Czytanie cudzego dziennika to jedna sprawa, ale Biblia to coś zupełnie innego. Biblię można by czytać, tylko że... Tylko że Jamie nigdy nie chciała mieć z nią nic do czynienia.

Jeszcze raz spojrzała na dedykację wpisaną ręką Jima Bryana i już wiedziała, dlaczego nigdy nawet nie dotknęła Biblii. Ponieważ bez względu na to, jak miło brzmiało to zdanie, nie było w nim ani ziarnka prawdy. Słowa Biblii nigdy nie ocaliły żadnego strażaka czy kogokolwiek innego. Choćby nie wiadomo jak przyjemnie się je czytało, były tylko słowami. Larry wierzył w Boga i co z tego ma? Co mu przyszło z czytania Biblii? Leży teraz pogrzebany w gruzach stupiętrowego gmachu, ot co. Biblia nikogo nie ocali.

Z ust wyrwało się jej westchnienie, gdy bezwiednie przerzucała cieniusieńkie, wytarte stronicę. Im bliżej końca, tym więcej znajdowała fragmentów podkreślonych czy zaznaczonych na żółto. Na marginesach pełno było dopisków. Niespodziewanie jedna ze stron przykuła jej uwagę. Przerwała kartkowanie i przysunęła sobie książkę bliżej twarzy.

Nagłówek głosił: „Ewangelia według św. Mateusza”.

Jamie poczuła się głupio. Uświadomiła sobie bowiem własną ignorancję. Poza czasem, który spędziła z Jakiem na obozie ewangelizacyjnym, nigdy nie otworzyła Biblii. Nawet nie zadała sobie trudu, by choćby pobieżnie zapoznać się z treścią poszczególnych ksiąg czy przynajmniej poznać ich tytuły. Teraz - patrząc na podkreślone przez Jake'a obszerne fragmenty -

rugala się za to w duchu. Przecież treści te przepelniały serce jej ukochanego męża. Nie mogła okazać przynajmniej odrobiny zainteresowania nawet pomimo, że nie zgadzała się z nim co do ich wagi? Skupiła wzrok na jednej z podkreślonych linijek.

„Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych”.

Ogarnęło ją dziwne uczucie: jakiś delikatny a nieznany uprzednio spokój. Przez chwilę Jamie niemal chciała, by te słowa były prawdziwe. Tak prawdziwe, jak w to wierzył Jake. Doprawdy, dziwne. Jamie przecież zawsze uważała Biblię wyłącznie za zbiór miłych opowiastek o miłym człowieku. Niektóre szczegóły zawierały prawdę historyczną, inne nie. I absolutnie nic ponadto.

Przebiegła oczyma kilka wcześniejszych linijek, by niespodziewanie odkryć, że osobą wypowiadającą te słowa był Jezus. Tchnęło z nich ciepło i dobro, zwłaszcza z zapewnienia o ukojeniu dla duszy. Ale to nie te słowa Jake podkreślił najmocniej. Najważniejsze dla niego wydawały się cztery inne: „Uczcie się ode Mnie...”. Na marginesie dopisał: „Oto mój cel: wszystkiego uczyć się od Jezusa”.

Jamie dokładnie przyjrzała się podkreśleniu i dopiskowi.

„Uczcie się ode Mnie...”, „wszystkiego uczyć się od Jezusa...”.

Czyż nie to właśnie przez całe życie motywowało jej męża? Tak, wcale przecież tego nie krył. Nawet w słodkich chwilach, gdy po najintymniejszym zbliżeniu, tuż przed zaśnięciem szeptała mu do ucha: „Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, Jake, wiesz?”, obejmował ją ramieniem i z uśmiechem, który zawsze rozjaśniał najgłębsze zakamarki jej serca, odpowiadał: „Bóg nas połączył. Pragnę tylko, by był ze mnie dumny. Wiesz, codziennie chciałbym coraz bardziej upodabniać się do Jezusa”.

Jamie wyprostowała się nagle. Przecież to samo powtarzał Jake za każdym razem, gdy chwaliła go jako ojca: „Wystarczy, jeśli będę podobny do Jezusa”.

Ramiona jej pokryły się gęsią skórą - wszystkie te słowa i zdarzenia układały się w logiczną całość, jak dobrze dopasowane puzzle.

Przez całe życie Jake wpatrywał się w Jezusa Chrystusa i - jakkolwiek ona sama nie podzielała mężowskiej wiary - bezwiednie przejmował od Niego sposób myślenia i niektóre zachowania. Stawały się one częścią jego życia jako człowieka, jako męża i ojca. A teraz, kiedy zapomniał, kim jest... czy



znajdzie się lepszy sposób na przypomnienie sobie tego, niż odczytanie podkreślonych fragmentów Pisma i notatek na marginesach, wręcz nauczenie się ich na pamięć, przesiąknięcie nimi? Informacja spoczywająca między skórzanymi okładkami Biblii mogła okazać się mapą i przewodnikiem na drodze odzyskiwania utraconej tożsamości.

Ostrożnie, jak gdyby księga nagle stała się niezwykle cenna, Jamie zamknęła Biblię i otworzyła dziennik Jake'a. Natychmiast poczuła skrupuły, jednak tym razem nic nie było w stanie jej powstrzymać. W końcu te stronicie zawierały najskrytsze myśli jej męża, wszystkie poruszenia serca, samo sedno jego jaźni. Współ z Biblią stanowiły najlepszą dla niego pomoc w trudnym zadaniu odnajdywania samego siebie.

Przekartkowała dziennik aż do ostatniej strony, do notatki zapisanej owego wtorkowego ranka, kiedy terroryści zaatakowali Nowy Jork. W odróżnieniu od poprzednich notatek układających się w zbiór biblijnych refleksji, ta ostatnia, datowana na 11 września 2001, była listem. I to listem do niej!

Oczy Jamie natychmiast wypełniły się łzami rozmazującymi widok. Zamrugła gwałtownie i po chwili, znów widząc wyraźnie, zaczęła czytać.

„Najdroższa Jamie,

w głębi serca czuję, że coś się u nas zmieni. Może to z powodu pytań o Kościół, które mi zadajesz. Może dlatego, że ostatnio bardziej interesowałaś się opowieściami biblijnymi Sierry. Bez względu na przyczynę, proszę Boga, by dotknął Twojego serca, najdroższa. Bóg jest dla mnie wszystkim i wiem, że pewnego dnia stanie się wszystkim również dla Ciebie. Tego dnia przestaniesz się bać, bo będziesz mogła wesprzeć się na wszechmogącym Bogu. Chcę, żebyś wiedziała, kochanie, że gdy odnajdziesz tę cudowną wiarę, będę się uśmiechał szerzej niż kiedykolwiek przedtem, ponieważ bardziej nawet niż Twojej miłości pragnę pewności, iż w wieczności będziemy razem. Po prostu nie mogę znieść myśli, że mógłbym trafić do nieba bez Ciebie. Za mocno Cię kocham, żebyś Cię stracić...”.

Łzy nie pozwoliły jej dalej czytać. Zamknęła dziennik, położyła go na Biblii i wsunęła oba tomy z powrotem pod łóżko - tam, gdzie zostawił je Jake.

Kochany, wspaniały Jake. Zawsze o niej myślał. Zawsze tak bardzo uważał, by nie narzucać się jej z własną wiarą by jej nie pouczać, nie nawracać na siłę. Tu leżała istota sprawy! Jake'owi nie zależało na tym, by dla jego zadowolenia przyjął zewnętrzne rytuały wiary. Pragnął, by

naprawdę uwierzyła, tak aby wedle jego pojmowania życia, śmierci i wieczności mogli zawsze być razem, aby nic nie mogło ich rozdzielić. Tak mocno ją kochał! Boga, Sierrę i ją. To było całe jego życie. Wspólnie tworzyli rdzeń jego tożsamości. Przeczytawszy te słowa, Jamie zrozumiała to lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Teraz po prostu musi pomóc ponownie je zrozumieć Jake'owi.

RS

## Rozdział 22

18 września 2001

Wyjazd był pomysłem Claya. Tydzień po ataku terrorystów Laura straciła właściwie nadzieję. Owszem, straż pożarna i policja nowojorska nadal określały prace prowadzone w Strefie Zero jako akcję ratunkową. Koparki wciąż rozpaczliwie przerzucały gruz wielkiej sterty ruin, która niegdyś stanowiła World Trade Center, w nadziei na odnalezienie pogrzebanych tam żywcem ludzi.

Ale Laura była przekonana, że prawie nikt już w to nie wierzy. Jak to możliwe, żeby ktokolwiek pozostawał nadal przy życiu we wciąż tłącej się kupie ton cementu i stali? Niemniej akcję kontynuowano, a Laura i tysiące osób znajdujących się w podobnej sytuacji miały oczekiwać przy telefonie, modląc się o cud.

Coś się w Laurze załamało po tamtym czwartkowym wieczorze, kiedy Erie miał wrócić z Nowego Jorku. Gdyby żył... Rozmowa z Clayem była bolesna, ale otworzyła jej oczy. Od tamtej pory coraz rzadziej zdarzały się chwile, gdy łapała się na rozmyślaniu o Ericu i jego podróży służbowej albo na wyglądaniu przez okno, żeby zobaczyć, czy nie nadjeżdża. Nadal tliły się w niej resztki nadziei, lecz powoli utrwalało

się też przekonanie o prawdziwości tego, czego obawiała się najbardziej. Wraz z nim pojawiła się pustka w sercu, ogromna jak Wielki Kanion...

Przykre chwile z przeszłości ich związku i aktualny stan ich stosunków zeszyły na dalszy plan. Myślała o czasach, gdy ona i Erie byli młodym małżeństwem, gdy przesiadywali na podwórku obok małego domku i razem śpiewali; o miłych chwilach, gdy spodziewali się pierwszego dziecka, a Erie przytulał ją i grał na gitarze piosenki, które sam napisał.

- Żeby dziecko znało mój głos - mówił z uśmiechem i kładł rękę na jej brzuchu. Laurze wydawało się, że wciąż czuje jego dotyk.

W tym tygodniu nawiedzało ją jeszcze inne wspomnienie: przerażenie w głosie Erica, jego pełna bólu twarz, kiedy lekarz oznajmił im, że ich córka urodziła się martwa. Godzinę później przyszedł do nich na porodówkę kapelan szpitalny i zaproponował wspólną modlitwę.

- Nie - szybko odpowiedział Erie i mocniej ścisnął jej rękę. - Potrzebujemy czasu.

Miesiąc później pastor z kościoła w Westlake odprawił w intencji zmarłego dziecka nabożeństwo, na które zaprosił Laurę i Erica.

- Wszyscy odczuwamy wasz ból - powiedział. - Wasi przyjaciele pragną modlić się wraz z wami.

Ale Ericowi nie spodobał się ten pomysł.

- Nie pójdę - oczy błysnęły mu gniewnie, jak nigdy przedtem. - A poza tym trochę już za późno na modlitwy.

Gniew szybko przygasł, ale mocne postanowienie, by trzymać się z dala od kościoła, nie osłabło już nigdy.

Rzadko rozmawiali o utracie dziecka i - ku wielkiemu rozczarowaniu Laury - nigdy nie nadali mu imienia. Ale kilka lat później, podczas sesji w poradni małżeńskiej Erie powiedział coś, co na zawsze utkwilo jej w pamięci. Gdy terapeuta poprosił go, by opowiedział o swoim największym życiowym rozczarowaniu, odpowiedź była szybka i ostra:

- Nie było mi dane poznać mojej córeczki. Swojej odpowiedzi Laura nie pamiętała. Ale wiedziała, co teraz mogłaby odpowiedzieć: że Erie nie poznał także swojego synka.

Dni wlokły się niemiłosiernie i tylko dzięki tym wspomnieniom Laura nie zwariowała. Clay nie opuszczał jej od czwartku. Grał w piłkę z Joshem, pomagał mu w zadaniach z matematyki, robił makaron na obiad lub zamawiał pizzę. Gdy tylko Laura miała ochotę porozmawiać, wysłuchiwał jej. Zeszłego wieczoru przyniósł jej szklankę wody i usiadł na drugim końcu kanapy. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się.

Wreszcie obrócił się tak, żeby lepiej ją widzieć.

- Nadal sądzisz, że istnieje jakaś szansa, prawda? Laura poruszyła się niespokojnie, walcząc ze łzami napływającymi do oczu.

- Czasami... - upiła łyk wody, zanim odezwała się ponownie. - Nie przypuszczam, że leży żywy gdzieś pod stertą gruzu. Ale może jest gdzieś indziej, może chodzi po ulicach oszołomiony, zdezorientowany. Może leży gdzieś w szpitalu... - zamrugła szybko oczami, żeby opanować łzy. - Nie sądzisz, że to możliwe?

- Z pewnością.

Zapadła cisza. Laura zrozumiała: nawet jeśli Erie włóczy się ulicami Nowego Jorku albo tkwi gdzieś pozbawiony świadomości, to jak oni się o tym dowiedzą?

Dopiero dziś rano, tydzień po ataku na World Trade Center, Clay wpadł na pewien pomysł. Począł aż Josh pójdzie do szkoły, zrobił kawę i usiadł naprzeciw Laury przy stole w jadalni. Po dłuższej chwili spojrzął jej w oczy i powiedział po prostu:

- Musimy pojechać do Nowego Jorku.

Laura popatrzyła na niego i prawie w zwolnionym tempie odłożyła filiżankę z kawą na stół.

- Po co?

- Żeby poszukać Erica.

Coś ścisnęło się jej w żołądku. Wstała i podeszła do okna. Podwórko było jednym z jej ulubionych miejsc. Widok precyzyjnie przystrzyżonej trawy i pobłyskującej wody w basenie zawsze ją relaksował. Ale w tej chwili, po tym, co powiedział Clay, nic nie mogło jej uspokoić.

- Dzwoniliśmy przecież codziennie do szpitali w Nowym Jorku - rzuciła mu spojrzenie przez ramię. - Nie ma go tam.

- To prawda, ale może jest gdzieś indziej. Może u kogoś w domu albo w schronisku dla bezdomnych. Gdziekolwiek...

Clay oparł ręce na stole. Laura ponownie wyglądała przez okno. Po paru minutach usłyszała, jak Clay odsuwa krzesło i podchodzi do niej.

- Nie mogę patrzeć, jak cierpisz, Lauro - mówił szeptem, jego prawe ramię prawie dotykało jej lewego boku. - Nie wiesz, czy opłakiwać jego śmierć, czy czekać, aż powróci do domu.

Laura zwiesiła głowę. Znów poczuła straszny żal, który ścisnął jej gardło i uniemożliwiał mówienie.

- Musimy pojechać.

Kątem oka dostrzegła, jak Clay zaciska zęby. Po chwili odezwał się stłumionym głosem:

- To jest mój brat, Lauro.

Laura uporczywie wpatrywała się przed siebie, przywołując wspomnienie Josha i jego kolegów bawiących się w basenie. Bez względu na to, jak bardzo się starała, nie mogła sobie jednak przypomnieć choćby jednej okazji, gdy Erie pływał z Joshem i jego kolegami albo z nią. Nigdy tego nie robił. Pomyślała o tym, co powiedział Clay. Mogliby o tym porozmawiać podczas ponownej terapii w poradni małżeńskiej, gdyby udało im się go jakoś odnaleźć.

- Co... - odwróciła się i spojrzała prosto w oczy Claya. - Co zrobimy, jak już tam się znajdziemy?

Podniósł lewą rękę i oparł ją o okno.

- To samo, co wszyscy: wydrukujemy ulotki i rozwiesimy w pobliżu szpitala.

Laura czuła się, jakby miała sto lat. Bardzo chciała wierzyć, że ów plan się powiedzie, ale praktycznie wydawało jej się to beznadziejne. Założyła ręce i oparła się o szwagra, pozwalając, by jej głowa opadła na jego ramię. Wyobraziła sobie, jak wsiada z Clayem do samolotu, jak leci do Nowego Jorku i tam przykleja ulotki z opisem Erica na pustych murach i parkowych ławkach. Co to da? Odwróciła się i oparła o okno, patrząc Clayowi prosto w oczy.

- A co potem?

Clay przyglądał się jej przez chwilę uważnie. Oczy zaszyły mu łzami.

- Sprawdzimy przytułki i schroniska dla bezdomnych, pogadamy z policją i strażakami, będziemy wszystkim pokazywać zdjęcie. Potem wrócimy do domu i będziemy czekać.

Im dłużej rozmawiali o tym pomysłe, tym większego nabierał on sensu. Z siedzenia w Los Angeles i zastanawiania się nad losem Erica nic nie wynikało. Jeżeli jakimś cudem przeżył, istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać: zrobić, jak radził Clay - polecieć do Nowego Jorku.

Clay był jeszcze na urlopie. Laura zarezerwowała więc dla nich obojga bilety na następny ranek. Joshem chętnie zgodziła się zająć znajoma z kościoła. Jeszcze tego samego wieczoru Laura wyjaśniła synowi całą sytuację.

- Jadę z wujkiem Clayem na kilka dni do Nowego Jorku.

Josh leżał w łóżku, jego buzia wydawała się bardzo blada w otoczeniu ciemnych włosów.

- Żeby znaleźć tatę?

- Żeby spróbować go odnaleźć - Laura odgarnęła równo obciętą grzywkę z czoła syna. - Jeśli jest ranny lub chory, może nie pamiętać, kim jest. Jedyne wyjście to poszukać go.

Przez dłuższą chwilę Josh leżał bez ruchu. Oczy miał całkiem suche. Potem wyciągnął rękę i ujął jej palce.

- Mamo... czy mogę cię o coś zapytać?

- Jasne, kotku - gdy tak siedziała teraz z synkiem, zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo zmieniło się ich życie od czasu zamachu na World Trade Center. Zazwyczaj spędzała z Joshem dużo czasu, czytając lub rozmawiając o tym, jak minął mu dzień. Czasem grali w scrabble lub w karty. Ale przez ostatni tydzień prawie się do siebie nie odzywali.

Josh skrzywił się.

- Obiecujesz, że się nie wściekniesz?

- Że się nie wścieknę? Kochanie, możesz mnie zapytać, o co chcesz, na pewno mnie to nie rozgniewa. Po prostu powiedz... Cokolwiek leży ci na sercu, chcę o tym wiedzieć.

- Jeśli tata nie odnajdzie się gdzieś w Nowym Jorku, to znaczy, że nie żyje, tak?

Pytanie było tak bezpośrednie, że Laurze aż dech zaparło. Ale od ataku na World Trade Center minął cały tydzień i myśl, że być może Erie nie żyje, nie działała już tak szokująco jak na początku. Przełknęła ślinę i, patrząc dziecku w oczy, odpowiedziała:

- Tak, kochanie. Jeśli nie znajdzie się gdzieś w Nowym Jorku, to prawdopodobnie nie żyje.

- Aha... - przesadnie głośno odetchnął i usiadł, wlepiając w matkę intensywne spojrzenie. Laura nie widziała go jeszcze tak zdenerwowanego. Przez chwilę poruszał wargami, przełykając ślinę, aż wreszcie zapytał: - Jeśli go nie znajdziesz, to czy wujek Clay mógłby być moim tatą?

Pytanie syna poraziło ją tak, iż przez chwilę nie mogła złapać tchu. W końcu zdołała powoli nabrać powietrza do płuc i objęła Josha, tuląc go mocno. Jak to możliwe, że Erie nie dostrzegł, jak wielką krzywdę wyrządzają jego synowi długie godziny spędzane w pracy? Chłopiec w ogóle nie znał swojego ojca ani go nie kochał. Tak naprawdę Erie stracił nie tylko córkę, która urodziła się martwa... Stracił też syna.

Laura z całej siły powstrzymywała się od płaczu. Nie chciała, żeby chłopiec myślał, iż zrobił coś złego, mówiąc głośno o swoich uczuciach. Ale nie była w stanie się odezwać.

- Mamo? - z jej ramion doleciał stłumiony głos Josha. Chłopiec odchylił się nieco, szukając jej spojrzenia. - Jesteś na mnie zła?

- Nie, synku... To było uczciwe pytanie - gdzieś w głębokich zakamarkach duszy Laura wciąż nie mogła dojść do siebie. Usiłowała wyrównać oddech - przynajmniej tyle mogła zrobić, żeby wyglądać normalnie.

- To jak? - mały przekrzywił głowę, kręcąc się w pościeli. - Mógłby?

- Wiesz, synku - „Boże pomóż mi się uspokoić i wskaż mi właściwe słowa” - wujek Clay zawsze będzie twoim wujkiem, a nie tatą. Tak to urządził Pan Bóg.

- Aha... - twarz Josha wydłużyła się, pochylił głowę - no, dobrze... - spojrzał na matkę spode łba.

- A mogę udawać, że on jest moim tatą? To znaczy, jeśli nie znajdziesz taty w Nowym Jorku?

Co miała na to odpowiedzieć? Ujęła ręce chłopca w swoje dłonie i skinęła głową.

- Wujek Clay bardzo cię kocha, kolego. Możesz udawać, co tylko zechcesz.

- A Pan Bóg się na mnie nie pogniewa?

- Nie, na pewno nie.

- A ty?

Serce jej pękało, ale zdobyła się na wymuszony uśmiech. Pochyliła się, pocałowała synka w nos i jeszcze raz mocno przytuliła.

- Nigdy nie pogniewam się na ciebie o to, że kochasz swojego wujka, słoneczko. Nawet jeśli będziesz udawał, że jest twoim tatą.

Następnego ranka Clay przyjechał po Laurę i razem pojechali na lotnisko Burbank. Poprzedniej nocy siedział do późna, robiąc ulotki z opisem Erica. Wykorzystał zdjęcie brata z zeszłej jesieni. Eric stał na podium podczas jakiejś uroczystej kolacji w firmie. Wygłaszał wtedy przemówienie i ktoś z Koppela&Grant pstryknął mu zdjęcie. Kilka tygodni później znalazł je na swoim biurku i przyniósł do domu.

Ulotka była prosta: nazwisko Erica, wygląd, informacja, iż w chwili ataku znajdował się on na sześćdziesiątym czwartym piętrze w Południowej Wieży World Trade Center oraz trzy numery, pod które można było dzwonić, gdyby ktoś wiedział o nim cokolwiek. Laura miała sto odbitek w podręcznej torbie.

Po kilkudniowej przerwie loty zostały wznowione w ograniczonej ilości. Laura i Clay musieli przejść przez dodatkowe punkty kontroli bezpieczeństwa zanim wsiedli do samolotu. Mimo to i tak byli za wcześnie. Umieścili bagaż w schowkach nad głową i zajęli miejsca - Clay przy oknie, a Laura bliżej przejścia.

- Cieszę się, że lecimy - Laura zapięła pas i spojrzała za okno. - Inaczej ciągle bym się zastanawiała...

- Taak... - Clay nie mógł się zdobyć na uśmiech. - Ja też.

Zapadła cisza. Clay odwrócił się do okna. Czy naprawdę lecą do Nowego Jorku, żeby szukać Erica? Minał tydzień, ale myśl, że nie żyje, nie była wcale bardziej realna dziś niż przed siedmioma dniami, zaraz po atakach. Robił to nie tylko dla Laury, ale także dla siebie. Zawsze, gdy potrzebował z



kimś pogadać, wystarczyło, że przyszedł do Erica. Odkąd pamiętał, zawsze byli wobec siebie szczerzy.

Aż do czasu, gdy w małżeństwie Erica zaczęło się nie układać.

Jadąc do Nowego Jorku, miał - nikłą, co prawda, ale jednak - szansę odnaleźć swojego starszego brata. Gdy już go znajdzie, spojrzy mu w oczy i zapyta: dlaczego? Dlaczego nic mu nie powiedział o kłopotach w domu? I jak mógł przez tyle lat przedkładać pracę nad Laurę i Josha? Laurę, która pragnęła jedynie go kochać? Być może, gdyby udało mu się odnaleźć Erica, mogliby porozmawiać o wszystkim, co Erie zaniedbał, czego nie powiedział, nie zrobił - i być może... być może wszystko byłoby znów tak jak dawniej.

Dla nich wszystkich.

Clay rozsiadł się wygodnie w fotelu i nakazał sobie spokój. Był policjantem, nieraz zdarzało mu się znaleźć w nieprzewidywalnych sytuacjach z udziałem uzbrojonych dealerów narkotyków lub szalonych gangsterów, ale gdy samolot zaczął kołować na pasie startowym, opanował go strach, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Nie dlatego, że bał się latać. Po prostu nagle zaczął się obawiać tego, co zastaną, wylądowawszy w Nowym Jorku. Obawiał się, że nie znajdą Erica w żadnym schronisku dla bezdomnych ani w prowizorycznym centrum ewakuacyjnym w pobliżu Strefy Zero. Obawiał się, że Erie został zakopany pod stertą gruzu.

Clay zamrugał oczami i powoli westchnął. „Uspokój się... uspokój się ze względu na nią”. Obsługa lotniska pakowała bagaże do luku bagażowego. Clay przymknął powieki i przypomniał sobie napis na magnesie przyczepionym do drzwi lodówki: „Nie polegaj na swoim rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze, a On twe ścieżki wyrówna”. Słowa

Pisma sączące się w jego duszę były jak strumień na pustyni. Clay odetchnął z wdzięcznością. Pomimo jego obaw Bóg nie opuścił go.

- Clay? - Laura dotknęła jego dłoni, a on odwrócił się, by ją widzieć. - Wszystko w porządku?

- Przepraszam... - ścisnął mocno dłońmi kolana i spojrzał jej w oczy. - Zamyśliłem się.

- Pomódlmy się, dobrze? - zielone oczy Laury były pełne łez, ale i jakiejś nieokreślonej nadziei oraz oczekiwania, zupełnie nielogicznego, może nawet całkiem szalonego.

Ale przecież istniała jakaś szansa... Szansa, której nie wykorzystają bez Bożej pomocy. Wziął ją za rękę i pochylił ku niej głowę.

- Boże, daj nam bezpieczną podróż, bezpieczną i spokojną. Uciszyć obawy naszych serc i prowadź na każdym kroku naszych poszukiwań w Nowym Jorku - zamilkł akurat w chwili, gdy samolot wzniósł się w powietrze. - I, proszę, pomóż nam odnaleźć mojego brata.

Kilka następnych dni upłynęło im na umieszczaniu ulotek na rozmaitych murach oraz na rozmowach w szpitalach i schroniskach dla bezdomnych. W poniedziałek rano Laura była już wykończona i gotowa wrócić do domu. Nie mogła znieść widoku i dźwięków dobiegających z okaleczonego Manhattanu. Zajmowali z Clayem sąsiednie pokoje w hotelu Marriott, ale gdy wracali wieczorem po całym dniu chodzenia ulicami Nowego Jorku, Clay wyciągał się na łóżku obok Laury i pozwalał jej mówić. Większą część ich rozmów zajmowało ustalanie strategii: gdzie rozmieścić ulotki, z kim porozmawiać, gdzie jeszcze sprawdzić. Koniec końców, bez względu na to, jak wszystko zaplanowali, skutki i tak codziennie były takie same: „Przykro mi, nie widzieliśmy go”, „Nie, nie ma tu takiego... mamy spis wszystkich pacjentów”, „Nie, taki się tu nie pojawił”.

W pewnym momencie przechodzili nawet korytarzami Mount Sinai Medical Center w nadziei, że znajdą Erica leżącego gdzieś, zapomnianego i niezidentyfikowanego. Ale każdy z pacjentów miał przy łóżku kartę z imieniem i nazwiskiem, u każdego była też przynajmniej jedna osoba odwiedzająca. Nikt nie czekał na członków rodziny, by przyszedli i zidentyfikowali go.

Gdy minął weekend, Laura przekonała Claya, że muszą dostać się jak najbliżej Strefy Zero. Przepuszczono ich na kilku punktach kontrolnych, gdy pokazali ulotkę z podobizną Erica i poprosili o pozwolenie na powieszenie jej bliżej ruin.

Byli już w odległości jednej przecznicy od zawalonych wież World Trade Center, gdy zatrzymał ich policjant. Podeszedł do taksówki, którą jechali, i zamachał ręką, wskazując, by zawrócili.

- Dalej nie wpuszczamy nikogo... w tej okolicy mogą się znajdować jedynie uprawnione służby. Muszą państwo zawrócić.

Laura opuściła szybę i, czując przyspieszone bicie serca, powiedziała:

- Mój mąż był w Południowej Wieży - spojrzała uważnie na policjanta i pokazała mu ulotkę ze zdjęciem Erica. - Przyjechaliśmy aż z Los Angeles. Czy nie moglibyśmy podjechać trochę bliżej? Bardzo proszę...

- Nikogo dalej nie wpuszczamy - policjant oparł ręce na biodrach i popatrzył na Laurę. W jego oczach czaiło się mroczne, udręczone

wspomnienie tego, co widział tutaj od 11 września. - Nikogo z wyjątkiem uprawnionych do tego służb.

Clay przechylił się i spojrzał na mężczyznę.

- Jestem policjantem z Los Angeles - wskazał na ulotkę - ten zaginiony to mój brat. Na pewno nie moglibyśmy podjechać trochę bliżej?

Twarz policjanta złagodniała nieco, ale potrząsnął głową.

- Proszę pana... minęło już prawie dwa tygodnie, odkąd te budynki się zawaliły - wskazał w kierunku ulicy, którą jedna za drugą sunęły wielkie ciężarówki, powoli wspinając się na górę gruzu. Gdzieś w tle huczał ciężki sprzęt i głos policjanta ledwo przebijał się przez ten hałas. - Jeśli pana brat tam jest, to niech mi pan wierzy... lepiej, żeby go pan nie znalazł.

- Nie będziemy tam długo - Clay był uparty. - Jeśli wolno by nam było rozwiesić kilka ulotek, mielibyśmy poczucie, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Przez chwilę policjant tylko im się przyglądał, wodząc spojrzeniem od Claya do Laury i z powrotem. Ze zdumienia otworzył usta.

- Czy mogę mówić bez ogródek?

- Jasne - szybko odpowiedział Clay.

Przez ułamek sekundy Laura zastanawiała się, czy nie zatkać sobie uszu. Stanowczo nie chciała słyszeć niczego „bez ogródek”, będąc tak blisko Strefy Zero. Chciała tylko Erica.

- Nieważne, jak to nazywają w gazetach, ale to nie jest żadna akcja ratunkowa - zacisnął usta i chociaż oczy miał suche, jego broda drżała lekko.

- To, co tam się dzieje, to zwykła ekshumacja. I jeśli uda im się wydobyć choć kilkaset ciał, to i tak będą mieć cholerne szczęście... - potrząsnął głową. - Jest gorzej niż źle.

Taksówkarz rzucił im spojrzenie przez ramię.

- Licznik bije...

Laura zignorowała go i wbiła wzrok w policjanta.

- Więc tracimy czas? - Clay nadal wyglądał przez okno. - O to panu chodzi?

- Tak - policjant pociągnął nosem i zapatrzył się w kierunku Strefy Zero. - Każdy chce wierzyć, że jego krewny tylko zaginął, ale coś pani powiem. Nie ma już żadnych zaginionych. Pacjenci w szpitalach zostali zidentyfikowani, a w schroniskach dla bezdomnych nie ma żadnych rannych - uniósł ręce do góry i znów spojrzał jej w oczy. - Za późno na to wszystko.

Pani mąż nie zaginał, proszę pani. On nie żyje. Niech pani wraca do Los Angeles i zamówi za niego mszę. A potem niech pani spróbuje, tak jak my wszyscy, znaleźć jakiś sposób, by dalej żyć...- spojrzał na Claya, a potem znów na nią. - Przykro mi...

Cofnął się, odwrócił i zawołał coś do policjanta po drugiej stronie ulicy. Potem minął samochód Laury i Claya i skierował się do taksówki stojącej za nimi.

- Nie wpuszczamy dalej nikogo - wrzasnął - tylko uprawnione służby!

Clay usiadł prosto i zapatrzył się przed siebie. Potem wcisnął łokcie w kolana i wsparł głowę na rękach. Laura obserwowała go i coś w niej zaczęło umierać; coś, czego na razie nie potrafiła dokładnie określić. Każdego dnia, o każdej godzinie od

11 września Clay był jej wsparciem, myślał pozytywnie, zachęcał ją. Nawet, kiedy brali pod uwagę najgorszy możliwy scenariusz, że Erie może nigdy nie powrócić do domu, cechował go ostrożny optymizm. Ale teraz było inaczej.

Laura zamknęła na chwilę oczy i przypomniała sobie słowa policjanta: „Pani mąż nie zaginał, proszę pani. On nie żyje...”. Jeśli to była prawda, to nie mogła załamać się tutaj - w zaparkowanej na dolnym Manhattanie taksówce, której niecierpliwy kierowca rzucał jej ponagłające spojrzenia. Szybko wciągnęła powietrze i położyła rękę na kolanie Claya.

- Clay...

Spojrzał na nią dopiero po paru sekundach. Jego załzawione oczy zdradziły, że oboje myślą o tym samym: że to koniec... koniec poszukiwań, drugiej szansy, nadziei, że Erie wróci kiedyś do domu. Wszystko się skończyło. Laura poklepała kierowcę po ramieniu.

- Do Marriotta, proszę.

Ich poczynania w Nowym Jorku dobiegły końca. Bezlitosne słowa policjanta powiedziały im już wszystko. Czas jechać do domu, zamówić mszę za Erica i spróbować żyć dalej.

RS

## Rozdział 23

25 września 2001

Wreszcie nadszedł ten dzień - dwa tygodnie po atakach terrorystów na World Trade Center. Owego ranka Jamie siedziała w sali szpitalnej Jake'a, gdy wkroczył do niej doktor Cleary i uśmiechnął się odrobinę krzywo.

- To już dziś - stanął w pobliżu drzwi i przyglądał się Jake'owi. - Jak się pan czuje?

- Jestem gotów - Jake usiadł prosto na łóżku i wyciągnął ramiona przed siebie. - Byłem gotów już wczoraj.

Z jego policzków i głowy zdjęto już większość bandażu, a szok wywołany widokiem spalonej twarzy powoli ustępował. Pod warstwą czerwonej, pokrytej pęcherzami skóry był nadal sobą - Jakiem Bryanem, jedynym mężczyzną, jakiego Jamie w życiu kochała. Kiedyś przecież wyzdrowieje. Będzie miał kilka niewielkich blizn, ale poza tym to tylko kwestia czasu, kiedy wreszcie zacznie bardziej przypominać jej męża niż ofiarę wypadku.

Po zdjęciu bandażu łatwiej mu było mówić. Głos miał nadal chropawy, ale z tego, co powiedział Jamie, czuł się już na tyle dobrze, by wrócić do domu.

- Wczoraj poziom białych ciałek był jeszcze dosyć wysoki - lekarz przeszedł przez salę i spojrzał na kartę pacjenta wiszącą na ramie łóżka. - Ale dziś jest już lepiej.

Po godzinie doktor Cleary przyniósł dokumenty wypisowe. Około dziesiątej Jake zasnął. Jamie obserwowała go, myśląc ze zdumieniem, jak szybko powraca do formy. Przynajmniej fizycznej... Nadal nie pamiętał nic oprócz Sierry, ale skoro zdrowiało jego ciało, Jamie miała nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje i umysł.

Tydzień temu na skórze ramienia rozwinęła się infekcja, w pewnym momencie Jake miał czterdzieści stopni gorączki. Doktor Cleary wyjaśnił im, że oparzeniom drugiego stopnia i ranom szarpanym często towarzyszą infekcje. Nie chciał też odsyłać Jake'a do domu i leczyć doustnie antybiotykami. Wolał zatrzymać go dłużej w szpitalu i podawać je w kroplówce. Terapia zakończyła się dokładnie dwadzieścia cztery godziny temu, więc nic już nie trzymało Jake'a w szpitalu.

Jamie była właściwie zadowolona. Przede wszystkim nie miała już wątpliwości, że człowiek leżący na szpitalnym łóżku to rzeczywiście jej

mąż. Nawet pokryta paskudnymi oparzeniami, była to na pewno twarz Jake'a. Błękitne oczy i głębokie zmarszczki stanowiły jego znaki szczególne już w wieku kilkunastu lat. Chociaż stracił pamięć, był to na pewno ten sam mężczyzna, za którego wyszła za mąż. Żałowała, że bandaży nie zdjęto mu wcześniej, gdy szalała z niepokoju, że może zaszła jakaś pomyłka. Początkowo obawiała się powrotu Jake'a do domu, a zwłaszcza tego, że ma go ulokować w pokoju gościnnym, podczas gdy jego miejsce było przecież w ich wspólnym łóżku. Teraz jednak, gdy była już pewna, że to Jake, niecierpliwiła się, by jak najszybciej zabrać go ze szpitala i pomóc mu odzyskać pamięć.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni ojciec Jake'a zajmował się Sierrą, a Jamie spędzała każdy dzień i kilka nocy w szpitalu, kuląc się na krześle koło łóżka i okrywając przyniesionym przez pielęgniarki kocem. W tym czasie zaszło coś ważnego: ona i Jake zaprzyjaźnili się.

Więź między nimi rodziła się stopniowo, w urywkach rozmów, nieśmiałych spojrzeniach. Było jednak jasne, że istnieje. Razem oglądali powtórkę Bill Cosby Show w szpitalnym telewizorze i śmiali się w tych samych momentach. Zdarzało się, że rzucał w jej stronę szybkie spojrzenie, w którym rozpoznawała coś znajomego - isierki w oczach, załazek uśmiechu.

Zapytała go kiedyś, czy chciałby pograć w karty, czytać albo układać puzzle. Spróbował wszystkiego, ale nie mógł sobie przypomnieć żadnych gier karcianych. Jednak w ostatni weekend, gdy patrzył przez okno, jego spojrzenie nagle rozjaśniło się:

- Tryktrak! Chyba wiem, jak się gra w tryktraka.

- Dobrze... - Jamie była zaskoczona. W tryktraka grywali zaraz po ślubie, ale tylko jednego lata. Oboje byli zbyt ruchliwi, by spędzać czas w domu i szybko im się ta gra znudziła.

Mimo wszystko, jeśli Jake pamięta, to jest to dobry znak. Przekopła całą piwnicę, znalazła stary, kupiony przed laty zestaw do gry i przyniosła go do szpitala. Od tamtej pory grywali w tryktraka po kilka razy dziennie, a ostatnio nawet częściej. Jake robił ruch i komentował go zabawnie lub pokpiwał sobie z niej po przyjacielsku, mówiąc coś w rodzaju: „Spróbuj to przebić” albo „Ładne zagranie”.

Jamie nieustannie łapała się na tym, że ma ochotę podzielić się z nim jakimś wspomnieniem dotyczącym Sierry albo chwil z ich przeszłości, ale zawsze powstrzymywała się w porę. Doktor Cleary twierdził stanowczo, że

w początkowym okresie wszelkie rozmowy mają dotyczyć wyłącznie teraźniejszości - tak, jakby zaczynali wszystko od nowa.

Pewnego popołudnia, gdy już mieli dość tryk-traka, Jamie znalazła w poczekalni szpitalnej stare puzzle. Rozłożyli je na łóżku Jake'a. Nadal miał gips na kostce, ale usiadł tak, żeby znalazło się miejsce na układankę. Przez bite trzy godziny składali najpierw ramkę, potem cały obrazek. Co kilka minut ich palce spotykały się, a czasem, gdy Jamie podnosiła wzrok, napotykała jego spojrzenie. Kusiło ją, żeby przynieść mu do szpitala pamiętnik i Biblię, ale w końcu zdecydowała, że z tym poczeka. Lepiej mu będzie czytać, siedząc na ich własnym łóżku, gdy Jamie nie będzie w pobliżu. Być może połączenie znanego otoczenia i ukochanych słów, które jeszcze tak niedawno miały dla niego ogromne znaczenie, pomoże mu lepiej wszystko sobie przypomnieć.

Przyniosła mu natomiast powieści Johna Grishama, które bardzo lubił przed wypadkiem. Położyła trzy z nich na brzegu łóżka i patrzyła, jak podnosi każdą po kolei i przegląda.

- Ciekawe - podniósł na nią wzrok.

- Pamiętasz je? - Jamie nie mogła jeszcze złapać tchu po szybkim marszu po schodach. Nie trenowała ostatnio, nie grała w squasha, nie jeździła też wodnym skuterem. Gdyby nie schody w szpitalu, zwariowałyaby, prowadząc taki siedzący tryb życia.

- Nie - jeszcze raz spojrzął na książki. - Ale spróbuję je przeczytać.

Jake nie miał kłopotów z czytaniem, ale męczyły go dotkliwie bóle głowy. Gdy tylko próbował przeczytać więcej niż parę akapitów, zamykał oczy i pocierał je, krzywiąc się z bólu. Wtedy ona zaczynała mu czytać na głos, przerywając od czasu do czasu, gdy Jake miał jakieś pytania.

- Zaraz, poczekaj... to ta książka jest o tym czy o tamtym facecie?

- To znaczy którym?

- No tym z pierwszego rozdziału.

Czasami Jamie zdarzało się nie pamiętać faktów, wtedy Jake unosił brwi i mówił:

- Ejże, to ja mam amnezję, jasne?

Oboje wówczas chichotali, a ich wspólny śmiech dźwięczał tak jasno i szczerze w sercu Jamie, że nie miała w takich chwilach najmniejszych wątpliwości, iż Jake powoli do niej wraca. Była wtedy pewna, że przedziera się przez trzęsawisko niepamięci do miejsca, gdzie znów będą mogli razem



żyć, kochać się i śmiać; do miejsca, w którym na powrót podejmą przerwany wątek życia.

Były też ciężkie chwile, kiedy wpatrywała się w śpiącego męża, a on nagle budził się i patrzył na nią, ale zamiast uśmiechu, który tak lubiła, widziała, jak się wzdryga, a jego oczy napędniają się łękiem i zmieszaniem.

- Gdzie ja jestem? - pytał w takich chwilach. Zdarzało się też, że obudzony, siadał gwałtownie na łóżku, rozglądał się niespokojnie dookoła, jakby przebudził się z koszmarnego snu.

Z czasem Jamie nauczyła się lepiej znosić takie chwile, ufając doktorowi Cleary'emu, którego wszystkie przewidywania sprawdzały się. Powoli stawała się przyjacielem swojego męża. Teraz, gdy za kilka godzin znajdą się w domu, ta przyjaźń wzmocni się jeszcze, aż wreszcie jego pamięć powróci, najpierw w postaci pojedynczych przebłysków, a potem już tylko kwestią kilku tygodni będzie moment, gdy Jake przypomni sobie wszystko, co dotyczy ich przeszłości, i powrócą do zwykłego życia.

Jake wciąż spał, więc - dzwoniąc do Jima Bryana - Jamie prawie szeptem przekazywała mu najświeższe wiadomości.

- Wracą do domu! - była podekscytowana, ale w swym głosie słyszała też obawę i wątpliwość. Czeka ich jeszcze dużo wysiłku, zanim będzie można naprawdę świętować jego powrót. - Oparzenia wyglądają już lepiej, a infekcja minęła.

- O której przyjechać?

- O pierwszej - Jamie napawała się widokiem Jake'a. Nawet z oparzeniami był przystojny. Nawet jeśli nigdy już nie będzie wyglądał tak samo, i tak nie ma to żadnego znaczenia. Najważniejsza jest jego pamięć.

- Przygotuję Sierę.

Ustalili ten plan już; wiele dni temu. Gdy Jake będzie miał wychodzić ze szpitala, jego ojciec przywiezie tu Sierę i zostawi ją z Jamie i Jakiem. Potem starszy pan Bryan pojedzie prosto do siebie, tak jak radził doktor Cleary. Samochód Jamie był zaparkowany na parkingu przy promie na Staten Island. Wezmą taksówkę do przystani promowej, przepłyną na drugą stronę, a potem już swoim samochodem pojedą we trójkę do domu. Ojciec Jake'a zdecydował, że zaraz po powrocie do domu wybierze się na przejażdżkę samochodową po całym kraju, żeby odwiedzić swojego szwagra mieszkającego w Arizonie. Spędzi u niego kilka miesięcy, do czasu aż Jake będzie się czuł na tyle dobrze, by przyjmować wizyty.

Jamie usiadła wygodnie i czekała. Dobiał wreszcie końca czas oczekiwania - wszystkie te ciągnące się w nieskończoność dni i godziny szpitalnego życia i zastanawiania się, kiedy Jake poczuje się lepiej i będzie mógł wrócić do domu. Pierwsza część koszmaru była już prawie za nimi. Drżały jej koniuszki palców, gdy objęła się rękami i liczyła mijające minuty.

Tuż przed południem przyniesiono dwie tace z obiadem i dokumenty wypisowe Jake'a. Godzinę później znajoma pielęgniarka weszła do pokoju z kulami i wózkiem inwalidzkim.

- Pański powóz, panie Bryan!

Jamie niosła kule oraz torbę pełną upominków i kartek od niej, od Sierry i od chłopaków z remizy.

- Zawołać państwu taksówkę? - pielęgniarka spojrzała na Jamie, popychając wózek z Jakiem przez hol szpitalny, do windy, a następnie do wyjścia.

- Jeszcze nie. Czekamy na mojego teścia. Kobieta pomogła Jake'owi wstać, a Jamie podała mu kule i umieściła je pod jego pachami. Był teraz szczuplejszy o jakieś pięć, może siedem kilo, zeszczuplał też nieco w ramionach. Ale doktor zapewnił Jamie, że to normalne po dłuższym pobycie w szpitalu.

Jamie przesunęła delikatnie dłońmi po jego barkach, pomagając mu mocniej złapać uchwyty kul. Czuła pod palcami muskularne ramię i było to uczucie najbardziej znajome ze wszystkich, których doświadczyła od czasu wypadku Jake'a. Stracił na wadze, ale jego ramiona nadal były silne i sprawne. Jego bliskość sprawiła, że szybciej zabiło jej serce, ale zaraz się zganiła: „Spokój, Jamie! Platonicznie... pamiętasz?”.

Pielęgniarka cofnęła się o krok i uśmiechnęła do nich przez łyzy. Poklepała Jake'a po ramieniu.

- Proszę posłuchać... - odchrząknęła i opanowała się - niech się pan trzyma z dala od tego miejsca, dobrze? Potrzebujemy was, bohaterów, z powrotem na ulicach...

- Dobrze - Jake oparł się mocno na kulach i spróbował się do niej uśmiechnąć.

Po raz kolejny Jamie dostrzegła w jego oczach dobrze znany wyraz zagubienia. Gdy kobieta odeszła, podjechał lincolnem ojciec Jake'a z Sierrą zapiętą w foteliku na tylnym siedzeniu. Zatrzymał samochód i pomógł wnuczce wysiąść. Gdy tylko uwolnił ją z zapięcia, buzia dziewczynki rozjaśniła się i pędem pobiegła wzdłuż chodnika do Jake'a.

- Tatuś! - rzuciła Jamie szybki uśmiech, a potem przytuliła się do nóg ojca. - Wracasz do domu!

Jamie uważnie wpatrywała się w twarz Jake'a. Widziała, jak zмага się z pewną niezdarnością, i przez ułamek sekundy obawiała się, co teraz powie. Ale Jake uśmiechnął się i Jamie odetchnęła z ulgą.

- Cześć, Sierró - szybko spojrzał na Jamie, po czym przeniósł wzrok na dziewczynkę. - Tęskniłem za tobą, kochanie.

Ojciec Jake'a skinął w stronę Jamie.

- Będziemy w kontakcie, OK? Podeszła do niego i objęła go mocno.

- Dzięki za wszystko - odsunęła się i spojrzała mu głęboko w oczy. - Nie poradziłabym sobie bez ciebie.

- Daj znać, jak zaczniesz sobie przypominać - Jim rzucił Jake'owi przelotne spojrzenie. - Dbaj o siebie. Będę się za was modlił.

Jake skinął głową, ale nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w swoje dłonie. Nie przeciągając dłużej pożegnania, Jim Bryan jeszcze raz pomachał Jamie i ucałował Sierrę w policzek. Potem wszedł do samochodu i odjechał. Sierra chwyciła mocno palce Jamie, a drugą ręką ścisnęła lewą kule Jake'a. Jamie zatrzymała taksówkę i wszyscy wsiedli - Jake po jednej stronie Sierry, a Jamie po drugiej.

- Poproszę do promu.

Jamie skupiła całą uwagę na córce. Nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz widziała ją tak szczęśliwą, a najlepsze było to, że Sierra nie miała pojęcia o utracie pamięci Jake'a. Doktor Cleary powiedział, że tak będzie lepiej, że jej przekonanie, iż wszystko jest jak dawniej, może pomóc Jake'owi szybciej odzyskać pamięć.

- Dobra, tato - Sierra podskakiwała na siedzeniu w górę i w dół - pośpiewajmy!

Jake przesunął się tak, że częściowo opierał się o drzwi samochodu.

- Pośpiewajmy?

- No, tato... - Sierra zachichotała - tę piosenkę, którą zawsze śpiewamy w aucie.

Jake posłał Jamie zdesperowane spojrzenie ponad głową dziecka. „Pomóż!” - bezgłośnie poruszył ustami, żeby Sierra niczego nie zauważyła.

Jamie odchrząknęła i wtrąciła się do rozmowy:

- Kochanie, tata ma jeszcze trochę zachrypnięty głos. Może zaczniemy same?

Sierra zachmurzyła się nieco.

- OK, to jest piosenka, którą my z tatusiem śpiewamy, jak jedziemy do kościoła.

Jake znów spojrzał na Jamie. Tym razem wyszeptał tylko:

- Do kościoła?

Jamie skinęła głową i pohamowała się, żeby nie parsknąć głośnym śmiechem. Bez względu na to, jak ciężkie czekają ją miesiące, łatwiej je przetrwa, zachowując poczucie humoru. A sama myśl, że Jake Bryan nie wie, że chodzi do kościoła, była tak niewiarygodna, że aż śmieszna. Jamie odchrząknęła.

- Myślę, że mogłabym spróbować...

- Ale mam... - Sierra była trochę nadąsana - ty przecież tego nie znasz.

Jamie uniosła brwi, patrząc na córkę:

- Sądzę, że sobie poradzę - zamilkła na moment, a potem zaczęła śpiewać

- Jezus kocha mnie... - przeniosła spojrzenie na Jake'a - wiem to na pewno...

Sierra usiadła prosto i przyłączyła się: - bo tak Biblia mówi mi...

Śpiewały dalej, a Jamie wpatrywała się w twarz Jake'a, szukając w niej jakiejś oznaki, że sobie to przypomina. Od czasu do czasu dostrzegła błysk w jego oczach i gdy Sierra rozpoczęła śpiew od nowa, Jake przyłączył się i śpiewał wraz z nimi swoim chropawym głosem. Po chwili Jamie umilkła. Nie mogłaby w tej chwili śpiewać, nawet gdyby bardzo chciała. Gdy tak obserwowała Jake'a i Sierrę śpiewających razem, w gardle narosła jej wielka gęsia skórka. W połowie pieśni, gdy Sierra podskakiwała do rytmu, Jake wziął ją za rękę. Ponad głową małej oczy Jamie napotkały jego spojrzenie i Jake uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

Sierra paplała i śpiewała przez całą drogę do domu - podczas jazdy do przystani, na promie i przez cały czas, gdy jechali swoją ulicą. Gdy wreszcie zatrzymali się na podjeździe przed domem, Jamie popatrzyła na Jake'a. Szybko się męczył; o tym także ostrzegał doktor Cleary. Uraz głowy i poparzenia wymagały leżenia plackiem przez kilka następnych tygodni, aż powróci jego dawna energia.

Weszli do środka. Jake kręcił się po przedpokoju, rzucając szybkie spojrzenia dookoła i usiłując zapamiętać otoczenie. „Zachowuje się, jakby nigdy tu nie był...” - pomyślała Jamie. Trafność tego spostrzeżenia zabolęła ją ale nic nie mogła na to poradzić. Teraz nie pamięta, ale przecież kiedyś sobie przypomni.

Sierra wpatrywała się w Jake'a. Patrzyła na jego niespokojne ruchy i zdezorientowany wyraz twarzy i na jej buzi pojawiło się zakłopotanie:

- Co robisz, tatusiu?

Pytanie to przywołało Jake'a do porządku. Gwałtownie obrócił się do niej.

- Eee...

- Chodź - Sierra nie dała mu skończyć - czas na zabawę w konika!

Jamie podeszła i pogłaskała dziewczynkę po głowie.

- Słoneczko, tatuś jest zmęczony. Może pójdziesz do swojego pokoju i pobawisz się z Sarabellą?

- Och, mamó, muszę? - przywarła do kuli Jake'a i przytuliła główkę do jego nogi. - Chcę, żeby tatuś pobawił się ze mną w konika!

Śpiewanie w samochodzie, zabawa w konika... - mieli mnóstwo swoich rodzinnych zwyczajów, o których Jamie mogła przecież opowiedzieć Jake'owi jeszcze w szpitalu, ale doktor Cleary jej odradził.

- Niech te wszystkie rzeczy dzieją się naturalnie, w warunkach, które najbardziej będą o nich Jake'owi przypominały.

Na wspomnienie zabawy w konika Jake zamrugał i lekko wzruszył ramionami. Znów spojrzał bezradnie na Jamie. Skinęła lekko, kucnęła przed Sierrą i przytuliła ją.

- Kochanie, tatuś też chciałby pobawić się w konika, ale teraz boli go noga i musi się przespać. Później sobie pogadacie, dobrze?

- No, dobrze... - Sierra zrobiła słodką minkę, marszcząc brwi, ale natychmiast rozpogodziła się, patrząc na Jake'a. - Tak się cieszę, że już jesteś w domu, tatusiu! Okropnie za tobą tęskniłam!

Gdy Sierra powłokła się noga za nogą po schodach i zniknęła w swoim pokoju, Jake odwrócił się do Jamie i zamrugał gwałtownie.

- Mamy dwie córki?!

- Dwie córki? - nagły niepokój przeszył i tak już znękane serce Jamie: nie dość, że Jake cierpi na amnezję, to jeszcze ma urojenia? - Dlaczego tak sądzisz?

Popatrzył w stronę pokoju Sierry.

- Kto to jest Sarabella?

Jamie z trudem stłumiła wybuch śmiechu - nic dobrego z tego nie przyjdzie, jeśli będzie się śmiać z Jake'a, bez względu na to, jak śmieszne pytania będzie zadawał. Ale było coś tak szalenie zabawnego w tym, że oto w przedpokoju domu, w którym przeżyli całe wspólne życie, przyszło jej zastanawiać się, czy laleczka Sierry jest ich drugą córką, iż nie była w stanie się powstrzymać. Jej śmiech wypełnił całe pomieszczenie, a ona aż

zatonęła się na ścianę. Jake wpatrywał się w żonę zdumiony, a gdy ta złapała już oddech, pochylił się ku niej i uniósł lekko brwi.

- Albo Sarabella jest jeszcze bardziej zachwycająca niż Sierra, albo powiedziałem coś śmiesznego.

Jamie nie mogła opanować śmiechu i upajała się tym uczuciem: kiedy ostatnio śmiała się tak szczerze? Otarła lekko kąciki oczu.

- Sarabella to... lalka. Sierra dostała ją, gdy miała dwa latka.

Jake potrząsnął głową i odetchnął z ulgą.

- To całe szczęście. I bez drugiej córki-niespodzianki czekającej w pokoju na górze mam dosyć spraw do ogarnięcia, od zabawy w konika po piosenki o Jezusie.

Śmiech ucichł całkiem, Jamie wyprostowała się. Nie chciała o nic pytać, nawet nie powinna, ale musiała usłyszeć przynajmniej to jedno:

- Czy... czy coś ci się przypomina? Cokolwiek? Uśmiechnął się do niej smutno i potrząsnął głową.

- Czuję się, jakbym tu nigdy w życiu nie był. Opuściła wzrok i głęboko odetchnęła. Gdy spojrzała na niego ponownie, zmusiła się do uśmiechu.

- Czas... z czasem wszystko wróci... - przeszła obok niego i skinęła, żeby poszedł za nią. - Tutaj jest pokój gościnny.

Zrobiła dwa kroki w tamtą stronę, lecz on zatrzymał się.

- Poczekaj...

- Tak? - Jamie odwróciła się i po raz pierwszy, odkąd opuścili szpital, ogarnęła wzrokiem całą sylwetkę męża. Na obu ramionach miał jeszcze bandaże, choć było ich już mniej niż kilka dni temu. Widać było spod nich zaczerwienioną i pokrytą plamami skórę. Jamie zgadzała się jednak z doktorem

Clearym: nie wyglądało na to, że zostaną blizny. Co do twarzy, na obydwu policzkach oraz pod brodą znajdowały się kompresy z gazy, ale poza tym pokrywała ją tylko cienka warstwa maści, którą Jamie miała smarować oparzenia co cztery godziny.

Z łatwością ignorowała jego rany i widziała Jake'a takiego, jak dwa tygodnie temu: wysokiego i przystojnego. Był to ten sam facet, obok którego przez lata budziła się co rano.

Otrząsnęła się z zamyślenia. Jake nadal stał, wpatrując się w nią wzrokiem pełnym zatroskania.

- O co chodzi? - zwracając się do niego, starała się nie używać czułych słów. Nie mówić nic, co mogłoby wywołać jego dyskomfort.

Jake zagryzł dolną wargę i poszukał jej spojrzenia

- Pokój gościnny?

Jamie była pewna, że na policzki wypłynął jej rumieniec, poczuła bowiem, jak fala ciepła oblewa ją od włosów po obojczyki. Opuściła wzrok na swoje buty, ale po chwili podniosła spojrzenie.

- Tam właśnie będzie twój pokój, dopóki...

- Dopóki sobie nie przypomnę? - dokończył za nią, starając się, by jego szorstki głos zabrzmiał łagodniej.

- Tak - skinęła głową - dopóki sobie nie przypomnisz. Nie przeszkadza ci to?

Na jego pokrytej bandażami twarzy pojawiło się współczucie. Ten widok wzruszył ją.

- Nie...

Stąpali po niepewnym gruncie. Odwróciła się do niego i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Tak sugerował doktor Cleary.

- W porządku.

I właśnie wtedy Jamie zrozumiała, jak długa jeszcze przed nimi droga. Dawniej Jake byłby srodze zawiedziony koniecznością pozostawania w innym łóżku niż to, które z nią dzielił. Teraz jednak wyraz twarzy Jake'a był daleki od rozczarowania. Malowała się na niej raczej ulga.

RS



## Rozdział 24

27 września 2001

Pociągała go - to chyba był dobry znak. Mimo to jednak ciemnowłosa kobieta, która rzekomo była jego żoną, nie wzbudzała w nim żadnych intymnych wspomnień. Nie, żeby to właśnie było dla niego najważniejsze. Czuł, że musi to rozwikłać, zanim jeszcze zacznie pracować nad odbudowaniem swoich stosunków z Jamie, ponieważ bez względu na to, ile godzin spędzał, próbując przypomnieć sobie, kim jest, nadal nie miał zielonego pojęcia.

Było tuż przed ósmą rano, czwartek, drugiego dnia pobytu w domu. Miał mieszane odczucia co do pozostawiania w pokoju gościnnym. Z pewnością nie przyczyni się to do wywołania jakichkolwiek wspomnień z przeszłości, ale za to faktycznie uwalnia go to od stresu. Dzielenie łóżka z piękną brunetką, z którą był żonaty, z pewnością miałyby swoje zalety, jednakże kontakty fizyczne nie wydawały mu się w tej chwili właściwe ani - w ich sytuacji - naturalne. Nie w chwili, gdy rozum mówił mu, że zna Jamie zaledwie od paru tygodni.

Jake rozejrzał się po pokoju. Był nieduży, z wysokim sufitem i pięknie zdobionymi gzymsami. Bładożółte ściany obwiedziono białym pasem, okna zaakcentowano ciemnoniebieską farbą. Jake domyślał się, że dom musi mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. Miał swoisty urok, który pomagał mu czuć się w nim swobodnie. Na jednej ze ścian ktoś zawiesił kilka półek. Jake przyglądał im się przez chwilę. Czy to on je tam umieścił, przymocował wsporniki i wkręcił śruby? Jeżeli nawet tak było, nie pamiętał, by to robił.

Przesuwając wzrokiem po pokoju, patrzył na zdjęcia Sierry, potem jakichś starszych osób, w tym mężczyzny, który odwiedzał go w szpitalu, jego ojca. Jake wbił wzrok w tę fotografię. Widział miłe oczy mężczyzny, dostrzegał dumę, z jaką stał on w mundurze przed budynkiem, który - jak się domyślał - był remizą strażacką. Ale gdy tylko usiłował sobie przypomnieć cokolwiek o tym człowieku, o dorastaniu u jego boku albo o byciu jego synem, kompletnie nic nie przychodziło mu do głowy.

Zamknął oczy. Jak to możliwe, że nie rozpoznaje ani własnej żony, ani ojca? Ledwie mógł w to uwierzyć, ale była to prawda. Nie pamiętał niczego, co mogłoby być powodem jego pobytu w tym uroczym pokoju gościnnym.

Zamrugnął i jeszcze raz rozejrzał się wokół, mając nadzieję, iż dostrzeże coś, co wzbudzi w nim jakiegokolwiek wspomnienia. Przesunął się nieco do

przodu, obrócił i spojrział na ściany przylegające do łóżka. Zaparło mu dech w piersiach - na ścianie, przy której spał, wisiało lustro. Lustro! Czemu wcześniej o tym nie pomyślał? Tak wiele czasu spędził, próbując przypomnieć sobie, co kryje się w jego wnętrzu, że całkiem zapomniał o swojej powierzchowności. Jak on w ogóle wygląda? Najwyraźniej jest wysoki, dobrze zbudowany - widział mięśnie swoich ramion i nóg. Ale jaką ma twarz, oczy, nos?

Może, gdy spojrzy na siebie w lustrze, dozna gwałtownego olśnienia; może jego pamięć zostanie pobudzona nagłym wstrząsem, który wyzwoli natłok szczegółów dotyczących przeszłości. Rzucił okiem na stojący przy łóżku zegar. Zaraz przyjdzie Jamie, żeby mu pomóc wstać, ubrać się w biały szlafrok, którego nie poznawał, i podać mu kule. Potem zaprowadzi go do kuchni, gdzie już będzie czekało śniadanie.

Ale Jake poczuł, że koniecznie musi ujrzeć w lustrze swoje odbicie. Do tej pory nie wstawał sam z łóżka. Próbował dwa razy, ale kręciło mu się w głowie i czuł napływającą falę wymiotów, więc opadał z powrotem na łóżko. Ale dziś rano czuł się silniejszy niż dotychczas. Powoli wciągnął głęboko powietrze w płuca i usiadł, wysuwając nogi spod kołdry i przesuwając je na drugą stronę materaca. Po tej stronie łóżko oddzielała od ściany tylko wąska przestrzeń.

Zwykle Jamie pomagała mu wstać po drugiej stronie, bliżej drzwi. Nic więc dziwnego, że do tej pory nie zauważył lustra. Gdy złapał oddech, przyszła mu do głowy pewna myśl: a może Jamie i lekarz próbowali powstrzymać go przed patrzeniem w lustro? Jeżeli tak, to dlaczego?

Wyciągnął przed siebie rękę i dotknął swojej skóry. Zabandażowane oparzenia pokrywały znaczny obszar obu ramion - u góry i u dołu. Nieprzykryta opatrunkiem część ramion była zaczerwieniona i delikatna. Przesunął palcami po górnej części ud. Nogi, jak się wydawało, mniej ucierpiały od podmuchu gorącego powietrza niż cała reszta ciała. Z pewnością dlatego, że były grubiej okryte. Złamana kostka nadal bolała - nie będzie mógł się na niej oprzeć jeszcze przynajmniej przez tydzień. Ale w końcu zarówno ramiona, jak i nogi wygoją się. A co z twarzą?

Zaczerpnął głęboko powietrza i przygotował się na to, co miał zobaczyć. Potem, stanąwszy - opierając cały ciężar ciała na zdrowej nodze - odwrócił się do lustra i popatrzył na swoje odbicie. Przez kilka sekund po prostu wpatrywał się w obcą twarz, nawet nie mrugając, a serce biło mu mocno.

Nic dziwnego, że Jamie i lekarz nie zachęcali go wcześniej do spojrzenia w lustro. Każdy odsłonięty kawałek skóry był ciemnoczerwony, jakby poparzył się, opalając zbyt długo. Wargi miał popękane i opuchnięte, większą zaś część czoła i policzków pokrywały opatrunki z gazy. Trudno było teraz stwierdzić, czy był kiedyś przystojny.

Jake oparł się o ścianę i przyjrzał się własnemu odbiciu jeszcze uważniej: tym razem zwrócił baczną uwagę na oczy. Były przejrzyste i niebieskie - i tyle. Poza tym nie znajdował w nich nic uderzającego. Nie malowała się w nich szczególna głębia, nie krył się najmniejszy nawet cień czegoś znajomego. Tak, jakby ten ktoś, kto zamieszkiwał niegdyś w jego wnętrzu, spakował manatki i wyjechał na dobre.

Wykrzywił szczękę - najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Dotknął palcami zabandażowanej części twarzy. Doktor Cleary mówił, że nie będzie blizn i że po pewnym czasie, w przyszłym roku prawie nie będzie można poznać, że był kiedyś tak poważnie poparzony. Jake jednak w to wątpił, choć, co prawda, niezbyt mu to przeszkadzało. Jeśli tylko mógłby sobie przypomnieć, kim jest, z przyjemnością zaakceptowałby nawet kilka szpecących blizn na twarzy.

Oczywiście wierzył Jamie, kapitanowi ze straży pożarnej i temu człowiekowi, który - jak mówili - był jego ojcem. Wszystko, co powiedzieli, zdawało się mieć sens: nazywa się Jake Bryan, jest strażakiem, bardzo kocha Boga i swoją rodzinę. To wzbudza zaufanie. Przynajmniej nie jest kryminalistą, poganinem, maniakiem ogarniętym chciwością, ani casanową uwodzającym po kilka kobiet na raz. Ale pisemne potwierdzenie tożsamości nie wystarczało mu. Nie chodziło mu o dotychczasowy życiorys. Chciał odnaleźć tę prawdę w sobie i do głębi czuć się jej właścicielem. Był w domu od dwóch dni i jak dotąd większość czasu przesypiał, mając nadzieję, że gdy się obudzi i wyjrzy przez okno, cała jego przeszłość nagle, w cudowny sposób, powróci do niego. Tak się jednak nie działo - prawdziwego spokoju zaznawał jedynie podczas chwil spędzanych z Sierrą.

Dziecko kochało go bezwarunkowo, nieświadome najmniejszej nawet zmiany, jaka w nim zaszła po 11 września. Jake nadal nie pamiętał chwil spędzanych wcześniej z córką, ale jej twarz i imię były mu znajome. Coś jednak sobie przypominał w ciągu minionych dwóch dni. Mianowicie to, że miał córkę.

Prawda ta rozbrzmiewała w głębi jego serca i upewniała go, że znajduje się we właściwym miejscu; że wkrótce znów stanie się na powrót Jakiem

Bryanem, a gdy to już nastąpi, wszystko wróci na swoje miejsce. Był tego absolutnie pewien nie z powodu diagnozy lekarskiej, ale z powodu swej małej córeczki.

Właściwie im więcej o niej myślał, tym bardziej znajome wydawało mu się jej imię. Nie było już tylko słowem, które rozpoznawał - było imieniem jego córki, które znał już od lat. To, co łączyło go niegdyś z tą małą dziewczynką, przynajmniej po części pozostawiło w jego sercu niezatarty ślad. I w tej chwili musiało mu to wystarczyć.

Gdyby mógł aż tyle pamiętać o Jamie! Była wspaniała, starała się zaspokajać każdą jego potrzebę i nie oczekiwać niczego w zamian. Witawa w progu jego przyjaciół z kościoła lub remizy i z wdziękiem przyjmowała ofiarowane baloniki i bukiety kwiatów.

- Tak, Jake czuje się już o wiele lepiej - słyszał, jak informowała gości. - Nie, może jeszcze nie teraz. Jeszcze przez jakiś czas nie może przyjmować gości. Musi najpierw odzyskać siły.

Potem ściszała głos i o czymś przez chwilę mówiła. Jake domyślał się, że rozmowy te dotyczą poległych strażaków, ludzi, którzy musieli być mu niegdyś bliscy jak własna rodzina. Setki rodzin strażaków musiały ucierpieć w wyniku zamachu na World Trade Center. Jake dopiero od niedawna miał siłę czytać nagłówki gazet, ale i tak pojmował rozmiary nieszczęścia.

Gdy pytał Jamie o te wizyty, zbywała go miłym uśmiechem i mówiła, że to nic ważnego, poprostu znajomi, którzy wpadają, by pokazać, że troszczą się o niego. Nie zarzucała go nazwiskami, nie robiła mu żadnych testów pamięci, niczego, co mogłoby prowadzić do rozczarowania, gdyby zdał sobie sprawę, że żadnego z nich nie pamięta.

Oprócz tego, że chroniła jego prywatność, przynosiła mu wodę, pokrojone owoce, kanapki. Opatrywała jego oparzenia z miłością i cierpliwością, które aż go paraliżowały. Od czasu do czasu rozmawiali o bieżących sprawach: jak się czuje, czy boli go głowa, czy ma ochotę na kawę lub lunch, a wtedy często zdarzało mu się powiedzieć coś, co ją rozśmieszało. Początkowo nie wiedział, jak to rozumieć, ale z biegiem dni zaczął śmiać się wraz z nią. Pewnego razu w takiej właśnie chwili spojrzała na niego z zadartą głową.

- Pamiętasz to? - siedziała wtedy na skraju łóżka w pokoju gościnnym, dbając, by zachować między nimi odpowiedni dystans, a jej spojrzenie było łagodne i zamyślane. Znów przyszła mu do głowy myśl, jak ciężka musi być dla niej jego utrata pamięci.

- Co takiego?

- Śmiech. Zawsze dużo się razem śmialiśmy. Bardzo chciał jej odpowiedzieć, że oczywiście,

pamięta, jak się razem śmiali i jak wspólnie spędzali szczęśliwe chwile. Jeśli rzeczywiście spędziłby całe życie z Jamie, z czego dużą część stanowiły radosne i szczęśliwe chwile, to na pewno śmiech wywołałby jego wspomnienia. Ale mógł tylko potrząsnąć smutno głową i powiedzieć jej prawdę: że nie było w tym nic znajomego.

Kręciło mu się w głowie. Opadł na łóżko. Słyszał, jak Jamie krząta się w kuchni. Nie chciał być zmęczony przy śniadaniu. Wyciągnął się wygodnie na łóżku i przypomniał sobie ich pierwsze wspólne śniadanie po powrocie ze szpitala - dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Podczas posiłku zasypywał ją trudnymi pytaniami, które gnębiły go od czasu, gdy wybudził się ze śpiączki. Była najwyraźniej zaskoczona bezpośredniością, z jaką wyrażał swoją ciekawość, ale zachowywała się wspaniale - odpowiadała mu w sposób opanowany, kontrolując własne emocje.

Sierra bawiła się u koleżanki w domu naprzeciwko, a on i Jamie siedzieli przy skromnym stole w jadalni, jedząc jajecznicę i tosty pszenne. Przez pierwsze pięć minut rozmawiali jak para obcych ludzi - uprzejmie i żartobliwie.

- Poproszę o sól - świadomość, iż pamięta, jak przyprawić jedzenie, żeby mu smakowało, była kolejną zagadką. Dlaczego jego mózg pamiętał coś takiego jak sól, a wyłączył wspomnienia dotyczące jego żony?

Jamie zrobiła, o co poprosił, dbając, by zbyt długo nie patrzeć mu w oczy.

- Nie za bardzo wysmażona?

- Nie - Jake skosztował kęs i pokręcił przecząco głową. - W sam raz. Doskonała.

- Dzięki. Cisza.

- Pęcherze na czole masz już nieco mniejsze.

- To dobrze - kolejny kęs. - Widocznie maść dobrze działa.

Po pięciu minutach Jake odłożył widelec, odsunął talerz i wbił spojrzenie w Jamie. Jadła jeszcze przez chwilę, po czym podniosła wzrok.

- Dobrze się czujesz?

I wtedy popłynęły pytania, jedno po drugim, bez ładu i składu. Chodziło o to, że w posiadaniu Jake'a znajdowało się tylko kilka kawałeczków układanki składającej się na jego przeszłość, resztę miała siedząca

naprzeciw kobieta o zmęczonym spojrzeniu. Nie mógł czekać ani chwili dłużej, by poznać przynajmniej niektóre odpowiedzi.

- Jak się poznaliśmy?

Jamie zamrugała. Zamarła na moment z uniesionym w górę widelcem. Z tego, co wyczytał w jej oczach, kochała go bardzo, może nawet za bardzo. Nie był pewien, dlaczego tak to właśnie czuje. Ale w jej wzroku dostrzegł bardzo starannie ukrywaną rozpacz. Odłożyła widelec na talerz i opuściła wzrok. Wreszcie po kilku sekundach ponownie spojrzała mu w oczy.

- Byliśmy dziećmi, mieliśmy po dwanaście lat - odsunęła talerz i pochyliła się do przodu. - Nasze rodziny mieszkały na tej samej ulicy.

- Tutaj? Na Staten Island?

- Na tej ulicy - mówiła cichym głosem zabarwionym, jak się domyślał, smutkiem. - Wychowałam się w tym domu.

- Kiedy zostałem strażakiem?

- Twój ojciec był strażakiem - Jamie pochwyciła jego spojrzenie. - Naprawdę tego nie pamiętasz?

Jake opuścił wzrok na resztki jajeczniczy na swoim talerzu i wzruszył ramionami.

- Widziałem jego zdjęcie w pokoju gościnnym. Był w kombinezonie strażackim, więc się domyśliłem, że to jakaś rodzinna tradycja.

Jamie spojrzała na niego nieco zdziwiona, ale nie odezwała się.

- Kto jest moim najlepszym przyjacielem? - znów wpatrywał się w nią, oczekując odpowiedzi.

- W pracy?

- Noo... tak. W pracy.

- Larry Henning.

- Pracuje w tej samej remizie co ja?

Wtedy zauważył głęboki ból malujący się na jej twarzy. Ale tylko wyprostowała się nieco i lekko westchnęła.

- Larry'ego nie odnaleziono, Jake. Był z tobą w tamten wtorek w World Trade Center.

Wiadomość ta wstrząsnęła nim. Nie dlatego, by czuł jakikolwiek związek z zaginionym, ale ponieważ uświadomił sobie, że w którymś momencie - kiedy już zacznie sobie wszystko przypominać - doświadczy ogromnego bólu, z którym będzie musiał się uporać.

Było to ostatnie pytanie. Czuł się zmęczony rozmową. Mroczna rzeczywistość wrześnieowego zamachu terrorystycznego i zmian, jakie

wywołał on w każdym aspekcie życia, zepsuły mu nastrój i położyły kres jego dociekliwości.

Jake ziewnął i przestał wspominać. Usłyszał kroki pod drzwiami pokoju. Weszła Jamie.

- Dzień dobry! - uśmiech malował się raczej na jej ustach niż w oczach. - Od dawna nie śpisz?

- Chwilkę - usiadł, ciesząc się, że ma na sobie piżamę, która choć wydawała się mu obca, to niwelowała poczucie wstydu.

Weszła do pokoju i usiadła w nogach łóżka.

- Jak się dziś czujesz?

- Lepiej. Mam więcej siły - wskazał na lustro wiszące nad łóżkiem. - Parę minut temu pierwszy raz spojrzałem w lustro.

Panika zabłysła w oczach Jamie, ale szybko zgasła.

- Dobrze... dobrze się czujesz?

- Mam dosyć poważne oparzenia - kilka razy otworzył i zamknął usta, ostrożnie dotknął oparzonych miejsc. - Nie chce mi się wierzyć, że te blizny kiedykolwiek znikną.

- Kiedy patrzyłeś w lustro... czy coś wtedy czułeś? Coś sobie przypomniałeś?

- Coś dotyczącego mojej przeszłości? Nie... - wydał cichy dźwięk bardziej przypominający płacz niż śmiech. - Jakbym oglądał zdjęcie w gazecie albo w telewizji. Tak, jakby ten ktoś patrzący na mnie z lustra nie był wcale mną.

Jamie pokiwała głową w jej spojrzenie zakradła się rezygnacja.

- Śniadanie gotowe.

- Dzięki.

- Zrobiłam owsiankę.

- OK, a czy ja lubię owsiankę? - z jakiegoś powodu wydawało mu się, że nie lubi.

- Tak - uśmiech zaigrał w kącikach jej ust. - Przepadasz za nią!

- Aha... - pokiwał głową. - No, tak.

Czuł się bezpieczniej, prowadząc tego typu suche rozmowy dotyczące wyłącznie faktów. Było to przyjemniejsze i bardziej znajome niż jakikolwiek inny temat, który Jamie mogła wybrać. Był jej za to szczerze wdzięczny. Nigdy, ani raz, nie próbowała w żaden sposób go naciskać. Robiła wszystko, co w jej mocy, by czuł się swobodnie. Pomogła mu wstać, podała mu kule i wsunęła mu je pod ramiona.

- Pomóc ci?

Zazwyczaj szła obok niego, tak by mógł się na niej wesprzeć, gdyby tracił równowagę. Ale tym razem potrząsnął głową.

- Myślę, że dam sobie radę.

Jamie szła przodem. Wykuśtykawszy z pokoju, Jake zatrzymał się na moment i utkwiał wzrok w czymś, czego nie dostrzegł, przechodząc wcześniej przez te drzwi. W holu, o kilka kroków dalej wisiało na ścianie zdjęcie ślubne. Piękna, pełnowymiarowa fotografia przedstawiała Jamie sprzed kilku lat. Ale to nie postać Jamie na zdjęciu sprawiła, że czoło Jake'a pokryło się warstwą potu, tylko jego. Mimo oparzeń szpecących obecnie jego twarz, nie było najmniejszych wątpliwości, że facet, który spoglądał z portretu, był tym samym, który dziś rano patrzył na niego z lustra. Jake oparł się mocniej na kulach i ruszył chwiejnie w kierunku zdjęcia.

Jamie zorientowała się, że nie idzie za nią, i odwróciła się.

- Co robisz?

Jake spojrział na nią przelotnie i kiwnął głową w kierunku fotografii.

- To... to ja.

- Tak - oczy Jamie rozbłysły, gdy zobaczyła na co zwrócił uwagę. - Nasze zdjęcie ślubne.

- Wygląda znajomo... po raz pierwszy coś wygląda znajomo.

Jamie wydała cichy okrzyk, ale natychmiast zakryła usta ręką. Musiała myśleć w tej chwili to samo, co on: że to początek, jeżeli nie coś więcej. Jake miał nadzieję, że zdjęcie wydało mu się znajome, gdyż powracała jego pamięć, a nie dlatego, że kilka minut wcześniej po raz pierwszy zobaczył samego siebie w lustrze.

Podeszli do stołu i zaczęli jeść śniadanie. Atmosfera zrobiła się nieco bardziej swobodna. Gdy skończyli, Jamie odwróciła się w jego stronę i powoli odetchnęła.

- Sądzę, że jesteś już gotowy, Jake.

- Gotowy na co?

- Odkąd jesteśmy małżeństwem, prowadziłeś dziennik - mówiła zdenerwowanym tonem, oddychając pospiesznie. - Nie codziennie, ale dosyć często.

Błądziła spojrzeniem po suficie. Przez chwilę rozważała, czy nie zmienić tematu rozmowy i nie poczekać z nią do innej okazji. Ale popatrzyła na niego ponownie, tym razem bardziej stanowczo.



- Codziennie rano czytałeś Biblię i często coś zapisywałeś - zamilkła. - Przeglądałam... przeglądałam któregoś dnia twoją Biblię i twój dziennik, gdy dowiedzieliśmy się o twojej utracie pamięci. Tam jest tyle twoich myśli, Jake. W notatkach i w podkreślonych fragmentach Biblii... w pamiętniku... Jake, tam jest cała historia twojego życia! Jeśli chcesz sobie przypomnieć, jak to jest być Jakiem Bryanem, tam właśnie znajdziesz wszystko.

Jake tylko gapił się na nią. Dziennik i Biblia z notatkami na marginesach i podkreślonymi fragmentami? Tego właśnie potrzebował. Wstał z wysiłkiem i sięgnął po kule oparte o stół obok jego krzesła. Nadzieja obudziła się w jego sercu, silniejsza niż wszystko, co czuł, odkąd się ocknął po wypadku.

- Gdzie je mogę znaleźć?

- Na górze - mocniej objęła się rękami. - Będę zajęta tutaj, na dole, przez cały dzień. Pomyślałam sobie, że lepiej, żebyś je czytał na górze, na naszym... na łóżku w tamtym pokoju, czyli na miejscu dobrze ci znanym - przechyliła głowę. - Dasz radę tam wyjść?

- Jasne - Jake skinął głową i zrobił kilka chwiejnych kroków w jej stronę. - Prowadź.

Jamie szła pierwsza, a on za nią. Miał wrażenie, że wkroczył nie tylko na drogę wiodącą do pokoju, w którym przespał tysiące nocy, ale na drogę ku dniu wczorajszemu i wszystkim wspaniałym rzeczom, które się z tym powrotem wiązały.

Weszli do pokoju. Jake zatrzymał się w progu. Na starej komodzie paliła się świeca, zapach wanilii mieszał się z ostrą wonią eukaliptusa i suchych kwiatów w wieńcu wiszącym nad łóżkiem. Gruba kołdra w delikatne niebieskie wzorki leżała rozłożona na materacu. Ciemna mahoniowa rama łóżka z baldachimem tworzyła komplet z komodą i czterema innymi meblami.

Wszystko w tym pokoju stwarzało ciepłą, zachęcającą atmosferę - doskonałe gniazdko dla dwojga kochających się ludzi. Ale choć było tu tak przyjemnie, Jake musiał niestety stwierdzić, iż niczego mu to wewnątrz nie przypomina. Absolutnie niczego.

- Biblia i pamiętnik są tam - wskazała Jamie, podchodząc do łóżka.

Mówiła pospiesznie i Jake czuł, że przebywanie razem z nim w ich wspólnej sypialni wprawiało ją w zakłopotanie. Schyliła się i sięgnęła pod łóżko. Gdy to robiła, bluza, którą miała na sobie, uniosła się, ukazując jej plecy. Jamie była śliczna. Jake wyjrzał szybko przez okno, żeby nie

przyłapała go na gapieniu się. Widok jej nagich pleców sprawił, że poczuł się niezręcznie. Gdy wstała, spojrzął na nią ponownie.

- Proszę - trzymając książki w ręce, Jamie przeszła przez pokój i wręczyła mu je. - Będę na dole, nie musisz się spieszyć.

- Dzięki, Jamie - popatrzył jej w oczy nieco dłużej niż zwykle. Czuł, że jego słowa brzmiały niezręcznie, zwłaszcza że mówił chropowatym głosem, ale mimo wszystko musiał spróbować. - Jeśli chodzi o... - zrobił gest brodą w kierunku łóżka - ... o to, to przepraszam... ja... po prostu nie jestem jeszcze gotowy.

- W porządku - zacerwieniła się mocno, ale nie odwróciła spojrzenia. - Odnajdziemy naszą drogę - postukała w książki, które już trzymał w rękach.

- Nie przychodzi mi do głowy lepszy niż to początek.

Gdy wyszła, Jake oparł kule o komodę i, skacząc na jednej nodze, obszedł łóżko. Usiadł na nim i wyciągnął się wygodnie po tej stronie, gdzie pod spodem leżały przedtem książki. Oparłszy się o ogromne poduchy, wziął książki do ręki. Pierwsza miała skórzaną okładkę ze złotym napisem

„Pismo Święte”, a u dołu, prawie zatarte od częstego używania, widniało nazwisko: Jake Bryan.

Otworzył ją i przeczytał dedykację. Potem rzucił szybkie spojrzenie na pozostałe kartki. Jamie miała rację: co kilka stron widać było podkreślone fragmenty tekstu i równie wiele dopisków na marginesach. Zatrzymał wzrok na jednym z fragmentów pochodzącym z Listu do Hebrajczyków.

Podkreślone wersy brzmiały następująco: „I my zatem mając dokoła siebie takie mnóstwo świadków, winniśmy wytrwale biec w wyznaczonych nam zawodach. Patrzmy na Jezusa, który nam w wierze przewodzi i ją wydoskonała”. Jake przebiegł tekst oczyma i odnalazł słowa napisane odręcznie drobnym pismem: „Muszę zawsze patrzeć na Boga... inaczej nie da się biec w życiowych zawodach, nie da się zwyciężyć”.

Przeczytał te słowa jeszcze dwa razy, aż płynąca z nich prawda zaczęła zapadać w jego umysł. Był nie tylko porządnym, wierzącym człowiekiem, który chodzi do kościoła i na czas płaci podatki. Był zakochany w Bogu, kierował się Jego prawdą i Jego zasadami.

Poczuł, że kilka kawałków układanki wskoczyło natychmiast na właściwe miejsce.

Jego ojciec - najwyraźniej także człowiek religijny - dał Jake'owi Biblię, by przekazać mu swą wiarę, a Jake, jak widać, przejął pałeczkę. Nawet jeśli wszystko inne wymykało się jego rozumieniu, sprawy dotyczące Boga

wydawały się tak realne jak bicie serca. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy zamknął Biblię i przycisnął ją do piersi. Zdziwiło go, że płacze. Przymknął oczy, by zachować intymny charakter tej chwili, tylko on i Bóg. „Pomóż mi, Boże. Jak mam przez to przejść?”.

Chciał się modlić, w jego sercu narastała taka potrzeba. W modlitwie było jednak coś, co wydawało mu się dziwnie nienaturalne. Rozumiał to: amnezja jest wszak jak mur forteczny, który przesłania pamięć o tym, jak ubrać myśli w słowa. Ale łzy napłynęły mu do oczu z innego powodu: pamiętał przynajmniej, jak ważna jest modlitwa, a to znaczyło, że oprócz wspomnień o Sierrze, ma jeszcze inne, które dotyczą Boga. Jeśli tak, to chwila, w której przypomni sobie Jamie, ojca i wszystko, co wiąże się z życiem nowojorskiego strażaka, jest tylko kwestią czasu.

Westchnął cicho. Słowa, którymi pragnął przemówić do Boga, narastały w nim, aż wreszcie wypowiedzenie ich w najcichszym zakątku duszy stało się najbardziej naturalną rzeczą.

- Boże, jak dobrze znów Cię odnaleźć, czytać notatki w mojej Biblii i wiedzieć, że tutaj, z Tobą jest miejsce, w którym zawsze odnajduję siłę - zamilkł. Z kącika oka wymknęła się łza, której pozwolił spłynąć po twarzy. - Jestem strażakiem. Boże, więc wiem, że bywałem już w niebezpiecznych miejscach. W tamten wtorkowy poranek też byłem w takim miejscu. Ale to... to, że nie poznaję ludzi, których kocham... to jest najtrudniejsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić - pociągnął nosem. - Potrzeba mi więc znów Twojej siły, Boże. Muszę spędzać czas z Tobą i Twoim słowem i modlić się, abys mnie podniósł, tak jak to najwyraźniej robiłeś przez całe moje życie - potarł palcem skórzaną okładkę. Poczował napływającą falę siły, jakiej nie zaznał od chwili wypadku. Mocniej zacisnął palce na Biblii. - Dziękuję Ci, że pozwoliłeś mi przeżyć... dziękuję za Jamie i Sierrę, i za to, że przyprowadziłeś mnie tutaj bezpiecznie. A teraz proszę Cię, Panie, pomóż mi odnaleźć drogę do domu.

Resztę dnia i kolejne dwa tygodnie Jake spędził na modlitwie i studiowaniu zakreślonych części Biblii oraz na czytaniu własnych zapisków w dzienniku. Jamie miała rację: to, co napisał, pozwoliło mu teraz zrozumieć głęboką więź, jaka łączyła go z Bogiem, z Jamie i Sierrą. Notatki mówiły o tym, że boi się, iż Jamie być może nigdy nie będzie dzielić jego wiary oraz że zanadto obawia się o jego życie. Opisywał szczęśliwe chwile i rodzinne wakacje. Szczegółowo rozpisywał się o swoich nadziejach

związanych z przyszłością Sierry. Pisał o trudniejszych wezwaniach do pożarów i o radosnych chwilach spędzonych z Larrym Henningiem.

Nie przeszkadzało mu, że podczas czytania nadal bolała go głowa. Tekst był fascynujący i wciągający, uzupełniał znakomicie brakujące wiadomości o jego przeszłości: pod koniec tych dwóch tygodni wiedział o Jake'u Bryanie niemal wszystko. A nawet więcej, dzięki tym dwóm księgom po prostu stał się Jakiem Bryanem.

RS

## Rozdział 25

13 października 2001

Jamie czuła, że jej mąż krok po kroku powraca do zdrowia. Na drugi dzień po tym, jak mu przypomniała o jego Biblii i pamiętniku, Jake wziął oba tomy na dół, do pokoju gościnnego, i z miejsca zatopił się w natłoku informacji. W sumie było to wspaniałe, gdyż kiedy zasiadali w trójkę z Sierrą do śniadania lub do obiadu, w rozmowach, zwłaszcza w swych spokojnych uwagach, coraz bardziej przypominał Jake'a Bryana.

Było późne sobotnie popołudnie, prawie trzy tygodnie po powrocie Jake'a ze szpitala. Jamie męczyło ciągle trzymanie się z dala od niego. Nawet gdy był zajęty czytaniem, chciała być w pobliżu i rozmawiać z nim. Chciała też się przekonać, czy jego pamięć przebija się przez ogarniającą umysł mgłę. Przeszła z kuchni do pokoju gościnnego i po cichu otworzyła drzwi. Jake czytał właśnie Biblię. Zbyt był pochłonięty lekturą, by ją w ogóle zauważyć. Oparła się o framugę i przyglądała mu się uważnie. Właściwie cały czas poświęcał czytaniu. Odkąd drugiego dnia po powrocie ze szpitala do domu dała mu te dwie księgi, nie robił praktycznie nic innego.

Jamie skontaktowała się z doktorem Cleary i opowiedziała mu o wszystkim.

- Czy nie powinno mnie to niepokoić? Chodzi o to, że on całymi dniami czyta, zamiast włączyć się w życie, które toczy się poza pokojem gościnnym.

- To doskonale. Nie ma powodów do obaw. To mu pomoże wszystko sobie przypomnieć. On sam da pani znak, gdy już będzie gotowy, by zacząć znów żyć.

Tak więc przez dwa tygodnie Jamie zajmowała się wyłącznie opatrywaniem oparzeń Jake'a i przygotowywaniem mu posiłków, a on wciąż czytał. Znajomi z kościoła i strażacy nadal wpadali z wizytą, życząc mu szybkiego powrotu do zdrowia i proponując wszelką możliwą pomoc w rekonwalescencji. Jego koledzy, którzy przeżyli atak na World Trade Center, wiedzieli już, że utracił pamięć.

Ale na razie Jamie nie wpuszczała ich do środka. Witała się z nimi w drzwiach, ścisła ich, rozmawiała, przekazywała najświeższe wiadomości o Jake'u. Ale chciała postępować ściśle według zaleceń doktora Cleary'ego, a ten postawił sprawę jasno: wizyty gości tylko spowolnią proces powrotu do zdrowia. Jake potrzebował teraz zwyczajnego stylu życia, możliwie jak

najbliższego temu, które wiódł przed urazem. Gdy już się z nim oswoi, będzie mógł spotykać się z kolegami z remizy. Poza tym Jamie nie czuła się dobrze w towarzystwie kolegów Jake'a, ponieważ żaden z nich nie chciał z nią rozmawiać ani o Larrym Henningu, ani o innych strażakach poległych tamtego wtorkowego poranka. Z pewnością między sobą rozmawiali o niesłychanych stratach w szeregach tak wspaniałych ludzi, którzy własnym życiem ryzykowali, by ratować innych, ale w jej obecności mówili niewiele.

Ona również nie chciała mówić o nieżyjących strażakach; od 11 września nie rozmawiała też z Sue. Kilka razy zadzwoniła do niej, ale Sue albo właśnie spała, albo była zajęta rozmową z rodziną. Bez wątpienia cała jednostka Jake'a bardzo boleśnie przeżywała tę tragedię. Jamie była zadowolona, że starają się ją przed tym chronić.

Działań w Strefie Zero nie nazywano już akcją ratunkową. Była to teraz operacja ekshumacyjna, co mogło oznaczać tylko jedno: że Larry nie żyje. Jamie zdawała sobie sprawę, że w którymś momencie przyjdzie im - a zwłaszcza Jake'owi - zmierzyć się z jego utratą, ale jeszcze nie teraz. Będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy jej mąż przypomni sobie, kim jest. Do tamtej chwili Jamie była zdecydowana skupić całą energię na Jake'u i tym samym odwlec także swoją żalobę po Larrym.

Stała teraz w drzwiach, przyglądając się mężowi uważnie, a on nadal jej nie widział. Zbyt był pogrążony w świecie, który próbował na powrót odnaleźć. Oparzenia ładnie się goiły. Opatrunki potrzebne były już tylko w kilku miejscach - na czole, lewym policzku i obu ramionach. Skórę miał nadal czerwoną i pokrytą plamami, jego głos także nie brzmiał jeszcze jak dawniej, ale z każdym dniem coraz bardziej Jake przypominał siebie. Nie chodził już o kulach i chociaż na nodze wciąż miał gips, po domu mógł się już poruszać bez pomocy. Jamie konsultowała z doktorem Clearym drobne różnice w jego zachowaniu, zwłaszcza postawę i sposób chodzenia. Nie miała żadnych wątpiwości, że to jej mąż, ale dostrzegała w nim jakąś ledwo uchwytną różnicę. Zauważył to nawet Brownie, ich stary labrador. Już kilka razy, gdy Jake wchodził, kulejąc do pokoju, pies szczyrzył na niego zęby i nie chciał się uspokoić, dopóki Jamie nie zapewniła go, że wszystko jest w porządku. Ale nawet wtedy zdawało się, że ma Jake'a na oku.

- To typowe dla amnezji - wyjaśniał doktor Cleary kojącym tonem, za który Jamie była mu tak wdzięczna. Ciągłe miała w pamięci ten straszny dzień, kiedy przeczytała kartę szpitalną Jake'a. Pamiętała, jak okropnie się

wtedy czuła, zastanawiając się, czy rzeczywiście jest to jej mąż. Słowa doktora Cleary'ego rozproszyły jej niejasne obawy.

- Czasami tracąc pamięć długotrwałą, tracimy umiejętność bycia sobą. W tym przypadku pacjent pamięta, jak się chodzi i mówi, ale nie pamięta, jak on sam te czynności wykonywał. Może to mieć wpływ na dobór używanych słów, na jego zwyczaje, a nawet na sposób poruszania się. Trudno się więc dziwić, że wasz pies go nie rozpoznał.

Dobra wiadomość znacznie poprawiła samopoczucie Jamie. Ale wciąż było dla niej coś nienaturalnego w tym, że Jake przechodził tuż obok, nie obejmując jej ramieniem i nie przyciągając do siebie, żeby ją pocałować. Podobnie jak dziwne było to, że gdy rozmawiał z Sierrą, nie kuczał i nie proponował zabawy w konika, za którą mała tak tęskniła.

Jamie westchnęła głęboko i dźwięk ten zwrócił uwagę Jake'a. Tym razem czytał swój dziennik. Spojrzał na nią znad kartek i zaraz jego spojrzenie rozjaśniło się. Odłożył lekturę.

- Musimy pójść na plażę.

Popatrzyła na niego zdziwiona - a to co znowu? Czyżby zaczynał sobie coś przypominać?

- Na plażę?

- Tak! - w szorstkim głosie słychać było entuzjazm, na twarzy pojawił się uśmiech. - Żeby pojeździć na skuterze!

- To znaczy... - Jamie ze zdumienia otworzyła usta i poczuła, że zaschło jej w gardle - to znaczy, że pamiętasz to?

Uśmiech Jake'a zgasł.

- Nie - wskazał na leżący na łóżku pamiętnik. - Ale wiem, że kiedyś bardzo to lubiłem. Oboje lubiliśmy.

Rozczarowanie przyćmiło chwilową radość Jamie. Opanowała się jednak i skinęła głową, odpędzając napływające do oczu łzy.

- Więc jesteś gotowy gdzieś wyjść, tak?

- Tak - wyprostował się i uśmiechnął - chcę grać w tenisa i jeździć z tobą skuterem wodnym, nawet jeśli na początku nie będzie mi dobrze szło. I chcę, żebyśmy pojechali z Sierrą na piknik.

- Jake... - Jamie przekrzywiła głowę i okrzyk radości wyrwał jej się prosto z serca - ja też tego chcę!

- To jeszcze nie wszystko - przeczesał palcami krótkie ciemne włosy. Od czasu operacji odrosły już nieco i powinien zająć się nimi fryzjer, ale to musiało poczekać, aż Jake zacznie częściej wychodzić z domu.

Był tak przejęty, że plątały mu się słowa.

- Chcę się spotkać z chłopakami z remizy, porozmawiać z nimi, dowiedzieć się o tych, którzy zginęli - popatrzył jej w oczy, uśmiech zniknął. - Chcę się spotkać z Sue i Katy, przytulić je i razem z nimi opłakiwać śmierć mojego najlepszego przyjaciela. Już dawno powinienem był to zrobić.

Jamie nie wiedziała, co o tym myśleć. Doktor mówił, że taki moment nadejdzie, ale nie spodziewała się, że tak szybko. Gdyby ktoś usłyszał teraz Jake'a, nie powiedziałaby, że kiedykolwiek stracił on pamięć. Zamrugła szybko oczami i podeszła bliżej.

- Czy to wszystko przyszło ci do głowy po przeczytaniu twoich zapisków?

- Tak... - przymrużył oczy. - To zabawne: kiedy zacząłem czytać, wszystko to wydawało mi się fascynujące, ale nie budziło żadnych wspomnień - spojrzął za okno, a potem z powrotem na nią.

- Przeczytałem pamiętnik cztery razy, a zaznaczone fragmenty Biblii trzy razy. Bóg jest dla mnie tak dobry, Jamie. Nie mam teraz żadnych wątpliwości, że wszystkie zapisane tu informacje, myśli i wspomnienia zaczynają się układać w znaną mi całość. Nie jestem pewien, czy to dlatego, że przeczytałem o nich tyle razy, czy po prostu zaczynam je sobie przypominać - uśmiechnął się smutno. - Tak czy inaczej, to cudowne uczucie.

Założyła ręce; setki pytań cisnęły się jej na usta. A co z nią? Czy zaczyna sobie przypominać, jak dobrze im było razem, jak bardzo ją kochał i jak wspaniałe były ich kontakty fizyczne przed wypadkami z 11 września?

Wyczuł chyba jej myśli; poklepał miejsce obok siebie na łóżku.

- Chodź do mnie. Jamie.

Serce zabiło jej mocniej, ale zrobiła, o co prosił. Podchodząc małymi krokami do łóżka, nie spuszczała z niego wzroku. Zawahała się przez chwilę, ale Jake ponownie poklepał materac. Usiadła na brzegu łóżka, z trudem łapiąc oddech ze zdenerwowania.

- Przepraszam cię. Jamie - uniósł dłoń i pogłaskał ją po policzku, patrząc głęboko w oczy.

- Wiem, że cię kocham: rozum mi to mówi - wolną ręką dotknął pamiętnika. - Wczytuję się w moje własne słowa i aż mi tchu brak, gdy o tym myślę. Ale nie mogę ci tego jeszcze powiedzieć, ponieważ chcę, żeby...



gdy przyjdzie na to czas... słowa płynęły prosto z mojego serca. Tak właśnie będzie, kiedy odzyskam pamięć.

Łzy napłynęły jej do oczu i nie mogła ich w żaden sposób powstrzymać. Zamrugęła powiekami, żeby lepiej go widzieć.

- Ja... rozumiem, Jake.

- Chodzi o to... - głos mu się załamał. Przez chwilę bez słowa wpatrywał się w sufit, a na jego twarzy malowało się uczucie frustracji. Ponownie przeniósł spojrzenie na żonę. - Chodzi o to, że ja naprawdę cię kocham. Widzę, jak się o mnie troszczysz, jak starasz się ułatwić mi wszystko. W moim dzienniku i w notatkach na marginesach Biblii czytam o swoim uczuciu do ciebie i... czuję, że cię kocham.

Skinęła głową, niepewna, co na to odpowiedzieć. Jak to możliwe, że znalazła się na samym końcu? Jak to możliwe, że Jake pamiętał Sierę i Boga, a jej nie? Nie miało to żadnego sensu, a wręcz przeciwnie, wywoływało wątpliwości, czy kiedykolwiek w pełni ją sobie przypomni.

Siedziała w milczeniu. Jake delikatnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek. Trwali tak przez chwilę. Z twarzą przytuloną do twarzy męża wdychała jego zapach: połączenie wody po goleniu, dezodorantu i proszku, w którym prała jego ubrania.

- Jake... - serce biło jej mocno, spuściła głowę.

- Brakuje mi ciebie...

- A mnie ciebie... - wyszeptał, delikatnym oddechem owiewając jej policzek - i tego, co nas łączyło przed... przed tym koszmarem... - zamilkł i leciutko przytulił zdrową część policzka do jej twarzy. - Nie mogę się tego doczekać - odsunął się i zajął jej w oczy. - Brakuje mi tego, Jamie. Bardzo chciałbym już wszystko sobie przypomnieć tak, żebyśmy mogli znów zacząć tam, gdzie przerwaliśmy.

Jego bliskość była dla niej wprost trudna do zniesienia. Chciała go błagać, by wziął ją w ramiona, by razem upadli na łóżko i kochali się jak tyle razy przedtem. Cała drżała z pożądania, które usuwało w cień resztki zdrowego rozsądku i czyniło myślenie prawie niemożliwym.

- Jamie... - znów zdawał się wyczuwać jej emocje. Objął ją i przytulił do piersi, pozwalając, by zatonąła w ciepłym uścisku jego ramion, tak jak tego pragnęła, odkąd wrócił do domu. Jego oddech stał się szybszy i tym razem on również dał się unieść namiętności. Zbliżył usta do jej szyi i powoli całował każdy kawałeczek ciała od obojczyka aż do płatka ucha...

- Jamie... jesteś taka piękna. Leżę tutaj codziennie, myśląc o tobie... i zastanawiam się, kiedy wreszcie...

Jego pocałunki doprowadzały ją do szaleństwa. Przechyliła twarz w kierunku jego ust i przysunęła się bliżej, żeby mogli się całować tak, jak tego pragnęła. Ale najpierw musiała go o coś zapytać. Musiała się dowiedzieć, co on naprawdę czuje. Nie chodziło jej wyłącznie o odczucia fizyczne, ale o prawdziwe uczucia.

- Czy... czy ty to pamiętasz? - dyszała niemal rozpaczliwie, wyginając ciało i namiętnie się do niego tuląc. - Pamiętasz, Jake? Czy pamiętasz, jak było?

- Och, Jamie... - z głębi jego piersi wyrwał się jęk. Jake powoli odsunął się od niej. Jego oczy zamglone były pożądaniem, tak dobrze znanym Jamie. Jake ujął jej twarz w swoje dłonie i zajrzał głęboko w oczy, jak gdyby szukając tego, co przed nim chowała, odkąd powrócił do domu.

- Jamie, bardzo cię pragnę. Tu i teraz... - jego pożądanie nieco przygasło, ale mówił dalej z widocznym trudem - ale nie umiem cię okłamywać. Nadal nic z tego nie pamiętam, a przynajmniej nie tak, jak powinienem.

Słowa te zraniły ją. Odsunęła się. Miała ochotę płakać lub krzyczeć, że to nie w porządku, że nie wytrzyma ani jednego dnia dłużej bez jego miłości - takiej, jaką знаła przed 11 września, ale nie mogła. Nie była to przecież wina Jake'a, a gdyby go teraz wzburzyła, nic dobrego by z tego nie wynikło. Miłość fizyczna zawsze była dla nich obojga swego rodzaju subtelnym tańcem, ale Jake nie pamiętał w tej chwili ani kroków, ani muzyki.

Głęboko odetchnęła, starając się uspokoić i wziąć się w garść.

- Dobrze... w takim razie poczekajmy...

Jake zacisnął usta, opuścił ręce, a w jego oczach pojawił się ból.

- Przepraszam...

- Nie przepraszaj - Jamie szybko potrząsnęła głową i wstała, odwracając się do niego twarzą. Pragnienie, które czuła jeszcze przed chwilą, wypaliło się zupełnie. Na jego miejscu pojawiło się inne: by zobaczyć, jak Jake na powrót staje się osobą, którą niegdyś był. Z całej siły postarała się uśmiechnąć. - Pewnego dnia przypomnisz sobie.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i spojrzał na nią. W jego spojrzeniu było coś, co przypominało Jamie Sierrę. Nie miała wątpliwości, że to on jest jej ojcem. Jake przeciągnął się.

- Moje ciało pamięta dobrze... możesz mi wierzyć. Przypomniała sobie, jak pospiesznie oddychał, całując jej szyję.

- Wiem... - smutny śmiech cisnął jej się na usta. - No więc kiedy chcesz zacząć?

- Co zacząć? - zamrugał zdezorientowany. Tym razem roześmiała się głośno i lekko trąciła jego stopę swoją tenisówką.

- Zająć życie! Jeździć na skuterze, urządzać pikniki, gadać z chłopakami z pracy - to wszystko, o czym przed chwilą mówiłeś.

Uśmiechnął się.

- A... to! No tak...

Napięcie minęło. Patrzyła, jak zмага się ze sobą, jak trudno mu się przestawić. Jeśli jej bliskość wywierała na nim aż takie wrażenie, to dzień, kiedy przypomni sobie wszystko, nie może być daleki.

Uniósł brwi i odetchnął.

- Może jutro?

- OK - Jamie oparła się o ścianę i opuściła głowę. - Co będziemy robić?

- Hmm... - Jake przyglądał się jej uważnie w zamyśleniu. - Coś, co możemy zrobić we trójkę.

- Świetnie - pomysł zaczynał się jej podobać. Wydawało się, że całe lata upłynęły, odkąd ostatnio byli gdzieś całą rodziną.

- I niech to będzie coś, przy czym się nie przeforsuję. Nie za pierwszym razem.

- Słusznie.

- Mam pomysł! - spojrzał na nią filuternie i niewinnie zarazem.

Wtedy domyśliła się, że to właśnie od początku chciał jej zaproponować.

- Chodźmy razem do kościoła. Potem możemy pojechać na plażę i pospacerować nad zatoką...

W ostatniej chwili powstrzymała się, żeby nie powiedzieć „nie”. Popatrzyła mu głęboko w oczy, próbując wyczytać w nich jakiś ślad przebiegłości, jakiś podstępny plan lub ukryty motyw. Niczego takiego jednak nie dostrzegła. W swoich zapiskach na pewno wspominał, jak martwi go jej brak wiary i fakt, że nie chodzi do kościoła. Ale prośba, by jutro towarzyszyła mu podczas niedzielnej mszy, była wyłącznie próbą powrotu do życia przy udziale jej i Sierry.

Zagryzła wargi i po chwili skinęła głową.

- Dobrze, możemy tak zrobić.

Natychmiast po wypowiedzeniu tych słów ogarnęła ją panika. Jeśli jutro pójdzie z nim do kościoła, Jake będzie oczekiwał, że tak już będzie co

tydzień. A chodzenie do kościoła nie leżało w zamiarach Jamie. Przecież dla niej sama koncepcja Boga była pozbawiona sensu i niewiarygodna.

Jake wyciągnął rękę i ujął dłoń żony.

- Dzięki, Jamie - rzucił okiem na pamiętnik, a potem znowu na nią. - Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe. Właściwie trochę się obawiałem, że odmówisz. Ale myślę, że dobrze mi to zrobi. Być tam z tobą i Sierrą naprawdę dużo dla mnie znaczy.

Przez cały wieczór Jamie miała wątpliwości, ale w końcu, zasypiając samotnie, z ogromnym pragnieniem, by czuć przy sobie obecność Jake'a, rozpamiętując bliskość, jaką przeżyli tego dnia, wiedziała, że nie ma wyboru. Chętnie oddałaby część siebie, wszystkie swoje przekonania i postanowienia; własną prawą rękę by oddała, jeśli tylko miałyby to pomóc Jake'owi w odzyskaniu pamięci. Pójście do kościoła nie sprawi jej przykrości. Ale życie bez Jake'a, dalsza tęsknota za jego dotykiem i pocałunkami może przynieść znacznie gorsze skutki: może ją zabić.

RS

RS

## Rozdział 26

14 października 2001

Gdy tylko wysiedli z samochodu i szli przez kościelny parking. Jamie zaczęła się zastanawiać, czy aby nie popełniła błędu. Obecność Jake'a w kościele na pewno wywoła spore poruszenie w zgromadzeniu. Nikt nie wiedział o amnezji, jednak Jamie nie wzięła pod uwagę ich zainteresowania jego osobą.

Już po kilku sekundach jakaś rodzina zaparkowała o dwa miejsca dalej. Ludzie wysiedli z auta i natychmiast zaczęli wpatrywać się w Jake'a. Mężczyzna oderwał się od reszty rodziny i trzema wielkimi krokami znalazł się przy Jake'u i Jamie.

- Jake... tęskniliśmy za tobą - spojrzał na Jamie. - Jestem Tom, a pani to pewnie pani Bryan.

- Tak - uśmiechnęła się uprzejmie, ale chłodno.

- Jake... - Tom wyciągnął rękę i przywitał się. Oczy obcego mężczyzny zasły łzami. - Przykro mi z powodu twoich kolegów... i w ogóle tego wszystkiego. Modliliśmy się za was, wszyscy, cały kraj się modlił.

Jamie wyczuwała zakłopotanie męża. Przystąpił z nogi na nogę i skinął głową.

- Dzięki.

Nastąpiła chwila smutnej ciszy, po czym mężczyzna uśmiechnął się lekko do Jake'a.

- Świetnie wyglądasz.

Sierra podeszła do taty z drugiej strony i wzięła go za rękę. Uśmiech rozjaśnił jej twarz i widać było, że zgadza się z obcym mężczyzną w zupełności.

- Tatusiowi już się polepsza!

- Na pewno przyjemnie ci było wyjść z domu, Jake.

Słońce świeciło jasno tego ranka, a wierzchołkami drzew otaczających parking poruszał delikatny wietrzyk.

- Mhm... - Jake zmrużył oczy i rzucił spojrzenie w kierunku wejścia do kościoła.

Tematy do rozmowy wyczerpały się i Jamie poczuła, że sytuacja robi się niezręczna.

- Przepraszamy... - wzięła męża pod rękę i zrobiła dwa małe kroki w kierunku kościoła - ale nie chcemy się spóźnić.

- Słusznie - mężczyzna puścił wreszcie dłoń Jake'a i jeszcze raz się do niego uśmiechnął. - Jesteśmy z wami... - spojrzał na Jamie - z wami wszystkimi. Gdybyście czegokolwiek potrzebowali...

- Dzięki! - odpowiedź Jamie padła szybko i zdecydowanie. Mężczyzna zrozumiał aluzję. Skinął im głową i wrócił do swojej rodziny. Gdy oddalił się na tyle, że nie mógł jej usłyszeć, Jamie przysunęła się bliżej do Jake'a i wyszeptała:

- Nic nie wiedzą o twojej amnezji, prawda?

- Nie, chyba że ty im powiedziałaś.

- Nie - szła o krok za nim. - Powiedziałam tylko chłopakom z remizy. Nikomu innemu nie mówiłam ani słowa.

Jamie zastanawiała się nad tym, idąc w kierunku drzwi kościelnych. Oczywiście, że nic nie mówiła. W końcu w ogóle nie знаła nikogo z tych ludzi, gdyż ta część życia Jake'a pozostawała dla niej zamknięta. Jake nie chciał wywierać na nią presji ani w żaden sposób zmuszać jej, by wierzyła w to, co on. Nie chciał obarczać jej rozmowami o wierze i religii czy też o Bogu. Chyba, że sama by chciała. Pomimo, że wszyscy byli dla nich bardzo mili, przynosili gotowe posiłki dla Jake'a i obiecywali modlić się za nich, Jamie nie miała zamiaru dzielić się szczegółami ich prywatnego życia.

Od kościoła dzieliło ich tylko jakieś piętnaście metrów, ale i tak po drodze różni znajomi pozdrawiali Jake'a lub do niego podchodzili, żeby go uściskać i zapewnić o swojej modlitwie. Jamie rzucała mu od czasu do czasu krzepiące spojrzenie i czuła, jak mąż coraz mocniej przytula się do niej. Wydawał się dobrze wyczuwać jej dyskomfort spowodowany wszystkimi tymi rozmowami z obcymi ludźmi. Mógł nie pamiętać przeszłości, ale wiele dowiedział się o swojej żonie z zapisków w dzienniku. Musiał wiedzieć, że pójście z nim do kościoła nie było dla niej łatwe.

Nachylił się ku niej i zapytał tak cicho, by tylko ona usłyszała:

- W porządku?

Oblizwała wargi i wzruszyła ramionami.

- Trochę się denerwuję.

U jego drugiego boku podskakiwała Sierra, ściskając mocno rękę ojca. Po raz pierwszy od czasu zamachu na World Trade Center Jamie poczuła, jak Jake ujmuje jej dłoń i splata swoje palce z jej palcami.

Z wrażenia ugięły się pod nią kolana. Swojskość tego gestu sprawiła, że od razu poczuła się lepiej. Jest przecież z Jakiem i Sierrą. Są razem - jak

rodzina - pierwszy raz od ponad miesiąca. Nawet kazanie w kościele nie zepsuje jej tej przyjemności.

Weszli do środka, Jake przodem, wciąż utykając. Udawał, że poznaje każdego, kto do nich podchodził.

- Bóg zawsze nas wysłuchuje - odpowiadał. - Cały czas czułem, że towarzyszą mi wasze modlitwy.

Były to słowa, które Jake z pewnością często wypowiadał; słowa, w które głęboko wierzył. Ale Jamie wiedziała, że nie pamięta, iż je kiedykolwiek mówił. Tak naprawdę to w ciągu dziesięciu minut Jake odstawił przedstawienie godne Oscara. Nie mógłby tego jednak dokonać, nie poświęciwszy wiele czasu na czytanie Biblii i dziennika.

Ludzie wciąż do nich podchodzili i Jamie, skorzystawszy z okazji, że cała uwaga skupiała się na Jake'u, rozejrzała się po kościele.

Ciągle ktoś nowy zbliżał się do Jake'a, przejęty faktem, że może się z nim przywitać i wyrazić swą wdzięczność. Był wszak teraz jednym z najślynniejszych bohaterów w mieście. Po 11 września strażaków postrzegano już nie tylko jako bohaterów, ale wręcz jako słynne osobistości. W innych okolicznościach tak wielka sensacja, jaką wzbudzał Jake, zdenerwowałaby Jamie, ale teraz - o ile tylko trzymał mocno jej dłoń i stał przy niej, silny i wysoki - była zadowolona.

Odprowadzili Sierrę do szkoły niedzielnej, a potem skierowali się w stronę ławki z tyłu. Gdy tylko usiedli, mnóstwo ludzi zaczęło do nich podchodzić i w miłych słowach zapewniać o swojej pamięci i modlitwie. Jamie obserwowała ich zdumiona blaskiem w ich oczach. Wtedy właśnie zauważyła coś szczególnego: oni kochali nie tylko Jake'a, ale ją także! Pomimo, że nigdy z nim tu nie przychodziła i ci ludzie nigdy nie widzieli jej w kościele, ściskali ją i proponowali wszelką potrzebną pomoc. Niektórzy mieli łzy w oczach. Uświadomienie sobie tego wszystkiego przywołało odczucia sprzed 11 września: Sierra nieraz prosiła ją, żeby poszła z nimi do kościoła, i powoli zaczynało w niej kiełkować zainteresowanie. Teraz, będąc tu, poczuła tę samą ciekawość. Mogła być niewierząca, ale przecież nie miała nic przeciwko tym ludziom. Było widać, że kochają oni jej rodzinę, a nawet ją samą. Mogła więc przynajmniej dać im szansę.

Jakaś starsza kobieta poklepała ją po ręce.

- Dzień dobry, kochana. Miło cię wreszcie poznać.

Stojący za nią mężczyzna uśmiechał się szeroko do Jamie.



- Pamiętaj, jesteśmy jedną rodziną. Jeśli możemy wam jakoś pomóc, tylko powiedz.

Jeszcze przed rozpoczęciem nabożeństwa Jamie kręciło się w głowie. Czuła się teraz kompletnie zbита z tropu. Czy tego się bała - jasno oświetlonego pomieszczenia wypełnionego miłymi ludźmi? Miejsca, w którym czuła się otoczona przyjaźnią? Opuściła na moment wzrok i spróbowała zebrać myśli. Nie o to przecież chodzi, czy tu jest miło. Rzecz w tym, że siedząc tutaj, urządza kpiny z samej siebie, bo przecież nie wierzy w Boga. Zwłaszcza po 11 września. Źle zrobiła, przychodząc tu. Gdy tylko Jake'owi wróci pamięć, nie zrobi już tego więcej. Nie będzie hipokrytką.

Pastor zajął miejsce na podwyższeniu i Jamie przygotowała się na najgorsze. Możliwości były dwie: albo zacnie krzyczeć o piekle, wzbudzając w nich poczucie winy za każdą beztroską myśl i zmuszając do wiary, albo przedstawi im cukierkową opowieść, jak to wszystko zawsze się udaje tym, którzy wierzą.

Westchnęła cicho. „Powiedz to ludziom pogrzebanym w ruinach World Trade Center”. Odsunęła jednak tę myśl od siebie i mocniej splotła swoje palce z palcami Jake'a. Kaznodzieja może sobie gadać nawet cały dzień, jeśli tylko ona może trzymać dłoń Jake'a w swojej i czuć ciepło jego ciała.

W drzwiach kościoła ktoś wręczył jej ulotkę. Otworzyła ją teraz i powiodła wzrokiem po spisie pastorów, aż znalazła nazwisko tego, który miał zaraz przemówić: wielebny Jason Ritchie. Zamknęła pisemko i położyła obok siebie.

- Dzień dobry! Witam w naszym kościele - pastor uśmiechnął się. Było w nim coś, co przypominało Jamie ojca Jake'a. - Cieszę się, że nas dziś odwiedziliście - rozejrzał się po zgromadzeniu, jego wzrok spoczął na Jake'u i Jamie.

- Jest tu dziś z nami ktoś szczególny. Wielu z was wie, że Jake Bryan należy do naszej kościelnej wspólnoty. Jake jest strażakiem, pracuje w nowojorskiej straży pożarnej. 11 września omal nie stracił życia w World Trade Center - zamilkł na chwilę. - Jest tu dziś z nami. Czuł się na tyle dobrze, że mógł do nas przyjść - głos pastora był pełen napięcia, przez chwilę wydawało się, że walczy z napływającymi do oczu łzami. - Przywitajmy go.

Wszyscy dookoła zaczęli klaskać, po chwili ludzie z jednego rzędu wstali, a po nich następni, aż całe zgromadzenie stało, klaszcząc w dłonie i patrząc na Jake'a. Na wielu twarzach pojawiły się łzy. Jamie przysunęła się

do męża, poruszona taką wylewnością. Czyżby właśnie to wcześniej przegapiła? To, że ci ludzie, starzy i młodzi, widzieli w Jake'u członka rodziny.

Trochę jej to przypominało relacje panujące w remizie. Ale tutaj było nieco inaczej. Ci ludzie kochali go, gdyż łączyła ich ta sama wiara, jeden Bóg. Zdrowych i chorych, bogatych i biednych - wszystkich łączyła więź, którą Jamie dopiero teraz zaczynała dostrzegać.

Gdy już wszyscy na powrót usiedli, pastor Ritchie zaczął opowiadać im o Jezusie i kilku Jego przyjaciółach: Marii, Marcie i Łazarzu, rodzeństwie mieszkającym razem. Jezus troszczył się o tę trójkę w szczególny sposób, więc gdy Łazarz zachorował i umarł, był głęboko poruszony.

- Widzicie... - w czystym głosie kaznodziei rozbrzmiewała prawda. Jamie złapała się na tym, że słucha z zainteresowaniem. Historia była tak wciągająca, że zupełnie zapomniała o całym swoim krytycznym nastawieniu.

- ... śmierć nie była częścią planu Chrystusa. Nigdy! - pastor umilkł na chwilę. - Z pewnością, gdy słuchał Marii i Marty opłakujących zmarłego brata, przypomniano Mu, że w życiu nie powinno być bólu i poczucia straty. Co takiego Maria i Marta powiedziały Jezusowi? - zawiesił głos. - Powiedziały: „Panie, gdybyś tu był, nasz brat by nie umarł”.

Jason Ritchie przeszedł na drugą stronę podwyższenia i spojrzał w oczy ludzi siedzących w dalszej części kościoła.

- Od czasu zamachu terrorystycznego na World Trade Center często mamy ochotę powiedzieć to samo, prawda? - uśmiechnął się do nich smutno, po czym odwrócił się i ruszył w przeciwną stronę. - Burzymy się i wygrażamy Panu Bogu pięściami, krzycząc do Niego przez łyżki: „Gdybyś tam był, Boże... w tych budynkach, gdzie przecież powinieneś być... nie stałoby się to” - pastor umilkł i skierował się ku środkowi sali. - Ale czy tak ma być?

Powrócił do opowieści o Marii, Marcie i Łazarzu. Jamie czekała niecierpliwie na każde słowo. Jak to się stało, że wcześniej nie słyszała tej historii? I kiedy wreszcie pastor zacznie ich gromić? Rzuciła okiem na Jake'a, ale on był całkowicie zasłuchany w słowa pastora - prawie tak, jakby tę część swego życia pamiętał doskonale. Jamie zastanawiała się, czy rzeczywiście tak jest, czy też wszystkie godziny spędzone na studiowaniu Biblii wzbudziły w nim nową wiarę, równie silną, jak ta, o której zapomniał.

Wreszcie pastor przeszedł do tej części opowieści, w której Jezus udaje się do grobu Łazarza. Wierni siedzieli w milczeniu, a wielebny Ritchie wpatrywał się w ich twarze.

- Otaczał Jezusa tłum zapłakanych ludzi, których znał i kochał. Jezus patrzył na grób człowieka, który był Mu bliski jak brat - pastor zmrużył oczy.

- I cóż Jezus uczynił? Czy popatrzył na nich i powiedział, że wszystko będzie dobrze?

Jamie tak bardzo pragnęła usłyszeć koniec opowiadania, że ledwo mogła usiedzieć. Poprawiła się na krześle i pochyliła do przodu.

- O, nie - pastor uśmiechnął się nieznacznie.

- Czy krzyczał na nich, wrzeszczał, pytał, gdzie ich wiara? Czy zgromił ich za to, że rozpaczają, gdy On przecież obiecał im, że na koniec wszystko będzie dobrze? - kaznodzieja potrząsnął głową. - Nie, Jezus nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Wiecie, co zrobił? Jamie nie miała pojęcia.

- Zapłakał - głos pastora załamał się. - Jezus płakał wraz z nimi.

Wielebny Ritchie uniósł Biblię, a w jego oczach pojawiły się łzy.

- Ten fragment z Ewangelii według świętego Jana, rozdział jedenasty, wers trzydziesty piąty, to moje ulubione miejsce w całej Biblii, ponieważ pokazuje, jak bardzo Jezusowi na nas zależy. Jeśli my płacemy, i On płacze. Nie ma co do tego wątpliwości.

Pastor na nowo podjął spacer po podwyższeniu. Powoli zmierzał do konkluzji.

- To prawda, że Jezus już wcześniej wiedział, co dalej się stanie. Oto stanął nad grobem Łazarza, zawołał go po imieniu, nakazując mu wyjść, a Łazarz to właśnie zrobił - pastor uśmiechnął się szerzej.

- I wszystko ułożyło się tak, jak trzeba - zerknął w stronę Jake'a. - Ale to nie oznacza, że śmierć nie będzie miała do nas przystępu tutaj, na ziemi. Od kąd wąż wdarł się do rajskiego ogrodu, zawsze tak było i zawsze tak będzie - potrząsnął głową. - Opowieść o Łazarzu pokazuje, że przy Jezusie Chrystusie śmierć nie ma ostatniego słowa. Nigdy!

Przeszedł jeszcze kilka kroków, zatrzymał się i znów spojrzał na rodzinę Bryanów.

- Ci z nas, którzy mieszkają na Staten Island, stracili 11 września siedemdziesięciu ośmiu strażaków. Niektórzy z was pewnie pracowali lub mieszkali obok tych poległych bohaterów. Inni stracili w World Trade Center rodzinę lub przyjaciół - umilkł.

Jamie słyszała, jak przez kościół przebiega fala stłumionych łkań i szelest chusteczek do nosa. Jej też napłynęły łzy do oczu.

- Bóg nie chce wam dziś powiedzieć, że wszystko będzie dobrze tutaj, na ziemi, bo tak się nie stanie! Wciąż zbyt mocno unosi się wśród nas cuchnący, przykry odór śmierci, żebym mógł wam powiedzieć cokolwiek innego niż samą prawdę - uniósł w górę palec. - Ale nie do śmierci należy ostatnie słowo. Dla tych, którzy wierzą w Chrystusa, Boga, który płacze wraz z nami, śmierć nigdy nie będzie oznaczała końca. I to właśnie, drodzy przyjaciele, daje nam nadzieję którą możemy zabrać ze sobą do domu. Nadzieję, która płynie z opowieści o Marii, Marcie i Łazarzu.

Skończył mówić, poprosił, by zamknęli oczy, pochylili głowy i modlili się.

- W każdą niedzielę staram się najlepiej, jak potrafię, ukazać wam Jezusa, pokazać wam Jego jako człowieka i Boga. I co tydzień daję wam tę samą szansę. Najważniejsza decyzja, jaką w życiu podejmiecie, dotyczy Jezusa Chrystusa. Dziś możecie zdecydować się na zaprzyjaźnienie się z Nim, nawiązanie więzi z Tym, który z wami płacze w waszym bólu i wie, że jeśli tylko uchwycicie Jego dłoń, wszystko naprawdę się w końcu ułoży.

Serce Jamie zabiło szybciej, cały jej opór rozsypał się jak domek z kart. Nigdy nie myślała o Bogu w ten sposób, nigdy nie wyobrażała Go sobie jako przyjaciela, który by z nią płakał i troszczył się o nią. Był to wszak jedyny sposób, by nieustannie samej sobie przypominać, że tego typu gadki są dobre dla Jake'a i jemu podobnych, ale nie dla niej.

Jej przecież Bóg odebrał rodziców - szybko i nieodwracalnie. A teraz pozbawił Jake'a jego najlepszego przyjaciela i pozwolił na śmierć tylu niewinnych ludzi... Zamrugła szybko powiekami i spróbowała się skoncentrować.

- Niektórzy spośród was są ludźmi wierzącymi od dawna, ale i oni potrzebują okazji, by odnowić swoją więź z Bogiem, by po raz kolejny powiedzieć Mu „tak”. Tak, wierzę. Tak, chcę, żeby odtąd prowadził mnie przez życie. Tak, chcę być pewnym, że z Nim na pewno czeka mnie życie wieczne - pastor Ritchie przemawiał teraz z przejęciem. - Jeśli tak właśnie czujecie, to proszę, abyście, mając zamknięte oczy, unieśli rękę!

Odczekał chwilę.

- Świetnie, widzę cię... i ciebie, i ciebie, tam z boku. Jamie poczuła obok siebie delikatne poruszenie, uchyliła powieki. Jake wznosił rękę wysoko, po policzkach płynęły mu strużki łez. Widok męża płaczącego, z uniesioną do

góry ręką ścisnął jej serce, a na gardle poczuła żelazne kleszcze. Zapalała nagłą chęcią przyłączenia się do niego, zapragnęła podnieść rękę i powiedzieć „tak” Bogu, który by przy niej stał i wraz z nią płakał. Gdyby tylko mogła uwierzyć...

Wsunęła wolną rękę pod udo i zagryzła wargi. Zresztą taki Bóg nie chciałby jej przecież... nie po tylu latach odrzucania Go, odsunięcia się od Niego i odmawiania przyznania, że w ogóle istnieje.

Rozmyślania przerwał głos pastora.

- Może ci z was, którzy podnieśli rękę, podejść tu bliżej. Chcemy się z wami modlić i pomóc wam ostatecznie ustalić, jak naprawdę wygląda wasza relacja z Bogiem.

Jake wstał. Jamie czuła, że jego zdrowa noga drży odrobinę. Poglaskała żonę po ramieniu i skinął na nią, by poszła z nim, ale ona potrząsnęła tylko głową. Nie mogła iść, nie mogła odważyć się stanąć w miejscu, gdzie ludzie robili coś, co przerażało ją przez całe życie: oddawali wszystko Bogu, który pozwalał, by na świecie działo się zło.

Starszy mężczyzna z przypiętą do koszuli plaketką z imieniem pojawił się przy ich ławce. Wyciągnął rękę i Jake podszedł do niego. Odwrócił się tylko raz i smutno spojrzął na nią. Następnie razem z mężczyzną ruszył powoli wzdłuż nawy, by po chwili zniknąć w drzwiach po prawej stronie.

Po nabożeństwie Jake odnalazł Jamie w ławce. Zadrżała, spojrzawszy mu w oczy. Nie było w nich tego nieobecnego, niepewnego spojrzenia, do którego już zdążyła się przyzwyczaić. Przeciwnie, oczy jej męża błyszczały miłością i głębią i Jamie dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jej tego brakowało. Było to spojrzenie pozwalające innym zajrzeć w głąb jego duszy, które zawsze wyróżniało Jake'a spośród innych ludzi. Pokój i radość, które Jamie tam ujrzała, sprawiły, że zaczęła się zastanawiać, czy nie zdarzył się cud. Może wraz z odzyskaniem wiary Jake przypomniał sobie także wszystko inne?

Dopiero gdy przyjechali na plażę, Jake podzielił się z nią wrażeniami dotyczącymi wszystkiego, co zaszło w kościele. Rozłożyli przywiezione z domu leżaki, a Sierra wzięła wiaderko i łopatkę i zaczęła budować zamek z piasku tuż przy brzegu.

- Dlaczego nie poszłaś ze mną? - wpatrywał się w zatokę, a w jego głosie brzmiała raczej ciekawość niż uraza. Wiał lekki wiatr, ale popołudnie było cieplejsze niż zazwyczaj w październiku.

- Nie mogłam - westchnęła ciężko i zapatrzyła się na Sierrę, która bawiła się bez troski. - To by było nie w porządku, przecież w to nie wierzę - rzuciła mu szybkie spojrzenie. - Chyba to przynajmniej dobrze pamiętasz, Jake. Czy w twoim dzienniku nie jest zapisane, co myślę o Bogu i chodzeniu do kościoła?

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Jamie w ciszy cieszyła się tą chwilą. Dobrze znany gest na powrót stawał się dla nich czymś naturalnym. Przez dłuższą chwilę milczał, pocierając wierzch jej dłoni swoim kciukiem.

- Ty wierzysz, Jamie. Czułem to, gdy tam siedziałaś obok mnie i chłonełaś każde słowo pastora.

Myśli Jamie pędziły szybko. Nie, nie może tak mówić, nie może zmuszać jej, by powiedziała coś, na co jeszcze nie jest gotowa.

- Ja... nigdy nie wierzyłam. Spojrzał na nią.

- Ależ tak. Wtedy na obozie ewangelizacyjnym, gdy powierzyłaś swoje życie Jezusowi i powiedziałaś mi, że nigdy wcześniej nie czułaś się lepiej.

- Jake... - wydawało się, że czas się zatrzymał. Jamie poczuła, jak cała krew odpływa z jej twarzy.

- Pamiętasz to?

Spojrzał jej w oczy.

- Tak - w jego wzroku malowała się niepewność, którą zapewne widział też w jej spojrzeniu.

- To znaczy... przeczytałem o tym pięć razy w swoim dzienniku. Ale... tak, pamiętam - odwrócił spojrzenie. - Przynajmniej tak mi się wydaje...

Przez kilka minut oboje przyglądali się Sierrze. Jake zsunął but ze zdrowej nogi i palcami stopy bawił się piaskiem.

- Jak dobrze być tutaj z tobą i Sierrą... po tym, jak razem byliśmy w kościele. To najlepszy sposób na spędzenie niedzieli.

Jamie założyła ręce. Serce biło jej szybko, była roztrzęsiona. Wciąż nie mogła dojść do siebie po tym, jak wydało jej się, że Jake być może pamięta ich obóz ewangelizacyjny sprzed lat.

- Mogę ci coś powiedzieć?

- Jasne - twarz Jake'a wyrażała absolutny spokój.

- Ja boję się Boga... - powiedziała to! Wypowiedziała myśl, której sama nie była całkiem pewna aż do tej właśnie chwili.

- Dlaczego? - Jake uniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Co takiego cię w Bogu przeraża?

- On sam... - oparła się wygodnie i zacisnęła szczęki. Łzy złości spływały jej po policzkach, wyciekając z owego miejsca w jej duszy, które przez tak wiele lat pozostawało zamknięte na głucho. - Zabrał moich rodziców - wolną rękę zwinęła w pięść i położyła na sercu. - To stało się dawno temu. Zginęli oboje... a żadne z nich nie wierzyło w Boga.

Jake słuchał, nie ponaglaając jej. Pociągnęła mocno nosem i wycierała łzy, które płynęły coraz obficie.

- Co mam o tym myśleć? Że kochający Bóg pozwolił moim rodzicom umrzeć i pójść do piekła? A wszystko tylko dlatego, że popełnili straszną pomyłkę, nie wierząc?

Jake odczekał chwilę, a gdy wreszcie się odezwał, jego chropawy głos przepełniała czułość aż do bólu znajoma.

- Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że gdy tamtej nocy leżeli w rozbitym samochodzie, być może zmienili zdanie? Biblia mówi, że dla Boga nie ma znaczenia, kiedy ludzie do Niego przychodzą, zależy Mu tylko na tym, by w ogóle przyszli. Czytałem o tym kiedyś. Może twoi rodzice wołali do Boga w swoich ostatnich chwilach, może są teraz w niebie, Jamie. Pomyślałaś o tym kiedyś?

„Może są w niebie?”. Jamie aż zakręciło się w głowie od tej myśli, ale poruszyła ona w jej sercu milczącą dotąd strunę. A jeśli Jake ma rację? Przypuśćmy, że rodzice rzeczywiście powierzyli swoje życie Bogu w chwili śmierci tam, przy autostradzie? A nawet jeśli tak nie zrobili, to czyż Bóg, który wspiera swoich przyjaciół i płacze wraz z nimi, jej rodziców potraktowałby inaczej?

- No dobrze, ale dlaczego musieli umrzeć? Możesz mi to powiedzieć?

Jake spojrział na nią czule.

- Jamie, ludzie umierają. Nie dano nam żadnych obietnic dotyczących tego życia. To nie Bóg sprawił, że twoi rodzice umarli tamtej nocy, nie On też zburzył World Trade Center. To szatan... - Jake zawiesił głos.

- Jeden z moich ulubionych fragmentów Biblii, przynajmniej ostatnio, przypomina, że złodziej przychodzi tylko po to, aby kraść, zabijać i niszczyć. Ale Bóg... Bóg przychodzi, żeby dać nam życie i to w obfitości.

Szloch wyrwał się wprost z jej zranionego serca. Zakryła twarz wolną ręką.

- Bóg i tak by mnie nie chciał, Jake. Ja... ja nie jestem taka dobra jak ty.

- Dobra? - przysunął bliżej swój leżak. - Jamie, kochanie. Bóg nie patrzy, czy jesteśmy dobrzy, czy może wręcz doskonali. On chce, żebyśmy byli Jego. Tyle jeszcze pamiętam...

Przerwał i puścił jej rękę. Pogłaskał ją po plecach, nawet nie wiedząc, jakie to dla niej pocieszenie.

- Dlatego właśnie podniosłem rękę dziś w kościele. Nie mogłem żyć ani minuty dłużej, nie mówiąc Mu, że chociaż nie pamiętam swojej przeszłości, to chcę, żeby On był ze mną: dziś, jutro, zawsze...

Westchnął, a ją ten dźwięk napełnił spokojem.

- Muszę ci powiedzieć, Jamie, że poczucie, iż z Bogiem jestem bezpieczny, jest lepsze niż wszystko, co można sobie wyobrazić.

Jamie pociągnęła nosem i spojrzała na niego przez zakrywające twarz palce.

- Czy mogę pójść z tobą do kościoła w przyszłym tygodniu?

- No pewnie - uśmiechnął się do niej i pomógł jej się podnieść. - Ale teraz musimy się pobawić z pewną małą dziewczynką.

Podeszli do miejsca, gdzie Sierra usiłowała zbudować zamek. Jake klapnął na piasek obok córki, ostrożnie odsuwając zagipsowaną nogę tak, by się za bardzo nie zapiaszczyła. Potem oplótł sobie na palcu jeden z loków dziewczynki i ucałował ją w głowę.

- W przyszłym tygodniu zrobię ci loki, OK? Oczy Sierry zabłyśły.

- Naprawdę, tatusiu?

Jamie słuchała tej wymiany zdań nieco ogłupiała. Jake chce zakręcić włosy Sierry? Czy przeoczył choćby najdrobniejszy szczegół ze swoich zapisków? Jak ona ma poznać, czy to, co jej mąż mówi, pochodzi już z jego pamięci, a nie z kart pamiętnika?

Zbudowali zamek, a potem całą trójką przeszli się wzdłuż brzegu, trzymając się za ręce. W połowie drogi powrotnej do leżaków Jake przykucnął i poklepał się po plecach.

- Czy królewna jest gotowa do jazdy na koniku? Sierra klasnęła w ręce i zapiszczała z radości.

Potem podbiegła do Jake'a i z łatwością wdrapała mu się na plecy.

- Jake... - Jamie poczuła nagły przyływ troski: był jeszcze zbyt słaby, żeby nosić Sierrę. - Ostrożnie!

Zanim jednak zdążyła dokończyć, Jake był już daleko, kuśtykając po plaży z Sierrą podskakującą mu na plecach. Od czasu do czasu mała szturchała go piętami w boki, a jej radosny śmiech mieszał się z szumem fal.



- Szybciej, koniku! Szybciej!

\* \* \*

Zasypiając tego wieczoru, Jamie uświadomiła sobie, że dzień ów był pod wieloma względami przełomowy. Jake powrócił do życia, a ją czas spędzony w kościele i ich późniejsza dyskusja uwrażliwiły na Boga w sposób, jakiego nigdy by się nie spodziewała.

Kolejne zmiany następowały przez kolejne dwa tygodnie, kiedy Jake chciał robić wszystko, co niegdyś robili razem; wszystko, o czym wspominał owego popołudnia w pokoju gościnnym. Temperatura nieco spadła, ale wciąż było niezwykle ciepło jak na tę porę roku, więc urządzali sobie pikniki, grali w gry i chodzili razem do kościoła.

Wkrótce, pewnego chłodnego, lecz słonecznego popołudnia zostawili Sierę u sąsiadów i zabrali skuter wodny na plażę w ich ulubione miejsce. Jake nałożył worek foliowy na gips i Jamie zabrała go na małą przejażdżkę po zatoce, cały czas przypominając mu, jak działa skuter i jak niegdyś na nim jeździli. W drodze powrotnej do brzegu delikatnie ścisnął ją w pasie.

- Szybciej, Jamie. Tak, jak kiedyś...

- Na pewno?

- Jasne!

Dodała gazu i po chwili niemal unosili się nad wodą, przeskakując kilwatery innych motorówek.

- Nic dziwnego, że to uwielbiałem...

Omiatała ich chłodna mgiełka niesiona wiatrem. Jake przytulił twarz do jej karku, w jego głosie pobrzmiwało radosne podniecenie.

- Jak tylko zdejmą mi gips, muszę się przejechać, dobrze?

Jamie roześmiała się.

- Masz to jak w banku!

Jeszcze dwukrotnie w tym samym tygodniu urządzili sobie przejażdżkę na skuterze, raz nawet, gdy temperatura spadła do piętnastu stopni i siąpił drobny deszczyk. Ale ani jej, ani jemu wcale to nie przeszkadzało. Wystarczało im ciepło związku, który właśnie odbudowywali. Pamięć Jake'a nie wracała, ale w rodzinie odnalazł miejsce, które niegdyś zajmował. Przynajmniej poza sypialnią...

Jamie ufała Biblii i dziennikowi Jake'a. Ale każdej niedzieli kazania pastora Ritchiego upewniały ją, iż całkowity powrót jej męża do zdrowia musi dokonać się dzięki czemuś znacznie większemu - dzięki interwencji samego Boga. I wreszcie, gdy po raz trzeci była w niedzielę w kościele i gdy

pastor zapytał, czy ktoś z obecnych pragnie Bożej przyjaźni, dłoń Jamie jako jedna z pierwszych wystrzeliła w górę. Po latach uciekania przed Bogiem jej przekonania powróciły do punktu wyjścia. W końcu ucieczka doprowadziła ją wprost w kochające ramiona Jezusa, do miejsca, gdzie ona, Jake i Sierra mogli kochać się i służyć Panu na zawsze; do miejsca, którego nigdy by nie poznała, gdyby Jake nie został ranny.

Dzięki temu Jamie dostrzegła prawdę, o której Jake mówił owego dnia na plaży po pierwszym nabożeństwie, w którym uczestniczyła. Rzeczywiście Bóg przybył, by obdarzyć ich wszystkich życiem i to nie było jakim życiem, ale tak obfitym, że radość wprost ją rozpierała. Miała przecież Jake'a i Sierrę i zaczęła się przyjaźnić z Bogiem. Pewnego dnia Jake odzyska pamięć. Chociaż zakochał się w niej od nowa, nie mogła się doczekać dnia, gdy powróci cała jego przeszłość. A tak się stanie, gdyż Bóg dotrzymuje swoich obietnic i obdarza ich obfitymi łaskami. I chociaż już teraz życie wydawało się Jamie wspaniałe, wiedziała, że cała jego pełnia ma dopiero nastąpić. Tak właśnie się stanie, gdy ona i Jake będą mogli znów dzielić nie tylko dni, ale i noce.

RS

## Rozdział 27

3 listopada 2001

Laura postanowiła zrobić porządek w garderobie męża. Clay poszedł pograć z Joshem w koszykówkę, a ona już dawno postanowiła, że rzeczy Erica trzeba spakować i wynieść. Nie chciała jednak robić tego przy małym.

Przez godzinę sprzątała i pakowała rzeczy. Nie działało się nic szczególnego. Pogodziła się z utratą Erica i najbardziej było jej żal, że nie zdołali odkryć, co sprawiło, iż tak się od siebie oddalili. Głęboki ból towarzyszący tym myślom był czymś, co już na zawsze miało w niej pozostać. Tak czy inaczej jednak trzeba było posprzątać w garderobie.

Przekopywała się przez kosz z ciuchami do prania, przez rzędy spodni od garnituru i krawaty. Zabrała się za pakowanie sterty swetrów z górnej półki. Erie nie pozbywał się niczego pochopnie - Laura zaśmiała się smutno, biorąc z półki zakurzone ubrania i pakując je do pudełka. Ostatni raz nosił te rzeczy jeszcze na długo przed urodzeniem Josha, a i tak ich nie wyrzucił. Teraz zostaną podarowane miejscowemu domowi pomocy społecznej.

Wyciągała właśnie ostatni sweter, gdy coś białego ześliznęło się z półki i spadło na podłogę. Schyliła się, żeby się uważniej temu przyjrzeć. Była to biała, niezaadresowana koperta. Laura wrzuciła sweter do pudła, podniosła kopertę i otworzyła ją.

W środku znajdowała się kartka okolicznościowa, której nigdy wcześniej nie widziała. Wyciągając ją, poczuła przyspieszone bicie serca. Dlaczego Erie trzymał tę kartkę tutaj, pod stertą swetrów? Czy była od jakiejś kochanki, o której Laura nie miała pojęcia? Czyżby jej obawy sprzed 11 września były jednak uzasadnione? Coś jej mówiło, żeby włożyć kartkę z powrotem do koperty i wyrzucić, nigdy nie dowiadując się, co też jej mąż ukrywał w swojej garderobie.

Ale musiała wiedzieć. Powoli odwróciła kartkę i spojrzała na pierwszą stronę: na niebiesko-białym niebie widniały tylko dwa słowa: „Na zawsze...”.

Laura zagryzła wargi i wpatrywała się w obrazek, a potem, nie zwlekając ani chwili dłużej, otworzyła kartkę, na której zobaczyła kolejne słowa kończące zdanie: „... Cię zapamiętam”.

Pod spodem Erie coś napisał: była to data. Laura nagle zamarła! Wpatrywała się w nią, nie mogąc uwierzyć własnym oczom: 15 października 1989 roku. W tym dniu urodziła się ich córka. Urodziła się i zmarła... Wbiła

wzrok w słowa napisane przez Erica i z oczyma pełnymi łez zaczęła czytać: „Witaj, kochana córeczko, pisze do Ciebie twój tata...”.

Laura zaszlochała cicho i osunęła się na podłogę. Erie napisał kartkę do ich martwego dziecka? Jak to możliwe, że tak bardzo je kochał, a ani razu o tym nie wspomniał?! Wolną ręką zakryła oczy i poczekała, aż łzy przestaną płynąć. Następnie przycisnęła dłonie do oczu i mocno nimi zamrugowała. „Boże, jak to możliwe, że nigdy mi tego nie pokazał?”.

Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Przysunęła kartkę bliżej oczu i czytała dalej: „Twoja mama bardzo po Tobie rozpacza i wiem, że tylko bardziej by cierpiała, gdybym z nią o tym rozmawiał. Ale Ty byłaś przecież moją córeczką, Kochanie, i muszę teraz do Ciebie napisać. Chciałbym, żebyś miała imię, Maleńka; imię, o którym oboje z mamą rozmawialiśmy jeszcze zanim się urodziłaś. W ten sposób zawsze będę pamiętał, że naprawdę istniałaś i że byłaś częścią mojego życia”.

Laura zamknęła na chwilę oczy i usiłowała powstrzymać łkanie. Łzy tylko utrudnią dalsze czytanie. Odnalazła miejsce, w którym stanęła.

„Tak więc chciałbym, żebyś miała na imię Sara. Sara Anna. Pewnego dnia spotkamy się w niebie. Zobaczę Cię i poznam od razu... i zawołam Cię po imieniu. Nie mogę się doczekać tej chwili, kiedy będę mógł Cię po raz pierwszy przytulić. Kocham Cię, Saro. Tak jak napisano na tej kartce, na zawsze Cię zapamiętam. Twój tata”.

Laura jeszcze raz przeczytała słowa Erica, po czym powoli zamknęła kartkę i przycisnęła do serca, a w ciszy panującej w garderobie wydawało jej się, że niemal słyszy, jak sam Bóg płacze. Potem rozslochała się na dobre. Zależało mu, jak się okazuje. Przez prawie dziesięć lat skrywał swe uczucia zakopane pod stertą zakurzonych swetrów.

Dlaczego Erie nie powiedział jej, jak bardzo wstrząsnęła nim śmierć dziecka? Pierwszego dnia był bardzo wzburzony, ale potem nigdy już o tym nie rozmawiali. Skąd miała wiedzieć, że nazwał córkę imieniem Sara, które wspólnie wybrali zanim się urodziła? Minęło kilka lat zanim ponownie zaszła w ciążę i nawet wtedy Erie nigdy nie wspominał utraconej córki. Ale to tutaj... nie było najmniejszych wątpliwości, że bardzo przeżył śmierć swego pierwszego dziecka. Opłakiwał ją w ukryciu przed wszystkimi, nawet przed własną żoną.

Nowo odkryta prawda wywołała u Laury nieznane wcześniej poczucie straty. Gdyby znalazła tę kartkę przed śmiercią Erica, mogliby ją wykorzystać w próbach powrotu na drogę utraconej miłości. Podczas sesji

terapeutycznych mogliby porozmawiać o rzeczywistych problemach, na przykład o tym, że utrata Sary Anny wywołała u Erica uczucie zwątpienia w Boga, rodzinę, miłość i wszystko, co w życiu dobre. Przecież gdzieś w głębi duszy wierzył, bardziej niż chciał to okazać... bardziej nawet, niż sam pamiętał.

A teraz jest już za późno - dla Laury fakt ten był prawie nie do zniesienia. Mijały minuty... Nagle olśniła ją pewna myśl, która wywołała na jej twarzy uśmiech, pomimo łez i poczucia ogromnej straty. Teraz gdzieś tam, na niebiańskich ulicach Erie robił właśnie to, czego tak bardzo pragnął. Przytulał do siebie Sarę Annę.

RS

## Rozdział 28

4 listopada 2001

Pierwszy przebłysk pamięci przyszedł po tygodniu. Była trzecia nad ranem w dniu, kiedy Jake, Jamie i Sierra wybierali się na specjalną kolację do remizy. Jake, wyrwany z głębokiego i spokojnego snu, nagle znalazł się pośród zapierającego dech w piersiach chaosu i przerażenia.

Zbiegał w dół niekończącego się ciągu schodów w jakimś wieżowcu. Nagle potknął się i upadając - jakby w zwolnionym tempie - już, już miał uderzyć o schody, gdy niespodziewanie wyciągnęła się ku niemu czyjaś pomocna dłoń. Jake uchwycił się jej, po czym podniósł wzrok i ujrzał... samego siebie w strażackim kombinezonie!

- Na pomoooc! - krzyknął tak głośno i przeciągle, że obudził go własny głos.

Obraz natychmiast zniknął.

Jake gwałtownie usiadł na pościeli. Serce chciało mu wyskoczyć z piersi. „Boże, co to było? Czy to obraz z mojej przeszłości?”. Obliznął wyschnięte wargi i zapatrzył się na swe dłonie. Drżały. Zanim jednak poprosił Boga, by uspokoił jego rozszalałe serce, drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadła Jamie.

- Jake, co się stało?!

Twarz miała bladą. Szybko zbliżyła się i usiadła na łóżku obok niego. Oddychała nerwowo, szukając oczyma jego wzroku. - Krzyczałeś...

„Boże, ześlij na mnie spokój. Pomóż mi to zrozumieć, cokolwiek to było”. Jake przytulił Jamie - była przerażona. Czuł, jak serce tłucze się jej piersiach.

- To nic, to tylko sen.

Uspokoila się natychmiast i odsunawszy się na tyle, by go objąć spojrzeniem, zapytała:

- Sen czy... przebłysk pamięci?

Mógł odpowiedzieć bez wahania, ale nie chciał jej przestraszyć, zwłaszcza że ujrany przed chwilą obraz nie miał dla niego najmniejszego sensu. Popatrzył głęboko w jej oczy i wstrzymał oddech.

- Wydaje mi się, że chyba... przebłysk.

- Doktor Cleary powiedział, że mogą się pojawić wczesnym rankiem, tuż przed przebudzeniem.

Jake potaknął.

- No właśnie. A to, co widziałem, wyglądało bardzo prawdziwie.

- Co sobie przypomniałeś? - Jamie przyglądała się mężowi z wyteżoną uwagą.

- Byłem w jakimś budynku... i były tam schody, które jakby nie miały końca...

- World Trade Center - odpowiedziała Jamie zdecydowanym tonem.

Oboje czekali na ten moment, w którym Jake nie będzie potrzebował jej odpowiedzi. Tymczasem jednak odetchnął głęboko i kontynuował opowiadanie:

- Najdziwniejsze jest to, że wcale nie byłem strażakiem. To znaczy byłem nim, ale jednocześnie byłem kimś innym; kimś, kto się przewrócił na schodach. A gdy spojrzałem na strażaka pomagającego mi wstać, zobaczyłem samego siebie.

Ramiona Jamie opadły, panika znikła z jej twarzy.

- A może to nie był przebłysk pamięci, tylko sen?

- Możliwe - Jake przesunął delikatnie palcami po nagim ramieniu żony. Nagle to, czy właśnie miał przebłysk pamięci, czy tylko coś mu się przyśniło, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ważna była jej bliskość, jej pochylenie ku niemu, gdy tak siedziała na brzegu łóżka w za dużym podkoszulku, blask księżyca w jej włosach...

- Przepraszam, że cię obudziłem.

- Nic nie szkodzi - Jamie przełknęła ślinę. Odległość między nimi zaczęła się zmniejszać.

- Jake...

- Co? - jego głos zawsze działał na nią kojąco. A teraz, pośród ciemności brzmiał niemal jak dawniej. - Przytul mnie, Jake... proszę, przytul mnie - zwiesiła nisko głowę wyraźnie speszona nieskrywanym pożądaniem w jej własnym głosie.

Bez chwili wahania Jake wziął ją w ramiona i zaczął głaskać po karku, łagodząc ból wielotygodniowego rozdzielenia. Chociaż ostatnio znacznie się do siebie zbliżyli, nigdy nie mieli okazji pocałować się jak dawniej. Ale dziś, pośród cichego mroku nocy Jake nie dbał o to, czy pamięta, że Jamie jest jego żoną, czy nie. Była piękna i kochająca i z pewnością spędzili całe dotychczasowe życie razem.

- Jesteś piękna, Jamie. Wiesz o tym? - szeptał jej w szyję.

- Mmmmm - garnęła się do niego, zwielokrotniając tylko jego pożądanie.

- Z każdym dniem coraz bardziej za tobą tęsknię. Za tą częścią ciebie - odpowiedziała przepelnionym namiętnością szeptem.

Nagle odsunęła się i ich spojrzenia się spotkały. Zanim zdążył zadać sobie pytanie, czy to, co robi, jest słuszne, zanim zdążył przypomnieć sobie, że przecież obiecał Jamie nie zbliżać się do niej przed całkowitym odzyskaniem pamięci, Jake zbliżył twarz do jej twarzy. Powoli, tak naturalnie, jak naturalne wydawało mu się trzymanie jej w ramionach, ich usta zetknęły się. Jake poczuł, iż pragnął tego od tygodni.

- Jamie... - wyszeptał, gdy oderwali się od siebie, by zaczerpnąć powietrza - co ty ze mną robisz?!

Spojrząwszy uważniej, dostrzegł w jej oczach łzy. Otworzyła usta, jakby chcąc go o coś zapytać, ale milczała, wodząc palcem po jego spalonej twarzy. Uczucie było niewyobrażalne - rozpałiło w nim ogień, który ugasić można było tylko w jeden sposób.

- Kocham cię, Jake - znowu się przytuliła, całując go i jednocześnie zraszając mu twarz łzami. - Kocham cię.

Narastało w nim niecierpliwe pożądanie. Nagle poczuł, że pragnie jej bardziej niż następnego łyku powietrza. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, położył na łóżku obok siebie.

- Kocham cię. Jamie.

Całowała go, nie do końca jednak dając się porwać cudownej fali namiętności. Ponownie się odsunęła i ponownie z uwagą wpatrzyła się w twarz Jake'a, świadoma, iż dostrzegł w jej oczach nagłą obawę. Zapytała ledwo słyszalnym szeptem:

- Kochasz mnie... bo mnie pamiętasz?

Jake zamknął oczy i poczuł, jak Jamie się od niego odsuwa i siada na brzegu łóżka. „Boże, nie... niechże ona o to nie pyta. Przecież należymy do siebie...”.

„Mój synu, myśl o Mnie na każdej drodze, a Ja twe ścieżki wyrównam” - niespodziewanie w głębi serca usłyszał słowa, które po chwili odbiły się echem w jego świadomości; słowa samego Boga, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Tak, chociaż jeszcze nie czas na to, by do tego stopnia zbliżyli się z Jamie do siebie, taki czas z pewnością nadejdzie. Usiadł, próbując stłumić ogień buzujący w jego wnętrzu.

- Jamie, czy to aż takie ważne? - otworzywszy oczy, stwierdził, że ona wciąż mu się przygląda. - Kocham cię. Kochałem cię przedtem i kocham cię teraz. Czyż nie o to chodzi?



Odchyliła się jeszcze bardziej do tyłu i splotła nerwowo palce. Przez chwilę milczała zapatrzona w swą ślubną obrączkę.

- Nie - podniosła oczy. - Nie chcę na nowo wymyślać tego, co było - potrząsnęła głową. W jej głosie brzmiał ból, który ranił go do żywego. - Chcę, żeby to było prawdziwe, Jake, tak samo mocno, jak pragnę ciebie teraz. Całego ciebie.

Jake pochylił się ku niej i jeszcze raz ją pocałował: powoli i z największą czułością. Odsuwając się, czuł, iż pragnie jej tak bardzo, że prawie nie jest w stanie powstrzymać się od kłamstwa. Zaraz jej powie, że pamięta, że sobie przypominał...

Zamiast tego jednak ujął ją delikatnie za rękę, pochylił głowę tak, iż niemal zetknęli się czołami, i poprosił:

- Pomódl się ze mną, Jamie.

Powoli namiętność ustępowała w nim miejsca uczuciu o wiele bogatszemu, pełniejszemu, niemal odciskającemu się na ścianach duszy.

- Módlmy się, by wszystko, co mnie obudzi, okazywało się przebłyskiem pamięci; by każdy z nich stawał się początkiem powrotu wszystkich wspomnień. Naprawdę ciebie pragnę, Jamie. Ale ty masz rację, dlatego najpierw chcę sobie wszystko przypomnieć.

W mroku i ciszy pokoju gościnnego zabrzmiała ich wspólna modlitwa o Boże miłosierdzie i błogosławieństwo. Jamie zakończyła ją słowami równie prostymi co pięknymi:

- Przyrowadź go do domu, Panie. Przyrowadź go całego.

A o czwartej po południu wsiedli na prom i dalej taksówką pojechali do remizy Jake'a, gdzie czekało na nich ośmiu strażaków wraz z rodzinami.

Jake nigdy w życiu nie był bardziej zdenerwowany. Dziwny sen czy też przebłysk pamięci z dzisiejszego ranka obudził w nim nadzieję, że widok remizy i kolegów przyniesie serię kolejnych wspomnień, podobnie jak czytanie Biblii oraz dziennika wydawało się odtwarzać jego duszę. Tymczasem absolutnie nic nie wyglądało ani odrobinę znajomo i kiedy weszli do remizy, poczuł się tak samo niezręcznie, jak podczas pierwszej po wypadku wizyty w kościele.

Nieznajomi mężczyźni obejmowali go i ściskali mu dłoń. Kobiety, które zapewne były ich żonami, ze łzami w oczach wieszały mu się na szyi. Zewsząd słyszał: „Tak się cieszymy, że przeżyłeś, Jake!” albo „Brakuje nam tu ciebie, stary. Kiedy wracasz?”.

Kapitan Hisel był tam również, ku wielkiej wdzięczności Jake'a. Przynajmniej on jeden wydawał si<sup>^</sup> znajomy, pomimo, że po raz pierwszy spotkali się w szpitalu.

- Hej, Jake! Zdrowiejesz...

- Noo... - Jake ścisnął dłoń kapitana i zmusił się do uśmiechu. Rozejrzył się wokoło w poszukiwaniu Jamie. Ona i Sierra były jedynymi znanymi mu osobami w tym tłumie. Z dala od nich czuł się nieswojo.

- Wraca ci pamięć?

- Powoli... - Jake spojrział kapitanowi w oczy.

- Wiele się dowiedziałem z mojego dziennika i zapisków na marginesach Biblii. Ale nie mogę powiedzieć, żebym sobie wiele przypominał...

Kapitan Hisel zatoczył wokoło ręką.

- A to wszystko nic ci nie przypomina?

- Nie - Jake potrząsnął głową, marszcząc brwi.

- Ani trochę - wbił ręce w kieszenie džinsów. Nieco na nim wisały, ale to nikogo nie dziwiło. Jamie wytłumaczyła wszystkim, że jej mąż schudł o siedem kilo po wypadku. Jake spojrział ponad ramieniem kapitana na zdjęcia zdobiące ścianę. Sami strażacy. Pod fotografiami umieszczono dwie daty, druga pod każdą ta sama: 11 września 2001. Jake postąpił o krok do przodu i zaczął się uważnie przyglądać twarzom na zdjęciach.

- To nasi chłopcy?

Kapitanowi nerwowo zadrżały mięśnie twarzy.

- Co do jednego.

Jake nie był na bieżąco z wiadomościami. Codzienne doniesienia mediów niewiele mu mówiły, nie miał jednak żadnych wspomnień związanych z gaszeniem pożarów czy jakąkolwiek inną pracą i życiem w Nowym Jorku. Był ponadto zbyt zajęty odczytywaniem swego dziennika i codzienną lekturą Biblii, by śledzić przekaz mediów. Tu jednak, w tym miejscu w pełni dotarł do niego bezmiar tragedii, jaka dotknęła nowojorską straż pożarną owego koszmarne wtorkowego poranka.

Spojrzał głęboko w oczy kapitana i ścisłym głosem zapytał:

- Jak sobie z tym dajecie radę?

- To szaleństwo, JB - głos Hisela załamał się. Na chwilę spuścił wzrok na podłogę. Odzyskawszy panowanie nad sobą, podniósł oczy na Jake'a i kontynuował spokojnym tonem:

- Departament straży musiał utworzyć specjalny wydział pogrzebowy - przesunął dłonią po łysiejącej głowie. - Trzystu czterdziestu trzech zabitych.

Codziennie pogrzeby, czasem po trzy, cztery dziennie. W jedną sobotę było ich aż dwadzieścia cztery. Dwadzieścia cztery pogrzeby, JB! Możesz w to uwierzyć?

Jake nie wiedział, co odpowiedzieć i jak zareagować, jednak poraził go ból malujący się w oczach Hisela. Trawiący go niepokój pozwolił zrozumieć zalecenia doktora Cleary'ego, żeby oszczędzić mu wszelkich wzruszeń, aż do całkowitego odzyskania pamięci. Czy teraz powinien podejść i uściskać kapitana albo powiedzieć kilka słów współczucia i pociechy? Nie wiedział, dlatego tylko ścisnął mu ramię w milczeniu.

Kapitan Hisel pociągnął nosem i uniósł nieco podbródek.

- To jeszcze nic. Gorzej, że od ataku staliśmy się sławni - aż się wzdrygnął. - Przez pierwsze tygodnie po 11 września drzwi remizy dosłownie się nie zamykały. Kto żyw przychodził do nas z kwiatami, ciastem i zachwytem, jacy to jesteśmy wspaniali. Niektórzy nawet prosili nas o autografy!

Kapitan aż sapał ze wzburzenia.

- Wiesz, jak się wtedy czuliśmy? Jak śmieci! Powinniśmy byli zginąć w dwóch wieżach u boku chłopaków, których tam straciliśmy. Nie jesteśmy żadnymi bohaterami, do cholery! Po prostu, mieliśmy szczęście. Ci, co zginęli pod gruzami - to są bohaterowie!

Jake potaknął, wciąż nie wiedząc, co powiedzieć. Kapitan wyraźnie potrzebował rozmowy z nim, wyraźnie pragnął zaznajomić go ze wszystkim, co się zdarzyło podczas jego nieobecności. Tylko że bez najmniejszego zakotwiczenia w przeszłości jego opowieść nie robiła na Jake'u większego wrażenia niż telewizyjna relacja. Bardzo go to wszystko zasmuciło, wręcz przeraziło, ale osobiście nie dotknęło wcale. Nie tak, jak kapitan Hisel mógł tego oczekiwać.

Kapitan począł uważniej przyglądać się Jake'owi.

- Wyglądasz jakoś inaczej, JB. Na twarzy... Kilkoro ludzi z kościoła mówiło mu podobne rzeczy, więc Jake odpowiedział kapitanowi dokładnie tak samo jak im:

- To pewnie przez te poparzenia...
- Schudłeś.
- Noo... - Jake uśmiechnął się krzywo. - To chyba nie najgorzej, co?
- Rozmawiałeś z Sue, od kiedy jesteś na nogach?
- Z jaką Sue?

- Sue Henning - kapitan przyglądał mu się przez chwilę z widoczną konsternacją, po czym na twarzy odmalował mu się wyraz zrozumienia. - Wciąż zapominam o twojej amnezji - zaśmiał się smutno. - Sue jest żoną Larry'ego, twojego najlepszego przyjaciela.

Jake przypomniał sobie zapisy w dzienniku dotyczące Larry'ego, Sue i Katy. Pisał o ich wielkiej przyjaźni, nie kryjąc, jak bardzo kocha całą rodzinę Henningów. Powrócił wzrokiem do fotografii na ścianie i odnalazł tę właściwą: „Larry Henning, 23 sierpnia 1968 - 11 września 2001”. Mężczyzna był masywniejszy niż w jego wyobrażeniach, całą jego okrągłą twarz wypełniał uśmiech.

Przed oczyma stanął mu fragment z dziennika: „Na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi troszczącymi się o siebie nawzajem, czy to w pracy, czy w życiu rodzinnym. A także w naszej miłości do Boga. W Larrym Henningu Bóg dał mi brata”.

Patrzył w oczy człowieka na zdjęciu. „Boże, dlaczego ten Larry nie wygląda ani trochę znajomo? Dlaczego nie mogę sobie za nic przypomnieć spędzonego z nim czasu?”. Narastał w nim głęboki smutek. Uśmiech w oczach zmarłego nieznajomego przekonywał, że gdyby był on tutaj w tej chwili, razem bez trudu znaleźliby sposób odtworzenia zapomnianej przyjaźni.

Jake pozwolił tej myśli swobodnie odpłynąć i powrócił do kapitana Hisela.

- Jak ona to znosi?

- Fatalnie. Pytałem, czy rozmawiała z Jamie, a ona mi odpowiedziała, że od 11 września nie; że wszyscy troje potrzebujecie odosobnienia ze względu na wspomnienia.

Jake pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Kapitanie, zrobi pan coś dla mnie?

- Oczywiście, JB. Co tylko zechcesz... wiesz przecież.

- Proszę mi dać adres Sue i powiedzieć, jak do niej dojechać. Po drodze wstąpimy tam z Jamie i Sierrą, żeby jej powiedzieć, że jesteśmy z nią.

Kapitan zmrużył oczy i uważnie wpatrzył się w Jake'a, zupełnie, jakby szukał człowieka, który mieszkał w jego wnętrzu - tego, który pamięta wszystko, co przez lata przeżył wspólnie z chłopakami z Wozu Gaśniczego 57 i Drabiny 96.

- Ale to ty, JB? Chociaż nic nie pamiętasz, to jednak jesteś ty?

Pytanie kapitana zupełnie zbiło Jake'a z tropu. Poczł nagłą chęć ucieczki jak najdalej od tej remizy. O co mu chodzi? Oczywiście, że to on, Jake Bryan. A kimże innym mógłby być? Zmusił się do słabego śmiechu.

- Niech pan tak nie mówi. Przeraza mnie pan... Kapitan zamachał ręką nad głową, jakby odganiał natrętną muchę.

- Przepraszam... To po prostu upiorne, mówić z tobą o Larrym i widzieć w twoich oczach, że zupełnie nic o nim nie wiesz - oczy kapitana ponownie zrobiły się wąskie jak szparki. - Naprawdę nic nie pamiętasz, JB?

- Nic - złapał płytki oddech, cofając się o krok. Musiał znaleźć Jamie i Sierrę. Natychmiast! - Zupełnie nic.

Usłyszał głos Jamie w sąsiednim pomieszczeniu.

- Miło się z panem gada, kapitanie, ale muszę poszukać Jamie.

Ruszył ku pomieszczeniu, z którego dochodził głos. Pierwsza zobaczyła go Sierra. Jej oczy rozblęły, gdy oderwawszy się od Jamie, podbiegła ku niemu.

Chociaż wciąż miał na stopie gips, Jake nauczył się przerzucać ciężar ciała na drugą nogę, chwytając dziecko rzucające mu się w ramiona. Kapitan Hisel powinien go widzieć teraz! Oczywiście, że jest Jakiem Bryanem - niemożliwe, by jego córka tak go kochała, gdyby nim nie był.

Przez resztę wieczoru pozostawał u boku Jamie, ograniczając się w rozmowie do jedno- czy dwuwyrzowych odpowiedzi. Unikał tematu utraconej pamięci. Przy pożegnaniu wziął od kapitana karteczkę z adresem Sue i szkicem drogi do domu Henningów. W taksówce wyjął ją z kieszeni i pokazał Jamie.

- Myślę, że powinniśmy wstąpić do Sue. Jamie spojrzała na karteczkę z osłupieniem, po czym westchnęła ciężko.

- Wiem, jak do niej dojechać, Jake. Przed 11 września byliśmy bliskimi przyjaciółkami.

Jake zamyślił się przez chwilę. Była dopiero siódma, ale Sierra już usnęła, siedząc pomiędzy nimi, i jej małe ciało spoczywało teraz oparte o jego bok.

- Skoro się z nią przyjaźnimy, to dlaczego nigdy dotąd u niej nie byliśmy?

- Nie byłeś gotowy.

Odpowiedź Jamie była nieco zbyt szybka i Jake natychmiast to zauważył.

- To nie tylko to, prawda? Ból wypełnił oczy Jamie.

- Dzwoniłam do niej kilkakrotnie, ale za każdym razem nie była w stanie ze mną rozmawiać - rzuciła mężowi krótkie spojrzenie. - Gdy ostatnio z nią rozmawiałam, byliśmy przekonane, że Larry tylko zaginął; że znajdą go

gdzieś wśród gruzów - Jamie uniosła lekko jedno ramię. - A teraz... teraz już znamy prawdę. Larry nie żyje, a ja... - głos jej się załamał - nie wiem, czy zniosę spotkanie z nią. Bo...

Jake objął ją, całą rozszlochaną.

- Już dobrze, kochanie. Jestem przy tobie. Możesz mi wszystko opowiedzieć.

Jamie potarła sobie brew palcem wskazującym i kciukiem. Ich oczy na chwilę się spotkały i po raz pierwszy Jake miał okazję zobaczyć ten jej paraliżujący strach, o którym tyle pisał w dzienniku.

- Jake... to mogłeś być ty. Ale skoro to nie ty, nie wiem, czy Sue w ogóle chce mnie widzieć. To znaczy... - wyrzuciła ręce w górę - wiem, że Bóg był wtedy z Larrym. Wiem, że był z tobą. Wierzę w to. Ale ja wciąż mam męża, a ona nie. Patrzenie na siebie i dostrzeganie tego będzie najsmutniejszą rzeczą w moim życiu.

Jake odczekał chwilę, aż Jamie się opanuje, po czym delikatnie pocałował ją w skroń i przemówił głosem, który zabrzmiał niemal jak przed wypadkiem:

- Pomogę ci przez to przebrnąć.

- Dobrze - kiwnęła głową i otarła się twarzą o jego spaloną twarz.

Policzek Jake'a przeszył ostry ból, ale nie zważał na to. Zwłaszcza teraz, po tym, jak przez kilka godzin niczego bardziej nie pragnął, niż znaleźć się wreszcie przy niej. A teraz bardzo chciał złożyć kondolencje żonie zmarłego przyjaciela.

Milczeli, płynąc promem z powrotem na Staten Island. Jamie chciała skorzystać z toalety, więc Jake wziął Sierrę na kolana. Uśmiechnął się szeroko.

- Chyba chce ci się spać.

- Mmhhmm - ziewnęła, opierając czoło o jego ramię. - Zrobimy motylkowe całuski?

Jake szybko stłumił ogarniające go nagle uczucie paniki. Pocałował nosek córki i mrugnął do niej. - Dobrze, słoneczko.

- No, tatusiu... - oczekująco przekrzywiła główkę na bok - zaczynaj.

Jake zawahał się, serce mocno mu zabiło.

- Nie, dzisiaj ty zaczynaj.

Udało mu się przechytrzyć małą. Oczy jej zabłyśły.

- OK! - zbliżyła nosek do jego nosa i kilkakrotnie nim go potarła, po czym odwróciła lekko twarz i, mrugając, pomuskała go rękami po policzku. Natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i zrobił dokładnie to samo.

- Wiesz co, tatusiu? To nasza ulubiona rzecz.

- Tak, kochanie - przytulił ją mocno do piersi, pełen wdzięczności, że żyje i że dano mu szansę kochać to słodkie dziecko. - Ja też to lubię.

- Jedziemy dziś do domku Katy?

Jake przez chwilę przetrząsał pamięć, zanim sobie przypomniał - tak, Katy to córeczka Sue i Larry'ego.

- Tak, na chwilę.

Sierra wyprostowała się. Widział teraz wyraźnie jej oczy.

- Czy tatusiowi Katy też się coś stało w pożarze? W tym, co samolot wpadł do wieżowca?

Jake poczuł, że serce mu zamiera. To dziecko nic nie wiedziało i na niego wypadło wszystko mu opowiedzieć! Ale przecież nie mogli pozwolić, by przyjechawszy do Sue, Sierra zapytała Katy, gdzie jej tatuś.

- Kochanie, muszę ci powiedzieć coś bardzo smutnego o tatusiu Katy...

Właśnie wróciła Jamie i usiadła obok Jake'a.

- O czym rozmawiacie? Jake spojrzał na nią znacząco.

- Sierra pytała o tatusia Katy, czy coś mu się stało w tym pożarze, kiedy samolot uderzył w wieżowiec.

- Och - Jamie wciągnęła gwałtownie powietrze przez nos i odruchowo spojrzała w ciemne niebo, po czym przeniosła wzrok na Jake'a. Patrzyła na niego błagalnie.

- Ty jej powiedz, dobrze? Jake zwrócił się ku córce.

- Kochanie, tatuś Katy zmarł w tym pożarze. Poszedł go gasić i ratować ludzi, ale już nie wrócił.

Twarcz dziecka wypełnił przestach, a po chwili, jak gdyby ktoś odkręcił kurek, jej niewinne oczy wypełniły się łzami.

- To znaczy, że nigdy nie wróci do domu?

- Nie - położył dłoń na drobnych ramionkach dziewczynki i zajrzał jej w oczy. - Ale my wiemy, gdzie jest teraz tatuś Katy, prawda?

- Tak - wielka łza spłynęła po małym nosku i spadła na nogawkę dżinsów Jake'a. - Jest teraz z Panem Jezusem.

- To chyba dobrze, co?

- Tak - chlipnęła Sierra - ale Katy nie ma teraz tatusia.

- Ależ, kochanie, ma! Tylko jej tatuś mieszka teraz w niebie.

Sierra zamyśliła się na chwilę.

- Nie chcę, żebyś ty poszedł mieszkać w niebie. Nie, dopóki ja też tam nie pójde.

- Ja też nie chcę tam iść bez ciebie, kochanie - Jake starannie dobierał słowa. Dzień 11 września nauczył go jednego: że życie nie daje żadnej gwarancji. Wymienił z Jamie znaczące spojrzenie i ciągnął dalej:

- Ale jeśli Pan Jezus będzie miał dla mnie jakieś zadanie, na przykład ratowanie ludzi z pożaru, i nagle zawoła mnie do nieba, to będę musiał pójść. Wiesz o tym, prawda? I pójde, tak jak tatuś Katy.

Sierra przechyliła nieco głowę, a złociste pukle włosów lekko zsunęły się po różowym sweterku.

- To znaczy, że jak tatuś Katy gasił pożar. Pan Jezus zawołał go do siebie? Tak było?

- Tak - Jake z wielką powagą skinął głową. - Właśnie tak było.

- Och - Sierra wytarła nosek - ciągle mam nadzieję, że Pan Jezus ciebie nie zawoła, bo ja chcę cię mieć na zawsze.

Jake pocałował nosek swej jedynaczki, wyciągając jednocześnie rękę ku Jamie.

- Ja też chcę was mieć na zawsze. Na wieczność...

Prom dopłynął do przystani. Wysiedli we trójkę i udali się do samochodu. Po dziesięciu minutach stali na ganku kolejnego domu, którego Jake nie rozpoznawał. Drzwi otworzyła ładna blondynka. Ujrawszy ich, podniosła dłoń do ust. Oboje z Jamie natychmiast zalały się łzami.

- Jake... Jamie... - kobieta otworzyła ramiona i po chwili wszyscy tulili się w ciasnym uścisku, oplakując śmierć człowieka, którego Jake tak rozpaczliwie usiłował sobie przypomnieć.

Sierra przecisnęła się przez ciasny krąg dorosłych i pociągnęła Sue za rękaw.

- Proszę pani...

Sue chlipnęła głośno i przez łzy spojrzała na dziewczynkę.

- Co, kochanie?

- Mogę się pobawić z Katy?

- Tak, laleczko. Katy jest na górze.

Wszyscy odprowadzili wzrokiem dziecko, które truchcikiem pobiegło po schodach, po czym Jamie zwróciła się do przyjaciółki:

- Przepraszam cię, Sue. Naprawdę chciałam zadzwonić - stłumionym głosem łkała w jej ramię.



- Nie, to moja wina. Wydawało mi się, że nie będę w stanie spojrzeć na Jake'a bez... - odsunęła się o krok i wpatrywała się w niego, aż znowu wstrząsnął nią szloch - bez... bez... Larry'ego.

Weszli do środka i przez godzinę słuchali Sue, pozwalając jej się wypłakać, pocieszając, a w końcu modląc się razem z nią. Sue uśmiechała się na wspomnienie Jake'a i Larry'ego razem. Bardzo się ucieszyła, na wieść, że Jamie odnalazła Boga.

- Bóg jest wspaniały... Po odejściu Larry'ego jeszcze wyraźniej czuję, że jest ze mną... codziennie... w każdej minucie...

\* \* \*

Nieco po północy powtórzył się ten sam ciąg niezwykle żywych obrazów, które Jake widział ubiegłej nocy. Zerwał się z bijącym sercem, dysząc ciężko i szybko, jednak nawet nie krzyknął. Tym razem miał absolutną pewność - wizja była przeblyskiem pamięci, nie szalonym snem.

Zbiegał pospiesznie niekończącymi się schodami, być może - jak zgadywała Jamie - pomagając komuś, kto potrzebował pomocy. Potem jednak potykał się i upadał, a ktoś wyciągał ku niemu pomocną dłoń. Dalsza część wizji nie miała najmniejszego sensu - Jake głowił się nad nią jeszcze przez ponad godzinę. Było wszak rzeczą całkiem naturalną oczekiwać pomocy od któregoś z kolegów, na przykład Larry'ego, tymczasem twarz owego strażaka należała do osoby, którą Jake bez najmniejszych wątpliwości rozpoznawał, ale nie był to ani Larry, ani nikt inny z jego jednostki. Była to jego własna twarz.

## Rozdział 29

6 listopada 2001

Dwa dni później zadzwonił kapitan Hisel. Przez ten czas Jamie była świadkiem kilku przeblysków pamięci Jake'a, które pojawiały się już nie tylko w nocy, ale i za dnia. Czytając albo bawiąc się na podłodze z Sierrą, nagle zastygał w bezruchu, z twarzą zupełnie zmienioną. Po kilku sekundach cały zaczynał się trząść. Nie trwało to nigdy dłużej niż minutę. Jake z otwartymi ustami zaczynał wówczas wodzić dezorientowanym spojrzeniem po całym pokoju w poszukiwaniu oczu Jamie.

Potem zawsze opowiadał jej, co zobaczył.

- Dlaczego zawsze widzę siebie? - wciąż zadawał to samo pytanie. - To przecież mają być przebliski prawdziwych wspomnień, prawda?

Jamie zgadzała się, to rzeczywiście było dziwne. Bardziej dla uspokojenia Jake'a niż samej siebie zadzwoniła do doktora Cleary'ego, który udzielił jej dokładnie takiej odpowiedzi, jakiej oczekiwała.

- Odzyskiwanie pamięci po urazie głowy to sprawa trudna i delikatna, a psychiatria nie jest nauką ścisłą. Dziwne odczucia, takie jak na przykład widzenie samego siebie jako kogoś innego, wcale nie są wykluczone. Z czasem jednak pamięć się rozjaśnia i wspomnienia zaczynają się zgadzać z rzeczywistością.

Doktor miał rację - każdy kolejny przeblisk pamięci był wyraźniejszy. Zamiast jednak coraz bardziej stawać się w nich strażakiem, Jake wciąż widział siebie jako kogoś, kto spotkał strażaka na schodach i uzyskał od niego pomoc.

Telefon zadzwonił dwa dni po wizycie w remizie, parę minut po czwartej. Jake w salonie czytał coś na głos Sierrze, Jamie przygotowywała obiad. Wytarła ręce i podniosła słuchawkę do ucha.

- Cześć, Jamie. Mówi kapitan Hisel.

- Witam, kapitanie - powróciła do odmierzania ryżu, który właśnie zamierzała ugotować. - Cieszę się z naszego ostatniego spotkania. Wydaje się, że Jake'owi bardzo ono pomogło - wsypawszy ryż do rondla, zamieszała go i odłożyła łyżkę. - Wciąż ma przebliski pamięci. Widzi strażaka w klatce schodowej Południowej Wieży.

- Strażaka?

- Tak. Doktor mówi, że czasem trochę to trwa, zanim przebliski pamięci nabiorą sensu.

- W którą stronę szedł ten strażak?

- Hmm - nie wiadomo dlaczego, pytanie kapitana wzbudziło nieokreślony niepokój w sercu Jamie. - Nie wiem. I nie jestem pewna, czy Jake potrafiłby powiedzieć.

Kapitan Hisel westchnął jak stary, zmęczony człowiek.

- Wiesz, Jamie, po waszym wyjściu trochę pogadaliśmy z chłopakami o Jake'u - w głosie kapitana dało się odczuć wahanie. - Wiem, że to, co powiem, zabrzmii bardzo głupio... i naprawdę nie chciałbym cię zmartwić...

- Cokolwiek ma mi pan do powiedzenia, niechże pan wreszcie to powie! - Jamie usłyszała z własnych ust krótki, wymuszony śmiech. - Co jest?

- Jamie, jesteś pewna, że to Jake?

Kolana się pod nią ugięły. Rzuciła się ku stołowi w jadalni, usiadła, opierając łokcie na starym, porysowanym blacie. Odzyskawszy panowanie nad sobą, zapytała z wyraźną złością w głosie:

- O czym pan, do cholery, mówi?!

- Jamie, facet po prostu nie wygląda jak Jake! - zasapał kapitan, nagle zirytowany. - To znaczy, z wyglądu go przypomina i jest tego samego wzrostu, ale ma coś takiego w twarzy, w kształcie szczęki... Nie wiem, jak to wyrazić, ale chłopaki zgadzają się ze mną - przerwał. - Po prostu chciałem wiedzieć, czy ty jesteś pewna.

Nagle powróciły wszystkie wątpliwości, które dręczyły Jamie przez cały pobyt Jake'a w szpitalu. Przypomniała sobie „Zero Rh minus” wpisane do karty informacyjnej umocowanej do szpitalnego łóżka, ponownie uświadomiła sobie, że Jake nie mówi i nie porusza się jak Jake. A Brownie? Nawet stare psisko wyrażało wątpliwości.

Wszystkie te myśli stłoczyły się jej w głowie w ułamku sekundy, niemniej szybko jednak je stamtąd wyrzuciła. Ścisnęła tylko mocniej w dłoni słuchawkę.

- Kapitanie - głos jej wibrował tłumioną wściekłością - niech pan powie chłopakom z remizy, że mogliby okazać odrobinę współczucia, dobrze! Lekarz Jake'a powiedział, że ludzie z amnezją nie są całkiem sobą, dopóki nie odzyskają pamięci.

A twarz ma trochę inną, bo bardzo schudł. Poza tym pamięć właśnie zaczyna mu wracać!

- Wiem, Jamie. Właściwie to nawet nie chciałem dzwonić. Pomyślałem tylko, że może jesteś zbyt blisko, żeby dostrzec to, co my wszyscy zobaczyliśmy od razu, jak tylko...

- Niech pan przestanie, bardzo pana proszę! - Jamie wstała od stołu i skierowała się z powrotem do kuchni. - Muszę gotować obiad. Dzięki za telefon.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się i odłożyła słuchawkę. Skoczyła jej adrenalina - serce biło jak oszalałe. Całą jej twarz i dłonie oblał pot.

Co za bezczelność dzwonić, żeby powiedzieć coś tak absurdalnego! Wydawało mu się, że taki telefon poprawi jej samopoczucie?! Uspokoi ją podczas czekania na powrót pamięci Jake'a?! A może kapitan za zasłoną amnezji nie jest w stanie dojrzeć człowieka, który desperacko walczy o powrót do osobowości, którą zgubił?! Jamie wprost nie mogła uwierzyć, że zadzwonił z czymś takim. To najpodlejsza rzecz, jaką w życiu usłyszała.

Po kilku minutach do kuchni weszli Jake i Sierra, trzymając się za ręce. Dziewczynka podskakiwała wesoło, mężczyzna był zatroskany. W jego oczach malował się wyraz zakłopotania, jakiego Jamie nie widywała w ciągu ostatnich tygodni.

- Znowu.

Jamie wpatrzyła się w Jake'a, ledwo zauważając, że Sierra tymczasem wysliznęła się przez tylne drzwi i skierowała ku huśtawce.

- Znowu miałeś przebłysk?

Jake potaknął, po czym oparł się o ścianę, wbijając wzrok w żonę.

- Wyraźniejszy i dłuższy niż wcześniej.

Jamie miała w ustach suchość pustyni.

- Co widziałeś?

- To samo - Jake wzruszył ramionami. - Zbiegam po schodach, potykam się i upadam, a jakiś strażak zatrzymuje się, żeby mi pomóc. Spoglądam na niego i... wydaje mi się, że patrzę w lustro.

W głowie Jamie kotłowały się wątpliwości. Zamknęła oczy i w myślach zwróciła się do Boga. „Panie, czuję się okropnie. Nie chcę się tak czuć! Błagam Cię, zabierz ode mnie te straszne myśli, które zasiał we mnie kapitan Hisel”. Zamrugnęła oczami i otworzyła usta, jednak upłynęło kilkanaście sekund, zanim zdołała sformułować pytanie:

- W którą stronę szedł ten strażak? No wiesz, ten, co wyglądał tak jak ty?

Jake zmarszczył brwi i przechylił głowę na bok.

- Jak to, w którą stronę? Jamie oblizwała dolną wargę.

- No po prostu: w górę czy w dół?

Przez chwilę Jake intensywnie wpatrywał się w widok za oknem, po czym czoło mu się wygładziło. Znał odpowiedź.

- W górę - pokiwał z przekonaniem głową, wsuwając ręce w kieszenie spodni od dresu. - Ten strażak szedł w górę.

\* \* \*

Nazajutrz przebłysk pamięci trwał jeszcze dłużej. Jake natychmiast opowiedział Jamie wszystko, co do najdrobniejszego szczegółu. Kiedy ów strażak - ten, który wydawał się być nim samym - pomagał mu wstać, Jake dostrzegł leżący na podłodze kask, wewnątrz którego coś było przyklejone taśmą.

Kolejne przebłyski przerażały Jamie. Niestety potwierdzały podejrzenia Hisela. Poczęła badawczo przyglądać się Jake'owi: obserwować, jak myje zęby, jak się czesze, obliczając, ile razy mogłaby przyznać kapitanowi rację. Mężczyzna mieszkający pod jej dachem w istocie nie zachowywał się jak Jake Bryan. Raz, gdy nagle odwrócił się i zauważył, że go obserwuje, aż podskoczyła, jakby przyłapał ją na tym ktoś obcy.

Modliła się potem prawie przez godzinę i Bóg zesłał na nią uspokojenie. Nie przestawało jej zdumiewać, jak szybko - po tak długim przecież okresie zupełnej niewiary w Jego istnienie - przyzwyczała się wzywać Go w potrzebie. Nie dlatego, że tak powinna robić, ale dlatego, że nie знаła innego sposobu na odzyskanie twardego gruntu pod stopami w tym trudnym dla niej czasie. Nieodmiennie modlitwa gasiła, przynajmniej częściowo, wszystkie jej wątpliwości.

Cóż z tego, że Jake widział w przebłyskach pamięci samego siebie? Przynajmniej jest częścią swoich wspomnień - to chyba dobry znak, nieprawdaż? Jamie błagała Boga, by zabrał od niej wszystkie jej lęki, jednak napięcie nieustannie wracało, by nocną porą jeszcze bardziej narastać. A jeśli kapitan Hisel ma rację? Jeśli za sprawą jakiejś idiotycznej pomyłki Jake nie jest Jakiem? Zachowywała wszystkie te obawy dla siebie, choć odbierały jej one sen i apetyt.

W piątek wieczorem wydawało jej się, że zwariuje. Po obiedzie Jake i Sierra zasiedli przed telewizorem, by sobie obejrzeć Kopciuszka na wideo.

Jamie narzuciła na siebie sweter i chwyciła słuchawkę telefonu. Dokładnie w momencie, gdy ją podnosiła, Jake odwrócił się i spojrzał na nią. Uśmiechał się ciepło, spokojnie.

- Co robisz?

Poczuła się, jak więzień przyłapany na próbie ucieczki. Z trudem przełknęła ślinę i podniosła trzymaną w ręce słuchawkę.

- Wychodzę na zewnątrz, żeby zadzwonić do Sue.

- Dobrze - Jake mrugnął do niej, sadzając sobie Sierrę na kolanach. - Przyjdź zaraz, czekamy na ciebie.

Widok męża siedzącego w swym ulubionym fotelu i tulącego do siebie dziecko był tak znajomy i bliski, że Jamie odczuła silny impuls, by odłożyć słuchawkę na swoje miejsce i natychmiast się do nich przyłączyć. Twarz Jake'a była wciąż czerwona i wciąż szczuplejsza niż dawniej, jego głos wciąż nie brzmiał jak przedtem, inaczej się też zachowywał. Ale przecież ten człowiek to Jake. Któż inny mógłby to być?! Ktoś łudzaco do niego podobny, kto znalazł się w tej samej klatce schodowej World Trade Center dokładnie w tej samej chwili? Ktoś, kto znał twarz i imię Sierry? Nie, to niemożliwe! A jednak...

Od wizyty u Sue w drodze powrotnej z remizy Jamie kilkakrotnie z nią rozmawiała, lecz - mówiąc o Jake'u - ograniczały się do stwierdzenia, iż coraz lepiej się miewa, po czym skupiały się na sprawie poszukiwań ciała Larry'ego i ciężkich chwilach, które przeżywa Katy po śmierci ojca. Ani jeden raz, ani przez chwilę Jamie nie chciała wypowiedzieć na głos swych irracjonalnych lęków czy wspominać o podejrzeniach kapitana Hisela. Aż do tej chwili.

Teraz po prostu musiała się podzielić wszystkimi dręczącymi ją wątpliwościami. Potrzebowała, by przyjaciółka wysłuchała ją i zapewniła, że wszystkim jej szalonym myślom brakuje racjonalnych podstaw. Przede wszystkim jednak Jamie trzeba było spojrzenia z dystansu. Wychodząc na podwórko ze słuchawką w rękę, to właśnie chciała uzyskać.

Sue była w domu. Pierwsze dwie minuty poświęciły na omawianie wieści o odnalezieniu wśród rumowiska ciał dwóch kolejnych strażaków. Gdy na chwilę zapadła między nimi cisza. Jamie odchrząknęła i spojrzała w niebo. Poczowała zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Sue... chciałabym ci coś powiedzieć... o Jake'u.

- Tak? - wyraźny niepokój w głosie Jamie kazał Sue przybrać poważny ton. - Co się stało?

- Niedawno zadzwonił do mnie kapitan Hisel - Jamie wstrzymała oddech. Nie chciała się rozplakać, nie teraz, kiedy tak bardzo pragnęła opowiedzieć przyjaciółce wszystko, co usłyszała z ust starego strażaka. - Kapitan Hisel i inni chłopcy z remizy... mają poważne wątpliwości, czy Jake to naprawdę Jake. Możesz w to uwierzyć?

- To... jakaś bzdura - a jednak Sue zawahała się o chwilę za długo. - Nie sądzisz?

- Oczywiście, że tak. To samo mu powiedziałam. Sue przez moment milczała.

- Czy Jake nie zachowuje się jakoś dziwnie?

Jamie poczuła nieprzewartą chęć rzucenia słuchawką o ścianę. Z całych sił postarała się, by w jej głosie nie zabrzmiał gniew.

- O co ci chodzi?

- Nie wiem... to znaczy, czy według ciebie Jake to naprawdę Jake?

- Tak - Jamie zerwała się z krzeselka i ruszyła przez podwórko ku więdnącym rabatkom kwiatowym. Zamierzała powiedzieć Sue o dziwnych przebłyskach pamięci u Jake'a, ale też spodziewała się, że ta okaże się bardziej zaskoczona dziwnymi podejrzeniami Hisela. Tymczasem jej przyjaciółka wydawała się mieć mieszane uczucia, jak gdyby uważała zamianę ludzi za zupełnie możliwą.

- Słuchaj, Sue, gubię się już w tym wszystkim - Jamie przeczesala sobie włosy palcami i poczęła krążyć po ogrodzie. - Powiedz mi, że miałam po prostu kilka złych dni. Powiedz mi, że takie wątpliwości to normalna sprawa. Powiedz mi, że Jake jest naprawdę sobą. Nie pozwól, żeby miotało mną jak liściem na wietrze.

- Dobrze - głos Sue wypełnił się zrozumieniem i współczuciem, ton jej złagodniał. - Miałaś kilka bardzo złych dni, Jamie, a twoje wątpliwości to zupełnie normalna sprawa. Lepiej?

- Nie! - Jamie oparła się ciężko o drewniane ogrodzenie. - Wcale nie, przecież nie mówisz szczerze. Sue, ja chcę prawdy. Powiedz mi prawdę: czy Jake wydaje ci się podobny do siebie?

- Chcesz prawdy? - Sue zawiesiła głos.

- Tak, rozpaczliwie jej potrzebuję! - Jamie czuła, jak szcękają jej zęby, bynajmniej nie od chłodu.

- Dobrze. Kiedy wyszłyście od nas, Katy przyszła do mnie do kuchni i zadała mi pytanie, które do dziś nie daje mi spokoju.

- O co cię zapytała?

- Kim był ten pan, który przyszedł z tobą i Sierrą.

Słuchawka wyśliznęła się z bezwładnej dłoni Jamie i upadła na trawę, a ona sama, nie zważając na mokrą ziemię pod stopami, osunęła się na kolana i wbiła niewidzący wzrok w leżący obok telefon. „Oddychaj - mówiła do siebie - to tylko sen, koszmar, który zaraz się skończy. Za chwilę obudzisz się i wszystko będzie normalnie. Nikt nie będzie miał wątpliwości, że Jake Bryan jest sobą”.

- Jamie, odezwij się! Jamie, jesteś tam? - dobiegł do niej metaliczny głos z porzuconej słuchawki.

„Boże, pomóż mi! Dawno się nie modliłam i nie wiem, co powiedzieć, ale pomóż mi! Nie zniosę tego!”.

Nagle przypomniała sobie słowa podkreślone przez Jake'a w Biblii: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i uczcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych”.

Kręciło jej się w głowie. Zamknęła oczy i zmusiła się do głębokiego, powolnego oddychania. Metaliczny głos nie przestawał powtarzać:

- Jamie, odezwij się, proszę cię...

Znalazła w mokrej trawie słuchawkę i podniosła ją do ucha, ale zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Nade wszystko musiała się opanować. Bóg ześle na nią spokój, tylko musi sama trochę się opanować. Zakaszła.

- Sue... eee... przepraszam, już jestem.

- Jamie, wszystko w porządku? Przyjadę do ciebie, chcesz?

- Nie, nie trzeba - wciąż myślała: „Opanuj się... opanuj... opanuj...”. - Wszystko w porządku - Jamie wydała z siebie cichy, dziwnie brzmiący śmiech.

- Doktor mówi, że dopóki pamięć całkiem nie wróci, Jake nie będzie się zachowywał jak dawniej. Powiedz Katy, że ten pan to tatuś Sierry. I że wszystko jest dobrze.

- Oczywiście - padła natychmiastowa odpowiedź. - To Jake. Na pewno. Chciałam tylko powiedzieć, że Katy go nie poznała, bo z powodu złamanej kostki i poparzeń na twarzy trochę inaczej chodzi i mówi. Wcale nie chciałam...

Jamie nie słuchała dalej. Sue rozgadała się na dobre, usiłując paplaniną zatrzeć słowa, które tak przeraziły jej przyjaciółkę. Gdy skończyła, Jamie zacisnęła szczęki i jeszcze raz wzniosła oczy ku niebu.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś, Sue. Muszę kończyć. Nie martw się o mnie, wszystko jest w najlepszym porządku. Oglądamy razem Kopciuszka.



## Rozdział 30

12 listopada 2001

Nie miał wątpliwości, że Jamie zachowuje się wobec niego jakoś inaczej. Może to z powodu przeblysków pamięci, które miewał od pewnego czasu, a może z jakiegoś innego powodu, którego nie był świadom. Ale wydawała się jakaś odległa i roztargniona, a kilka razy przyłapał ją, jak badawczo się w niego wpatrywała. Bynajmniej nie łagodziło to jego niepokoju, zwłaszcza w świetle ostatnich przeblysków pamięci.

Najnowszy obraz po raz pierwszy pojawił się w niedzielę, gdy uciał sobie drzemkę po powrocie z kościoła. Bolała go głowa, więc wyciągnął się na łóżku w pokoju gościnnym. Zasnął i prawie natychmiast pojawiło się to dziwne wspomnienie. Stał w jakimś biurze, rozmawiając ze starszym mężczyzną o siwych włosach. Znajdowali się w World Trade Center, otaczały ich setki innych pracowników, wszyscy patrzyli przez okno. Za oknem w żywych barwach widział kaskady ognia i kłęby czarnego dymu. Tak blisko, że prawie mógł ich dotknąć.

Wspomnienie znikło. Jake, z trudem łapiąc oddech, usiadł na łóżku i wpatrywał się w zamknięte drzwi. Co to za biuro? Kim był siwowłosy mężczyzna? Dlaczego nie było tam strażaków i jak to możliwe, że tak wyraźnie widział płonący budynek za oknem?

Ponadto nic tu nie pasowało do faktu, że przecież został wezwany do pożaru World Trade Center i wraz z innymi strażakami ze swej załogi wbiegał po schodach na ratunek ofiarom wybuchu. Skoro tak było, to nie stał w żadnym biurze, wyglądając przez okno, tylko biegł po schodach na górę, aż ktoś kazał mu zbiec z powrotem na dół. Czyż nie tak właśnie było?

Przeblyski pamięci miały nadać jego życiu więcej sensu, a było inaczej. Tego wieczoru, gdy Sierra już spała, znalazł Jamie siedzącą samotnie w salonie, zapatrzoną w okno. Podeszedł do niej od tyłu i po-masował jej kark.

- Wszystko w porządku?

- Mhmm... - Jamie wyciągnęła ręce i nakryła jego dłonie swoimi. - Tak tylko sobie rozmyślam...

- O czym?

- O niczym... - obróciła się w fotelu twarzą do niego. Przez cały czas trzymała jego ręce, ale jej uśmiech był jakiś nienaturalny. - O niczym szczególnym.

Jake nie uwierzył, ale nie chciał jej zmuszać do rozmowy, zwłaszcza że mogłaby wtedy znów przybrać ten dziwny wyraz twarzy, który zawsze wywoływał w nim poczucie, że coś jest nie tak. Kiedyś będzie musiał powiedzieć jej o swoim ostatnim przebłysku, ale obecna chwila nie wydawała mu się odpowiednia.

- Idę spać - pochylił się i pocałował ją w głowę. - Dobranoc.

Patrzyła mu głęboko w oczy, nie puszczając jego dłoni.

- Masz jakieś nowe wspomnienia, Jake? Wiesz...o nas?

- Nie - spojrzał na nią ze smutkiem. Oboje chcieli, żeby sobie przypomnieli. Bez tego nie mogli w pełni powrócić do dawnej zażyłości. - Ale mój mózg pracuje, czuję to. Pewnego dnia powrócą wszystkie wspomnienia i będziemy żyć jak dawniej.

- Tak, wiem - skinęła głową.

Wyraz jej twarzy poruszył Jake'a. Wyglądała jak mała, przerażona dziewczynka. Uścisnął lekko jej dłoń.

- Co wieczór modłę się, żeby wróciła mi pamięć. Gdy tylko będę coś wiedział na pewno, ty pierwsza się o tym dowiesz.

- OK - uniosła nieco kąciki ust w lekkim uśmiechu. - Dobranoc, Jake.

Po trzech godzinach snu obudziła go kolejna retrospekcja. Pędził schodami w dół, a cały budynek drżał. W uszach miał brzęk tłuczonych szyb i pękających ścian. Zwiększył tempo, biegł teraz tak szybko, jak tylko pozwalał na to kłębiący się przed nim tłum. Nagle przypomniał sobie, o czym wtedy myślał: modlił się, prosił Boga o jeszcze jedną szansę na coś. Przewrócił się na drugi bok i znów pojawiło się kolejne wspomnienie. Kobieta o blond włosach i mały chłopiec, siedmio- może ośmioletni. Nadal wydawało mu się, że szybko zbiega po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, i wiedział już, dlaczego prosił o drugą szansę. Chodziło o coś związanego z tą blondynką i chłopcem. Potem wokół rozległ się przerażający odgłos i Jake wrzasnął przeraźliwie. Nie był to krzyk podobny do tego, który towarzyszył jego pierwszemu przebłyskowi pamięci, ale przeszywający do szpiku kości ryk, który zerwał Jamie na równe nogi. Natychmiast przybiegła z twarzą białą jak śnieg.

- Jake, co się stało?! - wpadła do pokoju i stanęła przy łóżku, wpatrując się w niego z troską. - Czy to kolejne wspomnienie?

Jake leżał z szeroko otwartymi oczyma.

- Tak... - odpowiedział urywanym głosem przepełnionym przerażeniem.

Jamie usiadła na skraju łóżka.

- Co sobie przypomniałeś?

Serce Jake'a waliło jak oszalałe. Czuł się, jakby spadał z dużej wysokości. Spadał i spadał jak najszybciej i jak najdalej - w miejsce, gdzie za chwilę czekała na niego pewna śmierć. Dlaczego jego wspomnienia nie szły w kierunku, którego oczekiwał? Przeczytał przecież uważnie cały swój pamiętnik, każdą notatkę w Biblii. Wydawało się, że kiedy powróci mu pamięć, przypomni sobie przede wszystkim straszny moment, gdy próbował ratować kogoś w Południowej Wieży. Inne wspomnienia mogły dotyczyć Jamie lub Sierry czy gaszenia pożarów albo czasu, który spędzał z Larrym. Ale w przeblyskach pamięci, które miewał ostatnio, nie pojawiała się żadna z tych osób ani rzeczy. Kim byli owa blondynka i chłopiec? Dlaczego o nich właśnie myślał, pędząc schodami w dół World Trade Center? Czyżby zdradzał Jamie? Albo...

Zamrugał oczami i spojrzał uważnie na Jamie. Nadal czekała, wpatrując się w niego i pragnąc, by powiedział, że ją sobie przypomniał, że powraca pamięć o całej jego - Jake'a Bryana, dzielnego strażaka i kochającego ojca - przeszłości.

Ale tak, niestety, nie było... Dlatego właśnie musiał powiedzieć Jamie całą prawdę o nawiedzających go retrospekcjach. Ona na pewno będzie wiedziała, co zrobić, jak mu pomóc uspokoić się i nadać sens tym dziwnym wspomnieniom. Może jego siostra lub matka były blondynkami? Któż mógł przewidzieć, co przyniesie walka, jaką toczył jego mózg o oczyszczenie pamięci z ogarniającej ją mgły?

Oboje już się nieco uspokoiłi. Jamie skrzyżowała ręce i zacisnęła dłonie.

- Powiedz, co sobie przypomniałeś?

Nie zwlekając, Jake opowiedział jej wszystko. Zaczął do wspomnienia rozmowy z siwowłosym mężczyzną gdzieś na wyższych piętrach World Trade Center.

- Pobiegliśmy obaj przez ciąg pomieszczeń biurowych w kierunku rzędu okien - na samo wspomnienie zaschło mu w gardle. - Wtedy zobaczyliśmy pożar: ogromny, o wiele straszniejszy niż to, co pokazywali w telewizji - przysunął rękę do twarzy. - Był tak blisko... nieomal czułem żar...

- Czy to właśnie przypomniałeś sobie przed chwilą, kiedy krzyczałeś?

Potrząsnął głową. W ustach miał zupełnie sucho.

- Nie, coś innego...

Jak miał jej powiedzieć o drugim wspomnieniu, nie przerażając jej i nie podkopując jej wiary w to, że kiedyś odnajdą wszystko, co ich niegdyś

łączyło, albo, co gorsza, nie wywołując w niej wątpliwości, czy naprawdę jest tym, za kogo się w ciągu minionych dwóch miesięcy uważał?

- Co takiego, Jake? Powiedz mi! - wyszeptała głosem pełnym napięcia, jej twarz znowu pobladła. - Muszę wiedzieć.

- Masz rację - ujął jej dłoń i opowiedział jej, jak przypomniał sobie szaleńczy bieg po schodach, przeskakiwanie kilku stopni naraz i desperackie pragnienie, by jak najszybciej wydostać się z budynku. - Wtedy właśnie błagałem Boga, żeby dał mi jeszcze jedną szansę... by naprawić wszystko w mojej rodzinie.

- Naprawić? - Jamie potrzęsnęła głową i wbiła paznokcie w jego dłoń. - Przecież ty zawsze byłeś w porządku, Jake!

Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami. Serce w nim zamarło. Jamie wypuściła powietrze przez zaciśnięte usta, a głowa jej na moment opadła między kolana. Gdy się podniosła, zadała mu tylko jedno pytanie:

- Czy... czy widziałeś nas, mnie i Sierę? Czy to ze względu na nas chciałeś przeżyć, dostać jeszcze jedną szansę?

Nie odrywał od niej spojrzenia.

- Widziałem dwie osoby, ale... - Jake dałby wszystko, żeby nie kończyć tego zdania, jednak było już za późno. Tylko dzieląc się tym wspomnieniem z Jamie, mógł zrozumieć jego sens. Bez względu na to, dokąd ich to doprowadzi. - ... to nie byłaś ty ani Sierra.

Jamie znowu opuściła głowę i przeciągnęła dłońmi po włosach, a potem po udach. Wydawało się, że się zerwie i wybiegnie z pokoju, ale nie zrobiła tego. Ponownie spojrzała mu w oczy

- Nie... nie rozumiem. Kto to był?

- Nie wiem - choć sam przerażony swoimi wspomnieniami, Jake bardziej troszczył się o odczucia Jamie. Położył rękę na jej ramieniu i zagryzł wargi.

- To była jakaś kobieta, wyższa od ciebie...miała proste blond włosy. A dziecko... to był chłopiec, Jamie. Miał jakieś siedem lat...

- Kim... kim oni są? - Jamie gwałtownie wciągnęła nosem powietrze i kilkakrotnie potrzęsnęła głową.

- Myślałem, że może ty wiesz... - wzruszył ramionami - że to może moja siostra lub koleżanka... a może żona któregoś z chłopaków ze straży... - zawahał się i spojrzał na nią błagalnie. - Proszę, powiedz, że wiesz, kto to jest!

Jamie wstała i odsunęła się od niego. Bez słowa odwróciła się i wybiegła z pokoju. Słyszał, jak tupie bosymi stopami po podłodze w przedpokoju i wypada na podwórko. Oddalała się od domu najszybciej jak mogła. Po kilku

sekundach zapadła cisza. Jake chciał w pierwszym odruchu pobiec za nią, ale pomyślał, że Jamie sama musi dać sobie z tym radę.

Siedział więc zamarły w bezruchu, czekając aż ponownie usłyszy jej kroki. Gdy długo nie wracała, wyszedł z łóżka i zaczął spacerować po pokoju. Dwa dni wcześniej usunięto mu gips. Kostka nadal bolała go, gdy chodził. Ale w tej chwili nie zważał na ból. Podeszedł do komody i przyjrzał się fotografiom. Szukał odpowiedzi.

Gdzieś tu musi przecież być ta kobieta z blond włosami! W przeciwnym razie, dlaczego miałby ją pamiętać? A chłopiec? Na pewno jest na którymś ze zdjęć: może siedzi na kolanach ukochanego wujka lub dawno niewidzianego przyjaciela?

Nie namyślając się wiele, otworzył górną szufladę. Jej zawartość zdumiała go. Tak długo już mieszkał w tym pokoju, a ani razu nie zajrzał do żadnej z szuflad komody. Ta wypełniona była niemal po brzegi zakurzonymi, starymi fotografiami w ramkach.

Jake gotów był wszystkie je przejrzeć, ale jego pierwsze spojrzenie padło na niewielkie, proste zdjęcie na samym wierzchu. Był na nim mężczyzna w mundurze strażackim. Nie sam strażak jednak przykuł wzrok Jake'a, tylko jego hełm.

Jak w transie, Jake wyjął zdjęcie z szuflady i wpatrzył się w mężczyznę. Najwyraźniej był to on sam. Hełm wywołał wspomnienie, które do tej pory było niepełne. Ponownie ujrzał, jak przewraca się na schodach, a jakiś strażak pomaga mu wstać. W tej wizji ów strażak znów wyglądał identycznie jak on, ale tym razem spadł mu hełm, a Jake go podniósł. Ujrzał to wszystko tak wyraźnie, że aż rozboleła go głowa. Gdy wręczał ów hełm strażakowi, zobaczył przyklejone w środku zdjęcie Sierry, a pod zdjęciem widniało jej imię nagryzmołone dużymi drukowanymi literami.

Jake widział wizerunek małej dziewczynki tak wyraźnie, jak zapewne ujrzał go tamtego strasznego poranka. Przypomniawszy sobie, jak podniósł wzrok, napotkał spojrzenie strażaka i pomyślał coś, co dopiero teraz do niego dotarło: że nigdy wcześniej nie spotkał kogoś, kto byłby tak bardzo do niego podobny...

Przy drzwiach rozległy się kroki. Jake podniósł głowę. To Jamie. Oczy miała czerwone i zapuchnięte, ale panowała nad sobą bardziej niż przed kwadransiem. Podeszła, wlepiając w niego spojrzenie. Gdy była już o kilka kroków, zmrużywszy oczy, wyszeptała pytanie, które i jemu nagle przyszło do głowy:

- Kim... kim ty jesteś?

Serce waliło mu w piersi, ale nie mógł nic zrobić, żeby jej pomóc; nic, żeby stłumić rodzące się w nich obojgu wątpliwości. Odłożył więc fotografię i powoli potrząsnął głową.

- Nie wiem. Jamie. Naprawdę nie wiem.

\* \* \*

Odpowiedź była prosta. Następnego ranka Jamie zadzwoniła do doktora Cleary'ego i przerywanymi płaczem zdaniem wyjaśniła, jak wygląda sytuacja z przebłyskami pamięci Jake'a.

- A jeśli to nie on? Jak się tego dowiedzieć? Lekarz odpowiedział, jak należało się spodziewać:

- Mówiła pani, że mąż ma rzadko spotykaną grupę krwi...

- To prawda - Jamie rozmasowywała sobie skronie, próbując uśmierzyć nieco ból głowy. - AB Rh plus.

Doktor Cleary westchnął.

- Naprawdę nie sędzę, by coś mogło budzić pani obawy. Ale skoro oboje macie wątpliwości, proszę pojechać do szpitala uniwersyteckiego i zrobić badania krwi. Zaraz tam zadzwonię. Wyniki powinny być w ciągu piętnastu minut.

- Teraz? - Jamie zamknęła oczy i oparła się o kuchenny blat.

- Tak, teraz.

Odłożyła słuchawkę, po czym zaprowadziła Sierrę do sąsiadów po drugiej stronie ulicy.

- Muszę zawieźć tatę na badania do szpitala - wyjaśniła.

Sąsiadka chętnie się zgodziła zaopiekować Sierrą.

- Nie spieszcie się, jestem przez cały dzień w domu.

Pięć minut później byli w drodze do szpitala. Jamie prowadziła w milczeniu. Myśl, iż rodziną Jake'a jest być może owa blondynka i mały chłopiec, była przerażająca. Jamie miała ochotę zawrócić i pojechać w przeciwną stronę, byle jak najszybciej i jak najdalej od szpitala i badań krwi. Uciec gdzieś, gdzie siedzący obok niej mężczyzna byłby Jakiem Bryanem bez żadnych pytań i wątpliwości. Ale ucieczka nie rozwiązałaby problemu.

Jake wsunął rękę w jej dłoń i uściśnął ją.

- Dobrze się czujesz?

Skinęła głową i zamrugała oczami. W gardle coś ją ścisnęło i nie mogła mówić, ale wydawało się, że Jake to rozumie. Ledwie mogła oddychać z powodu gromadzących się łez. Ale nie chciała płakać, nie teraz. Może robią

coś głupiego, może wspomnienia nabiorą z czasem sensu. Potarła kciukiem bok ręki Jake'a. A jeśli nie?

Szpital był już tuż za rogiem, a oni nadal nie zamienili ani słowa. Zatrzymali się na parkingu przyszpitalnym, znaleźli wolne miejsce. Dopiero wtedy Jake odwrócił się do niej i pogłaskał ją po policzku.

- Jamie...

Zatopiła swój wzrok w jego oczach, które napełniły się łzami.

- Jakikolwiek będzie wynik, jestem z tobą. Musisz w to wierzyć.

Jamie popatrzyła na niego uważnie i opanowała łzy napływające do oczu. Przecież to musi być Jake! To jego słowa, jego czułość, jego sposób troszczenia się o nią bardziej niż o siebie, zwłaszcza, kiedy się boi. Przysunęła się bliżej i mocno się objęli. Oboje zatonęli w uścisku, który wydawał się jednocześnie trwać wieki i krótką chwilę. Zdawało się, że żadne z nich nie chce wysiąść z auta i zmierzyć się z prawdą, że w przeciągu pół godziny wszystkie ich nadzieje na wspólną przyszłość mogą nagle pierzchnąć. Jamie wyprostowała się.

- Chodźmy - ich oczy spotkały się. Jamie z uwagą spojrzała w twarz człowieka, który - jak wciąż sądziła - jest jej mężem. - Musimy się dowiedzieć.

Badanie trwało tylko dwadzieścia minut. Jamie i Jake czekali w holu, trzymając się za ręce. Podeszła do nich pielęgniarka, w dłoni trzymała białą kartkę.

- Pan Bryan?

Jake wstał, Jamie również podniosła się z ławki, opierając się o niego, by nie stracić równowagi. Twarz pielęgniarki była spokojna i miła. „Ona nie ma pojęcia

- pomyślała Jamie - że informacja, którą nam zaraz przekaże, na zawsze odmieni nasze życie”.

Kobieta wręczyła wydruk Jake'owi. Jamie wyciągnęła szyję, żeby odczytać szczegóły. „No, dalej, gdzież to jest?” - prześlizgiwała się wzrokiem po kartce. Nazwisko, data urodzenia, wiek - cały szereg informacji, ale nie tego szukała. Miała ochotę wrzasnąć: „Gdzie jest grupa krwi?!”.

Po chwili Jake potrząsnął głową patrząc na pielęgniarkę.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział ponaglącym głosem, prawie zniecierpliwiony. - Chcemy się dowiedzieć, jaką mam grupę krwi.

Jamie zamknęła oczy. „AB Rh plus ... ma grupę AB Rh plus. Boże, proszę, niech ona to powie...”.

- Zobaczmy... - pielęgniarzka wzięła z powrotem kartkę i popatrzyła na nią. - Należy pan do szczęściarzy - z uśmiechem oddała wydruk Jake'owi.

- Ma pan grupę Zero Rh minus. To najczęściej spotykana grupa.

RS



## Rozdział 31

12 listopada 2001

Opadli oboje na ławkę przed szpitalem. Jamie nie pamiętała, jak tam dotarli. Powoli uświadamiała sobie, jakie znaczenie mają wyniki testu krwi. Początkowo czuła się tak, jakby jej świat się zawalił: człowiek, z którym mieszkała od końca września, nie jest Jakiem Bryanem, ale kimś zupełnie innym, kto tylko wygląda jak Jake. Druga myśl pojawiła się po pewnym czasie, gdy już siedzieli przed szpitalem: „Jeśli człowiek siedzący obok nie jest jej mężem, to...”.

Ukryła twarz w dłoniach, trzęsła się cała tak, że ledwie mogła usiedzieć. „Nie, Jake. Nie! Boże, proszę... tylko nie Jake!” - słowa ginęły w cichym, żalonym dźwięku, jaki wydaje osoba w szoku. Ale tym razem tą osobą nie był ktoś w telewizji ani ktoś rozwieszający zdjęcia zaginionego krewnego na murach nowojorskich budynków. Nie była to żona jednego z pozostałych strażaków tylko ona, Jamie Bryan.

Rzecz, której obawiała się przez całe życie, naprawdę się wydarzyła, a ona nie wiedziała o tym aż do tej pory. Obok niej siedział mężczyzna, który tak bardzo przypominał jej męża. Położył jej rękę na plecach i przysunął głowę do jej głowy.

- Przykro mi, Jamie. Tak bardzo mi przykro... Jakaś jej częśćka bardzo pragnęła rzucić mu się w ramiona, wyrwać mu biały świstek papieru, który wciąż trzymał w drugiej ręce, podrzeć na tysiąc kawałków i wyrzucić do najbliższego kosza - tam, gdzie jego miejsce. Ale w jej świadomości zostało już zasiane ziarenko prawdy i Jamie mogła tylko obserwować, jak wzrasta.

Oczywiście - siedzący obok mężczyzna nie jest jej mężem. Gdy go znaleźli, nie miał przecież na sobie kombinezonu strażackiego ani kasku. Powinno to już przedtem zwrócić jej uwagę. Jake mógł, co prawda, zdjąć kombinezon, żeby móc szybciej biec, ale na pewno zostawiłby kask - przecież z obu wież leciały wtedy różne rzeczy: ludzkie ciała, stalowe pręty, odłamki szkła.

Kapitan Hisel powiedział zaraz na początku, gdy byli jeszcze w szpitalu, że kask musiał Jake'owi spaść z głowy zmieciony siłą podmuchu. Ale jeśli była to prawda, to dlaczego go nie znaleziono? Teraz wszystko układało się w sensowną całość.

Szloch wyrwał się z ust Jamie i wstrząsał nią, aż w końcu mało nie zwymiotowała. Jasne, że nie znaleźli kasku Jake'a. Nadal tkwił na jego

głowie, pogrzebany wraz z nim samym pod górą ruin, niewątpliwie tuż przy Larrym. Ironia tego odkrycia była tyleż bolesna, co pocieszająca. A ona ten znak również zignorowała. Jake na pewno byłby z Larrym. Nigdy by się nie rozstali, nawet jeśli oznaczałoby to, że mają we dwóch sprowadzić jednego rannego na dół, a dopiero potem dołączyć do reszty załogi.

- Jake... - ten jęk, ten krzyk dobywał się z najgłębszych zakamarków jej serca. - Dlaczego, Boże... dlaczego...?

W ciągu wszystkich tych dni, kiedy podawała w wątpliwość tożsamość mężczyzny, z którym dzieliła dach nad głową, nigdy nie posunęła się do tego, by przyznać przed samą sobą, że jeśli ów człowiek nie jest Jakiem, to znaczy, że Jake nie żyje; że nigdy więcej go nie zobaczy, nie pocałuje ani nie przytuli.

Dlaczego nie zauważyła tego, co dostrzegł kapitan Hisel: nieco innego owalu twarzy, innych nawyków? A może było to z jej strony jedynie pobożne życzenie? Może chciała wierzyć, że gdy mężczyzna z pokoju gościnnego odzyska pamięć, w magiczny sposób przemieni się w Jake'a Bryana, którego kochała od szóstej klasy.

Jamie płakała aż do utraty tchu, nie mogąc odżałować utraty mężczyzny, który był dla niej wszystkim: jej nauczycielem, opiekunem, kochankiem i przyjacielem, a także najwspanialszym ojcem, jakiego mogła sobie wymarzyć mała dziewczynka.

Na myśl o Sierrze rozszłochała się jeszcze bardziej. Co teraz będzie? Jak ma przekazać tę wiadomość beztrojskiemu dziecku, zwłaszcza że mała nie miała żadnych wątpliwości, że człowiek, który wrócił z nimi ze szpitala, jest jej wspaniałym tatusiem.

Cała ta sprawa stała się zbyt zagmatwana, by Jamie mogła ją teraz rozwiązać. A do tego, co się stanie z siedzącym obok facetem? Nagle dotarło do niej, że nie ma on dokąd pójść, nie ma do kogo się zwrócić. Przez prawie trzy miesiące ćwiczył, jak zostać Jakiem Bryanem. Przed chwilą badanie krwi wykazało, że jest kimś innym, ale nie dowiedział się kim.

Łzy płynęły coraz wolniej. Jamie wyteżyła siły i usiadła. Nie była w stanie siedzieć prosto, jej ramiona kuliły się, jakby przygniatał je niewypowiedziany ciężar. Po chwili spojrzała w oczy siedzącego obok mężczyzny. Miał mokre policzki i zaczerwienione oczy. Na jego twarzy malowały się różne uczucia: żal, zmieszanie, poczucie winy i smutek.

- Przykro mi... z powodu Jake'a... - powiedział z wyraźnym wysiłkiem. W jego głosie brzmiało przerażenie.

Padli sobie w objęcia. Był to jednak inny uścisk niż ten, który łączył ich w samochodzie. Tym razem był to uścisk dwojga ludzi kompletnie zagubionych w oszalałym nagle świecie; w świecie, w którym mieli tylko siebie, w którym tylko oni byli w stanie zrozumieć ból, który zafundowało im życie.

- Wciąż... - pociągnęła nosem i cofnęła się nieco, biorąc go jednocześnie za rękę. Dotyk jego skóry był miły, nie było w nim jednak nic zmysłowego, jakby nawet jej zmysły wreszcie zdały sobie sprawę, kim jest ten człowiek. - Wciąż nie wiemy, kim jesteś.

- Nie...

- Gdzieś prawdopodobnie masz żonę o blond włosach i małego synka. Nie sądzisz?

Skinął głową i nowe łzy napłynęły mu do oczu.

- Tak mi podpowiada pamięć, ale w tej chwili... nadal mam uczucie, jakbym był twoim mężem - powędrował spojrzeniem do odległego rzędu drzew, a potem znów spojrzał na nią. - Jakbym nadal był ojcem Sierry...

- Co my mamy zrobić? - Jamie sama miała minę zagubionego dziecka, gdy wpatrywała się w jego twarz. - Co teraz z tobą będzie?

Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, a potem nagle przekrzywił głowę i spojrzał na nią błagalnie.

- Czy mogę zostać u ciebie. Jamie, dopóki sobie nie przypomnę?

Łzy ponownie przesłoniły jej wzrok, wbiła spojrzenie w niebo. Rozpłakała się na dobre. Potrząsnęła głową. „Boże, jak możesz ode mnie wymagać, abym nadal dzieliła życie z kimś, kto jest tak podobny do Take'a, że aż zapiera mi dech?”.

Przypomniało jej się zdanie z kazania, które słyszała w zeszłym tygodniu: „Miłujcie się wzajemnie. Tak jak Ja was umiłowałem, tak wy musicie wzajemnie się kochać”.

„Kochać?” - Jamie przymknęła powieki, próbując zrozumieć znaczenie tej myśli. Jej serce było złamane, a jej życie odmienione na zawsze. W jaki sposób miłość Chrystusa może jej pomóc znaleźć siły, by kochać obcego człowieka, w dodatku takiego, który wyglądał zupełnie jak jej zmarły mąż? Gdzie tu sens?

Wtedy nadeszła odpowiedź, jakby Bóg przemawiał wprost do jej duszy. Jezus kocha ją bezgranicznie. Poświęcił własne życie, by ona mogła żyć, a teraz oczekiwał tego samego od niej w stosunku do tego człowieka. Oczekiwał, by go kochała w sposób, który oznaczał poświęcenie własnych

uczucie i porzucenie własnego bólu. Musi zignorować rozpościerający się w niej bezkres smutku i pomóc mu odnaleźć drogę do domu, nawet jeśli miałyby ją to zabić. Wszystko po to, by on pewnego dnia mógł na nowo odnaleźć życie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego. W jego wzroku widziała obawę i oczekiwanie, które narastały, gdy zastanawiała się nad odpowiedzią. Wzięła go za rękę i uśmiechnęła się.

- Tak, możesz u mnie zostać, dopóki sobie nie przypominisz - odetchnęła głęboko i poczuła w sobie obecność czegoś nadprzyrodzonego, co podtrzymywało ją i wspierało, a zarazem przygotowywało na czekające ją bolesne chwile. - Wiem, że nie jesteś Jakiem... i wiem, że nie będziemy razem długo... - zaczerpnęła powietrza. - Nie jesteś moim mężem... ani ojcem Sierry.

Umilkła. Robiła wszystko, co mogła, by samej sobie wytłumaczyć, że on naprawdę nie jest Jakiem.

- Mam tylko jedną prośbę.

- Jasne... - jego miłe oczy ponownie zaszyły łzami. - Co tylko zechcesz...

- Proszę cię, dopóki z nami mieszkasz... nie mów nic Sierrze...

\* \* \*

Z każdą mijającą godziną poczucie oszołomienia coraz obficiej rozlewało się w sercu Jamie. Pierwsza noc dobiegała końca. Jamie miała pewność, że to, iż nadal udaje się jej oddychać, jest wyłącznie wolą Bożą.

Co chwilę rozbrzmiewały w jej pamięci słowa pielęgniarki: Jest pan szczęściarzem... Zero Rh minus... najczęstsza grupa krwi... Jest pan szczęściarzem...".

Jak to możliwe? Jake nie żyje, a ona nawet nie opłakała jego śmierci. Nawet nie wiedziała, że jego ciało wraz z tysiącami innych zostało zmiażdżone w czasie wybuchu budynków World Trade Center. Czy poszłaby do Strefy Zero? A może czekałaby na wiadomość w remizie? Szalałaby z niepokoju, rozpaczliwie wyczekując informacji. Ale wreszcie dowiedziałaby się, a wtedy płakałaby wraz z żonami innych strażaków. Razem z Sue siedziałyby na nabożeństwie pogrzebowym, podtrzymując się wzajemnie, gdy brakowałyby im siły. Jednak Jamie nie było to dane.

Następnego dnia słońce wstało jak zwykle, nie zważając wcale na jej uczucia i przynosząc z sobą całą straszną rzeczywistość jej sytuacji. Ponownie z całą wyrazistością dotarło do niej, że człowiek w pokoju gościnnym na dole - ten, który wygląda, mówi i pachnie jak jej mąż; ten,

który nawet myśli tak jak on - wcale nie jest jej mężem. Jest obcym człowiekiem.

Jamie oczyma wyobraźni widziała żałobę w domach strażaków w całym mieście. W jej domu jednak nie było żałoby. Nie dzwonili przyjaciele, nie pocieszała rodzina. Jej żałoba musi poczekać do chwili, aż człowiek z pokoju na dole - kimkolwiek by nie był - odnajdzie drogę do domu. Dopiero wtedy będzie mogła wyznać kolegom Jake'a, kapitanowi Hiselowi i Jimowi Bryanowi, że mężczyzna, za którego się modlili, przy którym czuwali, nie był tym, kogo znali i kochali.

Przez dwa miesiące mieszkała z mężem innej kobiety. A tymczasem Jake nie żył... nie żył! Utraciła go na zawsze! Jakaś jej część chciała zerwać się i biec do Strefy Zero, do miejsca, na które strażacy mówili „sterta”. Może znaleźli jego ciało lub kask, a może obrączkę.

Poranne słońce zaglądało w okno. Przeturlała się na tę stronę łóżka, gdzie zawsze sypiał Jake. Jego poduszka już nim nie pachniała, ale i tak wtuliła w nią twarz. Gdyby wiedziała, że nigdy nie wróci, nie wyprałaby poszewki. Z jękiem wyszeptała jego imię w miękki puch. Ogarnęła ją nowa fala łkań.

„Przepraszam, Jake. Boże, powiedz mu, że tak mi przykro. Nie wiedziałam... Poszłabym tam, sama bym go szukała, czekałabym na niego... nie ustawałabym w przekonaniu, że żyje. Boże, tak mi przykro... nie zniosę tego...”.

„Córko, jestem przy tobie zawsze... nawet teraz...”. Ta myśl była jak podmuch delikatnego wiatru w mrocznym, pozbawionym życia miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się jej serce. To były słowa Jake'a, które znalazła w jego dzienniku. A może były to słowa, które powiedział Bóg. Tak... na pewno. Były zakreślane w Biblii Jake'a. Bóg był przy niej - ta myśl przynosiła pewne pocieszenie, ale nie zmniejszała bólu.

Leżała wtulona w poduszkę Jake'a. Pragnęła się w niej zatopić, ale musiała przecież oddychać. Poduszka była mokra od jej łez. Długo patrzyła na ich zdjęcie ślubne, które stało na szafce nocnej Jake'a. „Jake, dlaczego?”. Czuła rozdzierający ból, jej słowa były stłumione i niewyraźne. „Mówiłeś, że Bóg czegoś jeszcze od ciebie oczekuje... że nic ci się nie stanie...”.

Z dołu dobiegł ją jakiś dźwięk. Wstrzymała oddech i otarła łzy. Sierra! Już nie spała i kręciła się po kuchni. Zaraz pewnie natrafi na mężczyznę śpiącego w pokoju gościnnym i obudzi go, domagając się przejażdżki na koniku, nie mając pojęcia, że to nie jej tatuś.

Czas osuszyć łzy i zacząć udawać.

- Tatusiu... gdzie jesteś? Czas wstawać! - głos córeczki dobiegał do niej już wyraźnie, każde słowo wbijało się głęboko w sam środek serca.

„Boże... pomóż mi...”. Poruszała się jak ktoś, kto postarzał się o sto lat w ciągu jednej nocy, ale zdołała jakoś wstać z łóżka. Chowanie się nic nie pomoże, nie przesłoni prawdy. Dlaczego właśnie wtedy, gdy myślała, że mogą na nowo ułożyć sobie życie, wszystko zaczęło się walić? A na dodatek mężczyzna, który wyglądał jak Jake, potrzebował jej.

W pół godziny zdążyła wziąć prysznic, ubrać się i nałożyć wystarczającą warstwę makijażu, by zamaskować podpuchnięte oczy. Była gotowa na spotkanie nowego dnia - pierwszego dnia swojego wdowieństwa, pierwszego dnia bez Jake'a.

Musieli omówić kilka spraw. Jamie wołała mieć w miarę szybko gotowy plan. Po śniadaniu ustalili, że nadal będzie zwracać się do niego „Jake”, żeby Sierra w niczym się nie zorientowała. Trzeba było brać także pod uwagę kolegów Jake'a z remizy i ludzi z kościoła.

- Gazety będą miały używanie, jeśli prawda wyjdzie teraz na jaw - powiedziała Jamie. Przeciągnęła ręką nad głową - „Mylnie ustalona tożsamość pozbawiła go domu rodzinnego...”. Nie możemy na to pozwolić.

- To co robimy?

Jedyne rozwiązanie, które zadowoli wszystkich, zdawało się proste: będą musieli udawać. Dopóki nie przypomni sobie wystarczającej ilości danych, które pozwolą mu odnaleźć rodzinę, będą się zachowywać, jakby był Jakiem. Będzie spędzał każdą chwilę, próbując przypomnieć sobie swoje nazwisko, adres, miejsce zatrudnienia - wszystko, co mogłoby pomóc. A w tym czasie dla wszystkich znajomych będzie Jakiem Bryanem; dla wszystkich oprócz Jamie.

A potem, gdy już nadejdzie czas jego powrotu do domu, zrobi to po cichu, bez żadnego rozgłosu. I dopiero wtedy Jamie powie Sierrze, że jej ojciec zginął, ratując ludzi z pożaru, że Jezus zawołał go do siebie.

Kolejne dni wlokły się niemiłosiernie. Miły człowiek mieszkający w jej domu wciąż pod wieloma względami przypominał Jake'a. Bawił się z Sierrą w konika i zakręcał jej loki przed niedzielnym wyjściem do kościoła. We trójkę spędzili Święto Dziękczynienia, podczas którego ich oczy spotykały się wielokrotnie i wtedy oboje wiedzieli... że to tylko kwestia czasu.

W najgorszych chwilach, gdy wszyscy troje czuli się rodziną, gdy serce Jamie nie dawało się przekonać, że Jake nie żyje, nawiedzała ją straszna

myśl: pragnęła, by ów człowiek nigdy nie odnalazł drogi do domu, a ona i Sierra mogły zatrzymać go na zawsze.

Ale to nie byłoby w porządku i tak naprawdę wcale tego nie chciała. Chciała Jake'a, a skoro nie mogła mieć jego, nie mogła też zmusić obcego człowieka, by zajął jego miejsce, nawet jeśli pamięć tego mężczyzny miałaby nigdy nie powrócić. Gdy tylko nachodziły ją takie myśli, Jamie zaszywała się w spokojnym miejscu i brała do rąk Biblię, która kiedyś należała do Jake'a. Czytała wtedy wciąż te same fragmenty dotyczące Bożej mocy i planu, jaki ma On wobec swojego ludu; planu, który daje nadzieję i przyszłość.

Spędziwszy godzinę na rozmowie z Bogiem, Jamie zazwyczaj była w stanie uporządkować myśli na tyle, by zrozumieć, iż pragnie kochać tego obcego mężczyznę z pokoju gościnnego tak, by pomóc mu wrócić do domu. Musiała też wierzyć, że Bóg pomoże jej w bolesnych chwilach, które jeszcze są przed nią.

Z czasem przebłyski pamięci nieznanego stawały się coraz częstsze i coraz bogatsze w wyraźne szczegóły. Nie mógł znieść myśli, że potwierdzają one tylko oczywistą prawdę: absolutnie nie jest Jakiem Bryanem. Przypomniawszy sobie, jak zaglądał do hełmu strażackiego, jak widział przyklejone tam zdjęcie i podpis Sierry. Pamiętał rzekę ludzi schodzących w dół po schodach i strażaków wchodzących na górę. Gdy tylko sądził, że owe wspomnienia mogą w jakikolwiek sposób ulżyć Jamie w jej bólu, opowiadał jej o nich.

Prawie każdy wieczór spędzali przy komputerze, przekopując się przez setki artykułów prasowych z 11 września oraz listy zdjęć tysięcy poległych w World Trade Center, szukając twarzy, która mogłaby przypominać Jake'a. Zdjęcia były ułożone w kolejności alfabetycznej. We czwartek doszli do litery T. Przy jednym nazwisku na dziesięć brakowało fotografii, nie było więc żadnej gwarancji, że ich praca przyniesie oczekiwany skutek. Mimo to musieli spróbować.

Jamie wskazała na nieco zamazane zdjęcie.

- Możesz powiedzieć, jakie on ma włosy?

- Zbyt rude. Jamie westchnęła.

- No tak, masz rację - przeszła do kolejnego zdjęcia.

Nagle kolejny przebłysk rozświetlił mu mroki niepamięci: zobaczył, jak schodzi w dół po schodach i potyka się, Jake pomaga mu się podnieść, a potem coś jeszcze... Obrócił krzesło w stronę Jamie.

- Jamie...

- Ten na pewno nie - patrzyła na zdjęcie łysiejącego, starszego o jakieś dziesięć lat mężczyzny. - O wiele za stary.

- Nie chodzi o zdjęcie, Jamie... - poczekał, aż na niego spojrzy. - Coś sobie przypomniałem.

Zamrugła, dłonie zamarły jej nad klawiaturą.

- Co?

- Coś, co powiedział Jake - w powietrzu unosiło się wielkie napięcie. - Powiedział, że Sierra jest jego córeczką.

Jamie szeroko otworzyła oczy.

- Pamiętasz to?

- Tak - skinął głową.

- Co... - łzy napłynęły jej do oczu, a twarz zbladła. - Co jeszcze mówił?

- Jamie... - nie było to łatwe. Jego wspomnienia dawały jej możliwość dowiedzenia się, jak wyglądały ostatnie chwile życia Jake'a.

- Powiedz - przełknęła z trudem - chcę wiedzieć. Nastąpiła chwila ciszy.

- Powiedział, że lepiej już pójdzie. Jego koledzy wychodzili bez niego.

Przez chwilę wpatrywała się w niego. Wreszcie zapytała, cicho szepcząc:

- Budynek już się chwia, prawda? Tak chyba mówiłeś?

Skinął głową.

- Tak.

- To dlaczego...? - zgarbiła się, pochyliła ku niemu i oparła głowę na jego ramieniu. - Dlaczego stamtąd nie uciekł?

- Och, Jamie... - delikatnie ujął ją za ramiona i pocałował w głowę. - Nie pytaj. Wiesz przecież, że nie mógł...

Przemawiał do niej cichym, łagodnym głosem. Nie płakała, ale widać było, że jest wyczerpana. Objął ją ramionami. Ich zażyłość nabrała zupełnie innego charakteru, odkąd się dowiedzieli, że nie jest Jakiem, ale na pewno nie zanikła.

- Posłuchaj... - chciał coś powiedzieć, wiedząc, że to odpowiednia chwila.

- Nie znałem Jake'a za jego życia, ale znam go teraz. Jamie. Naprawdę. Znam jego myśli i - wierz mi - on by nigdy nie zawrócił tam, na schodach.

Usiadła prosto, jej ruchy były powolne i miarowe. Ich spojrzenia spotkały się. Patrzył jej w oczy i dostrzegł w nich błysk zrozumienia, którego tam przedtem nie było. Wzruszyła ramionami i zdobyła się na smutny uśmiech.

- Wiem... - przez chwilę wydawało mu się, że powie coś innego, ale potrząsnęła głową i cicho westchnęła. - Wiem.



Tak upływały dni. Jamie nieustannie starała się pamiętać, że mężczyzna mieszkający z nimi nie jest Jakiem, ale czasem trudno jej było przekonać samą siebie.

Pewnego dnia siedzieli przy stole i jedli śniadanie. Sierra skończyła swoje płatki i podeszła do niego od tyłu. Objęła go rączkami za szyję i pocałowała w policzek.

- Chodźmy dziś do biblioteki, tatusiu - oczy jej się śmiały na samą myśl o wspólnej wyprawie. - Potrzebujemy więcej książek.

- Więcej książek? A cała biblioteczka na górze? - postukał ją palcem po nosie i uśmiechnął się. - Najpierw przyjrzyjmy się tamtym książkom.

- Och, tatusiu, proszę...

Zmierzył jej włosy i mrugnął porozumiewawczo.

- Właściwie dlaczego nie, kochanie.

Jamie przymknęła powieki i pomyślała, że musiała tu zejść jakaś pomyłka. Te słowa, ten ton, ten wyraz twarzy, gdy zwracał się do Sierry... przecież to cały Jake! To musi być on!

Kiedy indziej zastała go w pokoju gościnnym siedzącego na łóżku i studiującego Biblię Jake'a. Był tak pogrążony w lekturze, że nie usłyszał jej kroków. Jamie stanęła jak urzeczona. Chciała wpatrywać się w ten obraz i udawać - choćby przez mgnienie oka - że Jake żyje. Patrzyła na niego, gdy nagle podniósł głowę i uśmiechnął się do niej.

- Czytałaś List św. Jakuba? - wskazał na wytarte kartki. - Jest niesamowity. Chodź, zobacz.

Zawahała się, nakazując sobie spokój. Jake często tak robił. Prosił, by usiadła obok, gdy czytał List św. Jakuba lub listy św. Pawła - do Efezjan lub do Rzymian; te, które akurat w danym tygodniu studiował.

Teraz i ona tak robiła. Gdy nie pracowali nad ustaleniem jego tożsamości, nie wychodzili z Sierrą do parku, nie sprząтали, nie gotowali ani nie robili zakupów, Jamie czytała Biblię. Pastor jej podarował. Oprócz tego brała dziennik Jake'a albo jego zapiski i szukała jego ulubionych fragmentów. Czuła wtedy, że jest bardzo blisko niego. Prawie, jakby siedział obok...

W takich chwilach była spokojna i wyciszona. Rozumiała, dlaczego tak się dzieje. To Bóg jej pomagał; przygarniał ją i przygotowywał na czekający ją ból. ów ból miał nadejść, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Ale jeszcze nie teraz... przynajmniej dopóki człowiek wyglądający zupełnie jak Jake nadal z nią mieszkał.

Niekiedy wyobraźnia płatała jej figle. Wystarczyło, by popatrzyła na niego, chwilę go poobserwowała, porozmawiała z nim czy przytuliła się do niego, by zaczęły pojawiać się wątpliwości. A może badanie krwi było błędne? Może to, co sobie przypomniał, nie było przeblyskami pamięci? Im więcej miała pytań, tym bardziej pragnęła, by nigdy nie ustalili jego tożsamości. Dni upływały powoli - bywały chwile, kiedy mogłaby przysiąc przed każdym sądem, że mieszkający z nią człowiek nie jest kimś obcym, na kogo gdzieś tam czeka żona-blondynka i mały chłopiec, ale Jakiem Bryanem, w którym się zakochała w wieku dwunastu lat.

RS

## Rozdział 32

4 grudnia 2001

Pod koniec drugiego tygodnia Jake miał już pewność, że w chwili ataku na World Trade Center pracował w Południowej Wieży. Schodząc na dół, mniej więcej w połowie drogi, spotkał na klatce schodowej Jake'a Bryana.

Tam właśnie musiał upaść, a Bryan - pomagając mu - zgubił widocznie swój hełm. To wtedy musiał zobaczyć zdjęcie Sierry i jej imię. Pokonując resztę drogi w dół, miał świadomość, że ten strażak, tak bardzo do niego podobny, nie wyjdzie żywy z płonącego budynku i że od tamtego okropnego poranka mała dziewczynka Sierra nie będzie miała taty...

Musiało to wyrzucić na nim bardzo mocne wrażenie, skoro tylko ono nie zostało wymazane z jego pamięci, gdy Południowa Wieża zawałiła się, a podmuch rzucił go pod wóz strażacki.

Ta część całej historii, choć niewiarygodna i nieprawdopodobna, miała sens zarówno dla niego, jak i dla Jamie. Jednak inne szczegóły nie dawały się już tak łatwo dopasować. Od dwóch tygodni w wielu przeblyskach pamięci pojawiała się owa kobieta o jasnych włosach. To była jego żona - co do tego nie miał wątpliwości.

Niektóre z przypominanych sobie scen były tak żywe, że chciało mu się płakać. Na przykład ta, gdy on i jego piękna żona dopiero się poznali i często siadywali przed jakimś małym budynkiem - ona śpiewała, a on grał na gitarze. Pamięć miłości, którą ją wtedy darzył, była wprost przytłaczająco realna. Kontrastowało to jednak ze wspomnieniami całkiem niedawnymi - jak spiesznie wychodzi z domu, by spędzić kolejny weekend w pracy, cokolwiek to była za praca. Miał już teraz wystarczająco dużo fragmentów układanki, żeby stwierdzić, że nie był w niczym podobny do Jake'a Bryana.

Pamięć podpowiadała mu, że początkowo bardzo kochał ową blondynkę oraz że razem cieszyli się z narodzin syna, ale później on pozwolił tym uczuciom wystygnać. A wszystko po to, by mógł awansować i robić karierę w swej branży.

Uderzyło go coś jeszcze: nie wiedział, jak to możliwe, ale pamiętał, że miał córkę, lecz nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek trzymał ją w ramionach. W żadnym z przeblysków pamięci nie pojawiała się jej twarz czy głos, a mimo to jej obecność była jak najbardziej realna. Zastanawiał się, czy to dlatego, że często myśli o Sierrze, pragnąc, by była jego córką, czy też

naprawdę była w jego życiu jakaś mała dziewczynka - być może dziecko, które stracili? Miał nadzieję, że pewnego dnia te wspomnienia nabiorą sensu.

W chwilach spokoju, gdy Jamie bawiła się z Sierrą na dworze, a on mógł cały swój czas poświęcić przypominaniu sobie przeszłości, dochodził do wniosku, że praca stała się dla niego ważniejsza niż rodzina. Była w tym stwierdzeniu smutna ironia: przecież teraz nawet nie pamiętał, co to była za praca.

Gnębiła go również kwestia jego wiary. Miał niezbitą pewność, że przed atakiem terrorystów był człowiekiem wierzącym, którego wiara jednak musiała w ostatnim czasie ostygnąć. Wszystko to oczywiście teraz się zmieniło. Pozwalając mu żyć życiem Jake'a Bryana, Bóg dał mu szansę, by stał się mężem i ojcem, którym tak naprawdę nigdy nie był. Ledwie mógł to pojąć.

Odkąd poznał wyniki testów krwi, przez wiele wieczorów po położeniu Sierry spać siedział z Jamie nad spisem firm, które miały niegdyś siedzibę w Południowej Wieży World Trade Center. Oboje byli przekonani, że pracował w tym budynku, ponieważ tam właśnie znajdował się Jake podczas katastrofy. Zgodzili się również co do tego, że musiał się spotkać z Jakiem choćby przelotnie.

Czytali więc listę firm, przy każdej chwilę się zastanawiając: Seabury&Smith, Harris Beach&Wilcom, Frenkiel&Company, Morgan Stanley. Jamie wymawiała głośno nazwę firmy, a potem pokazywała mu ją. Jake zastanawiał się przez chwilę, powtarzając ją kilkakrotnie. Jeśli nie przywoływało to żadnych skojarzeń, przechodzili dalej, dopóki mógł się skoncentrować. Do tej pory dwukrotnie przeanalizowali w ten sposób listę, jednak żadna z nazw nie budziła jakichkolwiek wspomnień.

Miał jednak nadejść taki dzień, kiedy przypomni sobie, kim jest, ale czy będzie mógł je opuścić? Sierra na zawsze zabrała mu serce. A Jamie? Aż do chwili zrobienia testów krwi był pewien, że się w niej zakochuje. Ale wspomnienia uświadomiły mu, iż gdzieś tam - być może zaledwie kilka kilometrów od niego - pewna kobieta oplakuje jego śmierć; kobieta i chłopiec, którego traktował podle przez nie wiedzieć jak długi czas. Chciał dostać drugą szansę na życie z nimi, o którą modlił się kilka sekund przed zawaleniem się budynku.

Był poniedziałkowy wieczór. Jamie właśnie skończyła kąpać Sierrę.

- Tatusiu, przyjdiesz mnie pocałować na dobranoc? - dziecięcy głosik dźwięczał w starym domu, nieodmiennie poruszając jego serce.

- Już idę, kochanie!

Wstał i skierował się w stronę schodów. Teraz już dobrze znał to miejsce, przeskakiwał więc po dwa schody naraz. Miał dwie rodziny - taka była prawda - jedną, którą znał, ale do niej nie należał, i drugą, do której należał, ale jej nie znał. Trudno było pojąć tak dziwną sytuację. Wszedł na ostatni stopień. „Boże, spraw, żeby wszystko się ułożyło. Proszę Cię...”.

Wszedł do pokoju dziecięcego i napotkał spojrzenie Jamie. Przez moment patrzyli sobie w oczy. Opuścił wzrok na Sierrę, która wyciągała do niego ręce:

- Tatusiu...

- Dobranoc, królowno - przysiadł na skraju jej łóżeczka i przeczesał palcami delikatne blond loczki, które otaczały jej czoło. - Pomódlmy się.

Był to ich zwyczaj, który ustalili się zaraz po powrocie Jake'a ze szpitala. Dla Sierry nie była to żadna nowość, gdyż Jake Bryan codziennie starał się być w domu, gdy jego córeczka kładła się spać. Modlił się z nią i bawił, łaskotał ją i na żądanie woził na koniku. A teraz z powodu Jake'a i wszystkiego tego, co napisał w swoim dzienniku i na marginesach Biblii, on stał się taki sam.

Jamie oparła mu dłoń na ramieniu, wszyscy troje zamknęli oczy i pochylili głowy.

- Panie Jezu - głos Sierry łagodził jego niespokojne myśli - dziękujemy Ci za dobry dzień, a ja Ci dziękuję za mamusię i tatusia... - zamilkła na chwilę, po czym dodała słowa, które wypowiadała zawsze, odkąd dowiedziała się o Larrym. - Proszę, pozdrów od nas tatusia Katy, który jest tam w niebie, a kiedy Katy jest smutno, bo tęskni za swoim tatusiem, przytul ją, Panie Jezu. Amen.

Jake poczuł, jak Jamie delikatnie ściska go za ramię.

- Panie, dziękujemy za siłę, którą dajesz nam każdego dnia, i za radość odkrywania, iż każdego ranka obdarzasz nas nowymi łaskami. Prosimy, miej nas w swojej opiece podczas snu. Amen.

Teraz nastąpiła jego kolej. Odchrząknął i powiedział:

- Panie, Ty jesteś jedyny, prawdziwy i wierny. Każdego ranka obdarzasz nas nowymi łaskami. Pomóż nam o tym pamiętać przez wszystkie dni naszego życia, bez względu na to, co przyniesie dzień jutrzejszy. Spraw, by Sierra zawsze pamiętała, jak bardzo ją kochamy.

Pochylił się, by ucałować Sierrę. Zazwyczaj był to po prostu całus w policzek, ale tym razem ujęła jego twarz w swoje małe rączki i zajrzała mu w oczy.

- Motylkowe całuski, tato, dobrze?

Jake znał już teraz dobrze ten zwyczaj i trzykrotnie potarł swój nos o jej, potem szybko przechylił głowę tak, żeby mogli wzajemnie połaskotać się rzesami po policzkach. Gdy skończyli, uśmiech rozjaśnił buzię dziecka.

- Jesteś najlepszym tatusiem na świecie!

Gdy wychodził z dziecięcego pokoju, trzymając Jamie za rękę, przyszła mu do głowy tamta blondynka i samotny, mały chłopiec - ten sam, którego nie widywał zbyt często w ciągu minionych kilku lat. I wtedy bezgłośnie wyszeptał jeszcze jedną modlitwę, którą ostatnio częściej odmawiał: żeby pewnego dnia spełniły się słowa, które wypowiedziała przed chwilą Sierra.

\* \* \*

Przełom nastąpił godzinę później. Jamie myła zęby w łazience na górze. W telewizji była właśnie reklama: człowiek przechodzący przez jakieś pomieszczenia biurowe zatrzymał się, by spojrzeć w kamerę.

- 11 września firmę KoppelfiGrant spotkał bolesny cios: straciliśmy dwóch pracowników, zaś nasze biuro w Nowym Jorku zostało kompletnie zniszczone - mężczyzna oparł się o stojące w pobliżu biurko. - Wraz z całym Manhattanem oplakujemy wszystkich, którzy zginęli w zamachu terrorystycznym. Jednocześnie chcemy jednak powiedzieć, że przetrwaliśmy. W tym miesiącu otwieramy nasze nowe biuro na Manhattanie - mężczyzna rzucił okiem na zmieniony zarys budynków Manhattanu. - Koppel&Grant chce, by źli ludzie, którzy pragnęli nas zniszczyć, zdali sobie sprawę z tego, że nadal tutaj jesteśmy i dzięki pomocy ludzi z Nowego Jorku i całej Ameryki pozostaniemy tu na wiele lat.

Obraz zniknął, a na ekranie pojawił się emblemat firmy. Męski głos powtórzył:

- Koppel&Grant. W Los Angeles, a teraz... ponownie... w Nowym Jorku! Marka, której ufaliście przedtem. Marka, której możecie zaufać teraz.

Jake wstał, drżały mu kolana...

- Jamie! - zawołał, uważając, by nie zbudzić Sierry. Usłyszał tupot jej stóp po schodach. Zanim do niego dobiegła, był więcej niż pewny.

- Coś sobie przypomniałem.

Przez krótką chwilę dostrzegł na jej twarzy smutek i żal i wtedy zrozumiał: rozmawiali kiedyś o tym, że są takie chwile, gdy oboje pragnęliby, żeby sobie nigdy nie przypomnieli. Ale smutek szybko zniknął z twarzy Jamie. Głośno przełknęła ślinę.

- Co takiego... powiedz? Wskazał na telewizor.

- Pracowałem kiedyś w Koppel&Grant.

\* \* \*

Następnego ranka Jamie zatelefonowała do Koppel&Grant. Zdecydowali, że najlepiej będzie zacząć od rozmowy z kimś z nowego biura na Manhattanie. W końcu Jake musiał pracować w Nowym Jorku, skoro w czasie ataku terrorystycznego był w budynku World Trade Center. W kilka sekund Jamie znalazła numer do nowej siedziby Koppel&Grant. W chwilę później ona i miły człowiek siedzący naprzeciwko przez długą chwilę wpatrywali się w siebie.

Oboje wiedzieli, co ich czeka. Jeśli rozmowa, którą zaraz odbędzie Jamie, doprowadzi ich do odkrycia jego prawdziwej tożsamości i rodziny, to ich wspólne dni dobiegną końca. Może nawet już jutro... Jamie ponownie przyszła do głowy myśl, by wyrzucić numer telefonu do śmieci i błagać tego mężczyznę, tak podobnego w wyglądzie i zachowaniu do Jake'a, by został z nią i z Sierrą. Ale wiedziała, że on należy do kogoś innego, szybko więc porzuciła ów pomysł. Wzięła jego dłonie w swoje, pochyliła głowę i modliła się, błagając Boga, by ów trop z Koppel&Grant był rozwiązaniem, którego od tak dawna szukali.

- Prosimy Cię, Boże, pomóż teraz... - już miała wypowiedzieć imię Jake'a, ale poprawiła się - mojemu przyjacielowi odnaleźć rodzinę.

Z oczyma pełnymi łez Jamie uśmiechnęła się do mężczyzny.

- No dobrze... - westchnęła głęboko i podniosła słuchawkę. - Niech będzie...

Sierra bawiła się w domu po drugiej stronie ulicy, mogli więc spokojnie rozmawiać, jak długo będzie trzeba. Jamie wystukała numer i przez następne dziesięć minut przełączano ją od sekretarki do kierownika sekcji, potem do szefa oddziału i wreszcie do dyrektora działu kadr.

Za każdym razem tłumaczyła, o co chodzi, że próbuje pomóc komuś poszkodowanemu w ataku 11 września odnaleźć rodzinę, a owemu człowiekowi wydaje się, że pracował niegdyś w firmie Koppel&Grant. Ale za każdym razem osoba na drugim końcu linii milczała przez chwilę, po czym tłumaczyła, że jest tu nowa albo że nie zajmuje się tego typu sprawami. Następnie przełączano Jamie do kogoś innego, kogoś kto już na pewno miał jej pomóc. Zanim dotarła do dyrektora działu kadr, była już u kresu wytrzymałości. Obok niej siedział obcy człowiek, którego zdążyła pokochać, i ledwie oddychał, utkwivszy w niej oczy.

- W czym mogę pomóc? - głos kobiety w słuchawce brzmiał miło, ale Jamie musiała przymknąć na chwilę oczy, zanim uspokoiła się na tyle, by coś powiedzieć.

- Jest tu ze mną pewien znajomy, który ucierpiał podczas ataku na World Trade Center 11 września. Miał... miał amnezję... - Jamie napotkała wzrok mężczyzny i poczuła znaną już więź, jaka łączyła ich od czasu ataku. Odwróciła spojrzenie, by móc się skoncentrować. - Chodzi o to, że ów człowiek sądzi, że pracował kiedyś w firmie Koppel&Grant. Potrzebuję spis pracowników waszej firmy, którzy zginęli, gdy zawałiła się Południowa Wieża.

- Cóż... - kobieta zawahała się - to krótka lista. Nasza firma straciła tylko dwóch pracowników.

Taką samą informację podano wczoraj w reklamie, ale Jamie wolała się upewnić. Serce zaczęło jej szybciej bić. Jeśli na liście zabitych lub zaginionych są tylko dwa nazwiska, to ustalenie, czy mężczyzna siedzący naprzeciw niej jest jednym z nich, powinno okazać się łatwe. Jamie oparła czoło na dłoni i przymknęła powieki. „Boże, dodaj mi sił. Pomóż mi pragnąć tego, czego Ty pragniesz...”.

- Czy może mi pani podać ich nazwiska i powiedzieć o nich coś więcej?

- Mmmm... - kobieta rozważała przez moment jej prośbę i na kilka chwil w słuchawce zapadła cisza. Potem odezwała się ściszym nieco głosem - Właściwie... dlaczego by nie? I tak nie żyją... Każdy ich znał, byli najważniejszymi ludźmi w firmie.

Jamie rzuciła okiem na faceta siedzącego obok. Najważniejsi ludzie w firmie? Człowiek, który mieszkał w jej domu przez ostatnie miesiące, nie zachowywał się wcale jak rekin biznesu. Teraz uśmiechnął się i przykrył jej rękę swoją. Jamie zdziwiła się: członek zarządu? Nie, to niemożliwe. Skupiła się ponownie na rozmowie.

- A jak się nazywali?

- Jeden z nich to R. Allen Koppel drugi - Erie Michaels.

Jamie wstrzymała oddech.

- To wszystko? - wypuściła powietrze z wysiłkiem.

- Czy może mi pani jeszcze coś o nich powiedzieć?

- Oczywiście - kobieta nie spieszyła się. - Allen był miłym człowiekiem po pięćdziesiątce, kilkakrotnie żonatym, bezdzietnym. Nikogo nie kochał tak jak firmę... - umilkła na chwilę. - Erie był młodym, przystojnym mężczyzną.



Pracował w naszym biurze w Los Angeles. W tamten wtorek był tu w podróży służbowej.

Jamie poczuła, jak opuszczają ją resztki sił. Erie Michaels? Czy to był człowiek, obok którego właśnie siedziała; człowiek, z którym dzieliła dom i swoje życie w ciągu ostatnich miesięcy? Zacisnęła powieki.

- Jak... jak wyglądał?

- Mówiłam już... - gdzieś w tle zadźwięczał telefon i kobietę wyraźnie przestała interesować ta rozmowa. - Facet był przystojny, wysoki, prawie metr dziewięćdziesiąt, ciemne, krótko ostrzyżone włosy, wysportowana sylwetka...

To wystarczyło. Opis tak dobrze pasował do siedzącego obok człowieka, jakby kobieta była tutaj i widziała go na własne oczy. Coś jeszcze mówiła, powtarzała szczegóły dotyczące jego pracy w biurze w Los Angeles. Jamie próbowała się skupić.

- Erie za dużo pracował. Z tego, co wiem, nie spędzał zbyt dużo czasu w domu. Tak naprawdę...- jej głos napełnił się smutkiem - to praca go zabiła. Ich obydwu...

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Gdy samolot uderzył w Południową Wieżę, wszyscy pozostali pracownicy wyszli przez klatkę schodową. Byli na sześćdziesiątym czwartym piętrze, więc mieli wystarczająco dużo czasu, by uciec - przerwała. - Ale Allen i Erie zostali. Ostatni raz widziano ich, jak wpisywali dane, próbując dokończyć ostatnią transakcję przed zejściem na dół.

- Więc wszyscy w Koppel&Grant są przekonani, że obaj ci panowie zginęli? - Jamie nie po raz pierwszy nienawidziła samej siebie za to, że jednak ma nadzieję.

- Tak się uważa. Oczywiście wszystko jest możliwe - kobieta cmoknęła. - W końcu brakuje jeszcze tysiąca ludzi. Nie odnaleziono ciał żadnego z nich.

Jamie podziękowała kobiecie i rozłączyła się. Spojrzała na siedzącego naprzeciw niej mężczyznę i w głębi serca już wiedziała, że ich wspólny czas dobiegł końca. Zapytała łagodnym, miłym tonem, jak gdyby znała odpowiedź na swoje pytanie:

- Czy imię Erie coś ci mówi?

Zamrugnął, na twarzy jego pojawił się wyraz olśnienia, niezaprzeczalnej pewności. Otworzył usta i to, co powiedział, sprawiło, że Jamie jednocześnie zachciało się gorzko płakać i krzyczeć z radości.

- Imię Erie kojarzy mi się tylko z jednym - przełknął ślinę i mocniej ścisnął jej dłoń. - Z nazwiskiem Michaels. Erie Michaels - zajrzał jej w oczy.  
- Czy... czy to ja?

Łzy popłynęły z jej oczu, chociaż bardzo starała się je powstrzymać.

- Tak... - wykrzyknęła radośnie i uściskała go, zdając sobie sprawę, że będzie mogła to uczynić jeszcze tylko kilka razy w życiu. - Nazywasz się Erie Michaels.

RS

## Rozdział 33

4 grudnia 2001

Był już grudzień. Czas leczył rany. Laura pogodziła się z faktem, że problemy w jej małżeństwie były winą ich obojga - zarówno Erica, jak i jej. Nie było więc komu wygrażać pięścią, nie było sensu pielęgnować w sobie poczucia winy czy gniewu. Nie zdawała sobie nigdy sprawy, jak bardzo zraniła go utrata córki. Potem już tylko pozwolili umrzeć swojej miłości, a Erie zamienił ją na wysokie stanowisko w Koppel&Grant; stanowisko, które wymagało od niego wszystkiego: czasu, poświęcenia, całego serca i duszy, a ostatecznie także życia.

Laura i Josh jakoś sobie radzili. Hotel, w którym zatrzymał się Erie w Nowym Jorku, wreszcie odesłał jego walizkę. Nie było w niej nic interesującego, żadnych widokówek, pamiątek. Miesiąc później od władz Nowego Jorku dostali urnę z prochami zebranymi w Strefie Zero. Nie przyjęli jednak zaproszenia na nabożeństwo żałobne poświęcone ofiarom ataku na Manhattanie. Oni oboje nie potrzebowali żadnego nabożeństwa, żeby uczcić pamięć Erica.

Potrzebowali raczej cudu, choć w praktyce przyzwyczajenie się do życia bez Erica okazało się

stosunkowo proste. Gdy już Laura otrząsnęła się z gniewu i ciągłego samooskarżania, gdy już przestała zastanawiać się, co powinna była zrobić i co mogłoby się było zdarzyć, gdyby..., kiedy wreszcie pogodziła się z rzeczywistością, nie było tak naprawdę czego opłakiwać. Erie zniknął z ich życia na długo przed wyjazdem do Nowego Jorku. Wypełniając puste miejsce po nim (a może po prostu czując się znowu kochaną), Laura polubiła spędzanie czasu z Clayem.

Był wtorkowy poranek. Poprzedniego wieczoru Laura, Clay i Josh zjedli wspólnie miłą kolację. Teraz Josh grał w piłkę z kolegami, a Clay miał zaraz przyjść. Zamierzali we trójkę zrobić wczesne zakupy świąteczne w Thousand Oaks Mall.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Laura przeczesła palcami włosy. Każdego dnia coraz bardziej cieszyła się z obecności Claya, ale nie była pewna, czy ich związek podobałby się Bogu. Chyba nie za bardzo, jak się domyślała. Bariera oddzielająca ich przyjaźń od miłości była jak drut kolczasty. Żadne z nich nie zamierzało jej przekraczać, przynajmniej na razie.

Niemniej Laura musiała przyznać, że w ciągu ostatnich kilku tygodni złapała się kilka razy na myśli, że Clay jej się podoba i że zaczyna się nim interesować, trochę podobnie jak miało to miejsce dawno temu, w pierwszej klasie liceum.

Nie zastanawiała się nad tym dłużej. Przez krótką chwilę znowu poczuła złość na Erica. Całe to zamieszanie, niesforne myśli - wszystko to jego wina. Czemu nie powiedział jej, że nadał ich córce imię i że wciąż ją oplakuje? Czemu nie otworzył przed nią serca? Może wówczas nie zaangażowałby się tak bardzo w pracę? Może byłby w domu w tamten straszny wtorkowy poranek?

Myśli pierzchły, gdy tylko otworzyła drzwi. Przed nią stał Clay z bukietem róż.

- Proszę - wręczył jej kwiaty. - Za wczorajszą kolację - uśmiechnął się.

Laura wzięła bukiet i przekrzywiła głowę. Cały Clay - zawsze taki był. Troszczył się o nią i stawiał na piedestale, choć wiedział, że jej serce należy do Erica. Coś w jego uśmiechu przyciągało ją ku niemu. Trzymając kwiaty w jednej ręce, drugą objęła go. Chciała się cofnąć, ale on nadal ją obejmował.

- Wiesz, co?

- Co? - Laura opuściła podbródek i uśmiechnęła się do niego. Starła się mówić żartobliwie i wesoło, żeby sytuacja nie przerodziła się w coś, na co jeszcze nie była gotowa.

- Lubię patrzeć, jak się uśmiechasz.

- Dzięki - serce Laury na moment zamarło. - Miło mi.

Zanim któreś z nich zdążyło się cofnąć, przybliżył twarz do jej twarzy i nieśmiało pocałował ją w usta. Nie trwało to dłużej niż mgnienie oka, ale sprawiło, że stali naprzeciw siebie, wpatrując się w swoje oczy, zarazem przestraszeni i zaciekawieni. W pewnym sensie to, że stała tutaj, tuląc się do Claya, było najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Znali się w końcu od wieków i zawsze się lubili. Jednak nie w ten sposób.

Laura właśnie miała coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon. Cofnęła się i uniosła bukiet.

- Wstawię je do wody...

Dawno już nie czuła się tak lekko i swobodnie. Weszła do kuchni i podniosła słuchawkę.

- Halo? - podeszła do szafki obok zlewu i wyciągnęła stamtąd zakurzony wazon.

- Laura? Mówi Murphy... - zamilkł na moment. - Siedzisz?

Krew odpłynęła Laurze z twarzy, roześmiała się nieco sztucznie. Tylko jedno przychodziło jej do głowy: znaleźli ciało Erica.

- Murphy... o co ci chodzi?

- Mówię poważnie, Lauro, lepiej usiądź.

Murphy zawsze był szorstki i rzeczowy. Brakowało mu słów, a jeszcze bardziej osobowości. Ani raz w ciągu wszystkich lat ich znajomości nawet nie spróbował powiedzieć czegoś zabawnego. Laura odłożyła wazon z kwiatami na blat kuchenny, przeszła do salonu i usiadła na sofie. Kątem oka zauważyła, jak Clay wchodzi i siada obok niej. Spojrzała szybko na niego i wyszeptała bezgłośnie:

- Murphy. Głęboko odetchnęła.

- Co słyhać, Murphy? Dziwnie mówisz. Murphy zamruczał coś pod nosem, potem gwałtownie zasapał.

- Lauro, dzwoniła dziś do mnie jakaś kobieta z Nowego Jorku. Nie uwierzysz, wiem, bo sam do tej pory nie wierzę...

Laurę coś chwyciło za gardło, a jej serce zaczęło bić jak szalone.

- Powiedz, o co chodzi, Murphy? Co za telefon?

- Ta kobieta powiedziała, że jest u niej Erie. Żyje! Miał amnezję po wybuchu, ale żyje. Mieszka od tamtej pory na Staten Island, Lauro...

Laura byłaby wypuściła słuchawkę ale ręce jej całkiem zeszywniały.

- Co?! - wstała i zaczęła szybko krążyć po pokoju to w jedną, to w drugą stronę. - Murphy, nie rób mi tego, jeśli nie mówisz serio. Erie żyje?

Spojrzała na Claya i dostrzegła całą paletę uczuć malujących się na jego twarzy: szok, niedowierzanie, zmieszanie. Szybko jednak opanował się i przybrał wyraz nadziei oraz oczekiwania. Natychmiast też znalazł się przy niej i objął ją ramieniem. Laura słuchała szczegółowej relacji z tego, co się stało.

- Erie chyba wyglądał dokładnie tak samo jak mąż tej kobiety, strażak z Nowego Jorku - Murphy zawahał się. - W końcu wczoraj okazało się, że to jednak nie jej mąż, tylko Erie.

Laura nie była w stanie rozeznaczyć swoich uczuć. Erie żyje? Jak to możliwe? I czy to na pewno on? Zacisnęła mocno oczy.

- A jeśli to nie on?

- Wraca mu pamięć, Lauro. Teraz już pamięta, kim jest.

A więc to prawda! Erie żyje! Prawdziwość tego faktu powoli docierała do jej świadomości. Od 11 września Laura znajdowała pocieszenie, wspo-

minając wspólnie przeżyte dobre chwile, dni zaraz po ślubie, zanim jeszcze stracili córeczkę Sarę. Ale teraz, gdy dowiedziała się, iż Erie żyje, do głosu dochodziły świeższe wspomnienia. A więc żyje? Czy to oznacza, że wróci do domu, znów gotów podjąć poprzedni styl życia w Koppel&Grant? Czy on w ogóle chce wracać do domu? Czy znajdzie tu swoje miejsce po tak długiej nieobecności? Nad tym wszystkim trzeba było się zastanowić i Laura sama nie wiedziała, co ma czuć.

Ledwie słuchała trajkotania Murphy'ego o jego rozmowie z kobietą z Nowego Jorku. Jednego tylko była całkowicie pewna: dobrze, że nie pozwoliła sobie na zakochanie się w Clayu Michaelsie. Lubiła go - to prawda, ale nigdy by go nie pokochała, ponieważ całe jej serce i dusza należały do jedynej mężczyzny, jaki kiedykolwiek miał do nich prawo.

To prawda, że w ich małżeństwie nie działało się najlepiej, że były sprawy, o których musieli poważnie porozmawiać. Być może minie kilka miesięcy czy nawet lat, zanim uda im się wszystko naprawić. Ale bezsprzecznie Erie zajmował w jej życiu ważne miejsce. Zdecydowanie! Żył, a to oznaczało, że otrzymała jeszcze jedną szansę, o którą tak się modliła; szansę, by móc kochać mężczyznę, który po wszystkim, co przeszedł, miał wkrótce wrócić do domu; mężczyznę, który być może pewnego dnia będzie chciał opłakiwać utratę ich dziecka, a z czasem może zdecyduje się na zmiany w ich małżeństwie, które sprawią, że będą stanowić rodzinę, o jakiej zawsze marzyła. Tym mężczyzną był Erie Michaels.

## Rozdział 34

4 grudnia 2001

Szybko zapadły niezbędne ustalenia. Teraz, gdy już żona Erica знаła prawdę, Jamie nie miała wyboru - musiała zadzwonić. Wskutek tej rozmowy mężczyzna, który tak bardzo przypominał Jake'a, miał zostać odesłany do własnego domu, a serce Jamie miało opustoszeć, podobnie jak jej dom.

Erie poprosił ją, żeby to ona porozmawiała z Laurą, ponieważ po tak długiej nieobecności i po tak wielkiej zmianie, jaka w nim zaszła, nie chciał rozmawiać z żoną dopóki nie staną twarzą w twarz.

Jamie dobrze to rozumiała. Tak więc zadzwoniła do owej kobiety i w sposób możliwie najprostszy opowiedziała ze szczegółami o tym, co się działo z Ericem.

- Mógłby być bratem bliźniakiem mojego męża - wyjaśniając sytuację Laurze Michaels, Jamie siedziała obok Erica i trzymała jego dłoń. - Dopiero, gdy zaczął mieć przebłyski pamięci, zdaliśmy sobie sprawę, że być może to nie jest jednak człowiek, którego poślubiłam.

Kobieta słuchała, a gdy kilkakrotnie przerywała, by zadać jakieś pytanie, jej głos przepełniało głębokie zrozumienie. Tylko raz zapytała o zażyłość, jaka najwyraźniej zrodziła się pomiędzy Ericem i Jamie.

- Czy... czy mój mąż panią kocha?

Jamie poczuła ucisk w gardle. Ścisnęła mocniej rękę Erica.

- Bardzo się zaprzyjaźniliśmy - pociągnęła nosem, zmuszając się do opanowania. Spojrzała na Erica. - Ale to pani mąż, pani Michaels. Pragnie wrócić do domu jak najszybciej.

Godzinę później Laura zadzwoniła z gotowym planem: przyleci nazajutrz na lotnisko La Guardia tuż przed południem i zabierze Erica do domu. Dla Jamie na tym wszystko się zakończy. Będzie to koniec dwumiesięcznej wiary, że jej mąż żyje, i nadziei, że pomiędzy jej obecnym i dawnym życiem, dzielonym z Jakiem, tkwi tylko jedna przeszkoda w postaci kilku zatartych wspomnień.

Odłożywszy słuchawkę, przytuliła się do Erica i wyszeptała mu do ucha:

- Módl się za Sierre... to będzie dla niej takie trudne...

- Jamie, kochanie, przepraszam... Nie chciałem, żeby tak się stało... - głaskał ją po plecach, a ona szlochała cicho. - Gdyby pamięć wróciła mi wcześniej, może nic z tego by się nie...

Cofnęła się i położyła mu palec na ustach.

- Nie, Erie... Bóg chciał, żebyś tu się pojawił - pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do niego przez łzy. - Choć jest to dla nas tak trudne, to jednak fakt, że stałeś się częścią mojego życia, był w Jego planach - zaśmiała się radośnie i otarła policzki. - Pomyśl, bez ciebie nie nauczyłabym się wierzyć w Boga. A ty... - otarła kolejny strumyczek łez - ty nadal byłbyś ważnym biznesmenem, który nie potrafi kochać - potrząsnęła głową i delikatnie ujęła jego twarz w dłonie. - A teraz... do końca życia będzie ci towarzyszyć maleńka cząstka Jake'a Bryana.

- Ale jak... - wyszeptał Erie prawie niedosłyszalnie, a każde jego słowo przerywały napływające do oczu łzy - jak ja się z wami rozstanę?

\* \* \*

Ostatni wieczór spędzili razem z Sierrą. Zamówili pizzę hawajską i Erie sumiennie zebrał wszystkie kawałeczki ananasa, by je oddać Sierrze, która już kilka tygodni wcześniej obwieściła, że jest ananasową księżniczką. Po obiedzie czytali jej na zmianę, a wreszcie umościli się po obu jej stronach na sofie i wspólnie obejrzelili Małą syrenkę. Pod koniec filmu, gdy mała syrenka decyduje się wrócić na ląd i musi pożegnać się z ojcem, Erie nie mógł opanować nieprzerwanego strumienia łez spływającego po policzkach. Nie śmiał spojrzeć na Jamie. Wiedział, że ona też płacze.

Wieczorny rytuał wyglądał tak jak zawsze, z tym, że dziś Erie pocałował Sierrę na dobranoc i wyszedł z jej pokoju po raz ostatni. Zamknął drzwi, zrobił dwa kroki, ale odwrócił się i padł prosto w ramiona Jamie.

- Ona zasługuje na ojca, Jamie - wydał z siebie cichy, rozpaczliwy jęk. - Gdy pomyślę, że od jutra nie będzie go miała...

Jamie również płakała, ale była w niej zdumiewająca siła. Widać było, że modliła się w intencji tego pożegnania, prosząc Boga, by przygotował na nie jej serce i przeprowadził ją przez nie. Ericowi pozostawało żywić nadzieję, że dla niego Bóg dokona tego samego. Jakaś jego cząstka nie mogła się już doczekać chwili, gdy znów będzie z Laurą, gdy pokaże jej, jak bardzo się zmienił, i będzie błagał o przebaczenie za to, jak ją dawniej traktował. Z każdą godziną przypominał sobie coraz więcej i zdawał już sobie sprawę, że bardzo zaniedbał zarówno żonę, jak i synka. Modlił się, żeby mu wybaczyli.

Ale choć wyczekiwał spotkania z nimi, na myśl o opuszczeniu Jamie i Sierry czuł się rozdartą. Tego wieczoru, pożegnawszy się z Jamie u stóp schodów i powiedziawszy jej dobranoc, poczuł przemożną pokusę, by pójść za nią. Tylko ten jeden raz. Leżeć obok niej, przytulać ją, kochać i płakać wraz z nią, i razem modlić się, by kolejny ranek nigdy nie nastał.



Szybko jednak porzucił tę myśl. Raz jeszcze uściskał Jamie i ucałował w policzek. Ledwie przyłożył głowę do poduszki, zasnął i przez całą noc śnił o Laurze i Joshu. A jeśli wcale nie chcą, żeby wracał? Może krzywda, którą im wyrządził, była nie do naprawienia? Niezliczone pytania i dziwaczne strzępki wyimaginowanych rozmów mężczyły go całą noc.

Wydawało mu się, że nie upłynęło nawet pięć minut, gdy z kuchni dobiegły go odgłosy porannej krzątaniny Jamie i Sierry. Powiedziała mu kiedyś, że w domu może nosić ubranie Jake'a. Poza nim nie miał nic do pakowania. Wszystko, o czym myślał jako o swojej własności, tak naprawdę należało do Jake'a.

Erie wziął prysznic i ogolił się, dziwiąc się, jak ładnie wygoiły się blizny na jego twarzy. Nadal musiał traktować swoją nową skórę bardzo delikatnie, ale okazało się że lekarz miał rację. Jeszcze trochę i nie będzie śladu po jego ciężkich przejściach, chyba że w ukrytych zakątkach serca...

Poszedł do kuchni. Sierra podbiegła do niego tak, jak czyniła to zawsze, odkąd wrócił ze szpitala. Jamie uśmiechnęła się do niego, stojąc przy kuchence, a on szybko do niej mrugnął, zanim całą swą uwagę poświęcił Sierrze.

- Wiesz, co, tatusiu?

Erie musiał odchrząknąć, żeby się nie rozplakać.

- Słucham cię, moja droga.

- Mama robi naleśniki z borówkami! Super, prawda? To moje najulubieńsze danie!

Zagarnął ją w ramiona i przytulił twarz do jej buzi. „Boże, strzeż to dziecko i pewnego dnia obdarz ją ojcem. Potrzebuje go. Proszę, Boże”.

- Wyglądasz dziś pięknie, królewno!

- Aha, ale mam za proste włosy, a mama mówi że mam iść bawić się z Katy... - odsunęła się troszkę i zrobiła minkę, która zawsze chwytiała go za serce. - Zakręcisz je, tatusiu, chociaż dziś nie jest niedziela?

Erie szybko zamrugnął, żeby przepędzić napływające do oczu łzy.

- Pewnie, że tak, kotku. Bardzo chętnie! Postawił Sierrę na ziemi i patrzył, jak drepcze w kierunku swojego krzesła. Potem podszedł do Jamie i, zbliżając głowę do jej głowy, wyszeptał:

- Nie wiem, czy będę w stanie... Pociągnęła nosem i na moment wzniosła oczy w górę.

- Nie śpię od czwartej... modliłam się... - naleśnik zaskwierczał, przewróciła go. Potem spojrzała na Erica i uśmiechnęła się. Oczy miała suche, ale widać było, że płakała.

- Dasz radę. Oboje damy radę. Pewnego dnia wszystko znów się ułoży. Bóg mi to obiecał.

Usiedli przy stole. Sierra szczebiotała wesoło o tym, że następnej jesieni pójdzie już do przedszkola, że nadchodzi Boże Narodzenie i że ananas to jej ulubiony owoc, zaraz po borówkach.

Gdy skończyli jeść, Erie spojrział na Jamie.

- Pomóc ci przy zmywaniu?

- Nie, dzięki - potrząsnęła głową oczy jej błyszczały. - Chyba musisz zakręcić komuś włosy.

Erie poszedł za Sierrą do pokoju Jamie i włączył lokówkę. Nauczył się tych wszystkich czynności kilka tygodni temu; był to rytuał, który jemu i Sierrze dawał wiele sposobności do pogawędek. Sierra podskakiwała w łazience, spoglądając na przybory do makijażu i buteleczki perfum swojej mamy, całkiem nieświadoma, że jej życie wkrótce ulegnie zmianie.

Lokówka była gotowa, Erie zakłapał nią kilka razy - był to sygnał dla Sierry, oznaczający że ma przyjść i stać spokojnie, kiedy on będzie zakręcał jej włosy. Dziewczynka przybiegła, odwróciła się do niego tyłem i strząsnęła kaskadę długich blond włosów na plecy. Erie otworzył lokówkę i nawinął na nią pukiel.

- Idziesz dziś do Katy, co?

- Mhm... - trzymała głowę zadartą do góry, starając się nie ruszać. - Katy nigdy nie widziała mnie z lokami.

Skrupulatnie, jedno po drugim, Erie skręcał pasma włosów wokół całej jej główki, aż wspaniałe loki utworzyły złocistą aureolę. Wyłączył lokówkę i odłożył ją do wystygnięcia.

Wtedy usłyszeli, jak Jamie woła Sierrę:

- Sierra! Muszę cię zawieźć do domu Katy. Pospiesz się... już czas.

Sierra popatrzyła na Erica, marszcząc nosek.

- Dzięki, tatusiu! Nikt nie robi takich loczków jak ty!

Erie ujął jej bródkę pomiędzy kciuk i palec wskazujący i spojrział jej prosto w oczy.

- Wiesz co?

- Co? - małe oczka śmiały się do niego jak zawsze.

- Mama zrobiłaby jeszcze lepsze loczki... - Erie zniżył głos i rzucił ku drzwiom ukradkowe spojrzenie. - Tak naprawdę, to ona jest najlepszym loczkarzem na świecie. Tylko nie chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Sierra otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - Erie czuł, że za chwilę pęknie mu serce - więc w tę niedzielę przed kościołem... myślę, że trzeba by dać jej szansę... - zmusił się do uśmiechu. - Dobrze?

- Dobrze! Mogę jej powiedzieć? Szybko potrząsnął głową.

- Jeszcze nie, dopiero w niedzielę, zgoda?

- Zgoda - Sierra wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi. - Musimy już iść, Katy czeka.

Jamie stała w holu i patrzyła, jak schodzą po schodach, trzymając się za ręce. Odezwała się do Sierry, nie odrywając spojrzenia od Erica:

- Pora iść. Pożegnaj się z tatusiem i ruszamy do Katy, dobrze?

Cofnęła się o kilka kroków, wciąż wlepiając wzrok w Erica. Zrozumiał. Dawała mu czas i miejsce na ostateczne pożegnanie.

Erie zacisnął zęby i przykucnął na piętach. Ostatni raz spojrzął w oczy Sierry i wyszeptał:

- Chodź do mnie, kochanie... Objęła go za szyję.

- Pa, tatusiu. Miłego dnia!

Czuł w gardle narastający ucisk i przez minutę nie był w stanie się odezwać. Przytulił ją tylko mocno, pogłaskał po plecach i w myślach błagał Boga, aby On stał się dla niej ojcem, którego od tej chwili nie będzie już miała. Gdy wreszcie odzyskał głos, odsunął się nieco i uśmiechnął.

- Kocham cię, wiesz o tym, prawda? Zachichotała.

- Oj, tatusiu! Pewnie, że wiem. Kochasz mnie bardziej niż ciasto z dynią!

- Zgadza się! O wiele bardziej! - serce bolało go tak, że ledwo mógł mówić. Uniósł brwi. - Motylkowe całuski?

Zaklaskała w rączki i szybko skinęła swoją śliczną główką. Zetknęli się nosami i potarli nimi kilka razy. Potem on delikatnie połaskotał ją rzesami po policzku, a następnie ona jego. Gdy skończyli, ujął ją za ramiona.

- Pa! - przypomniały mu się słowa z pamiętnika Jake'a, które zawsze mówił do Sierry, gdy wychodził na dyżur do remizy. - Bądź grzeczna, kochanie. I nie zapomnij o modlitwie.

- Dobrze! - ucałowała go raz jeszcze, a potem odwróciła się na pięcie i pobiegła w podskokach do Jamie. Machając mu jeszcze na pożegnanie, chwyciła dłoń mamy i po chwili obie zniknęły za rogiem.

Erie podniósł się i usiadł na trzecim schodku, chowając głowę w dłoniach. Słyszał, jak Jamie i Sierra wchodziły do garażu. Sierra cały czas chichotała i trajkotała o czekającym ją dniu u Katy. Słyszał, jak otwierają się drzwi garażu, a po chwili Jamie wycofuje samochód i powoli odjeżdża.

Dopiero wtedy po jego twarzy popłynęły łzy, które wstrzymywał, odkąd dowiedział się, jak się naprawdę nazywa. Płakał ze względu na Sierrę, która tego popołudnia miała się dowiedzieć, że jej tatuś zginął w pożarze, i ze względu na Jamie, która będzie musiała sama ją wychowywać. Ale płakał też ze względu na samego siebie. Oplakiwał ów mały kawałeczek własnego serca, który właśnie odjechał wraz z pewną wyjątkową czteroletnią dziewczynką, która nigdy już nie zrobi z nim motylkowych całusków.

\* \* \*

Już od kilku dni Jamie zdawała sobie sprawę, że prawdziwy ból nadejdzie dopiero, gdy pożegna się z Ericem. Mówiła prawdę o czasie spędzonym tego ranka na modlitwie i o obietnicy, jaką dał jej Bóg. Czytała podkreślone przez Jake'a wersy w Biblii, gdy gdzieś w samym środku serca usłyszała wyraźny szept: „Nie opuszczę cię ani nie pozostawię, córko. Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam, co do ciebie... zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić ci przyszłość...”.

Przez całe życie Jamie unikała gładkich odpowiedzi, stroniła od ludzi, którzy zdawali się mieć stosowny werset biblijny na każdą życiową sytuację. Ale słowa, które usłyszała dzisiejszego poranka, pochodziły wprost od Boga. Tchnęły w nią życie w chwili, gdy bez tego rodzaju wsparcia ból mógł ją zabić.

Podrzuciła Sierrę do Sue, po czym oboje z Ericem pojechali na lotnisko La Guardia. Wiedziała, że może to być niezręczne, ale bardzo chciała zobaczyć Laureę, ujrzeć ją i Erica razem, żeby mieć pewność, iż ten etap jej życia został zamknięty. Po dwóch minutach jazdy Erie sięgnął po jej dłoń i splótł jej palce ze swoimi.

- Byłaś wspaniała, Jamie - przyglądał się jej uważnie. Oczy miał jeszcze zaczerwienione od płaczu po rozstaniu z Sierrą.

- Dzięki - uśmiechnęła się do niego, ale zaraz odwróciła wzrok z powrotem na drogę.

O tej porze nie było dużego ruchu, więc jazda zajęła mniej czasu niż zwykle. Znaleźli miejsce na parkingu i ruszyli w stronę punktu kontroli bezpieczeństwa, gdzie zorganizowano poczekalnię dla gości, którzy od czasu zamachu 11 września nie mogli już podchodzić aż do wyjścia bez karty pokładowej.

Jamie spojrzała na zegarek i zaprowadziła Erica w spokojne miejsce w pobliżu oszklonej ściany na tyłach poczekalni. Samolot Laury Michaels miał wylądować za trzy minuty.

Opierając się bokiem o szybę, stanęli twarzą w twarz. Dzielili ich przestrzeń zaledwie kilkunastu centymetrów. Jamie sięgnęła do torebki i wyjęła jakieś zawiniątko. Ból promieniował z jej serca do ramion, paczuszka zdawała się być ciężka jak ołów.

- Proszę - wręczyła paczkę Ericowi. - To taki wcześniejszy prezent gwiazdkowy.

Erie wziął ją i przez dłuższą chwilę patrzył na Jamie. Miała ochotę się rozplakać, ale nie mogła, jeszcze nie teraz. Ruchem głowy wskazała na prezent. Wreszcie na niego spojrział. Zdarł papierowe opakowanie i wrzucił do pobliskiego kosza. Wewnątrz znajdowały się zbindowane kartki papieru. Niebieskie litery na pierwszej stronie układały się w napis: „Na wypadek, gdybyś kiedykolwiek zapomniał...”.

Otworzył książeczkę i Jamie usłyszała jego westchnienie. Zrobiła kserokopie wielu stron z dziennika Jake'a: najważniejsze notatki dotyczące znaczenia ojcostwa i radości, jaką daje małżeństwo z najlepszym przyjacielem. Dodała do tego ze dwadzieścia stron kopii z Biblii Jake'a, wraz z jego podkreśleniami i notatkami na marginesach.

Spojrzał jej w oczy, nie musiał nic mówić. Przycisnął kartki do piersi i przyciągnął Jamie do siebie.

- Jamie... nigdy o tobie nie zapomnę ani o Jake'u. Uniosła głowę, z całych sił walcząc, by nie rozplakać się teraz, podczas ostatnich wspólnych chwil.

- Jesteś do niego taki podobny, Erie - jej uśmiech był szczery. Wynikał on z przeświadczenia, że pomimo towarzyszącego im teraz smutku, wspólnie spędzony czas tak wiele dla nich znaczył. - Pewnego dnia, gdy spotkacie się w niebie, będziecie musieli sobie porządnie pogadać.

Pasażerowie samolotu zaczęli się przeciskać przez bramkę. Erie odwrócił się. Jamie obserwowała go, zastanawiając się, czy dojrzał już swoją żonę. W pewnej chwili wskazał na kogoś i zmienionym głosem powiedział:

- Jest tam, z tyłu.

Ponownie spojrzął na Jamie, przez chwilę patrzyli sobie w oczy. To koniec, za moment odejdziesz z jej życia na zawsze.

- Kocham cię, Jamie. Dzięki tobie jestem teraz innym człowiekiem. I dzięki Jake'owi.

Słuchała, myśląc ze zdumieniem, jak łatwo mógł pozostać Jakiem. Czuła napływające łzy, więc skinęła mu tylko głową.

- Idź już, Erie - rzuciła okiem na zbliżającą się do poczekalni blondynkę. - Twoja żona cię szuka.

Erie pokiwał głową.

- Czy chcesz ją poznać?

- Nie - odpowiedziała z trudem. - Wolę odejść niezauważona. Poza tym... oboje macie pewne zadanie do wykonania...

- Dobrze... - zacisnął zęby, wciąż wpatrując się w jej oczy. - Ucałuj ode mnie Sierę, dobrze?

Potaknęła szybko. Erie przytulił ją jeszcze raz, długim, mocnym uściskiem - ich ostatnim. Potem, nie mówiąc już ani słowa, odwrócił się i odszedł. Jamie patrzyła, jak przedziera się przez tłum. Wreszcie jego żona zauważyła go, przyspieszyła kroku, usta miała otwarte z niedowierzania i szoku. Zbliżyli się do siebie i Erie wziął ją w ramiona.

Jamie poczuła przeszywający ból w sercu, łzy popłynęły z jej oczu. Zamrugła, żeby lepiej widzieć, jak kobieta pocałowała Erica prosto w usta. Przez chwilę rozmawiali przytuleni, zupełnie pochłonięci spotkaniem, nie zważając na pasażerów przepychających się obok. Potem wzięła go pod rękę, a Erie - nie oglądając się za siebie - poprowadził ją w stronę linii bezpieczeństwa, przez którą musieli przejść, zanim wsiądą do samolotu.

- Żegnaj, Erie... dbaj o nią - wyszeptała Jamie, a potem powoli, z bólem serca, odwróciła się od mężczyzny, o którym sądziła, że jest jej mężem; mężczyzny, który - dzięki Jake'owi - nauczył ją kochać Boga i żyć bez lęku; mężczyzny, który - dzięki Jake'owi - ponownie nauczył się kochać.

Mijała mnóstwo ludzi, ale nie widziała nikogo. Z każdym krokiem oddalała się coraz bardziej od złudzenia, że może utrzymać Jake'a przy życiu, że żyjąc z Ericem, ciągle ma przy sobie część Jake'a.

Sześć minut później wyszła z lotniska i wkroczyła w nowe życie, w którym tylko słowa Jake'a miały jej przypominać o mężczyźnie, którego miłość pozostanie w jej sercu na zawsze. Miłość, której nie odbierze jej żaden atak terrorystyczny. Miłość, która nadal w niej żyje, pomaga jej wzrastać i zmienia ją. I nie tylko ją, ale i Erica Michaela. Miłość, która

będzie wciąż żywa na długo po tym, jak ruiny World Trade Center zostaną uprzątnięte. Miłość tak wielka, że żyje nawet teraz...

Jamie jechała z otwartymi oknami w samochodzie. Wiatr wpadał do auta i mieszał się z jej łzami, szczypiąc w policzki. Opłakiwała stratę nie tylko Jake'a, ale i Erica, stratę namacalnej wręcz obecności uczuć swojego męża, nawet jeśli przejawiała się ona w życiu zupełnie obcego człowieka.

Musiała teraz odebrać Sierrę i powiedzieć jej, że jej tatuś nie żyje. Było to najtrudniejsze zadanie, z jakim przyszło jej się zmierzyć w całym życiu. Wiedziała, że nie podołałaby mu, gdyby nie czas spędzony tego ranka na modlitwie i gdyby nie ostatnie miesiące, kiedy zwracała się do Boga z prośbą o siłę. Jej siła pochodziła wyłącznie od Niego. Brała się z prawdy, którą poznała, czytając Biblię Jake'a; z prawdy, którą - jak jej się zdawało - Jake szepcze teraz prosto w jej serce.

Zaparkowała przed domem Henningów i z wysiłkiem przeszła kilka kroków. Jak się okazywało, miała rację, nie mówiąc nic Sue ani nikomu innemu. Zaakceptowanie prawdy było wystarczająco trudne dla niej i Erica, a opowiadanie o niej mogłoby wywołać sytuacje, w której ani ona, ani Erie nie chcieliby się znaleźć. Nie chodzi o to, że Sue ogłosiłaby to w gazetach, ale wiadomość i tak mogłaby się rozejść, i co wtedy? Nie chcieli tego. Zachowując prawdę dla siebie, mogli skupić się na tym, co najważniejsze, i pomóc Ericowi odnaleźć rodzinę.

Powoli weszła na schody. Zdała sobie sprawę, że do tej pory nie potrafiła naprawdę opłakiwać śmierci Jake'a. Teraz mogła podzielić się swoim smutkiem ze wszystkimi, którzy tworzyli jej świat.

Zapukała do drzwi i wzięła głęboki oddech. „Panie Boże, dodaj mi sił, proszę”. W otwartych drzwiach pojawiła się Sue. Jej uśmiech zgasł, gdy tylko spojrzała na Jamie.

- Jamie... co się stało? - zapytała bez tchu, z lękiem w oczach.

Jamie podniosła tylko rękę i stłumiła szloch.

- Muszę... pozwól mi najpierw porozmawiać z Sierrą, dobrze?

Sue zawahała się tylko na moment, potem wbiegła do domu i wróciła z Sierrą. Dziewczynka zatrzymała się, wpatrując się w zapłakaną matkę szeroko otwartymi oczyma.

- Mamusiu, co się stało?

Jamie wyciągnęła rękę i podniosła Sierrę w taki sam sposób, jak zawsze robił to Jake... I Erie. Pewnego dnia, gdy mała będzie na tyle dorosła, by to zrozumieć, Jamie wyjaśni jej, kim był człowiek, który zamieszkał z nimi po

ataku na World Trade Center. Teraz jednak dziecko mogło zrozumieć tylko prawdę wyrażoną jak najprościej.

- Kochanie, mamusia ma dla ciebie smutną wiadomość...

RS



## Rozdział 35

5 grudnia 2001

Od chwili spotkania z Laurą na lotnisku, Erie nie przestawał mówić. Przez całą drogę do Los Angeles opowiadał jej o wszystkim, co się z nim działo od momentu, gdy się obudził w szpitalu w Nowym Jorku.

Laura ze zdumieniem słuchała całej historii.

- Więc naprawdę myślałeś, że jesteś tym... tym Jakiem Bryanem?

- W ogóle nie wiedziałem, kim jestem.

Erie wziął ją za rękę, a ona próbowała nie wyglądać na zdziwioną tym faktem. Kiedy ostatnio trzymał ją za rękę? Laura nie mogła sobie przypomnieć, ale ośmieliła się mieć nadzieję, że być może... być może coś odmieniło się w jego sercu, gdy mieszkał z tą jakąś Jamie.

Przeszedł do kolejnej części swojej opowieści o tym, jak znalazł pamiętnik zmarłego męża Jamie i jego Biblię.

- Przez dwa tygodnie tylko czytałem. Dowiedziałem się, co to znaczy kochać rodzinę i troszczyć się o tych, którzy mnie otaczają. Zapamiętałem wszystko.

Laura nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ten Jake był świetnym facetem, co?

- Więcej niż świetnym - Erie rozejrzał się dookoła, jak gdyby szukał właściwych słów. - On tak bardzo kochał Boga, Lauro. Tak bardzo! Wszystko, co dotyczyło jego życia i jego rodziny, było odbiciem tej miłości.

Podczas całej rozmowy Laura musiała nieustannie upewniać się, że nie śni. Szok wywołany odnalezieniem Erica żywego to jedno, ale ośmielić się marzyć, że żyjąc życiem innego, nieznanego jej człowieka, stał się on mężczyzną z jej snów, to coś zupełnie innego.

Gdy kończył opowiadać, lecieli nad Arizoną.

- Tak więc, Lauro, chciałbym ci powiedzieć, że... cię przepraszam - przysunął się do niej i powoli pocałował ją w usta.

Znowu musiała sama siebie przekonywać, że to wszystko dzieje się naprawdę. Erie nigdy jej tak nie całował... przynajmniej nie przez ostatnie lata... Odsunął się nieco i spojrzał na nią uważnie.

- Wszystko sobie przypomniałem i wiem, jaki byłem podły - w jego przymrużonych oczach malował się ból, jakiego nigdy wcześniej nie pozwalał jej dostrzec. - I pamiętam Sarę...

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy wymówił to imię.

- Nie wiedziałam... - potrząsnęła głową. - Znalazłam kartkę, którą do niej napisałeś... Już myślałam, że nigdy nie będę mogła o niej z tobą porozmawiać.

- Powiniennem był ci powiedzieć wcześniej, porozmawiać o tym z tobą... - przytulił ją i trzymał tak, zupełnie nie przejmując się stewardessami, pasażerami ani turbulencjami. Lecieli nad Kalifornią. - Wybaczysz mi kiedyś?

Laura odchyliła się na oparcie fotela i otarła łzy.

- Tyle jeszcze musimy naprawić. Oczywiście, że ci wybaczam - pociągnęła nosem i wstrzymała oddech, żeby zatrzymać wzbierający jej w gardle szloch. - Nigdy wcześniej nie dałeś mi szansy...

Rozmawiali o tym jeszcze długo. Erie opowiedział jej wszystko, co odczuwał po utracie małej Sary, i o tym, jak odwrócił się od Boga. Laura czuła się jak ktoś, kto po długim marszu przez pustynię może wreszcie napić się wody. Było to odczucie bardziej cudowne, niż mogła sobie wyobrazić.

Nic tego dnia nie zatarło owego wrażenia. Gdy weszli do domu, Clay długo i mocno ścisnął brata, zaś Josh stał cicho z tyłu.

- Clay...

- Myśleliśmy... - Clay zacisnął powieki i mocniej przytulił Erica. - Myśleliśmy, że nie żyjesz, braciszku.

Z oczyma przesłoniętymi łzami Laura patrzyła na obu braci. Clay musiał mieć mieszane uczucia. Jasne, że się cieszył, że Erie żyje. Ale w całej tej sytuacji było także coś bolesnego, czego Clay nigdy jej nie powiedział i prawdopodobnie nigdy nie powie. Cokolwiek jednak odczuwał, po przybyciu Erica do domu ukrywał to starannie.

Gdy już bracia oderwali się od siebie, Laura zobaczyła, jak Erie podchodzi do Josha. Dziecko było przerażone, jakby widziało ducha. A może przerażała go zmiana, jaka zaszła w Ericu? Poprzedniego wieczoru Laura próbowała go uprzedzić.

- Tata wraca do domu - powiedziała. - Ma poparzoną twarz i może wyglądać trochę inaczej niż dawniej.

Josh nie odpowiedział. Było jasne, że nie jest całkiem pewny, czy chce, żeby tata wrócił. W końcu w ciągu ostatnich lat człowiek ten głównie ranił go niedotrzymanymi obietnicami i brakiem uczucia.

Głos Erica nabrzmiał wzruszeniem, gdy przykucnął przed chłopcem.

- Chodź do mnie, Josh.

Laura patrzyła na synka i usilnie starała się pamiętać o oddychaniu. „Boże, niech między nimi wszystko się zmieni, proszę”.

Josh zamrugał oczami i przez chwilę wpatrywał się w podłogę. Potem podszedł do ojca drobnym, niepewnym krokiem. Erie uśmiechnął się do niego w taki sposób, że Laura znów zaczęła się zastanawiać, czy nie śni. Dawny Erie nigdy nie znalazłby czasu, by potraktować chłopca w szczególny sposób, chyba że w jakichś kłopotach.

Josh zatrzymał się kilka kroków od Erica:

- Tak, tato?

Erie wyciągnął do niego ramiona, co chłopca wprowadziło w zdumienie. Ojciec podszedł bliżej i pociągnął małego w objęcia. Długo go obejmował, po czym odsunął się, pocałował synka w policzek i powiedział:

- Kocham cię, Josh. Nie mówiłem ci tego wystarczająco często, ale tak właśnie jest.

Josh spojrział na Laurę i uniósł brwi w górę. Laura nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Biedne dziecko nie miało pojęcia, jak rozumieć zmianę, która zaszła w jego ojcu. Josh wzruszył ramionami i popatrzył na Erica.

- Dzięki.

Erie nie zraził się chłodnym zachowaniem syna. Uśmiechnął się i jeszcze raz go uściskał.

- Co byś powiedział na przejażdżkę rowerem dziś wieczorem? Ty, ja i mama... - Erie uśmiechnął się do Claya - i wujek Clay, jeśli tylko ma ochotę.

Clay odchrząknął i zrobił krok do tyłu.

- Ja właśnie wychodzę... - uśmiechnął się do Erica i klepnął go po łopacie.

- Ty i Laura potrzebujecie trochę czasu tylko dla siebie.

- Dobrze, ale przyjdź jutro. Zrobimy sobie razem grilla - spojrział na Laurę - i zadzwonimy do taty. Chciałbym, żeby wiedział, że wszystko będzie teraz inaczej. Życie jest za krótkie, by je marnować.

Przeniósł wzrok na Josha.

- I wiesz, co? Nauczyłem się jeździć skuterem wodnym, kolego. Nie mogę się doczekać, kiedy ciebie nauczę. Ale najpierw pojedziemy na naszą wieczorną przejażdżkę.

Josh tylko gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami. Laura dostrzegła, że w jego oczach pojawiło się coś, czego wcześniej - odkąd pamiętała - tam nie było; coś, co wyglądało na nadzieję...

Erie dotrzymał obietnicy zarówno tego wieczoru, jak i w kolejne dni, tak że Laura w końcu zaczęła mu wierzyć. Zdarzył się cud, który tylko Bóg wszechmogący mógł spowodować. A wszystko to dzięki słowom pewnego niezwykłego człowieka, które nauczyły jej męża miłości i wierności.

Laura myślała o Jake'u Bryanie. Jej życie nie będzie pełne, jeśli pewnego dnia, spotkawszy go w niebie, nie podziękuje mu za pozostawione ślady; ślady, którymi - jak zaczynała wierzyć - Erie będzie podążał do końca swoich dni.

RS

## Rozdział 36

11 września 2002

Minął rok od zamachu terrorystycznego, lato znowu szybko przechodziło w jesień. Jamie jakoś udało się przetrwać ten czas, poradzić sobie z wyjawieniem prawdy chłopakom w remizie i zakomunikowaniem jej ojcu Jake'a, gdy ten powrócił ze swej krajoznawczej wyprawy. Dotrzymała obietnicy danej Ericowi - nie zdradziła jego tożsamości nikomu, kto o nią wypytywał, nawet dziennikarzom, którzy nagabywali ją, gdy prasa podała wiadomość o śmierci Jake'a.

Pewnego wiosennego dnia znaleźli jego ciało. Leżeli z Larrym obok siebie wraz z tuzinem innych strażaków. Straż urządziła im należyty pogrzeb, którego Jamie zawsze się obawiała, a teraz już nie miała powodu się bać. Hełm Jake'a spoczął na komodzie Sierry, by nieustannie przypominać, że jej tatuś jest w niebie i czeka na ten odległy dzień, kiedy się tam spotkają.

W pewien sposób Jake wciąż był obecny w domu, wracał do życia, ilekroć Jamie sięgała po jego dziennik. Wciąż na nowo uczyła się głębi jego miłości do nich, jego radości z czasu spędzanego z rodziną i z Bogiem.

Od czasu do czasu wracały do niej ojcowskie słowa: „Gaszenie pożarów w Nowym Jorku to ciężka robota. A niebezpieczeństwo czai się za każdym alarmem”.

Tak, co do tego ojciec miał rację. Ale mylił się w innych rzeczach, które jej mówił - że człowiek nie potrzebuje nikogo prócz samego siebie, a religijność jest oznaką słabości. Jake Bryan na zawsze pozostanie dla niej najsilniejszym człowiekiem, jakiego знаła. Tak silnym, iż nawet teraz jego słowa, jego wiara, jego miłość były wszystkim, co ją podtrzymywało - choć z tak daleka, jak odległe jest niebo.

Bóg bardzo jej pomógł. W ciągu tych miesięcy Jamie i Sue stały się sobie bliskie jak siostry, wspierając się wzajemnie w pełnych tęsknoty dniach urodzin i samotnych świąt. Wobec zbliżającej się rocznicy zamachu jednomyślnie zgodziły się, iż nie chcą spędzać tego dnia w grupie żałobników ani zostać bohaterkami jakiejś ceremonii ku czci. Pragnęły spędzić ów dzień w samotności, pogrążone we wspomnieniach, ile kosztował je tamten wtorkowy poranek.

Gdy więc nadeszła ta chwila, Jamie i Sierra spakowały kosz piknikowy i kupiły biały balonik wypełniony helem. Udały się tam, dokąd chciałby pójść Jak - tego ranka z całą pewnością będzie tam pusto.

Sierra w milczeniu trzymała mamę za rękę, gdy szły obie plażą do miejsca, w którym tak często przedtem siadywali całą rodziną. Wiał wiatr, gdy się rozpakowywały. W oddali krzyknęła mewa i Sierra spojrzała w górę. Była teraz wyższa, a jej oczy, niegdyś tak roztańczone, dziś jakby mniej chętnie zapalały się blaskiem. Zapatrzyła się w niebo.

- Mamusiu, myślisz, że tatuś nas widzi?

Jamie ostatnio nie płakała już zbyt często. Bóg ją wspierał, tak jak obiecał. Przeżywała smutek gdzieś w głębi siebie. Spoglądała w niebo nad głową i uśmiechała się. Jeszcze i tego wciąż uczył ją Jake, że dobrze jest płakać, dobrze jest kochać tak głęboko i mocno, że aż boli. Na pytanie córki jej oczy wypełniły się łzami.

- Tak, kochanie. Myślę, że tatuś nas widzi - wyjęła różowy marker, zdjęła skuwkę i podała go dziecku.

- Zaczynaj, serduszko.

Planowały to od tygodni, dziewczynka więc bez wahania ujęła pisak i, pochyliwszy się nad przytrzymywanym przez matkę balonikiem, zaczęła pisać, z namaszczeniem stawiając każdą drukowaną literę: „Kocham Cię, Tatusiu. Sierra”.

Postawiwszy końcowe „a” swego imienia, podała marker Jamie.

- Wiesz, mamusiu, coś sobie pomyślałam.

- Co? - Jamie spojrzała na córkę.

Plaża była pusta, dokładnie tak jak się spodziewała. Tylko dwie osoby kręciły się w pobliżu wody.

- Czy myślisz, że jak dam temu balonikowi motylkowego całuska, to zanieś go tatusiowi do nieba?

Jamie przygryzła wargę i przełknęła wielką gulę, która nagle urosła jej w gardle.

- Tak, dziecinko. Myślę, że tatuś go tam dostanie. Sierra kiwnęła głową i przysunęła balon do ust.

Już miała go pocałować, gdy nagle zatrzymała się i spojrzała na Jamie. W jej oczach zaślnęły łzy.

- Tęsknię za nim, mamusiu.

- Ja też za nim tęsknię, maleńka.

Potem - tak samo jak zawsze robiła to z Jakiem - Sierra potarła noskiem powierzchnię balonika i przytuliła do niego policzek, jakby go nadstawiała ojcu do pomuskania rzęsami. Wreszcie leciutko odwróciła balonik i,

mrugając, kilkakrotnie musnęła jego gładką powierzchnię jedwabistymi rzęsami.

- Już - powiedział do Jamie. - Jestem gotowa.

Jamie wykonała potakujący gest i Sierra wyciągnęła prawą rączkę, w której trzymała sznurek balonika, wysoko nad głowę.

- Panie Jezu... proszę Cię, niech mój tatuś go dostanie. Dobrze? - odczekała chwilę, po czym rozwarłszy paluszki patrzyła, jak balonik wystrzelił w górę i choć początkowo wydawał się wahać kołysany prądami powietrza, po kilku sekundach jednak zdecydowanie ruszył ku niebu i zaraz zniknął im z oczu.

Jamie niemal zobaczyła scenę w raju: Jake stoi obok Jezusa, łapie balonik i przesyła im z powrotem motylkowe całuski i tyle miłości, że wystarczy im jej na całe życie. Nie tylko dla Sierry, ale i dla niej. Na całe życie.

Dopiero teraz, gdy balonik bezpiecznie dotarł do nieba, Jamie wyciągnęła z kieszeni kartkę papieru. Ostatni list od Jake'a.

„Najdroższa Jamie... - łza spadła na kartkę i Jamie szybko ją starła. Sierra usiadła na piasku i wpatrywała się w niebo w miejscu, gdzie zniknął balon. Jamie zamrugała oczami: znowu mogła czytać. - W głębi serca czuję, że coś się u nas zmieni. Może to z powodu pytań o Kościół, które mi zadajesz, może stąd, że ostatnio bardziej interesowałaś się opowieściami biblijnymi Sierry. Bez względu na przyczynę, proszę Boga, by dotknął Twojego serca, najdroższa. Bóg jest dla mnie wszystkim i wiem, że pewnego dnia stanie się wszystkim również dla Ciebie. Tego dnia przestaniesz się bać, bo będziesz mogła wesprzeć się na wszechmogącym Panu. Chcę, żebyś wiedziała. Kochanie, że gdy odnajdziesz tę cudowną wiarę, będę się uśmiechał szerzej niż kiedykolwiek przedtem...”.

Jamie zdusiła szloch i spojrzała w niebo. Pociągnęła nosem i pogłaskała złote włosy Sierry. Prawda była niewiarygodna. Usiłując nauczyć obcego mężczyznę być Jakiem, odkryła jedyne źródło siły swego męża - tak dla niego drogą wiarę.

.... ponieważ bardziej nawet niż Twojej miłości pragnę pewności, iż w wieczności będziemy razem. Po prostu nie mogę znieść myśli, że mógłbym trafić do nieba bez Ciebie. Za mocno Cię kocham, żebyś Cię stracił. Czasami jednak wydaje mi się, że uciekasz. Jakbyś się bała żyć i kochać, i śmiać się całą pełnią. Ale na to się trzeba zgodzić. Trzeba się zgodzić na miłość i trzeba się zgodzić na stratę. Gdy sobie to uświadomisz, przestaniesz uciekać... i zaczniesz naprawdę żyć. Żyć tak, jak tego chce Bóg.

Gdziekolwiek teraz jesteś, najdroższa, wiedz, że Cię Kocham. I modlę się za Ciebie.

Twój na zawsze

Jake".

Złożyła kartkę i wsunęła ją z powrotem do kieszeni. Obok niej Sierra poruszyła się. Jamie pomyślała, że już czas na piknikowy lunch. Wspomniały 11 września i wszystko, co utraciły w tamten wtorkowy poranek. Jamie chciała uczynić jeszcze tylko jedno.

Zostawiwszy córkę przy koszu z prowiantem, ruszyła ku wodzie, w której tyle razy bawili się z Jakiem. Zdjęła buty i postąpiła kilka kroków, aż fale poczęły obmywać jej stopy. Te same fale, które moczyły ich ciała, gdy pędzili po zatoce w letnie dni całą wieczność temu.

Podniosła twarz ku niebu i zmrużyła oczy, jakby pragnąc zobaczyć, jak on tam - patrząc w dół - modli się za nią. Słowa, które zamierzała do niego skierować, wypowie w sercu, a ich echo dotrze do niego, choć niebo jest tak odległe. „Cześć, Jake... to ja”. Przerwała i uważniej wpatrzyła się w nieboskłon. „Już wierzę... i już nie uciekam. To zdumiewające... Bóg wysłuchał twoich modlitw”. Poczula na twarzy powiew wiatru i zamknęła oczy. „Tęsknię za tobą, jedyny, codziennie, w każdej minucie”. Uśmiechała się, choć łzy ciekły jej po policzkach zimnym strumykiem. „Zajmij mi tam miejsce, dobrze, Jake? Bo któregoś dnia znowu będziemy razem”.

Otworzyła oczy i w tym momencie nie musiała się zastanawiać, jak będzie wyglądał Jake, gdy spotka go kiedyś na ulicach nieba. Ujrzała go tak wyraźnie, jak widziała błękit sklepienia i chmury, jakby stał przed nią.

Chwila minęła, Jamie wróciła do Sierry. Zjadły lunch, a po godzinie spakowały się i ruszyły do samochodu. Zanim wsiadły, Sierra nagle zapatrzyła się w niebo.

- Mamusiu...

- Co, kochanie?

- Wiesz, kiedy poszłaś moczyć nogi w wodzie, zanim zjadłyśmy... - przeniosła spojrzenie na matkę.

- Tak, kochanie - Jamie położyła kosz na tylnym siedzeniu i podeszła do córki. - Pamiętam...

- Wiesz, wtedy przez chwilę wydawało mi się, że widzę tatusia w niebie.

Jamie konwulsyjnie zaczerpnęła powietrza.

- Naprawdę?



- Mhmm... - Sierra jeszcze raz spojrzała na bezmiar błękitu nad ich głowami. Wzrok miała poważny, ale mniej smutny niż wcześniej.

- I co tatuś robił? - zapytała Jamie, obejmując dziewczynkę, gdy ta odwróciwszy się, spojrzała jej w oczy.

- Najwspanialszą rzecz na świecie, mamusiu - oczy Sierry zabłysły. - Uśmiechał się.

RS